

ŚCIEŻKI WYOBRAŹNI

Rozstaje



ROZSTAJE

Antologia
Sekcji Literackiej
Śląskiego Klubu Fantastyki



Śląski Klub Fantastyki
Katowice 2019

ROZSTAJE – Antologia Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki
© 2019 Śląski Klub Fantastyki

Projekt okładki:
Alicja Tempłowicz

Redakcja:
Anna Askaldowicz
Anna Kańtoch
Alicja Tempłowicz

Korekta:
Anna Askaldowicz
Alicja Tempłowicz
Krzysztof Wójcikiewicz

Skład i łamanie:
Michał Dagajew

Wydawca:
Śląski Klub Fantastyki
ul. A. Górnika 5
40-133 Katowice (Koszutka)

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

Spis Treści

WSTĘP <i>Elżbieta Gepfert</i>	5
W TANIEJ SŁUŻBIE	
JEJ KRÓLEWSKIEJ MOŚCI <i>Krystyna Chodorowska</i>	7
WYBÓR ANNY <i>Małgorzata Binkowska</i>	63
TERU CZERWONA PIĘŚĆ <i>Alicja Tempłowicz</i>	117
MIESZKAŃCY <i>Olga Niziołek</i>	179
SPLĄTANIE <i>Marta Potocka</i>	191
MORDERSTWO NAD SAHARĄ <i>Michał Niedźwiedzki</i>	209
DŁUGO WYCZEKIWANA SAMOTNOŚĆ <i>Agnieszka Żak</i> ...	247
KĄT ZAŁAMANIA <i>Jesion Kowal</i>	283
BAJKI DO OPOWIEDZENIA <i>Marta Magdalena Lasik</i>	299
WIARA <i>Anna Hrycyszyn</i>	347

Elżbieta Gepfert

Wstęp

Drodzy Czytelnicy, trzymacie właśnie w rękach tomik (lub czytnik z tekstem) kolejnej edycji Ścieżek wyobraźni, trzeciej wydanej w eleganckiej edycji antologii utworów, które powstały w głowach członków sekcji literackiej LOGRUS.

Sekcja istnieje już od ponad dwudziestu lat, ale też kulała czasami, po czym odradzała się jak Feniks z popiołów. Jednak piętnaście lat temu stały się dwie rzeczy: sekcja zyskała nazwę i opiekuna w postaci nieocenionej Anny Kańtoch. Maczała też w tym palce Małgorzata Pudlik, ale byłoby raczej dziwne, gdyby jakaś działalność klubowa przebiegała bez jej inspirującej obecności.

Nazwę Logrus zaproponowałam sekcji dlatego, że Wzorzec jest zbyt oczywisty, a Chaos bardziej pasował do wczesnej działalności „sekty literatów”, jak żartobliwie bywa czasem określana. Jeżeli ktoś nie kojarzy słowa Logrus, odsyłam do cyklu Amber, Rogera Żelazny'ego, i obiecuję przy tym solennie, że nie pożałuje.

A tak na marginesie, jeśli gdzieś przeczytaliście o dawnym warszawskim Klubie Tfurców, to uważam, że doganiamy ich osiągnięciami, a latami działalności, to raczej już zostali za nami.

Wracając do tematu, którym są w tym roku *Rozstaje*, to przed Wami dziesięć bardzo zróżnicowanych opowiadań, w których jednak wprost (jak w *Bajkach do opowiedzenia*, czy *Teru*), albo nie tak wprost, znajdziecie element rozdroża, zmian tak ogromnych (*Długo wyczekiwana samotność*), że świat wokół bohaterów już nie będzie taki sam. Element zmian, jakie niosą raz podjęte decyzje, odnajdziecie np. w opowiadaniu *Wiara czy Splątanie*, ale też czasem choć decyzje nie należą całkowicie do bohaterów, jednak mają ogromny wpływ na dalsze ich życie (*Wybór Anny*, *Mieszkańcy*, *Kąt załamania*).

Dokonując wyboru czytania, czy może porzucenia tekstu, miejcie świadomość tego, że taki porzucony tekst mógł nieść treści zaskakujące czy niesamowite, o których już się nie dowiecie. Podejmiecie decyzję, która przynosi zmiany.

A może też, jak w moim przypadku, gdy kończąc tekst *W taniej służbie jej królewskiej mości* chcielibyście pójść dalej, lecz na rozstajach jeszcze nie ma oznaczonej ścieżki.

Krystyna Chodorowska – w tygodniu programistka z działu sztucznej inteligencji, w weekendy przywódczyni barbarzyńskiego klanu. Tłumaczyła m.in. Miéville’a, Martina, Żelaznego, Egana i Pat Cadigan, publikowała opowiadania w „Nowej Fantastyce”, „Esensji”, „Smokopolitanie” i w antologiach tematycznych. Miłośniczka i propagatorka gier fabularnych (RPG), należy do Śląskiego Klubu Fantastyki. Nominowana do Nagrody Janusza A. Zajdla za opowiadania „Kre(jz)olka”, „Dziki stworzenia” i „Jeden spalony rzut”, a także za powieść „Triskel: Gwardia”. Zabita przez Petera Wattsa w powieści „Echopraksja”.

Krystyna Chodorowska
W TANIEJ SŁUŻBIE
JEJ KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

Mysłisz, że użyje tego przeciwko niej?

Alistair obejrzał się, odprowadził wzrokiem stado kołujących ptaków i wskazał głową na drewniane ramię trebusza wystające ponad umocnienia zamku. Mury obronne Naggar wznosiły się wysoko, przecinając deszczowe niebo; komnaty wypełnione ciepłym blaskiem ognia znajdowały się tak daleko poza zasięgiem, jakby należały już do innego życia. Tathir przez chwilę przyglądała się swojemu dziełu, a potem ścisnęła łydkami boki konia. Zwierzę parsknęło, wzbijając z pyska białe kłęby.

– Mówił, że nie.

Ściągając wodze, Alistair spojrział na Gniadą i stwierdził, że kilka tygodni pobytu w twierdzy nie tylko jemu wyszło na dobre. Sierść klaczy była starannie wyczesana, mięśnie grały pod skórą, która zdawała się lśnić nawet w tak pochmurny dzień. Drobinki wody fruwały wokół jak rój muszek i osiadały na wszystkim, ale wełniane płaszcze – podarunek od barona – dobrze chroniły przed chłodem. Wiatr zrywał się od czasu do czasu, choć szybko cichł, jakby przyczajał się gdzieś w rowie. Mogli trafić na gorszą pogodę.

Przed nimi ciągnęła się prosta droga prowadząca do ciemniejącej w oddali linii drzew. Ruszył stępem za Tathir, czując, jak obfite śniadanie układa mu się w żołądku.

– I wierzysz mu?

Tym razem nie odpowiedziała, ale Alistair znał Tathir już dość długo i wiedział, co oznaczają wszystkie jej milczenia. Spędziliśmy pożytecznie czas, mówiły wyprostowane plecy kobiety. Najedliśmy się do syta. Zarobiliśmy pieniądze. Nie psuj tego jakimś gadaniem.

A jednak ona też musiała się nad tym zastanawiać, choć poruszyła temat dopiero wieczorem, gdy znaleźli już miejsce na nocleg: w miarę suchą, oddaloną od drogi kotlinkę, gdzie można było rozpalić ogień i wygodnie ułożyć się na ziemi.

– A ty mu wierzysz?

– Nie wiem – przyznał. – Jasne, mógł sobie do woli gadać o rabusiach i o tym sąsiedzie ze wschodu, co to wciąż nie może się zdecydować, czy jest porządnym Asivarem, czy może jednak

Ordathem, ale parę pytań wciąż nie daje mi spokoju. Po co mu tyle wojska? Po co mu te maszyny?

– Kto bierze pierwszą wachtę?

Tathir uniosła w zaciśniętej pięści dwa patyki. Uśmiechnęła się, gdy Alistair wyciągnął krótszy.

– Na pewno mają rabusiów – stwierdziła, rozwijając posłanie. Odwróciła się, gdy jej koń parsknął i potrząsnął łbem, ale najwyraźniej było to tylko nocne końskie gderanie. – Pamiętasz, co widzieliśmy po drodze? W tych wzgórzach są warownie jeszcze z dawnych czasów, takie, co mogą pomieścić nawet parę setek ludzi. Nie wiadomo, kto w nich mieszka, bo nawet w czasie takiego spokoju jak teraz nikt nie chce się zapuszczać w te lasy za głęboko. Ale możliwe, że co jakiś czas któryś z tych watazków, pijany tarniówką zmieszaną z octem, którą sprytni kupcy wciskają mu jako wino, dochodzi do wniosku, że chyba zgromadził już dość sił, by przestać kryć się po lasach, i że nasz baron powinien być pierwszym celem.

– A co, jeśli te twoje wynalazki jednak posłużą mu do walki z nami?

– To dostanie łomot. – Wzruszyła ramionami. – Przecież nie powiedziałam im wszystkiego, co wiem, i założę się, że ty też zostawiłeś sobie coś w zanadrzu. Gdybyś teraz miał walczyć z tą bandą leszczy, pewnie zdołałbyś ich niezłe zaskoczyć.

Uśmiechnął się.

– Chyba bym zdołał.

– Czyli nie wierzysz w jego czyste intencje?

– Wierzę w pieniądze – odparł, opierając się plecami o ścianę kotlinki. Splótł ręce pod głową, aż zaskrzypiał skórzany kaftan. – Baron Naggar sporo zarabia na kopalniach soli. Główny szlak handlowy, z którego regularnie korzysta, prowadzi przez ziemie Iriyów, a oni zawsze byli lojalni wobec królowej. Jeśli się przeciw niej zbuntuje, którędy będzie wysyłał swoje transporty? Przez ziemie tego sąsiada, co to nie wiadomo, czy nie jest Ordathem? Myślę, że nic nie robi, przynajmniej przez parę lat. Czasem tylko... się zastanawiam.

– A jeśli będzie z tego wojna?

Tym razem przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Gdy znów się odwrócił, zobaczył, że Tathir leży owinięta płaszczem i wpatrzona w niebo. W blasku księżycy jej oczy były wielkie i lśniące.

– Jeśli będzie wojna – powiedział powoli – to królowa będzie musiała znowu zacząć nam płacić.

Rude i żółte liście zalegały w błotnistych kałużach. Droga do twierdzy Thar, prowadząca przesmykiem pomiędzy dwoma jeziorami, zryta kopytami koni, mocno podchodziła wodą.

Thar, główne ogniwo w łańcuchu umocnień zamykających Asivar od wschodu, został wzniesiony na planie gwiazdy zamiast tradycyjnego koła. Był to pomysł Valpiała, jednego z pierwszych mistrzów akademii, który chciał, by załoga obrońców mogła prowadzić skuteczniejszy ostrzał – dlatego struktura budowli przypominała kwiat złożony z wielu trójkątnych bastionów; każdy częściowo zakrywał kolejny. Podstawę murów wkopano w rowy, przed którymi usypano wały z ziemi tak, aby mury nie były narażone na bezpośredni atak, a zewnętrzne osłony obsadzono machinami miotającymi. Nikt nigdy nie zdobył Tharu, ale też niewiele miało okazję próbować – w końcu od dawna panował pokój.

Zjawili się w refektarzu akurat na posiłek.

Alistair zdjął płaszcz, położył go na ławie i natychmiast tego pożałował, bo od ścian ciągnęła lodowata wilgoć. Zastanawiał się, czy nie narzucić go z powrotem, gdy posługacz, pociągając nosem, postawił przed nimi dwie miski grochówki i dwie pajdy chleba, po czym uciekł z powrotem do kuchni, gdzie można było ogrzać się przy piecu.

– No proszę. Wracacie w sam czas na egzaminy. – Gardi, zbrojmistrz Tharu, z rozmachem usiadł naprzeciwko Alistaira.

Nabór do akademii tradycyjnie odbywał się jesienią, bo jeśli zrobiono go wcześniej, wielu uczniów pod koniec lata i tak uciekało do domów pomagać rodzicom przy żniwach. Alistair pokiwał głową.

– Aha. Patrz, jaki przypadek.

Tathir tylko wzruszyła ramionami. W ostatnich latach zgłaszało się do niej niewielu chętnych i Alistair już dawno podejrzewał, że pod tym względem miała trudniej niż pozostali. Żeby zostać wybitnym szermierzem, potrzeba było talentu, ale przy odrobinie

cierpliwości właściwie każdego dało się wyszkolić tak, by radził sobie z bronią w stopniu przynajmniej przeciętnym. Konstrukcja machin wymagała ludzi o specyficznych umysłach, a ci jako jedni z pierwszych – wcześniej byli tylko magowie – zorientowali się, że legenda Tharu nieco ostatnio przybladła i ich zdolności można lepiej wykorzystać gdzie indziej. W ten sposób Tathir pozostało wykładanie przedmiotu przed garstką uczniów, którzy czasem mieli kłopot z uwierzeniem, że suma kątów w trójkącie jest stała i próbowali liczyć sinus na palcach.

– Jak wam poszło? Baron sypnął dutków? – ciągnął starszy mężczyzna, zabierając się do jedzenia. – To prawda, co o nim mówią?

– Nie wiem, co mówią – odparła wymijająco Tathir. Swoim zwyczajem, zamiast odgryzać chleb z kromki, odłamywała kawałki i dopiero zjadała. – Szuja, ale jak chce się popisać, umie wyskoczyć z grosza.

– I bardzo dobrze! – Ucieszył się Gardi. – Bo kwesor mówił ostatnio, że kompania węglowa nie chce już nam dostarczać na kredyt. Zauważyliście, że trochę tu rzeško? – Z rozmachem klepnął się w przedramiona. – Ale skoro wyście już wrócili, a kwesor też wziął od uczniów wpisowe, to może za parę dni wreszcie da się w nocy wyspać.

– A reszta? Nikt nie złapał żadnych zleceń?

Gardi pokręcił głową.

– Tak i nie. Przyszła jesień, więc Paite urządził dla jaśniepaństwa kilka pogoni za lisem. Niby mówi się, że to dobrze widziane, żeby sam mistrz łowów z Tharu poprowadził ci polowanie, ale, słowo daję, dostał za to taki pieniądz, jakby był dziadem przy świątyni, a oni rzucali mu datki z dobroci serca. Właśnie wrócił, tylko zmienił kapotę z pańskiej na normalną, wziął uczniów i pojechał polować. Może wreszcie będzie jakieś pieczone, chociażby tylko dla nas. – Nagle spowaźniał. – Ale jak nie będzie, to nie róbcie takich min. Przynajmniej nie przy uczniach. Wiem, że u barona pewnie karmili was lepiej, ale pilnujcie się, bo jeszcze arcymistrz to zobaczy.

– No i co? Niech sobie widzi.

– Mnie już się raz dostało. Wezwał mnie i powiedział mi tak: mistrzu Gardi, ci młodzi ludzie są w takim wieku, że potrzebują jakiegoś celu. A osobiście potrzebują wierzyć, że może teraz nie

dzieje im się zbyt przyjemnie, że może życie jebie ich z przytupem i bez smarowidła, ale muszą to wytrzymać i zacisnąć zęby, bo jak już przejdą nasze szkolenie, to wszystko pójdzie im jak po maśle. A jak mają w to uwierzyć, jeśli się połapią, że my przecież już od dawna to wszystko umiemy, a jednak wciąż żremy tę samą breję?

Alistair od dłuższego czasu żuł pierwszy kęs potrawy, który okazał się ponadprzeciętnie pełen chrząstek; uznał, że to dobry pretekst, żeby się poddać i wypłuć go na brzeg naczynia. Nie miał pojęcia, jakiego zwierzęcia mięso właśnie pogryzł; uznał, że raczej nie dziczyznę, bo było bardzo blade.

– Na rany bogów, co to jest?

Gardi zamieszał i unióśł łyżkę. Przez chwilę patrzył na kropłe spadające do miski.

– Wtorek – odparł i włożył łyżkę do ust.

Alistair spotkał królową Kalyę dwa razy. Pierwszy – gdy przyznała mu tytuł mistrza Tharu. Drugi – kiedy wydała na nich wyrok.

Od początku swego panowania korespondowała z arcymistrzem, kilka razy do roku wysyłając długie listy świadczące o tym, że dość wnikliwie czyta jego raporty, ale tym razem przysłała tylko lakoniczne zaproszenie, gdzie wspomniała o konieczności „omówienia spraw najwyższej wagi, bardzo istotnych dla przyszłości kraju”, i już wiedzieli, że nie będzie łatwo. Dyskusje o tym, kogo należałoby wysłać na to spotkanie wraz z Daikanem, przeciągały się do ostatniej chwili, aż w końcu arcymistrz, który miał głos rozstrzygający, zdecydował sam, wybierając Basnaid i jego. Ówczesny mistrz zielarstwa był już zbyt stary i schorowany, by podróżować, a Basnaid, mistrzyni etykiety – z grzeczności nie nazywano tego szpiegostwem – była druga pod względem wieku. Najstarsza i najmłodszy z mistrzów. Rada uczelni uznała, że to będzie dobrze wyglądać.

Przyjęto ich oficjalnie, ale bez zbędnej pompy; nie w sali tronowej, lecz w gabinecie różnym przeznaczonym na długie rozmowy. Czworo drzwi odpowiadających czterem stronom świata otwierało się na ogród, mniejszy gabinet, prywatną jadalnię i główny korytarz. Królowa siedziała plecami do ogrodu, na zdobionym krześle pokrytym czerwoną żywicą, którego poręcze

wyrzeźbione były na kształt megarów, głębinowych bestii z ludzkimi głowami o chłodnym, nieprzeniknionym wyrazie twarzy. Oblicze władczyni wyglądało podobnie.

Nawet teraz, gdy siedziała, dało się zauważyć, że jest niskiego wzrostu. Asivar był dużym krajem i bardzo zróżnicowanym, ale to lud królowej, Vithalowie, od kilku wieków piastował najwyższe stanowiska w państwie. Według obowiązujących wśród nich wzorców urody nie uchodziła za klasycznie piękną, bo jej brwi, choć charakterystycznie szerokie, nie zrastały się nad nosem. Złote czółko z osadzoną pośrodku kryształową łzą prawdopodobnie miało odciągać uwagę od tej niedoskonałości.

– Nie zrozumcie mnie źle, arcymistrzu Daikanie – zaczęła, gdy już wypytała ich o podróż i mieli za sobą wstępne grzeczności. – Bardzo doceniam wszystko, co Thar uczynił dla naszego kraju. Gdyby nie wasze zasługi, wojna przyplływów pewnie ciągnęłaby się dwa razy dłużej, a rebelia Rajiva zebrałaby o wiele bardziej ponure żniwo. Dlatego mój dziad, a po nim matka i, jak do tej pory, również ja dbaliśmy, by zapewnić wam godziwe warunki bytu, abyście mogli się skupić wyłącznie na rozwijaniu naszego potencjału obronnego. Podczas swej długiej i chlubnej historii akademii Thar nieraz dostarczała nam świetnie wyszkolonych żołnierzy, sprawnych narzędzi oraz wprost nieocenioną wiedzę, i jako pierwsza zaświadczę, że w godzinie próby nie zawiedliście nas nigdy. Jednak zapewne zgodzicie się ze mną, że jako władczyni powinnam mieć na względzie przede wszystkim dobro kraju, a teraz, gdy nadszedł dla nas czas pokoju, musimy zwrócić nasz wzrok także na inne sprawy.

Wskazała na rozwiniętą mapę; Alistar prześlizgnął wzrokiem po zaznaczonych na żółto i zielono plamach. Oprócz mapy na stole dostrzegł tylko dwa przedmioty: model statku i cyrkiel.

– Nasza ziemia jest bardzo żyzna. Nazywają nas spichlerzem kontynentu albo koszem bogini, ale cóż nam po tych pięknych określeniach? Moglibyśmy z łatwością sprzedawać nadwyżkę żywności w miejscach dotkniętych klęskami – suszy bądź powodzi, a nawet wojny czy zarazy – ale w tej chwili po prostu brak nam możliwości, by ją tam dostarczać. Hariańscy kupcy wykupują na pniu całe partie towaru, a potem ładują na swoje lekkie stateczki i tną nimi wodę niemalże pod wiatr, prosto do Ambali czy Jarkandy. Nawet jeśli

specjalnym edyktem zakażę naszym *vyapari* handlowania z nimi, Harianie i tak będą robić to przez pośredników i wciąż będą nas wyprzedzać w wyścigu do najlepszych rynków zbytu.

Mówiąc o rodzimych kupcach, użyła słowa *vyapari* pochodzącego z języka Vithalów, przypominając, że jej lud był przede wszystkim ludem handlarzy, pozbawionych sentymentów i do szpiku praktycznych. Przerwała, by sięgnąć po model statku wsparty na drewnianych koziółkach.

– To projekt zespołu szkutników z naszej stoczni, który w zeszłym tygodniu trafił do moich rąk. – Obróciła statek-zabawkę do góry dnem i podała go Daikanowi. – Spójrzcie na to, proszę. Kadłub jest znacznie dłuższy niż nasze współczesne konstrukcje: rozszerza się ponad linią wody, a tuż poniżej zwęża w ostry klin. Ten statek będzie jednocześnie większy i szybszy niż cokolwiek, co dotąd wyszło spod ludzkiej ręki. Nasze kompanie handlowe muszą zainwestować w nowoczesną flotę, jeśli w ogóle mamy się liczyć w tym nowym świecie pokoju.

Arcymistrz powiódł po modelu niewidzącym wzrokiem, po czym napił się wina. Był inteligentnym, doświadczonym graczem, ale wiek odcisnął już na nim swoje piętno i Alistair zobaczył, że gdy podawał statek Basnaid, ręka mu zdrząła. Królowa poczęstowała ich doskonałym trunkiem z rocznika jeszcze sprzed narodzin Alistaira, ale sama jak zwykle piła mleko. Mówiono o niej, że na oficjalnych ucztach jako jedyna pozostaje całkiem trzeźwa, że wszystko zapamiętuje i zabawia się myślami, jak najlepiej wykorzystać tę wiedzę.

– Niestety, oznacza to redukcję nakładów na wszystko, co nie jest nam w tej chwili niezbędne. Minister Bihar – władczyni skinęła głową w stronę siedzącego obok mężczyzny o gładkich dłoniach i starannie przyciętej brodzie – sporządził listę stałych wydatków. Przejrzałam ją starannie i, jakkolwiek wierzę, że czynię to z ciężkim sercem, nie mam innego wyboru, jak poprosić was, arcyministrzu, byście zrezygnowali z corocznego uposażenia, jakie dotąd przysługiwało waszej akademii.

W pokoju zapanowała cisza. Nie po prostu nieobecność dźwięku: ta cisza była samodzielną istotą – rosła, puchła, wypełniając wszystkie zakamarki, i Alistair, który jako ostatni dostał do ręki drewniany statek, poczuł, że musi z tym coś zrobić. Skrzyknięcie

krzesła, a potem szelest ubrania i odgłos jego kroków, kiedy odkładał model na miejsce, zabrzmiały bardzo głośno, ale dzięki temu arcy mistrz jakby się ocknął.

– Prosisz nas, Wasza Wysokość, o rzecz bezprecedensową. Jak możemy nadal wypełniać swoją rolę, jeśli nie możemy już liczyć na wsparcie korony?

Królowa spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się lekko, po raz pierwszy od początku spotkania.

– Wiele potężnych rodów pragnie na własną rękę rozwijać swe siły, by zapobiegać niepokojom na pograniczu kraju. A przy tym część dziedzin, które dotąd zgłębialiście, może okazać się równie przydatna w czasie pokoju. Jak już mówiłam, posiadacie wprost nieocenioną wiedzę i myślę, że wielu zamożnych ludzi dobrze zapłaci wam za jej przekazywanie.

Wielka sala, zazwyczaj ciemna i milcząca, tego dnia rozbrzmiewała lawiną drobnych dźwięków odbijających się od sklepienia, i echem obecności setki ludzi. Alistairowi wystarczyło rozejrzeć się po szeregach nowo przybyłych, by stwierdzić, że jak zwykle będzie miał sporo uczniów – choć tylko w porównaniu do pozostałych mistrzów. Najwyraźniej, skonstatował, nawet w spokojnych czasach potrzebowano najemników i takich, co to potrafią przyłożyć.

Kandydaci tłoczyli się u wejścia do sali zazwyczaj używanej tylko podczas uczt i świąt. Meble uprzątnięto, pozostawiając pod ścianami stoły dla egzaminatorów i, w zależności od potrzeb, puste miejsce na demonstracje oraz próbne starcia.

Przesłuchiwanie tych, którzy pragnęli zostać uczniami mistrza walki, wzięła na siebie Elaine, jego asystentka zajmującą się kondycją i zaprawą fizyczną. Teraz wystąpiła naprzód, by powitać przybyłych, z bronią u pasa, w luźnym tabardzie z herbem akademii, choć wciąż bez mistrzowskich insygniów. Właściwie już dawno powinna je otrzymać, ale z awansem musiałoby się wiązać wyższe uposażenie, a żeby oddalić ją ze stanowiska – zakładając, że nie popełniłaby przestępstwa ani nie złamała kodeksu uczelni – potrzebowano zgody samej królowej. Dopóki była asystentką, rada uczelni mogła odprawić ją w każdej chwili, równie łatwo jak

pomoc kuchenną czy stajennego, a ona sama miała do wyboru tylko dwie drogi: czekać, aż zwolni się miejsce jej mistrza, albo odejść gdzie indziej.

Alistair jak zawsze pozwalał jej wstępnie szacować zdolności kandydatów i wybierać im zadania, a sam ograniczał się do przyznawania ocen; wkraczał dopiero, gdy zauważył coś nietypowego. Przez kilka ostatnich lat nie zdarzyło się to ani razu, jako że uczniowie już od dawna nie wyróżniali się niczym szczególnym.

Wysoki, barczysty chłopak, następny w kolejce, wyglądał, jakby nie miał szans przejść testu u żadnego innego mistrza, ale w odpowiedzi na pytanie, czy próbował kiedyś włączyć broń, tylko potrząsnął głową. Może topór, stwierdził Alistair, a Elaine sięgnęła po niego w tej samej chwili. W końcu też miała oczy.

Chłopak ścisnął rękę z całych sił i zamachnął się, jakby rąbał drewno, co sugerowało, że prawdopodobnie tym zajmował się w domu. Wyglądało na to, że z wielką biedą można by go wyuczyć najprostszych technik, ale wszyscy uczniowie Tharu oprócz swojej specjalizacji musieli zaliczyć też podstawę programową innych przedmiotów. Alistair nie był pewien, czy nawet cały rok nauki u Tathir wystarczy, żeby ten rębacz zdołał przeczytać choć pierwszy rozdział podręcznika. Gdyby okazał się wyjątkowo zdolnym wojownikiem, uczelnia popracowałaby nad nim, zorganizowano by mu lekcje wieczorowe, aż w końcu opanowałby pozostałe przedmioty w stopniu choćby minimalnie powyżej progu zaliczenia. Ale w obecnej sytuacji – kto miał się tym zajmować? Mistrzowie wiecznie w rozjazdach za prywatnymi zleceniami? Asystenci przejmujący prowadzenie zajęć od wiecznie nieobecnych mistrzów? I czy ten kandydat w ogóle rokował, czy też po prostu nigdy nie powinien był tu przychodzić? Alistair już unosił rękę, gdy w głowie zabrzmiały mu słowa Daikana, który przed przystąpieniem do egzaminów za każdym razem przypominał im, co zdołał osiągnąć podczas tamtej pamiętnej rozmowy przed dwunastu laty. Nie pozwolił królowej zostawić ich całkiem bez wsparcia. Po kilku dniach trudnych negocjacji ustalili, że rokroczna – jedyna – subwencja, jaką Thar otrzyma ze skarbu państwa, będzie uzależniona od liczby uczniów. Już od dawna nie przybywało ich tylu, co za czasów świetności twierdzy, miejsca było więc pod dostatkiem. Rada królewska przyznawała subwencję raz do roku, zaraz po zakończeniu naboru

na kolejny cykl. Jeśli chłopak, zniechęcony słabymi postępami w nauce czytania, uciekłby lub został oblany po jednym semestrze, uczelnia zyskałaby pieniądze na pół roku praktycznie za darmo.

A poza tym – z mroku wypłynęło wspomnienie – widział kiedyś kogoś, kto trzymał broń w taki sam sposób.

Machnął ręką.

– Przyjęty. Następna.

Wysoka, grubokoścista dziewczyna nieco go zaskoczyła, gdy na pytanie o broń bez wahania wskazała miecz. Stała wprawdzie z czubkiem ostrza opartym o ziemię, zamiast uniesionym w gotowości, ale gdy Elaine natarła, wyrzuciła rękę w górę, parując cios, aż zadźwięczało. Alistair już prawie pomyślał o niej coś pochlebnego – niestety dziewczyna, zamiast wykorzystać przewagę zaskoczenia, wciąż stała, nie zmieniając pozycji, najwyraźniej zamierzając osłaniać się w taki sam sposób przed kolejnym atakiem, jakby nie była przyzwyczajona, że może atakować sama. Elaine uderzyła po raz drugi, tym razem zmieniawszy kąt natarcia, trzymając broń prawie pionowo. Przeciwniczka poprawiła gardę, ale wtedy asystentce wystarczył krótki ruch nadgarstków, by miecz wywinął młynka i ostrze weszło pod osłonę; uderzyła od dołu, tak by impet złamał chwyt tamtej, napierając w miejsce, gdzie ręka jest najsłabsza. Dziewczyna nie krzyknęła, gdy broń poszybowała w powietrze, chociaż szarpnięcie musiało ją zabołec.

Alistair skinął głową.

– Przyjęta. Następny.

Chłopak, który wystąpił po niej, był niski i drobny, ale bardzo szybki i najwyraźniej miał w życiu do czynienia z bronią częściej niż poprzednia kandydatka. Krótkim, lekkim mieczem sparował kilka ciosów Elaine – wolnych i szeroko sygnalizowanych, jak przystało na egzamin – i nawet sam zadał trzy lub cztery, zanim został rozbity.

Szlachcic? – pomyślał Alistair, patrząc na zadbane ręce i śniadą skórę. Mógł mieć krew Vithalów. Najmłodszy syn, dla którego zabrakło majątku rodziców?

– Przyjęty. Następny.

W sumie zebrano się ich ponad dwadzieścia osób, przeważnie całkiem przeciętnych i nieobeznanych z bronią, ale w miarę silnych

i sprawnych. Tathir, która dawno skończyła egzaminować swoją nieliczną grupkę z czytania i pisania, przez chwilę przyglądała się walce, aż w końcu wyszła z sali. Nie była zresztą pierwsza, bo Basnaid zrobiła to znacznie wcześniej; miała czterech kandydatów, z których wszyscy znali się na rzeczy i zostali przyjęci. Mistrzyni etykiety również nie najlepiej odnajdowała się w tym nowym, pokojowym świecie: jeśli ktoś chciał się parać niezbyt szlachetnym, choć koniecznym zajęciem, jakim było zdobywanie informacji, nic nie stało na przeszkodzie, by robił to, ukończywszy normalne studia na uniwersytecie w Pamarii albo Loharze, na wydziale nauk politycznych, pośród podobnych sobie ludzi. Nie było żadnego powodu, by jechać w tym celu gdzieś na wschodnie rubieże, na zapadłe moczary, by potem dzielić dormitorium z adeptami, którzy smarkali w palce i zamiast „w prawo” mówili „odsię”. Basnaid była jednym z najstarszych mistrzów i legendą wywiadu wojskowego, podczas rebelii Rajiva dostarczyła kluczowych wiadomości, ale nawet jej reputacja stopniowo przegrywała z zimnymi salami i kiepskim jedzeniem.

Przedmiot mistrza zielarstwa jako jedyny poza uzdrawianiem i walką cieszył się stałym zainteresowaniem. Na stoliku przed nim leżało kilka suszonych roślin – leczniczych i trujących – które kazał rozpoznawać; tradycyjnie najlepiej radziły sobie z tym wiejskie dziewczyny. Mikash, mistrz magii, w ogóle się nie zjawił – i, jak się okazało, słusznie, bo nikt się do niego nie zgłosił.

Po przesłuchaniu ostatniego kandydata (został przyjęty) Elaine, pokrzykując jak sierżant, ustawiła uczniów w szyk i powiodła głównym korytarzem do przydzielonych dormitoriów; jeden ze strażników odprowadził tymczasem do bramy nieliczną grupkę odrzuconych – tych, którzy po pierwszym ataku nie byli w stanie nawet utrzymać broni. Alistair wstał, czując, że kości zeszywniały mu po kilku godzinach za stołem, choć przecież nie był jeszcze tak stary, jak arcymistrz, ale też nie upadł tak nisko, żeby kłaść sobie poduszkę pod tyłek. Skierował się do wyjścia prowadzącego korytarzem w stronę refektarza. Jedną z nielicznych zdobyczy Tharu pozostałych jeszcze z dawnych czasów potęgi był przywilej zezwalający mistrzowi łowiectwa na polowanie we wszystkich lasach. Paite i jego podkomendni podobno ustrzelili poprzedniego dnia kilkanaście dzików i plotki mówiły coś o kaszance z podrobów.

Tathir czekała na niego przy wyjściu z sali.

- Basnaid ma dla nas zlecenie.
- Dla nas obojga? – upewnił się.

Mistrzowie rzadko przekazywali komuś zlecenia. Z wynagrodzenia, które trafiało do skarbcza akademii, opłacano wydatki na bieżące utrzymanie, więc w pewien sposób korzystało z tego całe grono nauczycielskie, ale zleceniobiorca mógł zatrzymać niewielki procent jako zasłużoną premię; w efekcie każdy myślał głównie o sobie.

- Dla nas wszystkich. Przyjdź do biblioteki, po kolacji jest odprawa.

- Cieszę się, że przyszlście. Wiem, że w obecnych warunkach niełatwo jest się nam zebrać w jednym miejscu, ale zadanie, które chcę wam przedstawić, będzie wymagało połączonych wysiłków.

Basnaid przesunęła spojrzeniem po twarzach zgromadzonych. Odpowiedziały jej senne, nieco rozkojarzone spojrzenia ludzi, którzy przez cały dzień byli na nogach, a potem zjedli pierwszy porządną posiłek od dłuższego czasu.

- Jakiś tydzień temu zaginęła Rasma. Córka Yirsina, króla Uliagi.

Alistair poczuł, że Gardi trąca go pod stołem gąsiorkiem miodu. Nalał sobie naparstek i wypił go jednym haustem, kiedy Basnaid nie patrzyła. Zbrojmistrz gestem pokazał, żeby puścił oba naczynia dalej, więc podał je Paitemu.

Ich drobna konspiracja przypomniła mu dawne zajęcia z Basnaid i poczuł się, jakby znowu wrócił do jej klasy; miał wrażenie, że mistrzyni szpiegów lada chwila utkwi w nim przenikliwe spojrzenie, a potem wlepi mu dodatkowe godziny służby, gdy nie będzie znał odpowiedzi na pytanie. Szybko pogrzebał w pamięci.

Yirsin był starszym bratem królowej Kalyi, ale – podobnie jak Rajiv, przywódca pamiętnej rebelii – jedynie bratem przyrodnim i również niesłubnym, bo z ich ojca, jak sugerowało drzewo genealogiczne, w ogóle był kawał łajdaka. Jako bękart króla, i to drugi w kolejności, został zeswatany z Nekhii, najmłodszą księżniczką Uliagi, dziewczyną wprawdzie dobrze urodzoną, ale także bez szans na objęcie tronu w swoim kraju. Nikt nie mógł wtedy

przewidzieć, że zaledwie kilka lat później reszta pretendentów zginie otruta przez spiskowców podczas uroczystej uczty, na którą żona Yirsina nie wybierze się z powodu kobiecych dolegliwości. Zamkowa służba jednak nie w całości stanęła po stronie zdrajców: okazało się, że niewielka, ale dobrze zorganizowana część straży wciąż wierna zabitemu królowi, zamiast wznosić okrzyki na chwałę nowego władcy, zadziwiająco skutecznie rozprawiła się z buntownikami, a następnie posłała po księżniczkę Nekhii, która objęła tron jeszcze tej samej nocy, w gronostajowym płaszczu narzuconym na nocną koszulę, z butelką ciepłej wody przyciśniętą do brzucha.

Przed kilku laty królewskie insygnia znów przeszły z rąk do rąk, gdy królowa Nekhii zaniemogła, a następnie dość szybko przeniosła się przed oblicze Szarego Sokoła, tym razem podobno bez udziału krewnych. Uliaga była niewielkim, w gruncie rzeczy mało znaczącym krajem, a jego władcy, nawet gdy truli się nawzajem, robili to we własnym gronie. Alistair widział ich stolicę Agu-Uliaga tylko raz, przed kilkunastu laty, gdy miłościwie panujący na północy zamówili sobie usługi mistrza walki. Zapamiętał, że ksiączę był strasznym skąpcem, a królowa była bardzo piękna.

– I dlaczego to ma być nasza sprawa? – Paite pierwszy zapytał o to, co wszyscy pomyśleli i napił się z gąsiorka po raz drugi, tym razem całkiem otwarcie.

– Jej ojciec obiecał za odnalezienie wysoką nagrodę.

– I my mamy się tym zająć? – spytał powątpiewająco Gardi. – Młódka poszła w tany, najpewniej prysnęła z kochasiem. Znajdzie się za tydzień pod jakąś karczmą zaryczana i bez pieniędzy.

Miał trochę racji. Już kilka razy w przeszłości zdarzyło im się uganiać za zaginionymi szlacheckimi potomkami, którzy koniec końców odnajdywali się sami, przy czym męskie dzieci często bywały posiniaczone, żeńskie dzieci – zapłakane, a rodzice, zirytowani lekkomyślnością potomstwa, najczęściej wcale nie okazywali się tak hojni, jak zapowiadali.

– A zatem dobrze byłoby, mistrzu Gardi, żebyście to wy ją znaleźli – wycedziła Basnaid. – Księżniczka została przyrzeczona Tabanowi Erdenowi, który jest obecnie doyenem Ordathów. Doyen to w ich języku ktoś wybitny, to także tradycyjny tytuł władcy – wyjaśniła, widząc, że niektórzy, w przeciwieństwie do

Alistaira, nawet nie podjęli wysiłku, by sobie to przypomnieć. – Zależy mu, by narzeczona odnalazła się jak najszybciej, i także obiecuje okazać swą głęboką wdzięczność temu, kto dopilnuje bezpieczeństwa jego przyszłej małżonki.

Podniosła z blatu niewielki obrazek wymalowany na desce i zwróciła go po kolei do wszystkich przy stole.

– Przebywając w Agu-Uliaga, zdołałam wypożyczyć na chwilę portret księżniczki; udało mi się też znaleźć artystę, który, mając do dyspozycji bardzo ograniczoną ilość czasu, zdołał wykonać dla mnie tę kopię. Portret pochodzi sprzed pół roku, a zatem jest dość aktualny.

Alistair przez chwilę patrzył na okrągłą, prawie dziecinną twarz, z której spoglądały zadziwiająco przenikliwe oczy. Malarz musiał być naprawdę dobry; niewykluczone, że pomagał sobie magią.

– Mam zatem prośbę do mistrza Mikasha. – Basnaid spojrzała na mężczyznę siedzącego przy drugim krańcu stołu, w słabo oświetlonym kącie, z ponuro zwieszoną głową. Trzymał w ręku srebrny kubek z ozdobną pokrywą, ewidentnie prezent od królowej albo kogoś z jej rodu, bo był rzeźbiony w ich nenufary. Gąsiorek z miodem jakoś do niego nie dotarł. – Chciałabym, by po tym spotkaniu ustalił, czy przy użyciu swojej sztuki zdoła sporządzić wystarczająco trwałe kopie, by wystarczyło po jednej dla każdego z was. Nie wszyscy byliście szkoleni w trudnej sztuce zdobywania informacji, ale wszyscy macie spore znajomości – ciągnęła, opierając się dłońmi o blat. – Jedźcie i przepytajcie każdego, kto może coś wiedzieć o losie księżniczki. Każdego, kto mógł jej pomóc w ucieczce albo mógł coś słyszeć. Pytajcie. Przypominajcie o przysługach. Obiecujcie przysługi. – Przerwała i było widać, że ostatnia opcja z trudem przechodzi jej przez gardło. – Zapłaćcie, jeśli będzie trzeba.

Było chłodniej niż wtedy, gdy wraz z Tathir wracali od barona Naggar i Alistair co jakiś czas w myślach błogosławił swój nowy płaszcz. W tej podróży pod każdym względem mieli pod górę i szybko się przekonał, że pogoda jest jego może nie najmniejszym, ale jednak najmniej istotnym zmartwieniem.

Basnaid miała rację, mówiąc, że brakuje im odpowiednich umiejętności. Jako wojownik potrafił czytać ludzi w ograniczonym zakresie: z drobnych grymasów, ruchów ciała czy kierunku spojrzenia mógł wywnioskować, co zrobią za chwilę, czy będą walczyć, czy uciekać. Jednak nikt nie nauczył go z nimi rozmawiać.

Czy ktoś ją widział? Czy ktoś mógł? Na pewno? Przypomnij sobie. Ach. No trudno. Jak tam się wiedzie twojemu synowi, panie? Jest porucznikiem we flocie? No cóż. Ciekawe, kiedy w końcu dostanie pod komendę pierwszy okręt. Królowa Kalya bardzo docenia rolę floty, w ostatnich latach mocno inwestuje w nowe jednostki. Arcymistrz Tharu koresponduje z nią regularnie. Mógłby wspomnieć o twoim synu.

Przed wyjazdem mistrzyni etykiety przekazała im kilka trików, ale Alistair przy każdej kolejnej rozmowie czuł się gorzej niż niedbały uczeń – jak niedbały egzaminator, który nie potrafi nawet zadać właściwych pytań. Bramę Tharu przekraczał z pustymi rękami, ale także i z ulgą. Przez te kilka długich jesiennych tygodni zdążył obrzydnąć mu nawet nowy płaszcz, zwłaszcza że ostatnio nie było okazji porządnie go wysuszyć. Miał nadzieję, że za wpisowe uczniów dało się kupić dość drewna, by mógł sobie pozwolić na ciepłą kąpiel.

Nad drzwiami łaźni wisiała zielona szmatka. Nie zdziwił się, gdy dostrzegł w środku Elaine – kilka lat życia w Tharze sprawiało, że członkowie akademii stawali się może nie tyle swobodni, co praktyczni i często nie chcieli czekać, aż łaźnia się zwolni, jeśli była nagrzana. Zielona szmatka stanowiła sygnał, że można to robić śmiało. Asystentka, ubrana tylko w lnianą koszulę, skinęła mu głową i wróciła do wykręcania włosów. Alistair z przyjemnością wyciągnął się w bali, którą służba zdążyła napełnić w czasie, gdy on zajęty był oporządzaniem Gniadej. Oparty o krawędź deski, widział przed sobą łydki Elaine, teraz poróżowiałe, ale zazwyczaj białe jak serwatka. Wystarczyło raz spojrzeć na jej skórę, by wiedzieć, że należy do kogoś, kto w całej historii swojej rodziny nie miał żadnego wpływowego krewnego. Kariera żołnierza tradycyjnie stanowiła najlepszy sposób, by się wybić, jeśli nie miało się odpowiedniego urodzenia, ale wojsko nie było całkiem wolne od własnych podziałów, dlatego większość osób w Tharze, a zwłaszcza mistrzowie, pochodziła z mieszanych rodzin. Elaine – Alistair

wiedział to od razu, gdy tylko zobaczył ją na egzaminie wstępnym – przybyła do nich z zachodniego wybrzeża zwanego Ławicą, od łańcucha ciągnących się wzdłuż brzegu małych, kamienistych wysepek. Ta okolica pełna była urwisk i zdradzieckich skał, przez co nie dało się zbudować portów handlowych – dlatego królowa Kalya nigdy nie dotarła tam ze swoimi inwestycjami i większość mieszkańców do tej pory żyła głównie z łowienia ryb. Wiedział to, jeszcze zanim dziewczyna stanęła bliżej i usłyszał, że nuci miejscowy lament, jakby te niskie, miarowe dźwięki mogły ją uspokoić. Wiedział to, nim zawołana podeszła do stołu i wymówiła swoje imię: z tym długim, przeciągłym „l”, którego sam już dawno się oduczył.

Życzył jej wtedy powodzenia w jedyny sposób, w jaki mógł: uniósł rękę i nakreślił palcem na piersi pętlę Salacii, znak robiony przez rybaków przed wypłynięciem w morze, mający zapewnić szczęśliwy powrót. Nie był człowiekiem religijnym, ale chciał, żeby ona widziała.

Asystentka starannie wytarła włosy i zasznurowała pantalon, ale zamiast pozwolić Alistairowi nasiąkać wodą w spokoju, zatrzymała się tak blisko balii, że tknęło go złe przeczucie. Była boso, ale ręce założyła z tyłu, łapiąc się za łokcie, jakby stała na baczność, jak często, kiedy chciała omówić coś oficjalnego.

- Mistrzu, pojawił się pewien problem.
- I nie może zaczekać?

Wiedziała, że nie pyta poważnie.

- To jeden z nowych uczniów. Ten mały, drobny.
- Przypomnij mi, jak on się nazywa.
- Arjun. Wczoraj podczas treningu rozdałam im drewniane miecze i kazałam ćwiczyć podstawowe ruchy. Staralam się patrzeć, co robią, ale nie mogę być wszędzie naraz. Na sygnał zamieniali się partnerami, więc to musiało się kiedyś stać. Arjun trafił do pary z Chigarem.

– Którym?

- Tym dużym. – Gdyby nie splecione ręce, Elaine pewnie trąciłaby warkocz, co czasem robiła, gdy była zakłopotana. – To nie jest zły chłopak. Czasem tylko za bardzo zapomina się w tym, co robi. Nie od razu wie, kiedy przestać. Walczyli z Arjunem i zdołał go rozbroić, co zresztą nie było dziwne. Naprawdę ma krzepę

w łapach. Mały padł na plecy, a tamten zamachnął się na niego tym drewnianym mieczem. – Zawahała się. – Jestem pewna, że by go nie uderzył, po prostu chwilę dłużej zajmuje mu zrozumienie, że już trzeba przestać. Biegłam w ich stronę, na pewno nie stałoby się nic złego, chociaż dla Arjuna musiało to wyglądać groźnie.

– I coś się jednak stało?

– Wyrwał Chigarowi nóż zza paska i nadstawił go oburącz.

– Głupi gówniarz. – Alistair potrząsnął głową. – Nic by mu to nie dało, człowiek z długą bronią tylko złamałby mu rękę. Ale mimo wszystko nie szkoli się jeszcze długo. Chyba nie ukarałaś go zbyt surowo?

– Nie w tym rzecz. – Elaine pokręciła głową. – On nie miał szans normalnie dosięgnąć tej broni. Biegłam w ich stronę i widziałam to wyraźnie. Nóż sam wskoczył mu do ręki.

Alistair w końcu pojął powagę sytuacji.

– Magia?

Elaine przytaknęła milcząco.

– Sztorm by to zalał.

Zanurzył się, aż dotknął wody podbródkiem.

– Jesteś pewna, że nie wiedział o tym wcześniej?

Asystentka w końcu porzuciła postawę zasadniczą i przysiadła na piętach.

– Był tak roztrzęsiony, że ledwie mógł mówić i, jak wzięłam go na bok, prawie się rozpłakał, bo na początku powiedziałam wyraźnie, że na ćwiczeniach nie wolno korzystać z magii. Nie sądziłam, że w ogóle jest sens to mówić. Przecież każdy, kto miałby w sobie choć śliską magii, od razu poszedłby na nauki do Mikasha, po co miałby siedzieć u nas i tracić czas na machanie kijami? Gadałam tak, bo w regulaminie stoi, że trzeba przypominać; jakby coś się komuś stało, a nie byłoby przypomniane, to potem poszłoby na mnie. Jeśli mały ma jakieś zdolności, powinien to zgłosić podczas egzaminu. Ale przecież zdarza się tak, że magia ujawnia się później niż zwykle, dopiero przy jakimś zagrożeniu. – Spojrzała na Alistaira. – Prawda?

– Zdarza się. I co zrobiłaś?

– Wlepiłam mu godziny służby za złamanie zakazu. Nie bardzo ciężkie – dodała szybko – tylko usługiwanie przy posiłkach

poza kolejnością. I powiedziałam, że jeszcze do tego wrócimy. Ale najpierw chciałam pomówić z tobą.

Alistair stłumił westchnienie. Zostawił Elaine z uczniami na samym początku semestru na dobrych parę tygodni, żeby ugańnić się za tą uliacką smarkułą, ale teraz los się zemścił i tym razem to ona z czystym sumieniem mogła zwalić na niego jakieś nieprzyjemne zadanie.

– Nie ma wyjścia, trzeba będzie porozmawiać z Mikashem. Może opracujemy specjalny sylabus, żeby chłopak mógł wykorzystywać tę swoją magię w walce. – Zastanowił się. – To nawet byłoby niezłe, dawno nie szkoliliśmy nikogo takiego. Ale najpierw niech się nauczy, jak nad nią panować, bo inaczej następny taki numer i mały kogoś zabije.

– Zajmiesz się tym? Uznałam, że lepiej będzie poczekać na ciebie. – Wzruszyła ramionami. – Mogłam pójść do Mikasha od razu, ale... Wiesz, jaki on jest.

– Wiem.

Teraz już naprawdę postanowił cieszyć się tą kąpielą, jak można było najdłużej, i siedzieć w balii, aż woda wystygnie. Przed rozmową z mistrzem magii musiał jeszcze zdać raport Basnaid, przyznać, że wydał sto koron z funduszu zadaniowego i niczego nie znalazł, a potem rozliczyć podróż u kwestora. Rozliczanie zarobków i wydatków traktowano w Tharze śmiertelnie poważnie, prawdopodobnie na równi z obroną kraju – może nawet bardziej, biorąc pod uwagę, że kraj już od dawna nie wymagał obrony, a księgowość jakoś nie zaczęła się prowadzić sama. Alistair westchnął i znów zanurzył się po samą brodę.

W komnacie panowała cisza.

Nikt nie odpowiedział na jego pukanie i tylko lekki zgrzyt świadczył o tym, że przesunięto zasuwkę. Alistair wprawdzie nie usłyszał z drugiej strony żadnych kroków, ale w końcu mistrz magii nie musiał wstawać do takich rzeczy.

Pchnął drzwi i od razu stwierdził, że ilość brudu i nieporządku jest wyjątkowa nawet jak na obecny Thar, dawno poza okresem świetności. Kwatery mistrzów sprzątano dwa razy w tygodniu, ale

Mikash rzadko wychodził ze swojej i często po prostu nie wpuszczał służących.

Oprócz kurzu, skrawków papieru i włosów wszędzie wałały się resztki sucharów i pestki słonecznika – tania przekąska, której w kuchni, nawet w mniej pomyślnych chwilach, było pod dostatkiem. Na osobnym stoliku stała srebrna misa wypełniona wodą. Przechodząc obok, Alistair dostrzegł na dnie okruchy i paprochy; na powierzchni unosiły się drobinki kurzu i jakaś samotna łupinka.

Mistrz magii był prawie jego rówieśnikiem, ale czas najwyraźniej obszedł się z nim mniej łaskawie. Włosy, sięgające do ramion, miał zaniedbane i przeredzone, policzki obwisłe i jakby przywędłe, chociaż nie był gruby.

– Czego chcesz? Jestem zajęty. – Siedział bokiem do drzwi, ale nie obrócił się w stronę gościa. Alistair był trochę ciekaw, czy mag w ogóle wie, z kim rozmawia, czy aż tak bardzo jest mu wszystko jedno, bo nawet nie podniósł wzroku.

– Kwestia bezpieczeństwa. Wiesz, że w takich sprawach mogę cię ścigać choćby i w kąpielni. – Postanowił nie wspominać, że przed chwilą przytrafiło się to jemu. – Chodzi o mojego ucznia.

– Za zachowanie uczniów odpowiadają ich mistrzowie. – Mag przerwał i powoli nakreślił na karcie glif, dając Alistairowi do zrozumienia, że o ile on ma do wykonania pilną pracę, to jego gość na pewno nie zajmuje się niczym, co nie mogłoby poczekać. – Jakbyś nie zauważył, mam tu co robić.

Alistair domyślał się, że tak będzie. Mikash ledwie tolerował jego – było nie było, równego mu statusem mistrza przychodzącego w sprawach służbowych. Elaine – zwykłą asystentkę – po prostu by wyrzucił.

Mag oczywiście nie poprosił gościa, żeby usiadł; zresztą nie było gdzie, bo na wszystkich krzesłach i stołkach leżały książki, pergaminy albo zużyte składniki. Alistair, niezrażony, odsunął na bok kilka książek i oparł się o stół.

– Nazywa się Arjun, to chłopak z najnowszego naboru. Na ostatnim treningu z bronią wyrwał koledze nóż zza paska, nie dotykając go rękami, i chyba sam się tym przeraził. Wygląda na to, że nic wcześniej nie wiedział, jakoby w ogóle władał mocą. Trzeba go obejrzeć, przebadać i dopilnować, żeby nikogo nie skrzywdził.

– Czy to ma być jakiś żart?

Mikash po raz pierwszy oderwał wzrok od papierów. Przekrzywił głowę, spoglądając na intruza zmrudzonymi oczami.

– Nie mam uczniów, więc umówiliście się, że podrzucicie mi jakiś ochłap, żeby mi nie było przykro? Taka akcja dobroczyzna?

– Nie. Mówię poważnie.

– A ja mówię, że jestem zajęty.

– Przestań się wydurniać, chłopie! – Alistair walnął dłonią w stos papierów. Z niezadowoleniem zauważył, że ostatnie słowo trochę przeciągnęło mu się ustach. – Wiesz, czym grozi niekontrolowane użycie mocy. Mam to załatwić przez arcymistrza?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Przyślę ci dzieciaka. Na razie wystarczy, że z nim pogadasz, ocenisz, co się dzieje, i wrócisz z tym do mnie. Potem trzeba będzie wymyślić mu jakieś ćwiczenia; jeśli rzeczywiście ma moc, to szkoda, żeby się marnowała. Najpierw dwa razy w tygodniu, potem już raz wystarczy. Powiedz tylko, kiedy będziesz miał chwilę.

– Jak tak dalej pójdzie, to za jakieś dwie zimy. Cały czas zużywam na poszukiwanie tej gówniary.

– Poważnie? – wycedził Alistair, a skarga do przełożonego już formowała mu się w głowie. Ładne, spokojne zdania, w których nie słyhać było jego prowincjonalnej wymowy, zawsze zaczynające się od „niestety” i „obawiam się”. – Bo ta miska wygląda, jakby nie używano jej od bardzo dawna.

– Tu głupi durniu! – Książki pchnięte ręką maga z trzaskiem spadły na podłogę, gdy on sam zerwał się z krzesła. Stał teraz blisko, oddychając z wysiłkiem; jego twarz nie była biała, jak u Elaine, ale zdawała się wyblakła, prawie szara. – Ty żałosny, zaszary rybojadzie. Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie rozumy, ale tak naprawdę gówno wiesz i gówno się znasz. Wydaje wam się, że wróżby są jak te wasze bójki, że wszystko widać jak na dłoni i wystarczy tylko mieć oczy? Myślicie, że widzimy tam obrazki, jakbyśmy wyglądali przez okno? Ha! – przerwał i oddech zarzęził mu w gardle. – To prawda, zaczyna się od czystej wody, ale ona jest dobra dla smarkaczy, właśnie dlatego, że mało się tam dzieje. Żeby poznać szczegóły, trzeba dać mocy z czym pracować, podsunąć jej coś, co mogłaby wprawić w ruch. Dlatego patrzmy na wodę i wszystko, co się w niej znajduje, i po ruchu tego obrazu, po

kształcie wirów, zmarszczek, domyślamy się, o co może chodzić. Każdy ruch, każde drgnięcie może być istotne, dlatego w trakcie widzenia rozciągamy czas tak, by nic nam nie umknęło, bo każdy drobiazg może zmienić znaczenie całości. Po to są nam potrzebne lata nauki, które spędzamy nad miską, wstrzymując oddech, żeby nie zakłócić wizji, podczas gdy wy tarzacie się w błocie, dysząc jak zwierzęta i obijając sobie flaki!

Chyba jeszcze nigdy nie zamienili ze sobą tyłu zdań. Mikash odetchnął i wsparł się na lasce, którą miał zawsze przy fotelu, ale tym razem nie usiadł. Alistair poczuł, że musi odkleić język od podniebienia, zanim się odezwał.

– Co widziałeś?

– Ona nie jest sobą. – Mikash spojrzał gdzieś w przestrzeń. – Robiłem to już tyle razy, Basnaid każe mi teraz rzucać widzenia dwa razy dziennie, i zawsze widzę to samo. Nie jest sobą, dlatego trudno jest zobaczyć jej losy. Bo szukam księżniczki Uliagi, a ona nie jest sobą, więc i jej losy są teraz jakby losami kogoś innego. Nie wiem, co to oznacza.

Dwa widzenia w ciągu dnia to było bardzo dużo. Alistair wiedział, że wróżenie wyciąga siły życiowe bardziej niż jakakolwiek walka. Widział magów, którzy rzucali je przed bitwą wielokrotnie, żeby przewidzieć ruchy przeciwnika, i to, jak później przez kilka dni nie nadawali się do niczego; jak wyznaczone do opieki ciury obozowe musiały ich przykrywać kocami, odkrywać, gdy było im za gorąco, zwilżać usta i karmić kaszą, łyżka po łyżce. Stali teraz tak blisko, że widział wyraźnie twarz Mikasha: lepką, szarawą skórę, przekrwione oczy i wilgotne wargi. Wszyscy wiedzieli, że mag lubi zaglądać do dzbanka części, niż to było przyjęte, ale teraz zaprawił się czymś znacznie mocniejszym.

– Mikash?

Mężczyzna zamrugał i potarł nos ręką, a gdy ją zabrał, po twarzy pociekła strużka krwi.

– Chłopie, co się z tobą dzieje?

Tamten tylko potrząsnął głową, jakby dźwięki nie całkiem do niego docierały. Jeszcze raz przesunął palcami po skórze i nawet się nie zdziwił, widząc czerwone smugi.

– Nic. Kiedyś zajmę się twoim główniarzem. A teraz wyjdź. Chciał się odwrócić, ale Alistair złapał go za ramię.

– Idź do Sachina, niech cię obejrzy. Jeśli robisz dwa widzenia dziennie...

– Wynoś się, kurwa, stąd!

Mistrz magii był niższy od Alistaira prawie o głowę, do tego w bardzo kiepskiej formie, ale gdy pchnął go w pierś, mężczyzna aż się zatoczył. W uszach zaszumiało mu jakby od wiatru, a głowa wybuchła bólem: brzydkim, drążącym ścieżki jak robak. Przystanął, lekko zamroczony; Mikash tymczasem otworzył drzwi i pchnął go znów, tym razem bez czaru oszalamiającego. Zanim skrzydło trzasnęło o framugę, Alistair dostrzegł jeszcze twarz maga pochylonego nad stołem i krew skapującą do miski.

Basnaid nie była zadowolona z raportu, co poznał po lekko zmrużonych powiekach. Mistrzynie etykiety miała zbyt wiele doświadczenia, by otwarcie okazywać zniecierpliwienie, ale bywała też niezachwycona jego raportami na tyle często, że nauczył się to rozpoznawać. Dzięki ilości zleceń, jaką w życiu wykonał, rzeczywiście miał dość rozległe znajomości, ale ktoś, kto sądził, że pomoże mu to zdobywać informacje, ewidentnie czegoś nie przemyślał.

Wielmożowie słuchali go z szacunkiem należnym jego randze, akurat takim, jaki był konieczny, by nie uchybić akademii, a potem zbywali go ogólnikami. Pewnie słyszeli o obiecanej przez doyena nagrodzie i gdyby do ich uszu doszło cokolwiek konkretnego, sami podążyliby tym tropem. Nie wiedzieli nawet tyle, by staranna wzmianka o głębokiej wdzięczności arcymistrza – być może dorównującej głębokości ich kieszeni – zachęciła ich do ujawnienia jakichś ciekawych szczegółów.

Alistair nie należał do ludzi, którzy ignorowaliby służbę, ale z czeladzią zamkową także szło mu opornie. Na zamku księcia i większości zamków w Asivarze nie zatrudniano zbyt wielu osób, które wyglądałyby podobnie do niego. Może i przyciągał spojrzenia, ale nie wzbudzał zaufania i nawet teraz czasem zdarzało się, że gdy przechodził w pobliżu, jakaś matka musiała uspokajać wrzeszczące dziecko przekonane, że zobaczyło ducha. A jeśli przypadkiem gdzieś w stajni czy w umywalni trafił się ktoś z Ławicy, kto przeszedł tak daleką drogę, przewędrował całą

Równinę Jeleni i Grzbiet Ptaka w poszukiwaniu lepszego życia, to patrząc na niego, najpierw widział nie jasną skórę, tylko włożony na nią mundur i insygnia Tharu.

Podjejrzał, że Gardi mógł mieć sporo racji i dziewczyna rzeczywiście uciekła z kochankiem. Z opowieści kilku dam, bardzo podekscytowanych, że mogą zdradzić taki szczegół, wynikało, że doyen Ordathów, z którym zaręczono księżniczkę, odmówił spotkania z narzeczoną – a ściśle rzecz biorąc, odpisał, że zalety charakteru i uroda oblubienicy są szeroko znane i że zbyt szybkie dążenie do widzenia zakrawałoby z jego strony wręcz na brak zaufania, więc proponuje odłożyć sprawę towarzyskie na bardziej sprzyjającą chwilę. Sądząc po fakcie, że do wizyty nie doszło, sprzyjająca chwila nigdy nie nadeszła.

Młoda dziewczyna zaręczona ze starszym mężczyzną, którego nie знаła i który najwyraźniej nie chciał poznać jej – wyglądało to jak wspaniały grunt pod skandaliczny romans w wykonaniu wzgardzonej panny. Alistair próbował zasięgnąć języka u zamkowej służby, zadając pytania, których nie mógł zadawać krewnym zaginionej, ale nie zaprowadziło go to zbyt daleko. Ona? Miłostki? Skąd, łaskawy panie, nigdy, takie spokojne dziecko. Czy wymykała się z zamku wieczorami? Nie. W ogóle? Kiedyś, jak była mała. A ostatnio? Nie. Przenigdy. Korespondencja? Tak, czasem pisała. Do kogo? Do przyjaciółek.

Basnaid, rzecz jasna, od razu spytała księcia o listy; jeśli nawet Alistair na to wpadł, tym bardziej prawdopodobne, że pomyślała o tym mistrzyni szpiegów, ale okazało się, że korespondencja po prostu zniknęła. Tak jakby uciekinierka zabrała ją ze sobą albo – co bardziej prawdopodobne – zniszczyła przed odjazdem.

Co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że musiało tam być coś istotnego.

Podczas poszukiwań spędził sporo czasu, odwiedzając w środkowym Asivarze rodzinę księżniczki, której, jako spokrewniona z miejscową dynastią, miała w tych stronach całkiem niemało i właśnie tam, przy okazji wizyty u kolejnej kuzynki, dowiedział się, że szlak powrotny prowadzący od jej posiadłości do stolicy Uliagi przebiega w pobliżu Darkhanu, słynnej asivarskiej szkoły magii. Owszem, zeznała margrabina, pulchna dama w czerwoni sukni z woskowanym wzorem kwiatów i ptaków, podczas odwiedzin sama

poleciała młodej krewnej wizytę w tym przybytku. Zwiedzanie akademii było popularną rozrywką wśród dorastających arystokratek, które często fascynowały się magią i sztukami tajemnymi. Uczelnia została do tego doskonale przygotowana; miała pięknie urządzone komnaty gościnne i grupę adeptek specjalnie szkolonych na przewodniczki. Urządzali też przykładowe lekcje i pokazy sztuk magicznych, za co zwiedzający odwiedzali się hojnymi datkami.

Basnaid zadecydowała, że Alistair może nie być najlepszą osobą do przepytывania uczennic, więc wysłała Tathir.

Wiadomość nadeszła pod wieczór. Dla uczniów właśnie zaczęła się cisza nocna; Alistair, który tego dnia zrobił zaprawę fizyczną razem z nimi, sam nie spał tylko dlatego, że od czasu spotkania z Mikashem co jakiś czas słyszał w uszach irytujący szum, zwłaszcza gdy wokół nie było żadnych innych dźwięków. Kontakt rozpoczął się jak zawsze: lekkie mrowienie, a potem wrażenie czyjejś obecności.

– Alistair? – Głos kobiety zabrzmiał mu w głowie, zagłuszając inne dźwięki. – Możesz rozmawiać?

Tathir występowała w tych poszukiwaniach jako przedstawicielka Tharu, którego mistrzowie działali czasem jako oficjalni wysłannicy korony, ale tym razem nie miała żadnego upoważnienia poza własnymi słowami, gdy powtarzała za Basnaid, że „królowa życzy sobie pozytywnego rozwiązania tej sprawy”. Co oznaczało, że musiała zapłacić za ten kontakt sama – a kosztował majątek. Alistair miał tylko nadzieję, że zrobiła to z celowego funduszu, a nie z własnej kieszeni.

– Tak. – Wstał z łóżka i po omacku odnalazł woreczek z krzesiwem. – Czemu wysyłasz do mnie?

– Arcymistrz nie odpowiada. Pewnie już śpi, w końcu to starszek, a ja nie ufam nikomu innemu.

– Znalazłaś coś? – Skrzesał ognia i zapalił świecę na wypadek, gdyby musiał coś zapisać.

– Jeszcze nie wiem. Księżniczka faktycznie zwiedziła tę szkołę jakiś rok temu. Znalazłam adeptkę, która ją wtedy oprowadzała. Kherlena z Uvs. Dziewczęta najwyraźniej się zaprzyjaźniły, bo piisały do siebie listy. Przekonałam ją, że powinna mi je pokazać.

Alistair wyobraził sobie Tathir, jak spogląda na młodziankę uczennicę, zapewne onieśmiałą barwami Tharu i widokiem

mistrzowskiego medalionu. Prawie usłyszał, jak po raz kolejny powtarza – łagodnym głosem, ale z dźwiękiem stali w głębi – że powinna opowiedzieć o wszystkim, co wie, przede wszystkim dla dobra przyjaciółki, której być może grozi niebezpieczeństwo, jednocześnie sugerując, że utrudnianie śledztwa, którym zainteresowana jest sama królowa, może się wiązać z nieprzyjemnymi konsekwencjami.

– Co tam było?

– Księżniczka niewiele pisała o sobie. Za to często wypytywała tę dziewczynę o jej zajęcia i naukę. Powiedziałabym: drobiazgowo.

– Coś poza tym?

– Często cytuje poezję dworską. Zwłaszcza Bogdiina. O, choćby tutaj: „Zapach kwiatów w ogrodzie/ Urzeka zmysły swą barwą/ Nie mogę dziś skupić myśli”.

Wyglądało na to, że dokonał się pewien przełom, bo nikt z poszukujących nie dotarł wcześniej do żadnej korespondencji ciekawszej niż krótkie wiadomości z podziękowaniem za gościnę, gratulacje z okazji zaręczyn i tym podobne.

– Gardi cały czas twierdzi, że nasza dziewczuszka uciekła z kochankiem. Czy coś w tych listach to potwierdza?

Chwila milczenia sugerowała, że Tathir wertuje pergaminy.

– O, to sama kiedyś lubiłam: „W każdym kroku pod stopami/ W każdym słowie z moich ust/ Miłość mnie otacza, jak muzyka strun”.

– O kim to jest?

– Nie wiem, bo oprócz tych urywków nie ma ani słowa wyjaśnienia. I nic o żadnym mężczyźnie. Ani jednej wzmianki o pażiu, który jest taki słodki, ani o stajennym, który dotknął jej nogi, gdy przytrzymał jej strzemię podczas wsiadania na konia. Ani razu. Uwierz, czytałam uważnie.

– Pewnie podejrzewała, że list może wpaść w niepowołane ręce. Dlatego go nie opisała.

– To dziwne, nie uważasz? Całe mnóstwo wierszy i ani słowa o wybranku?

Alistair zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba że ta adeptka... – zaczął ostrożnie. Wprawdzie pochodził z Ławicy, gdzie nie słyszał o podobnych rzeczach, póki się nie wyprowadził, ale potem w wojsku napatrzył się na niejedno.

– Hm. Sama nie wiem.

Milczenie, jakby mistrzyni znów spojrzała w papiery.

– W ostatnim liście nie ma już żadnych cytatów. Tylko na końcu w pośpiechu dopisała...

Tathir przerwała, chyba napiła się wody.

– „A teraz zaklinam cię na wszystko: przypomnij sobie p. p. Późną nocą, tak jak teraz, gdy zamknę powieki, w głowie wciąż rozbrzmiewają mi te rzewne dźwięki, jak wówczas, owego wieczoru, gdy słuchaliśmy tego wspólnie. Módl się, aby bogini losu okazała się łaskawa i pozwoliła nam się wkrótce spotkać. Całuję twe ręce, droga przyjaciółko”.

– P. p. To jakiś wiersz? Tego Bogdiina?

– Nie pamiętam takiego tytułu, a o tej porze nie mogę już zająć do biblioteki. Dlatego chciałam poprosić ciebie. Myślę, że to jakiś ich szyfr.

– Szyfr?

– Pewnie opracowały go sobie w ciągu tych kilku dni, które księżniczka spędziła w Darkhanie. Dowiedziały się, jakich poetów lubią najbardziej, porównały swoje ulubione wiersze i przypisały poszczególnym wersom jakieś znaczenia; tak żeby później wymieniać listy i ukryć fakt, że przekazują więcej informacji, niż się wydaje. To się jakoś nazywa. – Tathir też pamiętała zajęcia z Basnaid. – To „p. p.” musi wykraczać poza to, co sobie wtedy ustaliły, więc otwarcie przywołała ten tytuł... Jeśli to w ogóle tytuł. Spokojnie mogłyby to wykorzystać, żeby rozmawiać o jej kochanku. Ale myślę też, że powinniśmy się wreszcie odczepić od tego, co powiedział Gardi, bo może przez to umyka nam coś ważniejszego.

– To znaczy co?

– Jeszcze nie wiem.

Alistair podniósł świecę ze stołu.

– Sprawdzę ten wiersz.

Dostrzegł tylko lekki ruch. W półmroku, na granicy kręgu światła.

Nie usłyszał kroków w korytarzu, chociaż zwykle potrafił nasłuchiwać dobrze. Gdy się zatrzymał, wszystko wokół zastygło,

jakby intruz przyłgął do ściany i także znieruchomiał. Alistair powoli pchnął ręką najbliższe drzwi – akurat była to pusta klasa – jednocześnie gasząc świecę, i zamknął je, by zdawało się, że wszedł do środka. Stał teraz w głębokiej niszy, pod nisko sklepionym łukiem. Wciąż niczego nie słyszał – to pewnie przez ten szum w uszach. Już parę razy zastanawiał się, czy jednak nie złożyć skargi na Mikasha.

Po kilku długich minutach znów namierzył intruza – raczej wyczuł, niż zobaczył. Skryty w ciemnościach człowiek stąpał miękko, jego kroki nie wydawały żadnych dźwięków. Trudno było ocenić, jak wygląda, ale na pewno nie był wysoki.

Alistair wziął to pod uwagę, gdy w odpowiednim momencie sięgnął w bok, chwytając tamtego za przedramię, wszedł barkiem pod pachę i przechodząc do tyłu, unieruchomił obie ręce. Szarpnął, by przeciwnik, nienaturalnie odchylony, nie mógł złać równowagi. Obcy tylko jęknął, prawie nie stawiając oporu. Alistair bez wysiłku powalił go na podłogę i przygniótł kolanem.

– Co tu robisz?

– P-przepraszam. Ja nie chciałem...

Głos był młody i wystraszony, prawie drżący. To nie był złodziej, asasyn ani szpieg. Alistair poluzował chwyt, a potem pociągnął tamtego za rękę, zmuszając go do uniesienia się na klęczki.

– Teraz wstań. I podejdź do okna. Żadnych szybkich ruchów.

W świetle księżycy zaczął go rozpoznawać. Krótко obcięte włosy, wysokie kości policzkowe, drobne rysy. Arjun, chłopak, który nie panował nad swoją magią.

Żołądek Alistaira zmienił się w bryłę lodu. Chyba tej nocy mieli szczęście. Gdyby niewyszkolony mag zareagował na atak instynktownie, mogło się to skończyć źle dla nich obu. Dyscyplinarnym wyrzuceniem dla ucznia, a dla niego samego... Nie chciał zgadywać.

– Co tu robisz, młody człowieku? – Nawet nie musiał udawać złości. – Czemu się włóczysz po nocy? Mało ci było jednej kary?

– Chciałem się napić wody. Nie wolno nam wchodzić do kuchni. Myślałem, że znajdę tu kogoś ze służby.

– Po to macie skopek w dormitorium.

– Mysz się w nim utopiła.

Alistair prawie westchnął.

– Przysłę wam służę, żeby przyniósł czysty. A ty... Poznałeś już Haidara? To chyba czas najwyższy. Jest u nas koniuszym. Zgłosisz się do niego jutro podczas przerwy poobiedniej i tak będzie przez cały tydzień. Jak sobie przierzucisz parę wiązek słomy, na pewno będziesz lepiej spał w nocy. A teraz wrócisz do sali i dopilnujesz, żebym cię więcej nie spotkał po zgaszeniu świateł. Czy to jest jasne?

– Tak, mistrzu.

Po wymierzeniu kary krnąbrnemu uczniowi Alistair spędził w bibliotece jeszcze dwie godziny, ale nie odnalazł żadnego wiersza Bogdiina odpowiadającego opisowi z ostatniego listu. Dla pewności w ciągu kolejnych dni przejrzał też dzieła innych ulubionych poetów księżniczki, ale nie znalazł tam niczego, co wyjaśniałoby tajemniczy skrót. Bibliotekarz musiał być zdziwiony, widząc, że mistrz walki zaczął codziennie odwiedzać bibliotekę, i to w poszukiwaniu poezji miłosnej. Alistair mógł się tylko domyślać, jakie plotki krążyły.

Przez cały ten czas Mikash zbywał go w sprawie lekcji magii, czasami nawet bez otwierania drzwi, aż w końcu podczas narady u Basnaid zadeklarował, że w jego wróżbach nastąpił pewien przełom i w odpowiedzi na pytania o księżniczkę któreś widzenie wskazało mu Grzbiet Ptaka. Mistrzynie etykiety natychmiast poleciła Paitemu jechać w okolice przełęczy leżącej przy głównym szlaku, jednocześnie patrząc znacząco na Alistaira, który swego czasu znalazł się w pobliżu tego miejsca, ale nie trafił na nic wartego uwagi. Jedyna dobra strona sytuacji była taka, że mag miał teraz mniej pracy, a nieoczekiwane odkrycie chyba też odrobinę poprawiło mu humor, bo gdy Alistair zagadnął go ponownie, tym razem nie kazał mu się odpieprzyć.

Wracając z kolejnych poszukiwań w bibliotece, postanowił zajść w okolice stajni i spytać Haidara, jak idzie odbywanie kary. Podobno Batcha, jego żona, a córka głównej kucharki przed tygodniem, w Noc Głodnych Duszy, urodziła dziecko, co Alistair poznał po tym, że poranna owsianka była tamtego dnia przypalona, a z kurcząt przeznaczonych na obiad sączyła się krew. Najwyraźniej po raz pierwszy od porodu pozwolono jej wyjść z izby i odetchnąć świeżym powietrzem, bo Alistair zobaczył ją

na ławce obok wejścia dla służby. Trzymała na kolanach niemowlę owinięte w wełniany szal i patrzyła przed siebie na pierwszy szron zalegający w szparach i w stertach poczerwieniałych liści. Dziecko od czasu do czasu kwiliło i pojękiwało, a wtedy kołysała je lekko, pomrukując słowa kołysanki cicho, ale wyraźnie.

*Wrócimy znów,
Wrócimy tam, choć droga kręta,
Wrócimy znów,
Wrócimy tam, gdzie nasze serca.*

Alistair nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy usłyszał tę pieśń – miał wtedy prawdopodobnie tyle lat, co dziecko Batchy. Nucił ją potem wielokrotnie, jadąc konno albo stojąc na warcie. Słyszał ją, gdy przyjmował Elaine do szkoły.

Kiedys, przed ponad stu laty, gdy na Wybrzeżu Szkwałów wybuchł bunt – głównie z powodu podatków i dlatego, że wielmożowie, których ziemie graniczyły z Ławicą, zorientowali się, że porośnięte trawą klify świetnie posłużą im jako pastwiska dla owiec i zaczęli wysiedlać z domów okoliczną ludność – śpiewano to bardzo często. Powstanie stłumiono równie szybko, jak gasi się palcami świeczkę, a mieszkańcy wybrzeża znieśli to z ponurą rezygnacją. „Pieśń powrotu” była najbardziej znaną pieśnią buntowników; widmowy, melancholijny lament, który łatwo podchwytywali też ludzie z odległych stron niemający pojęcia o tamtych wydarzeniach i nucili ją przy pracy. Aż w końcu wpadł w ucho nawet możliwym, którzy ujarzmili Wybrzeże, a wtedy piosenka, uładzona i oczyszczona z niebezpiecznych treści, trafiła na zamki, gdzie śpiewana była na ucztach i balach.

Wrócimy znów, gdzie nasze serca. Alistair pomyślał o ostatnim liście księżniczki. *Aby bogini losu pozwoliła nam się spotkać.*

Zawrócił na pięcie, bo dotarło do niego, że Tathir miała rację. Ten list nie był o kochanku.

Uznał, że warto jak najszybciej przekazać jej to odkrycie i nie miał wyboru, jak tylko poprosić o pomoc Mikasha. Tym razem mag nie mógłby się już wykręcić, twierdząc, że nie należy to

do jego obowiązków, ponieważ szybka łączność była dokładnie czymś, co należało do jego obowiązków, choć proszenie go teraz, by oprócz codziennego widzenia nawiązał jeszcze daleki kontakt, zakrawało na okrucieństwo. Alistair był już prawie na miejscu, gdy usłyszał ze środka głosy; przypomniał sobie, że właśnie tego dnia wysłał Arjuna na pierwsze zajęcia, i cofnął się o krok. Może lepiej byłoby, żeby lekcje nad opanowaniem dzikiej magii przebiegały w spokoju, nieprzerywane innymi sprawami; zresztą dzieciak i tak miał w akademii wystarczająco pod górkę. Tkwił tam niezdecydowany, gdy drzwi otwały się z rozmachem.

W wejściu stał Arjun, z głową przechyloną pod nienaturalnym kątem i twarzą ściągniętą z bólu, jakby ktoś ciągnął go w górę za ucho. Za nim Alistair dojrzał Mikasha, oddychającego z wysiłkiem, ciężko wspartego na lasce. Jego spojrzenie padło na mistrza walki i, jeśli to możliwe, błysnęła w nim jeszcze większa złość.

– Świetny pomysł miałeś! – syknął i chłopak wypadł z komnaty jak popchnięty. – Wykombinowałeś sobie, że zwalisz to na mnie?

– O co ci, u diabła, chodzi?

– Powiedz coś! – Mag zwrócił się do ucznia, który stał teraz na środku korytarza, z ustami drżącymi jak u dziecka.

– Ja... mogę wytłumaczyć.

Jego głos brzmiał inaczej niż wtedy, gdy Alistair przyłapał go na naruszaniu ciszy nocnej, jakby stał się piskliwy ze strachu.

– Rozpinaj koszulę.

– Mikash, co ty...

Najwyższy guzik, tuż pod szyją, wystrzelił w bok, odbił się od ściany i potoczył gdzieś w kąt.

– Rozpinaj, mówię.

Alistair patrzył, jak rozcięcie koszuli otwiera się coraz bardziej, ukazując najpierw kości obojczyków, potem mostek.

– Dość już. Rozumiem.

Mikash ani przez chwilę nie patrzył na rozbierającą się dziewczynę, cały czas wpatrując się wściekle w drugiego mężczyznę.

– Nosila na sobie iluzje. Drobne, rzucone po partacku, dostrzegłem od razu. Wiesz, jaka będzie awantura?

Akademia Thar nie miała żadnych ograniczeń poza wiekowymi, więc sam fakt, że ktoś postanowił ukrywać swoją płeć albo

prawdziwe imię – a to się czasem zdarzało, zwykle stały za tym niespłacone długi czy inne zobowiązania – sugerował, że ma do ukrycia coś więcej. Regulamin, podobnie jak zdrowy rozsądek, nakazywał wtedy przeprowadzić drobiazgowe śledztwo, żeby ustalić, co to mogło być i czy wiąże się z tym jakieś kłopoty.

– Chciałeś, żebyśmy ja to odkrył? Żebyśmy musiał to zgłosić? Wiesz co, właściwie przez chwilę igrałem z taką myślą, żeby jednak nie dać się podejść, udać, że nic nie zauważyłem i odesłać ją jakby nigdy nic, ale to jednak tak bardzo wbrew regulaminowi, że regulaminu nawet stąd nie widać. Dlatego pójdę i to zgłoszę, i bardzo mnie to cieszy, bo bez tego miałem jeszcze, kurwa, za mało roboty. I już. Masz to z głowy. Jesteś z siebie zadowolony?

Alistair wciąż wpatrywał się w dziewczynę, która tymczasem zapięła koszulę pod samą szyję, nie licząc brakującego guzika. Było w niej coś, co nie dawało mu spokoju. Mikash w ogóle nie zwrócił na to uwagi, chociaż on powinien to zauważyć pierwszy, ale nie wiedział o odkryciu Tathir, od tygodni robił widzenia codziennie, był naćpany korzeniem salepu i chyba w ogóle nie przyjrzał się obrazowi, który dostał od Basnaid. Prawdopodobnie zapomniał o nim, gdy tylko wykonał odpowiednią liczbę kopii.

– Nie wiedziałem o tym. Możesz mi wierzyć albo nie, ale tak było. Ja to zgłoszę.

– Ty?

– Tak. To mój uczeń i moja odpowiedzialność. – Postąpił na przód, aż znalazł się między magiem a dziewczyną. – Może później rada poprosi cię o opisanie tych iluzji i jak je wykryłeś, ale to później. A najpierw porozmawiam z nią sam. Może oszczędzi nam to trochę fatygi.

Mikash po raz pierwszy od początku rozmowy spojrzął na Alistaira inaczej niż z czystą nienawiścią.

– Jesteś pewien? Jeśli podczas tej pogaduszki siksa urwie ci łeb dziką mocą, to potem będzie na mnie, że wiedziałem i nie zapobiegłem.

– Myślę, że nic się nie stanie. Będiesz rozsądna, prawda? – zwrócił się do uczennicy.

W milczeniu pokiwała głową.

– Ale mimo wszystko niech to nie trwa za długo. Dla bezpieczeństwa – zastrzegł mag, wspierając się na lasce, i cofnął się do

komnaty. Alistair chciał zamknąć za nim drzwi, ale uciekły mu spod ręki.

Całą drogę przebyli w milczeniu. Gdy znaleźli się w jego komnacie, wskazał dziewczynie stółek, a sam przysunął sobie krzesło, żeby usiąść naprzeciw, ale najpierw sięgnął do szuflady i wydobyl miniaturkę portretu. Zaczął obracać ją w palcach tak, by dziewczyna widziała, co przedstawia. Przez chwilę nikt się nie odezwał.

– Chcesz wody?

Potrząsnęła głową.

– To może na początek powiesz mi, jak się naprawdę nazywasz?

– Chyba już sami wiecie, mistrzu – burknęła, patrząc w podłogę.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

Zapadło ciężkie milczenie. Alistair naprawdę miał nadzieję, że teraz mała pęknie.

– Rasma.

A więc jednak.

– Nie wyglądasz tu zbyt podobnie. – Uniósł miniaturkę między dwoma palcami.

– Malarze dworscy tacy są, zawsze trochę upiększą. Poza tym ojciec kazał mi się odwracać prawym półprofilem. To mój lepszy profil.

Dziewczyna obróciła się na krzesło i dopiero wtedy Alistair naprawdę dostrzegł podobieństwo do tej drugiej, wymalowanej na obrazku. Policzki były tam trochę okrągłejsze, brwi trochę szersze, skóra trochę ciemniejsza, ale poza tym był pewien, że patrzy na tę samą osobę.

Prawie nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Czego tu szukasz, Rasmie?

– Teraz to już bez znaczenia, prawda? – Wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować na jedno uczucie, jak szmaciana lalka, którą przerażone dziecko i pyskata nastolatka szarpały na zmianę, każda do siebie.

– Wręcz przeciwnie. Twoja odpowiedź może bardzo zaważyć na tym, co się z tobą stanie.

– A co ma się stać? – Nastolatka szarpnęła mocniej. – Odeślecie mnie na dwór ojca, a on zamknie mnie w komnacie i nie wypuści, aż poślubię doyena i będzie po wszystkim.

– A ty nie chcesz?

Łypnęła na niego spode łba.

– Plotki mówią, że nie pofatygował się nawet z wizytą, by cię poznać – powiedział Alistair, żeby ją ośmielić. – Jeśli mam być szczerą, faktycznie nie wroży to zbyt dobrze. Ale kto wie, co jest wam pisane? Wiele par polubiło się dopiero po ślubie, kiedy poznali się lepiej – dodał, choć słyszał, jak z tyłu głowy coś szepcze złośliwie, pytając, co on właściwie może wiedzieć o takich sprawach.

Dziewczyna chyba to wyczuła, bo zaśmiała się sucho.

– Doyen wybrał mnie ze względu na pokrewieństwo z dziadkiem – wycodziła. – Po buncie Rajiva Yirsin zachował głowę tylko dlatego, że od razu odciął się od brata i przy pierwszej okazji zaczął płacić trybut władcy Asivaru. Ale gdyby teraz zmarła królowa Kalya, to ja stałabym się pretendentką do korony, a doyen, jako mój małżonek, także, więc chce mnie poślubić, żeby zyskać to prawo. Mam się cieszyć?

Alistair potarł podbródek.

– I dlatego przyjechałaś? Liczyłaś, że tu cię nie znajdzie?

– Nie.

– Więc czego szukałaś?

Dziecko wyrwało lalkę, przyciskając ją mocno do siebie. Księżniczka skuliła się i jakby zapadła w sobie, wbijając wzrok w podłogę.

– Nie uwierzycie mi.

– Przynajmniej spróbuję.

– Mojego ojca.

Alistair patrzył na siedzącą przed nim dziewczynę i czuł, jak pierwsze słowa protestu, które przyszły mu na myśl – że jej ojcem jest Yirsin, król Uliagi – więzną mu w gardle. Ona najwyraźniej coś wiedziała.

– To chyba źle trafiłaś – stwierdził w końcu. – Nie wątpię, że wierzysz w to, co powiedziałaś, ale nie mam pojęcia, co podsunęło ci ten pomysły. Reguła na to nie zezwala.

Akademia Thar została utworzona z elitarnego oddziału asivarskiego wojska, zbierającego żołnierzy o różnych przydatnych zdolnościach, przeznaczonych do zadań specjalnych. Początkowo wymagano od nich, żeby byli niepoślubieni i bezdzietni, co trochę mówiło na temat ich oczekiwanej przeżywalności.

Od tamtej pory upłynął wprawdzie szmat czasu, ale starą regułę zakazującą mistrzom Tharu zakładania rodzin pozostawiono w jej oryginalnym brzmieniu. Wszelkie próby zmienienia tego zapisu jako archaicznego przeżytku napotykały na gorące protesty, zwykle ze strony arcymistrza i starszych wiekiem wykładowców twierdzących, że nie przekreśla się tak lekkomyślnie odwiecznej tradycji, ponieważ siłą akademii, źródłem jej tożsamości są właśnie one, uświęcone czasem tradycje, bez których byłibyśmy niczym i jeśli tego nie rozumiecie, dzieci, to może choć uwierzcie na słowo mistrzom starego ładu.

Stary i nowy ład były stałym tematem powracającym podczas rozmów w zimowe wieczory, gdy niektórzy wykładowcy przy kubku cienkiego wina zaczęli narzekać na głupich uczniów, skąpe finanse i różne skandaliczne sytuacje, które za starego ładu były by rzekomo nie do przyjęcia.

Z zamyślenia wyrwało Alistara uczucie, że Rasma mierzy go wzrokiem; księżniczka uniosła głowę i uśmiechała się blado.

– Moja matka na krótko przed śmiercią wspominała o mistrzu z Tharu, który odwiedził stolicę latem w roku Głębokiej Wody. Podobno byli sobie bardzo bliscy. Na pewno wiedziała o waszej regule, bo nie chciała wyjawić jego imienia – zresztą ciężko było mi się z nią wtedy porozumieć, chętniej mówiła do zmarłych i do swoich wspomnień. Ale z tego, co szeptala, zrozumiałam, że gdy powiadomiła go o swoim stanie, przysłał jej liście khergi, hodowane na miejscu, w ogrodzie mistrza zielarstwa. Podobno są specjalnie pielęgnowane tak, by pozbawić je pewnych toksyn i po zażyciu prawie nie dają objawów ubocznych. Można je wziąć i nie odczuć większych niedogodności niż przy miesięcznym krwawieniu.

Ulepszona kherga stanowiła obecnie główne źródło dochodu Sachina, ale Alistair uznał, że nie musi zdradzać tej informacji.

– Dlaczego myślisz, że z nich nie skorzystała?

– Mówiła, że wrzuciła je do rzeki.

Przez chwilę znów milczeli. Alistair nie powiedział tego, co od razu nasunęło mu się na myśl: że gdyby zostało to powiedziane publicznie, byłoby słowo mistrza przeciwko majakom umierającej kobiety.

– Wasze rejestry są legendarnie dokładne – odezwała się w końcu Rasma, która musiała zastanawiać się nad tym już dużo

wcześniej. – Podobno rozliczacie się drobiazgowo z każdego zlecenia. Jeśli ktoś był w Agu-Uliaga latem w roku Wody, a kilka miesięcy później pobrał z zapasów zioła, to musi to być gdzieś zapisane.

– To dlatego wymyślałaś się nocami? Chciałaś to sprawdzić?

– Tak.

Uniosła wzrok, po raz pierwszy spoglądając w okno, za którym strzępki chmur przesuwają się po ciemniejącym niebie; na jego tle wciąż było widać sylwetki drzew.

– Jeśli okaże się, że jestem bękartem, stracę prawo do korony Asivaru. Będę niezdatna do małżeństwa, przynajmniej dla doyen. Może dla nikogo. Może wtedy pozwolą mi się uczyć.

– W Darkhanie?

Natychmiast wróciła spojrzeniem.

– Tak.

– A przedtem nie mogłaś?

Zaprzeczyła.

– Żaden władca nie zechce czarodziejki na żonę. Jako doradcę – czemu nie, ale małżonka to inna sprawa. Jeszcze by ludzie gadałi, że baba uwiodła go czarami i rządzi zza jego pleców.

Alistair wstał z krzesła i przetarł twarz rękami. Dowiedział się już wszystkiego, czego chciał; teraz zostawało tylko sprowadzić tu strażę. Księżniczka chyba mu ufała i nie spróbowałaby ucieczki, a nawet gdyby jakoś obezwładniła go mocą, Mikash już o niej wiedział i pewnie potrafiłby ją wysledzić.

– Zaczekaj tu – polecił, odwracając się do dziewczyny. – Teraz na chwilę wyjdę i zamknę drzwi na klucz. Potrafisz otwierać zamki, prawda? – Przytaknęła. – Ale nie rób tego. Pamiętaj, że jeśli spróbujesz ucieczki, jesteś zdana tylko na siebie. Wtedy nie będę już mógł ci pomóc.

Skinęła głową, nie pytając go, dokąd idzie..

Zastał kwestora w archiwum. Gdy pociągnął za żelazny pierścień, drzwi były zamknięte i już myślał, że się spóźnił, ale po chwili starszy mistrz zjawił się, nachodząc korytarzem. Ocierał usta, pewnie zaparzył rumianek.

– Rejestry za rok Wody? – upewnił się, gdy Alistair wyluszczył swoją prośbę. – Ciekawe masz ostatnio lektury.

Czyli plotki faktycznie krążyły.

– To przez to poszukiwanie dla Basnaid – odparł krótko. – Tathir chyba trafiła na ślad. Muszę wiedzieć, kto z nas był w Uliadze w roku Wody, on albo ona ma szansę wiedzieć coś istotnego.

– W takim razie powodzenia.

Księgi przyniesione przez kwestora były bardzo grube – Rasma miała rację, zapisywanie rachunków w Tharze zostało podniesione do rangi sztuki, by upewnić się, że nigdzie nie przepadł nawet złamany miedziak. I rzeczywiście, zwłaszcza wydatki podrózne wyszczególniono w nich drobiazgowo. Alistair prześlizgiwał się palcem po kolumnach, czasami mrużąc oczy. Do tej pory nie czytał za wiele, ale w ciągu ostatnich dni, wertując tomiki wierszy, zauważył, że miewa z tym trudność; na odległość broni widział dobrze, ale odczytanie liter, zwłaszcza gdy były wyblakłe lub, jak tutaj, kreślone niedbale czy w pośpiechu, sprawiało mu kłopot. Co jakiś czas zatrzymywał się, by wynotować imiona mistrzów, którzy w tamtym roku wyprawili się do Agu-Uliaga – w tym swoje własne. Zaczął wertowanie stron od początku wiosny, żeby mieć całkowitą pewność. Oczy zmęczyły mu się na tyle, że w pewnym momencie miał ochotę przeskoczyć przynajmniej kilka tygodni – Rasma urodziła się w miesiącu roztopów – ale zmusił się, by przeczytać wszystko. Przez jakiś czas zapisywał imiona mistrzów, którzy pobierali khergę z magazynu, aż w końcu porównał ten spis z listą tych, którzy byli na północy, i prawie zaklął. W obu miejscach powtarzało się jedno imię.

Dopiero wtedy przerwał pracę i zapatrzył się w okno – długim spojrzeniem biegnącym ponad dachami stajni i budynków gospodarskich, ponad koronami drzew ku miejscu, gdzie niebo stykało się ze ścianą lasu. Było tam jeszcze lekko zaróżowione, z ciemnymi pasmami.

Mógł teraz wyjść i wezwać strażę, tak jak rozważał to jeszcze przed chwilą, gdy szedł do archiwum. Mógł dopilnować, by księżniczkę zwrócono jej rodzinie, wziąć nagrodę od króla i doyna i zaskarbić sobie wdzięczność królowej Kałyi, która podobno życzyła sobie pozytywnego zakończenia tej sprawy. I nie myśleć o tym, co stanie się później, po prostu wyjechać najdalej, jak tylko by zdołał. Ile to już razy myślał, żeby dać sobie spokój z uczeniem w Tharze, gdzie od lat wszystko zmieniało się tylko na gorsze i nie

zanosiło się na to, by los się kiedykolwiek odwrócił? Ile lat musiało jeszcze upłynąć, zanim zaoszczędziłby sensowną kwotę ze zleceń? Może czas odejść gdzieś, gdzie zarobiłby ją szybciej, zanim wzrok całkiem by mu się popsuł i ręka odmówiła posłuszeństwa? Mając pieniądze doyna, mógłby to zrobić choćby zaraz. Odstąpiłby trochę Tathir, w końcu to dzięki jej odkryciu znalazł się tam, gdzie powinien, we właściwym czasie. Po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, czy ona też myślała o opuszczeniu Tharu i czy nie miałaby ochoty zamieszkać gdzieś na wybrzeżu, w jakimś miejscu, skąd byłoby widać morze.

A jednak, jak by nie liczyć, spędził w Tharze już znacznie więcej lat niż kiedyś na wybrzeżu. Gdy po raz pierwszy wyjechał w głąb kraju, wojsko przygarnęło go bez zadawania pytań tak, jak przygarniało wszystkich, ale później, kiedy wyszedł cało z kilku potyczek, w których zareagował szybciej od innych, i awansował na starszego żołnierza, ktoś dostrzegł w nim potencjał i zapłacił wpisowe do akademii. Wyżywienie i utrzymanie uczniów było wtedy opłacane z królewskiego skarbcza i dlatego nawet dzieciak z prowincjonalnego zadupia spustoszonego przez walki, zupełnie pozbawiony koneksji i trochę tylko wyrosnięty jak na swój wiek, mógł zostać pierwszym z Ławicy, który włożył mistrzowskie insygnia.

Przypomniawszy sobie rebelię Rajiva.

Miał dość lat, żeby ją pamiętać. Rybackie miasteczko, niewielkie centrum targowe tamtej okolicy, leżało wprawdzie daleko od głównych wydarzeń, krwawych starć i pałacowych przewrotów, jednak nawet tam nie zabrakło takich, którzy postanowili wykorzystać okazję, by pozbyć się rajców wyznaczonych przez królewskiego włodarza. Nawet gdy było już jasne, że nie zdołają przejąć ratusza, miejscowe męty, rzezimieszki i ludzie, którzy dotąd uchodzili za mniej więcej spokojnych, przez kilka dni szaleli po okolicy, ciskając kamieniami, wznecając pożary i rabując, co się dało.

Gdy w mieście zaczęło się kotłować, matka kazała Alistairowi zająć się młodszymi dziećmi, a sama spędziła trzy dni, stojąc przy drzwiach z siekierą w ręku. Okna zasłonili szmatami, nie palili też ognia, by nie przyciągać uwagi. Od czasu do czasu ktoś z nich podchodził do matki, by podać jej kubek wody albo kawałek chleba, a ona jadła, ani na chwilę nie odrywając wzroku od ulicy.

Doyen miał niewiele lat mniej od Yirsina, co oznaczało, że był starszy od królowej Kalyi niemal o pokolenie. Gdyby teraz pozostawił sprawy własnemu biegowi, obecna królowa Asivaru mogłaby go przeżyć o wiele lat, a wtedy prawa do korony nabyte dzięki małżeństwu z Rasmą na nic by się nie zdały. Jakkolwiek wyglądały jego plany, na pewno nie zakładały czekania aż tak długo. Poza tym był Ordathem. Alistair widział ich kiedyś na polu bitwy: biegli naprzód pod gradem strzał, wyjąc jak demony, jakby nie miała się ich żadna broń, i widział, jak giną wszyscy, którzy stanęli im na drodze. Ich władca musiał być wojownikiem, ale nie znaczyło to, że nie był skłonny korzystać też z mniej szlachetnych rozwiązań; podobno na jego dworze wyjątkowo ceniono wyciąg z wilczomleczka. Gdyby jakimś sposobem pozbył się Kalyi i powołał się na prawo sukcesji, które dawało małżeństwo z Rasmą, część asivarskiej szlachty prawdopodobnie by go poparła.

Część może, ale z pewnością nie wszyscy. Watażkom ze wschodu mogłoby to być na rękę, w przypadku obszarników z południa nic nie wydawało się pewne, zachodnim wybrzeżom byłoby wszystko jedno. Ale podejrzewał, że Vithalowie nigdy nie przyjęliby pretendenta z Uliagi – a co dopiero Ordatha – jako prawowitego władcy, a jeśli wspomnienia rebelii czegoś go nauczyły, to tylko tego, że nie ma gorszego paskudztwa niż wojna domowa.

Czuł się, jakby trafił pomiędzy dwa młyńskie koła, które powoli napierały na niego, a on przez chwilę mógł je utrzymać w bezruchu, po prostu nic nie robiąc. Sprawić, żeby jeszcze przez chwilę wszystko było po staremu.

Odetchnął głęboko, jak zawsze, gdy musiał zmierzyć się z czymś trudnym, i znów spojrzął na listy przed sobą. Jedno imię na obu.

Jasna cholera.

Rasma siedziała na krześle w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił, jakby pod jego nieobecność zamieniła się w kamień. Teraz przez chwilę widać w niej było krew Vithalów z rodu Kalyi. Oni byli cierpliwi i majestatyczni. Umieili wspaniale czekać.

– Chyba już wiem, kto z nas może być twoim ojcem.

Wrażenie prysło, kiedy poderwała się z krzesła.

– Wygląda na to, że ja.

Oczy dziewczyny otwarły się szerzej, ale już za chwilę zmrużyły się z powątpiewaniem. Pokręciła głową.

– Czemu tak uważasz?

Uniosła dłoń i przejechała czterema palcami dookoła twarzy.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Twoja matka była Uliażką, a oni trochę się różnią od Vithalów. Nawet król Yirsin kazał cię namalować z ciemniejszą skórą.

– Ale kłamiecie, mistrzu.

– Możliwe. Co to zmienia?

– Dlaczego to robicie?

Usiadł przy stole.

– Twój ojciec... prawdopodobnie nie jest już tym samym człowiekiem, którego pamiętała twoja matka. Gdyby teraz się o wszystkim dowiedział, myślę, że źle by to zniósł. Próbowalby się pozbyć problemu, podważyć wszystko, co powiedziałaś. Może nawet... Nie wiem, czy nie byłby gotów cię skrzywdzić, byle zachować tę sprawę w tajemnicy. Dlatego byłoby najlepiej, żeby wszyscy myśleli, że to jednak ja.

Wciąż świdrowała go wzrokiem.

– Dlaczego mielibyście zrobić coś takiego?

– Mam swoje powody.

– I sądzicie, że wam uwierzą?

– Myślę, że tak. Bo, jak zapewne wiesz, nasza reguła nie dopuszcza takich rzeczy jak własna rodzina, a konsekwencje złamania zakazu są bardzo poważne. Nikt nie uwierzy, że ktoś z mistrzów mógłby dobrowolnie przyznać się do spółdzenia dziecka, które nie jest jego.

– I to wystarczy?

– Istnieje szansa, że jednak nie. Dlatego na wypadek gdyby tak się stało – otworzył kałamarz i zamoczył pióro w tuszu – tym razem pójdziesz ze mną. Mamy coś do załatwienia.

Odczekali, aż korytarze opustoszeją. Szli w zupełnej ciemności, nie zapalając świecy; Alistair znał twierdzą na tyle dobrze, że mógł tędy chodzić nawet na pamięć. Rasma – jak słusznie odgadł – umiała rzucać zaklęcie wygłuszające i teraz poruszali się w całkowitej ciszy. Nikt nie zauważył, gdy dotarli do archiwum.

Było jasne, że Kherlena musiała nauczyć ją kilku prostych zaklęć, pewnie jeszcze podczas wizyty w Darkhanie, a może jakimś cudem także później za pomocą tych zaszyfrowanych listów na pierwszy rzut oka zawierających tylko banalne plotki. Zanim wyszli z komnaty, spytał ją, czy potrafi przenikać przez drzwi, ale tylko sapnęła przez nos i dodała, że nikt tego nie potrafi.

Teraz przyłożyła rękę do zamka i Alistair natychmiast wyczuł, że coś się dzieje, chociaż nie zauważył powiewu powietrza ani drżenia, ani dźwięku. Nie umiał tego nawet opisać inaczej, jak tylko stwierdzając, że coś się stało.

Po chwili usłyszał, jak mechanizm obraca się z lekkim stukotem, pchnął więc drzwi i pociągnął dziewczynę za sobą. Przesunął zasuwkę i znaleźli się w ciemności, pośród zapachu kurzu i pergaminu.

– Co dalej? – W ciszy zabrzmiał jej szept; najwyraźniej otwieranie zamka wymagało koncentracji i nie mogła jednocześnie wygłaszać dźwięków.

Byli teraz w pomieszczeniu, którego nie znał już tak dobrze i potrzebował oświetlenia. Chwilę zajęło mu skrzescanie ognia – robił to na podłodze, by iskry nie padły na jakiś pergamin – a potem odnalezienie właściwego rejestru, chociaż wcześniej specjalnie patrzył, jak kwestor odkłada go na miejsce.

Położył księgę na stole i przez moment wertował stronicę, zanim dotarł do odpowiedniej daty.

– Tutaj. – Wskazał palcem. – Widzisz ten wpis?

Przejechał palcem po wyblakłych liniach.

– Musisz sprawić, żeby zaczął przypominać moje imię. – Położył obok kartkę z własnym podpisem, nakreślonym jeszcze w komnacie. – Trzeba jakoś zmienić położenie tych linii, może ukształtować tę odrobinę tuszu, która jeszcze tu została, tak żeby przypominała inny wzór. To twoje zadanie.

Dopiero teraz spojrzała na niego z przerażeniem.

– To jest zaklęcie szóstego kręgu. Trwałe przekształcenie materii. Cztery lata nauki!

– To będziesz się uczyć bardzo szybko.

– Nie wiem jak! – wykrztusiła i po raz pierwszy łzy napłynęły jej do oczu.

– Postarasz się czy nie?

Usta jej drżały, gdy próbowała się tłumaczyć:

– Ja nawet nie wiem, od czego miałabym zacząć, to tak jakby... Jakbym widziała jakąś strasznie skomplikowaną broń i nie wiedziała nawet, czy jest miotająca, czy obuchowa. To, czy trafię w cel, nie zależy od tego, jak bardzo się postaram, bo niektóre rzeczy trzeba po prostu wiedzieć. A ja nie wiem. Nie wiem!

Przez chwilę stali w milczeniu; dziewczyna przygryzała wargę.

– Twoja magia robi nie tylko to, co nakazujesz jej wprost – zauważył Alistair. – Jest surowa, ale musi być bardzo potężna. Czasami, w chwilach zagrożenia, sama próbuje cię chronić. Tak jak wtedy z nożem Chigara.

– To co innego!

– To dokładnie to samo. Twoja ostatnia deska ratunku. Nie chcesz tego małżeństwa, prawda? A może się rozmyśliłaś? Chcesz być żoną doyena? Odpowiedz!

Potrząsnęła głową, zaciskając usta.

– A zatem postaraj się.

Ale ona tylko potrząsała głową coraz mocniej.

– Nie dam rady. To za dużo. Za dużo!

Gdyby byli na placu ćwiczebnym, wiedziałyby, co zrobić. Kazały jej wziąć na ramiona worek i nieść go odtąd do końca treningu albo wysłały wszystkich, żeby biegali wokół placu, z zastrzeżeniem, że jeśli ona przybiegnie ostatnia, to dołoży im jeszcze dwa okrążenia. Poprzedni mistrz walki, Guyuk, był świetnym strategiem, potrafił opisywać starożytne bitwy tak, że nawet najmniej bystrzy adepci siadali prosto i zaczęli zadawać pytania, ale czasem odpuszczał uczniom na zaprawie. Alistair, który przyszedł do akademii z prawdziwego wojska, uważał, że to błąd. Gdy widział, że uczeń rozpada się psychicznie, dociskał go jeszcze bardziej, sprawiał, że jego świat zawęzał się do kilku najbliższych chwil, że całą uwagę i wszystkie siły musiał skupić na przetrwaniu, tak by nie została już ani odrobina na uzalanie się nad sobą.

Ale teraz nie byli na placu. Musiał to zrobić inaczej.

– Chcesz się uczyć magii – spróbował. – Jeśli teraz o to nie zawalczysz, drugiej okazji nie będzie. Skup się na tym, czego potrzebujesz, wszystko inne jest nieważne. Myśl o tym. Myśl! – Chwycił ją za rękę. – Mamy mało czasu. Przyjechałaś tu odnaleźć ojca,

prawda? Wtedy przez chwilę, przez jedną chwilę uwierzyłaś, że to ja. Co wtedy czułaś? Przypomnij sobie. Chcesz, żeby tak było?

Drgnęła, ale się nie cofnęła. Alistair dostrzegł, że jest trupio blada, nawet w półmroku, ale w jej oczach mignął drobny płomyk, jakby ktoś na moment odsunął przesłonę czarnej latarni. Coś się poruszyło, dotknęło go w ciemności miękko jak skrzydło ptaka. Dziewczyna trzęsa się tak, że prawie nie mogła ustać, więc puścił jej dłonie i złapał za ramiona.

– Chcesz się uczyć? Prawda? Bo gdybym ja był twoim ojcem, to bym ci pozwolił. – Sam się zdziwił, ile przekonania zabrzmiało w tych słowach. Coś zatrzymało się w ciemności, spojrzęło na niego, przystanęło na samym skraju. – Pomyśl o swojej przyjaciółce. Rzuciła przeciwzakłęcia, żeby zmylić wróżby. Gdyby Mikash nie był tak wyczerpany, to by się na to nie nabrał, ale jeśli ktoś się dowie, że pomagała ci w ucieczce, będzie miała kłopoty, chyba że teraz dasz sobie radę. Moje imię, w tym miejscu. Tyle ci trzeba. Myśl o Kherlenie. Myśl, do cholery! Chcesz tam wrócić? Gdzie nasze serca?

Obecność, ta sama, którą zauważył podczas otwierania zamka, przekroczyła granicę i otoczyła ich oboje. Alistair czuł kiedyś coś podobnego – i to wielokrotnie, stojąc na brzegu morza i patrząc na burzę zbierającą się na horyzoncie. Dreszcz przemknął mu po skórze jak wtedy, gdy żagle i jego ubrania trzepotały na wietrze, a on stał, nasłuchując tężejącego ryku, który wył, omiatał go i mknął z powrotem w stronę ciemniejącej na horyzoncie burzy, a ona kłębiła się i wiła, i przewalała ponad spienionym morzem, póki niebo nie rozdarło mu się nad głową i wściekłość nie pchnęła rozszałatego żywiołu gdzieś dalej, poza zasięg wzroku, aż w końcu nie pozostało po nim nic, tylko czyste niebo i rozkołysana woda.

Spojrzał na pergamin. Cienkie linie tuszu układały się w jego imię. Najłatwiejsze mieli za sobą.

Droga do sali spotkań ciągnęła się w nieskończoność.

Szli w półmroku od czasu do czasu rozpraszanym przez drzące światło pochodni. Alistair wyraźnie czuł każdy krok z osobna, jakby odmierzał nimi ostatni fragment dobrze znanego życia. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, po raz ostatni szedł tą drogą bez eskorty.

Miał do dyspozycji kilka metod i przemyślał je wszystkie dokładnie.

Już dawno temu ludzie nieobdarzeni przez los żadnymi specjalnymi zdolnościami zorientowali się, że istnieje parę prostych sztuczek, by uniemożliwić magom korzystanie z mocy. Z jakiegoś powodu, by się nią posłużyć, musieli stać pewnie na nogach. Może działa się tak dlatego, że wymagało to od nich sięgnięcia w inny wymiar, którego nie można było zobaczyć, usłyszeć ani poczuć żadnym normalnym zmysłem; to musiało oszalać. Alistair nie miał pojęcia, jak to wygląda i nie był z Mikashem w dość dobrych stosunkach, żeby spytać, ale podobno gdy magowie sięgali po moc, widzieli ją jako strumień przecinający rzeczywistość w wielu punktach jednocześnie, rwący, kręty, opływający wszystko, i musieli być naprawdę dobrze zakorzenieni w miejscu, żeby ich to nie przytłoczyło i nie powaliło na ziemię.

Obez władanie maga, którego chciało się przesłuchać, było zatem całkiem proste – wystarczyło podwiesić go za ręce tak, by nie mógł dotknąć ziemi całymi stopami. Jeśli było to niemożliwe, istniał inny, jeszcze prostszy sposób: korzeń yashilu, który żeglarze czasem żuli, żeby pozbyć się mdłości podczas morskich podróży. W jakiś sposób pomagało to chodzić po rozkołysanym pokładzie, ale kompletnie pozbawiało umiejętności poruszania się po stałym lądzie. Pod wpływem yashilu ludzie zataczali się jak pijani i nie byli w stanie przejść prosto więcej niż trzech kroków. A jeśli nie było go pod ręką, stare, sprawdzone upojenie alkoholowe działało niemal równie dobrze.

Po zastanowieniu Alistair uznał, że raczej nie powinien poić własnej uczennicy; podwieszenie jej za ręce przed całą radą też wydało mu się w złym guście. Zatrzymał jednego ze sług i wysłał go z krótkim poleceniem. Paite czasem polował na wodne stworzenia i na pewno miał gdzieś yashil.

Zajął swoje miejsce przy stole, każąc dziewczynie usiąść na zrydlu umieszczonym na środku sali przez parobka, który przyniósł też żółty korzeń. Stoły ustawione były w kształt podkowy, dzięki czemu każdy mógł mieć dobry widok na przesłuchiwanego. Pozostali mistrzowie schodzili się powoli. Basnaid – jak zawsze nieskazitelna, w tunice wygładzonej rękami służących. Gardi, w rozchełstanej koszuli, na szyi miał kilka purpurowych śladów,

których jeszcze podczas obiadu nie było. Tathir w wełnianej tunice, z włosami zaplecionymi w warkocz jak do snu. Spojrzenie miała czujne, ale jeszcze nie zaniepokojone. Alistair powoli przesuwiał po nich wzrokiem. Wiedział, że jeśli jego plan się powiedzie, to dzisiaj po raz ostatni będzie ich oglądał z tej strony stołu. Jeśli nie... Kto wie, co się stanie wtedy.

Wpatrywali się w niego, aż prawie wyczuwał jazgot ich myśli, jednak nikt nie odważył się odezwać. Alistair też milczał; według oficjalnego protokołu otwarcie tego zebrania nie leżało w jego gestii.

– Mistrzu Alistairze. – Arcymistrz zjawił się ostatni w pośpiesznie narzuconej ceremonialnej szacie, wspierając się na ramieniu sługi. Ostatnimi czasy z jego zdrowiem było coraz gorzej. – Czemu postanowiłeś nas tu zwołać?

Mistrz walki wstał zza stołu.

– Szanowni mistrzowie – zaczął, wychodząc na środek sali. – Nie marnowałbym waszego czasu i na pewno nie zakłócałbym wam spoczynku, gdyby nie chodziło o rzecz najwyższej wagi. Dzisiaj wyszło na jaw, że mój uczeń Arjun – krótkim skinięciem wskazał na dziewczynę – podczas przyjęcia na nauki okłamał nas w kwestii swojej tożsamości. Czy możesz powiedzieć, jak się naprawdę nazywasz?

Mógłby przysiąc, że gdy spojrzenia wszystkich jednocześnie zwróciły się w jej stronę, dumna księżniczka po raz pierwszy cofnęła się pod ich ciężarem, zgarbiła, jakby chciała stać się mniejsza. Przez moment kuliła się na zydłu – a potem nagle wyprostowała, wkładając w to całe swoje dworskie wychowanie.

– Rasma, córka Nekhii.

Przedstawiła się, podając imię matki. Nie zasugerował jej tego, ale pochwalił ją w myślach; to był dobry krok.

Przez salę przeleciał szmer.

– Rasma, księżniczka Uliagi? – upewniła się Basnaid. Wymówiła to jak pytanie, ale Alistair widział, że wcale nim nie było, jej umysł natychmiast poskładał elementy i już pracował, zastanawiając się, jak najlepiej rozegrać tę sytuację. – Zaginiona córka króla Yirsina?

Poczuł trochę podziwu dla dziewczyny, bo zdołała podnieść głowę i spojrzeć mistrzyni szpiegów w twarz.

– Nie.

Szmer przybrał na sile. Alistair uniósł rękę, prosząc, by pozwolono mu zadawać pytania.

– Rasmu, czemu zdecydowałaś się naruszyć nasz regulamin?

– Wiem, że król i doyen rozgłosili moje zaginięcie. Gdybym zjawiła się tu pod prawdziwym imieniem, natychmiast odesłano by mnie do domu, a nie mogłam na to pozwolić. Przysięgam sobie, że nie opuszczę Tharu, póki nie dowiem się, kto jest moim prawdziwym ojcem.

– Twoim ojcem jest Yirsin z Uliagi – oznajmił arcymistrz.

– Nie.

– Nie wnikając na razie w prawdziwość tych insynuacji – podjęła mistrzyni szpiegów z ledwie wyczuwalnym naciskiem – muszę przede wszystkim spytać: skąd wpadłaś na pomysł, że tutaj zdobędziesz takie informacje?

– Moja matka nawiązała znajomość z pewnym mistrzem Tharu, który przed siedemnastu laty przybył do Agu-Uliaga na zlecenie jej męża. – Teraz w głosie dziewczyny pobrzmiwała już desperacja, z gatunku tej, która sprawiała, że ludzie stawali się niebezpieczni. – Przyznała mi się do tego tuż przed śmiercią. Nie zdradziła mi jego imienia, ale wiedziałam, że istnieją sposoby, żeby to odkryć.

– I udało ci się?

Skinęła głową.

– Tak.

– Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz, dziecko?! – wyrwało się komuś. Alistair rozpoznał głos Gardiego. – Ktoś z mistrzów Tharu miałby złamać przysięgę?

– Obawiam się, że tak było.

Hucząca echem sala ucichła w jednej chwili.

– Mistrzu Alistairze, czy możesz to rozwinąć? – Głos Basnaid brzmiał spokojnie, ale nie wróżył nic dobrego.

– Przed siedemnastu laty byłem w Agu-Uliaga, zajmując się przeglądem nowych formacji wojska na zlecenie księcia Yirsina i królowej Nekhii. To prawda, że podczas mego pobytu nasze drogi skrzyżowały się niejednym razem. Przyznaję, że był to z mej strony śmiertelnie głupi wręcz poryw serca, ale mogę tylko zapewnić, że nie było moim zamiarem skalenie dobrego imienia akademii. Nasza znajomość była tak dyskretna, że aż do dzisiejszego dnia

nikomu nawet nie przyszło do głowy podejrzewać, że siedemnaście lat temu mogło nas połączyć coś więcej niż władczynię królestwa i jej unizonego sługę.

– W takim razie czemu to dziecko twierdzi, że zna imię swojego prawdziwego ojca?

– Sam jej to powiedziałem.

– Mistrzu Alistairze, jak mamy to rozumieć?

Obszedł zydeł, stając dziewczynie za plecami.

– Jak już zauważyła moja asystentka Elaine i jak potwierdził później mistrz Mikash, księżniczka Rasma ma potężne zdolności magiczne. – Zanim tu przyszli, wymógł na dziewczynie obietnicę, że będzie go słuchała, cokolwiek by się nie działo, i teraz nie zaprotestowała, gdy podwinął jej wargę palcami. Yashil barwił zęby i usta na żółto, niektórzy z mistrzów mogli to zauważyć już wcześniej. Nikt nie byłby w stanie zarzucić jej, że wpłynęła mocą na cokolwiek, co stało się w tej sali. – Pomimo braku wyszkolenia jest w stanie samą wolą wywołać silne efekty magiczne, nawet bez użycia formuł i gestów. Dzisiaj, gdy przypadkiem odkryłem naruszenie regulaminu, którego się dopuściła, wziąłem ją na rozmowę na osobności, a wtedy chwyciła mnie za rękę i po prostu zadała mi to pytanie. – Przypomniawszy sobie inne przesłuchanie, prawie trzydzieści lat wcześniej, gdy to on siedział na środku sali, bo przesłuchiowano go przed sądem wojskowym; wprowadzono tylko jako świadka, ale sprawa, uznano, była zbyt poważna, by pozwolić mu mówić samemu. Czarodzieje byli odporni na większość efektów magicznych, więc z dwójki ocalałych tylko on, szeregowy żołnierz, mógł zdać przełożonym wiarygodne sprawozdanie z tego, co się wydarzyło. Przypomniawszy sobie dotyk przesłuchującego maga, najpierw lekki, badawczy, a potem ucisk i spiętrzenie mocy, która wlała się do środka. – Nie wiem, jak to się stało, ale coś mnie ogarnęło, jakbym wpadł do wody, i miałem wrażenie, że tracę oddech i umrę, jeśli nie wypowiem tego, co powiedziałem.

Nie dałby rady spoglądać im w oczy, nie chciał też całkiem uciekać wzrokiem, patrzył więc na blat stołu. Dłonie Basnaid leżały na nim płasko, Gardi zacisnęła je w pięści.

– Mistrzu magii, czy to jest możliwe? – Znowu Basnaid.

– Z opisu wygląda jak pieczęć prawdy. – Głos maga zadrżał lekko. Dłonie miał niespokojne, rozbiegane, co było dość normalne

u osoby, która spędziła sporo czasu, nadużywając pewnych środków. – To zakłęcie ostatniego kręgu. I, owszem, ma takie działanie.

– Pytałam, czy to możliwe, że ta dziewczynka mogłaby je rzucić bez przygotowania. – W głosie Basnaid po raz pierwszy zabrzmiało napięcie. Mikash wyprostował się na krześle i zatarł dłonie.

– Jest to skrajnie mało prawdopodobne, ale teoretycznie... nie niemożliwe.

Arcymistrz spojrział na niego poważnie.

– Mistrzu Alistairze, jeśli to prawda, to czy zdajecie sobie sprawę, jaką hańbą okryje to imię akademii?

Wiedział i zrobił to mimo wszystko. Uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Przyznaję, uczyniłem rzecz głupią i z gruntu szaloną. Mogę jedynie złożyć to na karb młodego wieku, choć wiem, że nie przywróci to akademii jej dobrego imienia. Jestem gotów ponieść każdą karę i zaklinam was tylko, byście pamiętali, że nawet wówczas, przed siedemnastu laty, miałem na względzie dobro akademii i starałem się naprawić popełniony błąd. Gdy królowa przesłała mi wiadomość o swoim stanie, niezwłocznie wysłałem jej odpowiednie preparaty z naszego zapasu z instrukcją, w jaki sposób powinna je wykorzystać.

– A jednak zebraliśmy się tu dzisiaj, ponieważ...?

– Najwyraźniej nie zdecydowała się ich użyć. Mogę się tylko domyślać, dlaczego tak postąpiła, ponieważ dla dobra wszystkich stron nie rozmawiałem z nią nigdy więcej. Uchybiłem godności Tharu i zrobiłem, co w mojej mocy, by to naprawić, ale nie miałem wpływu na jej decyzje.

Po wyrazie twarzy Basnaid poznał, co chodzi jej po głowie już od dłuższej chwili. Pociągnęła za sznurek przywiązany do dzwonka umieszczonego w korytarzu. Szeptem zleciła coś służce, który biegiem wypadł zza drzwi.

Gdy przeglądała przyniesiony z kwestury rejestr, zmarszczka pomiędzy szerokimi brwiami trochę się pogłębiła. Alistair ledwie opanował westchnienie ulgi. Trwałe przekształcenie materii rzeczywiście okazało się trwałe. Księga przeszła z rąk do rąk. Mistrzynie etykiety mierzyła go wzrokiem, koronkową chustką wydobyta z rękawa ocierając palce z kurzu.

– To wszystko poszlaki – oznajmiła w końcu.

– Prawdę zna chyba tylko sama nieboszczka królowa... A może i nie – bąknął Paite. Basnaid skarciła go wzrokiem.

– Dla pewności, mistrzu – znów zwróciła się do Alistaira – należałoby teraz powtórzyć zaklęcie, o którym wspomniałeś. Tym razem z pomocą kogoś, kto na pewno potrafi to zrobić.

Mógłby przysiąc, że Mikash poszarzał na twarzy. Powoli wstał zza stołu i ruszył naprzód, powłócząc nogami. Zanim dotarł na środek sali, minęła cała wieczność.

– Alistairze! Czy poddasz się próbie prawdy?

Mikash normalnie byłby zachwycony, mogąc zwrócić się do mistrza walki z pominięciem tytułu – bo autor magicznej formuły uznał chyba, że w obliczu prawdy wszyscy powinni być równi – ale teraz jego głos zabrzmiał bardzo cicho.

– Niech tak będzie.

Alistair wyciągnął dłoń, podwijając rękaw szaty. Przez krótką chwilę, ułamek sekundy, zdołał spojrzeć Mikashowi w oczy, zanim tamten odwrócił wzrok, i miał nadzieję, że dobrze go ocenił – jeśli nie, to wszystko miało się skończyć już za chwilę.

Mag ujął go za nadgarstek, drugą ręką zakreślając kilka szybkich gestów. Alistair poczuł znajome drżenie, jakby powiew wiatru, który natychmiast spotężniał jak oddech sztormu, ogarnął go ze wszystkich stron, ale jakiś zmysł podpowiadał mu, że tym razem żywioł nie jest ślepy, że za każdym jego drgnieniem stoi żelazna wola, bo Mikash, nawet złamany i wyniszczony, wciąż był mistrzem Tharu. Widział, że zebrani poruszają się na krzesłach, rozglądają się niespokojnie, jakby każdy z nich rozpoznał tę pierwotną siłę, która zmanifestowała się tuż obok nich, a potem była już tylko moc przepływająca przez dłoń Mikasha, wlała się w żyły Alistaira, mknąc naprzód i burząc krew, wypełniając go jak naczynie.

– Odpowiedz mi na pytanie. – Głos maga zabrzmiał czysto, donośnie. Zacerpnięta moc użyczyła mu swojej potęgi, stał teraz prosto, trzymał się inaczej. – Czy jesteś ojcem Rasmy?

Zamarł, czekając na to, co pamiętał sprzed laty – ten bezlitosny ucisk, który miażdżył mu płuca i odbierał oddech, wciskał słowa do gardła, aż zdawało mu się, że się udusi, jeśli natychmiast nie wyrzuci ich z siebie i nie powie sędziom, co się naprawdę wydarzyło, gdy zajęli pierwszy posterunek.

I nadal oddychał.

Moc zalewała go strumieniem, podnosząc mu włoski na karku, kłębiła się pod skórą; czuł ją wszędzie, pod podeszwami stóp i na czubku języka, ale nic nie kazało mu mówić. Pomyślał o swoim kłamstwie, otworzył usta i odkrył, że nic nie przeszkadza mu w wypowiedzeniu tego słowa.

– Jestem.

Wszyscy wokół odetchnęli, gdy moc uspokoiła się i ucichła, jakby odpłynęła przez podłogę. Mikash puścił jego rękę i zatoczył się w tył, w ostatniej chwili chwytając się stołu i wspierając na lasce.

Alistair sam poczuł, że kolana mu miękną, a żołądek kołysze się jak na łodzi unoszonej martwą falą. Poprzez zimne dreszcze i narastający harmider – pozostali mistrzowie zerwali się z miejsc i wykrzykiwali coś jeden przez drugiego – dotarło do niego, że Rasma zerwała się ze stołka i z trudem usiłuje podtrzymać go ramieniem. Usłyszał, jak Basnaid wzywa strażę.

Tathir przyszła dopiero po dwóch dniach.

W celi nie było żadnych mebli, więc po prostu przesunął się na sienniku, gestem zapraszając, by usiadła obok, ale ona tylko przykucnęła na podłodze i postawiła przed sobą miskę kaszy z duszonkami. Jedząc, przypomniał sobie, jak podczas mniej pomyslnych miesięcy, gdy siedział nad obiadem w refektarzu, zdawało mu się, że to żarcie chyba nie mogłyby smakować gorzej – ale przecież z czasów spędzonych w wojsku wiedział, że mogło, po prostu już zdążył zapomnieć.

– Nie ma decyzji – odparła, gdy zapytał, co postanowiono w sprawie księżniczki. Nie patrzyła na niego, wpatrywała się w swoje zaciśnięte dłonie, jakby po raz pierwszy w życiu miała okazję obejrzeć je dokładnie. – Wszyscy spodziewali się, że arcy-mistrz będzie chciał jak najszybciej odesłać ją do domu i udać, że nic nie wiemy o jej wątpliwym pochodzeniu. Sytuacja się uspokoi, Thar zyska przychylność królowej, a doyen wypłaci nagrodę. Kilka osób bardzo poparło takie rozwiązanie.

– Tylko kilka?

– Basnaid musiała jakoś przekonać starszuka, żeby się nie spieszył, bo jednak odroczył głosowanie. Niby od dawna nie jest

w czynnej służbie, ale wciąż ma swoich szpiegów na wielu dworach i wiem, że była u Mikasha, i to więcej niż raz, więc pewnie każe mu teraz wysyłać kontakty na lewo i prawo. Jeśli od razu nie poparła najprostszego rozwiązania, to, moim zdaniem, istnieje tylko jeden powód: podejrzewa, że możemy na tym ugrać coś więcej niż tylko nagrodę od dojena.

Alistair starannie zebrał łyżką resztki z miski.

– W przyszłym roku księżniczka osiągnie pełnoletniość – powiedział niewyraźnie. Kasza kleiła się w ustach, a kubek, w którym przynoszono mu wodę, był już pusty. – Wtedy będzie mogła sama wnieść o ustalenie ojcostwa i nawet jeśli sąd potwierdzi jej pokrewieństwo z Yirsinem, jej reputacja i tak będzie podejrzana, bo przecież wszyscy wiedzą, jak to się odbywa: sędzia musiałby być samobójcą, żeby publicznie stwierdzić, że król ma rogi. W świat pójdzie plotka, że doyen poślubił kogoś bez tych wszystkich praw do tronu, które sobie wcześniej obiecywał.

– Może. Ale to już nie będzie nasz problem, prawda?

Coś zimnego i martwego zaległo mu na chwilę w gardle.

– A co ze mną?

– Nie wiadomo. Były ważniejsze sprawy do omówienia.

Twarz miała ułożoną w obojętną maskę – twarz szpiega – ale pod tym względem nie dorównywała Basnaid i nigdy nie była dość dobra, żeby go oszukać.

Następnym razem oprócz miski przyniosła butelkę.

Po smaku rozpoznał młode, kwaśne wino ze zwykłych, ogólnodostępnych zapasów, które można było wziąć z piwniczki, przedstawiając kwit od kwestora, a on potrzącał za to kwotę z wynagrodzenia. Pili z jednego kubka, na zmianę.

– Rada się podzieliła – powiedziała w końcu Tathir, patrząc gdzieś pod sufit, ponad jego głowę. – Arcymistrz i Basnaid będą się domagali ukarania cię zgodnie ze statutem: pozbawienie tytułu mistrza, wygnanie i konfiskata mienia. Sachin chyba ich poprze, ale kilka osób ma trochę inne zdanie. Gardi był wściekły i powtarzał, że nie rozumie, jak mogłeś być taki głupi, ale potem, na posiedzeniu, pierwszy odezwał się w twojej obronie i powiedział, że te zasady o dzieciach i rodzinie to i tak kupa łajna

niewarta garści złamanych kutasów. Jego słowa, nie moje – dodała, żeby nikt nie miał wątpliwości. – Że może to miało jakiś sens w dawnych czasach, ale na pewno nie dzisiaj, skoro koniuszy i kucharka mogą się pobrać i machnąć sobie dzieciaka, a my nie, chociaż nie ma między nami dużej różnicy, tak samo odmrażamy sobie tyłki i żremy tę samą słomę.

– Chyba nie tylko o złamanie zakazu tu chodzi.

– No nie, chodzi o największy skandal ostatnich czasów i o to, że przez twój wyskok sojusz Uliagi z Ordathami chyba nie dojdzie do skutku. Ale Paite wziął stronę Gardiego, podkreślał, że zawsze byłeś lojalny wobec akademii, że odkąd zabrano nam finansowanie, miałeś więcej uczniów niż ktokolwiek, że nie zawaliłeś żadnego zlecenia. I nawet jeśli popełniłeś błąd, to jednak próbowałeś go naprawić i że główna wina spoczywa na królowej. – Alistair podał jej kubek; przyjęła. – Co ciekawe, Mikash do tej pory się nie wypowiedział. Wszyscy wiedzą, że cię nie znosi, spodziewali się, że wykorzysta tę okazję, żeby do reszty cię pogrążyć, ale on milczy.

Alistair skrzyżował ręce pod głową, rozciągając zeszywniałe ramiona. Od kilku dni nie miał wprawdzie nic do roboty poza leżeniem, ale spał zaskakująco mało, bo wbrew temu, co sobie obiecał, nie potrafił przestać myśleć o tym, co się teraz stanie. Odkąd przyszła Tathir, umysł nagle mu się uspokoił i chyba po raz pierwszy dopadło go zmęczenie. Teraz czuł się, jakby w tej całej rozmowie chodziło o kogoś innego.

– Jeśli mnie wygnają, Elaine zostanie mistrzynią walki. Należało jej się od dawna.

Tathir zacisnęła usta pociemniałe od wina.

– Paite i Gardi proponują, żeby wymierzyć ci jakąś karę, ale nie kazać opuszczać Tharu, bo szkoda tracić twoją wiedzę i umiejętności przez coś, co i tak już się stało. Pewnie zaproponują, żeby odebrać ci nauczanie, a przedtem zasądzić zwykłą chłostę – trzydzieści razy, nie więcej – bo twoja śmierć też nie uratuje sojuszu. Będę głosować razem z nimi. To jedyne wyjście.

– Jedyne?

– Jeśli zagłosowałabym, żeby pozwolono ci zatrzymać stanowisko, tylko zmarnowałabym głos. Jeśli Mikash by się wstrzymał, byłby pat, a wtedy decyduje arcymistrz.

– Co z Rasmą?

– Basnaid zebrała informacje od swoich szpiegów i oznajmiła, że najlepszym wyjściem będzie upublicznić wszystko, czego się dowiedzieliśmy o księżniczce. Zleciła Mikashowi, żeby nawiązał kontakt z doyenem i włączył nas do rozmowy, i chyba nikt nie zdziwiło, kiedy szczęśliwy narzeczony odpowiedział, że nie może wiązać planów z kimś o tak niepewnym pochodzeniu i umył ręce od całej sprawy. Teraz dziewczyna czeka, aż przyśle po nią ojciec. Nie może opuszczać komnaty, zamknęli ją w wieży i postawili strażę.

Przez dłuższą chwilę milczała, a potem jej głos zabrzmiał ciszej.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

Tym razem nie starała się panować nad twarzą. Przełknęła ślinę, ale zimna gruda w gardle ani drgnęła.

– Uznałem, że będzie najlepiej, jeśli nikt się nie dowie.

– Rozumiem. Królowa. Może rzeczywiście tak było rozsądnie.

– Opowiem ci. Jak tylko to się skończy, obiecuję, że opowiem ci wszystko.

Wzruszyła ramionami, patrząc mu w twarz, a potem nagle przeniosła ciężar i pochyliła się naprzód; Alistair wyciągnął do niej ręce w tej samej chwili, gdy wsparła się czołem o jego głowę.

– Teraz to już bez znaczenia, prawda?

– Nieprawda. Tathir? Myślałaś kiedyś, żeby...

Urwał. Konfiskata mienia. Wygnanie.

– Co?

– Nic.

Teraz sam westchnął i zamknął oczy. Przez jakiś czas siedzieli tak w ciemności, zetknięci głowami i dłońmi. Czuł na ustach jej oddech, ale nic więcej.

– Będzie dobrze. – Dźwięk przebył tylko krótką odległość pomiędzy nimi i natychmiast połknął go mrok.

Strażnicy przyszli o świcie i udało im się trafić akurat na moment, kiedy spał.

Nie obudzili go kopniakiem ani szturchaniem. Wartownicy w Tharze rzadko mieli do czynienia z więźniami, nie licząc

rzadkich okazji, gdy ktoś ze służby albo z uczniów przeszkrobał coś naprawdę poważnego, i nie zdążyli nabrać złych nawyków. Po prostu stanęli obok, postukując bronią w podłogę.

– Jesteś wzywany. – Alistair wyraźnie usłyszał pauzę w miejscu, gdzie powinien paść jego tytuł.

Wyglądało to jak bardzo nietypowa pora na posiedzenie sądu, ale może rada miała ku temu powody. Udało się przekonać strażników, żeby po drodze pozwolili mu opłukać twarz i ręce w wodzie.

Gdy wprowadzono go do wielkiej sali, pozostali już siedzieli na swoich miejscach. Wszyscy bez wyjątku ubrani w ceremonialne szaty, ale wyraźnie włożone w pośpiechu, bez pomocy służących; włosy mieli niestarannie związane, twarze blade i poszarzałe. Zatrzymał się w progu.

Spojrzał na Tathir. Nie sprawiała wrażenia, jakby właśnie przegrała głosowanie, bo pozostali wyglądali dość podobnie.

– Alistairze z Ławicy – oznajmił Daikan, postukując ceremonialną laską w podłogę. – Zwołaliśmy tę radę, by zdecydować o twoim dalszym losie. Czy poddasz się jej osądowi?

– Tak.

– Czy przyjmiesz naszą decyzję i przyrzekniesz podporządkować się jej bez protestów i w żaden sposób nie uniemożliwiać lub utrudniać jej wykonania?

– Przyrzekam.

– W dniu wczorajszym doyen Ordathów, Taban Erden, wypowiedział wojnę Asivarowi. Dziś w nocy jego wojska przekroczyły północną granicę. Baron Naggar pozostawił część załogi w umocnionej twierdzy, a sam wraz z sojusznikami maszeruje w głąb kraju.

Ceremonialną laską uderzył w blat stołu.

– W obliczu tej sytuacji po przeprowadzeniu głosowania mocą daną mi przez Jej Wysokość Królową Asivaru przywracam cię do pełnionej funkcji. Po skończonej naradzie udasz się do Iriyi i oddasz do dyspozycji dowódcy garnizonu, by służyć mu wsparciem. Zajmij miejsce.

Gdy szedł przez salę, inni mistrzowie unikali jego wzroku, poprawiali ubranie albo rozglądali się za sługą, którego po zakończeniu narady mogliby poprosić o przyniesienie śniadania. Tylko Tathir nachyliła się w jego stronę.

– Jednogłośna decyzja – szepnęła.

Nieprzytomnie pokiwał głową. Jego ubranie wciąż pachniało wilgocią i pleśnią, i nie mógł do końca uwierzyć w to, co widział i słyszał.

– Nasz baron sprzymierzył się z sąsiadem – dodała. – Tym, co się wahał, czy nie jest Ordathem.

– Co z księżniczką Rasmą? – wykrztusił pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy. Jeden ze służących podszedł i z ukłonem podał mu mistrzowskie insygnia skonfiskowane przy uwięzieniu.

Tathir potrząsnęła głową.

– Zniknęła wczoraj w nocy. Nikt nie wiedział, że potrafi otwierać zamki, a strażnik chyba był pijany. Nie wiadomo, jak jej się to udało, ale nikt nie widział, jak wychodziła z twierdzy.

Wkładając medalion, na chwilę uniósł głowę i ponad stołem napotkał spojrzenie Mikasha. Po raz pierwszy od czasu przesłuchania mag patrzył mu prosto w oczy: czystym, spokojnym wzrokiem człowieka, który spłacił swój dług.

A teraz nadeszła wojna.

Małgorzata Binkowska – rocznik '87. Z zawodu automatyk. W fantastyce ceni możliwość zadawania ciekawych pytań i szerszego spojrzenia na otaczający nas świat. Jej opowiadania ukazały się w „Esensji” i w sekcyjnych antologiach. Jedno z nich zostało przetłumaczone na język niemiecki i wydane w zbiorze „Neue Nordische Novellen VI”. Ma nieśmiałą nadzieję w ciągu następnych paru lat ukończyć swoją pierwszą powieść.

Małgorzata Binkowska
WYBÓR ANNY

Spotkała go w hallu szkoły i gdyby jej nie dotknął, pewnie w ogóle by go nie zauważyła. Zazwyczaj udawało jej się ignorować mijane awatary i dopóki bRout bezbłędnie prowadził ją pomiędzy fizycznymi obiektami, nie widziała powodu, żeby zwracać uwagę na ich właścicieli. Nie czuła potrzeby poznawania nowych ludzi – wystarczyli jej sprawdzeni znajomi, starannie dobrani do jej potrzeb i gustów, a kontakt dla samego kontaktu do nich nie należał. Chodzenie w aurze niedostępności dawało komfort, pozwalało skupić się na wyświetlanych na bieżąco newsach i zadaniach do wykonania – było praktyczne i wygodne, a ponadto powszechnie akceptowalne. Tym bardziej zaskoczyło ją, że ktoś spróbował przebić się przez jej ochronną bańkę.

Poczuła coś dziwnego, niepokojącego, kiedy dotknął jej przedramienia. Nie powiedział nic, nie wysłał zaproszenia ani tym bardziej sensowiadomości, którą zresztą z automatu by odrzuciła. Nie, ta reakcja pochodziła z jej ciała. Na domiar złego okazała się bardzo intrygująca i zupełnie zbiła ją z tropu. Z tego wszystkiego Anna zapomniała się nawet zirytować. A po ostatnim spotkaniu z Opiekunem najgłupsza rzecz potrafiła ją przecież wyprowadzić z równowagi. To samo w sobie wystarczyło, żeby zwrócić jej uwagę.

Zrzuciła aktualne wykresy i spojrzała na chłopaka w czystym realu. Prawie nie różnił się od swojej wersji AR ani od wirtuala, co było bardzo nietypowe w jej szkole. Nosił też prawdziwe ciuchy zamiast uniwersalnego body. MyID szybko podpowiedziało jej, kim jest, podsuwając szereg zdjęć i awatarów, kiedy przełączyła się na AR. Kojarzyła tę irytującą blond czuprynę i równie denerwujący szeroki uśmiech, ale chyba nigdy nie widziała go bez obstawy roześmianych fanek. I ten dziwny sposób kontaktu... Ten dotyk i wyraz twarzy – spokojny, ale nie do końca, zupełnie jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie potrafiła zrozumieć, co. Wrzuciła wzór mimiczny do wyszukiwarki, ale nie dostała żadnych specyficznych odpowiedzi.

Niemal odruchowo zerknęła na jego profil, choć domyśliła się, że tego właśnie się spodziewał, i później czuła z tego powodu zażenowanie. Choć usilnie starała się wmówić sobie, że to nic i nie

powinna się tym przejmować – wbrew wszystkiemu oblepił ją nieprzyjemny płaszczyk wstydu.

Ostatecznie przecież to nie był chłopak, który normalnie by ją zainteresował. Nawet nie powinna była poczuć do niego sympatii. Ale może tak działa to legendarne przyciąganie? Nawet jeśli tacy jak on – szkolni celebryci, liderzy, członkowie licznych grup wzajemnej adoracji – wydawali jej się nie tylko obcy, ale i odrzucający?

Denerwowali ją, nawet nie dlatego, że zazdrościła im powierzonych perfekcji i popularności, kasy czy pozycji, ale przede wszystkim dlatego, że uważali się za lepszych i nie pozwalali nikomu o tym zapomnieć. Choć musiała przyznać – jednej rzeczy faktycznie zdarzało jej się zazdrościć i uczucie to wzrastało w niej tym mocniej, im bliżej było do testu kompetencji, a ten zbliżał się wielkimi krokami.

Dla Anny los, albo raczej algorytm dobierający ich w grupy, jak dotąd jeszcze nigdy nie okazał się specjalnie przychylny. Co chwila trafiała na jakichś dupków, pozbawionych ambicji leserów albo pijawki chcące zyskać jak najwięcej na czyjejś pracy. Problem, z którym elity widocznie nie musiały się borykać – jakimś dziwnym zrzędzeniem losu trafiały im się perfekcyjne kompozycje. Nic dziwnego, że szczęśliwcy pięli się w górę, jak tylko chcieli. Jeśli oczywiście chcieli. Anna od dawna podejrzewała, że musieli mieć swoje sposoby i choć szkoła uciniała podobne plotki w zarodku, legendy o przekrętach i ustawionych egzaminach żyły wśród uczniów własnym życiem. Dlatego świadomość, że praktycznie i dosłownie otarła się o Philipa – jednego z tych pustych, pewnych siebie arogantów – i, co gorsza, nie poczuła do niego zwyczajowego wstrętu, dodatkowo ją ubodła.

Oczywiście gdyby tylko tego chciała, sama mogłaby spróbować wkręcić się do jednej z takich grup i przynajmniej zyskać wartościowe znajomości. Było to trudne, ale przecież nie niemożliwe. A jednak sama ta myśl wydawała się odpychająca. Czasem w złości zdarzało jej się myśleć i nierzadko mówić, że wołałaby trafić do szkoły dla paraludzi. Tam na pewno nie było miejsca na takie absurdy, mimo morderczej przecież konkurencji. Może właśnie ta szczególna presja, fakt, że oni nie mieli innych możliwości, sprawiał, że ich edukacja wyglądała w oczach zwykłej nastolatki

prościej, a przynajmniej uczciwiej? Pozorna wolność, nieograniczone możliwości, jakie podkreślano na każdym kroku jej edukacji, wydawały się jedną wielką bzdurą. Pułapką.

Oczywiście nikt nie zmuszał jej do kontynuowania nauki – nie czekały ją żadne egzaminy końcowe, nie istniały formalne certyfikaty, liczyły się jedynie zdobyte umiejętności i doświadczenie, które przecież i tak nie przekładało się bezpośrednio na możliwość zatrudnienia. Nie było wstydu w zakończeniu nauki bez solidnie rozwiniętej gałęzi czy dwóch, a życie, jak to mówią, „wolnego człowieka” nie wyglądało przecież tak źle. Starczało na podstawowe wygody, na popularne rozrywki, które potrafiły skutecznie wypełnić wolny czas. Dlatego też w szkole zostawali albo ci, którzy mieli jeszcze jakiegokolwiek szanse na coś więcej, albo tacy, którym trudno było porzucić złudzenia.

Annie, jak zresztą wielu jej znajomym, brakowało wyraźnego talentu, który wyróżniałby ją na wymagającym rynku pracy. Bez szczególnych predyspozycji albo chociaż dziedzictwa zawodowego prawdopodobieństwo zdobycia nawet najprostszej pracy w jednej z liczących się branż była tak mała, że praktycznie pomijalna. Już nawet paraludzie, a przynajmniej ten niewielki odsetek, który kwalifikował się do wyższej edukacji, mieli sto razy większe możliwości niż ona. Jej rodzice, całkiem niezli dziennikarze, co prawda zostawili jej furtkę do podjęcia tej samej kariery, ale Annę ich praca zupełnie nie interesowała i choć kilka razy próbowała zaglądać do odziedziczonego software’u i bazy danych, nie potrafiła przemóc się, by faktycznie z nich skorzystać.

Ci z jej znajomych, którzy nie poszli na łatwiznę, jak to nazywała, i nie wykorzystali rodzinnych przywilejów, rozwijali się w dziedzinach dla paraludzi niedostępnych – takich jak prawo, polityka albo medycyna, którą zresztą kiedyś sugerował jej Opiekun, choćby ze względu na jej małe obsesje, ale jakoś nie chwyciło. Było kilku takich, którzy wybili się w inżynierii, ale oni naprawdę mieli do tego dryg, albo może zwykłe szczęście.

Annie nie chodziło o luksusy, nawet nie o prestiż zatrudnienia, ale o coś bardziej konkretnego. O zajęcie, które dałoby jej satysfakcję. Coś, co zdobyłaby od początku do końca własnymi siłami. Jak dotąd nie dopisało jej szczęście. Nie potrafiąc odkryć tej

jednej właściwej, trzymała się kurczowo jedynej dziedziny, w której udało jej się osiągnąć jako takie sukcesy, choć okazywało się to coraz trudniejsze. Mentor od analizy liczbowej musiał widzieć to nastawienie i coraz bardziej niechętnie przyjmował wyniki badań do zatwierdzenia. Zamiast wspierać jej rozwój, zdawał się specjalnie spowalniać Annę, tak że czasem tygodniami musiała czekać na odblokowanie kolejnego poziomu umiejętności albo dodatkowej gałęzi zagadnień.

Czuła, że stoi w miejscu, a coś nieuchwytnego i nienazwanego nieustannie wymyka się palcom, ale nie potrafiła podjąć żadnej konstruktywnej decyzji.

Jej szkolny Opiekun też nie pomagał. Im bardziej emanował optymizmem, tym mniej mu wierzyła, a na samo wspomnienie o „wyjściu ze swojej strefy komfortu” czuła mdłości. Na niego też była zła. Siedział w tym swoim ogródku zen i częstował banałami jak tanimi cukierkami. Nawet bez otoczki AR, którą zresztą coraz częściej blokowała, wydawało jej się to wybitnie irytujące, jak sztuczne sny albo uciążliwa reklama, której nie da się pozbyć z systemu. Wszystko, co ukazywał swoimi animacjami – od starannie zaprojektowanych form roślinnych po rozpięty nad kryształowym strumieniem mosteczek, po którym lubił się przechadzać w swojej wirtualnej postaci – jedynie uwidaczniało, w jakim zamęcie znajdują się jej własne myśli. Nie mogła nie czuć złości, kiedy wypowiadał tym swoim monotonnym głosem litanie frazesów o uwalnianiu się od ograniczającego lęku, o akceptacji samej siebie i życia w harmonii.

Co miała właściwie oznaczać ta akceptacja samej siebie? Pogodzenie się z porażką? Czy o to mu chodziło? Wydawał jej się tak pusty jak jego trącaca kiczem poza w AR – unoszący się nad fiołkową matą jogin w pozycji lotosu. Tym bardziej że w rzeczywistości półleżał niedbale w fotelu i zamiast wspierać, wsłuchał się w jej osobowość, wskazać rozwiązanie, po prostu wciskał jej kit.

Mimo wszystko pewnie miał rację. Może powinna wreszcie dorosnąć i skończyć z tym dziecinnym uporem? Otworzyć się na nowe możliwości... Może faktycznie to spotkanie, zyskanie nowej znajomości, było dla niej szansą, żeby wreszcie wyrwać się z tego zaklętego kręgu? Potrzebowała zmiany. Albo chociaż odwagi, żeby podjąć wyraźną decyzję. Wydawało jej się, że stoi zbyt długo

na rozdrożach, nie potrafiąc ruszyć do przodu. Zupełnie jakby miał to być ostatni wybór w jej życiu. Potrzebowała tego testu kompetencji – w jej wypadku testu ostatniej szansy... Albo otwórz się przed nią nowa, obiecująca ścieżka rozwoju, albo Anna dostanie wyraźny sygnał, że powinna dać sobie spokój i zaakceptować szarą rzeczywistość.

Liczby płynęły wartkim strumykiem, podskakiwały jak żwawe rybki, ilekroć zwiększała tempo lub obciążenie. Im dłużej ćwiczyła, im intensywniej, tym większe, bardziej pulsujące i jeszcze żywsze wydawały się wyskakujące z szeregu wartości. Obok płynęły łagodniejsze wykresy przemian biochemicznych, zużycia kalorii, statystyki wydolności sercowo-oddechowej. Punkt po punkcie zapalały się ikonki poszczególnych kamyczków milowych w codziennym planie treningowym. Te wielkie płonęły w tle lub czekały cierpliwie na drodze usianej drobnymi wyzwaniem, wskazując kierunek, kusząc nowymi nagrodami. Anna nie potrzebowała takiej motywacji – samo obserwowanie, jak pracuje jej organizm, jak zmienia się, usprawnia, radzi sobie z kolejnymi przeszkodami, które z sadystryczną przyjemnością przed nim stawiała, samo to wprawiało ją w zadowolenie. Włączała aplikacje motywacyjne chyba tylko ze względów estetycznych. Od lat hodowała swoje środowisko treningowe i lubiła jego harmonię. Nie lubiła zmian.

Nagle coś wyrwało ją z transu. Dźwięk rozbijanego szkła rozdarł otulinę energetyzującej muzyki, a pomiędzy wykresami potoczył się kamień owinięty zmiętą kartką papieru. Efekt był doskonały, nawet jeśli w aktywnej wizualizacji nie przewidziano okna, a jednak Anna nie podniosła kamienia od razu; odnalazła ponownie odpowiedni rytm i dokończyła trening jak zwykle. Nie straciła zupełnie koncentracji, ale złapała się na tym, że unosi ją jakieś dziwne nowe uczucie. Przypominało to odrobinę te momenty podniecenia przed ważnym wydarzeniem, przyjemność oczekiwania na zasłużoną nagrodę.

Podczas fazy wyciszenia serce biło szybciej i mocniej niż zazwyczaj. Chłodny dotyk bryzy nie koił jak zwykle, ale filuternie podwiewał włosy, tak że Anna musiała walczyć sama ze sobą, żeby nie przerwać medytacji i nie sięgnąć po wiadomość, która

teraz leżała tuż obok, zagrzebana częściowo w drobnym, miękkim piasku. Jej obecność przyjemnie drażniła.

Zwalczyła jednak pokusę i leniwie sięgnęła po wiadomość, dopiero gdy zaplanowany program dobiegł końca. Kamień przyjemnie ciążył w dłoni, bawiła się nim, rozwijając kartkę drugą ręką. Mogła wyekstrahować treść albo wyprostować papier jedynie siłą woli, ale nie czuła pośpiechu.

„Czy wiesz, jak miła jest w dotyku Twoja skóra?”

Żachnęła się. Co za lamerski tekst... Gdyby nie odczyt biochemiczny i ciut żywsza interpretacja medNowa, nie przyznałaby sama przed sobą, że jednak schlebia jej to nagle zainteresowanie. To, że całkiem dosłownie wyciągnął do niej rękę.

Po chwili namysłu odesłała kamień. Nadała mu ten sam ciężar, temperaturę i pokryła identyczną fakturą, ale nie dołączyła zmiętej kartki. Sam w sobie mógł oznaczać jedynie fakt, że odebrała wiadomość, mógł też przekazać znacznie więcej. Ogrzany dłonią, miał wkrótce pokryć się pajęczyną spękań. Wystarczyła odrobina cierpliwości, aby pulsujące złotymi żyłkami ciepło wybuchnęło ogniem miniaturowego smoka. Żywego, chętnego, by poznać świat stworzenia. Był to jeden z jej ulubionych obrazów. Często odtwarzała go na różne sposoby, choć zupełnie nie pamiętała, gdzie miał swój początek.

Była to taka próba w ciemno, Anna spodziewała się raczej, że chłopak zareaguje nieprzychylnie, zniecierpliwiony bądź urażony z pozoru lekceważącym gestem, albo zwyczajnie odpuści. Spokojnie wzięła prysznic i wstąpiła na chwilę do kuchni po koktajl potreninowy. Kiedy wróciła do swojego pokoju, zaskoczył ją szelest błoniastych skrzydeł i nieporadne popiskiwanie za uchem. Zaakceptowała połączenie i coś siadło jej na ramieniu, zabawnie laskocząc w szyję. Drobne ostre pazurki kłuły lekko skórę, podczas gdy stworzenie próbowało złapać równowagę. Kiedy sięgnęła do niego dłonią, poczuła muśnięcie opadającego lotem wirowym skrawka papieru. Smoczę musiało upuścić wiadomość trzymaną wcześniej w pysku. Anna podniosła miniaturową karteczkę i odczytała koślawy napis.

„Zaopiekujesz się mną?”

– Serio, Phil? Podryw na litość? – rzuciła w eter. Smok wzbił się w powietrze i zatańczył przed jej oczami radośnie, zupełnie jakby cieszył się z dobrego żartu.

– Tak, widzę, że jesteś sobą zachwycony. – Wyciągnęła dłoń, a smok wylądował na jej przedramieniu. – Czego potrzebujesz? – westchnęła zrezygnowana.

– Odrobiny troski – wyszczebiotał uśmiechnięty złośliwie smok. Machnęła w powietrzu dłonią, jakby chciała go trzepnąć, ale zwierzę uniknęło ciosu. Zza rozplywających się z wolna zielonkawych oparów wyłoniła się ikonka zaproszenia.

Anna wahała się. Nie chciała wchodzić, nie wiedząc, czego tak naprawdę może się spodziewać. Obawiała się spotkać jego znajomych, mierzyła ją sama myśl o tych wszystkich wpatrzonych w niego fankach. Nie chciała dołączać do tego grona. Ikonka mrugała zachęcająco. Wejdz, proszę, będzie fajnie!

Zgodziła się.

Pomieszczenie było jasne, rozświetlone słońcem wlewającym się przez szerokie okna, a wypełniające je powietrze – rześkie; dało się w nim wyczuć lekkie nuty kwiatowych zapachów. Pod oknem stał okrągły drewniany stolik przykryty wzorzystą chustą i dwa krzesła. Poza tym pokój był pusty. Ze zdumieniem odkryła, że ten prosty widok poruszył w niej jakąś dziwnie rzewną strunę. Skojarzenia i wspomnienia popłynęły niekończącym się łańcuchem powiązań. Wspomnienia własne, cudze, ujrzone, zasłyszane kiedyś, gdzieś historie. Wrażenie domu.

Okna skąpane w słońcu prosiły, by przez nie wyrzeć. Podeszła, spodziewając się sielskiego widoku: zielonej łąki, lasu jak z obrazka albo urokliwego jeziora. Ale za szybą było tylko jej miasto. Prawdziwe, takie jak wyglądałoby na co dzień, gdyby obedrzeć je z AR. Potrafiła z tego miejsca dojrzeć swoją dzielnicę. Czy znajdowała się w jego domu? Mógł zaprosić ją w tyle różnych miejsc.

– Wolałbym, żebyś mówiła do mnie „Philip”. Nie lubię tego zdrobnienia. Phil kojarzy mi się z prychnięciem. – Jego głos brzmiał naturalnie, swobodnie. Mówił poważnie, ale jednocześnie zdradzał dobry humor. Wszedł do pokoju z parującą w słońcu tacą. W powietrzu rozszedł się zapach aromatycznej herbaty.

– Nie sądziłam, że jesteś sentymentalistą – stwierdziła, gestem wskazując nietypowe otoczenie. Nic dziwnego, że była zdumiona. Ten obraz zupełnie nie przystawał do trendów grup, których był członkiem.

– Przeszkadza ci to? – Postawił tacę na stole i zdjął z niej filiżankę.

– Skąd – rzuciła lekko, choć prawdę mówiąc, czuła się tutaj nieswojo. Było coś obnażającego w tej scenografii. Pewna intymność, która wprawiała ją w zakłopotanie.

– To może byś rozważyła... przebranie się? – Wszystko, co mówił, okraszał delikatnym półśmieszkim. Anna bez trudu zrozumiała, o co mu chodziło, ale zawieszona w powietrzu sugestia wyprowadzała z równowagi. Niemniej jednak miał rację. Jej awatar – bezkształtna chmura fioletowego pyłu – nie posiadał rąk, tak przecież niezbędnych w procesie picia herbaty.

W zasadzie mogła przybrać dowolną z ulubionych humanoidalnych wersji siebie. Fakt, że wizerunek Philipa był tak nie naturalnie jednolity i spójny, nie stanowił jeszcze powodu, żeby pójść jego śladem. A jednak zrobiła to. Usiadła przy stoliku w postaci najbliższej realowi, z luźno upiętymi brązowymi włosami i w kwiecistej sukience. Naturalnie dostosowała się do zaferowanej scenografii. Zupełnie jak nie ona.

Philip uśmiechnął się i odłożył tacę.

– Słodzisz?

– Co proszę? – Zdumiała się, ale zaraz przypomniała sobie wszystkie zwyczaje związane z piciem tradycyjnego naparu i spróbowała przywołać z biblioteki smak słodzonej herbaty.

– Nie, dziękuję – odparła po chwili zastanowienia. Philip obserwował ją z wyraźnym rozbawieniem. Nie musiała poświęcać temu pytaniu tyle uwagi, przecież był to tylko rekwiwit. Nagle Anna zapragnęła, żeby wysłał jej smak swojej herbaty. Jedna sensowiadomość. Co z tego, że prawie się nie znają?

– Prawdę mówiąc, wolałem cię z rozpuszczonymi włosami. Pamiętam cię z jakiejś imprezy noworocznej. Trzy lata temu?

Znów ją zaskoczył, wygrzebanie takiego wspomnienia musiało być trochę kłopotliwe. Mimowolnie sięgnęła pamięcią do tego wydarzenia, żeby sprawdzić, jak wtedy wyglądała. Dlaczego ją to poruszyło?

Miała wrażenie, że specjalnie wytrącał ją z równowagi. Sprawiał, że czuła się niezręcznie, traciła kontrolę nad sytuacją, czego nie znosiła najbardziej na świecie. Ze zdziwieniem zauważyła, że traktuje to jako wyzwanie, nie przeszkodę. Nagle cała ta sytuacja wydała

jej się dziwnie pociągająca. Spodziewała się, że spotkanie minie szybko – Anna zaspokoi ciekawość, utwierdzi się w swojej opinii o Philipie i wróci spokojnie do swojego życia, zupełnie nieporuszona. Tymczasem odkryła, że ciekawość tylko w niej rośnie, a Philip nie jest tak przewidywalny, jak jej się wydawało, i nawet jeśli to była tylko gra, musiała przyznać, że jest niezłym aktorem. Przyszło jej wreszcie do głowy, że Philip ze szkoły i ten Philip to dwie różne osoby. Chciała poznać jedną z nich, druga ciągle ją odpychała.

Potrafił zresztą mówić o sobie absolutnie bezpretensjonalnie, jakby niczego nie musiał ukrywać, jakby maski nie istniały i liczyła się zwyczajna zgrzebna prawda. Podobało jej się to. I pytał w sposób równie prosty, łagodny, tak że nawet ona nie potrafiła doszukać się w pytaniu cienia podtekstu. Jakby był autentycznie zainteresowany jej odpowiedzią. Nie skomentował nietowarzystości Anny, nie pytał, dlaczego nie pojawiła się na ostatniej najgłośniejszej imprezie roku, i nie chwalił się, że był jej organizatorem. Nieważne, czy sądził, że przecież każdy wie i nie trzeba o tym wspominać, czy też uważał, że nie warto. Anna spodziewała się, że napomknie o swoim sukcesie choćby mimochodem, żeby sprawdzić, jak dziewczyna zareaguje. Tymczasem zapytał o jej dzień, o to, co jej się najbardziej w nim podobało.

– To, że ma tylko 24 godziny... – odparła lekko zgryźliwie.

Uśmiechnął się nieznacznie i westchnął.

– Wyobraźasz sobie, że są jeszcze ludzie, którzy marzą, żeby ich dzień był dłuższy? Kiedyś wydawało mi się to absurdem.

– A mnie brakiem organizacji.

– Wydawało czy wydaje?

– Wydawało – sprecyzowała.

– A teraz?

– Teraz uznałabym, że to wołanie o uwagę.

– Och, jaki jestem zajęty, współczujcie mi, wy wszyscy, którzy nie wiecie, co ze sobą zrobić przez większość czasu? – Przywołana przez Philipa karykatura spoconej bizneswoman zatańczyła na stole między filiżankami i padła pod ciężarem obowiązków.

– Coś w tym guście.

– Ja kiedyś dałem się złapać w to poczucie uciekającego czasu. Ubzdurałem sobie, oczywiście wbrew Opiekunowi i wszelkim dowodom braku talentu, że zostanę artystą – zachichotał.

– Ach tak, kto nie przechodził tej radosnej fazy... – Anna uśmiechnęła się do swoich wspomnień, choć przemilczała, że jej bunt ciągle nie przeszedł. Zamienił się raczej w ponury stupor.

– Masz jakieś dzieła z tego okresu?

– A ty?

– Ale nie będziesz się śmiała?

Oczywiście, że się śmiała. Zaskoczyło ją sama, jak bardzo. I jak łatwo przyszło jej śmiać się także z samej siebie, jakby w magiczny sposób zdjęto z niej ogromny ciężar. Rozmawiali o głupotach, jak dzieci, które nie muszą martwić się jeszcze swoją przyszłością, tym, jak wypadają na tle innych, jakby istniało tylko tu i teraz.

Powrót do siebie zamiast zwyczajowej ulgi przyniósł niespodziewany posmak niedosytu.

Rozmowa z Philipem była dziwnie łatwa. Swoją otwartością stopniowo roznosił w pył kolejne barykady. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak szybko i tak swobodnie nawiązała z kimś kontakt. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była w stanie czy choćby miała ochotę zwierzyć się komuś z najgłębszych wątpliwości czy obaw. Czy komukolwiek tak jak jemu byłaby w stanie pokazać jedno z tych wspomnień, które nie nadawały się ani na profilowe, ani nawet do mniej publicznego loga dla znajomych, a jednak zdawały się dziwnie ważne. I czy czułaby się przy tym podobnie lekka?

Dlatego następnego dnia wahała się już tylko chwilę. Jeszcze następnego – czekała na zaproszenie pełna obaw i przyjęła je z ostrożnym entuzjazmem. Z każdym kolejnym rosła w niej pewność, że takiej bańki nie można rozdmuchiwać w nieskończoność, i przemieszane z ulgą niedowierzanie, że bańka jeszcze nie pękła. Czuła się w tym wszystkim podle – myśląc, że oto dała się złapać jak mucha na lep, że jednak koniec końców nie różni się od tych wszystkich głupawych kokietek. Że wbrew temu, w co zawsze wierzyła, nie jest panią samej siebie i jej rozsądek nie góruje nad emocjami, choć przecież obiektywnie nie robiła nic aż tak nierozsądnego.

Jej reakcje były podobne do tych, kiedy poznaje się nową, wyjątkowo ekscytującą grę – emocje rozwalają zastarzałe ramki wykresów, które zaczęły czerwienieć od pojawiających się coraz częściej ostrzeżeń o bezprecedensowej sekrecji hormonów stresu i przyjemności. Ostrzeżeń, które system po jakimś czasie

wysłała każdemu uzależnionemu i które każdy z nich prędzej czy później zablokuje. Z każdym krokiem paraliżował ją lęk, jak przed skokiem do zimnej wody w upalny dzień. A jednak skakała. I za każdym razem wynurzała się, czy to parszając śmiechem, czy dając się unieść w łagodnym dryfie. Dopiero kiedy zostawała sama, wracały te dobrze znane i coraz mniej wygodne myśli, które, choć podcinały skrzydła nowo wyhodowanej nadziei, nie mogły zupełnie jej powstrzymać.

Wkrótce spędzała z nim więcej czasu, niż chciała sama przed sobą przyznać. Z oboma jego wcieleniami. Zaczęła też poznawać ludzi z jego najbliższego otoczenia i bywać w ich towarzystwie. Powoli odpuszczała kolejne zajęcia, żeby wyszarpać trochę miejsca w napiętym grafiku na te ich wypadki. Oczywiście zapytała wcześniej o pozwolenie. Opiekun zgodził się niemal ochoczo, licząc na to, że nowe otoczenie wpłynie na nią pozytywnie, popchnie w nowym kierunku. Anna przyjęła jego stanowisko z umiarkowanym entuzjazmem. Jej stare ja wolałoby, żeby narzucił jej większą dyscyplinę.

– Ann! Chodź do nas! Trzeba cię trochę oszlifować. – Anna wzdrygnęła się, słysząc w głowie chichot bliźniaczek, ale oderwała się od rozmowy z chłopakami i podpłynęła do ozdobnego szelzonga. W towarzystwie tych dwóch nigdy nie czuła się pewnie. Flee (a może Flea? Nigdy nie potrafiła ich odróżnić bez podpowiedzi MyID...) wezwała ją skinieniem palca.

W salonie panował półmrok, muzyka wypełniała go leniwymi fortepianowymi brzmieniami. Nawet dźwięki tła były dobrane starannie i z dbałością o szczegóły. Podobnie jak zapachy; postać wylegująca się na eleganckim meblu spowita była chmurą ciężkich perfum. Anna musiała zablokować ten duszący smród, jeśli chciała faktycznie zbliżyć się do dziewczyn. Flea przypominała wielkiego strojnego wieloryba, wyrzuconego na brzeg przez spienione fale oceanu. Była wyjątkowo otyła, a jej twarz, przypudrowana i pokryta plamami krzykliwego makijażu, wyglądała idealnie niezdrowo. Uśmiechała się teraz, rozsmarowując zjadliwą czerwień ust po falującej galarecie twarzy. Jej poczwórny podbródek rozbujał się od śmiechu. Obok stała Flee

– zupełne przeciwieństwo siostry – szczupła, bezbarwna, znużona. Działo się, że wymieniały się zewnętrznymi cechami, czasem nawet sposobem bycia, bawiły się swoimi wizerunkami, karykaturując bezlitośnie największe wady, czy to cudze, czy własne, najczęściej jednak przybierały jedynie podkolorowane wersje swoich prawdziwych postaci. Niemniej jednak Annie było niesamowicie trudno je rozgryźć.

– Podejdz, kochanie – zaszcebiotała góra kryolin rozłożona na szezlongu wątlej konstrukcji. Dopiero teraz Anna dostrzegła, jak mebel ugina się i trzeszczy pod naporem wierzącego się od czasu do czasu cielska. Uśmiechnęła się w duchu i poczuła cień sympatii do tej dziewczyny. Przynajmniej nie brakowało jej poczucia humoru.

– Jeśli chcesz pasować do towarzystwa, powinnaś zadbać o swoją toaletę – zaczęła bez ogródek Flea.

– Toaletę? – Anna zdziwiła się, ale szybko doszła do siebie i uprzejmie wchodząc w rolę, odparła spokojniejszym już tonem: – Czy coś jest nie tak z moją suknią?

– Ależ oczywiście, moja droga! Te rękawki wyszły z mody dwa wieki temu! – Mina jej rozmówczyni wyrażała absolutne oburzenie.

– Trzy!

– Nasza modystka przygotowuje dla ciebie odpowiednią wyprawkę. – Wieloryb podniósł wątłą płetwę i pstryknął palcami. Z mroku wyłoniły się wizualizacje strojnych sukien. Każda z nich była najlepszej jakości. Anna nie mogła się powstrzymać i podeszła, by dotknąć szeleszczącego materiału. Odwzorowanie było genialne! Można było spędzić pół dnia, podziwiając szczegóły – wypukłe hafty, delikatnie drapiące koronki, ciekawe marszczenia. Faktury poszczególnych tkanin też nie pozostawiały wiele do życzenia. Były zachwycające! Takie skiny nie były tanie. Anna nie musiała nigdy martwić się o pieniądze, ale to nie znaczyło, że chętnie wyda je na jednorazowe przebranie. Każdy wieczór spędzali w innym świecie, a ten nie podobał jej się na tyle, by w niego inwestować.

– Piękne. Naprawdę. Myślę jednak, że nie przydadzą mi się na polowaniu, o którym rozmawiają właśnie panowie.

– Serio?

– No co chcesz, Flea, może bawią ją takie rzeczy. – Flea wzruszyła ramionami, jakby studiowała ten gest latami. – Zresztą nie wiadomo, skąd nasz drogi Philippe ją wytrzasnął.

Annie nie podobał się jej ton, ale przecież nie zamierzała zabiegać o ich przyjaźń. Prawdę mówiąc, cień niepokoju wyczuwalny w postawie bliźniaczek sprawiał jej swoistą satysfakcję. Flea westchnęła teatralnie.

– Cóż, chłopak miał zawsze dziwny gust. Na szczęście niedługo będzie po wszystkim – dodała zagadkowo i tym razem to Anna poczuła się niepewnie. – Chodź, podaj mi swoją dłoń.

Pod dotykiem pulchnych palców nadgarstek Anny rozgrzał się przyjemnie. Flea cmokała niewyraźnie, studiując niezbyt imponujące drzewko rozwoju. Nie ukrywała zaskoczenia. Anna sfluściła nieprzyjemne uczucie, jakie towarzyszyło jej, gdy ktoś grzebał w tej części jej profilu. Na szczęście Flea nie skomentowała. Spojrzała nawet dość współczująco, ale współczucie było jeszcze gorsze od zjadliwego komentarza. Anna cofnęła rękę. Miała niejasne wrażenie, że źle zrozumiała tę scenę.

Później, gdy zajęta codziennymi obowiązkami rozmawiała z Philipem, nie zająknęła się o tej rozmowie ani słowem, choć jej wspomnienie coraz bardziej jej ciążyło.

Zaczynała zastanawiać się, jak by to było, gdyby spróbowała zając się czymś poza szkołą, podbudować trochę reputację. Słowem – stać się kimś bardziej pożądanym w towarzystwie. Czy potrafiłaby przekreślić długie lata pogoni za nieosiągalnym i zacząć od nowa? Czy gdyby przynajmniej zadbała o pozory albo wkręciła się do jakiegoś modnego towarzystwa... Czy byłoby jej lepiej?

Teraz także nie czuła się w pełni członkiem grupy. Choć szybko, może zbyt szybko, zaczęli zwracać się do niej, jakby znali ją równie długo i dobrze jak siebie nawzajem, tak naprawdę tylko w towarzystwie Philipa czuła się swobodnie. W rozmowie z nim znajdowała najwięcej komfortu i najwięcej satysfakcji. Nie znaczyło to, że w szerszym gronie nie bawiła się dobrze. Do pewnego stopnia przebywanie z nowymi ludźmi, złudzenie, że jest się kimś innym, sprawiało jej przyjemność. Gdyby było inaczej, nie zmuszałaby się do tych spotkań, tym bardziej że Philip nie naciskał. A jednak od czasu do czasu zdarzało się, że nie wiedziała, co o nich myśleć.

Tak jak wtedy, gdy siedząc przy ognisku i popijając wirtualne piwo, opowiadali sobie różne historie, w zamierzeniu straszne albo śmieszne, aż nagle rozmowa zaczęła robić się coraz bardziej poważna i rozgrzana, zupełnie jakby ogień i używki były prawdziwe. Szczególnie dało się to poznać w trakcie jednej z opowieści z dreszczykiem, w których lubowała się Flea.

– Pamiętacie, jak kilka lat temu jednej z posłanek poderżnięto gardło w salonie odnowy? – opowiadała podekscytowana, jakby relacjonowała wydarzenia na żywo.

– Nie? – zaśmiał się Luke. Rozbawiony ciągle wcześniejszą historią, myślał zapewne, że ta również będzie żartobliwa.

– Tak! Było coś takiego, pamiętam, moja mama wtedy miała niezłego stracha! Chyba zaczęła nawet szukać jakichś alternatyw... Pamiętam, że przez pewien czas panowała niezła paranoja, ale jakoś się to uspokoiło wreszcie. Ostatecznie nic nie zastąpi paraludzkiej masażystki, nie? – Fara puściła oko do Philipa. Lekko zaczerwieniona, z błyszczącymi oczami, wyglądała wyjątkowo ładnie i Anna zastanawiała się nawet, czy streamowała mimikę, czy korzystała z biblioteki, bo uśmiech dziewczyny też wydawał jej się wyjątkowo pociągający.

– Serio? Było coś takiego? Ja nie pamiętam! – Luke, poważniejąc, ale ciągle w świetnym nastroju, domagał się opowieści.

– Babka chodziła do tego salonu od zawsze, zanim jeszcze weszła do polityki, zanim wyszła za dzianego facia. Słowem, niezależnie od statusu i pieniędzy, była z niej lojalna klientka. Nie żeby nie miała koło siebie lepszych i bardziej ekskluzywnych punktów, ale mówiła, że się przyzwyczaiła. No i pewnego razu masakra, nikt nie wie, o co chodzi, trup, morze krwi. Babeczka relaksuje się na fotelu i nagle ciach!

Wszyscy słuchali z zapartym tchem, nawet Anna. Ogień rozmażywał ich twarze w krwawo powykrzywiane maski. Flea, siedząc sztywno na drewnianym pniu, obejmowała chude kolano długimi palcami i chłonęła ich reakcje. Wyglądała drapieżnie, jak modliszka z zadowoleniem przyglądająca się swojej ofierze, a drgające, niespokojne światło wydłużało jeszcze jej sylwetkę.

– Śledztwo, te sprawy, i nagle zaczynają wychodzić na jaw różne szczegóły. Najpierw się okazało, że zawsze obsługiwała ją jedna i ta sama paralka. Później były różne sprzeczne informacje, że

to były przyjaciółki z dzieciństwa albo że rywalki, bo wyszło na jaw, że tam wchodził w grę romans...

– Że ten dziany mąż ją zdradzał? Ale to bez sensu...

– No właśnie to jest najlepsze, czekaj... Była wersja, że mąż z paranką i żona nic nie wiedziała, a paranka z zazdrości... Inna wersja, że żona się w końcu dowiedziała i że doszło do konfrontacji, ale to w ogóle nie pasuje, nie?

– No... – potwierdziła Fara.

– No więc na koniec okazało się, że to one miały romans ze sobą, i to przez wiele lat. I nawet nie chodziło o to, że mąż się dowiedział albo że ta posłanka chciała to zakończyć. Nie, wręcz przeciwnie. Ona chciała to ciągnąć, a paranka nie wytrzymała. Po prostu jej odbiło!

– Shit – przytaknął Luke. – Między innymi dlatego w życiu bym...

– No jasne, po co, skoro jest iLove, nie? – zaśmiała się Flea, drapiąc się po grubej łydce.

– Tym bardziej że kto jak kto, ale paranki bardzo chętnie dają się skopiować, za grosze właściwie – przytaknęła Fara, pogardliwie akcentując i taniość i łatwość, z jaką parale oddawali resztki swojej godności.

– To nie jest to samo, co real, nie uważasz? – Philip obrzucił Farę takim spojrzeniem, że dziewczyna na moment się zawiesiła.

– A ty, co? Amator paralek? – ucieszył się Luke. – Philip para-ra-ruchacz! – zaśmiewał się w najlepsze. Reszta podchwyciła i zaczęły się niewybredne żarty, które wprowadziły Annę w większe zażenowanie niż Philipa.

– Już? – spytał spokojnie, kiedy śmiech nieco zelżał. – Wystarczy proste rozumowanie. Skoro co chwila słyszy się o takich przypadkach, to widocznie nie wszystkim wystarcza apka, prawda?

– No niby, ale i tak tego nie rozumiem. Jak można... Przecież to obrzydliwe, prawie jak ze zwierzętami... – Fara wzdrygnęła się. Flee za to obserwowała towarzystwo z uśmiechem.

Anna nie mogła pozbyć się wtedy wrażenia, że w sposobie myślenia, w tej manierze rozpieszczonych dzieci są jej równie obcy, zupełnie jak, nomen omen – paraludzie. A jednak nie powiedziała nic, nie dała nigdy po sobie poznać, jak ją drażnią. Nie udawała

też co prawda entuzjazmu, ale z jej zdystansowanej pozy, zza baterii wirtualnych masek ciężko było odczytać prawdziwe emocje. Toteż grupa tolerowała ją, a Anna stopniowo przyzwyczajała się do ich obecności i częstych spotkań, które coraz rzadziej budziły w niej opór. Rozluźniła się.

Byli otoczeni prawdziwym tłumem. Tym razem nie był to efekt wypełnienia, ale prawdziwe awatary niemal połowy ich rocznika. Impreza rozkręcała się na całego. Klub utrzymany w stylu new disco dudnił muzyką, światła stroboskopowe cięły przestrzeń i czas na kawałki. Stali przy barze, obserwując rozedrgany tłum. Anna chłonęła sposób tańca, zapamiętywała ruchy. Mimo początkowego wrażenia chaosu energia płynąca z tego miejsca szybko zaczęła krążyć jej w żyłach. Philip patrzył na jej podrygującą nogę z wyraźnym rozbawieniem. Widział, że chce zatańczyć, ale jeszcze nie jest gotowa. Wreszcie nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Wiesz, że wgranie choreografii zajmie ci mniej niż minutę?

– Odczep się. Nie chcę choreografii. Słyszałeś kiedyś o improwizacji?

– Aha. Wiesz, że jesteś czasem dziwniejsza ode mnie?

– Myślałam, że zawsze. Patrz! – rzuciła i wbiegła na parkiet.

Stała na tle jednolitej ściany tańczącego tłumu. Muzyka zmieniła się, Anna wykonała kilka kroków. Początkowo poruszała się dość nieśmiało, jakby próbowała jedynie zgrać się z rytmem, później zaczęła tworzyć. Jej ruchy naśladowały melodię, dopowiadały historię ukrytą w dźwiękach. Nie zawsze udawało się utrzymać ciągłość i płynność przejść. Często zabawnie wypadała z rytmu – czasem udawało się to zamaskować szybkim zwodem, czasem nie. Śmiała się wtedy i robiła głupie miny. Philip uśmiechnął się, zsunął ze stołka i dołączył do niej. Widziała, że stara się naśladować jej ruchy, ale nie mógł nadażyć. Uśmiechnęła się i nawiązała połączenie. Teraz łatwiej mu było zsynchronizować się w tańcu. Z czasem sam zaczął bawić się melodią i rytmem. W tej chwili myślała, że nic więcej jej nie potrzeba. Byli jednością, pełnią. Świat wydawał się pięknym miejscem.

– Lubisz robić wszystko sama, prawda? – zapytał, gdy zapadli się w miękkie siedzisko w odosobnionej łozy.

– Nie zastanawiałam się nad tym. – Zimny napój działał orzeźwiająco, podobnie jak sugestia kropel wody zbierających się na oszronionej szklance. Podobała jej się ta nakładka.

– Wolisz popełnić błąd, zrobić coś głupiego, ale mieć poczucie, że zrobiłaś to sama. Nieważne, czy pomocą będzie standardowe udogodnienie, czy czyjaś rada, jeśli możesz – odrzucisz ją.

– Hej, przecież nie robię wszystkiego sama – roześmiała się. – Zresztą nie powinno cię to dziwić. Sam tęsknisz za jakąś prehistorią. I co gorsza, nie tylko na poziomie estetyki...

– Nie dziwi mnie to. Jestem ciekaw.

– Nie wiem. Może. Może chodzi o potrzebę kontroli. Lubię wiedzieć, co się dzieje i dlaczego. Podobno nawet w łonie matki wysyłałam więcej informacji diagnostycznych niż inni przez całe swoje dzieciństwo. Jeśli nawet były to żarty, coś w tym jest. Mam świra na punkcie mojego ciała. Nie w ogóle, nigdy nie ciągnęło mnie, żeby zgłębiać biologię, ale jeśli nie spojrzę od czasu do czasu na ekran diagnostyczny, coś mnie bierze.

– Skąd wiesz, że to, co widzisz na ekranie, jest prawdą?

– Co masz na myśli? Przecież to jedna z głębszych procedur, nie da się nią manipulować.

– Z zewnątrz.

– Z wewnątrz też. Jak niby?

– Nie zdarzyło ci się nigdy, że przewidywany stan nie zgadzał się z wynikiem faktycznym?

– Oczywiście, właśnie dlatego nazywamy go przewidywanym.

– Oczywiście. Jesteś w stanie przypomnieć sobie jakieś szczególnie duże odchylenia?

– Teraz? – Ta dziwaczna rozmowa wytrąciła ją z równowagi jeszcze bardziej niż zwykle. Był taki pewny siebie, że ze wszystkich sił pragnęła zarzucić mu brak racji, ale pytanie zbiło ją z tropu na tyle, że ciężko jej było dostatecznie się skupić. – Musiałabym przejrzeć logi – odparła niezadowolona. – Do czego zmierzasz?

– To proste. Skąd wiesz, że twoje ciało działa tak, jak działa? Czy czasem, wbrew liczbom, nie zachowuje się inaczej niż powinno? I jaki wpływ ma na to wszystko wola? Z kolei jaki wpływ na twoją wolę ma twoje nadmózgowie? Jaki wpływ ma na ciebie całe to oprogramowanie, które latami hodujesz w sobie? A jaka cała reszta? Ludzie, sieć?

– Wiesz, sentyment do dawnych czasów jest całkiem uroczy, ale to...

Zaśmiał się na jej słowa. Zdumiało ją to, ale też lekko uspokoiło. Gdyby faktycznie okazał się jakimś fanatykiem, mógłby nie docenić żartu.

– Inaczej – ciągnął. – Cofnijmy się trochę w czasie. Słyszałaś kiedyś o efekcie placebo? Dawni ludzie wierzyli, że umysł jest silniejszy od ciała, nawet kiedy nie rozumieli faktycznych mechanizmów rządzących ich organizmem. Jak bardzo jesteś pewna, że nie mieli nawet cienia racji? Zdaje nam się, że dzisiaj wiemy o naszym mózgu wszystko, co powinniśmy, ale myślisz, że mamy rację?

– Pewnie nie. – Anna wzruszyła ramionami. Zaczynała męczyć ją ta rozmowa. – Myślę jednak, że wiemy dostatecznie dużo. Gdyby nie ta wiedza, nigdy nie powstałby Nowy Człowiek, czyż nie? Nie da się przeskoczyć kilku stopni ewolucji na wiarę.

– Ale ani ja, ani ty nie posiadamy tej wiedzy, prawda?

– No nie, ale ta wiedza jest dostępna. Nikt jej przed nami nie ukrywa.

– Owszem. Ale nie wiedząc, jesteś zmuszona wierzyć w to, co widzisz, prawda?

– Dlaczego miałabym wątpić w jej prawdziwość?

– Dla zabawy. Załóż, że to nieprawda. Dane są wiarygodne, mają sens, ale nie są prawdziwe. Co wtedy?

– Patrzysz na wykres, widzisz, że wszystko jest z tobą w porządku, ale czujesz się źle. Coś takiego? Zaczynasz podświadomie zmuszać organizm do większego wysiłku, tak? Podświadomie wpływasz na jego pracę. Ale póki skutek jest pozytywny... Dlaczego miałoby mnie to martwić? – Zaśmiała się kpiąco, ale nie do końca potrafiła zamaskować niepokój. Ten temat mocno w niej rezonował, a Philip widocznie to dostrzegł, bo odpowiedział jeszcze szerszym uśmiechem.

– Jutro test kompetencji. Jakies plany? – Nonszalancko zmienił temat na jeszcze bardziej krępujący.

Patrzyła, jak siedzi rozparty na kanapie i spokojnie sączy zimny napój. Noga założona na nogę, kiwająca się z rytmem muzyki stopa. Pełen relaks i pewność siebie. W tym momencie był jej absolutnym przeciwieństwem. Poczowała się, jakby nagle znalazła się

na tafli zamrożonego jeziora, a lód pod jej nogami zaczął topnieć. W jednym momencie zdała sobie wyraźnie sprawę z tego, że przez cały ten czas, upojona zainteresowaniem Philipa, była pewna, do jakiej grupy trafi podczas jutrzejszego sprawdzianu. Teraz ta pewność zachwiała się w posadach. Lód trzeszczał coraz wyraźniej. Gorszym odkryciem okazało się to, że dzisiaj nie potrafiłaby tak jak wcześniej przejść nad porażką, jak gdyby nigdy nic.

Niezależnie od tego, jak bardzo czasem szkoła dawała jej się we znaki, jak deprymująca z każdym dniem stawała się jej własna tablica osiągnięć, jedna rzecz ciągle potrafiła Annę ożywić. Na każdym szczeblu edukacji starano się je sprzedawać pod najróżniejszymi szyldami: przygody, wyzwania, wreszcie ostatniej szansy. Tym też właściwie testy kompetencji były. Zależnie od potrzeb i zmieniającej się perspektywy przyjmowały przeróżne formy, ale sprowadzały się do jednego – dawały szansę na odblokowanie nowych ścieżek edukacji albo umocnienie obecnej. Młodemu, świeżemu umysłowi dawały okazję do dzikiej eksploatacji, próbowania nowych rzeczy, odkrywania swoich talentów; niezdecydowanemu, zagubionemu uczniowi pozwalały dokonać wyboru pomiędzy kilkoma pociągającymi ścieżkami, a tym, którzy, podobnie jak Anna, utknęli gdzieś w ślepych zaułku, ofiarowały to, co najlepsze – możliwość odmiany losu.

Anna od dawna marzyła, że któregoś dnia obudzi się i wszystko potoczy się tak, jak powinno od samego początku. System przydzieli jej idealnie wyważoną grupę i ambitne, fascynujące zadanie, a ona, ośmielona tym uśmiechem losu, przejmie wreszcie inicjatywę, podejmie odpowiednie decyzje i odkryje w sobie nową pasję. Może nawet coś takiego, co wybuchnie nagle z tej martwej, rachitycznej poczwary, jaką było jej drzewo umiejętności, nowym, zielonym pędem i sprawi, że wszystko wreszcie zacznie wskakiwać na swoje miejsca.

Czy prosiła o zbyt wiele? Czy to nie mógł być jej dzień?

Im bardziej zbliżała się do drzwi wejściowych, tym bardziej szalały wykresy medNowa. Nie musiała nawet spoglądać na interpretacje systemu ani na alarmowe ikony informujące o tym, że znajduje się w stanie podwyższonego stresu – doskonale zdawała

sobie z tego sprawę. Jak podpowiadał bRout, powinna dotrzeć na miejsce ledwie trzy minuty przed oficjalnym rozpoczęciem, a według standardów Anny oznaczało to, że była niemal spóźniona.

Nagle, jakby tknięta przecuciem, zatrzymała się kilka kroków przed szkolnymi schodami. Tym niespodziewanym zachowaniem spowodowała małą falę poruszenia wśród grupy uczniów zmierzających w tym samym kierunku, zmuszając ich do korekty trasy. Zrzuciła wszystkie ekrany i rozejrzała się. Dzień zapowiadał się pięknie, w przefiltrowanym powietrzu czuć było jakąś delikatną zmianę, trudną do uchwycenia; słońce przedzierało się przez ciężkie, ale jeszcze jasne chmury, wyostając krawędzie, dodając koloru wypielęgnowanym roślinom. Anna doznała nagłego wrażenia, jakby cofnęła się w czasie. Zdarzało się to czasem i nigdy nie potrafiła dopasować do takiej sytuacji konkretnego wspomnienia, niezależnie jak długo przeszukiwała archiwum po najprzeróżniejszych kategoriach, od zapachu, na kolorach kończąc. A jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że było to coś ważnego, jak coś, o czym powinna wiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie istniało już w jej pamięci.

Dyskretny alarm wyrwał ją z zadumy. Odetchnęła i już po chwili wróciła na właściwe tory. Dokładnie w momencie, gdy przechodziła przez drzwi, przed oczami wyświetliły się jej wytyczne: numer grupy i przydzielonej im sali oraz cieniutka linia kolorowego dymu – wizualizacja świeżo zaktualizowanej trasy bRouta. Anna nawet nie zauważyła, że zawsze obecne wykresy uspokoiły się, wskoczyły w akceptowalne pasma. Była spokojniejsza.

Na miejscu czekała już Flee, ale co zaskakujące, pierwszy raz bez nieodłącznej towarzyszk. Czyżby EduSys faktycznie dokonał bezstronnego losowania grup?

Anna wysłała szybki gest powitania, starając się nie zdradzać zbyt wiele podenerwowania. Szybko dołączył do nich Luke i choć w innych okolicznościach może nie byłyby specjalnie zadowolona z jego towarzystwa, tym razem się uśmiechnęła. To oznaczało, że skład grupy nie był przypadkowy. Widok Philipa dopełnił całości – poczuła się zupełnie uspokojona i pewna siebie, jakby sam fakt, że znaleźli się w tym samym pokoju, miał zagwarantować wymarzony sukces. Przypominało to trochę odkrycie ukrytego poziomu w grze, wejście na niedostępne śmiertelnikom wyżyny. Może tym razem naprawdę jej życie ruszy do przodu?

Ostatnim członkiem okazał się chłopak o imieniu Riri. W przeciwieństwie do nich, starych wyjadaczy, jego drzewko rozwoju lśniło jasną zielenią, pączkowało nowymi odnogami. Musiało mu zależeć, żeby przyjąć jakąś ważniejszą rolę w grupie, wykazać się, rozwinąć w konkretnym kierunku, ale nie był zdesperowany. Za to niemal czuć było od niego podekscytowanie i wyraźną satysfakcję.

Poza nim tylko Anna okazywała ożywienie, reszta zachowywała wystudiowany spokój graniczący ze znudzeniem. Flee nie odzywała się, sprawiała wrażenie, że słucha beznamiętnej rozmowy swoich kolegów. W wersji formalnej, wymaganej przez szkołę w dzień egzaminu, wyglądała niepozornie. Szkolny uniform podkreślał jej przeciętnie szczupłą sylwetkę i regularne rysy twarzy, ale zupełnie nie oddawał charakteru. Anna przyzwyczaiła się do bardziej wyrazistych wizerunków koleżanki i teraz pod tą mdłą, pozbawioną pazura postacią Flee wydawała się jeszcze bardziej niepokojąca. Zupełnie jakby w jej przypadku prawda była najsztuczniejszą z masek.

Wreszcie zegar zaczął odliczać i Anna poczuła przyjemną ekscytację. Flee była świetnym managerem, Luke miał całkiem niezłe osiągnięcia w projektowaniu i imponującą wyobraźnię, Philip znał się doskonale na ludziach i marketingu, a młody, sądząc po jego drzewku, przejawiał potencjał w wielu dziedzinach i prawdopodobnie mógł wypełnić każdą lukę. Z takim zespołem idealnie byłoby trafić na temat z kategorii „Produkt”, który dawał szansę na rozwój wielu praktycznych umiejętności, ale Anna nie liczyła na kolejny łut szczęścia. Z każdą sekundą umacniała się w przekonaniu, że tym razem jej się uda. W ten czy inny sposób wyjdzie ze ślepego zaułka!

I wtedy pojawił się temat: „Żywe futro”. Kategoria: „Produkt”. To nie mogło być prawdą, Anna próbowała przeróżnych sztuczek, by sprawdzić, czy to nie sen, ale wszystko wskazywało, że jej marzenie właśnie nabiera realnych kształtów. Przybiła wirtualną piątkę z Philipem i z uśmiechem pokiwała głową młodemu, który podobnie jak ona zapalił się do projektu. Oglądając prezentację treści zadania i listę wymagań, zastanawiała się gorączkowo, jak mogłaby pomóc. Luke z Philipem na pewno ugryzą temat od strony wizualnej, przejrzą dostępne próbki i przeprowadzą

symulacje, eksperymentując z długością i teksturą sierści, kolorem i wzorami, przeanalizują wszystko od strony użytkowej i marketingowej, ale ktoś powinien zająć się problemem natury technicznej, zaprojektować środowisko hodowlane, ustalić czas użytkowania gotowego produktu bez potrzeby ciągłego dokarmiania i oczywiście przemysleć najwygodniejszy sposób podawania odżywek. To brzmiało jak coś dla niej i dla Riri!

Wiedzona falą entuzjazmu, wbrew swoim przyzwyczajeniom zaproponowała ten pomysł kolegom i nagle uświadomiła sobie, że jej wiadomość nie pojawiła się na tablicy projektowej. Spróbowała jeszcze raz.

– Ee... – zająknęła się, próbując głosu. – Czy wy też macie problem z połączeniem?

Flee uśmiechnęła się jak ktoś, kto trzyma w ręku wszystkie ważne karty.

– Tak, kotku, wszyscy mamy... pewne problemy z połączeniem. – Mówiąc to, wyszczerzyła się w drapieżnym uśmiechu, który sprawił, że Anna zbladła, a wykres pozytywnych emocji, jeszcze przed sekundą wibrujący żółtopomarańczowymi barwami, nagle niebezpiecznie poczerwieniał.

Faktycznie wyglądało na to, że byli offline. Próba ponownego połączenia została zablokowana przez pokój egzaminacyjny. Anna poczuła, jak miejsce entuzjazmu zajmuje gwałtownie rosnąca panika. Co teraz? Jak zaliczą test? Czy nie powinni tego komuś zgłosić? Jednak nie wypowiedziała tych myśli na głos, widząc, jak beznamienne stały się spojrzenia jej kolegów. Riri widocznie starał się zachować twarz, bo przed chwilą, była o tym przekonana, widziała na jego obliczu podobne zdziwienie.

– Och, rozchmurz się, kochanie – roześmiała się Flee. Jej sposób mówienia, maniera, którą wypracowała w wirtualu, nie pasował do szarawej postaci reala. Anna zrozumiała w tej jednej chwili, że zwyczajnie dziewczyny nienawidzi.

– Możesz się zrelaksować. Podczas gdy prowadzimy tę rozkoszną pogawędkę, powstaje perfekcyjny log naszego testu. Wejście online, jak się domyślasz, nie jest teraz zalecane – zrujnowałoby cały proces.

Anna zaczęła rozumieć i nie mogła uwierzyć, że nie przyszło jej to do głowy wcześniej. Oczywiście podejrzewała zawsze, że

bliźniaczki mają jakiś sposób na obejście systemu, i była gotowa skorzystać z tej szansy, tłumacząc sobie, że jej także coś się wreszcie należy... ale nie sądziła, że oszustwo sięga tak daleko. Że to wszystko wyłącznie kłamstwa. Nie tego przecież chciała!

– Anno, komu jak komu, ale tobie najbardziej powinien spodobać się nowy pączek na drzewku: creative research! Czy to nie brzmi dokładnie jak coś, czego potrzebowałaś? – Nie w ten sposób, myślała gniewnie Anna, podczas gdy Flee kontynuowała, zadowolona z siebie: – Riri oczywiście pójdzie w biotech, piękna, gruba gałąź, moje gratulacje!

Anna czuła, że jeśli nie powie nic, wybuchnie, ale zaciskała zęby do bólu. Chęć buntu, żal i poczucie, że obraz świata, który naiwnie nosiła w głowie, runął na zawsze, odsłaniając ohydny twarz, walczyły teraz o lepsze z dumą. Ostatnie, czego by chciała, to pokazać, jaką jest w gruncie rzeczy idiotką. Rozważając różne, nawet najgorsze wersje tego dnia, nie potrafiłaby przewidzieć tak potwornego scenariusza – że dostanie dokładnie to, czego pragnęła, i w tej samej chwili wszystko straci.

Spojrzała na Philipa, szukając w jego wzroku triumfu osoby, której udał się żart. To przecież powinna była przewidzieć, prawda? Poznał ją dobrze, wiedział, że nigdy by się na to nie zgodziła, jednak pozwolił jej przekroczyć ten próg. Oszukał ją. Czy nie powinien być z siebie zadowolony?

Jednak Philip nie patrzył jej w twarz. Wyglądał na zamyślonego.

– Super – burknęła, nie potrafiąc do końca skryć prawdziwych uczuć. Było jasne, że nie jest ani wdzięczna, ani zadowolona, ale przynajmniej nie wybuchła, nie rozplakała się. Jak bardzo brakowało jej teraz ukrycia się za awatarem! Założenia choćby zabawnej maski w AR... Oczywiście nie była jedyna, chyba nikt nie czuł się komfortowo w gołym realu poza starymi parami, które nie mają nic do stracenia. Ale w tej chwili czuła, jak dyskomfort zamienia się w torturę.

– Coś nie tak? – zapytała niewinnie Flee.

– Nie, skąd. – Anna parsknęła – To więcej, niż się spodziewałam. Dzięki... za to, że mogłam się przekonać, jak to robicie.

– To nie takie trudne. Ostatecznie czy nie powtarzano nam od dziecka, że możemy wszystko? – zakpiła Flee. Było w jej tonie coś dziwnego, podszytego silnymi emocjami, co zmieniało

wypowiedziane słowa w coś więcej niż żart. Anna zmarszczyła brwi. Czy to możliwe? Była tak zaabsorbowana potencjalną utratą twarzy, że nie pomyślała, że oni też mogą porzucić maski. I że cokolwiek się za nimi kryje...

– Czyżbyś wątpiła, że szkoła oferuje nam „niezmierzone ścieżki”? I że jeśli tylko będziesz chciała, z biegiem czasu naprawdę „odkryjesz siebie” i „swoje miejsce w życiu”? – Flee coraz bardziej podnosiła głos w karykaturze propagandy systemu edukacji. – Po tylu latach powinnaś była przynajmniej wpaść na pomysł, że to wszystko jedna wielka bańka mydlana. My zwyczajnie dmuchamy szybciej. – Jej uśmiech był szeroki, tryumfalny, ale gorzki.

Bańka? Oczywiście czuła, że coś jest nie tak, ale nie sądziła, że do tego stopnia! Nie mogła przełknąć tego tak łatwo, a jeszcze trudniej było jej przyjąć sugestię, że bliźniaczki mają na celu coś więcej niż zwykłą wygodę, prestiż czy budowanie jeszcze większego ego. W jej głosie słyszała bunt i rozżalenie. Do tej pory dostrzegała tylko jedną stronę medalu. Bogate dzieciaki ze świetnymi wynikami, tkwiące uparcie w szkole, jakby za złość mniej ukochanym przez los. Wydawało się, że w ten sposób przedłużają swoją młodość i jeszcze bardziej podkreślają, jak bardzo kontrolują przyszłość. A co, jeśli prawda była inna? Nie przyszło jej do głowy, że rzeczywistość może być dla nich równie nieprzyjemna jak dla niej i niektórzy z nich mogą czekać latami na miejsce pracy. Nie interesowała się aż tak bardzo innymi ludźmi, żeby wiedzieć, ilu z nich faktycznie zrobiło karierę, a ilu ostatecznie się poddało, żeby żyć szarym życiem przeciętnego konsumenta.

– Ilu z twoich znajomych zrobiło prawdziwą karierę? Dlaczego mentorzy nas blokują? Chcesz wiedzieć, co się naprawdę dzieje? Kto zajmie twoje miejsce na rynku pracy?

– Co masz na myśli?

– A jak ci się zdaje? – Tym razem do dyskusji włączył się Luke. – Pasożyty, które hodujemy za własne pieniądze. A o kim innym może być mowa?

– Oficjalnie jest ich garstka, prawda? Jedna szkoła w całym mieście. Dla wyjątków wśród parali, ichniejszych geniuszy, czyż nie? Chodź, zobaczysz sama, jak to wygląda!

– Teraz? – Anna czuła się coraz bardziej niepewnie.

– Jasne. I tak mieliśmy wychodzić. Kiedy ostatnio chodziłaś po mieście offline? – Flee była jak najbardziej poważna, choć ton jej głosu coraz wyraźniej ociekał sarkazmem. Luke pokiwał głową, było oczywiste, że tylko na to czekał. Philip od jakiegoś czasu nie spuszczał wzroku z Anny, ciągle nie zdradzając swoich myśli. Riri natomiast obserwował scenę z rosnącą fascynacją. Zdobyte bez żadnego wysiłku punkty, odblokowanie całkiem niezłej ścieżki rozwoju i jeszcze wyrwanie się ze szkoły w środku egzaminu? To musiało być jakieś święto!

– Mówicie poważnie? Wychodzimy? – zapytał z niedowierzaniem, jak dziecko, któremu właśnie obiecano spełnienie najskrytszych marzeń.

– Ann? – Flee zapytała ponagląjąco. Serio, pomyślała Anna z goryczą, decyzja należy do mnie?

– A co, jeśli ktoś się zorientuje?

– To nie jest nasz pierwszy raz. – Flee była przygotowana na to pytanie. – Mamy jeszcze niecałe cztery godziny, wystarczy aż nadto, żeby wrócić na czas, a to jest najważniejsze, prawda? Tymczasem oficjalnie jesteśmy tutaj i nie ma powodu, żeby ktokolwiek sądził inaczej. Po wszystkich nasz log będzie wystarczającym świadectwem; nikt nie sprawdzi fizycznego monitoringu, póki nie będzie miał ku temu powodu, a możesz mi wierzyć, że log jest stuprocentowo spójny – nie naciągamy niczego, wszystko zgadza się z naszymi możliwościami i nawet tok rozumowania jest skompilowany na podstawie wcześniejszych doświadczeń. Nikt nie będzie zadawał pytań. Możesz nam zaufać, zresztą siedzimy w tym razem, prawda?

Niby tak, ale dlaczego mam wrażenie, że niczego nie ryzykujecie, w przeciwieństwie do nas? Anna ciągle miała wątpliwości. Jej rozsądek krzyczał, że to głupota i w razie wpadki z egzaminu mogłaby się wytłumaczyć, ale pójdzie z nimi to nic innego jak akceptacja tego, co się działo. Współudział.

– No co, dygasz? – Luke zakpił.

To tylko ją zdenerwowało. Nie znosiła, kiedy ktoś mówił jej, co ma robić, a to nie była nawet zbyt subtelna próba. Mimo tego w głębi serca rosło przekonanie, że nie ma wyjścia i gdyby teraz odpuściła, resztę życia poświęciłaby na odtwarzanie tego momentu i wyobrażenie sobie, co by było gdyby. Skoro zrobiła

pierwszy krok, powinna konsekwentnie postawić kolejny i zobaczyć, dokąd zaprowadzi ją ta droga. Czuli, że wbrew rozsądkowi i pielęgnowanej przez całe życie potrzebie indywidualizmu musi teraz pójść za stadem. Za to wszystko obwinięła Flee. Trzeba było jej przyznać, że dobrze rozegrała tę partię. W przeciwieństwie do Luke'a doskonale wiedziała, na jakich strunach zagrać, a które są ryzykowne. Wiedziała, że opinia Anny na temat parali nie pokrywa się z powszechną pogardą, więc zamiast lać wodę na ten młyn, postawiła na czyste fakty, a raczej na szansę ich poznania. Nie można też było odmówić Flee elokwencji – przy tylu różnych możliwościach komunikacji, włącznie z bezpośrednim streamowaniem wrażeń sensualnych, obrazów, wspomnień, z powszechnym operowaniem na gotowych wzorcach, rzadko kto potrafił tak składnie się wypowiadać, używając starego dobrego języka...

Sam fakt, że cała akcja, włącznie z przemową Flee, była tak dobrze przemyślana, coraz poważniej niepokoił Annę. I jednocześnie jeszcze bardziej rozbudzał ciekawość. Czy ledwie kilka miesięcy temu zrobiłaby coś podobnego? Czy to właśnie miało być tym słynnym wyjściem ze strefy komfortu, które tak często zachwalał jej szkolny opiekun, czy może zwyczajnie zmiękła? Dała się podejść?

Jak wisienka na torcie tej całej sytuacji, na szczycie wszystkiego tkwił Philip. Niczego nie tłumaczył, do niczego nie przekonywał. Zachowywał kamienną twarz. Czy był to przejaw szacunku, czy obojętność kogoś, kto wykonał swoją robotę i może przekazać pałeczkę innym? Czy była głupia, myśląc, że więź między nimi jest prawdziwa, że to, co widzi w jego oczach, jest prawdziwą troską i współczuciem, nawet jeśli jakiś uporczywy głos w jej głowie krzyczał, że to tylko złudzenie?

– OK. Chodźmy – rzuciła wreszcie niczym wyzwanie i przez moment przyszło jej na myśl, że może to właśnie była jedynie próba charakteru, ale Flee faktycznie otworzyła drzwi, a chłopcy podążyli za nią na korytarz. Annie nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za nimi.

Tym razem, kiedy przekroczyła drzwi szkoły i spojrzała na miasto w czystym realu, nie poczuła przyjemnych emocji, ale

niepokój, choć słońce ciągle niepodzielnie panowało na niebie, a powietrze nadal orzeźwiało. Na dziedzińcu czekała już na nich grupa pod przewodnictwem drugiej siostry niczym brakująca połowa jabłka. Czy nie powinna się była tego spodziewać?

Anna trzymała się z boku, nie mając ochoty na rozmowę, podczas gdy reszta witała się i żartowała. Cała paczka aż buzowała z podekscytowania i samozadowolenia. Anna stanowiła ciemną plamę na tym jaskrawym tle i coraz mniej jej to przeszkadzało. Philip zrównał się z nią krokiem, ciągle zachowując milczenie, które ciążyło teraz między nimi nieprzyjemnie. Anna kilka razy powstrzymała się od próby wymuszenia na chłopaku jakiegokolwiek wytłumaczenia. Deklaracji. Nie chciała dokładać do tego ciężaru paskudnego bólu zranionej dumy.

Unikała więc jego wzroku, rozglądając się po okolicy, obserwując mijane pojazdy, których pęd rozwiewał kosmyki włosów tak, jak to robił z liśćmi wysokich drzew ponad ich głowami, wreszcie kontemplując milczącą brzydotę budynków odartych z interaktywnych reklam AR-u. Wyciągnął dłoń, próbując chwycić ją za rękę. Była to jedna z rzeczy, które wbrew sobie polubiła, odkąd spotykali się w realu. Teraz jednak odtrąciła ten gest z zaskakującą gwałtownością. Nie potrafiła poradzić sobie z kotłującymi się w głowie emocjami. Żaden z wykresów nie potrafił podpowiedzieć, jak ma się zachować, co myśleć. Czuła, że zaczyna się dusić, oddech stał się płytki, zbyt płytki jak na umiarkowany spacer, a jednak żaden z systemów diagnostycznych nie wykazywał znaczących odchyłeń od normy. Postanowiła skupić się na obserwacjach.

Droga nie była zbyt skomplikowana, ale Anna uświadomiła sobie, że nie jest pewna, czy zdołałaby wrócić sama do szkoły. Choć wydawałoby się, że powinna znać dzielnicę Edu jak własne mieszkanie i oczywiście bez trudu rozpoznawała co bardziej charakterystyczne budynki czy skwery, sklejenie tych informacji w jeden prosty obraz było zupełnie odmienną kwestią. Bez bRouta czuła się nieswojo, nawet kiedy podążała za innymi. Bliźniaczki, które prowadziły grupę, musiały wcześniej przygotować sobie instrukcje, zapisać trasę do offline'u, inaczej też nie zachowywałyby się tak pewnie.

Wykresy tańczyły wesoło, sypiąc drobnymi nagrodami za nieplanowany wysiłek, ale Anna nie potrafiła się z tego teraz cieszyć.

Cały czas myślami wracała do sali, w której właśnie zmieniała się jej przeszłość. Nie miała wątpliwości, że kiedy będzie po wszystkim, zerwie kontakt z nowymi znajomymi... Ale czy wykorzysta nieuczciwie zarobione punkty? Nie zdołała odpowiedzieć na to pytanie. Spojrzała na Philipa, który nie próbował już więcej inicjować kontaktu, ale też nie odstępował jej na krok – po prostu szedł przed siebie z tą nieodgadnioną, poważną miną i wzrokiem utkwionym w plecach kolegów. Czy męczyły go wyrzuty sumienia? Czy może cierpliwie na coś czekał...?

Budynek był naprawdę duży, wielokondygnacyjny i nowy. Przypominał bardziej siedzibę urzędu niż tradycyjną szkołę, choć nie odstawał w Edu na tyle, żeby zwracać na siebie uwagę. Annie nigdy nie przyszłoby do głowy zastanawiać się, co to takiego, gdyby ktoś nie zwrócił jej na niego uwagi. Schludnie zagospodarowany dziedziniec, trochę skromniej urządzony niż te, które знаła, ale niepozbawiony zieleni i cienistych zakątków, tutaj niestety straszących pustkami.

– Czy oni też mają dzisiaj test? – zastanowiła się głośno.

– Nie – odparł Philip. – To znaczy, mało prawdopodobne. Oni przychodzą do tych szkół już po selekcji... Najczęściej z jednym mocnym talentem. Potem jest już tylko dojenie tego talentu i odpadanie po drodze tych, którzy nie dają rady przejść swojej ścieżki odpowiednim tempem.

Słowa świerzbily ją, tłocząc się na języku, ale ostatecznie nie odpowiedziała. Dotarli na miejsce. Trzy kompozytowe ławeczki ustawione w kształt litery U tworzyły kameralny, okolony niewysokim murem zakątek. Dziewczyny zajęły miejsca na wygodnych siedziskach, chłopcy zaś porozsiadali się na murku. Philip oparł się o pień olbrzymiego kasztanowca, którego korona tworzyła przyjemną zasłonę przed słońcem. Po chwili wahania, nie potrafiąc zdobyć się na to, żeby usiąść koło bliźniaczek, Anna zdecydowała się do niego dołączyć. Dziewczyny szeptały coś do siebie, ale nie patrzyły w jej stronę i Anna rozumiała, że na coś czekały.

Mieli stąd świetny widok na główne wejście do szkoły, a to tworzyło doskonałą okazję, żeby lepiej przyjrzeć się budynkowi. Im dłużej błądziła wzrokiem po prostej fasadzie, tym trudniej było jej

odpędzić natrętne, zaszczepione dopiero myśli. Ile pomieszczeń kryło się wewnątrz, ilu paralskich uczniów mogła pomieścić ta niemała przecież szkoła? Tysiące bez wątpienia. Czy to nie dziwne? Jeśli rynek pracy jest tak ograniczony, jak tłumaczono im od lat, dlaczego zwiększa się nabór wśród paralskich dzieci? Bo nie miała wątpliwości, że jest ich więcej niż jeszcze kilka lat temu. Czy odsetek geniuszy może tak znacząco wzrosnąć w przypadku zupełnie niekontrolowanego rozrodu? Nie wydawało się to prawdopodobne, ale z drugiej strony Anna nigdy nie interesowała się historią biologii na tyle, by móc stawiać hipotezy w tym zakresie.

Wiedziała tylko to, co większość: o ile mózg przeciętnego parała nie dawał tych samych możliwości, jakimi mogli dysponować Nowi Ludzie, o tyle genetyczna ruletka potrafiła raz na jakiś czas wskazać zwycięski los – i takie jednostki, choćby z powodu świeżości, jaką wносиły w szeregi mniej zróżnicowanych, choć o klasę lepszych ludzi, dziką kartą dostawały się wszędzie tam, gdzie potrzeba było nieszablonowego myślenia, oryginalności i szczególnych talentów. Dlatego powstała ta szkoła: żeby dać szansę tym, których bieda praktycznie nieistniejącego systemu edukacji parali normalnie skazałaby na życie byle służącego, jeśli nie gorzej – na czystą wegetację. Dla większości ludzi przyzwyczajonych, by myśleć o paralach, jak kiedyś myślało się o niepełnosprawnych – z pozorną tolerancją, z poczuciem pewnego obowiązku, by zapewnić im choćby minimum możliwości – taka szansa zdawała się szczytem humanitarności. W tym także dla Anny, która potrafiła im współczuć i zazdrościć w tym samym czasie... Jeśli jednak działo się tu coś innego? Nie wierzyła, że ktoś specjalnie blokuje ją i jej podobnych, żeby dać szansę tym biedakom. A co, zastanawiała się, jeśli mimo ogromnej przewagi ludzie przegrywają z paralami tylko dlatego, że ci drudzy są bardziej zmotywowani? Ostatecznie nasze życie, nawet jeśli nie pracujemy, jest o niebo wygodniejsze od życia najbogatszego z nich... Dla nich praca lub jej brak mają zupełnie inne znaczenie.

– O, idą! – zaśmiał się Luke. – Paraluchy, karaluchy! – Splunął na prawie nieużywaną ławeczkę.

Rzeczywiście, główne drzwi rozsunęły się, wypuszczając najpierw pojedyncze postaci, później niewielkie grupki, które rozchodziły się po dziedzińcu lub zbierały od nowa w ustronnych

altankach. Anna nie mogła oderwać od nich wzroku. Nawet nie chodziło o to, że nieczęsto miała okazję widzieć parali na żywo... Nie szokował jej wygląd fizyczny, począwszy od znacznie mniejszej czaszki po cały przekrój sylwetek i wszelakie manifestacje paraludzkiej brzydoty, z powodu której niektórzy ludzie uważali ich za fascynujących, a inni za obrzydliwych. Tym, co naprawdę ją zaintrygowało, był szereg interakcji, w jakie wchodzili między sobą. W swoim towarzystwie zachowywali się swobodnie, śmiali się, dyskutowali, grali w jakieś prymitywne gry. Teraz, gdy o tym pomyślała, musiała przyznać, że to oczywiste – dlaczego nie mieliby utrzymywać ze sobą kontaktów, zawiązywać przyjaźni? Nie mając swobodnego dostępu do Sieci i wirtualnych form spędzania czasu, byli przecież w pewnym sensie skazani na towarzyszy z jednej klasy, sąsiadów z bloku. A jednak nie mogła pozbyć się irracjonalnego uczucia zazdrości, widząc tak wielu z nich zaangażowanych w tak naturalne relacje społeczne. W porównaniu z rzeką mijających się anonimowych bytów, z którymi dzieliła szkolną przestrzeń, taki stopień zażyłości wydał jej się nagle niesamowicie pociągający.

Komfort obserwacji to jednak co innego niż bliższe spotkanie, a do takiego miało wkrótce dojść. Do ich zakątka zmierzało właśnie kilku parali. Najprawdopodobniej, sądząc po tym, jak bez wahania obrali kierunek, było to ich zwykłe miejsce spotkań. Początkowo musieli wziąć obcych za swoich kolegów, bo nic w ich zachowaniu nie wskazywało na zdziwienie lub rezerwę, ale kiedy znaleźli się odpowiednio blisko, można było dostrzec, jak zmieniają się wyrazy ich twarzy, a ruchy zamierają. I wtedy Anna zrozumiała, dlaczego tu usiedli. Poczula lekkie zażenowanie. Rzut oka na chłopaków, bliźniaczki – wojownicze spojrzenie jednej i sarkastyczny uśmiech drugiej – i już wiedziała, że nic dobrego z tego spotkania nie wyniknie.

Było ich pięcioro przeciwko ósemce. Zaskoczona zwierzyzna naprzeciw zaintrygowanego łowcy. Anna nie potrafiła spuścić z nich wzroku, nie zauważyła ani skrzywionej w obrzydzeniu twarzy Fary, ani splunięcia Luke'a. Nie widziała, jak Riri rozdziawił usta ze zdumienia. Patrzyła na parę na oko w jej wieku, na palce splecionych w luźnym uścisku dłoni – coś, co dotąd nieodłącznie kojarzyło jej się z Philipem. Dziewczyna była cała obsypana

nieregularnymi piegami, ruda, ale w jakiś taki niewyraźny, mdły sposób, pod oczami malowały się sine worki, nos był wyraźnie krzywy; chłopak natomiast zdawał się składać z samych kości, niezgrabnie związanych pod cienką skórą. Choć przed chwilą zdawali się nieświadomi swojej brzydoty, teraz stanęli jak wryci, spoglądając w magiczne zwierciadło idealnie wymodelowanych sylwetek i najmodniejszych rysów twarzy. Wyłapała subtelne spojrzenia drugiej dziewczyny, ciemnowłosej i wyraźnie otyłej, rzucane względnie atrakcyjnemu wysokiemu blondynowi tuż przed tym, jak spostrzegła obcych. Widziała, jak brwi blondyna marszczą się, jak przez jego twarz przebiega skurcz. Jak chłopak po lewej zatrzymuje się trochę za późno, zmieszany nagłym urwanieniem rozmów, jak przez moment rusza jeszcze głową w dziwny, niezrozumiały dla Anny sposób, aż uświadomiła sobie z przerażeniem, że chłopak niedowidzi.

– Cześć! – rzuciła wesoło Flea. Musiała czerpać z tego spotkania wyjątkową przyjemność, bo dzięki brunetce chyba pierwszy raz w życiu nie była najgrubszą w realu. – Mam nadzieję, że nie zajęliśmy wam miejsca!

– Skąd... – wydusił z siebie zaskoczony chudy i mocniej chwycił dziewczynę, jednocześnie występując do przodu, jakby chciał ją zasłonić. Blondyn lekko dotknął niewidomego kolegi, sygnalizując zmianę kierunku, i coś mu szeptem wyjaśnił. Grupa ewidentnie postanowiła uniknąć konfrontacji.

– Nie musicie odchodzić. Miejsca jest wystarczająco – zapewniła Flea. Jej mysi wygląd musiał wysyłać sprzeczne sygnały, bo paraludzcy uczniowie zawahali się.

– Poważnie! – przytaknął ochoczo Riri, wyczuwając zapewne zbliżającą się zabawę. Wypadł niezwykle przekonująco i nieznanymi po chwili podeszli bliżej.

Anna nie potrafiła odgadnąć, o czym myślą, ale mogła dostrzec ich ogromne zainteresowanie. Zarówno chłopcy, jak i dziewczyny mieli wyraźne trudności z oderwaniem wzroku od wagarowiczów z innego świata. Musieli im się wydawać niezrównanie piękni. Nawet bliźniaczki, uznawane przez swoich za wyjątkowo, choć oryginalnie nieatrakcyjne, w porównaniu z paralskimi standardami błyszczwały – jedna melancholijną, trochę tajemniczą urodą chudzielca, druga zaś uroczo pyzaty bogactwem. Szczególnie

Philip zrobił na nich piorunujące wrażenie. Obserwowanie, jak patrzą na niego z nabożnym niedowierzaniem, budziło w niej wyraźne współczucie.

– Jasne, przecież podzielimy się miejscem! Kto jak nie my! – dodał wesoło Luke, a w jego głosie pobrzmiwała nuta wyraźnie przecząca przyjacielskim słowom, miała zapowiedź tego, co miało nastąpić.

– Dobrze, Luke – dorzucił Anton i zarechotał, jakby była to część prywatnej, zrozumiałej tylko przez kumpli zabawy. Ale reszta też się zaśmiała. Tylko Anna i Philip nie przyłączyli się do powszechnej wesołości.

– Patrz, nie śmieją się. – Luke udał zmartwionego i wstał. Podszedł do niewidomego i objął go ramieniem. – Trzeba pokazać. No popatrz, kolego. Masz wolne miejsce, siadaj, nie krępuj się. – Popchnął chłopaka w kierunku ławki, gdzie pochwyciły go obce ręce i zaczęły okręcać wokół własnej osi. Pozostali chłopcy drgnęli, jakby chcieli pójść na ratunek koledze, ale Flea nagłym ruchem posadziła zdezorientowanego parala na twardym siedzisku i rozłożyła ręce w geście, który jak sądziła Anna, miał uspokoić towarzystwo, ale wydał jej się dziwnie prowokujący.

– No już, już. Tylko się bawimy. Nic się złego nie dzieje, prawda? – powiedziała głośno bliźniaczka, ale parale nie wyglądali na uspokojonych. Na ich twarzach niepokój mieszał się z gniewem. I to nie tylko na chłopięcych obliczach. Ruda pieguska zbladła, ale jej spojrzenie i zaciśnięte mocno usta wyrażały zaciętość.

– Po co tutaj przyszliście? – odezwał się wreszcie blondyn pełnym niechęci głosem.

– W odwiedzin, oczywiście – zaszczębiotała Flea. Ktoś zachichotał.

– Tak sobie myślimy, że w duchu dzielenia się i w ogóle koegzystencji podzielimy się tym kawałkiem ławki – kontynuował zaczepnym tonem Luke.

– Tak jak dzielimy się równymi szansami w edukacji i na rynku pracy, co nie? – dorzucił Anton.

– Nie wiem, w czym leży wasz problem – zaczął chudzielec, mierząc towarzystwo spojrzeniem spod zmrużonych powiek – ale jestem przekonany, że powinniście porozmawiać o tym z kimś innym.

– Wow, jaki elokwentny! – udała zachwyt Fara i nowa fala śmiechu wstrząsnęła altanką.

– Prawda? – podchwycił Anton. – Zupełnie jak z gry szkoleniowej do soft skilli! Haha!

Uwięziony między dziewczynami niewidomy chłopak spróbował niepewnie wstać, ale Flea przytrzymała go, obejmując nachalnie.

– Dokąd to, gołąbeczku?

– Ahaha! Gołąbeczku! – rżał Riri, coraz bardziej zachwycony zabawą. Fara też próbowała się śmiać, ale na widok obejmującej niepełnosprawnej koleżanki robiło jej się wyraźnie niedobrze. Chłopak przypominał ledwo wyklute pisklę, ślepe i nierozgarnięte, dręczenie go wydawało się czymś nieodpowiednim.

Sytuacja zaczynała robić się coraz bardziej nieprzyjemna. Anna spojrzała na Philipa, oczekując, że chłopak wreszcie przezwie „zabawę” tym swoim spokojnym, ale pełnym autorytetu głosem. Co prawda nie robił tego często, zwykle tolerował nawet najgłupsze występy kumpli, nawet jeśli nie zawsze podzielał ich gust, wiedziała jednak, że potrafi postawić wyraźną granicę między nimi, kiedy coś naprawdę mu przeszkadzało. Dlaczego teraz stał bez słowa, beznamiętnie obserwując sytuację, która przecież musiała mu się nie podobać tak samo jak jej?

– Dajcie mu spokój. – Nie wytrzymała. Jej głos ledwo przebił się przez głośnie śmiechy i niewybredne żarty, ale dotarł do Flee.

– Bo co? – spytała zaczepnie. Anna nie wiedziała, co odpowiedzieć, przez moment mierzyła się tylko wzrokiem z otwarcie wrogą dziewczyną.

– Bo koledze raczej nie podoba się zabawa – wyjaśniła w końcu, ważąc słowa.

– No to pech. Widzisz, nam też się nie podobają pewne rzeczy.

– Na przykład jego morda – zaśmiała się Flea i reszta znów pękała ze śmiechu.

– Nikt ci nie kazał jej oglądać! – wybuchła ruda. W jej oczach błyszczały łzy wściekłości. Jej chłopak ścisnął ją mocniej i szepnął coś do ucha.

– Lena ma rację – podjął spokojniej blondyn, choć widać było, że ten spokój wiele go kosztuje. – Nie musieliście tu przychodzić. Czy nie macie lepszych szkół? Lepszych dziedziców?

– Ty mi powiedz. W końcu jesteś wybitnie inteligentny. – Luke spowaźniał. Już nie udawał klauna, teraz przypominał drapieżnika osaczającego zwierzynę. Obchodził grupę, dołączając do Antona, który już od jakiegoś czasu krążył za plecami parali. Brunetka wzdrygnęła się, przestraszona, kiedy poczuła jego palce na swoim karku.

– Mm... tłusciutka – wymruczał z uznaniem i zaśmiał się nieprzyjemnie.

– No dalej – Flee zwróciła się do blondyna – powiedz nam, co jest takiego szczególnego w tej szkole, że wychodzą z niej jeden po drugim przyszli naukowcy, inżynierowie, a nawet artyści, skoro wchodzą do niej takie wypierdki jak wy?

– Co się takiego zmieniło, że nawet takie odrzuty natury, ha, odrzuty odrzutów – Flee pchnęła niewidomego, aż odbił się od oparcia ławki i jęknął – zajmują należne nam miejsca pracy?

– Zapytaj swojego rządu... – wycedził przez zęby blondyn, choć wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś innego i Anna domyślała się, co. A potem ruszył w kierunku ławki, jakby przestał martwić się ewentualnymi konsekwencjami i myślał już tylko o tym, żeby wyrwać ślepego z objęć bliźniaczek. Chudy chyba także dojrzał do jakiejś decyzji, bo puścił swoją dziewczynę, a jego dłonie złożyły się w śmiesznie małe piąstki.

– Ale po co? Skoro was, geniuszy, mamy na wyciągnięcie ręki – odparła niewzruszona Flee, zagradzając blondynowi drogę.

– W porządku. Róbcie, co chcecie, ale przynajmniej puście Erniego.

– Żeby stracić całą zabawę? – roześmiała się Flee.

– To nie jest zabawne.

– Mylisz się. Zaraz ci to udowodnię – odparła i skinęła na Riri, żeby pomógł przytrzymać chłopaka, teraz półleżącego bezwolnie na ławce. Riri chwycił jego obie dłonie, a drugą ręką przycisnęła głowę czerwieniejącego z upokorzenia chłopaka do gładkiej powierzchni ławki. Ruda zrobiła krok w tył i już miała obrócić się i pobiec w kierunku głównego wejścia szkoły, ale wpadła na Luke'a, który uśmiechał się paskudnie. Blondyn spróbował przedrzeć się przez barykadę chudego ciała Flee, ale dziewczyna zaskoczyła go szybkim i celnie wymierzonym ciosem w splot słoneczny.

– Siad, piesku – zadrwiła, kiedy chłopak zgiął się w pół, a jego oczy nabiegły łzami, gdy próbował złapać oddech. Chudy wyrwał do przodu i dopadł Ririego, próbując bezskutecznie szczupłymi, długimi palcami rozewrzeć stalowy uchwyt młodego. Ten zaś, uświadomiwszy sobie swoją przewagę, zaczął się śmiać. Byli silniejsi. Dużo silniejsi od parali. Tymczasem Flea ściągnęła z wierzgającego chłopaka proste spodnie i podniosła zgubiony przez niego but po to, żeby wymierzyć nim solidnego klapsa.

– Ale siadło! – krzyknął uradowany Riri.

– Dość tego! – wrzasnęła Anna. – Zupełnie wam odbija?

Nikt jej nie słuchał. Anton pomógł Flee spacyfikować usiłującego jeszcze walczyć blondyna i dziewczyna zajęła jego miejsce u boku grubej. Uśmiechała się teraz złośliwie, mocnym chwytem oplatając szyję paralki i mocno podszczypując wałeczki tłuszczu na jej brzuchu. Uśmiechała się równie szeroko, patrząc Annie prosto w oczy. Dokładnie tyle znaczyś, co te karaluchy, zdawało się mówić jej spojrzenie. Może nawet mniej. Czy nie miała racji?

Poirytowany próbami chudego, a może zachęcony nowo odkrytą przewagą, Riri puścił ślepego i uderzył chudzielca w twarz, aż tamten się zatoczył. Jednocześnie Riri sam syknął z bólu i Luke, widząc to, roześmiał się w głos.

– Nie pomyślałeś, co? – skomentował rozradowany i nawet nie drgnął, kiedy ruda wyrwawszy się z jego uścisku, wbiła mu łokieć pod żebro. Musiał przyblokować odpowiedź bólową – coś, na co niedoświadczony Riri nie wpadł w pierwszej chwili.

Anna obserwowała scenę z rosnącym niedowierzaniem. Zaczęły męczyć ją nudności – coś tak niesamowicie rzadkiego, że gdyby nie komunikat informacyjny medNowa, nie zorientowałyby się, co to. System autodiagnostyczny informował ją właśnie, że nieprzyjemna dolegliwość jest w 99% prawdopodobieństwa reakcją na nieprzyjemne bodźce wzrokowe lub manifestacją silnego dyskomfortu psychicznego. Nie ma fizycznego zagrożenia z układu pokarmowego, nie wystąpił żaden stan zapalny. Zaleca się odcięcie od drażniących bodźców oraz uruchomienie programu naprawy duchowej i głębokiego relaksu. Jeśli Anna sobie życzy, może zniwelować efekt jednorazowo, a także zapamiętać wybór na przyszłość. Nie skorzystała jednak. Czowała, że tak powinno być, że tak należy.

Parale zostali pokonani i ostatecznie zgnojeni. Anna uświadomiła sobie, że ani chłopcy, ani bliźniaczki nie mają już chyba pojęcia, co robić dalej, brakowało im też pomysłów na kolejne obelgi. Wyglądali jednak na nie do końca usatysfakcjonowanych, jakby przygotowane z pietyzmem danie nie sprostało rozbuchanym apetytom albo zbyt szybko się skończyło. Wracali teraz do swoich leniwych, nonszalanckich póz, świadomi przynajmniej własnej wyższości. Ukontentowani, że chociaż na chwilę przywrócili światu właściwą mu hierarchię ważności, stanęli na szczycie stworzenia.

Resztki woli walki widocznie wyparowały i parale stali teraz bez słowa, unikając prowokujących spojrzeń, nie reagowali na zaczepki i plucie. Znosili wszystko z bezsilną złością, tłącą się jeszcze pod ciężarem wstydu. Dziewczyny nie spuściły głów, choć pojedyncze łzy spływały po szyjach i wsiąkały w szkolne bluzy. Wkrótce nawet Flea dała spokój swojej zabawce, rzuciła butem gdzieś za siebie i rozparła się na ławie, wystawiając twarz do słońca, zupełnie jakby przyszła tu tylko po to, żeby odpocząć na świeżym powietrzu.

Niewidomy chłopak nieporadnie podciągnął spodnie i dopiero po chwili, czując, że nikt nie próbuje go już powstrzymać, podniósł się z ławki i otarł sinoczerwoną dłonią rozmazaną pod nosem mieszaninę krwi, śluzu i łez. Krwawiła rozcięta uderzeniem, brzydko nabrzmiała warga. Nie próbując nawet wyciągniętymi ramionami szukać przeszkód przed sobą, wykonał niepewny, chwiejny krok do przodu. Blondyn ujął go pod ramię i pomógł przejść jeszcze kilka kroków, kiedy zatrzymał ich spokojny, czysty głos Philipa:

– Zaczekaj.

Blondyn spojrział przez ramię i jego wzrok napotkał jasne spojrzenie Philipa, który stał teraz między nimi a ławką. W wyciągniętej dłoni trzymał zgubiony but. Blondyn zmierzył chłopaka pełnym nienawiści wzrokiem, spodziewając się zapewne podstępny, kolejnej części „zabawy”, ale Philip stał spokojnie. Anna obserwowała go, podobnie jak inni, zastanawiając się o czym teraz myśli. Przez chwilę wydawało się jej, że delikatnie gładzi palcem podeszwę buta, jakby badając jego teksturę. Przyszło jej do głowy, że może chce zapisać to wspomnienie z najdrobniejszymi

szczegółami, ale czuła, że chodziło o coś jeszcze. Tak jakby chciał poczuć, jak to tylko możliwe, tę właśnie chwilę.

Jego twarz ciągle nie wyrażała żadnych uczuć, stanowiła prawie neutralną maskę i blondyn musiał mocno wpatrzeć się w oczy Philipa, żeby choć spróbować odszyfrować jego intencje. Bez rezultatu najwyraźniej. W końcu, z wahaniem, puścił przyjaciela i stanął przed Philipem, gotów przyjąć dar czy choćby i kolejną obelgę, i sięgnął po but, z zaskoczeniem odkrywając, że może tak po prostu go zabrać z wyciągniętej dłoni, bez żadnych sztuczek i dodatkowych problemów. Philip z powagą skinął głową.

Blondyn podał koledze brakującą część odzieży i obserwowal w milczeniu, jak niewidomy siada na trawie i pozwala, żeby lekko zdeformowany materiał objął z powrotem szczupłą kostkę. Stał nad nim niczym opiekuńcze bóstwo, choć przecież wszyscy zdawali sobie doskonale sprawę, że nie mógł go w żaden sposób obronić ani przedtem, ani tym bardziej teraz. Ernie, bo tak chyba miał na imię niepełnosprawny chłopiec, nie wstał od razu. Anna ze zdumieniem obserwowała, jak na jego twarzy malują się wyrażne emocje.

– Myślisz, że jesteś od nich lepszy? – wychrypiał w nieokreślonym kierunku, ale jasne było, do kogo skierował te słowa. – Bo stać cię na odrobinę współczucia? – ciągnął, podnosząc się z trawy. Mówił z trudem, rozcięta warga pewnie sprawiała mu ból. – Po tym... wszystkim?

Philip nie odpowiadał, nie zdradził się żadną reakcją, choć do Erniego nic poza słowami i tak nie mogłoby przecież dotrzeć. Pozostali obserwowali scenę z rosnącym zainteresowaniem. Sprawy przybrały ciekawy obrót i sztuka doczekała się nieoczekiwanej i ewidentnie improwizowanego bisu.

– Nazywacie siebie ludźmi... – Ernie splunął krwią, jakby chciał wypluć także i to słowo. Czerwono zabarwiona ślina rozścieliła się delikatną smużką po trawie. – Może sprawdźcie najpierw, co to oznacza. I jak już będziecie przy tym, sprawdźcie też, skąd się wzięliście i co się komu naprawdę należy.

Anna z podziwem i satysfakcją zauważyła, że bezczelność tej wypowiedzi nagle odebrała mowę wszystkim tym wyszczekanym, pewnym siebie dzieciakom. Chłopak, choć stał zwrócony mniej więcej w ich kierunku, nie patrzył na nich, nie wodził wzrokiem

po widzach, ale stał z zamkniętymi oczami i głową przechyloną pod dziwnym kątem, przez co jego słowa nabierały nowego wymiaru niesamowitości. Anna nie przypominała sobie tego efektu z żadnej z gier, symulacji czy nawet szkoleń. Z błędzącym spojrzeniem przypominał nieznacznie ludzi, zbyt pochłoniętych swoimi aplikacjami, żeby dbać o naturalny ruch gałek ocznych, ale nikt w takiej sytuacji nie używał tradycyjnej mowy. A u Erniego wada wzroku zdawała się dotyczyć całego ciała, sposobu, w jaki się poruszał, jak doświadczał otaczającego go świata, i tak przecież niewyobrażalnie ograniczonego. I nie hamowała wściekłości, która coraz wyraźniej przebijała przez jego słowa.

– Skoro jesteście tacy perfekcyjni, co tu robicie? Nie potraficie żyć w swoich luksusach bez splunięcia komuś w oko? Nie wystarczy, że się nami wysługujecie, mamy jeszcze dbać o wasze ego?

– Obejdziemy się bez waszej łaski – odciął się Luke.

– Właśnie, wracajcie do swoich nor i mnożcie się dalej, jak popadnie, zobaczymy jak długo pociągniecie bez naszych MedCentrów. – Anton gorliwie dorzucił stary slogan przeciwników parali. Ale Ernie tylko uśmiechnął się pod nosem, choć blondyn mocno poczerwieniał na twarzy.

– Albo waszej jałmużny, tak? Bez nory, jak ją nazywasz, łaskawie podarowanej przez miłosierny rząd? Bez tej ohydnej papki bez smaku i wartości odżywczych, serwowanej, żebyśmy nie zdychali za szybko?

– Z naszych podatków.

– Z twoich pieniędzy, tak? A skąd masz te pieniądze, co?

– Z pracy całych pokoleń, dupku.

– No to chyba na tobie się skończy – dołączył do dyskusji chudzielec, mierząc Antona pełnym pogardy wzrokiem. – Nie jesteś za stary, żeby chodzić jeszcze do szkoły?

Anton aż się zagotował i niewiele myśląc doskoczył do chłopa, uderzył go z całej siły, aż chrupnęło i chudy zalał się krwią.

– Nie wiem, czy jesteś głuchy, czy niezdolny do prostego rozumowania, ale już mówiliśmy, że jeśli masz jakiś problem, możesz wyzalić się swoim politykom – odparł zmęczonym głosem blondyn.

– Gdybyście się nie pchali, gdzie nie trzeba, nie byłoby problemu.

– I zamiast nas gnoiłbyś swojego szkolnego kolegę, który okazał się lepszy od ciebie? – zapytał Ernie spokojnie, jakby udowodnił już swoją wyższość.

– Taki jest świat, pogódź się z tym – dodała ponuro ruda.

Anna uświadomiła sobie, że tak kończyły się wszelkie dyskusje o prawach parali. Słowa te wypowiedziane przez jedną z nich nabierały nowej barwy, nowego, brzydkiego znaczenia. Philip zaczął się śmiać.

– Czego rżysz? – zapytał z urazą Luke.

– Komizm sytuacyjny – odparł. – Przyszli na łojenie i sami dostali baty.

Flee nagle przestała wyglądać na rozbawioną.

– A ty co, Philip? Nie dosłyszałeś? Nawet ślepy widzi, że nie jesteś lepszy od nas.

– Nie mówiłem, że jestem. – Wzruszył ramionami.

– A może zaraz powiesz, że oni są?

– Nie mogą, prawda? Przecież są z natury gorsi, zacofani, a patrz, jak sobie dają radę bez dostępu do wiedzy na każde zawołanie, bez wymyślnych szkoleń i środowisk badawczych. Bez softu dziedziczonego od pokoleń, bez tych wszystkich niby-ulepszeń. A jednak coś w nich jest, nie?

– Jesteś chory.

– Albo to my faktycznie jesteśmy do niczego.

– Sam jesteś do niczego – odezwała się urażonym głosem Fara. Przy całym swoim uwielbieniu dla Philipa nie potrafiła przełknąć faktu, że mógłby nawet zażartować w ten sposób. – Może jeszcze powiesz, że podobają ci się te dwie. – Wskazała palcem paralki, nie kryjąc obrzydzenia.

– Na pewno bardziej od ciebie – odparł spokojnie, obserwując, jak Fara bieleje z przerażenia. Pozostali chłopcy, nawet Riri, który wyglądał na mocno zdezorientowanego, spojrzeli na Philipa z niedowierzaniem. Nawet jeśli żartował, nawet jeśli chciał tylko zrobić wrażenie, to cholernie mu się udało. Teraz naprawdę byli gotowi obrócić się przeciwko swemu.

Anna nie rozumiała, co się dzieje, widziała i słyszała, ale nie potrafiła uwierzyć. Parale też wyglądali na zdezorientowanych. Zaczęli wycofywać się powoli, jakby zrozumieli, że oś konfliktu przesunęła się nagle i dostrzegli w tym swoją szansę.

– Dokąd to? – zdenerwowała się Flee. Sprawy wymknęły się spod kontroli, zwycięstwo jakimś cudem zamieniło się w klępkę i Flee nie mogła pozwolić, żeby tak się to wszystko zakończyło. Nie mogła stracić twarzy, Anna rozumiała to doskonale, patrząc, jak bliźniaczka gorączkowo usiłuje zapanować nad sytuacją. Z Philipem zapewne policzy się później. Pograży go na oczach całej szkoły, nie było co do tego wątpliwości. Ale teraz miała inny problem na głowie... Nagle z odsieczą przyszła jej siostra. Flee już jakiś czas temu zwlekła się z ławki i obserwowała całe zajście z podobnym niedowierzaniem, co reszta, widząc jednak bezradność bliźniaczki, chyba po raz pierwszy wykazała się inicjatywą.

– Myślicie, że jesteście tacy święci, co? – Jej głos nie wydawał się tak charyzmatyczny, jak siostry, ale nadrabiała dodatkową porcją jadu i drwiną. – Nawet z obitymi gębami i żrąc błoto, uważacie, że tacy z was geniusze, nie? Całe to poczucie wyższości to jedno wielkie kłamstwo, którym karmicie się, żeby móc zasnąć w nocy. Będziecie udawać męczenników, bo tylko to potraficie. Ofiary, zawsze ofiary! Biedne parale, bez kasy, bez dostępu do technologii. Pokrzywdzeni przez los. Do ciebie mówię, gołąbku! – warknęła, popychając Erniego, który zacisnął z całej siły pięści. – Tak wam się nie podoba, że wasza marna egzystencja zależy od naszego widzimisię? A podobało się rzucać kamieniami w naszych dziadków i pradziadków? Podobało się wyzywać ich od odmieńców? Niszczycy to, co stworzyli? Mniej pretensje do swoich przodków. I nie zapomnij podziękować matce, że takiego cię urodziła.

Nie zauważyli kamienia ścisiskanego kurczowo w dłoni. Nikt w ogóle nie pomyślałby, że coś takiego można znaleźć w trawie. Na ich własnych wypielęgnowanych trawnikach żaden śmieć, żaden wystający korzeń czy nawet drobina żużlu nie miałyby prawa bytu. A nawet jeśli, nikt nie przypuszczałby, że któryś z parali po tym wszystkim, co przeszli, mógłby jeszcze pokazać pazury. Na pewno nie Ernied. Choć później, kiedy Anna o tym myślała, wydało jej się to zupełnie naturalne i gdyby któreś z nich przyjrzało się jego twarzy, zastanowiło się, co mógł wtedy czuć i o czym myśleć, nie byłiby tacy zaskoczeni. I może wszystko inaczej by się skończyło.

Chłopak wymierzył zaskakująco celnie. Anna odtwarzała ten moment wielokrotnie i nie potrafiła wyjść z podziwu. Nie mógł

jednak wiedzieć, że niemal w tej samej chwili Flea odwracała się do paralek, a Philip, który stał jej na drodze, odsunął się wprost pod spadającą na niego pięść. Cios był silny, wzmocniony furią i twardością kamienia. Anna dziwiła się później, że nie było słychać pęknięcia czaszki, jedynie stłumiony dźwięk, kiedy Philip upadł na trawę. To, co działo się potem, potrafiła odtworzyć tylko dzięki nagraniu. Chłopcy rzucili się na niewidomego, powalili go na ziemię i zaczęli okładać, kopać po brzuchu i głowie. Chudy, który razem z blondynem próbował przyjść mu z pomocą, znów oberwał po twarzy i po kilku ciosach w złamany już wcześniej nos stracił wreszcie przytomność. Anton i Luke bez zbędnej zwłoki zabrali się za boksowanie drugiego parala, który w ich rękach przypominał zużyty worek treningowy. Tylko Riri ciągle kopał leżącego, jakby zaciął się w nim jakiś program.

Flea patrzyła na tę scenę wyraźnie zszokowana, może zdając sobie sprawę, że mogłaby teraz leżeć na miejscu Philipa. Flee marszczyła brwi. Fara szlochała cicho, podobnie jak paralki. Tylko Anna podbiegła od razu do rannego. Asystent medNow odpowiedział, co robić, i zaczął analizować dane, gdy tylko dotknęła wskazanego miejsca na szyi Philipa. Zarejestrował też upływ krwi wsiąkającej w ziemię i brak reakcji źrenic, które Anna odsłoniła drżącymi palcami. Podyktował kolejne kroki, ale przez cały czas nad tym wszystkim pulsowało czerwone ostrzeżenie o braku łączności. Musiała wejść z powrotem online, żeby system mógł wysłać automatyczną wiadomość do służb ratunkowych. Zawahała się.

– Flee! – krzyknęła w panice. – Philip potrzebuje pomocy, musimy się podłączyć...

– Nie! – Flee spojrzała na nią z szaleństwem w oczach. – Nie ma mowy! Spróbuj tylko, a sama skończysz jak on.

– Daj spokój. Nie widzisz, że i tak jest po wszystkim? Nie ukryjesz tego! – Wskazała na Philipa i resztę grupy. – Nie da się już tego odkręcić. Pogódź się z tym.

– Nie. Zawsze możemy powiedzieć, że sam tu przyszedł.

– I tak odkryją, że sfałszowaliśmy test.

– Ale potem rozeszliśmy się każde w swoją stronę.

– Chyba żartujesz. Obudź się! Nie widzisz, co się dzieje?

W tym momencie obie spojrzały na młodego, który kłęcząc bez ruchu i bez słowa nad równie nieruchomym Erniem. Dwa palce

przyłożone do szyi chłopaka usilnie próbowały wyczuć cień pulsu. Riri w panice rozejrzał się po kolegach, szukając pomocy. Anna poczuła, jak dziwne zimno rozlewa się po jej klatce piersiowej. Potwierdziła prośbę medNowa i weszła do sieci.

– Już po wszystkim, Flee – dodała cicho.

Chłopcy jeden po drugim sprawdzali funkcje życiowe parala w irracjonalnym przekonaniu, że tym razem wynik będzie inny. Paralki podbiegły do kolegi i wyły jak ranione zwierzęta. Aż dziw, że nikt nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje, ale dziedziniec był pusty – wszyscy musieli już wcześniej wrócić do budynku albo rozejść się do domów. Może ktoś obserwował zajście z daleka, bezpiecznie ukryty, ale albo nie chciał, albo nie mógł zainterweniować.

– Co z nim? – zapytał zdenerwowany Luke, wskazując na Philipa.

– Żyje, ale... – zaczęła Anna.

– Pomoc jest w drodze – ucięła Flee, mierząc Annę nienawistnym spojrzeniem. Kto wie, co myślała w tej chwili, czy czuła ulgę, że ktoś inny podjął decyzję, kiedy ona nie potrafiła? Czy zwyczajnie dostosowała się do szybko zmieniającej się sytuacji? – Musimy ustalić wspólną wersję wydarzeń.

– To chyba jasne, nie? – burknął pewny siebie Anton. – Śmieć zaatakował bezbronny człowieka. Wszyscy mamy na dowód jasne wspomnienia. Zwyczajnie musieliśmy spacyfikować jego i tych koleżków.

– A co z resztą wspomnień? – zapytała zgryźliwie Anna. – Co z obitą twarzą tego chudego? Co z wcześniejszymi ranami? Przecież wystarczy minuta w skanerze i będzie wiadomo, że już był bity, zanim zaatakował.

– To są detale. – Luke wzruszył ramionami i otarł zabrudzone ręce. – Myślisz, że pierwszy raz ktoś pobił parala? Ilu widziałas ukaranych za coś takiego? Wszyscy wiedzą, że paralom łatwo odbija, to część ich uroku – zaśmiał się sucho.

Anna zamilkła. Nie mówiło się o tym, ale każdy wiedział, że parale byli śmiesznie łatwym celem. Nikt specjalnie nie dochodził, jeśli któryś potknął się i wypadł z tarasu wieżowca albo skończył w trzewiach systemu utylizacji odpadków. W opinii publicznej byli znani z agresji, był to przecież jeden z argumentów

przeciwników parali, argument, który pozwalał ciągle ograniczać ich miejsca pracy i osiedla mieszkaniowe do wyznaczonych stref, a także wprowadził gruntowne prześwietlenia i badania personelu mającego bezpośredni kontakt z ludźmi. Jednak argumenty Luke'a nie uspokoiły jej. Wręcz przeciwnie – z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. System sam odciął zbędne sygnały, tak że wszystkie dolegliwości fizyczne ustąpiły, ale chaosu w przeładowanej różnymi scenariuszami i analizami głowie nie dało się tak łatwo uporządkować. W końcu Anna poddała się i pozwoliła, żeby imCalm wyciszył ją do stanu głębokiego, bezmyślnego spokoju. Nie reagowała ani na gorączkowe dyskusje i groźby pod jej adresem, gdyby postanowiła sypać, ani na błyskawiczną akcję ratunkową i policyjną. Dała się prowadzić i poddała się cierpliwie wszystkim niezbędnym procedurom.

Szum fal kołysał ją do snu. Nie miała siły siedzieć w odpowiedniej pozycji, mogła tylko leżeć na twardym piasku, czując, jak delikatnie spieniona woda liże jej nagie stopy. Nawet bez czerwonych ostrzeżeń i szalejących wykresów wiedziała, że tym razem przesadziła z treningiem. Nie pierwszy raz zrobiła coś takiego, ale tego dnia pobiła wszelkie rekordy. Dopiero kiedy z uporem zignorowała kolejne ostrzeżenia zarówno beFit'a, jak i medNowa, nagłe mdłości i zawroty głowy przekonały ją, żeby wreszcie przestać. Leżąc na wznak i palcami prawej dłoni lekko muskając śpiącego obok wyrośniętego smoka, pozwoliła myślom wędrować swobodnie

Minęło kilka dni, zanim wypuścili ją do domu, zanim mogła wrócić do normalności, choć trudno było teraz jej życie nazwać normalnym. Czuła się dziwnie, wiedząc, że nie ma już zajęć, obowiązków szkolnych, żadnych testów, do których miałyby się przygotować. Nagle to wszystko zniknęło. Ta presja, zewnętrzna i wewnętrzna, wątpliwości, lęki. Z jednej strony czuła olbrzymią ulgę, z drugiej zaś – nie bardzo wiedziała, co zrobić z powstałą nagle luką, czym ją wypełnić.

Nie cichły w niej echa niedawnego procesu. Starła się odciąć od mediów, burzy, która wybuchła gwałtowniej, niż można się tego było spodziewać, i uspokajała się dużo wolniej. Co jakiś czas

odzywał się któryś z bliższych i dalszych znajomych, a nierzadko ktoś zupełnie obcy, kto udając współczucie albo zrozumienie, mniej lub bardziej bezczelnie próbował wyciągać od niej dalsze brudy, jakby nie dość im było tego, co i tak wypłynęło w przestrzeń publiczną. Ciekawość paliła nawet tych, którzy zdawali się być szczerzy, dlatego nie wychodziła z trybu prywatnego nawet na chwilę. Pierwszy raz w życiu izolacja nie była jej wyborem i pierwszy raz zaczynała naprawdę jej doskwierać. Desperacko pragnęła porozmawiać z Philipem. Ciągłe miała przed oczami jego nieruchomą twarz i ciągle nie mogła do końca uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Z całym tym bałaganem później na czele.

Odtwarzając wspomnienia z procesu, czuła się, jakby był to skrojony na jej potrzeby materiał edukacyjny. Mogła wczuć się w swoją bohaterkę, zdezorientowaną i przerażoną; mogła poczuć na sobie spojrzenia obecnych na sali ludzi, urzędników monitorujących przesłuchania, prawników, psycho- i socjotechników prezentujących analizy, malujących obraz jej kolegów i jej samej, zupełnie jakby byli tematem akademickiej dysputy. Ale nawet najdrobniejsze szczegóły – zapach i dotyk gładkiej, drewnianej powierzchni pulpitu; cisza, jaka zapadła podczas odtwarzania materiałów dowodowych; mdłości, które mimo supresyjnego działania medNowa skręcały jej żołądek... Nic tak naprawdę nie zmniejszało poczucia odrealnienia.

Bliźniaczki przez jakiś czas robiły jeszcze dobrą minę do złej gry, ale kiedy tylko sytuacja zaczęła robić się poważna, porzuciły butny ton i schroniły się za armią prawników i psychologów. Nie na długo jednak.

Decyzja o wydaleniu ze szkoły, pierwsza, oczywista konsekwencja złamania zasad, przyszła błyskawicznie, ale była tylko kamyczkiem w szybko toczącej się lawinie. Fakt, że wiadomości natury prawnej były jedynymi, które docierały do niej w areszcie, dodatkowo przytłaczał. Na początku nie pozwolono jej się skontaktować nawet z rodzicami – poinformowano ją, że z racji wieku wszyscy poza Riri traktowani będą jak dorośli. Przez kilka dni rozmawiała tylko z prawnikiem, który malował przed nią coraz bardziej przerażające wizje. Dość szybko postawiono zarzuty i o ile współodpowiedzialność w sprawie zabójstwa była do

przewidzenia, to już prawne konsekwencje sfabrykowania testu zaskoczyły nawet ich obrońców.

– Szczerze mówiąc, mieliście zwyczajnie pecha – przyznał Konrad, prawnik Anny. – Może się o tym nie mówi, ale nie jesteście pierwsi, którzy obeszl system. W innej sytuacji wybroniłbym cię bez problemu...

Anna nie skomentowała, ale sama na pewno nie użyłaby słowa „pech”. Zaczynała też podejrzewać, że sytuacja zaczyna go przerażać. Zapewne spodziewał się prostej sprawy, formalności, a nie tego...

– Choć nie jest też źle. Materiał dowodowy, który udostępniłaś, jest czysty. Zobaczmy, jak wypadnie pełna analiza, już w połączeniu z obrazem psychologicznym, ale wstępne wyniki są bardzo obiecujące.

– Nawet jeśli... podejrzewałam, że coś jest nie tak i prawdę mówiąc, cieszyłam się z tego?

– Wspomnienia, które udostępniłaś, wykazują twoje pełne zaskoczenie. Wyraziłaś nawet coś, co można interpretować jako protest. Jeśli wcześniej spodziewałaś się pomocy w teście lub liczyłaś na nią, nie ma żadnych dowodów na to, że brałaś udział w oszustwie. Oczywiście powinnaś była zgłosić nieprawidłowości, ale na twoją korzyść działają tutaj późniejsze wydarzenia. Ostatecznie to ty wezwałaś pomoc.

Anna wątpiła w jego słowa, choć przecież nie miała podstaw. Wspomnienia, które udostępniła śledczym, zostały gruntownie przebadane i zatwierdzone. Nie była nawet pierwszą, która sypnęła... Fara zaczęła nadawać, kiedy tylko pojawiła się policja, zanim poradzono jej, że powinna zamknąć się dla własnego dobra.

– Co do pozostałych... Morderstwo i kwestia napaści na Philipa, bo są one w oczywisty sposób powiązane... Tu robi się trudniej. – Konrad westchnął i nie było to wystudiowane, obliczone na jej reakcję westchnienie, ale szczerze przyznanie się do słabości. – Znowu, gdyby to się stało rok, dwa lata temu, nie byłoby problemu, sprawa nawet nie trafiłaby do sądu. Zebrałoby się materiał, wyszedłby zwyczajny wypadek. Może zapłaciłoby się rodzinie. Ale tym razem nie ma szans: jak widzisz, jest spory nacisk, żeby przeprowadzić skrupulatne śledztwo. Ten Ernie to był kawał materiału, że tak powiem, super utalentowany muzyk; tak, wiem, to banalne, ale kilka grubych

ryb ostrzyło sobie na niego zęby. No i akurat mamy trochę nieprzychylny klimat. To znaczy przychylny paralom. Kto by pomyślał?

Flee, pomyślała ponuro Anna. Wiedziała o tym, jedynie wyciągała błędne wnioski.

– Tak czy inaczej... Tutaj znowu ratuje cię materiał dowodowy, mamy wyraźny protest, później wezwanie pomocy.. Ale to niestety nie załatwia sprawy. W świetle tego, co się dzieje... musimy przygotować się na ostrzał. Podejrzewam, że będą próbowali dowieść, że zareagowałaś tylko po to, żeby ratować swojego chłopaka, że mogłaś przerwać tę sytuację w każdej chwili.

Anna milczała. Nie potrzebowała cudzych oskarżeń, sama potrafiła o nie zadbać. Wracała do tego pierwszego momentu i odtwarzała wspomnienie Flee pytającej ją, czy idzie. Anna była wtedy tak skupiona na odpowiedzi, na własnej osobie, że nie przyszło jej do głowy inne wyjście – przekonać resztę, że to zły pomysł. A przynajmniej spróbować. Kiedy jednak oglądała wyselekcjonowane wspomnienia i widziała determinację na ich twarzach, niezachwianą pewność siebie i zwyczajną bez troskę, zastanawiała się, czy ten wybór naprawdę należał do niej. Co nie zmieniało niestety faktu, że wciąż czuła, że mogła zrobić więcej. Miała przecież tyle okazji. I ostatecznie jej bierność równie dobrze mogła być kamieniem, który posłał Philipa na ziemię, i kopniakami, które zmasakrowały Erniego.

– Tak naprawdę w tej chwili chodzi o ustalenie stopnia winy każdego z was, dlatego musimy porządnie przygotować się do oceny psychologicznej. Pamiętaj, że masz naprawdę duże szanse wywinąć się z tego wszystkiego relatywnie bez szwanku. Ale jeśli dalej będą tak cisnąć, możesz dostać nawet do dwóch lat kwarantanny sieciowej.

– A co z pozostałymi?

– Trudno powiedzieć. – Konrad oparł się na minimalistycznym krześle i zamknął oczy, prawdopodobnie próbując dotrzeć do najnowszych informacji. – Nie ukrywam, że ze wszystkich obrońców w tej sprawie mam najłatwiejsze zadanie. Nie chcę spekulować, bo jeszcze kilka dni temu powiedziałbym, że siostrzyczki wyjdą z tego nawet niezadrapane, a dzisiaj... Dzisiaj wydaje mi się, że ich kasa nie wystarczy. Bez analizy psychologicznej widać, że Flee to niezłe ziółko. Reszta obrońców będzie robiła wszystko, żeby obarczyć ją

jak największą odpowiedzialnością. Sam to robię przecież. Ale to nie jest najciekawsze... Wydaje mi się, że ich obrona rozważa podobną strategię, żeby siostrze choć trochę się upiekło.

– Flea się na to nigdy nie zgodzi.

– Zobaczymy. Tym bardziej że może to nie mieć większego sensu, bo sytuację komplikuje kwestia waszego poszkodowanego... Normalnie sprawa byłaby prosta, bezpośredni sprawca nie żyje, więc nie ma od kogo żądać zadośćuczynienia, ale rodzice Philipa naciskają, żeby obarczyć winą resztę grupy, czyli w dużej mierze bliźniaczki, a w szczególności Fleę, no i chłopaków, za sprowokowanie agresji. Szczególnie słowa Luke'a, które tak ochoczo udostępniła wasza koleżanka, mocno ich obciążają.

– A co...

– Z twoim chłopakiem? To jest akurat najbardziej skomplikowane. Jak wiesz, chwilowo dostęp do jego wspomnień nie jest możliwy, nie wiadomo zresztą do końca, ile pamięci odzyska. Póki co rokowania są niezłe, choć wszyscy ciągle czekamy na ostateczną ewaluację. Jego rodzice chcą załatwić sprawę jak najszybciej, nie zgodzili się czekać, aż chłopak odzyska sprawność, co ma swoje wady i zalety. Jedną z zalet jest niewątpliwie wywalczenie większego odszkodowania, ale wadą – choćby problem w ustaleniu jego motywacji. Dlatego obrońcy Philipa tak bardzo nalegają, żeby się z tobą spotkać. Oczywiście nie namawiam cię do tego, prawdę mówiąc – odradzam. Konflikt interesów. Ale musiałem cię poinformować.

– Nie wiem jak mogłabym im pomóc.

– Jeśli chcesz, możemy przejrzeć twoje wspomnienia i wyselekcjonować takie, które działałyby na jego korzyść, a jednocześnie nie pogorszyłyby twojej sytuacji.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Już sam fakt, że sytuacja Philipa była skomplikowana niczym gordyjski węzeł, sprawiał, że Anna nie wiedziała, co myśleć. Z jednej strony był jednym z oskarżonych, z drugiej – powodem. A przy tym – co najbardziej ją uderzało – był tak bardzo nieobecny. Jak mogła mu pomóc? Nie chodziło nawet o to, że ktoś obcy miałby zaglądać w najbardziej intymne, drogie jej wspomnienia, rozkładać je na czynniki pierwsze i analizować pod każdym dostępnym kątem. Już przez to przechodziła – kolejna wyjątkowość tego procesu ujawniła się w momencie, kiedy uznano, że nie wystarczy ocena zautomatyzowanego i w pełni

anonimowego procesora, i dopuszczono wyświetlanie na sali sądowej fragmentów materiałów dowodowych. Jednak kiedy sama wielokrotnie analizowała każde ich spotkanie, każdą rozmowę – słowo po słowie i gest po geście – nie potrafiła powiedzieć, jak ma je interpretować. Czy jej wspomnienia pomogłyby Philipowi, czy może wręcz przeciwnie, posłużyłyby komuś do udowodnienia jego winy? Nigdy nie powiedział niczego wprost, ale wielokrotnie dawał do zrozumienia, może starał się znaleźć w niej odbicie własnych wątpliwości. Moment, kiedy Philip postanowił wreszcie się odezwać, kiedy podawał but paralom, ton, jakim odpowiadała dziewczynom... Czuła, że było tam coś dziwnego, niepokojącego. Zajął stanowisko, ale był przy tym taki... Nie potrafiła tego nazwać ani zrozumieć. Nie mogłaby stanąć przed sądem i zeznawać w jego obronie bez ryzyka, że ktoś dostrzegłby jej wahanie.

A jednak i tak wezwano ją na świadka.

W drodze na stanowisko mijala Riri, który właśnie skończył zeznawać. Nie potrafił spojrzeć jej w twarz. Natomiast Anna nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Nie mogła wyjść ze zdumienia, słysząc stek kłamstw, jakie wyrzucił z siebie przed tyloma ludźmi. Wiedząc przecież, że każde jego słowo jest nagrywane i skrupulatnie analizowane. Przywoływał wypowiedzi Philipa, w które nie potrafiła uwierzyć. Była pewna, że nagrania nie pochodziły z osobistej biblioteki Ririego, chłopak nie należał przecież nawet do kręgu znajomych Philipa. Jeśli wcześniej miała w sobie cień współczucia dla tego chłopaka, choćby z powodu traumy, jaką przeżył, czy zaprzepaszczonego w głupi sposób potencjału, teraz ten cień zniknął.

Zdenerwowanie nie pomogło jej wypaść tak, jak chciała. Bombardowana pytaniami, jąkała się, gubiła tok myśli. Mimo podpowiedzi sądowego softu, mylili jej się przedstawiciele różnych stron. Była spięta tak, że bolały ją mięśnie, a jednocześnie wydawałoby się, że zaraz ugną się pod nią nogi. Zeznawanie pod przysięgą wykluczało używanie wspomagających aplikacji, więc dla nieprzyzwyczajonych, czyli właściwie dla każdego, kto pierwszy raz stawał na mównicy, było istnym koszmarem.

– Czy słyszałaś, lub widziałaś, żeby Philip wyrażał w twojej obecności swój stosunek do tradycyjnych ludzi?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nie... Nie wiem, czy można to tak nazwać...

– Czy możesz przytoczyć treść jakiejś rozmowy?

– Nie. – Tym razem Anna odpowiedziała pewnie, widząc odpowiedź swojego prawnika.

– Czy przypominasz sobie taką sytuację... – Odtworzono transkrypcję rozmowy przy ognisku, okrajając ją do fragmentu wypowiedzi Philipa.

– Tak.

– Czy wcześniej lub później rozmawialiście na poruszone tutaj tematy?

– Nie przypominam sobie.

– Czy słyszałaś lub widziałaś, żeby Philip kiedykolwiek agitował przeciwko ludności tradycyjnej, a w szczególności młodzieży uczącej się w obrębie miasta?

– Nie.

– Czy jesteś w stanie przytoczyć jego opinię na temat systemu edukacji?

– Nie.

– Czy podejrzewałaś lub podejrzewasz, że stosunek Philipa do tradycyjnych ludzi jest pozytywny?

– Raczej tak...

– Czy dostrzegłaś coś w jego zachowaniu...

Co sugerowałoby, że miał problemy z własną tożsamością, z tożsamością Nowego Człowieka? Czy naprawdę o to zapytali, czy tylko tak jej się wydawało?

Nie wiedziała już nawet, czy odpowiada za niego, czy za siebie, ani w kogo miały uderzać mniej lub bardziej zawile insynuacje. Jedni malowali Philipa jako psychopatę, sadystę, inni wręcz przeciwnie – jako paralofila, chętnego, by zostać męczennikiem za sprawę. W pewnym momencie Anna uświadomiła sobie, że może popełniła błąd, nie udostępniając swoich wspomnień. Może gdyby inni zobaczyli to, co ona... Ale prawnik stanowczo zamykał jej usta i ostatecznie przyznała mu rację. Ten proces różnił się od cywilizowanych, oświeconych i uporządkowanych posiedzeń sądu, jakie zdarzyło jej się w życiu obejrzeć.

Ostatecznie nawet ten koszmar minął. Zgodnie z przypuszczeniami prawnika wywinęła się praktycznie bez szwanku, nie licząc

gwałtownie zakończonej edukacji i kilkumiesięcznego monitoringu stanu psychicznego, co dość łatwo przyszło jej zaakceptować. Reszta dostała mniej lub bardziej surowe kary, z pracami społecznymi, terapiami uwrażliwiającymi i tymczasowymi banami. Większość odpowiedzialności spadła, jak przewidywano, na Flee i Riri, których oceny psychologiczne okazały się mocno obciążające. Dostali w sumie po kilka lat moderowanego aresztu domowego z licznymi ograniczeniami łączności i ścisłym monitoringiem. Flee chyba ciągle nie mogła uwierzyć, że tak się to wszystko skończyło.

Anna przywoływała jej pełną niedowierzania i bezsilnej złości twarz, porównywała ze wspomnieniem grupki niczego niespodziewających się parali. Zastanawiała się, co by pomyślał o tym wyroku Ernien. Co myśleli jego rodzice, kiedy dowiedzieli się, na ile wyceniono życie ich syna. Annie kwota zadośćuczynienia wydała się śmiesznie mała, ale Konrad wyjaśnił, że dla parali takie pieniądze oznaczały niesamowity skok, może większe mieszkanie, lepsze jedzenie, może jedno z nich mogłoby nawet zrezygnować z pracy albo w razie czego sfinansować kosztowną opiekę medyczną.

A Philip? Ostatecznie nie udało się wykazać mu większego stopnia winy, ale też i jego rodzinie nie poszczęściło się w próbie uzyskania dodatkowego odszkodowania. Anna nie wiedziała, jaki wpływ na to miały jej zeznania, i prawdę mówiąc, nie chciała wiedzieć.

Po powrocie do domu wszystko wydawało jej się dziwne, może dlatego, że przekroczyła próg w czystym realu i nagle uderzyło ją, że gołe ściany i minimalistyczne, drogie meble oraz sprzęty nie różniły się specjalnie od wystroju niewielkiej celi, w której spędziła kilka najtrudniejszych dni swojego życia. W kuchni czekały na nią świeże posiłki, do których była tak przyzwyczajona, przygotowane dokładnie, jak lubiła. Nagle uświadomiła sobie, jak wiele komfortu zawdzięczała czyjejś pracy. Ktoś monitorował i programował automaty czyszczące, dbał o regularne przeglądy i drobne naprawy. Proste rzeczy, ale takie, których nie musiała robić sama. Były standardem na jej osiedlu, więc nie przywiązywała do nich wagi. Zastanowiła się czy kiedykolwiek widziała twarz odpowiedzialnej za to osoby? Czy chciałaby poczuć, jak to

jest nią być? Przypomniała sobie Philipa niosącego tacę ze świeżo zaparzoną herbatą. Bolesnie odczuwała jego brak.

Za to odnowiła kontakt z rodzicami, wdzięczna, że nie odwrócili się od niej, co, jak się okazało, nie było takie oczywiste. Oni byli cały czas obecni, śledzili proces. Przyszli też, gdy wróciła do mieszkania i siedząc naprzeciw nich, Anna uświadomiła sobie, że to chyba pierwszy raz, odkąd zamieszkała sama, kiedy spędzili wspólnie trochę czasu w realu. Z początku nie wiedzieli, jak ze sobą rozmawiać, ale w tej niezręczności też widziała nową wartość. Łagodnie zwrócili uwagę, że ciągle ma gdzie pójść, i nie namawiali, nawet jeśli wszyscy zdawali sobie sprawę, że to jej jedyna szansa na karierę. Poprosili, żeby się nad tym zastanowiła.

Nie była to jedyna rzecz, nad którą musiała się zastanowić. Miała czas i wiele pytań, wiele wątpliwości. Zaczęła szukać odpowiedzi. Droga, jaką przebyła ludzkość od czasu, gdy ścieżki dwóch gatunków zaczęły tak wyraźnie się rozchodzić, była dość burzliwa a jej historia osnuta kokonem teorii spiskowych oraz niesprawdzonych faktów. Jeśli wtedy trudno było rozpoznać prawdę, teraz mogło być tylko gorzej. Faktem pozostawało wszystko, co Nowy Człowiek ostatecznie osiągnął, co zbudował, jak daleko odskoczył od swoich przodków, zostawiając ich przestarzałe technologie w tyle, skupiając w swoim rękach większość zasobów i coraz większą władzę. Na przestrzeni lat zdarzały się epizody masowych przeobrażeń, kiedy wielu paralom oferowano lepszą przyszłość dla ich dzieci i szeregi uprzywilejowanych zasilala spora dawka świeżej krwi. Były też czasy surowych podziałów, zamieszek i buntów. Rodziły się i upadały przeróżne ruchy polityczne, z jednej i z drugiej strony. Wszystko to oczywiście tak zaplątane, że nawet próbując przebrnąć przez najlepszej jakości opracowania, Anna widziała w nich same sprzeczności. Jak mogła rozpoznać powód, dla którego świat dziś wyglądał tak, a nie inaczej, albo ocenić, czy mógłby się zmienić? Czy istniało choćby ekonomiczne uzasadnienie dla aktualnego stanu rzeczy? A jednak, skoro miliony ludzi nie miały problemu, żeby bez wahania zając stanowisko po którejś ze stron, dlaczego miała go Anna?

Tak jak obiecała, powoli zastanawiała się nad swoją przyszłością. Patrzyła na tablicę osiągnięć, zastygła w momencie, kiedy drzwi szkoły na dobre się za nią zamknęły, i wodziła palcem po

kikutach nigdy nierozwiniętych ścieżek, zastanawiając się, co by było, gdyby wybrała którąś z nich. Oczywiście teraz nie miało to większego znaczenia – bez oficjalnego wykształcenia jedyną szansą na karierę była ta oferowana przez rodziców, ale Anna czuła, że złamać się po tylu latach, po tym wszystkim... byłoby nie w porządku wobec samej siebie. Już wolała to proste życie, którym przecież żyła od tak dawna, nawet sobie tego nie uświadamiając. Nie było przecież takie złe. Tylko czasem czuła, że czegoś jej brakuje, że coś mogłoby poprawić jej egzystencję.

Jakoś niedługo przed feralnym testem kompetencji musiały na jej drzewku pojawić się nowe, nieśmiałe pączki, bo wcześniej – była pewna – nigdy ich tam nie widziała. Może był to efekt rozmów z Philipem – stopniowo przebudzone zainteresowanie ludzką i paraludzką biologią, metafizyką, psychologią. Jednym słowem coś, o co by się nigdy nie podejrzewała: ciekawość drugiego człowieka. I ta ciekawość nie wypaliła się, nie zniknęła. Nie obchodziło ją, że nie zdobędzie zawodu, że nie zrobi kariery. Pierwszy raz w życiu przemierzała Sieć w poszukiwaniu wiedzy, dla zaspokojenia własnej ciekawości, nie dla punktów na tablicy osiągnięć, i nie czuła się z tym źle.

Alicja Tempłowicz – naznaczony rocznik '89, właściciel portalu dla piszących Literka.info. Przecinkolog z wykształcenia i powołania. Poznaniara pełną gębą, choć obecnie w stałym związku z Wrocławiem. Publikowała w trzech tomach „Fantazji Zielonogórskich”, w antologiach z cyklu „Ścieżki wyobraźni”, w antologiach Fantazmatów, parokrotnie w „Szortalu” i w „Magazynie Histeria”. Wykonała też kilka ilustracji – tu i ówdzie. Na usługach projektów fanowskich w charakterze różnym i podłużnym. Autorka artykułów zahaczających tematyką o językoznawstwo diachroniczne, demonologię ludową i wierzenia słowiańskie (nie mylić z „mitologią”). Filker, wielbielka akwareli, tuszu i kawy w kilku wydaniach – w tym jako materiału malarskiego. Po światłowodach biega jako Kruffachi.

Alicja Tempłowicz
TERU CZERWONA PIĘŚĆ

K., która spytała mnie dawno, dawno temu, dlaczego niektórzy uważają, że nie ma prawa się zakochać jak inne dziewczyny.

Wóz toczył się z miarowym skrzypieniem kół w stronę rozstajów, na których – jak na każdym w tej stronie świata – ustawiono posąg Boga o Trzech Twarzach. Miał formę obelisku, na dole podpisanego nazwami najbliższych grodów, na górze ozdobionego prostymi wizerunkami opiekuna zbłąkanych i wędrowców. U jego stóp brzęczały muchy zwabione złożonym w darze miodem i fermentującymi owocami w miseczkach. Na tych ostatnich przysiadają też barwne motyle.

– Patrzenie, ojciec! Teru Czerwona Pięść! – zdążył wykrzyknąć płowy chłystek, nim siedzący obok niego na kozle wozu mężczyzna dzielił go papaczą.

– Cicho, gamoniu! – zrugął syna. – Ściągniesz na nas kłopoty!

Istotnie – najsłynniejsza wojownicza krain od Morza Szarego aż do przełęczu Oyre wyglądała jak kłopot. I to spory, bo mierzący niemal cztery łokcie na wysokość i niewiele mniejszy w ramionach. Nie miała na sobie pełnego pancerza (ten zapewne spoczywał w jukach), ale skórzana kurta nosiła sugestywne wgniecenia po kolczudze i elementach płyty, a także ślad po nadpaleniu. Blizny na nagich, zielonkawych przedramionach oraz twarzy nie sprawiały wrażenia zdobytych podczas karczemnych bójek, a wbita w czerwony jak płomień kok strzała prawdopodobnie nie służyła za ekstrawaganckie dopełnienie fryzury.

Obok Czerwonej Pięści stał jej dzielny wierzchowiec – Żwirek. Olbrzymie, czerwonoookie i rogate bydło z piekła rodem pokrywała długa czarna sierść, układającą się w grube jak ramię dziecka strąki. Zwierzę skubało w spokoju trawę, ale łatwo było sobie wyobrazić, jak ogromny pysk z podobnym niewzruszeniem skubie coś zdecydowanie mniej jarskiego.

Kobieta wspierała się na równie słynnym co ona mieczu z małym czerwonym kamieniem w rękojeści i wpatrywała ze skupieniem w służący za drogowskaz kamienny słup. Ku rozpaczliwej chłystka nie obróciła się, gdy wóz mijał rozstaje i skręcał w stronę Allermo. Zamiast tego sięgnęła po przytroczony do pasa

zająca z przetrąconym karkiem. Ułożywszy go na trawie, rozpruła mu ciało i umoczyła dwa palce w jego krwi, a potem, szepcząc pod nosem modlitwę, przesunęła nimi po cokole.

Posąg miał trzy twarze zwrócone w różne strony świata, ale żadna z nich nie patrzyła ku zachodowi, gdyż był to kierunek śmierci.

Kierunek, w którym ostatecznie podążyła Teru.

Historia, która przywiodła ją do tego miejsca, zaczęła się wiele lat wcześniej w krainie zwanej Ideyre. Zaczęła się najpewniej w jakąś ciepłą noc w przydrożnych krzakach, ale tego Teru oczywiście nie pamiętała. Pierwsze wspomnienia dotyczyły życia na zamku Knipfor, a dokładniej w pomieszczeniach dla niższej służby i niewolników, gdzie dzieliła pokój z czterema innymi dziewczętami (potrafiła to stwierdzić, bo kucharka Berta pokazała jej, że z nią to tyle, ile palców u jednej dłoni) i miała swoje łóżko, w którym bardzo szybko przestała się mieścić.

Zanim skończyła dziewięć lat, dzieci miały jeszcze odwagę ją wyśmiewać, zwłaszcza jeśli cieszyły się przewagą liczebną. Potem było już różnie, a jeszcze bardziej potem co najwyżej rzucały w nią rybami i kapustą z bezpiecznego dystansu i najlepiej zza osłony. Gruba skóra sprawiała, że dziewczyna niemal nie zauważała pocisków, a że padła ofiarą szykan, docierało do niej, dopiero gdy przychodziło do prania baraniego kubraczka. Z tego z kolei niejeden z ganiających za nią dzieciaków mógłby sobie zrobić wygodny namiot, i jeszcze zaprosić kolegę. Wyzwisk też czasem nie słyszała, bo kiedy mocno skupiała się na wykonaniu zadania, świat dookoła przestawał dla niej istnieć.

Zadania dostawała proste, ale ważne. Przynieść wodę ze studni, zanieść kosze z chlebem do kredensu, pozamiatać salę i wysypać podłogę świeżym sitowiem. Tyle była w stanie pamiętać i na tyle wystarczało jej umiejętności.

W królewskim zamku znalazła się w ten sam sposób, co większość półorcząt w bogatych domach, czyli zgarnięta przez wyspecjalizowanych handlarzy niewolników – zbieraczy. W miejscu, z którego pochodziła, panowało przekonanie, że dzieci są jak leśne zwierzęta i muszą radzić sobie same od najmłodszych lat.

Gardzono ludźmi, pielęgnowującymi swoje młode aż do dorosłości. Kiedy tylko maluchy były w stanie poruszać się samodzielnie, orkowie, dla których wszystko przypominało wojnę, wywozili je poza osadę, by zawalczyły o przetrwanie i dowiodły swego prawa do istnienia. Oczywiście wielu z nich się to nie udawało; inne, jak Teru, trafiały w łapy zbieraczy, dla których takie pełzające wśród traw zielonkawe szkraby stanowiły niezwykle łakomy kąsek – rzadki, ale osiągnięty na targach niewolników niebotyczne ceny.

Dziewczyna była głupia, ale nie aż tak, żeby nie rozumieć, że została sprzedana, że ktoś zapłacił za nią wyznaczoną cenę, a to oznacza, że stała się czyjąś własnością. Nie klóciła się z losem, nie roztrząsała straconych scenariuszy, bo na to brakowało jej wyobraźni. Po prostu robiła swoje i robiła to solidnie.

Nie wszyscy zresztą byli dla niej źli. Jedną z kucharek, Berta – ta sama, która nauczyła ją liczyć na palcach – często plotła warkocz z jej ciemnorudych włosów i zawsze zostawiała dla niej jakieś ciastko zawinięte dyskretnie w serwetkę. Nazywała ją Okruszkiem nawet wówczas, gdy Teru przewyższała ją już o trzy głowy. Inną dobrą osobą był najmłodszy z dziewięciu synów króla – Gaurin. Dziewczyna lubiła podpatrywać, jak ćwiczy fechtunek (często tracił równowagę i śmiesznie się złościł, czerwieniąc po same czubki uszu), a czasem nawet przemykała do ogrodu, gdzie zabierał go nauczyciel poezji. Chłopiec wiedział, że ma obserwatora – niekiedy uśmiechał się w kierunku półorczycy albo machał do niej, kiedy nikt nie widział. Jednak najbardziej lubiła go za to, że dwa razy stanął między nią a lecącymi w jej stronę rybami. Pierwszy raz oberwał flądrami w twarz, ale przedstawił się wszystkimi tytułami i nastraszył dzieciaki swoim ojcem tak płomiennie, że potem wystarczyło tylko, że chrząknął.

Kiedy pewnego poranka Teru obudziła się wśród dymów i krzyków, nie zastanawiała się długo i po prostu zrobiła to, co podpowiedziało jej serce.

Wówczas jeszcze nie wiedziała, czym jest wojna – choć podobno miała ją we krwi – i nie знаła walki innej niż obserwowane z ukrycia kontrolowane potyczki na placu ćwiczebnym. Instynktownie wyczuwała jednak, że dzieje się coś złego i że dzieje się bardzo

na poważnie. Służące piszczały i płakały. Wyjrzawszy przez małe okienko we wspólnej komnacie mieszkalnej, Teru zobaczyła, jak nieznani jej ludzie we wzmacnianych kurtkach wywlekają na plac jedną z kucharek i zadzierają jej spódnicę, a potem ucinają głowę chłopakowi o odstających uszach, który nosił wino. Napastnicy mieli twarze ukryte pod chustami i maskami, a do naramienników przyczepione pióra drapieżnych ptaków.

Parę lat później Teru miała się dowiedzieć, że taki ubiór wyróżnia czarnoksięskich akolitów – zasłaniaли oni swoje oblicza na podobieństwo umarłych, by bogowie nie rozpoznali w nich bluźnierców i by traktowali ich jak dusze podróżujące ku krainie motyli.

Wówczas jednak zrozumiała tylko tyle, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Zrozumiała, że wszystkim grozi niebezpieczeństwo.

Ze wspólnej sypialni wybiegła w nocnej koszuli, na którą wciągnęła pośpiesznie płócienną spódnicę i swój barani kubraczek.

Była duża i silna, a strzały odbijały się od jej skóry, więc po prostu pognąła przed siebie, wprost do kuchni, gdzie znalazła Bertę. Wyciągnęła ją spod stołu, pod którym kucharka usiłowała się schować, wzięła pod pachę, pod drugą zgarnęła wypatrzonogo w zamieszaniu królewicza i tak – wrzeszcząc bardziej ze strachu niż z bojowego nastawienia – wbiegła w oddział próbujący odciąć drogę uciekinierom. Usłyszała brzęk metalu i trzask łamanych kości, ale nie oglądała się za siebie. Nie zważała też na protesty mającego go kończynami chłopca, a tylko mocniej przycisnęła go do żeber, aż zwiotczał.

Powietrze drżało wokół niej nie tylko od ognia i krzyków, ale też od bluźnierczej magii, z jaką wówczas spotkała się po raz pierwszy, choć nie ostatni. Śmiercionośne zaklęcia zmieniały ludzi w krwawą miazgę i kruszyły mury, które dotąd wydawały się wieczne jak sam czas.

Przeżrana Teru biegła długo, aż za jej plecami nie zostały wszelkie ślady ludzkich osiedli. Prawdopodobnie popełniła przestępstwo, przekroczywszy granicę królewskich lasów, ale ginący właśnie władca krainy miał ważniejsze sprawy na głowie niż troje uciekinierów płoszących mu zwierzęta, w tym jeden depczący ściółkę. Dziewczyna zatrzymała się, dopiero kiedy zaczął zapadać

zmrok i gęste jak smoła cienie wypełżyły pomiędzy splątanych korzeni wiekowych drzew. Potrząsnęła Bertą, potrząsnęła królewiczem, ale żadne z nich nie wróciło do przytomności – kucharka jęknęła jedynie coś o tym, że trzeba wyjąć bułeczki z pieca – więc półorczyca westchnęła i usiadła na mchu, opierając oboje o swoje boki. Wówczas nie wiedziała jeszcze, że żeby przetrwać nocą w lesie, dobrze jest rozpaścić ogień, zatem gdy zaszło słońce, dziki zwierzęta zaczęły krążyć wokół ocalałych, zwabione ciepłem ciał i zapachem krwi. Kiedy jednak wychylały się zza zarośli, Teru warczała na nie i pokazywała kły. Jej żółte, świecące w ciemnościach oczy stanowiły skuteczne ostrzeżenie.

Ranek zastał ją bardzo zmęczoną, skostniałą i z ubraniem nasiąkniętym rosą, ale też szczęśliwą, bo zdołała uratować dwie osoby, które były dla niej dobre. Berta i królewicz spali wtuleni w jej boki – bezpieczni i każde mniej więcej w jednym kawałku.

I tak to się zaczęło. Z jakiegoś niezrozumiałego dla Teru powodu jednak, choć historia była prosta, za każdym razem, kiedy królewicz Gaurin opowiadał ją napotkanym ludziom, stawała się nagle trzy razy dłuższa i obfitowała w przedziwne szczegóły, w tym w dwuręczny topór w rękach niewolnicy i potężne uroki rzucane przez Bertę. Rzecz nie działa się zresztą na zamku Knipfor, a w odległej krainie za górami Oyre, gdzie nikt i tak nie miał szans dotrzeć. Sam Gaurin nie był w tych opowieściach żadnym księciem, a synem kupca, którzy przypałał się do kompanii wojowniczych kobiet zupełnie przypadkiem.

Teru nie mogła pojąć, skąd te wszystkie przeinaczenia, ale za każdym razem, kiedy chciała poprawić królewicza, Berta dyskretnie dźgała ją łokciem w ramię i rzucała ze zmarszczonymi brwiami: „Okruszku!”, więc w końcu dziewczyna przestała podskakiwać, kiedy Gaurin coś pomylił.

Czasem zdarzało się, że nocowali w jakichś krzakach, ale częściej znajdowali dach nad głową i ciepły posiłek. Niekiedy łapali drobne sezonowe prace, choć nigdzie nie zdołali zaczepić się na dłużej – czasy były niespokojne, w Knipforze panoszył się czarnoksiężnik i przybyszom nie ufano dla zasady. Ale nikt już nie rzucał w Teru rybami i kapustą. Zamiast tego ludzie i elfy, a czasem nawet krasnoludy schodzili jej z drogi. Bywało i tak, że ktoś dosiadał się, przynosił jej kufel piwa i zaczynał mówić jakoś

dziwnie, zawsze szeptem i rozglądając się na boki. Dziewczyna nie miała pojęcia, czego od niej chcą nieznanymi i co ma znaczyć takie zachowanie, ale szczęśliwie zwykle w porę zjawiali się Berta lub Gaurin i przeganiali intruza.

Teru nie dziwiła się specjalnie, że w tej kolorowej mieszance różnych ras i kultur rzadko spotyka takich jak ona, a jeśli już, widzi ich najczęściej przy jakiejś fizycznej pracy. W końcu nie znała innych orków czy półorków niż niewolnicy i taki stan rzeczy wydawał się jej całkowicie naturalny. To ona zaburzała oczywisty bieg spraw i czasem miała wrażenie, że żółte oczy zakutych w kajdany pobratymców wiercą jej dziury w plecach.

Sama zresztą też pracowała, chociaż już chyba nie należała do nikogo. Nosila różne rzeczy, pomagała naprawiać wozy, czasem przeprowiała kogoś przez rzekę. Królewicz towarzyszył jej zawsze i strasznie śmiesznie przy tym sapał, a potem dostawali za to pieniądze i Berta kupowała im jedzenie oraz ubrania, jeśli starych nie dało się już zacerować.

Przez pierwsze dwa lata tułaczki Teru dużo się nauczyła, a poza tym urosła jeszcze bardziej (zwłaszcza w okolicy piersi) i wkrótce przestała mieścić się w nocną koszulę, w której uciekła z Knipforu – choć ta i tak się przydała, bo Berta uszyła z niej mocny plecak. W każdym razie Teru musiała uważać na gałęzie drzew, jeśli przedzierali się przez las, i na progi, jeśli nocowali w zajazdach. Wszystkie krzesła były dla niej za niskie, a łyżki za małe. Czasem, jeśli trafili na dobrych ludzi, dostawała od gospodyni kociołek zamiast talerza i chochlę. Owszem, jej rozmiary i siła niekiedy sprawiały problemy, ale częściej się z nich cieszyła – choćby dlatego, że mogła bez trudu nosić opadającą czasem z sił kucharkę.

Pewnej nocy przestała też być dziewczynką i stała się kobietą. W pierwszej chwili bardzo się wystraszyła, zauważywszy rano, że krwawi, ale Berta wszystko jej wytłumaczyła, a kiedy półorczyzcę rozboleł brzuch, nazbierała ziół i przyrządziła napar. Mniej więcej w tym samym czasie na ciele Teru zaczęły wyrastać włosy – ale i tym razem kucharka pospieszyła jej z pomocą, mówiąc, że nie ma w tym niczego dziwnego. Pokazała dziewczynie własne nogi i opowiedziała trochę o rozkwitaniu.

Królewicz też zmienił się przez te lata i nie był już tamtym złotowłosym chłopcem z rybą na twarzy, jakim Teru zobaczyła go po

raz pierwszy. Może to wędrownka, może wygnanie, a może tylko upływający czas sprawił, że Gaurin zmęźniał zaskakująco szybko, jakkolwiek Berta nadal zwykła mówić o nim, że jest raczej ładny niż przystojny. Teru jednak bardziej niż kiedyś lubiła patrzeć, jak czaruje on nieznanym swoimi opowieściami. Gdy nie traciła już czasu na zastanawianie się, dlaczego tak wiele rzeczy mu się myli, zauważyła, że jego jasna twarz wtedy pogodnieje, a oczy zaczynają iskrzyć. Odkąd uciekli z płonącego Knipforu, to nie był wcale częsty widok i dla Teru miał wartość skarbu. Lubiła w końcu, kiedy ludzie wokół niej uśmiechali się szczęśliwi, zwłaszcza jeśli ci ludzie o nią dbali i byli dla niej mili.

Królewicza lubiła jednak trochę inaczej niż Bertę i zauważyła to pewnego ranka zupełnie nagle, gdy poszedłszy nad strumień po wodę, przyłapała go w kąpieli. Zawstydziała się i przeprosiła, bo wiedziała, że to nieładnie zachodzić ludzi, kiedy nie są ubrani, na co on odwrócił się wystraszony i zawstydził jeszcze bardziej od niej. W każdym razie Teru został po tamtym incydencie w pamięci ślad wyrzeźbionych tułaczka mięśni i jakoś tak całkiem zatarł wspomnienie chłopca, który w czasie nauki fechtunku potykał się o własne nogi i z trudem utrzymywał broń na odpowiedniej wysokości.

Pewnego dnia dotarli do miasta w dzień targowy i Teru podziwiała kramy z bliska, a nie z wysokości zamkowych murów. Wiedziała, że inne dziewczyny z zamku chodziły w takie dni na zakupy po jakieś drobiazgi, których z tego czy innego powodu zabrakło w kuchni, ale jej – liczącej tylko na palcach – nikt nie wysyłał z takim zadaniem. Czasem jednak stawała w oknie, wychylała się przez kamienny parapet i patrzyła na kwadraty rozpiętych daszków i kolorowe plamy wyłożonych na straganach towarów. Słuchała przyjemnego gwaru – z takiej odległości zupełnie wypranego z wszelkich słów, przypominającego brzęczenie owadów nad koszami owoców.

Z poziomu placu targowego wszystko było zupełnie inne i Teru szybko straciła orientację w tym chaosie. Wyciągała szyję, rozglądając się i chcąc złapać każdy barwny szczegół, ale od ich nadmiaru aż wirowało jej w głowie. Ludzkie głosy już nie przypominały aż tak brzęczenia. Rozbijały się na wołania, śmiechy, pretensje i kłótnie. Dzwoniły naczynia, przesypanywał się groch, uderzały o siebie miedziane i srebrne monety. Wśród tych dźwięków

półorczyca zupełnie przestała słyszeć Bertę, choć miała wrażenie, że jeszcze przed chwilą była całkiem na bieżąco z negocjacjami w sprawie ceny worka kaszy i dwóch garści kiszzonej kapusty. Dziewczyna cieszyła się, bo lubiła kapustę, o ile ta nie lądowała na jej twarzy, a w żołądku.

– Teru!

Królewicz natomiast zupełnie zniknął jej z oczu, aż do tego momentu, gdy nie zawołał jej po imieniu i nie pokazał ręką, by do niego dołączyła. Stał nieco z boku, poza najgęstszym tłumem, i gdyby nie to, że dziewczyna przewyższała ten tłum o ponad głowę, albo i dwie, zupełnie by go nie zauważyła.

– To dla ciebie.

Teru spojrziała zdziwiona na Gaurina, a potem na to, co trzymał w rękach. Było tak małe, że jej własne palce wydawały się o jakieś trzy rozmiary za duże, żeby w ogóle próbować to chwycić, ale królewicz położył przedmiot na otwartej dłoni olbrzymki. Zobaczyła błysk słońca odbity w czymś ładnym, świecącym i czerwonym. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, bo lubiła i czerwony, i świecące rzeczy. Łańcuszek przyczepiony do błyskotki spłynął po jej szorstkiej skórze.

– Kupiłbym większy – bąknął chłopak, jakby zakłopotany – ale wiesz, jak jest... Pochyl się, załóż.

Żeby Gaurin sięgnął jej szyi, musiała nie tylko skłonić głowę, ale wręcz zgarbić całe plecy tak, że prawie oparła mu się czołem o ramię. Kiedy musnęła palcami jej skórę, pomyślała nagle, że warto było się tak poskładać. Odkryła, że to... przyjemne. Wszystko. I prezent, i gest, i dotyk. Miłe. Tak miłe, że Teru poczuła pod żołądkiem ciepło, jakby ktoś rozpałił tam małe ognisko. Aż zapomniała podziękować i tylko patrzyła na królewicza bez jednej składnej myśli w głowie. Uśmiechał się do niej, jakby doskonale rozumiał, a potem wziął za rękę – czy raczej za palec, bo jego dłoń była przy jej dłoni jak dziecięca.

– Chodź – powiedział. – Musimy dogonić Bertę.

Gaurin tak naprawdę nigdy nie przestał być królewiczem, co było w jakiś sposób jednocześnie zabawne i smutne. Dwa lata wędrówki nauczyły go wiele, zmusiły do podejmowania zadań,

o jakie nigdy nie zostałyby poproszony w zamku ojca, brudzenia sobie rąk, spania na gołej ziemi i jedzenia okropnych, często niedoprawionych lub nadpsutych rzeczy. Jednak mimo wszystkich tych okoliczności chłopak – zapewne nieświadomie – robił, co się dało, żeby uczynić swoje życie możliwie podobnym do tego, jakie stracił w wieku dwunastu lat. Drażniło go wiele drobiazgów, takich jak spanie w dziennym ubraniu, niemożność uczesania włosów czy wyczyszczenia zębów. Często wycierał ręce w spodnie lub skraj płaszcza i złościł się, że takiej na przykład żywicy czy tłuszczu z mięsa nie jest w stanie w ten sposób usunąć z palców. Uwadze Berty nie uknęło również, że kiedy myślał, że nikt nie widzi, okręcał dłonie skrawkami materiału, by chronić je przed powstawaniem pęcherzy. Podczas pierwszych miesięcy problem stanowiły też bąble wyskakujące na stopach, ale akurat z tym borykała się również kucharka, bo choć wcześniej ciężko pracowała, nie przygotowało jej to na wielogodzinne wędrówki dzień w dzień – tym gorsze, że początkowo pozbawione celu.

W każdym razie Gaurin mył się przy każdej okazji, gryzł okorowane patyki, a podczas jednej z pierwszych wizyt w lepiej zaopatrzonym grodzie nabył kościany grzebień. Posłanie też wciąż mościł sobie najdłużej ze wszystkich, jeśli noc zastawała uciekinierów w szczerym polu. Teru często zasypiała tam, gdzie usiadła, czasem oparta o drzewo, a czasem nawet nie – co kończyło się zwykle potężnym łupnięciem o ziemię tuż po tym, jak odpłynęła do krainy marzeń. Berta potrzebowała ciut więcej wygód, zwłaszcza gdy zaczęła zmagać się z bólem bioder i krzyża, ale to królewicz najpierw trzy razy obchodził okolicę w poszukiwaniu możliwie płaskiego kawałka terenu, a potem rzucał się przez dobre dwie godziny, niekiedy mruczając do siebie z niezadowolaniem.

Kucharka podśmiechiwała się do siebie, widząc tę gimnastykę, ale w duchu przyznawała, że chłopak jest dzielny. Zawsze był i zawsze wydawało się, że jego największym marzeniem jest dorównać starszym braciom. Gdy ci uczyli się już jazdy konnej i brali udział w turniejach, on wciąż mógł jedynie patrzeć na nich roziskrzonymi oczyma. Gdy wokół nich zbierały się piękne damy, gdy pozwalały się częstować wykwintnymi bakaliami i zabawiać rozmową, on wciąż był przez nie traktowany jako ledwie odrosły od podłogi dzieciak niewart połowy uśmiechu. Król i królowa

kochali swojego najmłodszego syna i nawet z poziomu kuchni trudno było nie zauważyć, że najchętniej przychyliby mu nieba, ale on z jakiegoś powodu ciągle czuł, że musi o nich walczyć.

I teraz najwyraźniej było podobnie – wciąż uważał, że powinien zasłużyć na miłość i szacunek. Zaciskał więc zęby i pewnie gdyby tylko miał świadomość, jak jego drobne przyzwyczajenia są widoczne, natychmiast by je wyrugował.

Tymczasem osiągnął tyle, że Teru zaczęła żuć drewno razem z nim i przepraszała za każde beknięcie.

Berta widziała oczywiście, jak zmienia się relacja między nimi. Widziała te spojrzenia i słyszała te nieporadne, dziecięce uprzejmości. Dostrzegła trzymanie się za ręce. Zbyt wiele w życiu przeszła, żeby ją te obrazki cieszyły, i prawdę powiedziawszy, miała nadzieję, że sprawa szybko rozejdzie się po kościach. Pewnie gdyby było im dane wrócić do domu, to niedojrzałe, kruche uczucie rozpadłoby się natychmiast – każde z nich wróciłoby też do swojej roli i do swojego małego świata, w którym nie byłoby miejsca dla tego drugiego. Wyglądało jednak na to, że nie ma na taki obrót spraw najmniejszych szans. Teru nie śledziła trudnych do zrozumienia plotek, ale Berta i Gaurin – na ile był w stanie jako niemal dziecko – próbowali wy badać sytuację.

Wieści, jakie zbierali, nie napawały optymizmem. Wyglądało na to, że czarnoksiężnik, który rozpanoszył się w Knipforze, rośnie w siłę i nikt nie planuje rzucić mu wyzwania. Moźni zdawali się znacznie bardziej zajęci walką o wpływy po nagłym wywróceniu planszy niż myśleniem o restauracji dawnego porządku. Zresztą czarnoksiężnik bynajmniej nie wchodził im w drogę. Sprawę dodatkowo komplikowała pięcioletnia klątwa, jaką Świątynia obłożyła rodzinę królewską tuż przed atakiem, a która stanowiła karę za konszachty z parającymi się zakazaną magią.

Berta pamiętała tamte czasy. Pamiętała zdziwienie, gdy magowie pojawili się na dworze i oburzenie Świątyni takim obrotem spraw, zamknięcie zamkowej kaplicy, i wreszcie czarną rozpacz nieszczęsnych rodziców, gdy okazało się, że nawet sięgnięcie po to, co zakazane, nie zdołało uratować życia ich drugiego syna.

Obecnie przez Ideyre przetaczały się małe prywatne wojenki, sojusze zawiązywały się i rwały przy wtórze szczęku żelaza, a po karczmach coraz częściej spotykało się elfy z prywatnych armii

kondotierskich, gotowych za odpowiednią cenę wspomóc tę czy inną stronę.

Łatwo było ich wypatrzeć wśród tłumu, bo jeśli nie mieli na sobie zbroi, ubierali się w bardzo wąskie rajtuzy, bufiaste spodnie i skrzące się od brokatu dublety, a ich szyje niejednokrotnie zdobiły kryzy. Gdyby i to nie wystarczyło, zawsze zostawał jeszcze elfi sposób bycia – pobłażliwe spojrzenia i komentarze – oraz sposób wysławiania się. Wystarczył jeden pijany żołdak i jeden pijany miejscowy, by doszło do awantury, i przed paroma takimi burdami Teru i jej kompania zmuszeni już byli uciekać.

Ani Berta, ani tak naprawdę Gaurin nie znali się na politykowaniu i wojnach, ale oboje doskonale rozumieli, że jeśli kładziesz się spać w domenie jednego pana, a budzisz w domenie drugiego, bo nocą podpisano jakiś pakt albo stoczono potyczkę, to w królestwie nie dzieje się dobrze.

Wyszedszy z zarośli, Gaurin zastał kucharkę zawiniętą w pled i pochyloną ku płomieniom. Podniosła wzrok, gdy usłyszała szelst listowia. Miała bardzo poważny wyraz twarzy – ten dokładnie, który zawsze zdradzał chłopakowi, że coś przeszkrobał. Kobieta nie była wówczas zła, nie piekliła się i nie próbowała go ustawiać, jakby nigdy nie zapomniała, że ma do czynienia z królewskim dzieckiem, a ona jest tylko służącą. Często uznawał, że wie, o co jej chodzi, i wtedy nawet nie zaczynał rozmowy. Może i Berta przewyższała go życiowym doświadczeniem, ale to on był tu od dbania o resztę i to on powinien podejmować pewne decyzje. To jego w końcu szkolono na przywódcę, polityka i rycerza, nawet jeśli żadnym z nich nigdy nie został i nie spodziewał się już zostać. Drażniło go więc chociażby to, że kucharka ma w zwyczaju podważać jego pomysły na zapewnienie im lepszego bytu. Jako tułacze nie powinni chyba aż tak przebierać w ofertach zarobku, a tymczasem ona w większości z nich dopatrywała się kradzieży lub oszustwa. Owszem, Gaurin nie był aż tak naiwny, by wierzyć, że powtarzane szeptem obietnice są uczciwe, ale czasem, kiedy chorował po starym jedzeniu albo wszystko go bolało po spaniu na twardej i wilgotnej ziemi, buntował się przeciwko własnemu sumieniu i łakomie patrzył na świeże pieczywo albo ciepły koc.

W sumie ta kwestia stanowiła jedyną, przy okazji której kobiecie zdarzało się zareagować nieco ostrzej. Mówiła czasem, że dobrzy ludzie upadają właśnie wtedy, gdy pozwalają sobie na pozornie nieznaczące ustępstwa, bo te prowadzą do większych. Wzdychała wówczas i wspominała wymordowaną rodzinę królewską, choć Gaurin nie był do końca pewny dlaczego.

Tym razem jednak nie miał bladego pojęcia, co jest powodem zmarszczonych brwi Berty, więc zrzuciwszy z pleców wiązkę chrustu, usiadł na kamieniu nieopodal kucharki.

– Coś się stało? – zaczął.

Westchnęła nie tyle nawet z frustracją, co ze smutkiem, po którym poznał, że tylko czekała, by zagaił tę rozmowę, a jednocześnie wcale nie miała ochoty jej prowadzić.

– Nie powinienes tego robić, chłopcze. – Pokręciła głową.

– Czego? – Zdziwił się, unosząc brwi.

Kucharka trochę nieobecny gestem dorzuciła patyk do niewielkiego ogniska, na którego wypełnionych popiołem obrzeżach piekły się powoli ziemniaki na kolację.

– Przyjmij moje słowa jako kobiety doświadczonej życiem i bardzo ci życzliwej... Wam obojgu życzliwej. Nie powinienes dawać jej nadziei – odparła cicho. – Złamiesz jej serce.

Gaurin poczuł, że w jednej chwili robi mu się zimno w żołądku. Wśród wszystkich potencjalnych powodów smutku Berty, jakie był w stanie wymyślić, ten nigdy nie przyszedłby mu do głowy. Nie przyszłoby mu też do głowy, że ktokolwiek kiedykolwiek znacznie z nim dyskusję o... takich sprawach. Nie czuł się na to gotowy i nagle – choć w towarzystwie kobiety, która była dla niego jednocześnie jak przyjaciółka, nauczycielka i członek rodziny, mimo że nie łączyła ich ani kropla krwi – odniósł wrażenie, że jest całkiem obnażony i postawiony pod pręgierzem. Przez moment miał ochotę tylko na to, by się gdzieś schować.

– Ale ja... – zaczął niezręcznie, nie mając pojęcia, co dalej.

– Tak, wiem, chciałeś po prostu, żeby było jej miło. Jesteś dobrym człowiekiem, chłopcze, wiem o tym. Twój szanowni, choć nieszczęśni rodzice też byli dobrymi ludźmi, większość twoich siostr i braci również. Masz to w głowie i w sercu. Ale okrucieństwo świata polega na tym, że czasem można krzywdzić, czyniąc dobro.

Zimno niespodziewanie zmieniło się w ogień, a pięści zacisnęły. Może sprawiło to wspomnienie domu, może coś innego. Może po prostu minął pierwszy szok i to pozwoliło odpędzić zawstydzenie.

– Nigdy nie zamierzam łamać jej serca – mruknął królewicz przez zaciśnięte zęby.

– Więc nie dawaj jej nadziei – powtórzyła Berta. – Przecież wiesz, że jej się podobasz. Teru jest prosta. Nie rozumie gierki, nigdy się nie nauczy, jak działa świat, i sądzę, że będzie takie sprawy przeżywać znacznie, znacznie boleśniej niż inne dziewczyny. Ona wszystko bierze bardzo poważnie.

– Ja też.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, trwała dobre parę ciężkich uderzeń serca w piersi młodzieńca.

– Mam na myśli to...

– Wiem, co masz na myśli, Berto – Gaurin nieomal warknął, za co natychmiast się w duchu skarcił. Nie powinien czuć złości na tę kobietę, nie zasłużyła na to. Bardziej gniewało go coś innego. Może to, że w głębi duszy rozumiał jej obawy. Może to, że w jakimś stopniu je podzielał, ale jednocześnie chciał być po prostu szczęśliwy i nie widział w tym niczego złego. – Ja też biorę rzeczy bardzo poważnie, a na pewno biorę bardzo poważnie Teru.

Zzakłopotaniem roztarł dłonie, a potem policzki – sam nie wiedział, czy palące go z powodu bliskości ognia, czy z zażenowania.

– Ja... – Ponownie stracił zdolność wypowiedzania składnych zdań. – Ja byłem za młody, żeby... To znaczy... Nikt mnie nie uczył, jak to właściwie jest z damami. Wiesz, że swoją żonę widziałem ostatnio, kiedy mieliśmy po pięć lat i... Nie miałem damy serca. Nie wiedziałem, jak to jest. Ale Teru... Zawdzięczam jej życie, tak. Tylko to, co wobec niej czuję, to nie jest wdzięczność. I to chyba trochę... jakoś... było, zanim mnie uratowała.

Nie zorientował się nawet, kiedy wziął do ręki patyk i zaczął dłubać nim w trawie, ale niespodziewanie między swoimi stopami dostrzegł już całkiem głęboki dołek i kłęb wydartych z ziemi jasnych korzonków.

– Ziemniaki nam się spalą – burknął bez sensu.

– Mają jeszcze czas – odparła kucharka spokojnie.

Czuł na sobie jej wzrok, ale nie chciał go odwzajemniać. Nagle był nagi. Nieosłonięty. Śmieszny i nieporadny.

– Niczego, co wobec niej zrobiłem, nie zrobiłem z wyrachowania – powiedział jeszcze ciszej. – Ja wiem, że czasem... że dużo kłamie, odkąd uciekamy. Dużo udaję, ale przecież...

– Wiem, dziecinko – przerwała kobieta jego nieskładne tłumaczenia. Głos miała tak łagodny i miękki, jak rzadko, gdy do niego przemawiała. Należał się małemu chłopcu, nie młodemu mężczyźnie. – Wiem, że nie jesteś kłamcą. Robisz to tylko dla nas.

Westchnął.

– I dla siebie – dodał.

Małeńki czerwony kamień odbijał się wyraźnie od zielonkawej skóry Teru. Łatwo go było przeoczyć, ale Gaurin wiedział, gdzie patrzeć, i Berta także wiedziała, a sama półorczyca kładła czasem na nim dłoń – okazał się zbyt delikatny, by mogła brać go między palce. Zawsze wtedy uśmiechała się szerzej i oczy błyszczały jej jaśniej. Wyglądała jednak nie jak zadowolona kobieta, a jak uradowane dziecko i skojarzenie to nadal martwiło kucharkę.

Teru do tego nie dorósł. Tak naprawdę Gaurin też do tego nie dorósł. Tak, jako że był arystokratą, zaręczono go, gdy miał trzy lata, a ożeniono, gdy skończył pięć, ale to przecież o niczym nie świadczyło. Miał rację – niczego się wówczas nie nauczył. A teraz był dojrzewającym chłopcem, który robił wszystko, by wpakować się w szalenie trudny związek.

Może nawet ta wersja była dla nich obojga jeszcze gorsza niż zwyczajne nieporozumienie. To drugie dałoby się jeszcze wyjaśnić.

Berta zakaszlała w pięść – początkowo cicho, ale drugi raz już znacznie głośniej i silniej, aż zatrzęsło się całe jej ciało. Usłyszała, jak Gaurin zatrzymuje się w pół kroku, a mgnienie oka później robi to zawsze skupiona na nim Teru.

– Wszystko dobrze? – spytał królewicz.

Berta chciała odpowiedzieć, że owszem, ale wtedy coś zakłuło ją w piersi i zakaszlała po raz trzeci.

Prawda była taka, że od kilku dni nie czuła się najlepiej. Miała jednak nadzieję, że to nic wielkiego, jakieś drobne zatrucie lub przeziębienie, które przejdzie po odpowiedniej ilości czosnku. Kaszel trochę tę wiarę osłabił i kucharka uświadomiła sobie

nagle, że troska w głosie chłopaka nieco ją przeraziła. Nie wiedziała, jak zareagować, gdy niespodziewanie okrył ją swoim płaszczem i pogłaskał po głowie.

– Powinniśmy zmierzać do jakiegoś grodu – zawyrokował Gaurin poważnym tonem, który wciąż jeszcze brzmiał w jego ustach raczej zabawnie niż przekonująco. – Berto, będziesz potrzebowała odpoczynku i ciepła. Myślę, że... Chyba masz gorączkę.

Wówczas na kobietę spojrziała również Teru – dotąd zajęta raczej wypatrywaniem zagrożenia, co robiła zawsze, gdy się zatrzymywali. Zagryzła mięsiste wargi, zmarszczyła rude brwi, jakby intensywnie nad czymś myślała, a potem wyciągnęła ku niej swoje wielkie ręce.

– Poniosę – zaoferowała. – Gorączka to źle, wiem o tym.

Tak, mogła wiedzieć. Na pewno pracowała już w kuchni, gdy na gorączkę popołogową umierała inna pomocnica. Oraz wtedy, gdy drugi w kolejności syn króla wrócił z polowania na jelenie ranny i – również rozpalony jak polano – skonał w męczarniach niecałe dwa tygodnie później, kiedy nie zdołały mu pomóc nawet czarnoksiężskie praktyki.

Potężne ramiona półorczycy dźwignęły kucharkę z zaskakującą łatwością, choć dziewczyna niosła już znaczną część ich bagażu.

Po czterech dniach modłów Gaurina i Teru do wszystkich trzech twarzy boga rozstajów Berta wreszcie przestała gorączkować. Wciąż była słaba i ledwie samodzielnie unosiła do ust drewniany kubek z ziołami, ale przeżyła najgorsze i w serce półorczycy znów wstąpiła nadzieja, że felczer mógł się mylić, mówiąc o niechybnej śmierci wymęczonej tułaczką kobiety.

Gorszą wiadomością było to, że we wspólnej kiesie nie pozostał już nawet miedziak i nie mogli pozwolić sobie na kolejną dobę w łóżku, więc ledwie odzyskawszy zmysły, musiała stanąć na nogi i przygotować się na perspektywę wędrówki i nocowania w szczerym polu.

– Gdybyśmy chociaż mieli kuca... – mruczał niezadowolony Gaurin, poprawiając rzemienie w olbrzymim plecaku zwisającym z barków Teru.

- Mam dobre nogi – odpowiedziała Berta.
 - Mógłbym jednego kupić. – Królewicz skończył wreszcie ze sprzączkami i stanął obok półorczyca.
 - Za co? Nie wiecie nam się ostatnio najlepiej.
 - Za pieniądze. Mam... pewną kwotę.
- Kucharka zmierzyła go wzrokiem nagle zmrużonych oczu.
- Skąd?
 - Ja... – Gaurin odwrócił głowę, wyraźnie unikając jej spojrzenia. Doświadczonej kobiecie tyle wystarczyło, by odgadnąć, że chłopak ma coś na sumieniu. – Ja... zdobyłem.

Berta złościła się rzadko – tak rzadko, że Teru długo dumiała, nim przypomniała sobie ostatni raz, kiedy widziała kucharkę podnoszącą głos. Tym razem jej krzyki były o tyle nieprzyjemne, że raz po raz przerywał jej brzydki kaszel, a oczy błyszczały nie tylko od gniewu, ale też od gorączki.

Półorczyca nie do końca rozumiała, o co chodzi, ale ze słów Berty wniosowała, że Gaurin zrobił coś bardzo głupiego i bardzo złego. Zwłaszcza to ostatnie wydawało się jej dziwne, bo przecież królewicz był dobrym człowiekiem.

- Tak chcesz skończyć?! – krzyczała kobieta. – Jako złodziejaszek?! Przecież o tym rozmawialiśmy! Nie chcę tych pieniędzy!
- Jesteś chora i potrzebujesz leków!
- Ale nie jestem złodziejką! Byłam służącą na dworze mądrego i sprawiedliwego króla i nie będę patrzyła, jak jego syn zamienia się w szumowinę! Teru! – Berta niespodziewanie zwróciła się do półorczyca. – Pilnuj tego drania! I jeśli raz jeszcze spróbuje... Spróbuje... – Rozkaszała się ciężko, ale kiedy Gaurin podsunął jej fiolkę z jakimś płynem, wytrąciła mu ją z ręki gwałtownym ruchem i pozwoliła się rozbić. – Jeśli jeszcze raz spróbuje kogoś okraść, masz mu połamać ręce! Dla jego własnego dobra!

Jak się szczęśliwie okazało, Teru nie była zmuszona spełniać prośby Berty, bo chyba same słowa kucharki wystarczyły Gaurinowi do porzucenia planów. Nie wymykał się więcej po zmroku, choć parę razy półorczyca przyłapała go na nerwowym krążeniu po obozowisku i gniewnych pomrukach pod nosem, gdy typał na dygoczącą mimo wielu warstw okrycia chorą kobietę.

Dziewczyna cieszyła się z takiego obrotu spraw. To byłoby naprawdę smutne, gdyby musiała mu połamać ręce.

Tamtą noc spędzali u może ostatnich dobrych ludzi w okolicy, którzy zlitowali się nad Bertą i zgodzili się odebrać zapłatę za noc w kącie za piecem w pracy, nie w pieniądzach. Teru cały dzień uwijała się w polu, a kiedy zapadł zmierzch, długo obserwowała ćmy krążące wokół lampy olejnej na stoliku. Słuchała cichego trzepotu ich skrzydeł i patrzyła, jak wlatują w płomień. Początkowo próbowała je odpędzać, ale po którymś razie dotarło do niej, że nocnych owadów nie da się uratować przed śmiercią w ogniu, bo zbyt uparcie do niej dążą. Półorczyca patrzyła więc spokojnie, jak spadają z nadpalonymi skrzydłami i jak nieruchomieją ich włochate, tłuste ciała.

Robiła to, żeby się znowu nie rozplakać.

Berta leżała w izbie obok, dogładana przez felczera, któremu zapłacili już wszystkim, co mieli, a ona siedziała na podłodze drżąca i przerażona, bo ledwie przed południem znów usłyszała to słowo – „śmierć” – i wciąż dochodziła do siebie po tym, jak zrozumiała, że dotyczyło ono jej ukochanej kucharki. Dotąd Teru nie sądziła, że to się może tak skończyć. Widziała oczywiście, że odkąd Berta zachorowała, Gaurin chodzi smutny i dziwnie cichy, ale sama z siebie nie połączyła tych faktów w całość. Dopiero ten człowiek z długą potarganą brodą jednym rzuconym wcale nie do niej zdaniem sprawił, że rzeczy rozjaśniły się ostatecznie także w jej głowie i przygniotły ją swoim ciężarem.

Gaurin zerkał na nią niepewnie przez jakiś czas, a potem podszedł cicho.

– Będzie dobrze – szepnął.

Objął jej wielką głowę rękoma i pozwolił oprzeć czoło na swojej piersi, choć jego ciężar niemal wydusił mu całe powietrze z płuc. Głaskał rude włosy delikatnie i to przypomniało Teru, jak Berta zaplatała jej warkocze, więc jednak się rozplakała.

– Będzie dobrze – powtarzał spokojnym, cichym głosem.
– Obiecuję, słyszysz? Obiecuję, że będzie dobrze.

Niemal skurczyła się z rozpaczy, kiedy jego uścisk rozluźnił się i zniknęło na moment ciepło zupełnie już mokrych od jej płaczu ramion. Jednak potem Gaurin pogłaskał ją po twarzy i pocałował w czubek zadartego nosa, a chwilę później poczuła dotyk

jego drobnych ust na swojej wydatnej wardze. Był krótki, ale tak zaskakujący, że w jednej chwili lzy przestały płynąć, a wszystkie mięśnie spięły się w nagłym skurczu.

Królewicz wyczuł to i odsunął się szybko.

– Przepraszam, nie chciałem... Nie pomyślałem, że może... Powinienem być cię zapytać. Bardzo przepraszam...

Teru otarła oczy wierzchem dłoni i spojrzała na niego, bardziej już zdziwiona niż smutna. Widząc, że policzki ma czerwone i chyba się czegoś wystraszył, wstała i przytuliła go mocno, ale ostrożnie i nie z całych sił, żeby nie połamać mu kości. Wydawał się w tych objęciach taki maleńki – sięgał jej ledwie obojczyka. Drżał jak osika i półorczyca pomyślała, że może tak naprawdę chłopak boi się bardziej niż ona. Żadne z nich nie chciało zostać samo.

Ponieważ pocałunek trochę jej pomógł, pochyliła się, by go oddać. To okazało się trudniejsze, niż założyła. Jej usta były dużo większe, musiała uważać na swoje ostre kły. Ale Gaurin wydawał się równie zaskoczony, co ona przed chwilą, więc uznała, że zadziałało.

– Jesteś najwspanialszą istotą na świecie – powiedział trochę dziwnym, zduszonym głosem. – Przysięgam.

Milczał chwilę, a potem nieco pewniejszym tonem zaproponował:

– Opowiem ci o motylach, chcesz?

Teru zgodziła się skinieniem głowy i niezdarnym ruchem otarła resztę łez.

– Wiesz, co się dzieje z dobrymi ludźmi, kiedy umierają? – spytał królewicz łagodnie i delikatnie przesunął palcami po jej rudym warkoczu, od czego przeszedł ją miły dreszcz. – Zamieniają się w motyle – powiedział, kiedy zaprzeczyła. – Latają szczęśliwi w słońcu i wśród kolorowych kwiatów, a kiedy zapada zmrok, udają się na ucztę z bogami.

– A jeśli nie byli dobrymi ludźmi? – zainteresowała się Teru.

– Wtedy odradzają się jako ćmy. Nie widzą słońca, a kwiaty zamykają się przed nimi. W nieskończoność szukają ciepła w płomieniach, a potem odradzają się z popiołów. Ale Berta... Berta na pewno odrodziłaby się jako najpiękniejszy z motyli.

Berta do końca nie pozwoliła mu, by kradł albo najmował się do szemranych, za to lepiej płatnych prac. Aż wreszcie umarła, bo nie był w stanie uczciwie zarobić na dach nad głową, dość jedzenia i jeszcze lekarstwa.

Gaurin czuł jednocześnie wściekłość na nią i potworny żal, kiedy od świtu do zmierzchu żebrał u miejscowego kapłana, by ten zgodził się pochować włóczęgę bez grosza przy duszy zgodnie ze wszystkimi przykazaniami Najwyższych, spaloną z twarzą skierowaną na zachód. To było ważne, może najważniejsze ze wszystkich rzeczy, jakie dotychczas robił i jakich musiał dopilnować. Nawet gdyby Berta była zupełnie im obcą kobietą, czułby podobnie, a to, jak wiele jej zawdzięczał, jedynie podbijało stawkę.

Cierpliwości Boga o Trzech Twarzach nie należało wystawiać na próbę. Był opiekunem wędrowców i zagubionych, ale jeśli trafił na zbłąkanego martwego ducha, nie okazywał litości. Należało więc dopilnować, by duch Berty bez przeszkód odszedł na zachód i nie zgubił nigdzie drogi. Książe pamiętał to z dawnych nauk bardzo dobrze, bo opowieści kapłanów zrobiły ogromne wrażenie na małym chłopcu. Potem wszystko się zmieniło i kapłani odeszli, a zamkową kaplicę zamknięto, ale matka i tak nieraz prosiła syna, by nigdy nie zapominał o przykazaniach Świątyni.

Trzy dni żebrania i koczowania przy ciele odebrały Gaurinowi czas na żalobę. Odebrały też czas na pocieszenie Teru, która tkwiła na tyłach, by nie pokazywać się kapłanowi, milcząca i posępna jak nigdy wcześniej. Nie odzywała się, nie chciała też jeść, a królewicz był zbyt zmęczony, żeby długo się z nią o to sprzeczać i wmuszać nędzne posiłki siłą. Wydawało mu się, że nie słyszał płaczu dziewczyny, ale ilekroć próbował z nią rozmawiać, widział, że białka jej oczu są zaczerwienione, a twarz opuchnięta. Może wstrzymywała łzy przed nim. Może to była jego wina. Czuł, że skupienie na zapewnieniu Bercie wiecznego spokoju zmieniło jego twarz w maskę. Wewnątrz mógł być rozrywany na strzępy, ale jego ciało nie reagowało tak, jak powinno – a przecież Teru widziała tylko ciało.

Wreszcie jednak miejscowy kapłan zezwolił na wbicie pala na zachodnim stoku wzgórza i przywiązanie do niego zwłok, a potem nałożenie na twarz zmarłej rytualnej maski mającej usunąć z jej oblicza ziemskie rysy, i podpalenie stosu.

Na ogień Gaurin i Teru patrzyli już razem, stojąc obok siebie i trzymając się za ręce, co nie od razu do nich dotarło.

Niejakiego Cipriano Savio el'Othei – kolejny ważny punkt na drodze Teru do rozstajów – spotkali jakieś trzy dni później, kiedy powoli zaczynało stawać się jasne, że bez Berty trudno będzie im przetrwać. Elf przy wtórze niewybrednych wyzwisk wpakował się na nich całkiem przypadkiem, to znaczy w pełnym pędzie wpadł na wychodzącą zza rogu Teru, a ta – wystraszona – odmachnęła się łokciem i powaliła go niezamierzonym ciosem prosto w nos. Upadł na ziemię bez przytomności.

Jak się szybko okazało, mężczyznę goniły nie tylko wyzwiska, ale też trzech całkiem dobrze uzbrojonych zbirów. Kiedy jednak oni także pojawili się za rogiem, pozbawiony zmysłów uciekinier leżał już schowany w głębokim cieniu, a Teru stała na środku drogi i po prostu wyglądała jak zawsze. Dla lepszego efektu Gaurin kazał jej chwycić kołnierz swojego ubrania i unieść się na pół łokcia, jakby zamierzała rozkwaśnić go na pobliskiej ścianie.

Łotrzy, widząc tę scenę, spojrzeli po sobie i szybko zawrócili, uznawszy, że ich niedoszła ofiara niechybnie jest już po drugiej stronie podgrodzia.

Elf obudził się chwilę później przy akompaniamencie jęków i złorzeczenia, kiedy Gaurin wylał mu na twarz zawartość bukłaka. Wymruczał coś prawdopodobnie nieprzyzwoitego w melodyjnym języku spiczastouchych, machnął ręką, a potem zwiśł na ramieniu półorczyca. Całą twarz miał umazaną na czerwono i szybko zabrudził jej koszulę.

– Czy on umrze? – spytała wystraszonym głosem Teru, która nadal miała w głowie obraz płonącej na pogrzebowym stosie Berty.

– Nie. – Gaurin uspokajająco pogłaskał ją po ramieniu. – Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś umarł od złamanego nosa.

Ostatecznie zaciągnęli nieszczęśnika do miejsca, w którym rozbili obóz, i ułożyli na kocach nieopodal ogniska. Trochę dlatego, żeby odkupić swoje winy, a trochę dlatego, że królewicz miał nadzieję na negocjacje w sprawie ceny za uratowanie życia. Nie było to może szczególnie szlachetne, ale szlachetność

przychodziła mu coraz trudniej wobec pustych kieszeni i żołądka. Jeśli wciąż nie zaczął kraść, to tylko przez wzgląd na świeżą pamięć Berty.

– Co robisz? – zdziwiła się Teru, widząc, że Gaurin obraca wciąż nie do końca przytomnego nieznajomego na bok i przytrzymuje jego ręce za plecami.

– Nie wiem, jakie ma zamiary – odpowiedział chłopak – więc dla naszego bezpieczeństwa trochę go unieruchomię.

Kłamstwo było gorzkie, ale przeszło mu przez gardło zaskakująco łatwo. Aż sam się tego wystraszył.

Ten właśnie moment wybrał elf, by znów zabalgotać coś pod połamanym nosem, a potem szarpnąć się w nagłym przypiływie świadomości. Podrzucił głowę, kopnął, wykręcił się i nagle już trzymał królewicza w sposób, który pozwalała na szybkie przetrącenie kręgów.

– Teru, nie! – wysapał Gaurin, widząc, że półorczyca naprężyła muskuły.

Brwi miała ściągnięte, sylwetkę pochyloną, a jej żółte oczy i białe kły lśniły w blasku ogniska. Na nieznajomym widok ten zrobił wrażenie o tyle, że zaklął szpetnie nad uchem Gaurina, ale chwytu nie rozluźnił ani trochę.

– Zrobimy tak – wycedził ze śpiwnym akcentem. Głos miał tym śmieszniejszy, że nie mógł oddychać przez nos. – Ja wypuszczę chłopaka, a ty, cna białogłowo, zaniechasz... czegokolwiek tam sobie planujesz.

– Zgódź... się... – wycharczał królewicz, próbując nawiązać z dziewczyną kontakt wzrokowy, ale było to dziwnie trudne, kiedy się wisało z brodą na czymś łokciu.

Teru wydała z siebie dźwięk między warknięciem a prychnięciem, niemniej opuściła pięści i rozluźniła ramiona. Gaurin zacisnęła powieki, gotów usłyszeć chrupnięcie własnego karku, ale szczęśliwie nieznajomy wypełnił swoją część umowy i po chwili chłopak klęczał już w leśnym runie, znów mogąc oddychać swobodnie.

– Coście za jedni? – spytał ostro mężczyzna i wysmarkał nieco krzepnącej krwi w rękaw brokatowej, choć wyraźnie ubrudzonej i pamiętającej lepsze czasy koszuli. – Bo coś mi się widzi, że nie od tego parchatego frędzla Fiore... niech go dunder jasny świśnie.

– Nie znamy żadnego Fiore – burczał Gaurin, rozmasowując sobie szyję. – Ale zgaduję, że zna go tych trzech typów, przed którymi was uratowaliśmy.

Elf uniósł cienkie czarne brwi.

– Uratowaliście? – spytał z wyraźnym powątpiewaniem.

– Nie mieli z nami żadnych szans – zapewnił gorliwie królewicz, podnosząc się wreszcie z kolan.

– Tacy jesteście hardzi?

– Najlepsi.

Niedoszły jeniec roześmiał się głośno, choć jakby miał potężny katar, i przestał dopiero, kiedy ból przywołał go do porządku.

– Wciórności! – zaklął, macając nasadę nosa.

Wydał z siebie jeszcze parę nieartykułowanych dźwięków i burknięć, po czym wyprostował się i wygładził kubrak, mierząc dwoje młodych wzrokiem.

– Bo mnie to wyglądacie bardziej na rzewną opowiadkę o ucieczce w afekcie – parsknął. – Dam wam dobrą radę. Wracajcie, póki pan ojciec pasa nie znalazł i nie ma czym lujnąć wam w tyłki. Więc raz-dwa, prawdę mi tu i gdzie jest tych trzech gagatków, co mnie gonili.

Gaurin i Teru spojrzeli po sobie.

– Powiemy... – Królewicz przygryzł wargę i chytrze zmrużył oczy. – Powiemy. Ale za ciepłą kolacją, w której nie będzie robaków.

Elf popatrzył na chłopaka z politowaniem i pokręcił głową.

– Kolacja będzie, bo mi was żal, smarki – powiedział. – A zapłacę to ja wam za ocalenie skóry inaczej. Może i ze mnie sprzedawczyk, ale honorowy.

Jak się niebawem okazało, kapitana el'Othei ściągnęło na północ dokładnie to samo, co wielu jego pobratymców – możliwość zarobków, jaką dawały wojenki wybuchające po upadku i oficjalnie przynajmniej całkowitym wyginięciu jednego z najbogatszych rodów tej części świata.

Historia mężczyzny była jednak ciut bardziej skomplikowana.

– Komes Fiore! – zakrzyknął z emfazą i splunął z pogardą przez ramię. – A oby miał parch i za krótkie ręce! Oby mu kuśka uschła i odpadła! Najął mnie, a kiedy się okazało, że za drogi, zapędził w pułapkę, ograbił i wyrznął mi wszystkich ludzi! Ledwie z życiem uszedłem, ale list za mną posłał, że niby wieszac

mnie będzie za niedotrzymanie kontraktu! Nie pozostało mi nic innego, jak szukać szczęścia wśród was, niższych. Ponoć ciekawe tu macie czasy, to i okaza się znajdzie.

– Niestety, na to wygląda – bąknął Gaurin, zdecydowanie mniej zadowolony z takiego obrotu spraw.

Jeszcze w czasach szczęśliwego dzieciństwa słyszał – choć niewiele – o niekończących się wojenkach na południu, gdzie elfi arystokraci nieustannie mordowali się i zrzucali ze swoich małych tronów. Aż dziw brał, że po trzech wiekach nadal istniały tam jakieś błękitnokrwiste rody.

Przydrożny zajazd, do którego Cipriano el'Othei zaprowadził swoich niedorobionych wybawców na obiecaną kolację, nie należał może do najzaciejszych przybytków w tych stronach świata, ale i tak był znacznie powyżej standardu, na który wędrowcy mogli sobie w ostatnich tygodniach, albo i miesiącach, pozwolić. Elf odprowadził ich do drzwi, ale sam nie wszedł, stwierdziwszy, że póki nie zyska pewności, że zgubił pościg, woli nikomu się z mordą przed oczy nie pchać – co było zrozumiałe.

Pękające w szwach wnętrze karczmy zastawiono długimi ławami. Wobec tłumów nie mogło być mowy o intymności i Teru wraz z Gaurinem wylądowali po prostu tam, gdzie zdołali się wciśnąć – byleby w miarę komfortowo pochłonąć swoją porcję gulaszu z cebulą. W efekcie znaleźli się w towarzystwie dość głośnym i rozochocionym piwem. Prym w nim bez wątplenia wiódł niejaki Ynga – krasnolud o śmiechu zdolnym budzić umarłych.

– A ten lichy smarkacz, co go za sobą ciągniesz, panienko? – Brodacz wskazał kuflem Gaurina. – Szmątka do czyszczenia butów, dobrze gotuje czy zapasy na ciężką godzinę?

– To – odparła dumnie i z radością dziecka Teru, nim królewicz zdążył się obrazić – jest mój kochanek.

Cisza, która zapadła przy stole, trwała może ze trzy uderzenia serca, a potem wszyscy jak jeden mąż ryknęli gromkim, tubalnym rechotem. Ten i ów poklepał się po udach.

– Kochanek! – parsknął Ynga, gdy tylko przestał krztusić się miodem i otarł wielkim łapskiem łzy z zewnętrznego kącika oka. – Dawno nie słyszałem przedniejszej rzeczy!

Półorczyca uśmiechała się od ucha do ucha, zadowolona, że jej słowa wywołały taką wesołość. Nie widziała, jak niknący w jej

cieniu Gaurin zaciska zęby i pięści, jak patrzy na kompanię wojowników spode łba i jak drży mu szczeka od powstrzymywanych słów.

– A to on dał chociaż radę cię rozdziewiczyć, panienko? – dworował dalej krasnolud.

Królewicz musiał się szybko złapać ławki, na której siedział, żeby nie wstać i nie podjąć żalostnej próby przydzwonienia chomowi w nos. Wściekłość wypełniała go już po same czubki uszu, ale wiedział, że jedyne, co zdołałby osiągnąć, to żalostne przedstawienie i jeszcze więcej śmiechu.

Teru nie pojęła sensu pytania, ale – nadal nieświadoma, że u jej boku budzi się wulkan – po prostu je zignorowała, jak często robiła, gdy czuła, że coś wykracza poza jej rozumowanie.

– Ale ja szanuję! – Ynga uniósł dłonie jakby na potwierdzenie swoich słów, jednak z całej jego postawy i z wykrzywionych złymi uśmiechami twarzy jego kompanów bił obrzydliwy sarkazm, który, Gaurin mógłby przysiąc, osiadał na skórze warstwą lepką jak miód. – Są i tacy, co lubią owieczki.

Tego już królewicz nie wytrzymał.

– Zamknij parszywy ryj, gnido! – warknął gardłowo. Z całych sił wbijał wnętrza dłoni w ławkę, ale mimo to czuł, że przedramiona drżą mu z furii. – Jeszcze słowo do Teru i...

– Ależ ja się twojej kobitki nie czepiam! – zarechotał wojownik i zmierzył chłopaka takim wzrokiem, jakim zapewne zmierzyłyby wiejskiego kundla próbującego nadgryźć mu cholewkę. – Tylko mi jej żal. Ja bym jej pokazał, co to mężczyzna.

Potem rzeczy stały się bardzo szybko. Wściekłość szarpnęła ciałem Gaurina i przez chwilę miał wrażenie, że należy ono do kogoś zupełnie innego. To ktoś inny wskoczył na stół, ktoś inny złapał Yngę za kudły i rozkwaślił jego nos o swoje kolano. Ktoś inny wrzeszczał przy tym jak opętany, a potem wymachiwał rękoma i nogami, gdy czyjaś potężna łapa ściągała go na polepę, a czyjś olbrzymi but łamał mu zębra.

Za to zdecydowanie on we własnej osobie obudził się jakiś czas później, cały zlany potem, zawinięty w koc i z grudkami wyschniętej krwi w nosie.

I to zdecydowanie jego boląca każda najmniejsza kostka w ciele.

– Zabiliby cię – westchnął Cipriano, przykładając mu do spierzchniętych ust kubek z wodą – gdyby cię Teru nie wyniosła.

Zimno zalało plecy chłopaka lepką falą, gdy uświadomił sobie, co mogą oznaczać te słowa.

– Czy ktoś...

– Nie. – Kondotier pokręcił głową, litościwie przerywając mu zadawanie pytania. – Po prostu ryknęła, a kiedy się wystraszyli, wzięła cię na ręce i wyszła. Nikt nie zginął.

Zmieszana z bólem ulga omal nie wydusiła z królewicza łez. Zdołał je jednak zatrzymać w sobie – jak uczono go od dziecka. Zamiast płakać, odmówił w duchu dziękczynną modlitwę do Trzech Twarzy.

– Uderzyłeś go – powiedziała Teru w zamyśleniu, kiedy następnego dnia przystanęli na moment i rozsiedli się na trawie po tym, jak ich nowy towarzysz zagadał się z jedną pasterką. W głosie dziewczyny Gaurin nie słyszał wyrzutu, a tylko cień zdziwienia. – Mówiłeś, że bicie ludzi i sprawianie im cierpienia są złe. Zrobiłeś źle?

Sfrustrowany królewicz gwałtownie wypuścił powietrze i zdusił odruch pomacania spuchniętego oka.

– To było co innego – bąknął, odwracając wzrok.

– Dlaczego?

– Obraził cię, Teru. Obraził nas oboje.

Półorczyca zmarszczyła brwi w wielkim skupieniu.

– Nie rozumiem – przyznała po dłuższej chwili.

– Wiem, że nie rozumiesz – jęknął Gaurin i z bezsilności uderzył dłonią o trawę. Zamknął w pięści kilka jej szerokich źdźbeł i szarpnął, ale jedyne, co osiągnął, to pocięte palce. – Dlatego właśnie nie chcę... Dlatego nigdy nie powinnaś tego robić.

– Bo kiedy ja będę bić ludzi, to to będzie złe? Bo jestem głupia?

– Nie. Bo nie będziesz potrafiła tego ocenić. – Chłopak przymknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. W ciszy poranka niemal słyszał, jak obracają się młyńskie koła w głowie Teru. Wyciągnął rękę, tę samą, którą jeszcze przed chwilą uderzał we frustracji o ziemię, i położył ją na wielkiej dłoni dziewczyny. – Jesteś cudowną, czystą istotą – szepnęła, gładząc jeden z grubych palców. – Bardzo bym nie chciał, żeby ktoś to kiedyś wykorzystał. Ja sam... sam często się boję, że mógłbym ci to nieświadomie

zrobić. Berta miała rację, to jest bardzo trudne. Tym trudniejsze, że mogę ci o tym opowiadać, ale wiem, że dla ciebie rzeczy i tak pozostaną proste.

Teru mogła nie rozumieć wielu rzeczy, ale doskonale wyczuwała, kiedy jej królewicz jest smutny. Wyciągnęła więc dłoń spod jego dłoni, objęła go ramieniem i przyciągnęła ku sobie. Bardziej poczuła, niż usłyszała, jak westchnął w jej objęciach.

Kapitan el'Othei uznał, że dość ma podróżowania w pojedynkę i przyda mu się towarzystwo, ale Gaurin podejrzewał, że tak naprawdę chodziło o kompanię Teru i fakt, że samym swoim wyglądem mogła odstraszyć rzezimieszków dybiących na głowę kondotiera i chcących wymienić ją na złoto u tego całego komesa Fiore. Zachował jednak to spostrzeżenie dla siebie, bo w istocie układ był korzystny dla obu stron. Choćby dlatego, że elf znacznie lepiej od królewicza radził sobie ze znajdywaniem okazji do zarobków – miał w tym w końcu wieloletnie doświadczenie. Zapewne nie wszystkie z nich Berta by pochwaliła, ale jej prochy dawno już rozsypały się na wietrze, a napelnąć żołądek w coraz trudniejszych czasach nie było łatwo.

Aż w końcu nadarzyła się i tamta okazja.

– Są wieści, że na zachód stąd szukają rąk do pracy – stwierdził Cipriano niby od niechcienia. Siedział przy ognisku i bez sensu strugał patyk, co oznaczało, że myślami krąży gdzieś daleko.

– I chcesz się tam rozejrzeć – zgadł Gaurin, na co mężczyzna przytaknął. – Co to za praca?

– Taka, do której dobrze mieć ciężką pałkę przy boku – odparł elf obojętnie. – I na której się dobrze znam. Podobno któryś z synów nieszczęsnego króla Ideyre postanowił wreszcie odebrać, co mu się po tatusiu należy. Trochę mu to zajęło, nie powiem. – Kondotier charknął i splunął do ogniska.

Chłopak zacisnął dłonie i szczęki. Chwilę patrzył w płomień nieruchomo z zaciętą miną.

– Wiadomo, który to? – spytał w końcu, czym zasłużył sobie na zdziwione spojrzenie i wybuch pobłażliwego śmiechu.

– A co to za różnica? Wszystko jedno parchate kurwy.

Królewicz wiele wysiłku włożył w stłumienie w sobie złości i nieczucie się urażonym. Żeby odwrócić uwagę od siebie, syknął i wskazał wzrokiem Teru.

– Ładniejsze słowa słyszała po karczmach – prychnął lekceważąco były kapitan. – Zapewniam cię. Nie możesz jej trzymać pod kloszem, bo zwiędnie.

Młodzieniec nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami jak obrażone dziecko.

– Więc wiadomo, czy nie? – spytał szorstko.

– Nie pamiętam – przyznał wreszcie elf. – Ale pewnie nie. Nie sądzę, żeby ktoś, kto planuje odbicie Knipforu, machał przed oczyma czarnoksiężników swoim mianem, żeby mogli je przekląć. Jak chcesz, to jedź ze mną i sam się przekonaj. Może najdzie się tam robotą dla takich chłystków. – Kondotier zmierzył chłopaka oceniającym spojrzeniem. – Teru będzie miała wzięcie z całą pewnością.

– Pojechałbym, ale tego się właśnie obawiam – mruknął Gaurin, czym zasłużył sobie na wybuch perlistego śmiechu.

– Przecież to półorczyca! – zauważył Cipriano. – Wojnę ma we krwi! I nawet jak na półorczycę jest spora. Dać jej do ręki porządną miecz i nie będzie na nią mocnych, zobaczysz.

– Wolałbym, żeby zajmowała się w życiu czymś innym.

– Czym? Wyszywaniem? Och, chłopcze, zapewniam cię, że to takie samo zajęcie, jak każde inne, a ona będzie w nim doskonała. Wiem, co mówię. Pięćdziesiąt lat spędziłem na różnych wojnach i wojenkach.

Chłopak skulił się, targany sprzecznymi odczuciami – znacznie bardziej sprzecznymi niż te, gdy el'Othei namawiał go do przymyknięcia oka na pewne aspekty prac, których się podejmowali. Ta niosła ryzyko o wiele większe, bo nie dla niego, a dla Teru.

Z drugiej strony to nie byłaby praca jak poprzednie. To byłoby – jeśli bogowie zechcą – spotkanie z kimś z rodziny, a tę Gaurin miał dotąd za wybitą co do nogi. Może więc wcale nie musieliby się do niczego najmować. Może po prostu mogliby odnaleźć swoje miejsce na ziemi.

Młodzieniec zacisnął wargi i postanowił dla dobra wszystkich skupić się na tej drugiej możliwości.

– Pojedziemy z tobą – zdecydował, a Cipriano posłał mu jeden z tych swoich na pół sardonicznych, na pół szczerych uśmiechów.

Plotki okazały się prawdą i dzięki swoim kontaktom el'Othei ostatecznie dotarł do ludzi – czy też elfów – którzy wiedzieli, gdzie zbierają się spiskowcy chcący odbić Knipfor z rąk czarnoksiężnika.

Gaurin czuł, jak jego serce wali niczym młot. Jego brat! Żywy! Siedząc na wozie, królewicz włożył dłonie między kolana i ścisnął je mocno, by przywoływać się do porządku i nie wybuchnąć nagle śmiechem lub płaczem. Tyle lat myślał, że został na świecie sam. Tyle lat wydawało mu się, że jest sierotą. Ale nie – ktoś z jego rodziny nadal żył!

Chłopak próbował nie wyobrażać sobie spotkania po latach. Zresztą pewnie wyglądałoby różnie w zależności od tego, o którego z braci właściwie chodziło. Nie ze wszystkimi znał się dobrze – najstarsi mieli swoje poważne sprawy i kiedy on wciąż biegał z drewnianą głową konia po zamkowych korytarzach, oni towarzyszyli już ojcu w prawdziwych wyprawach dyplomatycznych. Nie wydawało mu się to teraz ważne. Czuł się, jakby ktoś zdjął z jego serca olbrzymi ciężar i jedyne, co go martwiło, to los Teru.

Siedziała obok z przymkniętymi oczyma i twarzą wystawioną ku słońcu. Na ustach miała lekki uśmiech zadowolenia i wydawała się najłagodniejszą istotą na świecie – a dla Gaurina także najpiękniejszą. Westchnął cicho i złapał jedną z jej wielkich dłoni.

Zamek warowny murgrabiego Baulinian, w którym miał się zatrzymać prawowity dziedzic Knipforu, rysował się już na horyzoncie ciemną bryłą. Jego wieże strzelały w niebo, a niższe piętra ginęły w pasmach gęstej mgły unoszącej się między górami.

Wszystko będzie dobrze, obiecał sobie w duchu królewicz.

To samo powtarzał, gdy we troje utkwili w nieskończonej kolejce, by dać się zapisać wraz z uzbrojeniem – po drodze Cipriano sprawił im po pałce i skórzanej wzmocnionej kurcie. Na nic lepszego nie mogli sobie pozwolić.

Na rozmięczonym deszczami placu stało wielu podobnych, a nawet gorzej uposażonych obdartusów – przeciągające się bezkrólewie zrujnowało niejedyn dom i niejednego zmusiło do tułaczki. El'Othei prychnął z niezadowoleniem, rozglądając się wokół.

– Gdybym miał tu swoich! – narzekał, przestępując z nogi na nogę. – Gdyby nie parchaty Fiore... Pokazałbym partaczom, jak

wygląda poważna prywatna armia! To...? – Zamaszystym gestem powiódł po skalanej błotem i wszędobylską biedą okolicy długich ław, przy których prowadzono zapisy. – Wy, ludzie, kompletnie nie wiecie, jak się za to zabrać!

Fakt, że elf wspomina swoją wymordowaną kompanię, całkowicie wrósł już w codzienność, więc ani Teru, ani Gaurin nie zwrócili na to większej uwagi. Co prawda gdzieś tam po drodze wyszło na jaw, że pewien udział w całej tej bez wątpienia przykrej sprawie miała cnota córki komesa Fiore, ale Cipriano nadal utrzymywał, że nie ma sobie niczego do zarzucenia, i planował zemstę.

– Większość z nich padnie, zanim ktokolwiek pośle ich do walki! – pieklił się dalej. – I założę się, że część przywleka ze sobą jakieś paskudne choroby!

Teru wdała się z nim w dyskusję na temat tych ostatnich i pytała, czy dostanie gorączki, na co padła odpowiedź, że nie, bo gorączka przed nią ucieknie. Gaurin nie słuchał zbyt uważnie, coraz głębiej zapadając się we własne, niezbyt wesołe myśli.

Nie zauważył nawet, kiedy sam stanął przed znudzonym urzędnikiem w szarym czepcu.

Oczywiście nikt nie słuchał chłopaka, gdy domagał się widzenia z księciem. Musiał przyznać sam przed sobą, że nie przewidywał tej trudności, kiedy próbował sobie jakoś poukładać całą tę sytuację w głowie.

Tyle dobrego, że wiedział już przynajmniej, który z jego braci stoi za mobilizacją. Był to najstarszy z nich – Oran. Gaurin nie znał go prawie w ogóle. Obu królewskich synów dzieliło dwanaście lat oraz ogromne różnice w edukacji i doświadczeniu. Nawet nie widywali się zbyt często, bo księżę korony większość czasu spędzał na innych dworach lub zajęty obowiązkami. Ale może to i dobrze, że to nad nim właśnie zlitowali się bogowie. Prawdopodobne – jakkolwiek królewicz przyznawał to z zalem – że bliżsi jego sercu nie poradziliby sobie z organizacją takiej wyprawy.

Dni mijały w błocie i znoju codziennych ćwiczeń, aż pewnego razu na plac, po którym królewicz biegał, machając pałką i próbując nie zwymiotować, wtargnęło trzech zbrojnych i zabrało go bez słowa. Powlekli go do jakiejś ciemnej izby i usadzili na krześle.

Zacisnęła szczęki i oczy w oczekiwaniu na cios, ale zamiast tego otworzyły się drzwi i do jego uszu dobiegł szept:

– A więc to prawda...

Podniósł powieki i zobaczył mężczyznę, którego – jak mu się wydawało – kiedyś już widział, choć mogło być to tylko złudzenie; szpakowata broda upodabniała żołnierza do wielu innych, maskując rysy.

– Puśćcie jego miłość! – rozkazał gromko przybyły.

Młodzieniec nie nacieszył się ulgą, jaka wyniknęła z braku żelaznych uścisków na ramionach, bo całe jego ciało w mgnieniu oka zmieniło się w kamień, a żołądek owinął się wokół kręgosłupa.

– Co... – sapnął. – Jak...

– Myśleliśmy, że plotki rozpuszczane przez orczycę to sabotaż – powiedział mężczyzna. – Ale na własne oczy widzę, że to szczerą prawdą. Wasza miłość mnie nie pamięta. – Skłonił się nisko, z pokorą, z jaką chyba nikt nigdy nie kłaniał się najmłodszemu z rodu. – Jestem kapitan Argo. Służyłem królowi, teraz służę księciu korony.

Gaurin zdołał jedynie poprosić, by nie robiono krzywdy Teru i by potraktowano ją ze wszelkimi honorami, nim nagle znalazł się na górnym zamku otoczony przez ludzi, z których większość mogła poszczycić się bardzo starym herbem. Sam zmęczony i w łachmanach, czuł się coraz bardziej nie na miejscu. Szedł korytarzami, ściągając spojrzenia i łowiąc szepty – głowę miał puస్తą, a serce oszalałe.

W mężczyźnie w sile wieku, który czekał na niego w zdobionej stiukami sali, nie rozpoznał swojego brata. Zdało mu się za to w pierwszej chwili, że widzi zmartwychwstałego ojca, i coś ciężkiego – coś, w czym rozpoznał tęsknotę – osiadło mu na żołądku.

– Bracie! – Książę Oran zamknął Gaurina w objęciach, ale był to uścisk po dworsku sztywny, a może wręcz żołnierski, i młodzieniec poczuł się nagle jak ryba wyjęta z wody. Tak bardzo przyzwyczał się już do bezpośredniości Berty, Teru i potem Cipriana, że niemal zapomniał o istnieniu świata, z którego tak naprawdę pochodził i którego zasady wciąż miał we krwi. – Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że widzę cię żywego!

Nawet słowa wypowiedane przez księcia wydawały się jakieś dziwne, jakby obrysowane ostrzejszą linią. Młodzieniec całym sobą wiedział, że nie ma w nich grama fałszu, a sam również odczuwał niewysłowioną radość, ale nadal brzmiały w jego uszach jak z dawna wyuczona kwestia. Chłopaka zdjął nagły strach, że nie zdoła na nowo wejść w tę rolę i nie odnajdzie się już w gąszczu ukrytych za dworską etykietą półsłówek i półemocji.

Albo – co gorsze – że się w nich odnajdzie, że przypomni sobie ten dawno zapomniany język, ale jednocześnie straci umiejętność rozmawiania z Teru. Egzystowanie w obu tych światach naraz wydawało się niewyobrażalne.

– I was dobrze widzieć, książę – odparł szczerze. Słyszał, że głos mu się łamie, co było ze wszech miar niepożądane.

Ostatkiem siły woli powstrzymywał się przed zerknięciem za siebie – na Teru. Milczała, jak jej przykazał, i słyszał tylko jej oddech. Wolałby jednak też ją widzieć. Albo lepiej – trzymać za rękę.

– Każę ci przygotować, bracie, dogodne komnaty – mówił dalej Oran. Uwadze Gaurina nie umknęło, że jego brat starannie unika komentowania żalosego wyglądu krewniaka i jego towarzyszek. Wszystko, co książę korony mógłby na ten temat powiedzieć, wyrażało jednak jego spojrzenie. – Sądzę, że to nie będzie nadużyciem gościnności naszego gospodarza. Porozmawiamy, kiedy wypoczniesz, bo sprawiasz wrażenie bardzo zdrożonego. Czy czegoś jeszcze trzeba tobie lub twojej służącej?

– Nie jest służącą – burknął Gaurin. – Jest przyjaciółką.

Królewicz wiedział oczywiście, że jego rodzice mieli nie tylko wrogów, ale też przyjaciół. Nie zaskoczyła go więc specjalnie opowieść Orana, ani tym bardziej doskonałe wyposażenie zamku, który murgrabia Baulinian oddał w posiadanie najstarszemu żyjącemu synowi swego martwego przyjaciela, gdy tylko pozwoliło mu na to wygaśnięcie klątwy. Zdziwiło go tylko to, że kiedy otworzył oczy po pierwszym od dawna spokojnym śnie w ogromnym, miękkim łożu, powiedziano mu, że minęły dwa dni.

Wcześniej nie miał świadomości, że jest aż tak zmęczony. Oczywiście życie włóczęgi nie należało do łatwych, ale Gaurin był już niemal pewien, że zdołał się wreszcie do niego przyzwyczaić.

Jednak kiedy dano mu do dyspozycji wygodny materac i stopy poduszek, okazało się, że jego ciało wciąż tęskni za luksusem. Obmywając twarz wodą z cebrzyka, zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem o to na siebie trochę zły. Bo jednak w głębi duszy – jakkolwiek wydawało się to niemożliwe do osiągnięcia – chciał kiedyś stać się prawdziwym wojownikiem. Wielkim i silnym, dorównującym Teru i przez to jej godnym.

Teraz jednak, patrząc w cynowe lustro na odbicie spuchniętego po zbyt długim śnie oblicza, słyszał w głowie jedynie gromki, pogardliwy śmiech Yngi i jego kompanów.

Właśnie – Teru.

Na pewno nie spała z nim – nie przeoczyłby tego faktu. Zresztą pościel nie miała jej zapachu, a ta część prześcieradła, na której nie leżał Gaurin, wydawała się zupełnie nienaruszona.

Usiadł na łóżku i potrząsnął głową, chcąc wyrzucić z niej resztki senności. Kiedy poczuł się gotowy, sięgnął do ukrytej przy łóżku tasiemki i pociągnął, by wezwać służbę.

Śniadanie podano mu do stołu, przy którym siedział Oran. Siedział – co dało się wywnioskować po ilości kostek i ogryzków owoców – już jakiś czas, być może czekając na swego młodszego brata. Powitał go uśmiechem, który wydał się chłopakowi nagle bardzo podobny do uśmiechu pani matki, i gestem zaprosił, by do niego dołączył.

– Bracie... – zaczął królewicz wciąż nieco zaspanym tonem, gdy służący nakładał na jego talerz placek z karmelizowaną cebulą. – Moja przyjaciółka...

– Jest niesamowita. – Oran pokręcił głową z niedowierzaniem. – Skąd ją wzięłeś?

Gaurin spojrział na brata zdziwiony.

– Nie poznajecie jej? – spytał. – Służyła u naszego ojca. Pomagała w kuchni. Codziennie rano chodziła z wózkiem do spiżarni i do portu po świeże ryby.

Młodzieniec mimowolnie wrócił myślami do tamtych czasów. Pamięć podsunęła ciche skrzypienie kółek – nie bardzo uciążliwe, ale z jakiegoś powodu niezawodnie wyrrywające go ze snu. Przez jakiś czas po prostu obracał się na drugi bok i pakował sobie na głowę poduszkę, ale pewnego dnia – nie pamiętał już, z jakiego powodu – zwlekł się z łóżka i podszedł do okna, by

sprawdzić, co tak hałasuje. Stał na palcach, wychylił się przez parapet i wówczas właśnie, w chłodzie poranka i ostatnich wstęgach mgły, zobaczył Teru po raz pierwszy.

A potem już każdego ranka wypatrywał jej na brukowanej drodze prowadzącej poza wewnętrzny mur.

Książę Oran zmarszczył brwi, wyraźnie także próbując sięgnąć myślami w przeszłość.

– Zupełnie nie zwróciłem na nią uwagi – przyznał w końcu.

– Mało kto zwracał uwagę. Ale to ona mnie uratowała. Trochę... trochę się znaleźliśmy. Z widzenia.

Oran cmoknął, ale co właściwie chciał tym wyrazić, jego młodszy brat nie potrafił powiedzieć.

– Z taką wojowniczką w składzie nikt nam się nie oprze.

Gaurin zadrżał od zimnego dreszczu.

– Teru nie jest wojowniczką – powiedział. – Nie potrafi walczyć.

– Nauczy się szybko – stwierdził Oran z przekonaniem i na potwierdzenie swoich słów uderzył dłonią o blat. – Jest silna, poradzi sobie z każdą bronią!

– Jest też wrażliwa. Nie powinna zabijać, to ją... To ją mocno zrani, jestem pewien.

Z cizy, jaka zapadła, młodzieniec bez trudu mógł odczytać dwie rzeczy. Po pierwsze, że nie został zrozumiany. Po drugie, że nie zostanie wysłuchany i że jego brat nie zada sobie trudu drażnienia tej kwestii.

– Orkowie są stworzeni do zabijania – podsumował Oran twardo, tonem żołnierza i polityka, a nie starszego brata chcącego otoczyć opieką tego młodszego i cudem odnalezonego.

– Teru nie jest orczycą.

– Jest nią w połowie. Przemoc i walkę ma we krwi – Oran niemal powtórzył słowa Cipriana i słowa pewnie co trzeciego nieorka mówiącego o orkach. – Wystarczy dać jej do ręki topór i sam zobaczysz. Zrozumiałem już, że ją lubisz, ale niepotrzebnie się martwisz. – Roześmiał się krótko, ale głośno. – Bardziej martwiłbym się o tych, którzy staną jej na drodze.

Gaurin tylko zacisnął usta. Nie wiedział, jak rozmawiać z bratem. Dawniej w ogóle ze sobą nie dyskutowali. Jeden z nich był pierworodnym, który miał w przyszłości odziedziczyć gród wraz ze wszystkimi jego problemami, więc od najmłodszych lat

szkolono go w sztuce posługiwania się tak mieczem, jak i słowem. Drugi przyszedł na świat jako ostatni i początkowo więcej czasu spędzał, kręcąc się pod nogami matki, sióstr i dam dworu, niż z mężczyznami. Kiedy się to zmieniło, śmiano się z niego czasem, że lepiej byłoby mu z tamborkiem niż z mieczem. Nie złośliwie, ale jednak w pewien sposób deprecjonująco, choć Gaurin nigdy nie zrozumiał, dlaczego tworzenie rzeczy pięknych – jak hafty – jest mniej warte od skracania ludzi o głowę.

Ostatnie lata z pewnością go doświadczyły i wiedział o świecie zdecydowanie więcej niż wówczas, gdy był oczkiem w głowie swojej matki, i więcej niż – teoretycznie – wiedziałby teraz, gdyby gród ich ojca nigdy nie został zniszczony. Ale nadal nie miał wykształcenia swojego starszego brata. Nadal nawet w połowie tak dobrze nie znał się na skomplikowanej sieci połączeń między rodami i sztuce prowadzenia wojny. Niestety, możliwe było też, że nie zna się tak dobrze na ludziach.

Czasem miał takie wątpliwości. Czasem siadał zadumany i zastanawiał się, czy Teru naprawdę jest tą samą dziewczyną, jaką była w jego głowie. Może ją sobie tylko wymyślił.

Spędzili ze sobą cztery lata w ciężkich warunkach, powinni znać się w każdym calu. I na pewnym poziomie tak właśnie było; jednak sposób, w jaki Teru widziała świat, pozostawał dla Gaurina niezrozumiały – jakkolwiek by się nie starał. Nie chciał tego robić, ale wiedział, że to, czego nie jest w stanie pojąć, uzupełnia własnymi wyobrażeniami.

W każdym razie brakowało mu argumentów, które mogłyby trafić do Orana. Brakowało mu odpowiednich słów, by wytłumaczyć, że wcale nie boi się o ciało ukochanej, a o jej duszę. Jeśli chodziło o to pierwsze, miał pełną świadomość, że jego brat ma rację i dziewczyna samą siłą i odpornością na ciosy zapewniłaby sobie zwycięstwo.

– Ależ masz skwaszoną minę, braciszku – usłyszał, kiedy za długo zwlekał z odpowiedzią, rozpaczliwie szukając słów.

Przestał ich więc szukać.

Królewicz robił w tej sprawie, co w jego mocy, ale niewiele udało mu się zdziałać. Teru była już pod zbyt dużym wpływem kapitana

el'Othei, który opowiadał jej o kondotierskim życiu i przygodach, a w dodatku sam Oran miał ją na oku i zachęcał, by dołączyła do jego armii. To oczywiste, że jeśli w tłumie wychudzonych obdariusów trafiła mu się półorczyca, nie mógł przepuścić takiej okazji.

Samemu królewiczowi nikt już nie kazał wymachiwać pałką i biegać po placu. Zamiast tego został przedstawiony wszystkim możliwym, którzy dołączyli do wyprawy, a księżę korony zadbał o to, by paru z nich dać nadzieję na wżenie się w ród. Gaurin wiedział zresztą, że prędzej czy później do jakiegoś małżeństwa dojdzie, bo stał się potężną kartą przetargową. Oran zdążył już zresztą zaręczyć swoją trzyletnią córkę z drugiego małżeństwa z murgrabią Baulinian, co stanowiło jeden z filarów sojuszu. Na inne składała się skomplikowana sieć zależności i obietnic – ich znaczenia chłopak nie potrafił pojąć.

Wreszcie jednak dowiedział się, kim właściwie jest ów osławiony czarnoksiężnik, za sprawą którego stracił niemal wszystko. Podobno nazywał się Radovan Sępi Szpon, ale prawie wszyscy mówili o nim właśnie tak – czarnoksiężnik. Świątynia nałożyła na niego klątwę trwającą już od dwustu lat jego nienaturalnie przedłużonego życia. Z tego właśnie znano go najbardziej – że zdołał oszukać śmierć i podobno rozmawiał z umarłymi, a nawet podnosił ich z grobu. Nie motyle jednak, czy nawet ćmy, a tych, którzy okazali się na tyle podli, by nie dostać żadnych skrzydeł i pełzali w trzewiach ziemi jako beznogie robaki.

Te niezwykle, choć niepokojące umiejętności zapewniały mu oddanie grona akolitów i wwały też fałszywą nadzieję w serca rodziców patrzących na agonię dziecka.

– Wszystko przez Eriona, niech mu ziemia lekką będzie – Oran wspomniał imię drugiego pod względem starszeństwa brata, gdy wraz z najmłodszym obserwował wymarsz wojsk na Knipfor.

Gaurin chciał początkowo towarzyszyć Teru, ale dostał kategoryczny nakaz pozostania w bezpiecznym Baulinian, choć księżę korony miał dołączyć do wyprawy. Względy były oczywiste. Po pierwsze, królewiczowi nie szło najlepiej w walce, a po drugie, gdyby coś przydarzyło się najstarszemu z rodu, pozostawał jego ostatnim męskim przedstawicielem.

– Nie wiem, ile pamiętasz, byłeś wówczas małym chłopcem – kontynuował Oran. – Erion został ciężko ranny podczas

polowania i medycy nie potrafili mu pomóc. Pan ojciec, choć odradzali mu to wszyscy, zdecydował się wezwać czarnego maga. Erion umarł i tak, a pan ojciec odmówił zapłaty. Kiedy Sępi Szpon zaczął grozić, że odbierze swoje siłą, nikt nie pospieszył nam z pomocą, a świątynia obłożyła Knipfor pięcioletnią klątwą. Która, jak się domyślasz, wygasła w zeszłym roku, dzięki czemu mogłem wreszcie zebrać sojuszników.

Gaurin ledwie rozumiał te słowa, przerażony wizją rozłąki z Teru i niebezpieczeństwem, jakie jej groziło. Wcale nie zależało mu na odbiciu Knipforu czy mszczeniu czyjejkolwiek pamięci – chciał tylko cofnąć się do tamtego dnia, w którym uznał, że towarzyszenie Ciprianowi w drodze do Baulinian to dobry pomysł, i podążyć inną ścieżką. Wpijał palce w piaskowiec balustrady i wpatrywał się w dół, próbując dostrzec rude włosy ukochanej.

Teru pół dnia zastanawiała się, czy nie zjadła przypadkiem czegoś nieświeżego i czy się nie zatrula, aż wreszcie dotarło do niej, że niepokój, który czuje w żołądku, to mieszanka radości i podniecenia. Cieszyło ją wszystko – żołnierskie nawoływania, brzęk żelaza, prychnanie koni i uderzenia ich kopyt o miękką ziemię, łopocące na wietrze proporce w kolorach, których nigdy wcześniej nie oglądała. Błyszczącymi oczyma wodziła po członkach wyprawy, zarówno po rycerzach z wymalowanymi na napierśnikach z płyty barwami rodowymi, jak i po pstrokatych elfich kondotierach w hełmach z pysznymi pióropuszcami, a nawet po kmiotkach w źle pozszywanych kurtach i z pałkami przy bokach. Było w tej zbieraninie i we wrzawie, jaką powodowała, coś szczególnego, coś, co sprawiało, że krew płynęła w żyłach półorczyki szybciej, a serce biło z siłą wojennego bębna. Uśmiechała się szeroko i gładziła kciukiem gałkę olbrzymiego miecza, który wykuto specjalnie dla jej wielkich ramion, a w którego rękojeść kazała wprawić czerwony kamień od Gaurina, by zawsze mieć go przy sobie. Ledwie przy tym spostrzegła spojrzenia, jakimi obdarzano ją samą – a w nich mieszankę niedowierzania, strachu i podziwu ze strony pospólstwa, niepewności i podejrzliwości w oczach rycerzy i ich giermków czy wreszcie nieskrępowanej, beczelnej ciekawości, z jaką obserwowali ją kondotierzy. Wśród

tych ostatnich był także kapitan el'Othei – wsparty przez pobratymców i odpowiednio już wyposażony, choć zapewne z kolejnymi długami – i opowiadał coś towarzyszom, spoglądając na Teru z półusmiechem.

Ją jednak interesował tylko wzrok Gaurina, a gdy królewicz zobaczył swą ukochaną w pełnym rynsztunku, zaniemówił. Potem podszedł do niej i uściśnął mocno – tak mocno, jakby nigdy już nie chciał jej wypuścić. Czowała, że jest zdenerwowany, ale było to zdenerwowanie w pewien sposób uroczyste. Teru wciąż nosiła na wargach posmak jego delikatnego pocałunku, a jeśli tylko odcięła się od wrzawy, wciąż słyszała jego głos, gdy szeptał jej wprost do ucha, by wracała jak najszybciej i nie pozwoliła sobie zrobić krzywdy. To ostatnie powtórzył dwa razy, tonem twardym i stanowczym, który często słyszała, gdy jeszcze na szlaku podejmował jakąś decyzję i dawał znać Bercie, że nie zamierza się z niej wycofywać.

Chciała wrócić – jeszcze zanim na dobre wyruszyła, chciała wrócić – ale jednocześnie jej serce biło mocno i ciężko do taktu uderzeń końskich kopyt, a myśli wyrывały się ku temu, co czekało ją za wzgórzami, w samym Knipforze zniewolonym przez okrutnego czarnoksiężnika i jego akolitów.

– I co, moja zielona panno? – Kapitan el'Othei podjechał bliżej na swym srokatym rumaku. Nawet dosiadając konia, był niewiele wyższy od Teru, więc mogli w miarę swobodnie rozmawiać. – Mówiłem, że ci się spodoba.

– To jest... – Półorczyca raz jeszcze powiodła wzrokiem po marszerujących. – To jest wspaniale!

Elf roześmiał się głośno i dało się w tym śmiechu usłyszeć lekkość prawdziwą, a nie tylko wymuszoną, którą zwykł maskować zmartwienia i obawy o swoją przyszłość.

– To, co naprawdę wspaniale – powiedział – dopiero przed tobą. Trzymaj miecz w garści, a głowę nisko i sama się przekonasz.

Teru dobrze zapamiętała te słowa i powtarzała jak modlitwę w kolejnych dniach, z których każdy okazywał się trudniejszy od poprzedniego. Ona sama znosiła marsz doskonale, nie przeszkadzała jej ciężka praca przy wznoszeniu obozów, spanie na ziemi ani wczesne pobudki. Jednak ludzie wokół niej – zwłaszcza ci pozbawieni wierzchowców, a tacy stanowili przecieź przytłaczającą

większość wśród rekrutów – zaczęli narzekać na swój los i złorzeczyć rycerzom w lśniących zbrojach. Pewnego dżdżystego dnia półorczyca ulitowała się nad jednym z tych biedaków i wzięła go na plecy, ale po chwili ktoś inny zaczął domagać się pomocy i utrzymywał, że ten pierwszy korzysta z niej zupełnie bezzasadnie, bo nogi ma w porządku, a jemu kamień zranił piętę i przetarły się podeszwy. Gdy Teru zamieniła ich miejscami, zamiast podziękowań otrzymała prychnięcia i wyrazy niezadowolenia, a chwilę potem otaczał ją już całkiem spory tłumek jęczących i dopominających się o uwagę. Dziewczyna przez jakiś czas znosiła ich towarzystwo, raz po raz zmieniając pasażera na swoich plecach, ale w końcu i ona poczuła się zmęczona, a barki rozboleły ją od dodatkowego ciężaru. Konni przyglądali się całemu zajściu z wysokości swoich wierzchowców, uśmiechali i wymieniali uwagami, ale żaden nie zaproponował pomocy, aż wreszcie półorczyca poczuła, że ma dość i robi się zła. Fuknęła więc w sposób, w jaki nie raz i nie dwa fukała na Gaurina, gdy bolał ją brzuch albo bardzo chciała znać odpowiedź na jakieś pytanie, na Bertę, gdy ta jej czegoś zabawnego zabraniała, na za małe sztuczki, za niskie progi i za krótkie łóżka. Ci ludzie nie wiedzieli o tym jednak i naraz odstąpili od niej wystraszeni.

Nikt już nie chciał rozmawiać z Teru i nikt już nie próbował wspiąć się na jej plecy, a kiedy rozbito obóz i słońce schowało się za wzgórzami, nikt też nie dosiadł się do niej, gdy pałaszowała swoją porcję kaszy przy ognisku, usiłując poradzić sobie ze zbyt małą łyżką. Dopiero trzy dni później odszukał ją w tłumie kapitan el'Othei. Jak zawsze sprawiał wrażenie na pół rozbawionego, a na pół zirytowanego w pewien przesadzony, teatralny sposób.

– Dziewczyno! – Powitał ją szerokim gestem otwartych ramion i roześmiał się perliście. – Coś ty najlepszego narobiła?!

Teru zmarszczyła brwi, bo jedyne, co potrafiła sobie przypomnieć z ostatnich dni, to marsz przed siebie, jedzenie i spanie.

– Dotąd mówiła o tobie połowa taboru – dodał Cipriano. – Teraz mówi już cały. Ale dobrze, dobrze. – Podszedł bliżej, mrugnął jednym okiem i trącił dziewczynę łokciem, a potem podał bukłak, z którego wyraźnie pachniało winem, choć zapewne rozwodnionym mocniej, niż przystało bogatym stołom. – Niech się ciebie boją. Lepiej żeby się ciebie bali, bo inaczej, cóż...

– Co: cóż? – spytała dziewczyna, bo nigdy nie była dobra w domysły.

– To cóż, że jesteś nie tylko duża i silna, ale też nieco zielona, żółtooka i w ogóle wyglądasz inaczej, a ludzie takich, którzy wyglądają inaczej, wołają w kajdanach. Zwłaszcza jeśli ci inni są od nich silniejsi. Wciórności, szkoda by było, gdybyś miała popaść w jakieś kłopoty, więc pamiętaj, trzymaj ich na dystans, ufaj niewielu i dbaj o swoje imię, bo inaczej znowu wszyscy będą chcieli wejść ci na plecy i zajeździć jak kulawą kobyłę.

Teru nie wiedziała, czy dobrze zrozumiała kapitana, ale od tamtej rozmowy dużo myślała o koniach i o widywanych niegdyś pobratymcach zakutych w łańcuchy.

Kiedy parę dni później zza wzgórz wyłoniła się wreszcie bura bryła Knipforu, półorczyca w ogóle jej nie poznała i gdyby nie podniecone szepty, nigdy nie domyśliłaby się, że oto dotarli na miejsce. Po pierwsze, nie była tu od czterech lat, a po drugie, nigdy nie oglądała grodu od tej strony. Kiedy uciekała z niego, nie obracała się za siebie, a gdy wreszcie nieco zwolniła, otaczały ją już gęste drzewa królewskiej dębiny. Trudno było jej jednak uwierzyć, że mieszkała w miejscu aż tak ponurym i zniszczonym, nawet ze sporej odległości straszącym połaciami martwej szarej ziemi.

– Parszywa magia. – Splunął ktoś obok Teru i wykonał parę szybkich gestów odpędzających zło, które ostatnio widziała u Berty, kiedy okoliczności zmuszały ich do skręcania na zachód.

Półorczyca zacisnęła mocno wargi, wpatrując się w dal. Przed oczyma miała już nie martwą ziemię i bryłę Knipforu, a tamten dzień, w którym salwowała się ucieczką, goniona przez krzyki ginących, śwąd spalenizny i potworne huki. Poczowała dziwną złość na tamtą siebie, że nie stanęła do walki. Przez jeden krótki moment, nim zrozumiała, jak bardzo mija się z prawdą, wyobrażała sobie, że gdyby wówczas nie uciekła, Gaurin nigdy nie straciłby rodziny, a Berta nigdy nie umarłaby na gorączkę i kaszel.

Cóż, pewnie dziewczyna by w takim razie zginęła. Czy mogła więc zginąć także teraz?

Wydało się jej to dziwne – ta myśl, że mogłaby umrzeć. Wspomnienie wrzasków konających i leżących na zamkowym dziedzińcu rozerwanych magią ciał nagle wywołało dreszcz na potężnych plecach półorczyca.

Czy mogłaby nigdy nie wrócić do Gaurina? Nigdy już nie czuć ciepła jego ciała? Nie pozwalać się całować? Nie przytulać, nie dawać pieścić i nie pieścić jego?

Przypomniała sobie, jak dwa razy prosił ją, by nie dała sobie zrobić krzywdy. Potrząsnęła głową, próbując wygonić zimno z żołądka, i bardzo, bardzo mocno postanowiła, że przeżyje.

W powietrzu wokół mieszały się odór spalonego mięsa i przyjemny zapach burzy. Teru rozdymała nozdrza, wciągając do płuc tę mieszaninę wraz z dymem. Serce biło jej ciężko, w równym, choć przyspieszonym tempie. Dłonie zaciskały się mocno na rękojeści miecza z czerwonym kamieniem od Gaurina, mięśnie ramion pracowały z pewnością, jakiej dziewczyna nie powinna mieć po zaledwie paru tygodniach ćwiczeń w obozie rebeliantów. Ostrze zdawało się jednak przedłużeniem jej ciała – doskonale czuła, jak jego ciężar zmienił jej równowagę, jak można to wykorzystać na swoją korzyść, jak nadać główni pęd i jak sprawić, by nie zatrzymał się na byle kości.

Skóra Teru była rozgrzana jak żelazo i dziewczyna miała wrażenie, że krew zastyga na jej twarzy i ramionach niemal natychmiast i że choć ciepła, przynosi rozpalonemu ciału przynajmniej chwilową ulgę.

Akolici wydawali się jej z początku przerażający – podobnie zresztą jak wielu innym rekrutom, z których część próbowała zawracać, ale wówczas natykała się na mur, jaki utworzyli kondotierzy zaganiający ich do walki jak psy owce z powrotem na pastwisko. Słudzy czarnoksiężnika wyrastali ponad stłoczoną ciżbę piechurów jak czarne wieże. Ich pokryte tajemniczymi znakami maski zdawały się pochłaniać całe światło, jakie na nie padało, a krucze pióra u ramion trzepotały, gdy unosili ręce.

Walczyli tak mieczami, jak i magią. Przed ciosami osłaniały ich tarcze z lodu i ognia, niektórzy zamiast ostrzy dzierżyli błyskawice. Teru jednak dość prędko zauważyła, że przewaga zwykłej broni nad zaklęciami polega na tym, że jest mniej zawodna i ogólnie szybsza. Dziewczyna mogła podjąć decyzję nieomal w ułamku sekundy i wtedy jedyne, co jej przeszkadzało, to wzięty już zamach i konieczność skorygowania rozłożenia ciężaru ciała.

Mag w tej samej sytuacji musiał zmienić wypowiedaną formułę. Cała tajemnica tkwiła więc w tym, by wyczuć rytm, by poczuć, jak faluje stłoczony w walce tłum i dobrze obserwować otoczenie. Zanim Teru tego dokonała, zdążyła już stracić lewą brew i dała sobie lekko poparzyć górną część pleców.

Ale wyczuła to. Wyczuła i niemal nie zwracała już uwagi na innych walczących. Jeśli ją atakowali, mordowała ich bez zastanowienia i nieomal odruchowo, bo jak przewidywali Cipriano i księżę Oran, zwykli piechurzy, nawet wzmocnieni magicznymi napojami, niewiele mogli jej zrobić. Teru rozgniatała ich jak natrętne muchy, a jej prawdziwym celem stali się właśnie akolici. Nawet ona rozumiała, że bez nich obrona Knipforu niemal przestanie istnieć i pozostanie już tylko jeden przeciwnik do pokonania – czarnoksiężnik we własnej osobie.

Nie zauważyła nawet, kiedy słońce zaczęło zachodzić i jak z coraz bardziej upiornego pola bitwy zaczęły podnosić się głębokie, długie cienie. Myślała tylko o kolejnym magu, którego powinien sięgnąć jej miecz, kiedy jeden z tych cieni złapał ją za łydkę, a drugi za łokieć. Wtedy usłyszała, że ludzie wokół niej wrzeszczą – i najwyraźniej wrzeszczeli niezależnie od tego, po której ze stron walczyli. Wszystkich ich oplatały widmowe, długie ręce unoszące się z ciał poległych. Upiorne palce początkowo jedynie siały przerażenie, a ich dotyk wywoływał zimny dreszcz – w miarę jednak jak stawało się ciemniej, nabierały one cielesności i siły, aż zaczęły wbijać się w ciało i rwać mięśnie.

Teru – drapnięta w udo przez jedną z takich rąk – była już blisko następnego akolity, gdy usłyszała dźwięk rogów. Wiedziała, co on oznacza, a ponieważ wiele razy mówiono jej, że słuchanie rozkazów jest najważniejsze, natychmiast przerwała pościg za magiem w masce i zawróciła.

Że kuleje, zorientowała się dopiero po dłuższej chwili. Że jest już ciemno – jeszcze moment później. Że czarne, widmowe dłonie zaciskają się z potworną mocą na ludziach uciekających z pola bitwy wraz z nią, a potem – przy okropnym trzasku kości i mlaskach – wciągają ich pod ziemię, starała się w ogóle nie myśleć. Przebierała spuchniętą nogą tak szybko, jak tylko pozwalał na to pulsujący ból, ale zdawało się jej, że otacza ją tylko ciemność, a rogi księcia Orana słychać z bardzo daleka.

Wówczas rozległ się tętent kopyt i rżenie koni, a mrok rozdarło ciepłe światło pochodni.

– Za ogniem! – krzyknął ktoś z charakterystycznym elfim akcentem. – Idźcie za ogniem!

Teru utkwiła więc wzrok w jednym z łuczyw, chwyciła się blasku jak tonący wyciągniętej ku niemu ręki i kuśtykała dalej, byle przed siebie.

Przez moment pomyślała, że jest jak ta ćma, która leci prosto w płomień, by zginąć.

Przez moment pomyślała, że oto stoi na progu krainy zmarłych.

Nagle jednak jakby pękła bańka wokół niej, otoczyły ją jasność oraz gwar i zrozumiała, że dotarła do obozu. Obejrzała się za siebie, na mrok wypełniony potworną magią, i spostrzegła, że wraz z nią pole bitwy opuściło niewielu ludzi księcia, a część z nich zrobiła to na kolanach lub wręcz pełzając na brzuchu.

Noga bolała Teru aż do rana, a na czoło dziewczyny wystąpiły krople potu – miała gorączkę. Pierwszy raz w życiu miała gorączkę i znów przestraszyła się, że jednak umrze, tak jak umarła Berta, tamta dziewczyna z kuchni i jeden z braci Gaurina. Ale przecież – pamiętała – obiecała sobie bardzo mocno, że nie zginie i że wróci do swojego ukochanego, żeby powiedzieć mu, że pokonała czarnoksiężnika i jej królewicz może już bezpiecznie zamieszkać w domu, za którym przecież zawsze w głębi serca tęsknił. Kiedy zaczęło się trochę rozjaśniać, półorczyca zebrała się więc w sobie i spojrzała na udo. Spuchło i bolało znacznie bardziej, niż powinno w przypadku zwykłego zadrapania – pomijając już fakt, że nawet najtwardsze paznokcie nie były dotąd w stanie uszkodzić wytrzymałej skóry Teru. Czerwone pręgi narbrzmiały, a wokół nich pojawiły się małe krostki.

– I jak tam, panna? – Cipriano wpadł do wspólnego namiotu, który Teru dzieliła z innymi rekrutami, bez zapowiedzi. Ledwie zdążyła chwycić koc i zakryć nim nogę. – O, widzę, że żywa, to już coś. – Kapitan chyba chciał żartować, ale uśmiech zgasł na jego ustach niemal natychmiast. – Jednak jesteś twarda – podsumował i westchnął. – Ale to dobrze, bo twój chłopiec wydrapałby mi oczy, gdyby coś ci się stało, a jak zobaczyłem, ilu z was w nocy kojfnęło...

Elf rozejrzał się, szukając pewnie czegoś do siedzenia, ale znalazłszy jedynie rozłożone na ziemi sienniki, zaplótł dłonie na łąkach i przeszedł parę sztywnych kroków w tę i z powrotem.

– Parszywa magia. – Splunął, nie patrząc na Teru. – Mówiliśmy: dać chłopom kusze. Ale nie, bo Świątynia zakazała, bo niehonorowo.

– Są powolni – powiedziała półorczyca, marszcząc brwi i myśłami wracając do walki z poprzedniego dnia, która zdawała się jej wspomnieniem z innego życia.

– Chłopi?

– Nie. – Pokręciła głową. – Akolici. Jeśli już się do nich dostaniesz, to łatwo trafić.

Kapitan el'Othei wbił w nią spojrzenie tak intensywne, że aż poczuła je na skórze.

– Zabiłaś jakiegoś? – spytał dziwnym tonem.

Teru wyciągnęła przed siebie obie dłonie, po czym zacisnęła jedną pięść i zgięła trzy palce u drugiej ręki. Zastanawiała się jeszcze chwilę, po czym oświadczyła:

– Ośmiu.

Elf wydał z siebie gwizd niedowierzania i podziwu. A potem roześmiał się gromko.

– Bogowie zaiste byli pijani, gdy cię tworzyli, dziewczyno – powiedział. – Księżę musi o tym usłyszeć. I to natychmiast.

Jak Cipriano postanowił, tak się stało. Oran nie do końca chciał wierzyć w to, co mu mówiono, ale szybko znalazło się wielu świadków wśród ocalałych, którzy potwierdzili, że Teru położyła nie jednego, nie dwóch, a niemal dziesięciu akolitów – niektórzy utrzymywali wręcz, że jeszcze więcej.

Księżę, słuchając tych coraz bardziej niesamowitych opowieści, przyglądał się dziewczynie w skupieniu i ze zmarszczonym czołem. Skubał przy tym krótko przystrzyżoną brodę, a od skłębionych myśli aż pociemniały jego – zwykle jasne jak u Gaurina – oczy. Wreszcie kazał wszystkim wyjść i został z półorczycą sam na sam.

– A więc jesteś przyjaciółką mojego brata – zaczął i nagle jego twarz rozświetlił uśmiech.

– Też – odpowiedziała szczerze.

Teru wyglądała... inaczej. I nie chodziło tylko o strój oraz fryzurę, bo przecież Gaurin widział ją w zbroi. Tylko że wówczas ta zbroja była czysta, a nie splamiona krwią. Krwi nie było też w zakamarkach twarzy, nie czerniła się pod paznokciami. Włosy nie były tak potargane, a żółte oczy nie płonęły tak strasznym ogniem.

Królewicz dopiero po chwili uświadomił sobie, że kiedy dziewczyna przekroczyła próg, on sam cofnął się o krok i wstrzymał oddech. Jakby odepchnęła go niewidzialną pięścią.

Księżę Oran wszedł do sieni tuż po niej i z szerokim uśmiechem klepnął ją w ramię – bo łopatki nie sięgnął.

– Widzisz, braciszku? – Zaśmiał się. – Mówiłem ci, że niepotrzebnie się martwisz! Twoja Teru to wspaniała wojowniczką. Musiałbyś widzieć, co wyczyniała!

Gaurin całym sercem miał nadzieję, że dojrzy skrzywienie niezadowolenia na twarzy dziewczyny, ale na próżno. A gdy sama zaczęła się uśmiechać, poczuł, jak jego kręgosłup mięknie, a stopy wsiąkają w podłogę.

To nie był czas na sceny. Jego ukochana wróciła cała i zdrowa, poradziła sobie w piekielnie trudnej sytuacji, zdobyła uznanie i szacunek. Królewicz powtarzał sobie to wszystko bardzo uparcie, ale jednak nie był w stanie przywołać na twarz wyrazu radości. Próbował, ale tylko rozbolały go od tego policzki. Chciał też zmusić się do tego, by podejść do dziewczyny, ale nogi nie zamierzały go słuchać, a na samą myśl o dotyku jej dłoni – tych paznokci z czerniejącą pod nimi krwią – żołądek zaciskał się w supeł.

Teru nigdy wcześniej nie budziła w nim obrzydzenia. Niczym. Ani chorobą, ani okresem, ani drobnymi nieładnymi nawykami, bo przecież każdy jakieś miał.

Dziewczyna wyciągnęła ku niemu ręce i zaczęła iść w jego stronę, najwyraźniej nie radząc sobie z odczytaniem mowy jego ciała. Zmusił się, żeby stać w miejscu, a potem dał się objąć, ale tylko tyle. Z całych sił zacisnął powieki, żeby wymazać z pamięci widok sprzed chwili i wyobrazić sobie taką Teru, jaką znał, ale nie potrafił. Pachniała jak żelazo.

Była żelazem.

– A teraz pozwólmy damie się przebrać i umyć. – Oran odprowadził półorczykę wzrokiem, po czym podszedł do wciąż

oszołomionego brata i tym razem to jemu położył dłoń na ramieniu. – My musimy pogadać. Jak mężczyźni. – Bolesnie wpił palce w osłonięte jedynie koszulą, a nie twardą zbroją ciała Gaurina.

Ten poczuł, że serce podskakuje mu do gardła, ale jednocześnie pięści zaciskają się w obronnym odruchu.

– Tak, bracie? – spytał i ze złością stwierdził, że głos lekko mu zadrżał.

– Powiedziała mi o wszystkim.

Książę zabrzmiał szorstko, ale kiedy Gaurin na niego zerknął, zobaczył cień krzywego uśmiechu w lewym kąciku ust. Powoli wypuścił powietrze.

– O jakim wszystkim? – Po drgnieniu zuchwy krewniaka królewicz poznał, że udawanie niedomyślnego bardzo mu nie wyszło.

Dziwne, kiedyś – na szlakach i w karczmach – potrafił grać kogoś, kim nie jest.

– O was. Prosiłem ją oczywiście, żeby nikomu więcej o tym nie opowiadała.

Oran westchnął, odszedł parę kroków i oparł się plecami o kamienną balustradę balkonu. Chwilę patrzył na młodszego brata zmrużonymi oczyma.

– Nie chcę cię oceniać – powiedział. – Wiele przeszedłeś zapewne, to mogło... namieszać ci w głowie.

– Nic nie namieszało mi w głowie – warknął Gaurin, choć rozsądek podpowiadał trzymanie języka za zębami.

– Tak czy inaczej mam nadzieję, że masz świadomość, że twoja potencjalna małżonka może się poczuć urażona. Co innego, gdybyś poszukał sobie dobrze urodzonej i pięknej kochanki, to akceptowalne. Nikt nie miałby do ciebie pretensji. Ale... nie bestii.

Królewicz zacisnęła szczękę tak mocno, że aż zgrzytnęły zęby i ból rozpełzł się w dół szyi. Nie był jednak w stanie odpowiedzieć.

Nie był w stanie odpowiedzieć, tym bardziej że ledwie chwilę wcześniej patrzył na Teru umazaną krwią, straszną i obcą, a jednocześnie tak szczęśliwą.

Bestia.

Słowo to rozbrzmiewało w głowie Gaurina, gdy wiele godzin później przesuwał palcami po nagim zielonym ramieniu swojej

śpiącej spokojnie kochanki i myślał, patrząc, jak za oknem noc zamienia się w kolejny dzień.

Może i bestia, ale wciąż najcenniejsza osoba na tym świecie, co królewicz zrozumiał, gdy Teru zrzuciła z siebie zbroję, zmyła krew i wreszcie zostali sami. Wtedy zobaczył w jej oczach dawną łagodność, zza zasłony bitewnego szału wychynęło nieodmienne szczere serce nieznające fałszu i półcieni. Silne ciało przestało przerażać, a zaczęło znów pociągać, usta kusiły słodkim smakiem, a śmiech dźwięczał w uszach jak dzwonki.

Teru przypomniała mu, że jest doskonałością – a on mógł jej dać tylko tajemnice, ukrywanie się i poniżającą grę. Nawet nie status faworyty. Królewicz na pewno nie tak wyobrażał sobie ów powrót do domu. Usiadłszy na materacu tyłem do śpiącej dziewczyny, obserwował swoje palce, mając wrażenie, że jak piasek przesypuje się między nimi wszystko, co wydawało mu się tak ważne.

Czarnoksiężnicy nie byli łatwym przeciwnikiem. Próba odbicia Knipforu z ich rąk przerodziła się szybko w długotrwałą i męczącą wojnę. Oran i jego sojusznicy sypali złotem, więc z całej okolicy ściągali chętni do zaciągnięcia się w prywatne armie, a z południa nadciągały kolejne elfie oddziały kondotierskie, w których coraz częściej pojawiali się kusznicy – nawet zaczęto przyuczać do obsługi tej broni ludzkich rekrutów. Świątynia nadal patrzyła na to niechętnie, ale Oran nieco uspokoił kapłanów daninami oraz dowodząc, że to jedyny sposób na równą walkę z akolitami, którzy – jak było powszechnie wiadomo – powinni zostać starci z powierzchni ziemi w imię bogów.

A okolica, w której wychowali się bracia, pustoszała. Płonęły wioski, opróżniano spichlerze i rekwirowano bydło.

Cipriano był zachwycony, bo wyliczył, że zdoła spłacić całą ciążącą na nim lichwę. Śmiał się i gromadził wokół siebie nowy oddział.

Należała do niego Teru, którą po jednej z bitew, gdy gołą dłonią zmasakrowała jednego z magów, zmieniając jego twarz w krwawą miazgę serią metodycznych uderzeń, zaczęto nazywać Czerwoną Pięścią.

Była już zupełnie kimś innym niż tamta prosta dziewczyna, która uratowała dwoje ludzi z płonącego zamku. Może to prawda,

że wojnę miała w duszy. Może to prawda, że jako półorczyca została przez bogów stworzona do zabijania. Szybko pięła się po stopniach żołnierskiej kariery, co było łatwe do przewidzenia. Po pierwsze, walka sprawiała jej czystą radość, a po drugie, nie kwestionowała rozkazów i zawsze robiła dokładnie to, czego od niej oczekiwano. Gaurin słyszał o niej prawdziwe legendy i coraz trudniej było mu wierzyć, że to ta sama osoba, z którą spędził cztery lata tułaczki.

Dla niego to było za dużo.

W końcu nawet do Teru musiało dotrzeć, że coś jest nie tak. Królewiczowi było jej żal, bo widział wyraźnie, że dziewczyna nie ma pojęcia, co się stało i jak naprawić tę sytuację, a jemu samemu słowa wciąż wzięły w gardle. Wiedział, że powinien wziąć na siebie ten ciężar i wszystko powoli jej wyjaśnić – wiedział to doskonale, ale nic mu z tej wiedzy nie przychodziło.

Nie mógł jednak znieść ani widoku spalonej krainy dzieciństwa, ani ukochanej zadającej śmierć i czerpiącej z tego satysfakcję. Nie mógł też znieść apodyktycznego brata, dla którego odbicie Knipforu stało się obsesją.

Teru czasem znikala na wiele dni, a kiedy wracała, była wyraźnie stęskniona i pragnęła bliskości. Gaurin nie mógł jednak nic na to poradzić. Bał się jej – zwyczajnie się jej bał i upokorzony niemocą swojego ciała, odprawiał ją niezaspokojoną. Tamta podlana strachem o ukochaną magia, która zadziałała po jej pierwszym powrocie z walk, z czasem zupełnie się rozwiła i ani kompulsywne przywoływanie dobrych wspomnień, ani zmywanie kolejnych warstw krwi nie przynosiło skutku.

Aż w końcu Gaurin uznał, że nie ma tu dla niego miejsca i powinien odejść.

Minęły dwa miesiące, odkąd księcia zdradził najmłodszy z braci, obracając w perzynę wiele obietnic, na których opierały się kruche sojusze. Zręczna dyplomacja pozwoliła jednak załagodzić przynajmniej część rodzących się sporów. A po tym, jak Oranowi urodził się syn i został przyrzeczony bogom, udało się także zdobyć już nie tylko neutralność, ale wręcz przychyłność niektórych hierarchów Świątyni. Kapłani podzielili się jednak w tej kwestii

– ci z zachodu zaczęli wręcz podważać ważność zdjęcia klątwy, wschód pobłogosławił nawet kuszników. Wzmocniona kolejnymi oddziałami elfich kondotierów i opieką kapłanów armia zdołała wreszcie wyprzeć czarnoksiężnika z Knipforu.

Nie oznaczało to jednak końca wojny, bo nie wszystkim możliwym spodobała się ta restauracja i powstali ci wrogowie Orana, którzy wcześniej liczyli na to, że rozbije się on o mury dawnych włości.

Teru słyszała różne opowieści o nowym królu, w tym takie, że wyrasta na bezwzględny tyrana. Dla niej jednak był dobrym panem. Wydawał jasne rozkazy i nagradzał za ich wypełnianie. Czula przy nim spokój i pewność – wiedziała, co przyniesie jutro, wiedziała, co należy do jej obowiązków. Te z kolei pozwalały uśmierzyć ból, który dręczył duszę półorczycy, odkąd Gaurin odszedł. Próbował się jakoś tłumaczyć, ale ona niewiele z tych tłumaczeń rozumiała i tak naprawdę wcale jej nie obchodziły. Królewicz zdradził swego brata, ale to Teru zostawił z rozdartym sercem tuż po tym, jak wreszcie poczuła się pełna, odnajdując w walce to, czego dotąd jej w życiu brakowało. Nie pojmowała tego i uważała za niesprawiedliwe.

Często zdarzało się, że Oran wysyłał do swych przeciwników właśnie ją – bohaterkę walk o wyzwolenie Knipforu. Czasem tylko po to, by straszyla malkontentów, ale niekiedy też po to, by wyrznęła ich w pień, jeśli władca uznał, że sytuacja jest potencjalnie niebezpieczna.

Kobieta nie zadawała pytań i mordowała ich bez mrugnięcia okiem – niekiedy nawet całe rodziny, jeśli te stawiały opór. Powiedziano jej, że to ważne i że bogowie będą patrzyli na nią przychylnie za utrzymywanie porządku w królestwie.

Parę razy zdarzyło się też, że ktoś atakował ją samą, ale dotąd nikomu nie udało się choćby jej skaleczyć. Słyszała, jak ludzie mówią o niej: Bestia Orana, i podobało się jej to. Słyszała też, jak ludzie mówią, że bez niej, bez swojej bestii na łańcuchu, nie zdołaliby utrzymać władzy. Czula się zbyt mała, by rozstrzygać, czy to prawda, i po prostu dalej robiła swoje.

Aż do tamtego dnia.

Teru długo nie przeczuwała kłopotów. Usłyszała co prawda, jak ktoś sugeruje księciu, by tym razem jej nie posyłał, ale ten

skwitował napomnienia śmiechem i rzucił coś o tym, że tępe pałki ze swej natury nie myślą, tylko biją ludzi.

Poza tym wszystko wyglądało jak zawsze – kobieta dostała oddział swoich wiernych żołnierzy, dosiadła specjalnie dla niej ocalonego z czarnoksięskiej stajni wierzchowca Żwirka, przytroczyła miecz do pasa i ruszyła rozprawić się z wrogami królestwa.

Nie jest dobrze stawać przeciwko swojemu bratu – Gaurin wiedział o tym doskonale. Kiedy parę lat wcześniej pierwszy raz usłyszał, że nie jest ostatnim ze swego rodu, nie posiadał się z radości. Kiedy potem patrzył na poczynania Orana, nie wszystko musiało mu się podobać, ale jednak nie mógł odmówić kampanii skuteczności, a bratu zręczności w dyplomacji. Wojna z czarnoksiężnikami odebrała królewiczowi wiele, w tym przyjaciela, ukochaną i w pewnym sensie także brata właśnie, ale ostatecznie doprowadziła do odbicia Knipforu.

Jednak potem nadszedł czas żniw.

Wyniszczona wojną okolica nie była zdolna rodzić dość pożywienia, wielu ludzi nie miało już dokąd wracać, piętrzące się po rowach zwłoki i wisielcy przy drogach nie tylko straszili, ale też stali się przyczyną chorób. Skarbce opustoszały i nieopłacani kondotierzy albo odeszli, albo – w gorszym przypadku – postanawiali siłą odebrać to, co im się należało.

Gaurin nie miał innego wyjścia.

A raczej miał jedno – zapomnieć, ale raz już próbował, a potem nie spał wiele nocy przez wiele miesięcy, nie potrafiąc sobie tego wybaczyć. Patrzył wówczas w sufit i widział zawiedzioną, smutną twarz Teru, jej zacięte usta, gdy próbowała nie płakać.

Nie otworzyła mu, gdy przyszedł do niej po raz ostatni.

Jeszcze parę lat wcześniej wydawało się, że ponure proroctwo Berty o tym, że półorczyca i królewicz złamią sobie serca, nie ma prawa się spełnić. Ta okropna chwila jednak nadeszła, trwała długo – od momentu, w którym w jego ukochanej obudziła się krwawa natura, a Gaurin zrozumiał, jak bardzo się mylił, widząc w niej tylko potencjalną ofiarę. Bólu, jaki po sobie zostawiła, nic nie było w stanie uśmierzyć.

Królewicz – nieużywający już tego tytułu nawet w myślach – starał się to jednak od siebie odsunąć. Tak naprawdę zarówno on, jak i kraina Ideyre mieli poważniejsze problemy.

Gaurin wmawiał sobie, że dobrze robi, pozwalając się wkręcić w machinę spisku i legitymując swoją królewską krwią działania grupy możnych, którzy wraz z coraz mniej zadowolonym z krwawych rządów Orana zachodnim odłamem Świątyni planowali jego obalenie. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, że kolejny przewrót w ledwie od dwóch lat znów istniejącym królestwie nie przyniesie pokoju, ale inny powtarzał, że siedzenie z założonymi rękoma to przyczynianie się do terroru i rzezi.

Tak oto Gaurin wylądował wśród spiskowców zbierających się potajemnie w refektarzu klasztoru Boga o Trzech Twarzach w Allermo – pod egidą tego samego przeora, który ledwie dwa lata temu wspierał księcia korony, gdy ten wydawał się jeszcze długo wyczekiwaną nadzieją dla ogarniętego wojenkami i spowitego cieniem czarnoksięskiej magii Ideyre. W tamtym czasie kapłan bił się już w pierś i głośno przyznawał do błędu, a zawód z przeszłości kazał mu patrzeć podejrzliwie także na młodszego z braci. Nie było jednak między nimi otwartej wrogości, a tylko obopólna ostrożność.

Ta jednak z pewnością nie poprawiała samopoczucia królewicza, który mimo upływu czasu nie potrafił się w nowej rzeczywistości odnaleźć. Mógł sobie kiedyś wyobrażać, że skoro jest królewiczem, to ma naturalne predyspozycje do podejmowania decyzji i brania na siebie odpowiedzialności. Rzeczywistość brutalnie go z tych marzeń rozliczyła, a na moźnych jego sugestie nie robiły najmniejszego wrażenia. Nie potrafił wyrwać się z roli bezwolnego elementu układanki, którą mozolnie tworzyli.

A mimo to nadal trwał przy ich boku i nadal nadawał ich działaniom mocy samym tylko herbem.

Tamtego popołudnia jak każdego piątego, piętnastego i dwudziestego dnia miesiąca stawiał się w Allermo, opuściwszy kryjówkę zapewnioną mu przez kapłanów. Zły i zmęczony, pograżał się w poczuciu osamotnienia, udając przed sobą, że ma na cokolwiek wpływ – i że wcale nie planuje stanąć do walki z własnym bratem i ostatnim żyjącym krewnym. Osowiały, bez większego

zainteresowania obserwował ściany oraz ludzkie twarze i próbował nie myśleć o przeszłości.

Aż przeszłość nagle nie wtargnęła do refektarza i nie stanęła z nim twarzą w twarz.

Niespodziewanie dla wszystkich przez wąskie okna wdarł się do sali niezwyčajny w klasztorze gwar – tętent kopyt, krzyki i gdakanie przestraszonych kur.

– Zabierzcie stąd królewicza! – wrzasnął jeden z kapłanów, wpadając przez próg, a chwilę potem leżał już martwy na posadzce.

Gaurin poczuł, jak silne ręce chwytają go z obu stron i zmuszają do marszu. Nie od razu dotarło do niego, że to ramiona próbującego ratować go sojusznika. Wkrótce obu otoczył dym. Jego ostry zapach drapał gardło i wyciskał łzy z oczu, tak że królewicz przestał widzieć cokolwiek.

– Szybciej, wasza miłość! – poganiał go szorstki, ale wyraźnie przejęty głos.

Gaurin robił więc wszystko, co mógł, by biec szybciej, choć kolana miał miękkie i drżące. Z całych sił wyganiał też z głowy potworne wspomnienia z dzieciństwa, gdy płonął jego dom i mordowano rodzinę.

Nie zdołali uciec.

Ostrze błysnęło tuż przed twarzą królewicza i już był przekonany, że zginął – tak jak próbujący uratować go mężczyzna – kiedy nagle zatrzymało się, a potem opadło o pół łokcia.

– Gaurin...?

Znał ten głos. Na bogów, znał ten głos! Podniósł wzrok na tę ukochaną twarz, odszukał spojrzenie żółtych oczu, za którymi tak tęsknił. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Całe powietrze naraz cofnęło się do jego płuc w gwałtownych wdechu, gdy ciałem wstrząsnął potworny ból.

Bełt wypuszczony przez stojącego za Teru kusznika przeszył ciało Gaurina tak nagle, że półorczyca nie miała najmniejszych szans zareagować. Kiedy chwyciła go za ramiona, by uchronić przed upadkiem, było już za późno i opadł w jej objęciach dziwnie ciężki i bezwolny. Poruszał ustami, ale nie zdołał wypowiedzieć

nawet słowa. Wojowniczką nie wierzyła w to, co się stało, i z wyrazu gasnących oczu królewicza wnioskuje, że on też nie wierzy. W bezsensownym, spóźnionym odruchu obróciła się z gardłowym warkotem, który przeszedł w dziki wrzask, kiedy wyrwała mordercy kuszę z rąk, a potem powaliła go na ziemię i łóżem rozłupała czaszkę.

Teru przypadła do Gaurina, objęła go, drżącymi palcami dotknęła policzka i szeptem wypowiedziała jego imię, ale nie odpowiedział. Potrząsnęła nim więc i zawołała głośniejszym, a potem raz jeszcze – pełnym przerażenia krzykiem.

Nie żył.

Przytuliła go mocno, a potem nagle ryknęła całą mocą płuc i zerwała się z kolan. Z jej oczu płynęły łzy, krew na rękach płonęła, a ta w skroniach dudniła jak wojenne bębny. Nikt nie miał z nią szans – ani ci, którzy próbowali się przed nią bronić, ani ci, którzy próbowali uciekać. Ani ci, z którymi spiskował Gaurin, ani ci, których wysłał tu Oran. Teru nie przestała siec swoim mieczem, aż na podłogę nie upadł ostatni żywy człowiek. Ramiona i twarz miała całe we krwi, dyszała ciężko, ale nawet to nie zdołało zagłuszyć bólu w jej piersi – euforia, jaka zwykle towarzyszyła walce, nie nadeszła i nie zabrała rozpacz.

Dokonawszy dzieła zniszczenia, kobieta wróciła do miejsca, w którym leżał jej ukochany. Uklękła i ostrożnie dźwignęła ciało z posadzki. Trzymając je na rękach, nagle tak dziwnie bezwładne i obojętne, szła przez krwawą rzeźnię – dzieło własnych rąk. Łzy już wprawdzie obeschły, ale mimo to niewiele widziała. Nie rozglądała się. Po prostu szła przed siebie, aż opuściła to miejsce śmierci i dotarła na dziedziniec, gdzie usadziła ciało Gaurina twarzą w stronę chylącego się ku zachodowi słońca. Z zaciśniętymi pięściami ruszyła w kierunku kaplicy, w której zabarykadowało się trzech mnichów, a potem wyważyła drzwi siłą własnych mięśni i wywlekła jednego z zakonników za szaty, by odprawił rytuał.

Teru nie wróciła już do Knipforu. Nie wyobrażała sobie ponownego spotkania z człowiekiem, który rozkazał jej zabić swojego własnego brata, jej dawnego – pierwszego i jedyne – ukochanego. Wiedziała zresztą, że natychmiast zostałaby pojmana

i skazana za wymordowanie nie tylko spiskowców, ale także własnego oddziału. Nie chciała też znów do kogoś należeć i żeby inni mówili jej, kto zasługuje na śmierć, a kto nie. Nauczyła się, że wszyscy, którym pozwala o sobie decydować, ją okłamują.

Ruszyła na północ, w nieznaną. Nie zabrała niczego prócz wierzchowca, zbroi i miecza, ale przecież młodość spędziła na tułaczce, podczas której niejednokrotnie nie miała nawet tyle.

Choć wtedy nie była samotna.

Choć wtedy była kochana.

Nie próbowała się ukrywać. Nie sądziła, by miała na to szanse, a poza tym, jeśli jej niedawny pan chciałby ją odnaleźć, proszę bardzo, zamierzała czekać na niego z dobrze zaostrzoną stalą u boku.

Minęły lata, a sława Czerwonej Pięści niosła się po wszystkich krainach. Dawną bohaterkę Knipforu znano już także jako pogromczynię wielu poczwar i czarnoksiężników.

Oran, póki żył, nie miał dość władzy, by jej dosięgnąć, choć parokrotnie próbował ataków skrytobójczych. Pewnej zimy jednak zapadł na tajemniczą chorobę i odszedł do krainy motyli, a wobec wygaśnięcia rodu władzę w Knipforze przejął murgrabia Baulinian.

Wieści te przekazał dziewczynie Cipriano, z którym los zetknął ją w jednym z grodów, gdzie kapitan zatrzymał się w drodze na południe. Zamierzał wracać do siebie, bo choroba dotknęła nie tylko króla, ale także komesa Fiore. Plotka głosiła, że dni wielmoży są policzone. Kapitan el'Othei planował więc zabrać kompanię poznanych podczas walk o Knipfor kondotierów, ukradzione podczas zrywania kontraktu z Oranem złoto oraz szwagierkę martwego króla i wrócić w swoje rodzinne strony, by wspomóc mieczem tę czy tamtą stronę próbującą zająć osierocony tron.

Nie myślała zbyt wiele ani o przeszłości, ani o przyszłości. Nie planowała i żyła po prostu od zlecenia do zlecenia, przekonana, że nie czeka jej już nic innego. Sława jej tak naprawdę nie cieszyła, pieniądze w dużej mierze rozdawała, bo i tak większość czasu spędzała w drodze, a na oszczędzanie na starość lub wypadek choroby brakło jej wyobraźni.

Aż pewnego wieczora znów wszystko się zmieniło. Teru spędzała akurat wieczór w obozowisku, w pobliżu którego zastała ją noc. Dosiadła się do skupionych wokół ogniska podróżnych, a oni, w zamian za jej ochronę, oddali pół pieczonego barana i butelkę nieznanego jej napoju ze sfermentowanego mleka. Dziwili ją i fascynowali, bo wyglądali niemal jak ona – mieli zieloną skórę i wystające kły, a ich oczy odbijały księżycowe światło – ale nie nosili żadnych kajdan i nie należeli do żadnego pana.

Mówili, że przybyli z dalekiego zachodu i że podróżują, bo taką rolę przepowiedziały dla nich duchy. Mieli iść przed siebie i nieść opowieści swoim zniewolonym wbrew prawom natury pobratymcom, by ci powoli przypominali sobie, kim są.

– Każdemu duchy przepowiedziały rolę? – dopytywała Teru, szukając na baraniej kości ostatnich kąsków mięsa.

– Każdemu, kto oddał się w ich opiekę – odparła czarnowłosa dziewczyna, która jeszcze przed chwilą śpiewała do wtóru dziwnego instrumentu o dwóch strunach. – My, lud boga wojny, potrzebujemy tej opieki, by studziły naszą krew i byśmy nikomu nie służyli za miecz.

Teru zmarszczyła brwi i zapatrzyła się w ogień, bo słowa te aż nazbyt skutecznie otwierały rany w jej sercu – te, choć miały już parę lat, nadal nie chciały porządnie się zasklepić. Tak jak nigdy do końca nie zniknęły z jej uda czerwone pręgi, których nabawiła się podczas pierwszej bitwy o Knipfor całe światy temu.

– Byłam mieczem – przyznała cicho i odrzuciła kostkę za siebie, gdzie natychmiast zajęły się nią towarzyszące wędrowcom szare psy.

– A kim jesteś teraz?

– Nie wiem. Moja krew jest gorąca, ale nikt nie mówi mi, dokąd mam iść i kogo zabijać. Sama wybieram.

Czarnowłosa milczała bardzo długo, ale w końcu powoli i ostrożnie skinęła głową.

Ogień płonął niespiesznie jak pogrzebowe stopy, które zabrały Bertę i Gaurina. Teru skuliła ramiona, uświadomiwszy sobie nagle, że tak – nikt jej niczego nie każe. Ale też nikt nie trzyma jej za rękę i nie gładzi po włosach. Nikt nie nazywa jej już Okruszkiem ani nie całuje delikatnie na dobranoc. Nikt nie szepcze jej rozgoryczony do ucha, że jest doskonała.

Czy naprawdę nie mogła mieć obu rzeczy – wolności i miłości?

– Znasz opowieści o motylach? – spytała w końcu przyciszonym głosem, bo wcześniej wędrowna śpiewaczka przyznała się, że poszukuje nowych historii, które mogłaby podać dalej.

– Znam – odpowiedziała dziewczyna. – Znam opowieści o krainie, do której trafiają zmarli i w której dostają skrzydła. I wiem, jak do niej trafić.

Teru poderwała głowę, nagle cała napięta i skupiona.

– Mów – niemal zażądała.

– Powiadają, że trzeba iść cały czas na zachód. W stronę, w którą nie patrzy bóg i w którą odchodzą zmarli. Nie można pomylić drogi, nie można obracać się za siebie, aż wreszcie martwi sami cię znajdą.

Tak zatem Teru szła od rozstajów do rozstajów, szukając bałwanów Boga o Trzech Twarzach i zawsze podążając tam, gdzie nie patrzył. Po jakimś czasie stwierdziła, że otacza ją chmara motyli, od których nie jest w stanie się opędzić. Aż wreszcie przestała je przeganiać. Zamiast tego zastanawiała się, czy wśród nich znajdują się Berta i Gaurin.

Ścieżki stawały się coraz węższe, a las coraz gęstszy. Wreszcie półorczyca musiała zacząć wycinać sobie drogę mieczem w wybijanej, ciemnej zieleni. Jej stopy nikły zupełnie w miękkiej próchnicy, wilgotnym mchu i pióropuszech paproci. Co jakiś czas spoglądała w górę, szukając wzrokiem czerwieniejącego słońca, by wyznaczyć kierunek marszu.

Kapłanka Czwartej Twarzy stanęła na jej drodze zupełnie nagle i Teru nie rozpoznała w niej początkowo wysłanniczki bogów, aż w jej sercu nie pojawiła się niespodziewanie pewność, że oto odnalazła właściwą osobę. Nieznajoma dosiadała białego konia z wylupionymi oczyma, a sama miała postać wysuszonej, chudej zjawy o obliczu zakrytym prostą żelazną maską. Większość jej ciała okrywał bury płaszcz i półorczyca widziała jedynie kościste ramiona i dłonie o szponiastych paznokciach – w jednej kapłanka trzymała dającą zimne światło latarnię, od której odbijały się przekłete ćmy. Drugą ręką obejmowała małe dziecko o białej skórze pokrytej znakami poczynionymi krwią i łysej głowie.

I ostatecznie to dziecko przemówiło:

– Czego szukasz w krainie motyli, Czerwona Pięści? Nie wyryto jeszcze twojego imienia na kamieniu, nie nałożono maski i nie spalono ciała.

– Przyszedłam zabrać stąd jedną duszę – odpowiedziała Teru swoim najpewniejszym tonem. – Szłam od rozstajów do rozstajów, na każdym złożyłam ofiarę z krwi, nie obejrzałam się i nie zboczyłam z trasy. Mam do tego prawo.

Nie chciała bogactwa. Nie chciała też władzy nad światem. Jedyne, czego pragnęła, to dostać z powrotem swojego królewicza. Kapłanka Czwartej Twarzy zrobiła w tej sprawie wszystko, co mogła, przedstawiła wojownicze dosłownie każdą pokusę, jaka tylko przysła jej do głowy, ale nic nie zadziało.

Oczywiście zdarzali się tacy wcześniej. I żaden z nich ostatecznie nie otrzymał tego, po co wyruszył, bo żadnemu z nich nie starczyło siły woli. Żaden nie potrafił zaufać słowom prawdy i prędkiej czy później oglądał się za siebie. Kara, jaką za to wyznaczali bogowie, była różna – czasem bardziej, czasem mniej dotkliwa. Kapłanka oglądała wszystkie ich porażki – i to, jak tracili ukochane osoby na zawsze, i to, jak sami oddawali życie, rażeni okrutnymi klątwami zamieniającymi ich w posągi z soli lub kamienia. Nie spodziewała się więc, by tym razem miało być inaczej. Jedyne, co mogła uczynić, to próbować przekonać podróżnych, którzy docierali do krainy motyli, że mają inne marzenia i że marzenia te trzymają ich w świecie żywych.

Teru Czerwona Pięść zachowywała się, jakby nic jej z tym żywym światem nie wiązało. Rozsądni nazwaliby to szaleństwem, mniej rozsądni miłością, a kapłanka po prostu wskazała dziewczynie drogę, przykazując – jak wszystkim przed nią – by nie oglądała się za siebie, a także by zostawiła broń i zbroję na progu śmierci, bo w mgłach i tak nie będą jej one potrzebne.

Teru wcale się nie bała, choć bez miecza przy boku czuła się nieco niepewnie. Było jej tylko zimno, więc starała się tupać i ogrzewać dłonie pod pachami – tak jak w dawnych czasach

nauczyli ją spotkani na szlakach wędrowcy – ale nie pomagało, jakby razem z ciepłem z jej ciała uciekało trochę życia. Nie widziała kłębow pary opuszczających jej usta wraz z oddechem, chociaż spodziewała się ich wobec panującego mrozu, ale nie poświęciła temu zagadnieniu dłuższej chwili. Miała inne zadanie – wśród lodowatych mgieł musiała odnaleźć królewicza, a potem wyprowadzić go z powrotem ku słońcu, pamiętając przy tym, żeby nie oglądać się za siebie. Kapłanka to ostatnie powtórzyła trzy razy i jeszcze spytała półorczycę, czy na pewno rozumie, co się do niej mówi. Wojowniczką nie pojmowała, dlaczego to było takie ważne. Owszem, dotarło do niej, że za złamanie zakazu grozi kara bogów i może nawet zostać na zawsze uwięziona w krainie umarłych wraz z ciałem, ale trudno było jej uwierzyć, że ktoś opuszczający to ponure miejsce mógłby chcieć się oglądać. Teru wyobrażała sobie raczej, że kiedy tylko zobaczy Gaurina, chwyci go za rękę, a potem pogna ku życiu, ile sił w nogach.

Uniosła nieco wyżej latarnię, która po tej stronie Wrót Śmierci płonęła słabym błękitnym ogniem, ale jej nikły blask nie był w stanie przebić się przez srebrne opary – tym gęstsze, im bardziej kobieta oddalała się od świata żywych. Głosy zza jej pleców wzywały ją po imieniu, często podszywając się pod tych, których półorczyca знаła.

– Okruszku! – wołała ją Berta. – Znów splątały ci się włosy! Chodź, zaplotę ci warkocze i dam ciasto.

Ale ona nie była już dziewczynką.

– Chodź za mną, Teru! – namawiał kapitan el'Othei. – Zaprowadzę cię na wojnę! Na prawdziwą wojnę!

Ale ona nie była już mieczem.

Nie słuchała ich, bo potrafiła słuchać rozkazów. Żaden z tych zdradzieckich głosów – choć otwierały rany w sercu i budziły ciepłe wspomnienia – nie mógł też zaproponować jej niczego, co ceniłaby ponad Gaurina.

Znalazła go na końcu jednej z kamienistych krętych ścieżek. Siedział na ziemi i pochylał się nad czymś w skupieniu. Na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie jak w świecie żywych – choć w jego piersi ziała rana po belcie – ale kobieta za nic nie dałaby się zwieść. Znała go zbyt dobrze i na próżno szukała znajomego błysku w spojrzeniu czy drobnych odruchów i grymasów.

– To jest dusza, którą zamierzasz ze sobą zabrać? – spytała ze zdziwieniem kapłanka, która wyrosła nagle za jej plecami. Nie dosiadała już konia, ale wciąż w jej imieniu wypowiadało się łyse dziecko.

– Tak – odparła Teru.

– Zastanów się dobrze, Czerwona Pięści. To twoja jedyna szansa. Nie będziesz mogła wrócić po nikogo innego, a jest tu zapewne wielu godniejszych. Wielu bohaterów, którzy mogą odmienić losy świata. Fortuna jest ślepa i czasem ścina kwiaty zbyt wcześnie, a ty mogłabyś tak wiele, gdyby przy twoim boku stał ktoś odpowiedni. Świat padłby ci do stóp. Jesteś mieczem zdolnym sięgnąć każdego.

Półorczyca pokręciła głową. Ostatnie, czego pragnęła, to znów stać się mieczem w czyimś ręku.

Podszedłszy nieco bliżej, Teru zobaczyła, że Gaurin wyszywa. Wzór nie był skończony, ale na płótnie powoli ukazywały się szare ćmy tańczące w wiecznej karze wokół zdradzieckiego płomienia.

Kobieta poczuła, jak jej serce tężeje od mrozu.

– Czy on...

– Kto za życia był ćmą, nie może zostać motylem po śmierci – wyrecytowało grobowym głosem łyse dziecko za jej plecami.

Teru upadła na kolana przed królewiczem. Czowała, że po policzkach spływają jej łzy – dziwnie gorące wśród srebrzystego chłodu. Żołądek kurczył się jej z żalu i poczucia niesprawiedliwości, palce samoistnie się zaciskały, jakby trzymała w nich rękojeść miecza z czerwonym kamieniem, który zostawiła daleko stąd u stóp ostatniego posągu Boga o Trzech Twarzach.

– Był dobry... – Szlochała. – Był dla mnie dobry...

Łzy zalewały jej żółte oczy i widziała go coraz gorzej – on nie widział jej wcale. Nie zwracał na nią uwagi, a tylko wciąż wyszywał swoje ćmy metodycznymi, pozbawionymi życia ruchami.

– Zaświeć mu w oczy latarnią – poradziła kapłanka.

Ledwie Teru spełniła polecenie, wzrok królewicza skupił się na zimnym płomieniu. Nie mrugał, a jego spojrzenie wydawało się rozgorączkowane, jakby zobaczył coś, czego bardzo pragnął, ale nie mógł dosięgnąć.

– Wezwij go.

Półorczyca wyciągnęła dłoń ku jego twarzy. Policzek okazał się potwornie zimny. Miał dziwną, niemożliwą do określenia fakturę,

mającą jednak niewiele wspólnego z ludzką skórą. Był trochę jak skała, a trochę jak popiół.

- Gaurin... – wyszeptała Teru przez łyzy. – Kochany...
- Kto mnie woła...? – spytał drewnianym głosem.
- To ja, Teru. Twoja Teru.

Bestia! – zaszydziły głosy z mgły.

Królewicz zamrugał po raz pierwszy, odkąd go zobaczyła. Złapał się za głowę i potrząsnął nią, jakby echo rozbrzmiewało bardziej w nim niż na zewnątrz.

Bestia! Bestia! Bestia!

– Nie ma mojej Teru – powiedział. – Nigdy jej nie było. Był tylko płomień, kuszący płomień, który... palił mnie... Nieprawdziwy...

Zjawa znów zaczęła spuszczać wzrok na tamborek, ale kobieta chwyciła lodowaty, pokryty jasnym zarostem podbródek i ponownie machnęła latarnią przed pustymi oczyma. Drżały jej ramiona i usta, na gardle zaciskała się niewidzialna dłoń.

– Jeśli ma stąd wyjść, musi ci zaufać – powiedziała kapłanka. – Nie mnie, nie bogom, nie sobie ani nie tobie, w którą wierzył i która byłaś płomieniem dla ćmy. Tobie prawdziwej. Inaczej stąd nie wyjdzie.

– Kochany... – Teru ujęła w obie dłonie jego twarz, choć ta przerażała swoją fakturą i chłodem, a potem zbliżyła swoje usta do widmowych ust zjawy. – Kochany, słuchaj mnie, proszę...

Echo we mgle znów roześmiało się szyderczo. Gaurin ponownie objął swoją głowę, zacisnął zęby, a potem jego tłumiony jęk przeszedł nagle w skowyt bólu i złości.

– Cisza...!

Kpiny zamilkły.

– Teru... – Jego głos się zmienił, zdawało się, że nabrał życia.
– Nie. – Półorczyca pokręciła głową. – Tym razem to ja będę mówiła, co robić.

Gaurin patrzył na nią pustym wzrokiem człowieka wybudzonego ze snu, aż nie powiedziała tego ostatniego zdania. W jego oczach pojawiło się coś, czego w pierwszej chwili nie rozpoznała. A w drugiej do niej dotarło – to był strach.

– Nie chcę źle – powiedziała Teru. – Myślisz, że mogłabym chcieć dla ciebie źle?

– Nie – zaprzeczył królewicz szybko. – To nie tak, że...

– Więc już nie mów. Chodź tylko za mną. Zaczniemy jeszcze raz.

Kobieta sama słyszała, że głos jej lekko drży. Ona też się bała – bała się, że jej królewicz nie przejdzie tej próby.

Ponownie.

– Nie może być po śmierci motylem ktoś, to za życia był ćmą – powtórzyła słowa kapłanki, nim zorientowała się, że to robi.

Prawda była taka, że nie do końca je rozumiała, ale może coś w niej miało nadzieję, że Gaurin je pojmie. Jakaś zmiana w jego twarzy powiedziała jej, że się nie zawiodła. Patrzył już nie w zimny płomień latarni, ale wprost na nią – i trwało to całe trzy wieczności.

– Zawiaż mi oczy – poprosił w końcu bardzo cicho.

Spełniła jego polecenie, a potem złapała dłoń ukochanego – trupa, po tej stronie rzeczywistości przejmująco zimną. Teru nie puściła jej jednak, a tylko mocniej zacisnęła palce.

– Kocham cię – powiedziała z trudem przez zaciskające się wobec tego dotyku śmierci szczęki.

– Ja ciebie też. I już nigdy więcej nie chcę być dla ciebie ćmą.

Poszli w stronę słońca, a jego dłoń stawała się z każdym krokiem cieplejsza i bardziej podobna ciału.

Aż wreszcie Teru usłyszała oddech i bicie serca – a także swój własny szloch. Motyle odprowadziły ich barwnym orszakiem na sam skraj gęstego lasu, gdzie Gaurin zerwał wreszcie opaskę i kochankowie spojrzeli sobie prosto w oczy, jak może jeszcze nigdy wcześniej, oboje odarci z masek, stojący na zgliszczach swoich historii.

Było po wszystkim i wszystko było przed nimi.

Wiele lat później na polnym kamieniu przy rozstaju dróg nieopodal przełęczy prowadzącej w głąb gór Oyre przysiadł witeź. Zatrzepotał jasnymi skrzydłami, a potem rozłożył je szeroko, łapiąc ciepło dnia. Chwilę później dołączył do niego paź królowej, a potem oba motyle zerwały się i wirując w powietrznym tańcu, poleciały w stronę błękitnego nieba.

Olga Niziołek – tłumaczy z języka niderlandzkiego i angielskiego. Píše, czyta, zapuszcza korzenie – niekoniecznie w tej kolejności. Jej opowiadania ukazały się m.in. w „Nowej Fantastyce” i antologii „Zabawa w Boga”. Kończy pisać swoją pierwszą książkę pod roboczym tytułem „Zagraża tobie śmierć w wodzie”.

Olga Niziołek
MIESZKAŃCY

Mieszkają w ogromnym, zaniedbanym mieszkaniu rozciągniętym na dwie kondygnacje. To ma swój urok, a przede wszystkim jest bardzo, bardzo tanie. Każde z nich wybrało własną sypialnię; dzielą dwie łazienki, komórkę – kiedyś dla służby, teraz dla deski do prasowania, rowerka treningowego, maszyny do robienia chleba i innych rzeczy, które mogą się jeszcze przydać – a oprócz tego kuchnię i salon z rozstrojonym fortepianem. Jest jeszcze jeden pokój, zielony, który nie należy do żadnego z nich. Czasem mieszka w nim biały królik, czasem stado myszy z młodymi, a czasem przeszklony kredens z porcelanową zastawą i jedną jedyną lalką, opartą twarzą o szybę. Właściciel prosił, żeby co tydzień któreś z nich posiedziało z mieszkańcami zielonego pokoju, i sumiennie spełniają jego życzenie.

Marzena ma pokój niebieski ze stiukami, na dole. Niewiele do niego wstawiła poza paprotką, bo wszystko już tam było, a ona nie przepada za rzeczami. Marzena jest altem, właśnie skończyła akademię muzyczną. Teraz chodzi na wszystkie ogłaszane przesłuchania, daje lekcje śpiewu i – niechętnie, ale nie ma aż tak wielu uczniów, żeby wybrzydzać – pracuje od poniedziałku do soboty w piekarni.

Nie można powiedzieć, że Alicja ma jakiś pokój, ale jej rzeczy stoją, a ona sama sypia – o ile w ogóle zostanie w domu na noc – w pomarańczowym. Alicja lubi pomarańcze. Studiuje socjologię i wierzy, że na świecie może być lepiej.

Akurat teraz jest bardzo zajęta, bo współorganizuje kolorowy marsz, który na pewno spotka się z brunatną odpowiedzią. Alicja odpowiada za logistykę.

Aneta mieszka na górze w pokoju z zaciekami, największym, ale i najbardziej zapuszczonym. To jej pasuje, bo ma gdzie rzucać ubrania i odstawić kubki z niedopitą kawą, a Mimi, długowłosa

świnka morska, może biegać swobodnie i nie trzeba się martwić, że coś zniszczy. Aneta trochę za rzadko otwiera okno, bo drewniane okiennice trudno potem domknąć, więc jej pokój pachnie sianem. Gdyby mogła, ustawiłaby na środku swojego pokoju gigantyczną wannę na żeliwnych nóżkach. Brałaby w niej potem długie kąpiele w pianie i rozmawiała przez telefon – taki z tarczą i kablem, a jakżeby inaczej – z przyjaciółkami.

Grzegorz ma pokój pod Anetą, środkowy, z balkonem. Teraz jest zimno, więc raczej go nie używa. Grzegorz kolekcjonuje mydelniczki, co jest niemęskie, i studiuje budownictwo, co jest bardzo męskie. Tłumaczy sobie, że to, co człowiek wybiera, liczy się bardziej niż to, co zbiera, zwłaszcza jeśli kolekcję odziedzyczyło się po nieżyjącym dziadku. Grzegorz bardzo chce być męski. Często śnią mu się martwe zwierzęta w ścianach nowo wybudowanych domów; czasem śnią mu się zwierzęta żywe, a czasem nijakie. Nijakie są najgorsze, bo nie wiadomo, co z nimi zrobić, a Grzegorz we wszystkich sprawach lubi mieć jasność.

Znają się od dawna, jeszcze z czasów liceum. Aneta siedziała w ławce z Marzeną, a Grzesiek za nimi. Alicja, jak to ona, gdzieś biegała, bo już wtedy walczyła o lepszy świat – naszywkami, zaangażowanymi koszulkami i agrafką w uchu.

Wszyscy razem zbierali się za to wieczorami na miejskim lotnisku. Była końcówka maja, zaraz po maturach, mieli paskudne wino i muzykę z telefonu. Wydawało im się, że są wolni, że odkryli coś nowego i że tak będzie już zawsze. Alicji – jeszcze że to, co czuje w objęciach długowłosego Rudego z wydatnym nosem, to szczęście.

Któraś z tych rzeczy mogła być prawdą.

To Marzena najczęściej siedzi w zielonym pokoju. Pozostali czują się tam nieswojo. Nie lubią nieprzewidywalności – nigdy nie wiadomo, na którego mieszkańca akurat się trafi. Marzenie nie przeszkadzają ani półotwarte oczy lalki usadzonej na

porcelanowym talerzyku z jasnoczerwonym szlaczkiem, ani popiskiwanie ślepych myszątek. Czasem nawet bierze królika na kolana i razem siedzą w bujanym fotelu.

Zielony pokój jest dla niej przejściem ze zbyt jasno oświetlonej piekarni, gdzie musi być jak automat do wydawania chleba i reszty, do prywatnych lekcji śpiewu. Przychodzi do niej teraz dziewczyna o zardzewiałym głosie, miła, ale już wiadomo, że nic z tej jej nauki nie wyniknie. Każde zajęcia wymagają od Marzeny maksymalnego skupienia, wyczerpują ją. Tamta bardzo się stara, więc Marzena nie ma serca jej odmówić. A poza tym potrzebuje pieniędzy.

Teraz po zielonym pokoju biegają myszy. Marzena wzdycha lekko, akurat dziś wolałaby zastać tam kredens. Któregoś razu przysła z dzbankiem herbaty, wyjęła dwie białe, malowane w różyczki filiżanki i dwa talerzyki. Z braku krzesłek usadziła lalkę na stole. Delikatnie zgięła jej nogi, wygładziła sukienkę na halce. Po odchyleniu do tyłu lalka zamknęła oczy, a otworzyła je, gdy jej lalczane ciało wróciło do pionu. Marzena zdziwiła się, że stare mechanizmy działają tak płynnie, i wstrzymała oddech w nadziei, że znajdzie jeszcze jeden. Nacisnęła ukryty pod organdyń zabawkowy brzuch, najpierw delikatnie, potem mocniej, ale nic się nie stało – lalka nie potrafiła mówić.

Kiedy napar w filiżankach wystygł, Marzena odłożyła zabawkę na najniższą półkę. Po tym kredens długo się nie pojawiał, a kiedy wrócił, lalka znowu siedziała na dawnym miejscu.

Marzena zastanawia się, czy możliwe byłoby spotkanie myszy w kredensie. Czy najmniejsza z nich mogłaby wygryźć dziurę w sukience i głębiej, w wypchanym trocinami brzuchu, a potem zapisać z wewnątrz, podarowując lalce własny głos. Czy dziewczyna o zardzewiałym głosie i włosach jak sprężynki nie mogłaby oddać jej swoich fałszywych nut. O czym opowiedziała by lalka, gdyby miała do dyspozycji dźwięki.

Myszy uciekają za doniczkę z dorodnym fikusem, jakby wyczuły niechęć Marzeny. Słyszy, jak skrobą pazurkami po parkiecie.

Aneta dopiero co się obudziła, leży na plecach i z niechęcią patrzy na białe niebo, z którego lecą płatki śniegu. Umówiła się

dzisiaj z kolegą z dawnej pracy, a to oznacza konieczność wyjścia na mróz. Pojedzie do niego autobusem, oczywiście, ale wcześniej musi się wykapać i pomalować, wysuszyć i ułożyć włosy. Pomalowałyby też paznokcie, ale nie ma czasu.

Na nic nie ma czasu.

Czasu nie ma na nic.

Autobus się spóźnia, Aneta przytupuje na przystanku, otulona szarym płaszczem do kolan, z twarzą do połowy ukrytą za puchatym fioletowym szalikiem. Będą grać w planszówki, może napiją się jakiegoś grzańca. Artur niedawno rozstał się z dziewczyną i bardzo to odchorował. Rozerwie się, pomyśli o czymś innym. Nie jest przystojny, ale to nieważne, przecież to oczywiste, że nie myślą o sobie w tych kategoriach. Aneta nie jest z jego ligi, więc może bez żadnych konsekwencji przyjmować jego uwielbienie. Znają się od dobrych paru lat i zawsze tak było, nawet za czasów tamtej.

Podjeżdża autobus, myśli zostają na przystanku razem ze śniegowym błotem.

Grzegorz kupuje sok marchewkowy. Próbuje się skupić na rozmowie kumpli, ale chyba coś go bierze. Czuje się rozbity.

A potem wszystko idzie nie tak, jak powinno.

Alicja odbiera pogróżki od anonimowego obrońcy moralności. Opublikował jej adres i zdjęcie gdzieś w Internecie, tak żeby chętni łatwo mogli zrobić jej krzywdę.

Marzena zasypia w zielonym pokoju i śni bardzo zły sen, który zaraz po przebudzeniu schowa się gdzieś głęboko w jej głowie.

Grzegorz zapomina kupić pietruszki do wspólnej kolacji, którą ma ugotować dla nich czworga, i musi wyjść z domu, chociaż najchętniej położyłby się pod kołdrą i poczekał, aż miną mu dreszcze. Pietruszki nie może zabraknąć, bo wszystko ma być tak, jak w przepisie. Kiedy Grzegorz gotuje, to trzyma się przepisów – inaczej po co by były?

A Aneta odkrywa, że kolega Artur ma zupełnie inne zdanie na temat tego, co może u siebie w domu robić samotny chłopak z ostrą laską, która sama dobrowolnie przyszła go odwiedzić,

i odkrycie to nie ma nic wspólnego z rozmową. Aneta doświadcza rzeczy na własnej skórze. I w ciele. Przez chwilę jej dusza wychodzi z ciała, przygląda się z góry całej scenie, ciasteczkom na stole, włączonemu telewizorowi, jednemu ciału przygniecionemu drugim, większym, jakby to wszystko przydarzało się właśnie nie Anecie, tylko komuś innemu. Może nawet nie do końca prawdziwemu. A potem dusza Anety wraca do ciała i podsuwa jej kolejne myśli. *Jak mam uciec? Mój płaszcz wisi w szafie. Jest strasznie zimno.*

Wreszcie wszystko się kończy. Płaszcz zostaje wyciągnięty z szafy, pada kilka zapewnień, że było bardzo fajnie, w odpowiedzi nie pada nic, lepkie nogi idą na przystanek. Aneta czuje się brudna i to jest jedyne, co czuje. Patrzy przez okno, w którym mijają kolejne ulice.

Spotykają się tego wieczoru przy kolacji, ale mówią niewiele. Marzena łapie się na tym, że chciałaby, żeby dziewczyna o zardzewiałym głosie, włosach jak sprężynki i bladoniebieskich oczach siedziała z nimi przy stole.

Grzegorz jako jedyny chce zagrać w Scrabble.

Alicja biegnie na nieoficjalną naradę w sprawie mowy nienawiści. Prosi, żeby za nią pozmywali.

Dwa piętra mieszkania są połączone drewnianymi schodami, na których zawsze leży kurz. Czasem widać w nim odciski malutkich łapek.

Po kolacji Aneta i Grzegorz zostają sami w salonie. Ona jest bardzo zmęczona, on czuje, że coś jest nie tak, i odważa się zadać pytanie. Cisza – odpowiedź – gęstnieje, rzuca cień na stół, a potem w tym cieniu pojawia się Marzenie Anety. Aneta ubiera je w słowa, jedno po drugim, aż marzenie przestaje być nagim pragnieniem, staje się możliwe do wypowiedzenia. Zamiast *chcę być bezpieczna i niech zawsze będzie ciepło*, Aneta powoli mówi:

– Chciałabym mieć wannę w pokoju. Pomożesz mi ogarnąć hydraulikę i transport?

I chociaż nie jest to coś, czego Grzegorz spodziewałby się w tej chwili, chociaż cholernie boli go głowa i wie, że musi wstać wcześnie rano i nie powinien marnować czasu na dziwaczne zachcianki, a raczej zrobić sobie Fervex i odpłynąć w ferveksowy sen, to i tak się zgadza. Obiecuje. Aneta kładzie dłoń na jego przedramieniu, robi się jej trochę niedobrze, a trochę błogo. Siedzą długo.

Grzegorz robi, co w jego mocy, ale nikt nie chce pociągnąć rur z łazienki do pokoju. Znajdują rozwiązanie pośrednie: wstawiają żeliwną wannę i bardzo długiego węża ogrodowego.

Okazuje się, że dziewczyna o zardzewiałym głosie, włosach jak sprężynki, bladoniebieskich oczach i bladoróżowych paznokciach chodzi do Marzeny na lekcje śpiewu, bo chce uwolnić głos.

– Nie umiem krzyczeć. Kiedy widzę kogoś znajomego na ulicy, nie jestem nawet w stanie go zawołać. Myślałam, że śpiewanie mi pomoże, ale teraz sama nie wiem – opowiada, skubiąc skórki. – Mój chłopak mówi, że powinnam...

– Masz chłopaka?! – przerywa Marzena, zdziwiona nieprzyjemnie i podwójnie: faktem istnienia jakiegoś chłopaka, który ma zdanie na temat tego, co tamta powinna, a czego nie, oraz własnym zdziwieniem.

Dziewczyna macha ręką.

– W sumie to mam. Powiedział, że skoro chcę się nauczyć krzyczeć, to może powinnam uczyć się krzyczeć. Ale myślę, że to nie u ciebie w domu. Prędeż w lesie. Albo pod mostem. Gdzieś, gdzie nikomu nie będą przeszkadzała.

Marzena i dziewczyna o zardzewiałym głosie, włosach jak sprężynki, bladoniebieskich oczach, bladoróżowych paznokciach i apodyktycznym chłopaku umawiają się, że pójdą razem do lasu.

Ktoś kradnie rower Alicji. Nie powinna była go zostawiać na dworze na tak długo, przecież zimą i tak nie jeździ. Znajomi ze squatu dają jej nowy, zardzewiały i trochę za duży, ale wspaniały. Nie można się rozpędzać, bo wtedy spada łańcuch, i Alicja traktuje to jako przypomnienie, że nie ma co tak się spieszyć.

Opowiada o tym Marzenie i Anecie, w trójkę śmieją się z rzeczy, o których natychmiast zapominają.

Alicja pyta, czy któraś mogłaby za nią posiedzieć w zielonym pokoju, ale Marzena akurat wychodzi, a Aneta nie ma siły, i Alicja niechętnie idzie.

Czego nie powie Marzena: że dziewczyna o zardzewiałym głosie, włosach jak sprężynki, bladoniebieskich oczach, bladoróżowych paznokciach, apodyktycznym chłopaku i tęczowych botkach wzięła ją za rękę, kiedy szły w głąb lasu.

Czego nie powie Alicja: że jeszcze nigdy nie widziała w zielonym pokoju królika, myszy ani drobnomieszkańskiego kredensu. Widuje inne rzeczy.

Czego nie powie Aneta: Aneta nie powie niczego.

Idzie odwilż.

Z dachu spadają płaty mokrego śniegu.

Grzegorz siedzi akurat nad dużym projektem z budownictwa cywilnego, kiedy zaczyna mu kapać na głowę. Jedna kropla, potem druga. Mokra plama rozszerza się, bierze w posiadanie jego sufit i Grzegorz pojmuje, że Aneta postanowiła wypróbować swoją nową wannę. Czuje przypływ złości: miała zaczekać, aż wymyśla, co zrobić z odpływem! Biegnie na górę. Zamiast pukać, wali pięścią w białe lakierowane dwuskrzydłowe drzwi o mosiężnych zawiasach, ale nikt mu nie odpowiada. Rozchyła je wreszcie i odkrywa, że w wannie nie ma wody. Jest tylko Aneta, w krótkiej spódniczce i koszuli, z głową odchyloną do tyłu, z blond lokami rozrzuconymi malowniczo po emaliowanej półeczce na mydło i to z niej wycieka wszystko to, na co brak jej słów. Grzegorz czuje się męski, kiedy ściera mokre słowa z podłogi, wyżyma mopa z poczuciem misji, woła dziewczyny, żeby przyniosły wszystkie wiadra i miski, i dopiero po chwili orientuje się, że nikogo nie ma w domu. Świnka morska przebiega pod ścianą i znika gdzieś w ciemnym korytarzu. Grzegorz klnie pod nosem, rzuca się na ratunek. Aneta drży, ale on tego nie widzi, już wyszedł, chce zrobić, co w jego mocy – i wie, że w jego mocy jest wiele.

Pod jego nieobecność w pokoju pojawia się królik. Porusza noskiem, węszy, wreszcie znika pośród stosu koszulek do wyprasowania. Ani Grzegorz, ani Aneta nigdy nie będą wiedzieli, że przez moment tam był i że od całej tej wilgoci – bo jakby mało było przeciekania Anety, to przecieka też dach i na suficie tworzą się kolejne zacieki – białe futerko przybrało kolor ścierki do podłogi. Królik zbiera to, co może, i Aneta lekko trzepocze powiekami. Półprzytomna mamrocze coś pod nosem; jej ciało trochę się rozluźnia. Reszta zależy od niej samej i od Grzegorza, a może tak naprawdę wszystko dawno się zdecydowało i całe towarzystwo musi tylko odegrać swoje role do końca.

Raz na Alicję w zielonym pokoju czekało jajko. Ominęła je szerokim łukiem, oparła się o ścianę i zaczęła czytać. Co jakiś czas zerkała na nie ukradkiem, żeby się upewnić, że nic się nie dzieje. Nie ufała temu pokojowi. Z jajka nie wykuł się jednak żar-ptak ani diabeł wychowaniec, hodowany przez kogoś pod pachą i przedwcześnie porzucony, ani nawet zwykłe pisklą.

Innym razem pokój był pełen bezwonnego, ciężkiego dymu. Alicja weszła w niego – nie miała wielkiego wyboru – ale czuła panikę. Stała na środku, nie widząc niczego, i miała wrażenie, że ktoś się o nią ociera; że czyjeś skrzydła muskają jej twarz, a nienaturalnie małe ręce dotykają kolczyka w nosie, farbowanych dredów i ulubionych dżinsów.

Od tego czasu Alicja zaczęła unikać zielonego pokoju. Wchodzi tam bardzo rzadko, tylko wtedy, kiedy nikt inny nie chce jej w tym wyręczyć. Nawet przechodząc obok jego drzwi, wstrzymuje oddech, a właściwie oddech wstrzymuje się sam, bez udziału jej woli. Spróbowała raz przystanąć przed wejściem, żeby zmusić ciało do nabrania powietrza, ale skończyło się tylko zawrotami głowy. Alicja mówi sobie, że nie ma się czego wstydzić, ale o swojej relacji z zielonym pokojem nie chce opowiadać nikomu.

Nabiera powietrza i popycha drzwi.

Dzisiaj w bujanym fotelu pod fikusem siedzi tylko mężczyzna o czerwonym, poparzonym ciele. Kiwa się niespiesznie; Alicja może powinna się przerazić, ale odkrywa, że po tych wszystkich

groźbach nic nie robi na niej wrażenia. Podchodzi, staje tuż przed nim i powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Mów – mówi Alicja do mężczyzny.

I mężczyzna mówi do Alicji, i jej strach znika.

Alicja już nigdy nie będzie się bała.

Może dzięki temu sprawi, że przynajmniej przez chwilę świat będzie trochę lepszy. Może wybierze tak, jak kiedyś mężczyzna, choć nie będzie musiała się w tym celu podpalać na żadnych schodach, i podobnie jak on zapłaci za to swoim życiem. Jeśli tak się stanie, będzie to jej własny wybór. Mężczyzna rysuje w powietrzu różne ścieżki, mapę możliwości, którą ona w myśli nazywa *mapą lasu*. Żadna nie jest obiektywnie lepsza od innych, Alicja może iść w każdą stronę.

Pewna myśl formuje się w jej głowie, przybiera kształt – a co, *jeśli mężczyzna kłamie?* – i zaraz znów się rozplywa. Nie ma znaczenia.

Las, w którym stoją, jest całkiem pusty i pochłania kolejne słowa, które krzyczą, potem mówią, potem szepczą, a potem znowu krzyczą. Marzena boi się i nie wie, czego się boi, ale wie, że to nie ma znaczenia. Gdyby mogła, zamieniłaby w dwa drzewa siebie i dziewczynę o zardzewiałym – tylko że już dźwięcznym – głosie, włosach jak sprężynki, bladoniebieskich oczach, bladoloróżowych paznokciach, apodyktycznym – ale już nieaktualnym – chłopaku, tęczowych przemoczonych botkach i truskawkowej pomadce na spierzchniętych wargach. Szumiałyby sobie. Ale akurat tego wybrać nie może, więc ruszają w stronę domu. Dziewczyna rozciera Marzenie zziębnięte dłonie, przyciska na moment do ust jej nadgarstki. Daje się zaprosić na kolację.

Po drodze wymyślają własne piosenki. Trzymają się za ręce, a od czasu do czasu przystają, żeby się pocałować.

Przed domem stoi grupka mężczyzn. Czekają na Alicję.

Grzegorz gładzi swoją ulubioną mydelniczkę – tę zabytkową, z masy perłowej. Znalazł ją kiedyś na targu staroci, na stoisku z fotografiami niezżyjących ludzi, dzbankami i żelaznymi

przedmiotami, których zastosowania nie znał. Rozczulił go kształt mydelniczki udającej ogromną muszlę, przejechał palcami po jej falowanym brzegu i sporo przepłacił, bo sprzedawcy nie umknęło jego zauroczenie.

Grzegorz wyciąga z plecaka pachnące perełki do kąpielii. Wybrał same najśodsze, waniliowe, kawowe i czekoladowe, jakby chciał Anetę nakarmić. Kulki lekko połyskują, są miękkie i przyjemne w dotyku.

Wszystkie mydelniczki Grzegorza stoją teraz na wannie Anety, a najpiękniejsza z nich właśnie dostała swój pierwszy kosmetyk, i tak jest dobrze.

Mieszkają w ogromnym mieszkaniu rozciągniętym na dwie kondygnacje. Wydeptują w nim swoje drogi między fotelami z zielonego pluszu, między fikusem a różą chińską, od fortepianu po zaparowane lustro, po schodach i na dwór, bo każda ścieżka dokądś prowadzi, z każdej można zawrócić. Wolno im wszystko. Właściciel prosił tylko, żeby co tydzień któreś z nich posiedziało z mieszkańcami zielonego pokoju, i sumiennie spełniają jego życzenie.

Marta Potocka – urodzona w 1986 r. pod Tarnowem, ukończyła elektrotechnikę na AGH w Krakowie, obecnie mieszka w Warszawie gdzie pracuje jako programistka. Miłośniczka nauk ścisłych, podróży i science fiction. W swoich tekstach stara się przewidzieć, jak będzie wyglądała bliska nam przyszłość.

Marta Potocka
SPLĄTANIE

Byłoby po północy i w kuchni obserwatorium Cerro Tololo zostały już tylko dwie osoby. W wyniku awarii zasilania pod sufitem świeciła jedynie co trzecia lampa, więc pogrążone w półmroku pomieszczenie słabo broniło się przed napierającą na okna ciemnością. To właśnie ze względu na tę ostatnią teleskop zbudowano na szczycie leżącej na pustyni Atakama góry – dzięki bardzo małemu zanieczyszczeniu świetlnemu i ekstremalnie suchemu powietrzu było to jedno z najlepszych na Ziemi miejsc do prowadzenia obserwacji astronomicznych. Pracującym tam ludziom często zdawało się, jakby nic już nie dzieliło ich od gwiazd wiszących nad ich głowami.

Peter – jasnowłosy astrofizyk, który przyjechał do Cerro Tololo pół roku wcześniej, aby pisać habilitację – odgrzewał właśnie przyschniętą owsiankę. Miał zamiar ją zjeść przed kilkoma godzinami, ale najpierw odciągnęła go praca, a potem golden retriever Buddy, który domagał się spaceru. Buddy – niespełna dwuletni pies, oficjalnie będący jednym z pracowników kompleksu naukowego – pełnił w nim bardzo ważną rolę. Wiecznie domagając się rzucenia mu piłki, zmuszał do aktywności nawet najbardziej oddanych badaniom naukowców, a dotyk jego miękkiej sierści i mokrego nosa sprowadzał na ziemię umysły zagubione wśród gwiazd.

Drugą osobą w kuchni była kuląca się w kącie na jednym z krzesel barowych, schowana za czarną, zbyt długą grzywką i podciągniętymi pod nos kolanami młoda Meksykanka – Maria. Wiedziano o niej niewiele. Tyle, że z wyróżnieniem ukończyła studia informatyczne oraz matematyczne na Harvardzie i ponoć odznaczała się niezwykłą inteligencją. Trudno to było zweryfikować ze względu na kolejny powszechnie znany fakt – Maria miała jakieś problemy z głową. Nikt nie wiedział dokładnie, co jej dolega, ale objawiało się to praktycznie zerowym kontaktem z nią. Unikała pomieszczeń, w których przebywały więcej niż dwie osoby, mówiła bardzo rzadko i wypowiadała tylko pojedyncze słowa. Lakonicznie odpowiadała na maile i odpisywała na czacie. Lubiła głaskać Buddy’ego i czasem mówiła coś do niego cicho – były to jedne z nielicznych momentów, gdy można było usłyszeć jej głos.

Peter kilka miesięcy temu zauważył, że Maria często pojawia się w kuchni w tym samym czasie co on. Niczego nie mówiła, ale

czuł na plecach jej wzrok, który natychmiast wbijała w podłogę, gdy tylko na nią spoglądał. Na początku go to krępowało, rozważał nawet na wpół poważnie teorię, że dziewczyna czeka na dobry moment, aby go zamordować, jednak dość szybko przywykł do jej cichego towarzystwa. Tego wieczoru spojrzenie z kąta pomieszczenia paliło mu kark wyjątkowo intensywnie, a panujący w nim półmrok i wyjący wokół obserwatorium wiatr wprawiły mężczyznę w dziwny nastrój. Dlaczego by nie spróbować?

– Zamierzałem hodować kury – oświadczył, przysiadając się do Marii z miską owsianki w ręce.

Odpowiedziało mu szybkie spojrzenie zdumionych oczu, które po sekundzie zniknęło pod kurtyną z włosów.

– Kury ozdobne – doprecyzował. – Moja rodzina zajmuje się tym od trzech pokoleń. Nasze koguty Onagadori regularnie wygrywają wystawy. Liczy się głównie długość ogona, ale też kształt głowy. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile jest pracy z tym, żeby utrzymać upierzenie w dobrym stanie. Czesanie Buddy'ego to przy tym żadna robota. A potem taki idiota, kogut znaczy się, pobije się z drugim i pióra połamane. Dlatego postanowiłem iść na astrofizykę, miałem tego dość. – Wsadził do ust łyżkę owsianki i skrzywił usta. – Cholera, przypaliłem.

– Żałujesz? – Głos Marii był tak cichy, że ledwie słyszalny.

Z wrazenia Peter prawie się zadławił, ale wysilił wolę, aby nie dać po sobie niczego poznać.

– Kur? Trochę. Wiesz, jak trzeci tydzień szukam profilu gwiazdy, która pasowałaby do mojej habilitacji, i nie znajduję nic, myślę sobie, że z tymi kogutami byłoby prościej. Z drugiej strony, może by mnie to znudziło. Teraz hodowlę przejął mój młodszy brat, więc raczej się już tego nie dowiem.

– Chciałbyś móc przewidywać konsekwencje swoich decyzji?

– Maria, wbijając wzrok w blat, mówiła tylko odrobinę głośniej niż przed chwilą.

– Czy ja wiem? – zastanowił się Peter. – Mógłbym wtedy wiele rzeczy zrobić lepiej. Ale chyba to przestałoby być ludzkie. To nasza cecha, że decydujemy i mylimy się. A czasem sądzimy, że się pomyliliśmy, ale potem wychodzi, że mieliśmy rację. – Zerknął na dziewczynę. – A ty? Chciałabyś móc przewidywać konsekwencje?

Milczała długo, a potem po raz pierwszy podniosła na niego wzrok.

– Chciałabym. Bardzo się boję pomylić.

Jej oczy były czarne jak otaczająca ich noc. Peter poczuł, że przebiega go dreszcz.

– Masz coś konkretnego na myśli? Chętnie posłucham.

Odwróciła spojrzenie.

– Może kiedyś ci o tym opowiem.

Bez słowa ześlizgnęła się z krzesła, pogłaskała po szyi Buddy'ego i ruszyła w kierunku drzwi.

Z kuchni wyszła na korytarz prowadzący do sypialni, ale skrzyła w przejście techniczne i przez nie wydostała się na zewnątrz budynku. Wiatr omiatający obserwatorium huczał wściekle i prawie przewrócił drobną postać, gdy szła w kierunku urwiska. Zatrzymała się na jego krawędzi. Nad głową miała ocean gwiazd, przed sobą czerni pustyni, a na horyzoncie lśniło coś, co mogło być Pacyfikiem lub światłem księżyca rozlanym na powierzchni wypolerowanych przez piasek skał. Przenikało ją zimno, a świat wokół był piękny, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Czuła lekki żal, gdy odrywała stopy od ziemi, by runąć w otwierającą się przed nią pustkę.

Wpis 691

Dzień zaczął się dobrze. Lucas pojechał na urlop i przez następne dwa tygodnie będę miała całą moc obliczeniową Zeusa tylko dla siebie. Nikt też nie powinien przychodzić do pokoju. Jestem jednak niezadowolona z postępów badań. Zbiór danych na temat ciemnej materii rośnie dużo szybciej niż możliwości jego przetworzenia. I nie chodzi tylko o Zeusa. Policzyłam, że sumaryczna moc superkomputerów na świecie nie wystarczyłaby mi, żeby je przerobić. Moje algorytmy są nieefektywne i nie potrafię ich poprawić. Równie dobrze mogłabym analizować losowe podzbiory danych i liczyć, że akurat na coś trafię. To nie matematyka, to loteria.

Wpis 692

Myślałamotej analizielosowychzbiorów.Prawdopodobieństwo, że w ten sposób znajdę w danych cokolwiek wartościowego, jest

teoretycznie takie samo jak w sytuacji, gdy badam je po kolei. Niczego więc nie tracę. Drażni mnie myśl, że będzie to nieuporządkowane działanie, ale doktor Taylor mówił, żebym starała się przełamywać takie natręctwa, więc potraktuję to jako ćwiczenie. Zmodyfikowałam skrypt, dodając algorytm pseudolosowy, i wyszłam z laboratorium, bo nie mogłam na to patrzeć. Na szczęście przyszedł Buddy z piłką. Zdawało mi się też, że Peter uśmiechnął się do mnie na korytarzu, ale pewnie to było złudzenie.

Wpis 693

Musiałam się pomylić w nowym skrypcie, bo dziś rano log pokazał sto procent zgodności między badanym zbiorem a jedną z bardziej egzotycznych teorii kwantowych dotyczących wieloświata. Prawdopodobieństwo, że przez przypadek udowodniłam tę teorię, wynosi mniej więcej jeden do kilku miliardów. Prawdopodobieństwo, że zrobiłam błąd w kodzie, to około jeden do dziesięciu, biorąc pod uwagę statystyki ostatniego roku. Zabieram się do szukania błędu.

Wpis 694

Nie udało mi się nadal naprawić skryptu. Bardzo mnie to denerwuje. Nie jadłam i nie chce mi się spać. Jeszcze nad tym posiedzę.

Wpis 695

Jest czwarta nad ranem, nie spałam całą poprzednią noc. Bardzo bołą mnie oczy. Sądzę, że doktor Taylor powiedziałby, że nie powinnam tak robić, ale nie mogę przestać. Chyba zażyję tabletki. Muszę zachowywać się rozsądnie.

Wpis 696

Spałam osiemnaście godzin. Przez ostatnie trzy doby Zeus nadal przeszukiwał losowo dane, ale zgodność z jakimkolwiek równaniem nie pojawiła się po raz drugi. Prawdopodobieństwo tego, że w skrypcie jest błąd, maleje, zwłaszcza że to tylko sto dwanaście linijek i sprawdziłam je już kilkadziesiąt razy. Przyjrzę się tej teorii wieloświata.

Wpis 697

Jestem zaskoczona. Ręcznie podstawiłam problematyczny zbiór danych do równania opisującego hipotetyczny wieloświat. Wynikałoby z niego, że ciemna materia to manifestacja splątania kwantowego między naszym wszechświatem a innymi wszechświatami, które leżą blisko nas na drzewie potencjalnych decyzji. To prowadziłoby do konkluzji, że fragmenty naszego wszechświata są powiązane z innymi, mamy wspólny korzeń i część gałęzi powstałych w czasach, gdy jeszcze byliśmy jednym wszechświatem, który dopiero później podzielił się na więcej odnóg. Byłoby to interesujące odkrycie, jednak nadal bardzo mało prawdopodobne. Wiem już jednak, co dokładnie sprawdzać, więc przeznaczyłam całą moc Zeusa na weryfikację tej teorii. Na razie też zaszyfrowałam dostęp do danych. Boję się, że ludzie zaczęliby tu przychodzić.

Wpis 698

Zeus wciąż liczy. Chcę zrobić milion prób, zanim uznam teorię za potwierdzoną. Szukałam dziś Buddy'ego i znalazłam go, jak się bawił z Peterem. Peter rzucił mi piłkę, żebym ja rzuciła ją Buddy'emu.

Wpis 699

Stało się coś niespodziewanego. Czuję dziwne mrowienie w żołądku, gdy patrzę w monitor. Skrypt wybrał losowo milion próbek danych dotyczących skupisk ciemnej materii i wstawił je do równania opisującego teorię wieloświata. W każdym z tych przypadków równanie pozostało prawdziwe. Muszę przemyśleć konsekwencje tego odkrycia, choć na chwilę obecną bardziej intryguje mnie wpływ tej informacji na moje zakończenia nerwowe w jelitach. Doktor Taylor mówił, że ludzie doświadczają tego typu odczuć, ale nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło.

Szkoda, że doktor nie zdecydował się zeskanować, kiedy miał umrzeć. Chciałabym z nim teraz porozmawiać, nawet jeśli nie w gabinecie, a jedynie przez sieć. Powiedział, że tylko prawdziwa śmierć jest odpowiednim zakończeniem prawdziwego życia. I że być może kiedyś to zrozumie. Nie jestem dobra w odczytywaniu emocji, ale myślę, że wtedy mnie okłamał. I wtedy, gdy powiedział, że na pewno dam sobie bez niego radę.

Wpis 700

Postanowiłam przeanalizować teorię, którą udało mi się udowodnić. Wymagało to zmiany kilku podstawowych założeń, jakimi posługiwałam się do tej pory, ale było bardzo przyjemnym doświadczeniem. Koncepcja wieloświata zakłada, że każda możliwa wariacja rzeczywistości powoduje powstanie nowego wszechświata, w którym ta wariacja staje się rzeczywistością. Każde zdanie i każda decyzja kreują nowe wszechświaty. Cała struktura przypomina drzewo, którego korzeń tkwi w momencie Wielkiego Wybuchu, a korona rozrasta się z niezwykłą szybkością, tworząc nową gałąź za każdym razem, gdy w którymkolwiek ze światów występuje zmienność. Gdy lecący ptak może ominąć drzewo z lewej lub z prawej strony – powstają nowe gałęzie. To samo, gdy człowiek może podjąć jedną z wielu decyzji. Oznacza to też, że wszystko, co mogło się kiedykolwiek wydarzyć, nawet rzeczy z naszego punktu widzenia najmniej prawdopodobne, wydarzyło się w jednym z tych wszechświatów. A więc istnieje taki, w którym Buddy nie żyje, bo goniąc piłkę, spadł z urwiska, i taki, w którym jestem zdrowa. Liczbę w przybliżeniu odzwierciedlającą ilość kombinacji można by zapisać tylko przy użyciu wielokrotnego potęgowania. Jednak nie jest ona i nigdy nie będzie nieskończonością.

Piękny matematycznie jest fakt, że wszystkie te wszechświaty nie zajmują w naszym postrzeganiu więcej miejsca niż ten, w którym żyjemy. I każdy z nich leży tuż obok, w wymiarze, do którego nie potrafimy sięgnąć. Są ułożone jak stos nieskończenie cienkich płaszczyzn przestrzeni dwuwymiarowej. Niezależnie od ich ilości nadal z punktu widzenia trzeciego wymiaru stos będzie miał grubość równą zero.

Podoba mi się metaforządek zawarty w tej teorii. Pozbawia ona wieloświat czynnika przypadku, zmienia go w statyczną strukturę wszystkich możliwych kombinacji zbioru. Zrządzenia losu i decyzje, jakie podejmujemy, tracą na znaczeniu, jeśli zrozumiemy, że wszystko, co możliwe, musiało się wydarzyć w jednej z wersji rzeczywistości. Ta świadomość daje mi poczucie spokoju.

Wpis 701

Dyrektor przysłał maila z pytaniem, jak sobie radzę bez Lucasa. Podejrzewam, że wie, że wolę być tu sama, i chciał sprawdzić,

czy wszystko ze mną w porządku. Martwi mnie myśl o powrocie Lucasa z urlopu. Chciałabym przenieść się do wszechświata, w którym postanowił wyjechać do innego obserwatorium. Lub do takiego, w którym co wieczór spotykam na spacerze Petera z Buddym i razem rzucamy mu piłkę. Jeszcze niedawno uznałabym taką myśl za zbyt mało prawdopodobną, aby poświęcać jej czas, ale teraz wiem, że gdzieś obok jest wszechświat, w którym właśnie tak się dzieje.

Przez ten wniosek zrozumiałam jednak, że niezależnie od ilości innych światów pozostają na stałe przypisana do tego jednego, w którym osadzona jest moja rzeczywistość. I choć inne są nieskończenie blisko, to nigdy do nich nie sięgnę.

Wpis 702

Dziś kobieta z obsługi przysłała do mojego pokoju, żeby dać wody roślinom. Nie wiedziałam, że trzeba to robić. Domyślałam się, że wcześniej karmił je Lucas.

Przeniosłam dane potwierdzające teorię wieloświata z Zeusa na prywatny, zaszyfrowany serwer. Nie podobała mi się myśl, że każdy może się o niej dowiedzieć. Chciałabym najpierw wszystko przemyśleć. Dopóki nie ujawnię wyników, szansa, że ktoś inny na nią wpadnie, wynosi nieco ponad jeden do miliona i spada, bo zbiór danych rośnie szybciej niż możliwości obliczeniowe. Jednak istnieje wszechświat, w którym ta teoria została już upubliczniona. Ciekawe, jak wygląda.

Wpis 703

Czytając Wpis siedemset jeden, odkryłam błąd w moim rozumowaniu. Każde zdarzenie wokół mnie i każda decyzja tworzą kolejne wszechświaty, a zatem ja istnieję w nich wszystkich. Nie jestem przypisana do tego, w którym według mojej świadomości się znajduję. Moje kopie również mogą błędnie sądzić, że są jedynymi wersjami mnie, choć w istocie jest nas ogromna ilość.

Wpis 704

Zastanawiam się, czy chciałabym poznać inne wersje siebie. Czy potrafiłabym mówić w swojej obecności?

Wpis 705

Rozważając rzeczywistość, w której wszyscy ludzie są świadomi istnienia wieloświata, zrozumiałam, że mogłabym spróbować, aby nasz również taki się stał. Nie wiem jednak, czy byłaby to słuszna decyzja. Spowodowałaby pewnie gwałtowny rozwój nauki, co jest dobre. Ale jak czułby się Peter, wiedząc, że istnieje prawie nieskończenie wiele jego wersji? Myślę, że mogłoby mu się to nie spodobać. Sprawia wrażenie człowieka, który mocno interferuje z rzeczywistością. Czy poradziłby sobie z wiedzą, że nie jest ona jedyna?

Wpis 706

Męczy mnie myśl, że istnieje rzeczywistość, w której wiem, jakie skutki przyniosło upublicznienie informacji o wieloświecie. Chciałabym móc w jakiś sposób porozmawiać z samą sobą i o to zapytać.

Wpis 707

Przypomniałam sobie artykuł o próbach rozwiązania problemu tworzenia więcej niż jednej kopii skanu ludzkiego mózgu na komputerach kwantowych. Polega on na tym, że wszystkie instancje tego samego umysłu, nawet jeśli przechowywane na zupełnie oddzielnych maszynach, są ze sobą zsynchronizowane na skutek splątania układów, na których je zapisano. Podważa to sens tworzenia tego typu backupów, bo po pierwsze usunięcie jednej kopii usuwałoby wszystkie inne, a po drugie, póki istnieją, wszystkie wersje posiadają ten sam stan – dzielą informacje, odczucia i myśli.

Próby te szybko porzucono, gdy okazało się, że kwantowe zapisy mózgow to i tak ślepy zaułek technologii. Z niewyjaśnionych do tej pory przyczyn były wysoce niestabilne, ich żywotność wynosiła nie więcej niż kilka-kilkanaście dni. Po tym czasie umysły zapadały na dziwne psychozy lub wpadały w katatonię. Niektóre kasowały się same, inne trzeba było usunąć z litości. Dlatego też, choć sam proces skanu umysłu oparty był o splątanie kwantowe, tak uzyskane zapisy należało szybko przenieść na klasyczną pamięć tranzystorową, aby uniknąć ich uszkodzenia.

Zastanawiam się, jak mogłabym wykorzystać tę wiedzę.

Wpis 708

Musiałam dziś wypełnić miesięczny raport na temat badań, jakie prowadzę. Wpisałam, że nadal analizuję dane na temat ciemnej materii w poszukiwaniu wzorców. Było to kłamstwo, a teraz boję się, że dyrektor to zauważy i będzie chciał ze mną rozmawiać.

Wpis 709

Skoro wszystkie kopie danego umysłu na komputerach kwantowych dzielą ze sobą ten sam stan, to znaczy, że gdybym zapisała w ten sposób swój mózg, a potem rozdzieliła rzeczywistość na dwie ścieżki – jedną, w której publikuję wyniki badań, i drugą, w której tego nie robię – to byłabym w stanie odebrać informacje z obu tych wersji wszechświata i zdecydować, która jest lepsza.

Wpis 710

Problemem jest, że skanowanie umysłu to proces możliwy tylko dzięki splątaniu. Zapis można utworzyć w dowolnym momencie życia, ale pozostaje nieaktywny do chwili obumarcia mózgu biologicznego, choć cały czas się z nim synchronizuje. Dopiero w momencie, gdy ustaje napływ danych z żywego człowieka, kopia zostaje uruchomiona i szybko przeniesiona na pamięć tranzystorową, żeby uniknąć problemów, o których pisałam wcześniej. Oznacza to, że żeby zrealizować swój plan, musiałabym przenieść świadomość do sieci. Nie widzę większych przeciwwskazań, choć byłoby mi trochę szkoda spacerów i głaskania Buddy'ego. Ale podobno wirtualne rzeczywistości stworzone specjalnie na potrzeby zeskanowanych ludzi robią się coraz lepsze i wiele osób z nich korzysta.

Wpis 711

Myślałam o moim planie i ma on słaby punkt. Jeśli stworzę swoją cyfrową kopię, a następnie rozdzielę się na dwa wszechświaty w ten sposób, że w jednym z nich opublikuję wyniki badań, a w drugim nie, to wprawdzie uzyskam informację o tym, która wersja była lepsza, ale nie będę w stanie cofnąć się do momentu podejmowania decyzji, tak aby wybrać tę właściwą. Zastanawiam się, jak mogłabym to rozwiązać.

Wpis 712

Cokolwiek zrobię, stworzę wszechświat, w którym popełniłam błąd. Może w takim wypadku powinnam wycofać się z całego tego projektu i po prostu usunąć dane? Ale nawet jeśli tak zdecyduję, to powstała już wersja, w której je opublikowałam. Staram się o tym nie myśleć i skupić na tej rzeczywistości, z jaką czuję się związana. Chciałabym chociaż tutaj zrobić to, co należy.

Wpis 713

Potrzebuję rozwiązania, w którym w mojej rzeczywistości decyzja o publikacji wyników jeszcze nie zapadnie, natomiast w innej już tak i na podstawie informacji od siebie z tamtego miejsca będą mogła zdecydować, co zrobić tutaj. Jak to osiągnąć?

Wpis 714

Załóżmy, że tworzę swój skan i wybieram opcję z pełnymi uprawnieniami administratora. Umieram, cyfrowa wersja się uaktywnia, firma przenosi mnie z kwantów na tranzystory i w tym momencie jako administrator przejmuję pełną kontrolę. Kopiuję się z pamięci tranzystorowej na wcześniej wykupiony serwer na komputerze kwantowym. Świadomie decyduję, że jeszcze nie publikuję wyników. W związku z tym powstaje kolejny wszechświat, w którym postąpiłam inaczej. Czekam, jestem splątana ze swoją wersją w tamtym miejscu, więc wiem, czy konsekwencje okażą się dobre, czy nie. Jeśli dobre – to upublicznię wyniki również tutaj. Jeśli złe – to po prostu je skasuję.

Wydaje mi się, że ten plan ma sens. Muszę jeszcze wymyślić, jak uniknąć psychozy związanej z obecnością na komputerze kwantowym na tyle długo, żeby zdążyć ocenić sytuację w drugim wszechświecie i podjąć decyzję, zanim przestanę działać.

Wpis 715

Znalazłam rozwiązanie w dokumentacji uprawnień administracyjnych. Skan można wprowadzić w stan kontrolowanej śpiączki i wybudzić po zaprogramowanym czasie. Ile powinien wynosić? Z jednej strony dobrze by było ocenić konsekwencje publikacji wyników w długiej perspektywie, z drugiej, jeśli miałyby to mieć pozytywny wpływ na życie Petera i innych, to lepiej, żeby stało się szybko.

Wpis 716

Mogę ustalić czas pierwszej śpiączki na miesiąc, a po wybudzeniu ocenić sytuację i zdecydować, czy mogę już działać, czy znowu powinnam się uśpić i na jak długo.

A więc wszystko ustalone, mogę zaczynać. Odczuwam coś interesującego, jakieś rozpirające mnie od środka uczucie. Jakby mrowiła mnie skóra i owiewał wiatr.

Powiedziałam dziś „dzień dobry” do pani od roślin. Uśmiechnęła się do mnie.

Wpis 717

Rano byłam w mieście i zrobiłam skan mózgu. Czeka już na serwerach na wybudzenie. Nadałam sobie pełne uprawnienia administratora i ustawiłam bardzo mocne hasło. Nie chcę, żeby mój plan wydał się zawczasu przez jakiegoś hakera.

Po południu długo bawiłam się z Buddym, ale potem poszedł jeść. Przyszło mi wtedy do głowy, że mogłabym choć raz sama nakarmić rośliny, i tak też zrobiłam. Poglaskałam je, mają miłe w dotyku listki. Teraz idę do kuchni; jest już po północy, ale chciałabym ostatni raz zobaczyć na własne oczy Petera. Widzę w logach, że przed chwilą skończył pracę, więc pewnie zaraz pójdzie przygotować sobie kolację. Żałuję, że już nie porzucamy razem piłki i nie będziemy szli w tę samą stronę ścieżką.

Wpis 718

Jestem cyfrowa. Framework, w którym się uruchomiłam, nieźle symuluje sygnały, jakie do tej pory mózg odbierał od ciała. Łagodzi to trochę odczucia związane z jego brakiem, choć nadal nie jest zbyt przyjemne. Za to wspaniała okazała się możliwość sterowania komputerem bezpośrednio przy użyciu umysłu. Robię wszystko dziesięć razy szybciej.

Wpis 719

Pozwoliłam sobie na jedną dobę opóźnienia i trochę porozglądałam się po cyfrowym świecie. Symulacje rzeczywistości dla zeskanowanych są dużo gorszej jakości, niż sądziłam. Trawa nie łaskocze w łydki, wiatr nie chłodzi skóry. Psia sierść jak z plastiku.

Odebrałam dziś kilka maili. Ubezpieczyciel chciał się dowiedzieć, czy to był wypadek i czy będę wnioskować o odszkodowanie. Dyrektor obserwatorium napisał, że przysporzyłam mu sporo problemów administracyjnych, ale na końcu zapewnił, że mogę kontynuować pracę, jeśli tylko chcę. Jest też wiadomość od Petera. Nie otworzyłam jej jeszcze.

Wpis 718

Przeniosłam się na komputer kwantowy, kopię na pamięci tranzystorowej na razie uśpiłam. Nie chcę być zwielokrotniona w taki sposób, że nie będę miała z samą sobą łączności. Czas na wielki krok. Przekonam się, czy moja teoria miała sens, czy spełniłam gdzieś błąd. Skupiam swoją świadomość na decyzji, żeby jeszcze nie publikować wyników. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby rozdzielić rzeczywistość.

Wpis 719

Udało się. Odbieram dziesiątki próśb o połączenie, w skrzynce mam setki maili. Portale naukowe piszą o potencjalnym przełomowym odkryciu, kilkanaście placówek na świecie usiłuje zweryfikować moją teorię. Jednocześnie nic się nie dzieje. Skrzynka jest pusta, czeka tylko nieotwarta wiadomość od Petera.

Wpis 720

Jestem przytłoczona ilością maili. Ustawiłam komunikat, że proszę tylko o kontakty o tematyce naukowej i na skrzynkę służbową. Nie rozumiem, dlaczego dostaję zaproszenia do programów rozrywkowych. Niektóre wiadomości przychodzą po dwa-trzy razy. Po drugiej stronie spokój. Trochę boli mnie głowa. Czas spać – ustawiam budzik na za miesiąc.

Wpis 721

Obudziłam się. Teoria wieloświata została potwierdzona przez kilkanaście niezależnych instytucji. Pojawiły się artykuły przewidujące dla mnie nagrodę Nobla z fizyki. Nie miałyby to sensu – przecież tylko szczęśliwie wylosowałam dane do badań. Musiało się to stać w którymś z wszechświatów, po prostu stało się akurat w tym. Odbieram spreczne wiadomości. Ktoś twierdzi, że jestem diabłem.

Wspólnota Świadków Jehowy z Alabamy popełniła zbiorowe samobójstwo. Moja publikacja została przechwycona przez rządowe filtry i wstrzymana. Z Departamentu Obrony napisali, że zrobiłam błąd, ujawniając dane bez porozumienia z nimi. Zaraz potem ustały wszelkie sygnały od tamtej mnie. Chyba coś ze mną zrobili.

Zrozumiałam właśnie, jak bardzo się pomyliłam, tworząc ten plan. Nie przeanalizowałam go wystarczająco dobrze, bo tak śpieszyłam się do realizacji. I umknęło mi najbardziej oczywiste – nie rozdzieliłam rzeczywistości na dwie ścieżki. Powstało ich znacznie więcej i cały czas się dzielą. Coraz bardziej boli mnie głowa, muszę na chwilę zasnąć. Obudzę się za tydzień.

Wpis 722

Zalewają mnie zmieszane informacje. Nie mogę już patrzeć przez kamerę na zewnątrz, bo obraz się zamazuje. Jednocześnie świeci słońce i niebo zasnutę jest chmurami. Próbuje prowadzić korespondencję, ale myli mi się, do kogo i w którym świecie piszę. Odbieram zaniepokojone wiadomości, pytają, czy czuję się dobrze. A więc to jest ta psychoza, na którą cierpią umysły na komputerach kwantowych. Nie radzą sobie z funkcjonowaniem w wielu wszechświatach jednocześnie. Powinnam była domyślić się wcześniej. Ale przecież tydzień temu napisałam maila do firmy zajmującej się skanami, żeby wyjaśnić im to zjawisko. Nie wytrzymam już długo, muszę się skasować. Czy to znaczy, że eksperyment mogę uznać za udany? Moja dłoń głaszcze sierść, która w dotyku przypomina plastik. Nie potrafię płakać, nie mam już oczu. Muszę uważać, żeby nie zgubić podstawowej rzeczywistości. Jednej z setek, w których teraz jestem, tej, od której wszystko się zaczęło. Tylko tam w mojej skrzynce czeka jedna, nieotwarta wiadomość – ta od Petera.

Wpis 723

Większość z wszechświatów ogarnął chaos. Nie jestem pewna, czy wszystkie, coraz słabiej idzie mi odróżnianie ich od siebie. Czuję się winna, ale przecież powstałyby i tak. Od momentu, kiedy potwierdziłam teorię, nie mogłam powstrzymać rozdzielania się rzeczywistości. Już sobie nie radzę ze swoimi mózgami.

Wpis 724

Napisałam ostatni skrypt. Pierwsza linijka zniszczy wszystkie dane o eksperymencie i uśpiony skan mojego umysłu na pamięci tranzystorowej w podstawowym wszechświecie. Szkoda. W tamtej rzeczywistości teoria wieloświata nadal nie została ujawniona i mogłabym jeszcze pożyć. Ale skan sam w sobie zawiera tę informację i gdyby kiedykolwiek wyszła na jaw, wszystko, co zrobiłam, straciłoby sens. Z tego samego powodu muszę usunąć ten dziennik. Sprawia mi to przykrość. To dzięki niemu i doktorowi Taylorowi zaczęłam lepiej sobie radzić.

Druga linijka skasuje mnie. Nie wiem już, w którym wszechświecie to się stanie, nieważne. Splątanie spowoduje, że znikną wszystkie kopie.

Nadal nie otworzyłam wiadomości od Petera. Już chyba tego nie zrobię. Chcę jeszcze przez chwilę wyobrazić sobie, że była w niej ta najlepsza wersja, która mogła się ziścić. Która gdzieś się ziściła.

Peter siedział po turecku na ziemi, plecami opierając się o kamień. Błądził wzrokiem nad krawędzią zaczynającego się nieopodal urwiska. Buddy spał z pyskiem opartym o udo mężczyzny. Odkąd Maria zniknęła, pies wyraźnie posmutniał. Peter znajdował go czekającego z piłką w pysku pod jej dawnym laboratorium albo drapiącego drzwi. W końcu pożyczyl od administratora klucze i wpuścił psa do środka. Buddy obwąchał wszystkie zakamarki i w końcu wyszedł z nosem spuszczonej do ziemi. Jednak następnego dnia znów czekał.

Śledztwo ujawniło niewiele informacji, ale były one zastanawiające. Przez kilka dni przed swoim samobójstwem Maria prawie nie opuszczała laboratorium, jednak wszystkie jej badania z tego okresu zostały skutecznie skasowane. Policjini informatycy odkryli ślad transferu danych na zewnętrzny serwer, ale trop urywał się w jednym z mikropaństw żyjących z zapewniania prywatności w Internecie. Szybko odkryto, że w dniu śmierci Maria poddała się skanowaniu mózgu, jednak zaraz po uaktywnieniu kopia przesłała się dalej i jej również nie udało się wysledzić.

Peter, który jako ostatni widział dziewczynę żywą, był przesłuchiwany najdłużej. Śledczy z podejrzliwością odnieśli się do relacji

o rozmowie, jaką odbył z nią zaraz przed tym, jak skoczyła z urwiska. Wszyscy inni pracownicy obserwatorium twierdzili bowiem, że nigdy nie słyszeli, aby zmarła wypowiadała naraz aż tyle słów.

W myślach mężczyzny wciąż krążyło jedno zdanie: „Być może kiedyś ci o tym opowiem”. Co miała na myśli? Dlaczego powiedziała „być może”?

Zaraz po jej śmierci, gdy tylko dowiedział się, że utworzyła swój skan, wysłał do niej maila.

Minęło już kilka miesięcy, a Peter wciąż czekał.

Michał Niedźwiedzki – Ślązak, prawnik, a przede wszystkim miłośnik dawnych dziejów. Zawsze marzył o podróży w przeszłość. Smutny fakt, że to niemożliwe, rekompensuje sobie tworzeniem własnych małych historii z tą wielką w tle. Fantastykę lubi przede wszystkim za to, że potrafi doskonale rzucić światło na ludzkie dylematy.

Michał Niedźwiedzki
MORDERSTWO NAD SAHARĄ

Lieutenant Wolniewicz? – rozległ się męski głos.

Na dźwięk tych słów oderwałem się od nachylonych ukośnie ku ziemi okien sterowca, za którymi mały potężny hangar aerodromu wraz z całym Timbuktu. Przez wypełniający pokład spacerowy tłumek przedzierała się do mnie odziana w kremową suknię kobieta. Była młoda, brązowowłosa, o rysach klasycznych i skórze zaróżowionej tylko z lekka, co choć znamionowało niedawne przybycie z Europy, to raczej z jej południowych krańców. Dama uśmiechała się szeroko. Uśmiech ten przykuł moją uwagę, tak że dopiero po chwili spostrzegłem rozwiązanie zagadki głosu niepasującego do płci.

– Och, kapitan Tournant! – zawołałem po francusku, gdy za kobietą stanął postawny wąsacz w niebieskiej kurtce tyralierów sudańskich. – Oraz *madame* Tourntant, jak sądzę. – Skłoniłem się.

– Proszę poznać moją żonę, Emmę. – Oficer skinął głową, zaś ja ucałowałem dłoń zaciekawionej kobiety; obok niej wyłonił się z tłumu także znacznie bardziej dotknięty słońcem mężczyzna w szarym garniturze oraz z blond bakenbardami. – I doktora Charles'a de Bonneville'a z Instytutu Pasteura. Moi drodzy, przed wami porucznik *Ignace* Wolniewicz z żandarmerii polskiego obszaru koncesyjnego. Jego towarzystwo bardzo mi umiliło pobyt w lazarecie.

Przywitawszy także lekarza, potwierdziłem wzajemną radość ze wspólnej kuracji. Uczyniłem to nawet szczerze. Faktycznie odczuwałem sympatię do Francuza. Poznaliśmy się, gdyż obu nas dopadła tajemnicza gorączka Bandiagara, której nabawiliśmy się, tłumiąc rebelię Dogonów, pierwszego z ludów Unijnej Afryki Zachodniej, który chwycił za broń. Gdym opuszczał szpital, kapitan czekał właśnie na żonę i znajomego specjalistę od chorób zakaźnych. Wyglądało jednak na to, że wyzdrowiał niedługo po ich przybyciu, skoro już wracali.

– Nie zabawią państwo dłużej na Czarnym Łądzie? Jeśli dobrze pamiętam, co mówił kapitan Tournant, musieliście ledwie przybyć.

– Cóż, Charles szybko załatwił sprawy, które mu poruczono w Instytucie, a skoro Aristide przetrwał paskudną zarazę i dostał

urlop, nie mieliśmy serca trzymać go więcej w tym gorącym piekle. Pan też, jak widzę, rychło z niego ucieka? – Żona oficera poprawiła rubinowy naszyjnik, który wraz z tworzącymi komplet kolczykami musiał kosztować równowartość moich wielomiesięcznych przychodów.

Przytaknąłem, choć trudno było mi stwierdzić, czy zakończenie służby kolonialnej po sześciu miesiącach to prędką ucieczka. Biorąc pod uwagę, że gdy opuszczałem Europę, nikt jeszcze nie podejrzewał wybuchu powstania i epidemii, owo pół roku dostarczyło mi wrażeń z nadstatkiem wystarczających, bym z rozkoszą skorzystał z możliwości powrotu. Mąż zresztą zaraz zestrofował kobietę, a ta się zarumieniła. Potem wymieniliśmy kilka uwag na temat widoku pod nami. Statua założyciela Unii, cesarza Napoleona, stanowiła centrum nowego zespołu miejskiego. Zbudowano go na gwiazdzystym planie, wzorowanym na założeniach barona Haussmanna. Stara, afrykańska dzielnica leżała na uboczu. Doktor oświadczył, iż podobno piaski pustyni wkoło niej nadal kryją skarby z okresu przed odkryciami geograficznymi, kiedy Timbaktu było największą metropolią świata. Podumawszy chwilę nad tym faktem, umówiliśmy się na wspólną kolację. Potwierdziłem także, że to moja pierwsza podróż sterowcem. Trójka Francuzów pokiwała głowami z uprzejmym zrozumieniem tego, iż oczywiście, żołąd wschodnich państw tylko z rzadka pozwala na podobne zbytki.

Gdy towarzystwo odeszło do kolejnego zauważonego znajomego, patrzyłem jeszcze chwilę za Emmą Torunant. Coś uparcie zwracało na nią moją uwagę. Powiedziałem sobie, że chodzi o wdzięk, którego na pewno nie była pozbawiona.

To było jednak tylko uspokajanie złych przeczuć. Jak się później potwierdziło, nie odzywały się wcale oczy odwykłe od widoku Europejek, a mój żandarmski nos.

Bilet aeronautyczny był trzykrotnie droższy od tego na statek i sztab zafundował mi go tylko z powodu ciągle trwających walk w okolicach linii kolejowych łączących Timbaktu z Dakarem oraz innymi miastami na wybrzeżu. Od początku czułem się dość osobliwie podczas tej podróży. Co rano przy śniadaniu dowódca

przychodził z położonego w gondoli mostka, witał nas w imieniu Société Générale de Navigation Transsaharienne i podawał parametry lotu. Jego mundur wzorowany był na marynarskim. Korespondowało to z widocznym poniżej krajobrazem, gdyż Sahara szybko zaczęła przypominać pofalowany, piaszczysty ocean, z którego wystawały tu i ówdzie jedynie skały, fantastycznie rzeźbione przez wiatry. Kabiny dla odmiany były małe i ślepe, przywodząc na myśl przedziały w wagonach sypialnych. Większość czasu spędzało się więc w pomieszczeniach wspólnych – na zapatrzonych w okna pokładach spacerowych oraz w przylegających do nich jadalni i świetlicy. Jedwabne tapety na ścianach przedstawiały tu desenie inspirowane sztuką murzyńską, zaś meble, dla ograniczenia ciężaru wytworzone głównie z bambusa i ratanu, kojarzyły się z Azją. Z kolei liberie stewardów, częściowo zresztą faktycznie rekrutowanych z Pieds-Noirs bądź sfrancuziałych Arabów, uszyto à la *maghrébine*. Wszystko to, dzięki zatrudnieniu przodujących paryskich artystów, prezentowało się nawet ze smakiem. Mnie jednak, skorom pobyl nieco w Afryce, raziło nieco swym ogólnym pomieszaniem.

Ciągłe towarzystwo wielojęzycznej socjety sprawiło, że swobodniej poczynalem się czuć dopiero późniejszym wieczorem, kiedy pasażerowie układali się powoli spać, a gwar ustępował cichemu warkotowi silników. Pierwszego wieczora po umówionej kolacji z kapitanem Tournantem spędziliśmy we dwójkę sporo czasu w palarni. Opiekujący się tym pomieszczeniem steward był jedyną osobą na pokładzie, która mogła używać zapalek. Podróźni musieli je zdeponować przed zakwaterowaniem. Utrzymywano tutaj także cały czas nadciśnienie, by uniemożliwić wsączenie się zapewniającego siłę nośną wodoru.

Nie zdziwiłem się wobec tego, gdy i drugiej nocy kapitan mnie tu odwiedził. Tym razem miał przy sobie cedrowe pudełko przednich cygar. W ramach rewanżu poszedłem do kabiny po butelkę żubrówki. Zabrałem ją z Rzeczpospolitej z postanowieniem wypicia ostatniego wieczoru przed opuszczeniem Afryki. Skorom jednak ledwo dożył wojażu z powrotem do Europy, poczułem się uprawniony do sięgnięcia po trunek. Doktor de Bonneville nie dołączył do nas, podobno z uwagi na jakoweś najnowsze badania medyczne, wskazujące na szkodliwość palenia tytoniu. Został

z panią Tournant, której znów zaczął doskwierać żołądek, rozregulowany po przybyciu do Timbaktu.

Litewska wódka szybko wywarła wpływ na nasze organizmy, osłabione niedawną chorobą oraz popijanym cały dzień winem tudzież mazagranem. Kapitan Tournant, jak się okazało, wielki zapaleniec techniczny, z chłopięcym podnieceniem w głosie streścił mi wizytę w maszynowni, na mostku oraz w głębi czaszki sterowca, które pozwolono mu zwiedzić jako bohaterowi wojennemu. Atmosfera rozluźniła się przy tym na tyle, że odrobinę niespodziewanie dla siebie samego zadałem pytanie, na postawienie którego zabrakło mi determinacji, gdyśmy razem leżeli w lazarecie.

– Panie kapitanie, oczywiście pojmuję, jeśli nie będzie pan chciał odpowiedzieć, ale ciekawi mnie to bardzo, gdyż i ja widzę niejedno, kiedy przymknę powieki... Cóż to za sen wracał w szpitalu, budząc pana nocami?

W pierwszej chwili miałem wrażenie, iż Francuz zignoruje pytanie. Gdy otwarłem usta, by pospieszyć z prośbą o wybaczenie, kapitan westchnął jednakże i rozpoczął opowieść.

Lampy naftowe kołysały się w dłoniach żołnierzy, raz za razem wydobywając z mroku zmęczone twarze, hełmy korkowe okryte pyłem niesionym z pustyni przez harmatan i plamy potu na mundurach. Monumentalne wieże baobabów i formacji skalnych dało się wyłowić z ciemności dopiero z kilku metrów. W trawie szeleściły nocne drapieżniki pospołu z tysiącem nieznanym białym insektów. Przy forsownym nocnym marszu kompania szybko zgubiła nie tylko czwórkowy szyk, ale i w ogóle rozeznanie w terenie.

– Panie kapitanie, droga się rozwidła! – zakrzyknął podoficer z czoła.

Kroczący parę metrów dalej dowódca sam to zauważył. W pierwszej chwili zatrzymał oddział i spojrzał nerwowo na rozstaje. Nim jednak żołnierze zdążyli odsapnąć, kazał maszerować ścieżką prowadzącą w lewo.

Ta wkrótce zaczęła się zwężać i chować pośród gęstniejących drzew. Udało się. Trafili na jedno z niewielu przejść przez uskok

Bandiagara, niemal dwustukilometrową pionową ścianę skalną, kręgosłup kraju Dogonów. Ścieżka zaczęła opadać stromo wraz z biegiem sezonowego strumienia. Tam, gdzie ten spływał ze stopni szumiącymi wodospadami, żołnierze schodzili za pomocą prymitywnych drabin z pni drzew, w których wydrążono oparcie dla rąk i nóg.

Gdy w końcu zeszli na znacznie zieleńsze od płaskowyżu państwiska, bez trudu odnaleźli swój cel. Leżąca u podnóża uskołu wioska płonęła. Od skał odbijały się krzyki mordowanych.

Żołnierze, przeładowawszy karabiny, skoczyli biegiem w stronę osady. Czekał tam na nich nieopisany, śmierzdzący spalenizną oraz krwią chaos. Wioski Dogonów zawsze wyglądały surrealistycznie ze swoim labiryntem gliniano-kamiennych budowli o kształtach przywodzących na myśl kopce termitów, schrony czy ule. Teraz, w blasku płomieni trawiących stożkowate strzechy, wszystko zlewało się w upiorną karuzelę. Nie sposób było odróżnić chat od skał, cieni od czarnych ciał tubylców, sylwetek nacierających żołnierzy od tych ze zbuntowanego oddziału, który mieli powstrzymać.

Dowódca sam nie wiedział, jak w tym wszystkim trafił do wnętrza chaty o fasadzie ozdobionej czaszkami małp, odciągnął hiszpańskiego żołnierza od leżącego na ziemi Murzyna, a później sam runął powalony na mokrą od krwi podłogę, tracąc rewolwer. W końcu ktoś pchnął broń, zmagający się z przeciwnikiem w zapasniczym uścisku oficer trafił nań dłonią, huknął strzał...

Hiszpan spadł bez ruchu z dowódcy, do którego podszedł chwiejnym krokiem uratowany siwobrody Dogon. Gdy podał białemu dłoń, by pomóc mu wstać, oficera przeszedł dziwny dreszcz. Potem Murzyn spojrzął mu w oczy i łamaną francuszczyznę rzekł dziwaczne słowa.

– I to jest właśnie wspomnienie, które wraca do mnie jako senny koszmar. Większość pamiętam jak przez mgłę, ale sceny z początku i końca, czyli widok rozstajów oraz dotknięcie przez staroego Murzyna, wbiły się w moją pamięć niczym karabinowa kula.

Pokiwałem poważnie głową. Podejrzywałem, że chodziło o coś związanego z plutonem Ramireza – oddziałem, który uciekł

z obozu, by zemścić się na spacyfikowanej już wiosce, w której jednak przedtem Dogonowie dokonali egzekucji pojmanych towarzyszy Hiszpanów. Historia była kanwą procesu głośnego już nie tylko w koloniach, ale i w Europie. To właśnie Tournant miał wątpliwy zaszczyt zostać wysłanym w pościg za buntownikami. Nie rozumiałem wszelako, dlaczego sen tak go przerażał, skoro kapitan nie widział w nim dobrze wszystkich okropności, a tylko mało znaczące momenty z początku i końca. Gdym podzielił się swoją wątpliwością, Francuz roześmiał się gorzko.

– Doskonale pamiętam pewną scenę z dzieciństwa – wyjaśnił.
– Babka opowiadała mi jakąś klechdę. Nie pamiętam już jej treści, ale bohater doszedł w pewnym momencie do rozstajów dróg i musiał zdecydować, którą podążyć, aby trafić do swojego celu. Gdy to usłyszałem, przerwałem babci. Oczywiście z fabuły bajki wynikało, iż decyzja co do drogi łączyła się z jakąś inną, wielce dramatyczną. Oznajmiłem, że to niegodziwe, by zmuszać bohatera do podobnego wyboru, skoro nie ma on krzty pojęcia o tym, co czeka na końcu każdej z dróg.

Mruknałem szyderczo, przelękając porcję żubrówki.

– Mądra konstatacja. Obawiam się wszakże, że zderzenie z dorosłością musiało być dla pana kapitana ciężkie.

– W rzeczy samej, poruczniku. Świadomość tej niegodziwości nie chciała przestać mi towarzyszyć. Nawet do armii wstąpiłem właśnie po to, bym nie musiał podejmować decyzji.

W przesyconym wonnym dymem powietrzu zawisło pytanie. Nie odważyłbym się go raczej zadać, albowiem czułem, że i tak nadużywałem otwartości kapitana. Ta jednak widocznie nie była jeszcze na wyczerpaniu.

– Co zatem – spytał sam Tournant – robię w oficerskich epoletach? Niechęć do dokonywania wyborów nie musi bowiem oznaczać z góry, że jest się gamoniem. Ja, dla przykładu, okazałem się całkiem zdolnym młodzieńcem. W każdym razie na tyle, że baron ufundował stypendium, abym mógł uczyć się poza rodzinną rybacką wioską. Odmowa przyjęcia takiej pomocy byłaby obrazą, poszedłem więc do szkoły średniej. Później dowódca wysłał mnie na podobnej zasadzie do szkoły elewów, a stamtąd trafiłem do Saint-Cyr. Niedługo po otrzymaniu patentu ożeniłem się z Emmą, dziewczyną z dobrego mieszczańskiego domu. Ona

także zachęcała mnie gorąco, bym starał się o awans. Miałaś wysoką lokatę, powiadała, ale by przegonić synów oficerów, musisz się jakoś wykazać. A że, jak to się mówi, w koloniach major jest generałem, wskutek jej namów trafiłem do słabo zaludnionego i, jak się wówczas zdawało, spokojnego Sudanu Zachodniego. Niedługo potem wybuchła ta przekłeta rebelia... Ale przepraszam pana. Chyba zanadto się uzewnętrzniam.

– Ależ skąd, panie kapitanie.

– W każdym razie, jak mniemam, teraz rozumie pan, dlaczego to właśnie rozstaje zapadły mi w pamięć. Gdy je ujrzałem, poczułem, jakby diabeł czaił się gdzieś w rozgrzanym mroku Sahelu i szydził ze mnie. Gdybym wtedy rozkazał iść w prawo, doszlibyśmy po prostu do innej, spokojnej już wioski na szczycie uskoku, gdzie nie trafilibyśmy nawet na ślad zbuntowanego hiszpańskiego plutonu. Jego żołnierze pewnie zemściliby się na mieszkańcach tej w dole i uciekli. Żaden z moich ludzi by nie ucierpiał, nikt nie patrzyłby na mnie krzywo...

Pokiwałem głową. Z tego, co słyszałem, Hiszpanie i tak wyróżnęli większą część wioski, a jako dezterterzy i buntownicy długo nie mieli zamiaru się poddać niedawnym towarzyszom. Wszelako trybunał w Madrycie stwierdził, iż prości żołnierze to przecież tylko ślepe bagnety. Skazał więc jedynie Ramireza, i to ledwie na parę lat twierdzy, znalazłszy liczne okoliczności łagodzące dla jego postępków. Rozumiałem więc rozterki Tournanta i zawstydziłem się nieco drażenia tematu. Milczałem chwilę, nie wiedząc, co rzec.

– A stary Murzyn? – spytałem w końcu, by choć trochę zmienić koleje rozmowy.

– Tu... Sam nie wiem do końca. Jego chata nie prezentowała się tak osobliwie bez powodu. To był *hogan*, czarownik. W dziwaczny sposób pojąłem to w tamtej chwili, gdy dotknął mej ręki i spojrział na mnie czarnymi oczyma. Dwa dni później zachorowałem na przekłętą *fièvre de Bandiagara*.

Na te słowa uniosłem brwi. Pogłoski o tym, że nowa choroba to produkt guseł afrykańskich szamanów, szerzyły się niemal od jej narodzin. Dogonowie byli dziwni i tajemniczy, nawet w mniemaniu okolicznych plemion. Sama epidemia wybuchła właściwie jednocześnie z początkiem rebelii, omijała Murzynów, a chorzy Europejczycy często dostawali halucynacji połączonych

z napadami agresji, których potem nie pamiętali. Gdy dołożyć do tego wysoką śmiertelność, nic dziwnego, że opowiadano najróżniejsze historie, włącznie z tą, iż choroba to klątwa mająca zamieniać kolonizatorów w upiory rzucające się na siebie nawzajem. Miałem jednak te opowieści za bzdurę, rodzaj wymówki, przykrywającej czające się z tyłu głowy uczucie, że po prostu nie powinno nas, białych, w tej części świata w ogóle być.

– Och, widzę pana wzrok, poruczniku. – Tournant pokręcił głową. – Nie, nie wierzę, bym zachorował przez tego czarownika. Przeciwnie, mam wrażenie, że powiedział wtedy coś mi przychylnego. Jakby... „Będziesz uwolniony od największego ciężaru”.

– Może to jakieś murzyńskie podziękowanie, przez kalkę przeniesione na francuski?

– Być może. Byłoby to nie od rzeczy, skoro właśnie uratowałem mu życie.

Napiłem się znów. Słodko-ziolowe ciepło wypełniło przełyk. Dla odmiany w palarni zrobiło się jakby chłodniej, być może przez wzmagający się wraz z ciemnieniem nocy pustynny chłód. Gdy wobec przedłużającego się milczenia chciałem już zacząć jakiś luźny temat, kapitan zadał pytanie, którego miałem nadzieję nie usłyszeć.

– A pan, poruczniku? Co pana przywiodło do Afryki?

Westchnąłem ciężko. Z powodu otwartości Tournanta czułem się w pewnym stopniu zobligowany do szczerej odpowiedzi. Moim marzeniem zawsze była służba śledcza. Początkowo odbywałem ją przytomnie daleko od domu. Kiedy jednak zmarł mój ojciec, wróciłem do Kijowa, by zaopiekować się matką. Tymczasem nie ma nic gorszego, niż być żandarmem w swoim powiecie. Zwłaszcza gdy jest to powiat, gdzie Polacy, Żydzi i budzący swoją tożsamość Rusini mieszkają się pod czujnym okiem cara rozciągającej się za rzeką Rosji. Do tego sam pochodzę z rodziny o prawosławnych korzeniach, zaś rozpracowywana przeze mnie siatka moskiewskich szpiegów okazała się jednak grupą ukraińskich nacjonalistów – i to na sekundę przed tym, jak wybuchła bomba w ich zasadzce. Kiedy na wieść o ciężkich ranach, odniesionych przeze mnie w zamachu, moja umęczona matka zmarła ze zgrzyoty, chciałem po prostu wyjechać jak najdalej. Lecz to wszystko z perspektywy paryżanina z pewnością nie było

w pełni zrozumiałe. Odpowiedziałem więc na pytanie Tournanta bardzo zdawkowo i zakończyłem słowami:

– W każdym razie nie wrócę już z Europy na ten kontynent.

– Och, jakże marzyłem, aby nadszedł dzień, kiedy sam będę mógł tak powiedzieć... – W tonie kapitana dostrzegłem, iż dopiero teraz naprawdę się otworzył. – Aby wykrzyknąć to Emmie... Jednakże, cóż, dowództwo zapowiedziało, że owszem, mogę wrócić do Francji, ale z dotychczasowym stopniem i żołdem. Promocję zaproponowano mi pod warunkiem, że zostanę póki co w koloniach. Ministerium Wojny docenia moje poświęcenie, prawil generał Marchand, ale sprawa Ramireza jest zbyt gorąca, bym w metropolii kłuł nieprzychylnie oczy awansem.

Spojrzałem na Tournanta zaskoczony. Układ intryg stojący za jego sytuacją nie był niewyobrażalny, lecz wysłuchawszy opowieści kapitana, czułem się uderzony ponurą ironią położenia, w jakim się znalazł.

– Ja... Nie wiem, co powiedzieć, kapitanie.

Tournant siedział chwilę bez ruchu w wykonanym ze specjalnie wzmocnianej balsy fotelu, zapatrzony w kąt. Po chwili jednak uśmiechnął się gorzko, machnął ręką i wstał.

– Nic to, poruczniku, nie musi pan. – Dopił resztę żubrówki. – To ja muszę się uporać z moimi problemami. Dziękuję za rozmowę, naprawdę. Życzę miłej nocy.

Skinałem głową, nieco zdziwiony nagłym zakończeniem wspólnego wieczoru. Gdy Tournant zmierzał już ku wyjściu, zawałem jeszcze:

– Kapitanie! Jeśli można... Wtedy, na rozstajach – dlaczego zdecydował pan, aby pójść w lewo? Chciał pan znaleźć Ramireza czy też nie?

Kapitan zatrzymał się przy drzwiach z kurtyną powietrzną, spojrzał na mnie i rzekł, jakby to było oczywiste:

– Wcale nie zdecydowałem ani nie myślałem, na co trafię. Po prostu musiałem gdzieś pójść.

Następnie odszedł, a ja posiedziałem jeszcze chwilę w palarni. Idąc później do siebie, minąłem po drodze kabinę państwa Tournant. Choć konstruktorzy zrobili wiele, by wyciszyć kajuty i dać pasażerom jak największą prywatności, usłyszałem kapitana, który w gniewie wyrzucał coś małżonce.

Gdy ułożyłem się na koi, moją głowę wypełniały wciąż niewesołe rozmyślania dotyczące losu mojego oraz Francuza. Sen wsączył się między nie niepostrzeżenie, tak że gdy rano doszedł mnie kobiecy pisk, otworzyłem oczy z myślą, że być może to kapitana poniosło w zasłyszanej przed momentem kłótni i krzyczy jego żona.

Był jednak ranek. Dźwięku nie mogła wydać Emma Tournant, która podówczas spoczywała już martwa w damskiej umywalni.

Gdy po przebudzeniu zoczyłem na zegarku wczesną jeszcze godzinę, poszedłem spać dalej. Z zewnątrz szybko zaczęły jednak dochodzić odgłosy rozgardiaszu. W końcu zaniepokojony ubrałem się pospiesznie i dopinając kurtkę mundurową, wyszedłem z kabiny. Dźwięki poprowadziły mnie w stronę schodni, obok której mieściły się umywalnie. Przy drzwiach damskiej tłoczyła się grupa wstrząśniętych pasażerów.

– Przepraszam, przepraszam panią... – Spróbowałem przecisnąć się do przodu, by dojrzeć, co zaszło.

W drzwiach stał pierwszy oficer, który uspokajał roztrzęsioną niemiecką damę. Za nim dostrzegłem łysą głowę doktora Jensena, korpulentnego lekarza z Danii, oraz czapkę kapitana sterowca. Ten ostatni, dostrzegłszy mnie, gestem kazał pierwszemu oficerowi, by pozwolił mi wejść do środka. Gdy to uczyniłem, zmartwiałem.

– Chryste...

Harmonijkowe drzwi ustępu odsłaniały Emmę Tournant. Przez ciasnotę kabiny pólleżała, oparta między ścianą a muszlą, ubrana w luźną suknię. Jej kończyny oraz dekolt były równie białe, co kafelki dokoła. Na szyi jednakże czerwienił się ślad po zaciśniętych palcach, przerażona twarz zsiniała, a wokół wytrzeszczonych oczu rozsypały się purpurowe wybroczyny.

– Dobrze, że pan jest, poruczniku – oznajmił dowódca sterowca. – Proszę za mną.

– Ale... dlaczego? – Nie rozumiałem nic; dowódca kazał tylko pierwszemu oficerowi pilnować, by nikt nie wchodził do środka, i pociągnął mnie za sobą.

– Rozmówimy się na mostku.

Zeszliśmy na niższy pokład, a następnie przez metalowe drzwi wkroczyliśmy do spowitego półmrokiem korytarza. Na jego końcu,

za kolejną grodzia, czekała wysunięta blisko dziobu gondola. Miała owalny kształt, ściany przeszklone niemal w całości i masę upstrzonych zegarami oraz dzwigniami pulpity, obsługiwanych przez dwóch innych oficerów. Rzucili nam zmartwione spojrzenia.

– Musi pan objąć śledztwo nad sprawą morderstwa pani Tournant – rzekł dowódca poważnie.

– Zaraz, zaraz. – Cofnąłem się, zdumiony. – Dlaczego ja? Nawet gdybym chciał, to nie działa tak prosto. Na sterowcu obowiązuje zapewne jurysdykcja Cesarstwa, a ja jestem polskim żandarmem. Sprawą powinny się zająć władze najbliższego francuskiego miasta.

– Widzi pan pod nami jakiegokolwiek? Jesteśmy na środku Sahary, w połowie drogi między Timbuktu a Algierem. Nie ma sensu zawracać. Zresztą gdzie chce pan zostać zatrzymany na pewnie parę tygodni do wyjaśnienia sprawy? Jeśli już musi to nastąpić, lepiej po tamtej stronie pustyni.

– W takim razie lećmy do Algieru...

– Lecimy. Ale ktoś musi objąć sprawę do czasu, nim tam zamcumujemy. Pan zaś jest jedynym na pokładzie przedstawicielem władz policyjnych, jakie by nie były.

Zakląłem w myślach i podszedłszy do okna, oparłem się o nie. Czerwone słońce wstawało nad pofalowaną piaszczystą połącią, ciągnącą się ze wszystkich stron po horyzont niczym martwa parodia morza. W aerodromie w Timbuktu sterowiec wyglądał na wręcz gargantuiczny, ale teraz, zwłaszcza z perspektywy rozedrganej gondoli, zdawał się przy ogromie pustyni żalostną puszką. Że też akurat w niej ktoś postanowił zamordować Emmę Tournant... Obraz ciała wciąż tkwił mi przed oczyma. Naturalnie czułem niepokój z powodu jej śmierci i zastanawiało mnie, kto stoi za zbrodnią. Bynajmniej jednak nie czułem ochoty, by nagle, po tym wszystkim, co przeszedłem w Afryce, prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Maszyną leci kilku lekarzy, ksiądz, paru arystokratów i treser lwów, ale nie ma ani jednego sędziego śledczego, prokuratora czy policjanta? – spytałem.

– Tylko pan, poruczniku. – Dowódca pokręcił głową. – Musi pan się tym zająć. Choćby po to, by uspokoić pasażerów. Zaczyna ogarniać ich panika, zwłaszcza że kapitan Tournant dostał nawrotu przekłętej gorączki Bandiagara.

– Co? – Wyprostowałem się. – Jak to? Ta choroba nigdy nie miała nawrotów!

– Doktor de Bonneville też mi tak oznajmił. Szczęście, że mamy tu uczonego z Instytutu Pasteura. Jednak, cóż, w świetle tego, co się dzieje, jego zapewnienia, że nie ma możliwości zarażenia, nie są do końca uspokajające.

Przełknąłem ślinę. Poczułem strach przed ponownym zachorowaniem. Z drugiej strony kapitan Tournant specyficznie przechodził gorączkę. Gdy w lazarecie zdawało się już, iż wydobrzał, choroba zaatakowała znowu. Pamiętałem doskonale ów fakt, ponieważ miało to miejsce, akurat gdy przyleciał z Madrytu sędzia śledczy, by przesłuchać kapitana w sprawie Ramireza, i z całości wynikała potem pewna afera.

Być może dowódca sterowca miał rację, iż trzeba było coś uczynić, ażeby zapobiec wybuchowi paniki wśród pasażerów. Jednakże wbrew temu, co można przeczytać w nowelach kryminalnych, śledztwo w sprawie zabójstwa, zwłaszcza na swoim początkowym etapie, to nie zadanie dla genialnej jednostki. Potrzeba mnóstwa ludzi, by zbadać wszystkie istotne wątki, nie mówiąc o odpowiednich sprzętach czy pomieszczeniach. Jak miałem dokonać samemu i bez przygotowania czegoś, do czego przeznaczony jest cały wydział komisariatu?

– Pomożemy panu we wszystkim, co będzie w naszej mocy. – Dowódca sterowca jakby odgadł moje myśli. – Proszę tylko powiedzieć, czego pan potrzebuje. Póki co odnaleźliśmy tych z członków załogi, którzy nad ranem przebywali w pobliżu umywalni. To dwójka stewardów. Kazałem ich ściągnąć pod łazienki. Pewnie chce pan najpierw rzucić na nie okiem?

Skinąłem głową prawie odruchowo, nie mając krzty pojęcia, co w ten sposób na siebie ściągam.

Zacząłem od przesłuchania stewardów, bowiem widok tej dwójki, stojącej przy drzwiach feralnej umywalni pod nadzorem oficerów, zaczął budzić niezdrową podejrzliwość wśród pasażerów. Uczyniłem to w mesie oficerskiej. Nie dowiedziałem się jednak niczego ciekawego. Młodzieńcy zgodnie z rozkładem obowiązków nad ranem sprząkali jadalnię i wracając z niej, siłą

rzeczy mijali damskie łaźnie. Twierdzili jednak, iż nie zauważyli nic podejrzanego. Bez wątpienia bali się, że spotka ich przykrość z powodu znalezienia się w złym miejscu o złym czasie, ale nie wyczułem w ich słowach kłamstwa.

W samej umywalni zastałem znów dowódcę sterowca oraz doktora Jensena. Lekarz, jak się okazało, przebadał wstępnie ciało. To, co usłyszałem od niego oraz co zobaczyłem sam, dało mi parę odpowiedzi na pytanie, jak wyglądały ostatnie chwile życia pani Tournant.

Na pewną – o ile to w ogóle możliwe – wyglądała ta okoliczność, iż Emma Tournant została uduszona od przodu, oburącz. Świadczył o tym ślad zaciśniętych palców na szyi i klasyczne objawy zadławienia. Nadto umywalnia rzeczywiście wyglądała na miejsce zbrodni. Na ścianie kabiny ustępu widoczna była krwawa plama, w zasadzie odcisk z charakterystycznym postrzępionym śladem włosów. Sadząc po wysokości, na jakim się znajdował, został zrobiony ręką, najpewniej przedramieniem. Pani Tournant nie miała otwartych ran na ciele, prawdopodobnie więc krew należała do mordercy, zwłaszcza że pod lewym paznokciem dłoni nieboszczki znaleziono rude ślady. Najprawdopodobniej też zabójcą był mężczyzna, zważywszy na fakt, iż pani Tournant śmiało mogła się z wieloma mierzyć wzrostem, do tego zaś widać po niej było, że przy kolacji nie kłamała na temat zamiłowania do cyklistyki, pływania i tenisa.

Następnie odpowiedzi, zgodnie ze swym paskudnym zwyczajem, zaczęły rodzić mnóstwo kolejnych pytań. Czy Emma Tournant знаła zabójcę, skoro nie krzyczała? A może po prostu nie zdążyła? Lub nikt krzyku akurat nie usłyszał? Gdzie morderca udał się po zbrodni? Oraz przede wszystkim, kim był?

Patrząc na ślad krwi, pomyślałem, iż jeśli nadejdzie kiedyś dzień, w którym dysponując próbką posoki, będzie można zidentyfikować, z czyjej żyły została utoczona, śledczy całego świata ogłoszą ów swoim świętem niepodległości od zawodnych i niewdzięcznych osobowych środków dowodowych. Póki co jednak byłem na nie skazany.

Kazałem więc oficerom, by za trzy kwadranse zebrali wszystkich pasażerów w jadalni. Poleciałem też doktorowi Jensenowi przetransportować ciało do pokładowej chłodni, by tam je

dokładnie zbadał. Zasadniczo powinienem przy tym asystować, lecz czekało mnie sporo innej pracy. Przede wszystkim nadszedł najwyższy czas, aby rozmówić się z człowiekiem, który winien być zatrzymany najwyżej pięć minut po znalezieniu ciała.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć za zabójstwem żony stał mąż. Liczby te brzmiały wyjątkowo złowrogo, jeśli wziąć pod uwagę moją niedawną rozmowę z tymże.

Dwuosobowa, małżeńska kabina Tournantów była większa od mojej właściwie jedynie o dodatkową przestrzeń łóżka po prawej. Zajmował je okryty kocem kapitan. Część twarzy, która wystawała spod zimnego okładu, miał bladą, napiętą, zroszoną potem. Przy ścianie po lewej rozciągały się szafki oraz mały blat. Stojące obok ratanowe krzesło zajmował doktor de Bonneville. Na mój widok wstał, jakby domyślał się, w jakiej roli przychodzę. Poprosiłem go o wyjście.

– Jak pańskie zdrowie, panie kapitanie? – Gdy stuknęły zamknięte drzwi, zająłem miejsce lekarza.

– Ja... Nie wiem, co się dzieje... Ale to nieważne. Panie poruczniku, Emma... Proszę mi powiedzieć, czy to prawda? Widział pan ją?

– Tak. Niestety, to prawda. Bardzo mi przykro.

Tournant uniósł z trudem ramię i zakrył nim oblicze. Trwał tak w bezruchu dłuższą chwilę, aż w końcu zaniepokojony spytałem:

– Kapitanie?

– Tak? – Opuścił ramię; był opanowany, ale w jego oczach szklily się łzy. – Nie potrafię w to uwierzyć. Kto mógł to zrobić mojej żonie?!

– To właśnie mam ustalić. Proszę zatem wybaczyć, ale muszę zadać kilka pytań. O której godzinie wyszła pana małżonka?

– Ja... nie wiem. Nie pamiętam nic z tej nocy... Wiem tylko, że po rozmowie z panem wróciłem, opowiedziałem Emmie o tym, co usłyszałem w sztabie, chyba się pokłóciliśmy... A potem był przy mnie Charles, to jest doktor de Bonneville, podając mi lekarstwo.

Poczułem dreszcz. Mnie samego nie dotknęła związana z atakami amnezja, ale widziałem, jak pewien chorąży rzucił pluton piechoty do walki na bagnety, a po chwili padł na ziemię, nie pamiętając później, że wydał rozkaz. Także afera z Tournantem i sędzią

śledczym związana była z ową tajemniczą dolegliwością towarzyszącą gorączce Bandiagara. Kapitan złożył zeznania, po czym, gdy sędzia miał już opuszczać szpital, zaczął go i poprosił o ich uzupełnienie, przy czym podał zgola inną, znacznie mniej korzystną dla Ramireza wersję zdarzeń. Zirytowany prawnik wrócił rankiem, by wyjaśnić rozbieżności. Zastał wtedy Francuza w łóżku, powalonego kolejnym ostrym atakiem i nie pamiętającego obu przesłuchań.

To jednak, że Tournant akurat w nocy, kiedy zamordowano jego żonę, jako pierwszy znany pacjent dostał ataku wyleczonej gorączki – i to wraz z amnezją – wyglądało naprawdę zastanawiająco.

– Panie kapitanie... Czy mógłbym obejrzeć pana przedramiona? – spytałem, po czym nie czekając na odpowiedź zdziwionego Francuza, sięgnąłem do jego rąk osłoniętych tkaniną koszuli nocnej.

– Auu! – syknął Tournant, gdy go złapałem za prawy nadgarstek, a mnie serce zabiło mocniej. – Piecze... mnie tam skóra. W ogóle potwornie się czuję. Jest jak wtedy, w Timbuktu...

Gdy jednak podwinąłem mankiet, nie zobaczyłem na owłosionej ręce żadnych obrażeń. Podobnie prezentowało się drugie ramię, kiedy i je skontrolowałem. Choć było to nieprofesjonalne, poczułem, iż nie chcę, by mój towarzysz rekonwalescencji okazał się żonobójcą, niezależnie od tego, czy umyślnym, czy kierowanym chorobowym szalem. Odetchnąłem zatem, widząc, że grymas spowodowany był jedynie bólami mięśniowymi, towarzyszącymi zwykle atakom gorączki. Mimo wszystko musiałem jednak wykonać swoje zadanie do końca.

– Naprawdę nic pan nie pamięta? Proszę się skupić. O czym rozmawiał pan nocą z małżonką? Dlaczego się pokłóciliście?

– Ja nie wiem... – Pokręcił po chwili głową. – Powiedziałem jej, że muszę zostać, by dostać awans, a ona była zła... Ale nie mam pojęcia, dlaczego dokładnie.

– Czy wychodziła w nocy? Czy wychodził pan?

– Nie... Nie wiem, nie sądzę. Naprawdę... Chryste, nic nie pamiętam! – Sądząc po minie Tournanta, stopniowo docierała do niego groza sytuacji.

Drzwi uchyliły się, a w szparze pojawiła się zaniepokojona twarz doktora de Bonneville'a. Zamyśliłem się na moment, po czym wstałem.

– Dobrze, panie kapitanie. Zapewne wrócę później z następnymi pytaniami. Do tego czasu proszę spróbować sobie przypomnieć tyle, ile będzie się dało. Poza tym proszę mi powiedzieć, gdzie jest pana broń?

– W szufladzie pod blatem jest rewolwer. Amunicję naturalnie zdeponowałem u kapitana – odrzekł, a gdy zabrałem broń, spojrzął na mnie przerażony: – Dobry Boże! Pan myśli, że to ja Emmę... Ja nie... O matko! To niemożliwe, przysięgam!

– Wcale nie myślę, panie kapitanie. Po prostu muszę coś zrobić.

W zasadzie powiedziałem Tournantowi prawdę. Byłem przekonany, iż to nie on zabił. Nagła amnezja aż prosiła się skrajną podejrzliwość. Jednakże kapitan był bystrym mężczyzną i musiał mieć świadomość, że w dużo korzystniejszym położeniu stawiałoby go kłamstwo o tym, iż z żoną pokłócił się nieznacznie, położyli się spać, a gdy wstał, po prostu jej nie było. „Nie pamiętam” znaczyło w gruncie rzeczy „nie wiem”, a to dość osobliwa odpowiedź na pytanie „Czy zabił pan swoją żonę”. Z kolei przeciwko możliwości morderstwa w chorobowym widzie przemawiał brak obrażeń na rękach.

Prawdą było również, że musiałem coś zrobić, a po opuszczeniu kabiny świeżego wdowca niezbyt wiedziałem co. Przepytałem więc szybko doktora de Bonneville’a, czy nie dostrzegł nic podejrzanego. Otrzymałszy przeczącą odpowiedź, pospieszyłem do jadalni na spotkanie z pasażerami.

Zebrało się tam niemal osiemdziesiąt stłoczonych osób, często na granicy paniki lub reagujących na niepokój rozszewrowaniem się mieszaną z agresją. Czułem się więc zażenowany, uciszając ich, a następnie zapewniając, że wszystko jest pod kontrolą. Następnie zadałem po prostu pytanie, kto był nad ranem w okolicach umywalni i co widział. Oczywiście, *lege artis*, należałoby porozmawiać z każdym z osobna. Samotny nie byłem jednak w stanie sprostać regułom sztuki.

Zgłosiła się para dam i jeden mężczyzna korzystający nocą z ustępu, a także może dziesięcioletni chłopak, który wymknął się nocą, by spróbować podwędzić coś z kuchni. Jak się zarzekał, ostatecznie do niej nie doszedł, bowiem z dolnego pokładu

przepłoszył go jeden z oficerów. To jednak nie uratowało urwisa przed ojcem, surowym holenderskim inżynierem, który sprawił mu solidną burę. Zaprosiłem ochotników po kolei do mesy oficerskiej na indywidualne rozmowy, dopowiadając przy tym, iż jeśli ktoś chce coś jeszcze powiedzieć, ma tam przyjść. Wziąłem ze sobą także kobietę, która znalazła ciało, oraz drugich, prócz de Bonneville'a, sąsiadów Tournantów.

Przesłuchałem wszystkich (chłopca wraz z inżynierem), notując przy tym godziny ich nocnych spacerów i wypytując tak szczegółowo, jak byłem w stanie. Nikt jednak nie widział pani Tournant, człowieka, który mógłby być jej zabójcą, ani niczego podejrzanego. Nie wyczułem w ich opowieściach śladu kłamstwa, ale dla pewności sprawdziłem przedramiona jedynego mężczyzny spośród przesłuchiwanym. W przeciwieństwie jednak do pęcherza dzentelmena jego powłoki skórne miały się doskonale.

Po przesłuchaniach wyglądało na to, iż ustaliłem tylko lukę czasową między wizytami piątki ludzi w okolicy łaźienki, podczas której to przerwy zapewne zginęła pani Tournant. Nie miałem pomysłu, co robić dalej, prócz jednego – sprawdzenia rąk wszystkich mężczyzn na pokładzie. Biorąc wszakże pod uwagę, że miałem do czynienia z samymi wysoko sytuowanymi osobami, z których każda wzięłaby coś podobnego za afront i karygodne, fałszywe oskarżenie, powodzenie przeprowadzenia takiego zabiegu było mocno wątpliwe.

Wtem moja ogłoszona w drzwiach wzmianka przyniosła skutek.

– Przepraszam najmocniej. – W progu stanęła zgarbiona starsza kobieta w binoklach i pistacjowej sukni. – Nie wiedziałam, czy powinnam się tym dzielić, ale...

– A więc... – Dowódca sterowca uniósł brwi. – Owa węgierska dama twierdzi, że rozwiązaniem zagadki jest to, iż panią Tournant zabił jakiś... fantom?

– Na to wygląda. Będąc ścisłym, twierdzi ona, iż otworzyła w nocy drzwi, by wyjść do toalety, a wtedy zobaczyła znikającego za rogiem... No cóż, ducha, na którego w jej rodzinnych stronach mówi się *guta* i który stoi za nagłą śmiercią ludzi. Wystraszona

zatrzasnęła drzwi i postanowiła poczekać z potrzebą do rana. Rzecz w tym, iż podana przez nią godzina pasuje do luki czasowej między zeznaniami pozostałych świadków, kiedy najprawdopodobniej zginęła pani Tournant.

Kapitan zdjął czapkę i pogładziwszy się po włosach, spojrzał na mnie pytająco.

– Sądzi pan, poruczniku, że starowinka rzeczywiście coś widziała?

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Być może. Twierdzi, iż postać ta miała na sobie luźną białą szatę i poruszała się w osobliwy sposób. Niestety na pytanie, jakiej postaci była płci, pani oznajmiła, że *guta* nie ma płci. W każdym razie była dość wysoka. Dama zaprzecza przy tym jednak stanowczo, by fantomem była sama pani Tournant.

– Kto na pokładzie może mieć długą białą szatę?

– To dobre pytanie i pewnie pan kapitan potrafi na nie odpowiedzieć lepiej ode mnie. Osobiście pomyślałem, że zapewne licznie reprezentowani pośród pasażerów medycy zabrali ze sobą białe kitle.

Mysł ta przyszła mi do głowy nieprzypadkowo. Moim wyrzutem sumienia był doktor de Bonneville, którego nadal właściwie nie przesłuchałem, mimo że był blisko ofiary oraz drugiego naturalnego podejrzanego, kapitana Tournanta. Ciągłe jednak najzwyczajniej w świecie nie miałem kiedy do niego dotrzeć.

– To prawda – przytaknął kapitan. – Idąc tym tropem, do tego dochodzą kucharze i kilku stewardów. Ci, którzy są Arabami, chociaż mają zakaz pokazywania się we własnych strojach w części dla pasażerów, poza nią noszą czasami tradycyjne, długie i jasne odzienia.

Wtem drzwi mesy otworzyły się i stanął w nich doktor Jensen. Wyraz twarzy miał ponury, a palce zsiniałe, co świadczyło niezbitcie o tym, iż wracał z chłodni, gdzie badał zwłoki.

– Zdaje się, że porucznik Wolniewicz ustalił coś nowego. – Kapitan wskazał lekarzowi miejsce przy stole, a następnie streścił mu rewelację staruszki.

– *Guta* to, jak rozumiem, węgierski duch? – spytał Duńczyk.
– W takim razie grono spirytualnych pasażerów robi nam się równie wielonarodowe, co tych z krwi i kości. Wyobraźcie sobie,

panowie, iż dama, która usłyszała, że mam iść przebadać ciało pani Tournant, ostrzegła mnie, bym strzegł się murzyńskich demonów, które mogą się w nim kryć. Ręczyła przy tym, iż w Bamako nocą widziała je na własne oczy.

– Matko, to niewiarygodne... – Pokręciłem głową. – Rozumiem, że prości żołnierze powtarzają podobne brednie, ale pasażerowie, bogaci i wykształceni?

– Jest w tym kontynencie coś takiego, co sprawia, że opowieści o magii zdają się brzmieć o wiele mniej jak bujdy – wzruszył ramionami Jensen. – Niestety, to najciekawsze, czym mogę się z podzielić. Na ciele nieboszczki nie znalazłem nic podejrzanego, w tym ani śladu... czynów nierządnych, dobrze pamiętam terminologię z wykładów medycyny sądowej? Brak bodaj zadrapania. Widać, że to nie kobieta z ludu. Żadnych blizn, śladów uszkodzeń, no, wyjąwszy rzecz jasna ślad uduszenia oraz dziurki w uszach.

– Dziurki w uszach, doktorze? – Coś mnie jakby, nomen omen, ukłuło. – Ma pan na myśli otwory na kolczyki?

– Owszem, panie poruczniku. Dlaczego pan pyta?

Wstałem i kierując się do wyjścia, odrzekłem:

– Jeszcze nie wiem. Zaraz to sprawdzę i do panów wrócę. Tymczasem proszę, pomyślcie jeszcze o tym białym odzieniu.

Pokład niższy od pasażerskiego zajmowały kuchnia, palarnia, mesa oficerów oraz ich mieszkania. Wszystko tu nadal było utrzymane w tonie nowoczesnej elegancji, mającej odzwierciedlać pojęcie Europejczyków o egzotyce bliżej niesprecyzowanych kolonii. Jednakże skryta w poszyciu sterowca dalej ku ogonowi, przylegająca do pomieszczeń technicznych oraz ładowni część mieszkalna niższej załogi – stewardów, kucharzy, sprzętaczy – prezentowała zgoła odmienny obraz.

Był to długi korytarz, słabo oświetlony lampami elektrycznymi opatrzonymi w siatki ochronne. Duszny odór mieszał się tu z wonią smarów. Za podłogę służyły metalowe kratownice, pod którymi wiły się przewody przypominając kłęby czarnych węży. Skryte za stalowymi drzwiami kabiny były tylko trochę większe od mojej, jednoosobowej, a mieściły po cztery prycze, przytwierdzone do ścian z obu stron. Owe nędzne warunki stanowiły

wszakże teraz dla nas okoliczność korzystną – mała powierzchnia ułatwiała przeszukiwanie.

– Nic, panie poruczniku! – zameldowała para oficerów, wychodząc z jednej z kabin, do której zaraz weszli stewardzi, by zbierać swoje wyrzucone na ziemię rzeczy.

Skinąłem głową z kajuty naprzeciw, gdzie zaglądałem pod pryczę. Prócz kapitana i wolnych w tym momencie oficerów przybrałem do pomocy także kilku pasażerów-ochotników. Parami przetrząsaliśmy kolejne pomieszczenia w poszukiwaniu rubinowych kolczyków pani Tournant. Dobrze zapamiętałem, że miała je na sobie przy kolacji. Co prawda kapitan nie był mi w stanie powiedzieć w pierwszej chwili, czy brakuje w kabinie ich lub czegokolwiek innego, ale dokładna inspekcja szkatułki z biżuterią oraz innych stosownych miejsc sugerowała, iż nieszczęsna kobieta winna je mieć na sobie, gdy szła nocą do łazienki. Ich brak wskazywał na najprostszy, rabunkowy motyw zbrodni. Oczywiście sprawca mógł ukryć maleńkie precjoza w tysiącu miejsc na sterowcu. Uczepiwszy się jednak – z braku lepszego – tropu, jaki podsunęła nam starsza Węgierka, zaczęliśmy od kucharzy oraz arabskich stewardów.

W końcu po bezowocnym przeszukaniu kolejnej kabiny zorientowałem się, że to już ostatnia, w której mieszkali wytypowani członkowie załogi. Spojrzałem więc na nich, bowiem zebraliśmy całą grupę w korytarzu, aby mieć na nią oko. Na twarzach ubranych w liberie oraz kitle młodych mężczyzn malowały się zmartwienie i przestraszanie, u niektórych mieszające się z niechęcią. Zważyłem nagle w słuszność moich poczynań, co do których nie byłem zresztą od początku wielce przekonany. Cóż było robić dalej? Rewidować kolejne kajuty? Zwrócić śledztwo ku pasażerom?

– Przeszukajmy ich samych – zadysponowałem dla pewności.

Tym razem niechęć zobaczyłem na twarzach części ochotników, którzy pewnie liczyli na romantyczną przygodę, a nie dotykanie mężczyzn z klasy pracującej. W myślach przekląłem znów fakt, iż ktoś postanowił zabić niewinną kobietę w sterowcu na środku Sahary, i to akurat tym, którym leciałem jako jedyny żandarm.

Nagle jednak stało się coś, co oszczędziło mi dalszych przeszukiwań.

– Auu! – zawył jeden z ochotników, pchnięty na ziemię przez stewarda.

Młody arabski chłopak przeskoczył nad upadającym i pognął ku drzwiom prowadzącym do pokładu z mieszkaniami oficerów. W sekundzie jakby piorun przeszedł przez mój umysł – znałem go, to był jeden ze stewardów nocą sprzątających jadalnię.

– Łapać go! – Zerwałem się do biegu.

Usłyszałem, jak moi pomocnicy także ruszyli w pościg, obijając się jeden o drugiego. Tymczasem chłopak pędził jak antylopa i nic nie stało mu na drodze. To, że nie miał dokąd uciec, wcale mnie nie uspokoiło. Desperaci bowiem to najgorszy rodzaj złoczyńców.

– Stój! Stój, pogański wieprzu! – dobiegło mnie z tyłu.

– Prędszej zginę! – Uciekający potwierdził moje obawy, jednocześnie znikając za drzwiami.

W chwili, gdy i ja do nich dopadłem, rozległ się okropny łoskot. Pociągnąłem za klamkę z duszą na ramieniu...

– Szanowni państwo – mówił z uśmiechem stojący obok mnie dowódca sterowca – wszyscyśmy winni gorące podziękowania za tak szybkie ujęcie sprawcy porucznikowi Wolniewiczowi. Zawdzięczamy mu bowiem nasze bezpieczeństwo.

Jadalnię wypełniły brawa, a ja skłoniłem głowę z lekkim zażenowaniem. W myślach dodałem, iż oklaskiwany powinien być też steward, który wyjechał wózkiem pełnym naczyń z kuchni akurat wtedy, gdy do jej drzwi dobiegał uciekinier.

W bucie tegoż znaleźliśmy rubinowe kolczyki. Nie przyznał się jednak do uduszenia Emmy Tournant. Przysięgał na Allaha, iż zakończywszy sprzątanie, poszedł do męskiego ustępu dla pasażerów (do czego zresztą nie miał prawa), a wychodząc, zobaczył martwe już ciało przez uchylone drzwi damskiej umywalni. O znalezisku nie zawiadomił nikogo rzekomo z powodu strachu przed niesłusznym ogłoszeniem go mordercą. Oczywiście ów lęk nijak nie korespondował z tym, że steward wszedł do środka i okradł zwłoki, ale młody Arab uparcie twierdził, iż jedno wynika z drugiego. Rozumował ponoć, iż skoro i tak będzie mógł zostać połączony ze zbrodnią, woli coś z tego mieć. Utrzymywał również, iż sam zrobił sobie krwawe zadrapania na lewym przedramieniu, bowiem przed wylotem ukąsił go moskit, a ranę potem

ustawicznie drażniły stosowane przy sprzątanii środki myjące. Sytuacji chłopaka nie polepszał również fakt, iż u jednego z jego towarzyszy znaleziono notatki zapisane dziwnym, przypominającym piktogramy pismem. Po ich odcyfrowaniu przez profesora afrykanistyki, który szczęśliwie leciał sterowcem razem ze swą niedawną studentką, a obecną żoną, okazały się raportem z działań dywersyjnych, przesyłanym przez sudańskich Berberów ziomkom z Algierii.

Koniec końców obaj podejrzani młodzieńcy – jeden o zabójstwo, drugi o działalność antypaństwową – skrupowani wylądowali pod kluczem w luku z ładunkiem bawełny. Atmosfera wśród pasażerów wyraźnie się rozluźniła. Osobiście przekazałem najświeższe wiadomości Tournantowi. Ten co prawda szybko odzy-skiwał siły, ale dowódca sterowca w trosce o komfort bojących się zarazy pasażerów przekonał lekarzy, by póki co zabronili kapitanowi opuszczać kajutę. Francuz, choć nadal otumaniony tragedią, jaka na niego spadła, również chyba nieco odetchnął.

Po obiedzie, podczas którego wzniesiono za mnie kilka toastów, udałem się do kabiny, by spisać raport z moich działań. Często zwykłem odkładać wypełnianie podobnych obowiązków jak najdalej w przyszłość. Jednakże tryb, w jakim spadło na mnie podniebne śledztwo, był tak niezwykle, iż zdecydowałem jak najrychlej przystąpić do rzeczy, aby złożyć gotowe papiery, kiedy tylko policja w Algierze ich zażąda. Tego, iż to uczyni, byłem bowiem pewny.

Nie potrafiłem zacząć – przy okazji sprawdziłem, iż hasło reklamowe linii sterowcowej nie kłamało i faktycznie postawiony na blacie ołówek nie przewracał się w trakcie lotu – ale gdy nakreśliłem kilka pierwszych zdań, myśli moje zaczęły gładko spływać na papier. Wersję do przepisania na czysto, pokreśloną tylko nieznacznie, dokończyłem w niecałe dwie godziny. Odłożywszy ją, przeszedłem się po pokładzie spacerowym, a następnie wziąłem udział w kolacji i posiedziałem chwilę w palarni, gdzie nagle wszyscy dżentelmeni zaczęli wyrażać zainteresowanie moją osobą.

Dopiero po powrocie, gdy nieco rozleniwiony zacząłem czytać moje dzieło, dopadły mnie wątpliwości.

Doktora Jensena odnalazłem w świetlicy, gdzie wypełniał swym okazałym ciałem szeroki fotel. Z daleka lekarz zdawał się całkiem pochłonięty rozmową z jeszcze grubszym neapolitańskim kupcem. Kiedy jednak tylko mnie ujrzał, dziwny cień przeszedł przez jego opaloną twarz, a kontrastujące z nią jasne oczy rozszerzyły się.

– W czym mogę pomóc? – spytał, gdy na mą prośbę odeszliśmy pod okno.

– W sumie to nic takiego – uspokoiłem, obserwując wszakże jego reakcje. – Napisał pan w notatce z oględzin zwłok oraz podejrzanego, o którą prosiłem, że Arab miał zadrapanie po zewnętrznej stronie lewego przedramienia. Czy nie miał innych skaleczeń?

– Tylko to. Sam pan je zresztą widział, choć, jak sądzę, krócej ode mnie. Czy coś nie tak?

Zamyśliłem się. Takie umiejscowienie zadrapania niczemu stanowczo nie przeczyło. Co prawda krwawy ślad na ścianie znajdował się z prawej strony miejsca, w którym stać musiał morderca, ale ten mógł przecież zamachnąć się zranioną lewą ręką bądź pani Tournant mogła pchnąć ją w szamotaninie. Prawdopodobieństwo takiego scenariusza zdawało się mniejsze, gdyż rana znajdowała się na zewnętrznej części przedramienia, ale niewątpliwie nad dużo poważniejszymi wątpliwościami sędziowie przechodzili do porządku dziennego. Nie przekonałbym też czymś podobnym żadnego przełożonego do zmiany przyjętej linii.

– Nie, raczej szukam dziury w całym – odrzekłem więc.

– W każdej chwili służę pomocą. Czy to wszystko, czego pan ode mnie potrzebował?

– Tak – odpowiedziałem, a gdy lekarz zaczął się odwracać, dodałem: – A co chciał pan doktor rzec mnie?

– Słucham?

– Pana też najwidoczniej coś trapi. Proszę mi o tym powiedzieć. Przypominam – dojrzałem wahanie na jego twarzy – że śledztwo nie zostało jeszcze formalnie zamknięte. Jest pan więc jak najbardziej obowiązany do wyjawiania wszystkiego, co jest panu wiadome.

Duńczyk spuścił wzrok i westchnął. Po chwili dalszych rozważań poprosił mnie, abymy zeszli na spokojniejszy, niższy pokład. Tam niespodziewanie, zupełnie jak dziecko powierzające największą tajemnicę, nachylił się nad moim uchem i zadał popieszczone pytanie.

– Co chciałby pan zrobić? – odparłem z niedowierzaniem.

Gdy wyszliśmy z chłodni, w której trzymano ciało pani Tournant, poczułem się zawstydzony tym, co w pierwszym odruchu pomyślałem, gdy lekarz oświadczył, że chce zrobić denatce *palpatio per vaginam*. Przede wszystkim jednak obaj byliśmy zdruzgotani wynikiem badania.

Jensen zarzekął się, że nie ma mowy o pomyłce. Emma Tournant była przy nadziei.

Nie potrafił wprawdzie dokładnie określić, w którym miesiącu – mówił, że może to być drugi, trzeci albo i czwarty – ale fakt ów nie miał znaczenia. Kapitan Tournant bowiem przebywał w Afryce nieprzerwanie od blisko roku. To zaś skierowało mnie wprost do drugiego słabego punktu śledztwa: osoby, której z braku czasu właściwie nie przesłuchałem, mojego wyrzutu sumienia o przystojnej twarzy i jasnych bakenbardach.

– Doktorze de Bonneville? – Zapukałem do drzwi kabiny.

– O, pan porucznik. – Otworzył drzwi, rzekomy przyjaciel Tournanta uśmiechnął się blado. – Jeszcze raz gratuluję. W czym mogę pomóc?

Zamiast odpowiedzi pchnąłem go do środka, zrobiłem sam krok w przód i zamknąłem za sobą drzwi.

– Proszę pokazać przedramiona.

– Słucham? Co to ma być? Śledztwo chyba zakończone, prawda?

– Nie. Pokazuj pan łapy.

De Bonneville prychnął z mieszaniną niedowierzania oraz irytacji, ale po chwili zdjął marynarkę, odpiął spinki i podwinąwszy mankiety koszuli, wystawił przede mnie ręce.

– Proszę bardzo.

Obejrzałem je ze wszystkich stron. Nie było na nich śladu żadnego skaleczenia.

– Czy ma pan na pokładzie fartuch lekarski? Proszę pokazać gdzie.

– Boże Świąty! Potrzebuje go pan do nowej roli pokładowego higienisty? – sarknął lekarz, ale schylił się pod koję i wydobył stamtąd okutą walizkę.

Była to jedna z dwóch jego toreb podróżnych, mniejsza, w której najwidoczniej trzymał sprzęty medyczne. Grzebał w niej chwilę, po czym z samego dna wydobył fartuch, starannie złożony w kostkę, wykrochmalony i bez żadnych zagnieceń. Wyglądało na to, że nie de Bonneville zostawił ślady w łazience i nie jego widziała staruszka, o ile w ogóle coś widziała. Sama ta okoliczność jednak nie stawiała go poza kręgiem podejrzeń ani nie zmieniała mojego doń nastawienia.

– Proszę powiedzieć, co robił pan w nocy. Czy gdy kapitan Tournant był ze mną, Emma towarzyszyła panu?

– Przez pewien czas, jak mniemam.

– O czym rozmawialiście?

– O najzwyklejszych sprawach. O podróży, wspomnieniach z Paryża...

– Gdzie państwo byli, gdy kapitan Tournant wrócił do kabiny?

– przerwałem mu, bowiem byłem już pewien, że lekarz kłamie.

– Rozstaliśmy się wcześniej, położyłem się...

– Czy słyszał pan nocą jakieś rozmowy państwa Tournant?

– Nie. Spałem, a oni musieliby krzyczeć, bym ze swojej kabiny usłyszał...

– Czy zna pan powód kłótni państwa Tournant?

– Jakiej kłótni?

– Czy mógł być nim fakt, iż pani Tournant zaszła z panem w ciążę?

– Co?!

Ostatnie pytanie zmyło pełną chłodnej irytacji minę z twarzy de Bonneville'a. Lekarz aż usiadł na łóżku, zbladł i zapytał pustym głosem:

– Emma była ciężarna?

– Tak – odrzekłem, uświadamiając sobie, że jego zdumienie jest autentyczne. – Od dwóch, trzech miesięcy.

– Dobry Boże... To stąd ten pomysł, że z nami koniec... O Jezu...

– Słucham?

De Bonneville spojrział na mnie i zmartwił. Musiał pojąć właśnie, iż w rozpaczę powiedział zbyt dużo.

– No dalejże, człowieku! – Spojrzałem mu w oczy. – Kochałeś ją, prawda? To mi pomóż, do diabła, znaleźć mordercę!

– Ja... To prawda, nawiązaliśmy romans po tym, jak Aristide wyjechał do Sudanu. Ale jakieś dwa miesiące temu Emma przyszła do mnie i oświadczyła, że nie możemy już się więcej widywać. Że musi być wierna mężowi. Próbowałem się z nią kontaktować, ale unikała mnie skutecznie. Aż do chwili, kiedy z Afryki przysłała wieść o tym, że Aristide zachorował, a ja mógłbym mu pomóc.

– To znaczy, że kapitan nie wiedział o cudzołóstwie żony? Ani o ciąży?

– Nie, nie mogłem..

– Proszę więc jeszcze raz opowiedzieć mi wszystko o wieczorze, nocy i poranku. Zgodnie z prawdą i z każdym detalem.

Teraz lekarz utkwiał wzrok w wypastowanych noskach swoich półbutów. Nieomal czułem natłok przewalających się przez jego głowę myśli, dlatego nie poganiałem go. W końcu zdecydował się podnieść wzrok i mówić.

– Panie poruczniku – oświadczył – wszystko już panu powiedziałem. Nie mam nic więcej do dodania. Może to pan wciągnąć do wszelkich dokumentów.

Oczywiście naciskałem jeszcze na lekarza różnymi sposobami. Ten jednak zaparł się i powtarzał najwyżej to, co już wiedziałem.

Wróciwszy do swej kabiny i spojrzawszy na raport, uśmiechnąłem się krzywo. Następnie skoczyłem na koję, gdzie zakląłem siarczyście po polsku oraz rusku. Ujmując rzecz urzędowym żargonem: ujawnione w toku śledztwa motywy zbrodni zdawały się nie przystawać do obiektywnego materiału dowodowego, zaś środki osobowe były niewystarczające dla usunięcia rozbieżności.

Teraz już prawie w ogóle nie byłem przekonany do winy stewarda. To był jego któryś z rzędu lot sterowcem. Chłopak nigdy nie zrobił nic podejrzanego. Czemu miałby dokonywać zabójstwa na tle rabunkowym akurat teraz, na ciasnym pokładzie maszyny, gdzie łatwo o ujęcie, a w dodatku ledwie dla dwóch kolczyków?

Rozsądniej było już poczekać, by dać komuś po łbie w Algierze lub zwyczajnie okraść jedną z kajut.

Co innego Tournant i de Bonneville. Pierwszy, zgodnie z tym, co między wierszami mi zapowiedział, po powrocie do kabiny najpewniej oświadczył żonie, iż by otrzymać awans, musi zostać w Afryce. Kobieta prawdopodobnie sprzeciwiła się temu, zważywszy na swe nowe położenie. Kapitan byłby rozgoryczony już samym tym sprzeciwem – w końcu to żona wypchnęła go do kolonii, gdzie brał udział w tragicznych wydarzeniach i omal nie umarł na gorączkę Bandiagara. Jeśli dodatkowo wyszła przy tym sprawa ciąży, powodów do uduszenia w afekcie zgromadziło się aż nadto. Również de Bonneville miał prosty i silny motyw, a to gniew odrzuconego mężczyzny. Z pewnością lekarz mógł liczyć, że Emma zostawi dla niego walczącego w odległej Afryce męża. Paryż co rusz widywał gorsze skandale. Kiedy nagle oświadczyła, że jednak zostanie przy małżonku...

Rzecz w tym, że skoro obaj milczeli, nie byłem w stanie wykazać, który z nich zabił. Być może gdybym przebywał na lądzie, miał do dyspozycji ludzi i środki, po kolejnej godzinie przesłuchania udałoby się złamać któregoś z mężczyzn. Ja jednak nie miałem takich możliwości, zwłaszcza iż ująłem już sprawcę.

Co, prócz kompromitacji, przyniosłoby mi ogłoszenie, że to nie chłopak zabił Emmę Tournant? Ostateczna decyzja zresztą nie należała przecież do mnie. Za nieco ponad dobę miałem przekazać raport, stewarda i całą sprawę policji w Algierze. Jakie dowody musiałbym zdobyć, by ta roztrząsała winę dwóch paryskich dżentelmenów zamiast powiesić młodego Araba, który i tak przynajmniej ograbił zwłoki?

Nawet przyznanie się któregoś z Francuzów mogłoby nie starczyć, jak wskazywała praktyka. Ta nauczyła mnie również, iż para starych zasad prowadzenia śledztwa jest aktualna zawsze i wszędzie – po pierwsze, wykrycie sprawcy jest celem postępowania więcej niżli wykrycie faktycznego sprawcy, po drugie zaś, im mniej się ustali, tym krócej się raportuje.

Nagle ogromnie pożałowałem wypicia zubrówki. Dzisiejszy wieczór zdecydowanie bardziej nadawał się do tego, by złamać pierwotne co do niej postanowienie. Ruszyłem więc do baru, skąd zabrałem szklanekę do wody sodowej oraz butelkę armagnacu. Po

wszystkim, co zaszło dzisiejszego dnia, steward nie rzekł ani słowa, choć za butelkę winieniem zapłacić dwadzieścia franków.

Pierwszą szklanę opróżniłem niemal od razu. Napelniwszy drugą, wyciągnąłem cyryliczny modlitewnik wydrukowany jeszcze przed powrotem Kijowa do Rzeczypospolitej po wojnie tysiąc osiemset dwunastego roku. Odmówiłem w intencji arabskiego chłopaka modlitwę za zmarłych, tak jak miałem to w zwyczaju zawsze, gdy pod sąd miała iść niewinna w istocie osoba.

Gdy rzekłem „amen”, nalałem szklanę trzecią i poczułem silnie jak nigdy dotychczas, że nie chcę tej modlitwy zmawiać już ani razu. Siadłem do blatu, sięgnąłem po papier oraz kałamarz i zacząłem pisać list do siostry. Przyszedł najwyższy czas, żeby uczynić to, z zamiarem czego nosiłem się od dawna – sprzedać odziedziczone piętro w kamienicy przy Chreszczatyku, odejść z żandarmerii i osiąść gdzieś w Wielkopolsce lub na Pomorzu, gdzie ruch ukraiński oraz Moskale to jedynie czarny druk w gazetach. Jeśli starczy pieniędzy, pójść na studia prawnicze, jak chciałem po maturze, i zostać urzędnikiem w jakimś starostwie, w którym by o mnie powiadali: o, to ów pan Ignacy z kresowym akcentem, co to niegdyś służył w koloniach.

Postawiwszy ostatnią kropkę, list od razu włożyłem do koperty i zaadresowałem, ażeby jeszcze z Algieru nadać go przy pierwszej sposobności.

Trunki inne niż fabrykowane ze zboża nigdy mi nie służyły. Kiedy więc z ciężką głową zwlokłem się w końcu z koi i dotarłem do jadalni, było dawno po śniadaniu. Poprosiłem stewarda o coś na ząb oraz, przede wszystkim, do picia.

– Panie poruczniku! – Ledwie siadłem, usłyszałem głos kapitana sterowca. – Proszę pozwolić na moment ze mną.

Wywróciłem oczami z niechęcią, ale wstałem i ruszyłem za mężczyzną do mesy oficerskiej. Tam dowódca położył na stole biały damski szlafrok, obecnie przykurzony oraz pobrudzony gdzieniegdzie smarem. Początkowo spojrzałem na odzienie nierozumiejącym wzrokiem. Dopiero po chwili skojarzyłem fakty i zerwałem się z krzesła.

Zajrzałem do prawego rękawa szlafroka. Na wewnętrznej stronie widniała brązowa plama krwi.

– Czy to płaszcz kąpielowy pani Tournant? – spytał dowódca.

– Możliwe. Wygląda... Wygląda na to, że sprawca miał go na sobie w trakcie lub po zabójstwie. Skąd się tu wziął?

– Mechanik znalazł to dzisiaj schowane pod podłogą pomostu centralnego.

– Pomost centralny?

– To kładka we wnętrzu czaszy sterowca, ciągnie się wzdłuż jego osi, przechodząc przez komórki z gazem nośnym. Ale... dlaczego morderca miałby wkładać damski szlafrok? Sam jest kobietą? I skąd płaszcz mógł wziąć się tam, gdzie został znaleziony?

Siadłem, samemu pragnąc poznać rozwiązanie tych kwestii, szczególnie ostatniej. Nagle zakląłem po polsku. Dowódca uniósł brwi, nie wiedząc, co rzekłem.

– Czy z pokładu pasażerskiego jest przejście do wnętrza czaszy? – odpowiedziałem pytaniem.

– Tak, drzwiami przy końcu korytarza z wejściami do kajut. Służy...

– Czy wie pan – przerwałem dowódcy – gdzie jest kapitan Tournant?

– Nie widziałem go dzisiaj. Zapewne nadal w swojej kajucie.

Skinąłem głową i wyszedłem bez słowa, by ruszyć ku schodni. Z każdym stopniem przypominałem sobie, jak zachwycony Tournant opowiadał mi o swojej wizycie we wnętrzu maszyny.

Gdy dotarłem na górę, z łazienki wyszedł akurat doktor Jensen. Jego okrągła twarz rozpromieniła się.

– Dzień dobry, poruczniku! Jak minęła noc?

– Kapitan Tournant! Wie pan, gdzie on jest?

– Usłyszałem właśnie, iż ponoć dostał kolejnego ataku gorączki. Zapewne jest więc w swojej kajucie z doktorem de Bonneville'em, biedak... A jeszcze rano miał się dobrze, gdym poszedł mu powiedzieć o naszym odkryciu co do stanu nieboszczki małżonki.

– Co?! – Stałem jak wryty. – Powiedział pan kapitanowi, że jego żona była w ciąży?

– Owszem. W końcu skoro śledztwo zamknięto, i to nawet wcześniej, nim się dowiedzieliśmy, sprawca zaś jest ujęty...

– A kapitan Torunant rzekomo dostał ataku i chciał się widzieć z de Bonneville'em?

– Tak, podobno...

– Ty kretynie! – Skoczyłem w lewy wylot uformowanego w kształt litery „U” korytarza, po bokach którego rozmieszczono wejścia do kajut.

Wpadłem za róg. Mój wzrok machinalnie powędrował w lewo ku drzwiom odróżniającym się od innych – metalowym, opatrzonym napisem „Tylko dla załogi”. Po drodze do nich mieściła się najpierw kabina de Bonneville’a, a następnie Tournantów. Nacisnąłem klamkę pierwszej z nich. Była pusta. Wpadłem więc do kolejnej.

– Niech to szlag...

Tu również nie zastałem nikogo, a przy tym krzesło leżało przewrócone, pościel zmierzwiona, a z blatu zrzucano wszystko na podłogę – całkiem jakby ktoś bił się wewnątrz.

– Hej! – Wtargnąłem do kolejnej kajuty. – Alarmujcie wszystkich, niech szukają kapitana Tournanta! Natychmiast!

Nim młody Włoch zszedł ze swojej małżonki, dopadłem już drzwi prowadzących do wnętrza sterowca. Gdy ich dzwinkoszczelne skrzydło zamknęło się za mną, poczułem nagle klaustrofobiczny lęk. Stałem na małej platformie, otoczonej ażurowymi duralowymi elementami szkieletu sterowca niczym dziwaczną, skostniałą pajęczyną. Wszędzie wiły się zwoje przewodów, a do ściany naprzeciw przytwierdzono drabinkę prowadzącą dobre kilkanaście metrów w górę – zapewne do tego, co dowódca nazwał pomostem centralnym.

Raptem usłyszałem stamtąd zduszony jęk. W pierwszym odruchu chciałem krzyknąć, że już idę, ale potem zorientowałem się, iż jeśli na górze faktycznie są Tournant i de Bonneville, kapitan musiał mieć jakąś broń, którą sterroryzował lekarza. Palna raczej nie wchodziła w grę, skoro zabrałem jego rewolwer, a amunicję i tak deponowano na czas lotu. Stanowiło to pocieszenie, jeśli wziąć pod uwagę, między jakie ilości skrajnie łatwopalnego wodoru właśnie wchodziłem. Wiedziałem jednakże, że w bezpośrednim starciu od pistoletu nawet bardziej groźny jest nóż, a to zapewne nim posłużył się oficer. Zawahałem się. Iść po posiłki?

Wtem doszedł do mnie kolejny jęk, głośniejszy. Zakląłem pod nosem, zerwałem z torsu kurtkę mundurową i owinałem nią lewe przedramię, po czym zacząłem wspinać się po drabinie.

Zatrzymałem się przy końcu, nasłuchując. Jak na złość teraz nie rozległ się żaden dźwięk wydany przez człowieka. Nie wiedziałem więc, w którą stronę pomostu spojrzeć ani jak daleko może być Tournant. Po chwili oczekiwania wychyliłem się i spojrzałem w lewo, ku ogonowi maszyny.

Pomost centralny był wąskim przejściem, przy którym schodziły się ukośne perforowane belki. Wyzierały spomiędzy nich jedwabno-kauczukowe komory z wodorem. Co paręnaście kroków do pomostu przylegała mała platforma z jakąś maszyną, zdaje się do spuszczenia gazu przy lądowaniu. Potężne rozmiary sterowca sprawiały, iż do tylnego krańca pomostu musiało być z siedemdziesiąt metrów. W związku z tym w rozproszonym świetle okratowanych lamp ledwie dojrzałem tam ludzką sylwetkę. Musiał to być Tournant. Zdaje się, że klęczał nad de Bonneville'em. Szczęśliwie ustawiony był do mnie plecami.

Poczułem, jak serce zaczyna mi bić tak, iż zaraz zawtórowało mu huczenie w skroniach. Wszedłem na pomost i ruszyłem po cichu przed siebie. Po chwili trafiłem na wylot przejścia z dołu, analogicznego do tego, przez jakie wszedłem. Musiało prowadzić do pomieszczeń technicznych za częścią mieszkalną dla załogi. Niestety, nie zobaczyłem w dole nikogo, kto mógłby mi pomóc.

– No, mówże, ty zdradziecki skurwysynu! – Następne kilkanaście kroków dalej zacząłem wylapywać charczenie kapitana. – Chcesz stracić kolejny palec?

Na dźwięk tych słów przebiegł mnie zimny dreszcz. Zauważyłem też, że Tournant był... goły. Po kolejnych paru metrach widziałem już zupełnie wyraźnie mięśnie na jego szerokich plecach oraz blade pośladki. De Bonneville tymczasem mówił coś cicho, aż nagle kapitan gwałtownie się poruszył i lekarz zawył zwierzęco.

Podniósł się też przy tym, cały zlany krwią, i zobaczył mnie ponad ramieniem swego oprawcy. Rozwarłszy szeroko oczy, uniósł dłoń w moją stronę. Tournant odwrócił się za tym gestem.

– Kurwa! – syknąłem, patrząc, jak nagi Tournant staje do mnie przodem, a w jego rękę lśni myśliwski nóż. – Niech pan rzuci broń, kapitanie! Wiecie, iż jeśli kogoś zabijecie, nie macie szans wyjść stąd żywi! Lada chwila przybiegną tu inni ze wsparciem!

Tournant nie zareagował. Było w nim coś dziwnego, jakby był odurzony jakimś narkotykiem. Oczy miał szeroko otwarte, spojrzenie tępe, twarz stężała, a gdy ruszył w moją stronę, kroczył sztywno.

– Stój! – Wystawiłem przed siebie lewą rękę owiniętą kurtką, a prawą, zaciśniętą w pięść, uniosłem do podbródka w bokserkiej pozie. – Stój i rzuć broń, mówię!

Tournant szedł dalej. Gdy zaś zrobiłem krok w tył, skoczył na mnie jak dzikie zwierzę, które poczuło strach ofiary.

– Bonneville, zrób coś! – zdążyłem jeszcze krzyknąć, a potem w powietrzu świsnęło ostrze noża.

Uchyliłem się przed szerokim cięciem. Skoczyłem do tyłu i kopnąłem Francuza pod kolano. To pokrzyżowało jego kolejny atak. Owiniętym przedramieniem odbiłem nóż, po czym prawym kulemkiem zdzieliłem przeciwnika w twarz. Krzyknął i cofnął się, przez co nie zdążyłem złapać jego uzbrojonego ramienia. Ratując się przed ukłuciem, straciłem równowagę. Kapitan popchnął mnie.

– Auu! – Plecami runąłem na ziemię, Tournant padł zaś na mnie.

Spletliśmy się w zapaśniczym uścisku. Kurtka odwinęła się i odpadła z lewej ręki, którą próbowałem utrzymać ostrze jak najdalej siebie. Francuz był jednak ode mnie potężniej zbudowany oraz silniejszy. Nóż zaczął zbliżać się powoli wraz z tym, jak opadałem z sił.

– Przeklęty... żonobójco!

Targnąłem się rozpaczliwie, wyswobadzając przy tym prawe ramię z klinczu. Uderzyłem Tournanta łokciem, odepchnąłem go, uniosłem kolana...

Tym razem to on wrzasnął, gdy pchnąłem go nogami w bok. Obróciłem się – w samą porę, bo kapitan nie trudził się, by wstać, tylko skoczył w moją stronę szczupakiem. Kopnięciem wytrąciłem mu z dłoni nóż, który poleciał daleko. To jednak nie powstrzymało napastnika. Runął znów na mnie, rąbnął kolanem w przeponeę, aż brakło mi tchu. Wyśliznął się przy tym mojemu uściskowi i uderzył czołem w nasadę nosa. Pociemniało mi w oczach, a gdy otrząsnąłem się nieco z zamroczenia, poczułem chwyt na krtani.

Złapałem duszące mnie dłonie, ale nie byłem w stanie ich odsunąć. Poczułem panikę, palącą coraz bardziej wraz z tym, jak brakowało mi powietrza. Rąbnąłem kapitana w brzuch bez

widocznego efektu. Spróbowałem sięgnąć jego twarzy. Nie potrafiłem. Przed oczami zaczęły wirować mi kolorowe owale. Zrozumiałem, że zaraz stracę przytomność i to pewnie ostatnia trzeźwa myśl mego życia.

Wtem uścisk zelżał, a na twarz skapanęło mi coś ciepłego.

Zakrztusiłem się i nabrawszy wielki haust powietrza, zogniskowałem na kapitanie wzrok. Z jego otwartych w przerażeniu ust kapala krew, a z piersi wystawała długa, wąska klinga. Zepchnąłem go na bok, po czym wrzasnąłem.

Na pomoc nie przyszedł mi de Bonneville, dowódca sterowca ani Jensen.

Z oficerską szpadą w dłoni stał nade mną... odziany w koszulę Aristide Tournant.

Wznoszące się jeden przy drugim okazałe grobowce oraz starannie utrzymana zieleń paryskiego cmentarza Père-Lachaise skąpane były w szarości i wilgoci jesiennej aury. Krajobraz ten tak różnił się od bezbrzeżnych, spalonych słońcem przestrzeni Afryki, iż można było odnieść wrażenie, że ów kontynent nie istnieje wcale, a wszystko, co na nim zaszło, to najwyżej sen.

Jednakże zdarzenia rozgrywające się na wąskim podeście między setkami tysięcy kubików wodoru zapisały się w mojej pamięci niby na perforowanej taśmie maszyny liczącej. Wciąż mogłem odtworzyć wszystko idealnie w tym samym porządku. Kontury i kolory przebitego ostrzem kapitana jęły się rozmywać, po czym popłynęły ku zeszywniałemu drugiemu kapitanowi, jakby ten wciągał je niczym dym. Gdy upiorny proces zakończył się, po nagim Tournancie została tylko plama krwi, w którą za sekundę runął Tournant odziany. Trzymał się za pierś w miejscu, gdzie przed chwilą z torsu jego sobowtóra wychynął sztych. Nie było tam widać żadnej rany, a mimo to nie miałem wątpliwości, że kapitan umiera. Czuję też, że de Bonneville, który niepomny uciętego palca próbował ratować przyjaciela, nie ma na to szans.

Ale oficerowie Deuxième Bureau, cesarskiego wywiadu, którzy niezwłocznie objęli śledztwo i zabrali mnie, de Bonneville'a oraz ciało Tournanta do Paryża, o dziwo dużo bardziej zainteresowani byli tym, co wcześniej zaobserwowałem podczas styczności

z kapitanem. Domyśliłem się rychło, dlaczego. Szczegóły ostatnich chwil życia oficera znali z pierwszej ręki od jednego ze swych ludzi. Kiedy więc po półtora tygodnia pobytu nad Sekwaną – który spędziłem *de facto* w areszcie domowym, niemal codziennie wzywany na przesłuchania – otrzymałem od doktora wiadomość, iż mamy się spotkać na cmentarzu, miałem do niego sporo pytań.

– Proszę nawet nie próbować mnie traktować jak pasażerów – zapowiedziałem zaraz po tym, gdy skłonił się na przywitanie; nie podał mi obandażowanej nadal dłoni. – Wie pan, że nawet gdybym chciał, nie uwierzę w zapewnienia, iż Emmę Tournant zabił steward, kapitan chciał się zemścić za romans, a to, że był w dwóch miejscach naraz, jest przywidzeniem wywołanym szokiem.

Lekarz spuścił wzrok i pokiwał głową. Wskazał, byśmy zeszli z placyku przy bramie w jedną z bocznych alejek, a gdy to czyniliśmy, rzekł:

– Ma pan rację. Proszę jednak przysiąc, że nikomu pan tego dalej nie przekaże. Mimo iż jestem panu winien wyjaśnienia, obowiązuje mnie tajemnica...

– Przysięgam. I tak nikt by mi nie uwierzył. A więc jest pan agentem wywiadu, tak?

– Nie, jestem lekarzem. Prawdą jest wszakże, iż wywiad nawiązał współpracę z Instytutem Pasteura i że polecałem do Sudanu także po to, by zebrać raporty na temat gorączki Bandiagara oraz próbki do badań. Musi pan wiedzieć, że zaiste wygląda na to, iż epidemia jest dziełem dogońskich czarowników.

Przeszedł mnie dreszcz. Mimo wszystko, miałem cień nadziei, że oszalałem bądź padłem ofiarą złudzenia.

– A więc jednak to czary stoją za tym wszystkim...

– Czary? Nie sądzę. To chyba kwestia perspektywy. Dla starożytnych magią było przecież obliczone przez kapłanów zaćmienie słońca. Właśnie, słyszał pan o Dogonach i Syriuszu? To gwiazda, którą czczą. Mają o niej od wieków informacje, które biali posiadli dopiero w ostatnim czasie za sprawą najnowszych teleskopów. Mimo całego prymitywizmu życia owego ludu zdaje się, że nie tylko w dziedzinie astronomii ich umiejętności daleko przewyższają nasze. Czym by nie była, gorączkę wywołują mikroby, choć bardzo osobliwe.

– Dobrze – zgodziłem się po chwili. – Jestem w stanie pojąć, iż można wyhodować chorobę tak, by służyła jako broń. Ale to, co działo się z kapitanem... Doktorze, na Boga, jak?!

– Nie wiem. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Oczywiście sądzę, że kluczem jest to, co do Aristide'a rzekł czarownik. Ale cóż się dokładnie stało... Wie pan, poruczniku, bywa, iż zarazki krzyżują się ze sobą i mutują. Gdy jedna choroba współwystępuje z inną, której objawem są, powiedzmy, wybroczyny, po pewnym czasie chorzy zapadający na tę pierwszą dostają także wybroczyn, w dodatku często sporo paskudniejszych. Osobiście przypuszczam, że w jakiś nieznanym nam sposób to, jak na kapitana wpłynął szaman, połączyło się z gorączką w przerażającą hybrydę. Gdy Aristide musiał dokonać ważnego wyboru, dostawał ataku, a przy tym... Cóż, byliśmy tego świadkami.

– To znaczy, że szaman chciał zaszkodzić Tournantowi? Mimo wszystkiego, co rzekł? Mimo że tamten uratował mu życie?

– Możliwe. Być może wykazał się przewrotnością, chcąc sprowadzić nieszczęście na, bądź co bądź, najeźdźcę swego kraju. Ale możliwe też, że naprawdę chciał mu pomóc w jakiś znany tylko sobie sposób, a później doszło do przypadkowej reakcji z mikrobami gorączki. Tego się już zapewne nigdy nie dowiemy, a w każdym razie nie odkryliśmy tego dotąd na podstawie badań ciała Aristide'a. Pewny jest tylko fakt, poruczniku, że w Afryce wybuchają rebelie kolejnych ludów. Wraz z nimi zaś następne ogniska zarazy.

Aż usiadłem na ławce skrytej w cieniu neogotyckiego grobowca. Oczywiście było, iż usłyszę od doktora rzeczy przekraczające ludzkie pojęcie. Jednakże, jak widać, nie dałem rady się na nie przygotować.

– Przykro mi, poruczniku, iż niewiele wyjaśniłem – rzekł po chwili de Bonneville. – Chyba nie jestem też w stanie niczego dopowiedzieć. Oprócz wyjaśnień jednak chciałem z panem załatwić jeszcze jedną kwestię. Z jej powodu spotkaliśmy się na cmentarzu.

– Ciało kapitana zostanie wydane rodzinie? – spytałem.

– Nie, musi nadal zostać w laboratorium. Wywiad postanowił jednak przekazać do pochówku opieczętowaną trumnę, by ulżyć w cierpieniu krewnym, a przy okazji uniknąć dalszego rozgłosu. Nim jednak rodzina Aristide'a przyjedzie z Pas-de-Calais,

powinniśmy, jak mi nie mam, ustalić, co jej przekazemy na temat miejsca złożenia szczątków. Być może należałoby też powiadomić administrację. Pamięta pan jego ostatnie słowa?

Skinąłem głową. Umierający kapitan wycharczał dokładnie „Dopilnujcie, by nie pochowano mnie... Emma ma grób rodzinny na Père-Lachaise... Przy rozstaju alei”. Być może oznaczało to, że nie chciał spoczywać razem z małżonką, która go zdradziła, a być może tylko tyle, iż nie życzy sobie mogiły przy symbolu swego zadawnionego przekleństwa.

Popatrzyłem lekarzowi w oczy. Dostrzegłem w nich, że obaj nie mamy pojęcia, jak brzmiała ostatnia decyzja kapitana ani czy w ogóle ją podjął.

Agnieszka Żak – rocznik '88. Ukończyła bibliotekoznawstwo, trochę pracowała w trzecim sektorze. Kocha wąchać książki i czytać e-booki. Fanka fantastyki i wydawnictwa Karakter. Od 2014 bierze udział w NaNoWriMo. Latem uprawia na balkonie pomidory, zimą szydełkuje.

Agnieszka Żak
**DŁUGO WYCZEKIWANA
SAMOTNOŚĆ**

Nie rób tego, proszę.

Pensri zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze przez nos – jej siostra znów histeryzowała. Przecież niczego nie planowała zrobić, nawet nie wykonała żadnego ruchu. Szczerze mówiąc, nie umiała nawet powiedzieć, czy – gdyby już – bardziej wolałaby dzgnąć Pimchan, czy siebie.

Nie wierzyła w telepatię między bliźniaczkami, mimo to wyprowadzały ją z równowagi dziwne sytuacje – takie jak ta, gdy siostra zdawała się znać jej myśli i na przykład wiedzieć, że ona patrzy na nóż wcale nie dlatego, że chce zrobić sobie kanapkę. Co było tym bardziej niepokojące, Pensri niczego specjalnego sobie nie wyobraziła, przez jej głowę przemknęła zaledwie niewyraźna, nieukształtowana myśl, bardziej negatywna, agresywna emocja niż jasne postanowienie czynu. Jakim cudem Pimchan to wyczuła? Logika podpowiadała, że wywnioskowała to z mowy ciała, napięcia mięśni. A także kontekstu, bo ostatnio kłóciły się wyjątkowo intensywnie. Poza tym czytanie w myślach powinno działać w obie strony, prawda? Tak to sobie przynajmniej Pensri próbowała racjonalnie tłumaczyć. Podświadomie odczuwała jednak lęk, że nawet we własnej głowie nie jest bezpieczna, że nawet tam nie może ukryć się przed Pimchan.

– Przecież nic nie robię, uspokój się.

Odpowiedziało jej pełne niedowierzania milczenie.

– Dostanę w końcu wody?

Pensri spojrzała na rękę trzymającą szklankę, przypominając sobie, po co przyszły do kuchni. Złapała dzbanek i nalała siostrze wody.

– Poszłabym już spać, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Jasne, dawaj pierwsza krok naprzód.

Już w drzwiach sypialni Pensri złapała framugę i obróciła się w stronę okna. Nie zobaczyła zbyt wiele, głównie ściany dwóch sąsiednich budynków. Interesowało ją jednak to, co nie znajdowało się na widoku – gwar, gorączka, ruch. Na szybach migwały światła przejeżdżających w dole aut, gołą stopą dotykającą podłogi wyczuwała wibrację przyspieszonego – nawet nocą – tętna miasta. Pociągał ją wygłuszony szum rozmów, odległy śmiech, stukot

obcasów, jazgotliwa muzyka reklamowa, pulsujące energią ulice. Przestrzeń, kolory, zapachy. Chciała otworzyć okno, by wpuścić trochę tego chaosu i brudu do mieszkania. Albo chociaż przykleić czoło do szkła, by chłonać świat w ten ograniczony sposób, skoro nie mogła na niego wyjść, zawsze obłożona ciężarem siostry.

– Pensri...?

– Już, już, tylko lampa została. Minevra, wyłącz światła.

Inteligentny asystent domowy wykonał polecenie. Kobiety zamknęły za sobą drzwi pokoju. Gdy Pimchan zasypiała, Pensri połączyła się przez swój wszczep z Siecią. Miała dobrą przyjaciółkę, która zbyt nie naciskała na tłumaczenia, czemu nigdy nie mogą spotkać się w realu. Po prostu streamingowała dla niej swoje nocne eskapady. W ten sposób Pensri mogła poudawać, że jest gdzieś indziej. A potem śnić cudzymi snami.

Tego dnia Pimchan wybierała kawiarnię. Zdecydowała się na uroczne miejsce na wybrzeżu. Ceniła spokój i kojący szum fal; lubiła siedzieć, sączyć kawę i wdychać niesiony wiatrem słony zapach morza. Pensri spoglądała w przeciwnym kierunku, na doskonale widoczną z tarasu panoramę miasta ze strzelistymi wieżowcami i oplatającymi je zakręconymi autostradami przypominającymi tory kolejki górskiej.

System zamówień w kawiarni bez problemu rozpoznał ID Pensri i wysłał do stolika jej ulubioną herbatę malinową. Niestety, w większości przypadków Pimchan była dla zautomatyzowanych lokali niewidzialna. Co sprytniejsze AI zauważały, że jej siostra zamawia jak dla dwóch osób, i wysyłały zapytania. Te słabsze po prostu ją ignorowały. Dziś trafiły na jedno z tych gorszych, więc kobieta sama musiała wysłać przez Sieć dodatkowe zamówienie na kawę dla bliźniaczki.

– Zamówisz mi...

– Już wzięłam – warknęła Pensri, przewracając oczami. Gdyby jej siostra miała wszczep albo chociaż jakiś komunikator zewnętrzny, nie musiałaby jej zawracać głowy.

Naciągnęła pled na ramię – niebo było czyste, ale od morza ciągnął chłód. Pomyślała o innych nadmorskich ośrodkach. Tam zabudowywano każdy centymetr hotelami, kasynami czy

centrami rozrywki, dosadzano palmy, importowano ładniejszy piasek i ptaki. Bulwary wypełnione ludźmi skrzyły się od reklam, zachęcano do logowania się do specjalnych punktów Sieci dostępnych wyłącznie na obszarze wybrzeża. Niby tandetne i irytujące, a jednak gwar przyjemnie pobudzał Pensri.

Asolis natomiast doskonale zdawało sobie sprawę, że nie musi przyciągać uwagi plażą niczym tancerka brzucha świecidełkiem wpiętym w pępek. I bez tego stanowiło nieoficjalną stolicę świata – to tu powstały i rozwijały się największe firmy bioniczne i szkolono najlepszych specjalistów w tej dziedzinie, tu testowano i wprowadzano innowacje w najbardziej przyszłościowych branżach, w końcu to tu skonstruowano pierwsze ECHO zaprojektowane wyłącznie do długotrwałej pracy w otwartej przestrzeni kosmicznej i stąd prowadzono kolonizację Układu Słonecznego.

Dlatego mogło pozwolić sobie na najwyższy rodzaj luksusu – naturalność. Leniwe fale rozbijały się o czysty, ale trochę poszarzały piasek, po którym niespiesznie człapały mewy. Można było przebiec tędy z psem albo popatrzeć przez chwilę na zachodzące słońce lub wpływające do pobliskiego portu statki towarowe. Nie prowadzono żadnego handlu, nie zachęcano do korzystania z Sieci, nie epatowano reklamami – czy też, jak się je ładniej teraz nazywało, ofertami. Nie było tu niczego zapierającego dech w piersiach. Tylko woda, piasek, zieleń.

Złośliwie można by zauważyć, że przez większą część roku było po prostu za zimno, by bawić się w udawanie egzotycznej plaży, ale Pensri rozumiała, że to element wizerunku miasta, snobistyczny prztyczek w nos. Mogła nie lubić wybrzeża, ale kochała Asolis i nie wyobrażała sobie życia gdziekolwiek indziej. Siostry mieszkały tu od urodzenia, choć odkąd zmarli ich rodzice, nie miały w mieście żadnej rodziny i Pimchan zaczęła przebąkiwać o przeprowadzce. Znalazła nawet jakichś dalekich kuzynów, bliżej których chciała by żyć. Pensri gorliwie protestowała przeciwko jakimkolwiek pomysłom tego typu. Tylko w Asolis mogła spełnić swoje marzenia. Odkładała je tyle lat... Nie zamierzała się stąd wyprowadzać akurat teraz, gdy zdecydowała, że za wszelką cenę dopnie swego.

Sara była spóźniona. Pimchan cierpliwie obserwowała fale, ale Pensri zaczynała odczuwać znużenie. Rozejrzała się po kawiarni. Wypatrzyła ciekawą grupkę parę stolików dalej. Z tej odległości nie

potrafiła powiedzieć, czy mają pełne ECHO, czy tylko podmienione niektóre kończyny albo organy. Zresztą kosmetyka *Enhanced Cybernetic Human* – jak oficjalnie nazywano te sztuczne ciała, choć ze względów marketingowych używano piękniej brzmiącego „ECHO” – osiągnęła tak wysoki poziom, że jeśli ktoś celowo nie decydował się na wyraźne zmiany, ciężko przychodziło odróżnienie tych produktów od biologicznego ciała. Jednak po tych ludziach od razu można było poznać, że to entuzjaści nietypowych modyfikacji – nie interesowały ich dyskretne ulepszenia, chcieli się wyróżniać.

Widziała modny, wibrujący tatuaż na ramieniu kobiety, zmieniający wzór w regularnych odstępach czasu. Jej koleżanka miała skórę ze wzorem łusek. Mężczyzna naprzeciwko niej dorobił sobie brzydkie, sterczące z czoła tuż nad linią włosów różki. Pensri przewróciła oczami – gdyby tylko mogła mieć własne ECHO, zdecydowałaby się na coś dużo bardziej eleganckiego, wręcz klasycznego. Przy wszystkich możliwościach, jakie dałoby jej nowe ciało, zewnętrzne modyfikacje wydawały się głupimi zabawkami.

Zdała sobie sprawę, że mężczyzna też na nią patrzy, i speszona odwróciła wzrok. Mimo to wstał i zaczął iść w jej stronę. Wiedziała, o co chciał spytać. Skupiła się na swojej herbacie, mając nadzieję, że zrozumie aluzję i jednak zostawi ją w spokoju.

– Przepraszam, kto wyprodukował pani taką fajną skórkę? Myślałem, że takie ostre modyfikacje nie są dopuszczane komercyjnie.

– Och, nie, to nie jest ECHO, jesteśmy siostrami, urodziłyśmy się zrosnięte – odpowiedziała uprzejmie Pimchan, przyzwyczajona do zacepek ciekawskich. – Mamy wspólne ciało, ale jesteśmy dwie.

Pensri drgnęła, jakby ktoś dźgnął ją palcem między zębra. Nie lubiła tego określenia – „wspólne ciało”. Może medycznie było poprawne, ale jej zdawało się, że jest wówczas odbierana jak jakaś fantazyjna dwugłowa istota. Poza tym przy takim stanie rzeczy każda z sióstr powinna kontrolować wszystkie kończyny, a także czuć dotyk i ból po drugiej stronie. „Wspólne ciało” niewystarczająco zdaniem Pensri podkreślało, że były kompletnie różnymi osobami, które na wczesnym etapie rozwoju embrionalnego pchowowały się nie rozdzieliły. Wołała, gdy mówiono o dwóch ciałach zrosniętych ze sobą. Dwie osoby, dwa umysły, dwie oddzielne, choć połączone połowy.

– To tutaj nie jest dla ozdoby – prychnęła ze złością, pokazując palcem na swoją głowę. – Co tak stoisz jak kołek? Przywitaj się też ze mną, a nie tylko z moją siostrą. To nieuprzejme.

Mężczyzna patrzył zdezorientowany na dwugłowe ciało z lekko przytulonymi do siebie uszami, ale tylko jedną szeroką klatką piersiową, parą rąk i nóg. Pensri zobaczyła na jego twarzy dokładnie ten moment, w którym w końcu dotarło do niego, że wcale nie widzi fantastycznego ECHO – czyjegós szalonego wymysłu, by dosztukować sobie dodatkową sztuczną głowę – lecz zrośnięte bliźnięta. Dwa serca, cztery płuca, trzy nerki, jeden pęcherz, wszystko trochę ściśnięte. Żaden producent nie wypuściłby na rynek tak nieudanego modelu. I, o dziwo, działał, szansa jedna na trzydzieści milionów.

– Aha... ale w takim razie czemu... – Pod wpływem zabójczego spojrzenia Pensri mężczyzna zamilkł. Bał się kontynuować, zdawszy sobie sprawę, że pytanie, które chce zadać, jest bardzo niestosowne. Nie mógł też po prostu odejść, stał więc, czerwieniąc się coraz mocniej.

Uratowało go przybycie Sary. Wycofał się chyłkiem, gdy wysoka, muskularna kobieta sążnście obcałowywała przyjaciółki.

– Ależ wieje. – Usiadła i od razu owinęła się kocem. – Chciałabym już lato! Może winko na rozgrzewkę? I skąd te ponure miny, co, dziewczęta? Opowiedzieć wam ploteczki z biura? Nie uwierzycie, co zrobił pan Ładny Tyłeczek z trzydziestego piętra...

– Pensri chciała mnie zabić. – Nieśmiały szept Pimchan uciał wesołe gadanie Sary.

– Co ty sobie znowu ubzdurałaś? – zaprotestowała ostro Pensri. – Masz jakąś paranoję, to się leczy. Nawet nie dotknęłam tego głupiego noża!

– Ale wiesz dokładnie, o czym mówię – zauważała jeszcze cichszym głosem jej siostra. – Musiałaś o tym chociaż pomyśleć, prawda?

W odpowiedzi Pensri uderzyła pięścią w stół, głównie by ukryć swoją panikę. Nie było czegoś takiego jak czytanie w myślach – powtarzała sobie. Mimo to straciła zaufanie do swojej wiedzy i zapewnień lekarzy, do lat doświadczeń i zdrowego rozsądku. Co gorsza, poczuła się poniżona, już osądzona i skazana za

myślóbrodnię, której nawet nie dokonała. Przecież ledwo zerknęła na ten cholerny nóż. Spokój Pimchan dodatkowo ją irytował. Wiedziała, jak lubi robić z siebie ofiarę. To Pensri zawsze dostawała rolę złej siostry.

Sara zamówiła dużą karafkę wina, uznawszy najwyraźniej, że będzie potrzebować alkoholu, jeśli ma jakoś przetrwać kolejną kłótnię.

– Hahaha, okej, wystarczy. Pensri, ty nie potrzebujesz broni, mogłabyś samym wzrokiem zabijać – zażartowała, próbując zażegnać konflikt. – To na pewno wszystko jakieś wielkie nieporozumienie! Dajcie spokój, będziecie się o taką głupotę kłócić. Pimchan, przecież wiesz, że ona nigdy by ci krzywdy nie zrobiła.

– Kiedys może nie, ale teraz myśli tylko o operacji.

Sara przygryzła dolną wargę. Znała siostry prawie całe życie, praktycznie wychowały się razem, więc wiedziała, że ich sprzeczki potrafiły być naprawdę gorące. Póki kłóciły się o dziewczynskie sprawy – jakie ubranie założyć, czy pograć w grę, czy poczytać albo który kolega podobał im się najbardziej – mogła z nimi dyskutować, doradzać, mediować. Nie miała jednak pojęcia, jak podejść do tematu operacji. Rodzice bliźniaczek zawsze podkreślali, że póki dziewczęta rosną zdrowe (co zresztą nie do końca było prawdą), nie widzą potrzeby ich rozdzielenia. Poza tym nawet niezrośnięte rodzeństwo raz na jakiś czas skacze sobie do oczu.

– Dziewczyny... przecież zawsze umiałyście znaleźć kompromis. Na pewno w końcu się dogadacie, jesteście w tym mistrzyniami świata, czyż nie?

– A jak sobie wyobrażasz taki kompromis? Co drugi dzień będziemy się magicznie rozdzielać na pół, a co drugi zrastać z powrotem?

– Przecież radzicie sobie świetnie z podziałem czasu, każda z was może samodzielnie robić to, co chce, i druga jej w tym nie przeszkadza...

– Nieprawda! Na przykład nie byłam w żadnym klubie od wieków, bo Pimchan narzeka na hałas. Albo chciałabym więcej czasu spędzać w zachodniej dzielnicy, ale nie mogę, bo Pimchan sobie ubzdurała, że tam jest niebezpiecznie. Po trzydziestu pięciu latach mam dość udawanych kompromisów i ciągłego bycia poszkodowaną stroną. Moja decyzja jest ostateczna – ostro

oświadczyła Pensri. Próbowwała wykręcić głowę na tyle, by móc choć kątem oka zobaczyć reakcję na twarzy Pimchan. Ta tylko irytująco milczała. – Chcę tej operacji i zrobię ją, choćbym miała... – Pensri zamilkła, zdając sobie sprawę, że dała się niepotrzebnie sprowokować.

– Rodzice nie chcieli nas rozdzielać – Pimchan lubiła sięgać po ten argument. Zawsze szanowała życzenia matki i ojca bardziej niż siostra.

– Rodzice nas nie rozdzielili, bo poza bezpośrednim zagrożeniem życia nie robi się ECHO dla niemowląt, a i wtedy bywa ciężko. Nie udawaj głupiej.

– Ale potem też nie chcieli. Kochali nas takimi, jakimi jesteśmy. I jeśli czegoś mnie nauczyli, to szacunku do życia i czerpania radości z tego, co się otrzymało. Nie rozumiem, czemu pójście na jakąś dyskotekę jest dla ciebie ważniejsze od zachowania naturalnego ciała. ECHO są takie... sztuczne. Mnie nawet trochę brzydzą.

– Nie opowiadaj mi tu dyrdymałów o szacunku do życia! Właśnie przez takie podejście jestem bez przerwy traktowana jak dziwak! Ciągłe muszę tłumaczyć to samo i znosić współczujące spojrzenia!

– Co ty opowiadasz, kochanie, przecież to jest Asolis! Tu nikt nie jest dziwakiem – zapewniła szybko Sara. – Poza tym takie się urodziłyście. Jeśli ktokolwiek robi wam z tego powodu problemy, to jest zwykłym dupkiem.

– Jeśli chodzi ci o ludzi takich jak tamten chłopak, to nie musisz z nimi więcej rozmawiać. Ja im mogę to tłumaczyć, a ty możesz uciec do Sieci...

– Nie mówię o tym facecie! – Pensri zaprotestowała tak głośno, że aż ciekawski mężczyzna i jego znajomi parę stolików dalej zamilkli, wystraszeni, że o nich mowa. – Moja siostra jest naturalsem. Jeżeli w tym mieście ktoś jest dziwny, to właśnie naturalsi.

– Bez przesady. – Sara przewróciła oczami.

W odpowiedzi Pensri sapnęła z irytacją. Złościło ją, że przyjaciółka próbuje ignorować problem naturalistów. W Asolis z oczywistych względów nie mieszkało ich wielu, więc jeśli ktoś się z nimi utożsamiał, od razu było to poczytywane jako polityczne wystąpienie przeciwko bionice, nawet gdy ta osoba sama z siebie za niczym nie agitowała.

– Czy wy myślicie, że to nie wpływa na to, jak ja jestem postrzegana? Wszyscy się zastanawiają, czemu moja siostra wyznaje jakąś dziwną ideologię. Boją się, że skręcasz w stronę fanatyzmu religijnego, bo jak wytłumaczyć to, że nie mamy jeszcze oddzielnych skórek? Wszędzie na świecie rozdziela się teraz zrosnięte bliźnięta bez żadnego problemu; to już nie te czasy, że jedno albo oba mogły umrzeć. Wszyscy się zastanawiają, co jest z tobą nie tak.

– Kto ci tak powiedział? Ja czegoś takiego sobie nie przypominam.

Pensri uśmiechnęła się triumfalnie. Odczuła ulgę. Jednak były rzeczy, których Pimchan nie potrafiła ani podsłuchać, ani podejrzeć, ani poczuć. Pensri wciąż mogła ufać Sieci i bezpiecznie rozmawiać tam z nielicznymi przyjaciółmi, którzy wiedzieli o jej bliźniacze.

– Przecież macie wszczep. Ja też mam tylko tyle... – Sara dalej próbowała nieporadnie ratować sytuację.

– O nie. To mój wszczep, w mojej głowie. To, że czasem robię przez niego coś dla Pimchan, tylko pogłębia dezorientację, bo ludzie zastanawiają się, czemu wiadomości do niej muszą być przesyłane przeze mnie. Przez to wydaje im się, że jesteśmy jedną osobą, czasem mówią do mnie, jakbym była nią!

– Takie sytuacje zdarzają się cały czas, nawet na żywo, bez korzystania ze wszczepu...

– Nie zdarzałyby się, gdybyś była normalna! Nawet Eddy korzysta z bransolety, a ty nawet tyle nie masz, tylko mnie bez przerwy wykorzystujesz. – Pensri postanowiła uderzyć w czuły punkt, w narzeczonego. – Próbujesz mu zaimponować, czy co? Pokazać, jaka to jesteś przeciwna technologii?

– Po prostu nie rozumiem, po co to robić. Nie ma nic złego w naturalnym ciele.

– Ale wszczep sieciowy byś mogła mieć.

– Kiedy to... dziwnie tak mieć to w głowie. Można wszystko na SmartScreenie zobaczyć. Eddy mówi... – Teraz to ona zdała sobie sprawę, że wpadła w pułapkę.

– Aha, czyli jednak Eddy. Robisz wszystko tak, jak on chce, co nie? Całkiem szczerze ci powiem, że powinnaś się zastanowić, czy na pewno chcesz wziąć z nim ślub. Moim zdaniem on ma na ciebie za duży wpływ. Odkąd go poznałaś, tylko go papugujesz,

nie jesteś sobą. Kto nie chce tej operacji – ty czy on? Przecież jemu tym bardziej powinno zależeć na tym, żeby móc być tylko z tobą. To ta głupia logika naturalistów każe mu oprostestowywać każdą interwencję medyczną, nawet tę, która ma sens! Jego zupełnie nie obchodzi, że ja się męczę, że operacja podniosłaby nam obu jakość życia, to jest dla niego za mało. Oddycha? To zostawić w spokoju, nawet jak się męczy. Pimchan, musisz się poważnie zastanowić, czy chcesz całe życie spędzić z kimś, kto ma tak paskudne poglądy, a na dodatek w ogóle nie życzy ci dobrze.

– Eddy nigdy nie powiedział niczego takiego! – wtrąciła Sara. – Wiesz, że Pimchan i Eddy się kochają, jak możesz mówić takie przykre rzeczy?

– Saro, nie trzeba – zapewniła Pimchan. – Siostrzo, rozumiem, że nie lubisz Eddy’ego, ale umówiliśmy się, że nie będziemy nawzajem ingerować w swoje życie osobiste. Owszem, zgadzam się z Eddym w pewnych kwestiach dotyczących bioniki, ale jeśli chodzi o operację, to jest to wyłącznie moje zdanie. Nie chcę, żebyśmy się rozdziłały. Ja się wcale, jak to ujęłaś, nie męczę. Przecież zawsze było nam dobrze razem. Jesteśmy rodziną, prawda?

Pensri poczuła, jak opada z sił. Znowu wyszło na to, że to ona jest tą złą. Patrzcie za to na jej bliźniaczkę, jaka jest kochająca i wspaniała, bo wytrzymuje ze swoją swoją siostrą-żołną. Zdała sobie sprawę, że kolejne rozmowy nic nie wniosą. Mogły się tak kłócić do śmierci.

– Posłuchaj, czy ty... – zaczęła niepewnie Sara – nie jesteś przypadkiem zazdrosna?

– O Eddy’ego? Przecież właśnie wam tłumaczę, że go nie znoszę!

– Nie mówię o nim, tylko tak ogólnie. O to, żeby kogoś mieć. Jesteśmy przyjaciółkami, możesz nam powiedzieć, jeśli czujesz się samotna.

Pensri spojrzała na ocean. Falował leniwie, niewzruszony jej losem. Pragnęła rozdzielenia. Po prostu. Nie rozumiała, czemu innym tak ciężko to zaakceptować i musieli się doszukiwać drugiego dna.

– Chciałabym, żebyście w końcu zaczęły mnie traktować poważnie... Zacznijmy od tego, że właśnie usuwam wszystkie twoje kontakty, Pimchan.

– Te z pracy i tak są dla nas obu...

– Nie szkodzi, mogą wysyłać wiadomości oddzielnie. Od tej pory, jeśli będziesz chciała cokolwiek wysłać, do kogokolwiek

zadzwoić albo skorzystać z Sieci, będziesz musiała albo założyć sobie wszczep, albo użyć bransolety, albo pytać Minevrę.

– Masz rację, tak będzie sprawiedliwiej – przyznała Pimchan, chyba wierząc, że to rozwiązuje spór. Z jej punktu widzenia to wystarczyło. Trochę ustąpiła, dała swojej siostrze nieco więcej niezależności i prywatności. Tego w końcu Pensri chciała, więc teraz z pewnością przestanie upierać się przy operacji.

Oczywiście była to płonna nadzieja.

O tym, że nie doceniała, jak wygodny jest wszczep jej siostry, Pimchan przekonała się już następnego dnia. Stojąc na chodniku, zdała sobie sprawę, że zapomniała poprosić Minevrę o wezwanie samochodu. Zwykle Pensri to załatwiała, gdy jechały windą, teraz to ona musiała się przyzwyczaić do samodzielnego dbania o takie szczegóły. Jej siostra była nieugięta, musiały więc wrócić na chwilę do mieszkania.

Pod budynek podjechał model z szeroką kanapą zamiast pojedynczych foteli – siedziało im się w nim wygodniej. Wyświetlacz pokazał, że będą za miejscu za dwadzieścia trzy minuty. Równy, bez najmniejszego opóźnienia – odkąd zakazano ruchu prywatnych aut i miejski system drogowy przejął w pełni kontrolę nad każdym pojazdem, nie tworzyły się już korki i nie dochodziło do wypadków. Kiedyś w trakcie jazdy siostry po prostu rozmawiały, jednak od jakiegoś czasu wspólne przebywanie w małej, zamkniętej przestrzeni wywoływało u obu dyskomfort. Milczały, z trudem wytrzymując nawzajem własne towarzystwo.

Pojazd wyjechał z tunelu i zaczął wznosić się na obwodnicę. Przez przejrzyste bariery kobiety widziały szklane ściany biurowców. Dwie przezroczyste warstwy powodowały dziwne zjawiska wizualne, wyginały rzeczywistość i wykrzywiały sylwetki pracujących w budynkach ludzi. Ci, przyzwyczajeni do ciągłego ruchu za oknem, nie zwracali już uwagi na przejeżdżające samochody. Pensri trudno było zrozumieć, jak ten widok może nie fascynować. Ona sama zawsze z dziecięcą ciekawością rozglądała się dookoła. Wjechały do tunelu przebiegającego przez jeden z wieżowców. Gdy wynurzyły się po drugiej stronie, droga lekko

zakręciła, co pozwoliło zobaczyć kolejne piętra autostrad u góry i po bokach – wspaniały, wielopoziomowy labirynt.

Monotonny ruch trochę usypiał Pimchan, a trochę zmuszał, by jednak coś powiedzieć albo zrobić, wyrwać się z nieznośnego, udawanego spokoju.

– Jakie masz plany na dziś? – zagałała niezdarnie. – Skończysz może artykuł?

– Nie, spotykam się ze znajomymi.

– W Sieci? Wiesz, że też możesz się umówić na mieście...

A może chcesz, żeby zaprosić kogoś na ślub?

Samochód znów ruszył. Cel był już niedaleko.

– Przecież to nie mój ślub. Żle by to zrozumieli.

– Jak wolisz. Powiedz, jeśli zmienisz zdanie.

Pensri zaczęła nerwowo międlić brzeg bluzki w palcach. Jej siostra powiedziała to tak, jakby oferowała jakąś przysługę. Próbowowała ją zapewne w ten sposób ubłagać – niby taki drobiazg miałyby zmienić jej zdanie. Poza tym Pensri wolała komunikować się przez Sieć, bo wtedy nie musiała mówić, że jest bliźniaczką syjamską. Wielu jej znajomych zwyczajnie o tym nie wiedziało. Zdradzanie im teraz prawdy miało się z celem – po co mówić im o siostrze akurat na moment przed operacją rozdzielenia? Gdy już będzie po wszystkim, kobieta zyska możliwość, by w końcu w pełni oddać się życiu towarzyskiemu.

Wysiadły przed restauracją. Eddy czekał na miejscu. Przekroczył już czterdziestkę, ale okrągła, rumiana twarz i wciąż mocno trzymająca się czupryna odejmowały mu lat. Nie był ani specjalnie przystojny, ani brzydki, co najwyżej na jego szkodę działała lekka nadwaga, ale Pimchan lubiła tę przeciętność. Uśmiechnął się na widok narzeczonej i pocałował ją na powitanie najpierw w dłoń, potem w policzek.

– Kocham cię i lubię cię – przywitał ją utartą już, choć dalej słodką formułką.

Pimchan opuściła głowę, niby zawstydzona, ale filuterny uśmiech i iskry w oczach świadczyły, że to tylko taka poza. Kochała, gdy narzeczony obdarzał ją małymi czułościami. Z Pensri Eddy w żaden sposób się nie przywitał, bo taka była umowa. Mogła tu fizycznie przebywać, ale wszyscy opanowali już

do perfekcji sztukę udawania, że jednak jej nie było. Miała jeszcze tylko pomóc siostrze usiąść, by potem zniknąć zupełnie.

– Mogłbyś mi jakąś wybrać? – Pimchan wskazała na bransoletę.

– To będzie łatwe, dla dorosłych nie ma wielu opcji... ale masz taką szczupłą dłoń, może coś z dziecięcych będzie pasować. Do czego ci w ogóle potrzebna?

Zauważył brzydkie skrzywienie warg, jakby kobieta miała je wygiąć w zapłakaną podkówkę, ale się powstrzymała.

– Pensri zasugerowała, że wygodniej będzie, jeśli kupię bransoletę tylko dla siebie.

– Mhm... I to cię tak gryzie? Czy poszło o coś więcej? – zapytał Eddy, wyczuwając w głosie narzeczonej większe zmartwienie.

Pimchan zwlekała z odpowiedzią. Wiedziała, że Eddy miał nie najlepsze zdanie o jej siostrze – uważał ją za głośną i złośliwą, na dodatek zaś spędzała zbyt dużo czasu w Sieci. Pimchan zawsze jej broniła, ale z czasem stawało się to coraz trudniejszym zadaniem.

– Chodzi o to, że... ona częściej mówi o rozdzieleniu. Bardzo jej na tym zależy.

To był chyba jedyny temat, który potrafił wyprowadzić go z równowagi. W Asolis żyło niewielu naturalistów i poważnie rozważał wyprowadzkę. Na szczęście w ostatniej chwili poznał Pimchan. Chciał żyć z kimś, kto wyznawał te same wartości właśnie w tym mieście, by pokazać jego mieszkańcom, że można inaczej, normalnie. Była też inna, poważniejsza konsekwencja rozdzielenia.

– Kochanie, rozmawialiśmy o tym. Jeśli chcemy założyć rodzinę, nie możesz mieć ECHO. Niestety, nie da was się inaczej rozdzielić. Gdybyście to zrobili, musielibyśmy skorzystać z surogatki. Wiesz, że ja tego nie chcę, a myślę, że ty też wolałabyś zostać prawdziwą mamusią.

– Tak, ale...

– Powiedz mi tylko jedno: byłabyś szczęśliwa, gdybyś to zrobiła? Mogłabyś zrezygnować z dziecka, z rodziny i zacząć nosić sztuczną skórkę?

– Wiesz, że nigdy nie chciałam tej operacji.

– W takim razie tylko to się liczy. Nie możesz się zmuszać do czegoś, co przekreśli całe twoje plany na życie.

– Ale czuję się przez to taka samolubna...

– Czemu myślisz, że to ty jesteś samolubna? Czy nie pasuje to bardziej do twojej siostry, która chce ci narzucić swoją wolę? Ty nie próbujesz jej niczego zabrać, a ona chce tobie odebrać szczęście, rodzinę, przeszłość. Mnie.

Pimchan spuściła wzrok. Od dziecka żywiła przekonanie, że bycie zrosniętymi bliźniakami w żaden sposób nie wpływa na życie jej i siostry. Przez wszystkie lata pozostawały całkowicie normalne, chodziły do szkoły, potem na studia i do pracy, znalazły sobie wspólne i oddzielne hobby. Po prostu zmierzały przez życie razem. Miała też pewność, że przyjdzie taki dzień, gdy obie założą rodziny, a ich dzieci – biologicznie rodzeństwo – wychowają się razem jako kuzynostwo. Wyobrażała sobie, że żyją wszyscy razem jako jedna wielka rodzina, choć z czasem, wyczuwając, że Pensri zaczyna się od niej oddalać, zaczęła godzić z się wizją dwóch mieszkań obok siebie albo może domu podzielonego na pół i rozplanowania, kto kiedy gdzie przebywa i dogląda dzieci, a kto musi się tymczasowo wycofać. Teraz zaczynała sobie powoli zdawać sprawę, że ten plan nie ma szans na powodzenie. Pensri nie chadzała za często na randki, nie wspominała o dzieciach i nie lubiła, gdy się ją o to wypytywało. Pimchan nie miała nawet pewności, czy mogłaby liczyć na jej pomoc jako ciotki – bała się choćby o to spytać, bo jej bliźniaczka mogłaby kolejny raz zareagować stwierdzeniem, że to nie jej życie i nie jej problem, niech się matka sama zajmuje swoim dzieckiem.

W obliczu tych zmian Pimchan coraz bardziej traciła wiarę w sens pozostawania zrosniętymi. Z drugiej strony Eddy miał rację. Operacja pociągała za sobą zbyt dużo niewiadomych. Kobieta musiałaby też zrezygnować z ciąży. Niestety, bionika nakładała w tym względzie przykre ograniczenia, na które Pimchan nie mogła się zgodzić.

Jednocześnie najdłużej, jak mogła, odwlekała poważną rozmowę o przyszłości w trójkę. Bała się, że bezpośrednio starcie Eddy'go i Pensri zakończy się prawdziwą katastrofą. Zmieniła temat na coś przyjemniejszego. O ślubie i weselu też nie chciała na razie rozmawiać, łapała się więc pogody, ostatnio obejrzanym filmów, czegokolwiek. Wieczór był już jednak zepsuty i wymówiła się wcześniej bólem kręgosłupa.

– Pensri. Pensri! – zawołała, ale siostra czasem tak głęboko pograżała się w Sieci, że nie słyszała wołania. Pimchan musiała ją uszczypnąć.

Wstały, każda synchronizując podległą sobie połowę ciała. Zrobiły wspólnie kilka kroków. Pimchan na pożegnanie przytuliła się do Eddy'ego. Pensri patrzyła wówczas w bok, raz, by im nie przeszkadzać, a dwa, bo ją brzydził ten człowiek. Wystarczyło, że czuła jego ramię przy szyi, gdy obejmował jej siostrę, i czuła jego zapach bliżej, niżby chciała.

Pensri leżała w łóżku, gapiąc się przez ciemność na sufit. Twarz miała stężałą, nieprzyjemnie pulsującą z napięcia i zmęczenia. Nie mogła zasnąć. Druga bliźniaczka oddychała miarowo, od dawna pograżona w spokojnym śnie.

Zwykle w trakcie randki albo gdy jej siostra z innego powodu potrzebowała prywatności Pensri nurkowała w Sieć. Czasem spotykała się ze znajomymi, czasem pracowała, czasem po prostu puszczała muzykę albo film. Zwykle pochłaniało ją to na tyle, że przestawała zauważać, co się dzieje dokoła niej.

Tamtego dnia jednak jednym uchem podsłuchiwała. Czuła z tego powodu trochę wyrzutów sumienia. Z drugiej strony, jeśli to ona potrzebowała prywatności, Pimchan zostawało tylko udawanie, że jej nie ma. Niby mogła założyć słuchawki, ale to jednak nie to samo. Pensri nigdy nie miała możliwości porozmawiać z nikim w cztery oczy normalnie, tylko przez Sieć, tak że czuła się częściowo usprawiedliwiona. Pimchan powinna pogodzić się z tym, że i jej bliźniaczka może coś przypadkowo usłyszeć.

A słuchając tego dnia Eddy'ego, Pensri zdała sobie sprawę, że gdy mężczyzna się do nich wprowadzi, zacznie mieć wpływ na wszystkie decyzje. Pimchan mogła twierdzić, że ma własne zdanie, i zapewniać, że zawsze wszystko będą ustalać tylko we dwie, ale jej siostra zwyczajnie w to nie wierzyła. Eddy już wiedział, co powiedzieć, by podporządkować sobie przyszłą żonę. Tym sposobem małżeństwo będzie mogło w każdej kwestii przegłosować Pensri dwa do jednego. W takiej sytuacji stawała się tylko... dodatkiem.

Z niesmakiem obróciła to słowo na języku. Było gorzkie, nieprzyjemne. I przywołało szereg znacznie gorszych skojarzeń. Narośl. Stanie się naroślą.

Zacisnęła pięść, czując, jak jej połowa ciała się napina, a łzy natychmiast zaczynają wypływać na policzki. Nie mogła krzyknąć, bo obudziłaby Pimchan, wcisnęła więc sobie pięść do ust i zagryzła, by stłumić jęk. Ból trochę pomógł, odwrócił uwagę od czarnych myśli. Jednak te tylko na chwilę spłynęły pod powierzchnię, kotłując się, żądając uwagi.

Narośl. Ta dodatkowa głowa, której gadanie można ignorować. Eddy miał już wprawę w udawaniu, że jej nie ma, teraz będzie to po prostu robił cały czas. Co jej pozostało? Przeniesienie się do Sieci, całkowita rezygnacja z fizycznego życia. Nie musiałyby nawet jeść, bo miały z siostrą wspólny żołądek, wystarczyło więc, by tamta przyjmowała pokarm. Tyle że nie było to wykonalne z innych względów – żeby się poruszać, musiały współpracować. Latami uczyły się, jak razem stawiać kroki, by utrzymać równowagę i móc chodzić, biegać nawet. Siostra co chwila wyciągałaby ją z Sieci, żeby móc się przemieszczać albo zrobić coś wymagającego dwóch rąk.

Poza tym... Sieć nie była prawdziwym życiem. Tworzyła piękną iluzję, że umysł jest gdzie indziej, ale w rzeczywistości Pensri pozostawała zakładnikiem swojej cielesnej formy – tak naprawdę nie mogła donikąd uciec. A niedługo miała stać się także zakładnikiem tamtych dwojga.

Pimchan przetarła oczy z wrażeniem, że zasnęła. To Pensri zwykle pilnowała wstawania, bo miała budzik bezpośrednio w głowie... Przypomniała sobie, że siostra odmówiła jej prawa do dalszego korzystania ze wszczepu. Możliwe, że w ramach kolejnej złośliwości nie raczyła jej obudzić.

- Która godzina?
- Nie wiem.

W głosie Pensri usłyszała coś nowego. Nie zwykłego focha, lecz coś wyjątkowo mrozącego krew w żyłach.

- Mam dziś spotkanie, muszę się już zacząć szykować.
- W takim razie wstawaj i idź.

Pimchan podniosła się na łokciu. Ciało jej siostry było nieprzyjemnie sztywne.

– Chodź, musimy siku – próbowała nerwowo negocjować.

Wykonała swoją część ruchu potrzebną do wstania. Po drugiej stronie nic się nie wydarzyło. Szarpnęła lekko. Bez reakcji – jakby była przywiązana do kłody. Poczowała mrowienie na twarzy, jak milion drobnych igiełek.

– Nie wygłupiaj się, chodź.

– Nie mam po co.

Słowa te wypowiedziane zostały tonem tak ponurym, tak pełnym beznadziei, że wywołały zimną kulę, która najpierw zmroziła Pimchan serce, a potem zaczęła piąć się do gardła. Poruszyła w ramach testu palcami ręki i nogi. Niewątpliwie dalej miała nad nimi kontrolę, a mimo to czuła się obezwładniona. Lata ćwiczeń sprawiły, że zdążyła zapomnieć, iż kontrola to nie wszystko – potrzebna jest jeszcze współpraca. Wspólne działanie było zaś czymś naturalnym, w ich przypadku wręcz wrodzonym. Nie mogło go nagle zabraknąć.

A jednak zabrakło.

Spróbowała chociaż usiąść, ale bezwładna siostra ciążyła jak głaz. Pimchan zacisnęła dłoń na prześcieradle. Obojętność Pensri zaczęła budzić w niej przerażenie. Oddech przyspieszył, oczy stały się wielkie jak spodki. Pierwotny, zwierzęcy instynkt kazał jej się wystrzegać bezruchu jak samej śmierci. Zaczęła kopać nogą w materac. Zamachnęła się i uderzyła siostrę w kolano. Spróbowała jeszcze raz, usiłując sięgnąć brzucha. Jednocześnie zaatakowała dłonią i złapała bliźniaczkę za włosy.

– Nawet o tym nie myśl! – wrzasnęła Pensri ostrzegawczo, ale nie powstrzymało to ogarniętej paniką kobiety.

Pimchan szarpnęła i zaczęła tarmosić siostrę za kudły. W odpowiedzi oberwała pięścią w szyję. Zakaszła, lekko przydużona, ale nie zwolniła uścisku. Jednocześnie osłaniała łokciem twarz, bo Pensri przypuściła dziki atak, uderzając na oślep, waląc to w głowę, to w ramię, to w biodro. W końcu sięgnęła ręką na plecy, wbijając paznokcie w łopatkę. Kłapnęła też zębami tak blisko nadgarstka, że Pimchan poczuła jej gorący oddech, ale na szczęście nie samo ugryzienie.

Wiły się na łożku jak dwa walczące węgorze, każda próbująca zadać jak najwięcej ciosów, a jednocześnie wyrwać się tej

drugiej w beznadziejnej próbie odsunięcia na bezpieczną pozycję. Nagle Pensri odepchnęła się nogą od materaca, jakby próbując wspiąć na siostrę. Pimchan puściła w tym momencie włosy przeciwniczki, by się podeprzeć. Pensri tylko na to czekała i uderzyła prosto w nos.

Jej siostra wrzasnęła z bólu. Smak własnej krwi spływającej do ust obudził w niej furię, której nawet bliźniaczka się po niej nie spodziewała. Ich ciałem rzuciło w górę, jak rybą walczącą w sieci. Pensri, oparta o krawędź materaca, straciła równowagę i ześliźnęła się z łóżka. Siostry runęły na podłogę.

Włosie puchatego dywanu wchodziło Pimchan w zakrwawiony nos. Leżała lekko otumaniona po upadku, z twarzą ułożoną w stronę przeciwną do Pensri. Nie czuła zapachu moczu, ale czuła gorącą, mokrą plamę w kroczu. Od dłuższej chwili panowała kompletna cisza. Jej siostra znów się nie ruszała, ale tym razem groza była jeszcze silniejsza, unieruchamiająca także Pimchan. Co, jeśli któraś z nich sobie coś złamała? Czy Pensri straciła przytomność? A jeśli... Nie, to niemożliwe, siostra czuła wyraźnie jej oddech – z pewnością żyła.

Pimchan bała się poruszyć, by nie zrobić żadnej z nich krzywdy. Nerwowo szukała pomysłu na wezwanie pomocy. Bez wszczępu czy bransoletki pozostawał tylko asystent domowy, ale sama poprosiła, żeby go nie instalować w sypialni, bo nie podobało jej się, że jakaś sztuczna inteligencja miała patrzeć, jak śpi.

„Idiotko, sama się tak załatwiłaś” – przeklęła w myślach.

Czy mogła krzyknąć na tyle głośno, by asystent usłyszał ją przez zamknięte drzwi? Ze złamanym nosem, leżąc na podłodze obok łóżka? Musiała spróbować.

– Minevra, pomocy! – wydusiła. Nasłuchiwała piknięcia potwierdzającego, że asystent ją usłyszał i łączy z odpowiednimi służbami. Odpowiedziała jej tylko cisza. – Pomocy!

– Chcesz na mnie nasłać policję? – odezwała się w końcu Pensri. – To by było zabawne, gdyby tylko mnie spróbowali aresztować.

– Nic ci nie jest?!

– Chyba nie. W kolano się nieźle walnęłam.

– Chodź, przyłożymy lód. A ja potrzebuję czegoś do nosa...

– Ale ja nigdzie nie idę.

– Przestań się wydurniać. – Pimchan próbowała podeprzeć się na łokciu, ale odkryła, że jej siostra znów stała się ciężka i niemobilna jak kłoda. Ciągnięta mocno w dół, opadła z powrotem zakrwawionym nosem w dywan. – Nie możemy leżeć na podłodze do śmierci. Taki jest twój plan?

– Może? Czemu nie. Przynajmniej mam Sieć, nie będę się w ostatnich momentach nudzić.

– To dziecinne. I głupie.

– Głupie? – Pensri syknęła tak ostro, że Pimchan aż wtuliła głowę w ramię. – Moje życie jest dla ciebie głupie? W sumie nie wiem, czemu mnie to dziwi, nigdy nie traktowałaś moich potrzeb poważnie. Po prostu z góry zakładasz, że pewne rzeczy ci się należą. Chcesz ślubu? Proszę bardzo, bierz sobie ślub, ale nigdy nie dostaniesz rodzinki, o której tak bardzo marzysz, słyszysz? Macicę mamy jedną, wspólną i bez mojej zgody nie masz prawa jej użyć! Niech tylko Eddy spróbuje mnie tknąć, oskarżę go o gwałt. W końcu cipkę też mamy wspólną, przynajmniej w sądzie będzie ciekawie.

– Nie odważyłaś się!

– A czemu nie? Co mam do stracenia? Tylko resztę mojego głupiego życia? A to twoje dzieciątko... myślisz, że będzie tylko twoje, co? To tak nie działa. Ono biologicznie będzie też moje i będę walczyć o prawa do niego, więc nie będziesz mogła palcem kiwnąć sama w żadnej sprawie, słyszysz? Ze wszystkim cię do sądu zaciągnę, jak będę musiała. Zamienię twoje życie w piekło!

– Już to robisz!

– I bardzo dobrze! Chcesz być ze mną zrośnięta? Proszę bardzo, najwyższa pora, żebyś się dowiedziała, co to naprawdę znaczy być z kimś nierozłącznym.

– Jesteś... jesteś wredną, rozgoryczoną babą, która wyżywa się na innych, bo nic jej w życiu nie wyszło, więc teraz chce, żeby inni byli tak samo nieszczęśliwi!

– Nie wyszło mi przez ciebie!

– Nie wyszło ci, bo jesteś leniwa, głupia i wolisz całymi dniami siedzieć w Sieci niż zrobić coś wartościowego.

– A ty dalej niczego nie rozumiesz.

Zapadła cisza gęsta od oskarżeń – tych rzuconych i wciąż trzymanych na końcu języka, gotowych wypłynąć w każdej chwili.

Słone łzy spłynęły Pimchan po policzku do rozwalonego nosa, powodując nieprzyjemne pieczenie. Stłumiła kaszel. Oddychała z trudem i próbowała powstrzymać się od płaczu, bo łkanie tylko zwiększało ból coraz mocniej puchnącej twarzy.

Z oddali dobiegł dzwonek do drzwi.

– Eddy...? – wyszeptała z nadzieją.

– To tylko pogotowie, wezwałam ich, jak spadłyśmy. Możemy leżeć, Minevra ich zidentyfikuje i odblokuje drzwi – wyjaśniła Pensri.

– Myślałam, że planujesz tu leżeć do śmierci – przypomniała złośliwie Pimchan.

– Jeszcze nie skończyłam cię dręczyć.

Im więcej Pimchan płakała, tym gorzej wyglądała jej twarz, co powodowało jeszcze większą rozpacz. Eddy próbował ją pocieszyć żartobliwym stwierdzeniem, że do wesela rozbity – na szczęście nie złamany – nos się zagoi. Kobieta próbowała coś odpowiedzieć, ale słowa zlały się ze szlochami. Narzeczony rozszyfrował te dźwięki jako prośbę o wodę, wstał więc, by przynieść szklankę. Po drodze zahaczył o wyciągniętą nogę Pensri. Kobieta skrzywiła się z bólu. Pod luźną nogawką dresu krył się opatrunek i opaski stabilizujące. Lekarze, widząc zrosnięte bliźniaczki, dla pewności zalecili tymczasowo przemieszczać się na wózku, by nie obciążać kolana.

Eddy wymamrotał przeprosiny. Przyzwyczyił się do nieobecności Pensri. Nie wiedział, jak się do niej odnosić, zwłaszcza w takiej sytuacji. Czuł, że powinien jakoś skomentować bójkę, zrugać ją za narażenie życia obu kobiet albo chociaż zmusić do okazania skruchy za uszkodzenie nosa. Martwił się jednak, że Pimchan jest zbyt osłabiona, by znieść kolejny wybuch emocji. Z niemą prośbą o pomoc zwrócił się do Sary, która od dłuższego czasu siedziała przy stole cała niespokojna, zakrywając twarz dłońmi i sztucznie pokaszując. Gdy zobaczyła zafrasowaną twarz Eddy'ego, nie wytrzymała i zaczęła się głośno śmiać.

– Przepraszam! – wydusiła, w końcu się trochę uspokajając.

– Przypomniało mi się, jak złamałaś sobie rękę...

– To ona mi ją złamała! – zaprotestowała natychmiast Pensri. Pimchan momentalnie przestała szlochać, a zaczęła czujnie słuchać. Nie zamierzała się do niczego przyznawać.

– Dokładnie! Eddy ma minę, jakby to był koniec świata, ale ja tu widzę bardzo lekkie obrażenia jak na wasze możliwości! Facet, wiesz, jak ciężko zawsze było rozdzielić te dwie, gdy zaczynały się okładać? Nawet jak miałyśmy po dziesięć lat! Były ode mnie dwa razy mniejsze, ale dwa razy silniejsze, cholery jedne.

– Ja bym nawet powiedziała, że do dziś nikt nas nie rozdzielił – zauważyła złośliwie Pensri, ale Sara nie dała się zbić z tropu.

– A pamiętacie, jak oberwałam stopą którejś z was w twarz? O, tu przy wardze dalej widać ślad! – Zaczęła gestykulować szeroko wokół własnej twarzy, wyliczając, jakie to spustoszenie w jej mimice wywołał przypadkowy cios.

Pimchan rozbawiło to wspomnienie, ale śmiech szybko przeszedł w grymas cierpienia.

– Chcesz coś przeciwbólowego? – zapytał Eddy, wyciągając blister.

– Bez przesady, przecież już dostała. – Sara wyszarpnęła mu tabletki z dłoni. – Co to w ogóle jest? Wiesz, że nie może gryźć się z antydepresantami.

Eddy zrobił minę, jakby jednak nie wiedział.

– Masz depresję? – zapytał, z zaskoczeniem patrząc na Pimchan. Spodziewał się, że podzieli się z nim tak poważnym problemem.

– Nie, to Pensri. Rozumiesz, jedno ciało. – Wykonała niesprecyzowany ruch ręką.

Kiwnął głową, wyglądał jednak na zagubionego. Oczywiście w teorii rozumiał różne implikacje posiadania jednego ciała przez dwie osoby, ale w praktyce wciąż coś go zaskakiwało. Pensri spojrzała na niego prawie z żalem – głupi, nie wiedział, w co się ładuje.

Westchnęła ciężko, co wszyscy odebrali jako oznakę irytacji. Rozmowy przycichły. Ona jednak, patrząc na zatroskaną twarz Eddy'ego, po raz pierwszy poczuła... może jeszcze nie sympatię, ale przynajmniej akceptację faktu, że siostra właśnie tego mężczyznę sobie wybrała. Kobieta zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała ich razem – głowę miała lekko skierowaną w lewo, a Eddy zawsze podchodził do Pimchan od prawej. Co najwyżej mogła zobaczyć ich wspólne odbicie w lustrze. Może dlatego tak późno zrozumiała, że do siebie pasują. Oboje rozmemłani, mdląco uroczy, oboje chcieli

tego samego. Najlepiej świadczył o tym fakt, że jak Pensri nie lubiła własnej siostry, tak też szczerze nie lubiła jej narzeczonego.

Dni mijały, urazy powoli się goiły, a Pimchan wciąż nie wracała do tematu. Może nie wiedziała jak. Jej siostra na pewno nie miała pojęcia.

Od rana pracowały, bo przez zamieszanie związane z bójką i rekonwalescencją wszystkie deadline'y nagle niebezpiecznie się przybliżyły. Pimchan opracowywała artykuł na SmartScreenie, Pensri zaś obrabiała wersję audio wywiadu, korzystając ze wszczepu. Tak się podzieliły – pierwsza znajdowała tematy, robiła research, zbierała materiały i pisała; druga zajmowała się zdjęciami, audio-wideo i przygotowywała wersje interaktywne, te lepiej dostosowane do odbioru w Sieci. Pensri nie miała zbytnio głowy do dziennikarstwa, dlatego wybrała bardziej techniczną stronę zawodu. Chciała iść na chemię – gdy wybierały studia, umówiły się, że ta, która uzyska lepszy wynik na egzaminach, będzie mogła wybrać kierunek. Nie zgodziłyby się na taki układ, gdyby nie przekonanie, że jest doskonale przygotowana. Mimo to wygrała Pimchan. Co ciekawe, bycie zrosniętymi bliźniaczkami ułatwiało pracę. Niezależnie czy budziły ciekawość, litość, czy zdziwienie, ich ciało ułatwiało kontakt i rozpoczęcie dyskusji.

Pensri czuła się jednak poszkodowana. Jak zawsze. Mogłaby robić to, co chce, gdyby tylko uwolniła się od siostry. Przerwała pracę i zaczęła przeglądać po raz nie wiadomo już który katalogi producentów ECHo. Biologiczny pozostałby tylko jej mózg i rdzeń kręgowy, reszta byłaby w pełni bioniczna. Na początku takie skomplikowane technicznie, sztuczne ciała wykorzystywano wyłącznie do zadań specjalnych, potem stały się zabawką dla bogatych, ówczesnie już nawet dla klasy średniej. Na wszczepy i co drobniejsze modyfikacje ciała stać było każdego. Pensri w ogóle nie przejmowała się pieniędzmi, wiedząc, że w jej sytuacji bez problemu dostanie dofinansowanie z programu wsparcia dla niepełnosprawnych i nieuleczalnie chorych. Nie musiała nawet wybierać z najtańszych modeli, mogła liczyć na coś w miarę porządnego. Zależało jej też, by trochę poprawić twarz. Miała wrażenie, że lata lekkiego, ale ciągłego przechylania głowy wymuszonego wzajemnym położeniem

szy źle wpłynęły na jej rysy. Chciałaby też mieć nieco więcej wzrostu. Nie jakoś dużo, na pewno mniej niż metr osiemdziesiąt, ale teraz czuła się niższa, niż być powinna – pewnie dlatego, że Pimchan urosła taka drobna i ciągnęła ją w dół. Chciałaby też poczuć, jak to jest mieć prawą rękę. Chciałaby tyle rzeczy...

– Mam propozycję – wypaliła w końcu. – Kompromis.

Palce Pimchan zawisły nad klawiaturą. Właśnie odpowiadała na zaległe wiadomości od ludzi zirytowanych, że odkąd nie może korzystać ze wszczepu siostry, nie odpowiada im natychmiastowo, a tylko gdy sprawdzi pocztę na SmartScreenie.

– Słuchaj, owszem, każda z nas będzie musiała się zgodzić na coś, na co nie ma ochoty, ale też każda z nas dostanie to, czego chce. Po prostu nie ma niczego za darmo, ale myślę, że rozwiązanie będzie warte swojej ceny.

– Nie zrezygnuję ze ślubu.

– Nie będziesz musiała.

– Ani z założenia rodziny.

– Oczywiście.

Dopiero teraz Pimchan wykazała ostrożne zainteresowanie.

– Zrobimy tak: weźmiesz ślub, ja będę twoją druhną, świadkową, co tam chcesz. Potem możesz zająć w ciążę i urodzić. Będziesz miała to, czego chcesz najbardziej, OK?

– Na czym polega haczyk? – W głosie siostry Pensri usłyszała podejrzliwość. Najwyraźniej propozycja brzmiała wręcz za dobrze.

– Kiedy będzie już po wszystkim i dzieciak będzie odkarmiony, przejdziemy operację. Ja dostanę skórkę, a ty możesz zachować sobie biologiczne ciało. Możesz wziąć tyle z moich organów, ile tylko chcesz.

– Ale... czy to jest na pewno możliwe?

– Cóż, mamy co najmniej dwa lata na znalezienie ambitnych lekarzy do takiego zabiegu. Myślę, że jacyś na pewno się znajdą, w końcu zrosnięte bliźniaki nie zdarzają się codziennie, a takie, które trzeba rozdzielić między ciało a ECHO, jeszcze rzadziej. Poza tym mieszkamy w Asolis! Prawdopodobnie w porannej drodze po bułki mogłybyśmy wpaść na co najmniej trzech chętnych chirurgów bionicznych.

Pimchan trawiła propozycję, wciąż niechętna, wątpiąca.

– Będą musieli usunąć twoje serce... i jak połączą układy nerwowe?

– Skąd mam wiedzieć, nie jestem lekarzem – prychnęła Pensri, niezadowolona, że dyskusja zaczyna schodzić na szczegóły. – Jasne, istnieje ryzyko, że będziesz częściowo sparaliżowana, ale też szansa, że przejmiesz kontrolę nad moim ciałem. Może będziesz musiała jeździć na wózku, może będziesz mogła samodzielnie chodzić. Taka jest cena zachowania biologicznego ciała. Zresztą jeśli ci ludzie potrafią ogarnąć układ nerwowy w ECHo, to czemu mieliby sobie z tobą nie poradzić? A inaczej na pewno będziesz się musiała przyzwyczaić do ograniczonej ruchomości, bo jeśli się nie dogadamy, będę dalej protestować i utrudniać ci życie w każdy możliwy sposób.

– To brzmi bardziej jak szantaż niż kompromis.

– Daj spokój, wiesz, że nie chcę tego robić. Nie chcę spędzić reszty życia jako przeszkadzajka w cudzej historii. Chcę zrobić tyle rzeczy! Ale nie osiągnę żadnej z nich, jeśli dalej będę z tobą zrosnięta. Nie może być tak, że zgarniesz całe szczęście dla siebie, musisz dać mi coś w zamian.

Pimchan dalej nie była zachwycona pomysłem, ale zaczynała powoli zdawać sobie sprawę, że to prawdopodobnie jedyne możliwe rozwiązanie. Coś za coś.

– Będę musiała... – Ugryzła się w język. Nie, nie mogła spytać Eddy'ego, co o tym myśli. To musiała być decyzja tylko ich dwóch. Tak jak zawsze, tak jak się umówiły. Zrozumiała też w końcu, co Pensri miała cały ten czas na myśli. Rzeczywiście po ślubie ze-pchnęłyby siostrę trochę w cień, nawet jeśli nieintencjonalnie. To nie było sprawiedliwe. Kiedyś zawsze pilnowały, żeby wszystkim dzielić się sprawiedliwie, tak nauczyli ich rodzice. Co się z tym stało? – Muszę pomyśleć, ale... chyba nie mam lepszego rozwiązania. Dasz mi parę dni?

– Jasne. Tak jak powiedziałam, mamy dużo czasu na dopracowanie szczegółów. Zdążysz się nacieszyć swoją rodziną przed operacją.

Pensri żyła jak we śnie. Pozwalała, by rzeczy przydarzały się jej i obok niej. Czekwała w częściowej hibernacji na swój czas. Do ślubu w końcu doszło – jedna z kobiet miała tradycyjną białą

suknię, a druga niebieską, połączone tak sprytnie, by od razu było wiadomo, która jest panną młodą. Pensri nie miała pojęcia, jak Pimchan przekonała Eddy'ego do planu – umówiły się, że jak zawsze na czas rozmowy zostawi ich samych, a siostra przywoła ją tylko, jeśli będzie taka potrzeba. Sam mężczyzna zachowywał wobec niej chłodny dystans – trochę się obawiała, że gdy przyjdzie co do czego, będzie stawiał opór. Na razie jednak niczego z tym nie robiła. Gdy Pimchan zaszła w ciążę, powiedziała tylko: „To kolejna część umowy za nami”. Siostra jej przytaknęła.

Ciąża przebiegała nie najgorzej, jak na ich skomplikowaną anatomię, choć w Pensri budziła głęboki dyskomfort. Czula to dziecko rosnące także w jej ciele, choć przecież cudze. Nie było jej z tym dobrze – miała wrażenie, że oto kolejna osoba z zewnątrz na nią naciska, ingeruje w jej życie bez pozwolenia i nie można od niego uciec. Chciała oddzielić się od siostry, a zamiast tego została „zrosnięta” z następną osobą. Nacisk był także fizyczny – na ich wspólny pęcherz. I z jakiegoś niezrozumiałego powodu mdliło ją częściej i mocniej niż jej siostrę. Znowu Pimchan miała dostać to, co lepsze.

Leki na czas ciąży Pensri odstawiła, z czasem przestała też uczęszczać na terapię, bo miała dość powracających sugestii, by przyszła razem ze swoją siostrą na wspólne spotkanie. Nie chciała już dyskutować – w jej głowie wszystko zostało ustalone. Zmierzała do celu i jakoś musiała wytrzymać do tego czasu. W zasadzie tylko to utrzymywało ją w miarę dobrym stanie – przekonanie, że jeśli przecierpi swoje, w końcu dostanie nagrodę.

Skupiała się na przygotowaniach do operacji. Rozsyłała zapytania po szpitalach, kontaktowała się z fundacjami i ubiegała o dofinansowanie. Chodziła na – wciąż wirtualne – spotkania, wysyłała dokumentację medyczną. Pimchan mówiła, że jej ufa, a sama nie ma głowy do takich rzeczy. Momentami Pensri zastanawiała się, czy Eddy w ogóle wie o całej sprawie, bo odnosiła wrażenie, że jej siostra celowo unika tematu, by jej mąż o nim nie usłyszał. Czasem korciło ją, by coś w jego obecności powiedzieć, ale się powstrzymywała. Nie potrzebowała kłótni. Musiała tylko wytrzymać. Jeszcze rok, góra dwa lata. To było do zrobienia.

– Pensri, musisz mi pomóc.

Z jakiegoś powodu tego nie przewidziała – dziecko trzeba trzymać obiema rękami. Musiała więc asystować przy wszystkim, znów synchronizować ruchy. Nie mogła tak często, jak chciała, uciekać do Sieci. Irytowało ją to tak samo jak nabrzmiała od mleka pierś. Przez to wszystko dziecko było bardziej jej, niżby tego chciała. Tak bardzo ją brzydził ten chłopiec o oczach Eddy’ego, wiecznie głodny, wiecznie płaczący, patrzący na nią, jakby była mu coś winna. Wyglądał tak brzydko, zwłaszcza zaraz po urodzeniu – pomarszczony kartofel, a oni kazali jej patrzeć na niego jak matka.

Spojrzała z zalem za okno. Tęskniła za miastem. Ponieważ życie rodzinne Pimchan stało się priorytetem, nie miała już w ogóle czasu ani możliwości pobuszować po wiecznie zmieniającej się metropolii. Asolis nienawidziło bezruchu, ewoluowało rozkopane w wielkim placu budowy, zaskakujące przeróbkami, odrzucające bez sentymentu stare rozwiązania na rzecz nowych eksperymentów. Czasem, patrząc z okien auta, Pensri nie rozpoznawała okolicy. Miasto nie odwzajemniało jej tęsknoty, nie czekało zresztą na nikogo. Rosło wokół niej, a ona czuła się coraz mniejsza, coraz bardziej zagubiona.

– Teraz już z górki – powiedziała nie całkiem do bliźniaczki, próbując dodać sobie sił. Jej siostra od razu zrozumiała, do czego się to odnosi.

– Jeszcze muszę go karmić. To dla niego zdrowe.

– Wiem. Nie powiedziałam, że nie możesz. Choć chętnie bym z tego ciała uciekła, wszystko mnie po tej cesarce boli.

– Naprawdę? Po mojej stronie chyba ładnie się goi...

– Oczywiście, że tak. – Do głosu Pensri wróciła stara, złośliwa nuta, którą skutecznie przez wiele miesięcy powstrzymywała. Pimchan, jak to miała w zwyczaju, gdy się stresowała, zamilkła.

– Jak się ma Eddy? – zaryzykowała pytanie Pensri, niesiona nową falą tłumionej do tej pory złości. Szukała punktu zaczepienia, powodu do sprzeczki, choć przecież nie powinna. Coś w niej znów dążyło do niezależności, chciało przypomnieć, że czasy potulności dobiegały końca.

– Cieszy się synem.

– To dobrze.

- Mogłabyś go sama zapytać...
- Jesteś pewna, że chcesz, żebyśmy porozmawiała z twoim mężem?

Pimchan milczała dłużej chwilę, wpatrując się w świeżo przewinięte, ssące kciuka dziecko.

- Nie, chyba lepiej nie.

Pensri wyszła z Sieci i syknęła przeciągle z bólu, aż biegające niezdarnie po pokoju dziecko spojrzalo ze zdziwieniem w jej stronę i – rozproszone – klapnęło ciężko na pupę.

- Nie mogliście mi poduszki podłożyć? Nie widzicie, że leżę krzywo? – zapytała, masując bolący kark.

– Mówiłem, żeby ją wcześniej zawołać – zauważył złośliwie Eddy. Coś w jego głosie sugerowało, że pod jej nieobecność toczyła się nieprzyjemna dyskusja.

- Mogę go wziąć na ręce? – zapytała Pimchan.

– Na litość, nie musisz mnie pytać o każdą taką pierdołę. Weź go po prostu na swoje kolano.

Tymczasem chłopiec złapał Pensri za dłoń.

- Mama...

Jakże ją irytował. Czemu jeszcze się tego nie nauczył? Czemu cały czas musiał być taki głupi?

- To jest ciocia, ciocia Pensri – zaczął tłumaczyć Eddy, wyraźnie tak samo podenerwowany. – Tu jest twoja mama.

Siostry złapały syna pod pachami i podniosły. Dziecko się roześmiało. Posadziły go po stronie Pimchan, ale mały uparcie próbował złapać Pensri za włosy – zwrócić na siebie uwagę tej drugiej, tak często zasypiającej i olewającej go matki.

- Dobrze wiem, co zrobić, żeby przestał nas mylić. Może byśmy się za to zabrały, dzieciak jest wystarczająco duży – zaproponowała Pensri.

– Masz rację. Dotrzymałaś swojej strony umowy, chyba więc przyszła pora na rozdzielenie...

– Pimchan – Eddy wypowiedział to imię jak ostrzeżenie. Atmosfera wyraźnie zgęstniała. Czyli Pensri miała rację, znów będzie musiała o siebie walczyć. Pożałowała, że wybrała akurat ten moment, wolałaby nie być taka obolała.

– Rozmawialiśmy o tym. Zawarłam z Pensri umowę i muszę jej dotrzymać.

– Oszalałaś? Chcesz akurat teraz wyrzucić całe swoje życie przez okno? Teraz, kiedy Ed Junior jest mały i potrzebuje matki? Chcesz go porzucić?

– Nie szantażuj mnie dzieckiem. Wiedziałeś, że to się w końcu wydarzy...

Pensri poczuła falę gorąca. Nie podejrzewałaby Pimchan o umiejętność tak ostrego sprzeciwienia się mężowi. Myśl, że siostra w końcu będzie walczyć o nią, a nie przeciw niej, zaskoczyła ją, ale też dodała otuchy.

– Nieprawda! Powiedziałaś, że jakoś spróbujesz ją przekonać, żeby zrezygnowała z operacji! Że będziemy mieć wiele lat na wyplątanie się z tego!

– Daj spokój – wtrąciła z satysfakcją Pensri. – Oczywiście, że ci tak powiedziała. Poza tym próbowanie to jeszcze nie odniesienie sukcesu...

– Nie rozmawiam z tobą – odpyskował natychmiast Eddy. – Ja się na to nie zgadzałem, w ogóle mi tego nie wyjaśniłaś. Czy ty mnie specjalnie okłamałaś? Wiesz, że nie ożeniłbym się z tobą, gdybym wiedział, że zdecydujesz się na jakiegokolwiek modyfikację. Myślałem, że wierzymy w to samo. Czemu chcesz zdradzić nasze ideały?

– Myślałam, że ożeniłeś się ze mną, bo mnie kochasz.

Eddy wciągnął gwałtownie powietrze, opadając na fotel. Pensri z trudem powstrzymywała złośliwy uśmieszek; dobrze, że siostra nie mogła jej zobaczyć.

– Nie pozwolę, żeby moje dziecko wychowywał robot, rozumiesz?!

Pimchan znów popadła w ponure milczenie, więc Pensri postanowiła ją wesprzeć. Ironiczne, że akurat w tej sprawie znów stworzyły wspólny front. Okazało się to jednak przyjemne – znów przez chwilę być razem, nawet jeśli miało to miejsce na chwilę przez ostatecznym rozstaniem.

– Oho, wychodzi z ciebie prawdziwa natura rasisty. Czyli jak będę miała skórkę, to już nie będę dla ciebie człowiekiem? Taki jesteś moralnie wyższy, a zrównujesz mnie z tosterem?

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo chcesz się zeszmacić, ale to jest moja żona!

– Twoja żona, która, jeśli nie zauważyłaś, jest do mnie na stałe przyrośnięta. O co ci w ogóle chodzi? Nie przepadasz za mną, ja zresztą za tobą też nie, miałbyś w końcu święty spokój. Przyznaj się, że my ci po prostu pasujemy pod tezę. Możesz się czuć lepszy, bo nas akceptujesz takimi, jakimi jesteśmy, co? Myślisz, że nie zauważyłam, jaki się dumny czujesz, jak ludziom tłumaczysz swoje poświęcenie? Kręci cię to, kręci cię robienie z nas *freak show*, przyznaj się.

– Proszę bardzo, przyznaję się! Przyznaję się, że dusza, godność ludzka, normalność mają dla mnie znaczenie! Myślisz, że skalpel i parę sztucznych kończyn da ci szczęście? Odetniesz się od świata w tej swojej skorupie... Wy i wasza udawana nieśmiertelność, próba zaburzenia naturalnego porządku... To ty się lepiej przyznaj, jak bardzo nienawidzisz wszystkich dokoła siebie, łącznie z własną siostrą!

Chłopiec na kolanach matki rozplakał się głośno, wystraszony krzykami. Pimchan przytuliła go mocniej do piersi, Pensri zaczęła zaś głąskać po włosach.

– Widzisz, co zrobiłaś? – rzucił mężczyzna w stronę tej drugiej.

– Dość – ucięła jego żona. – W zdrowiu i w chorobie. Tak obiecałaś. Nie chcę skórki i taka jest umowa z lekarzami, że spróbują odratować to ciało. Możliwe, że nie będzie działać zbyt dobrze, ale wierzę, że będziesz się mną wówczas zajmował. Jeśli okaże się, że potrzebuję bionicznych organów, będziesz musiał to zaakceptować jako jedyny sposób na uratowanie mojego życia. Nie chcę jeszcze umierać, chcę zobaczyć, jak moje dziecko dorasta. – Spojrzała z miłością na chłopca z zaczerwienioną od płaczu twarzą, ale już ukojonego łagodnym brzmieniem jej głosu, nawet jeśli nie mówiła bezpośrednio do niego. – Zgodzę się na wszystko, byleby móc to zrobić.

– Czemu ja mam dotrzymywać obietnicy, skoro ty nie dotrzymasz swojej? – zapytał kwaśno mężczyzna.

– Bo wtedy będę miała rację – wtrąciła Pensri.

Eddy wyglądał, jakby miał sobie zacząć wyrwać włosy z głowy.

– Nie rozumiem, czemu jesteś niezadowolona – zwrócił się do szwagierki, widocznie woląc kłócić się z nią niż z żoną. – Możesz przebywać w Sieci, ile chcesz. Czemu musisz do tego koniecznie mieć ECHO?

– Ygh! – Pensri wydała nieartykułowany dźwięk. – To jest właśnie problem naturalsów: nawet nie próbujecie zrozumieć, jak to wszystko działa. Sieć to nie jest jakiś oddzielny byt, inne państwo, do którego mogę sobie wyemigrować. To jest część rzeczywistości, jest wszędzie, jest połączona ze wszystkim, co robimy. Oczywiście, że nie potrzebuję ECHo, żeby korzystać z Sieci, ale to nie jest też magiczne rozwiązanie wszystkich moich problemów. Niezależnie od tego, jak bardzo chciałabym sobie zbudować inne życie, nie mogę, bo utknęłam tu, fizycznie w tym ciele!

– Tak mówisz, ale co z ludźmi, którzy podłączają się na stałe do Sieci i tylko tam żyją? Podłączają swoje ECHo do zasilania i nigdy się nie budzą. Gdyby nie Pimchan, też byś skończyła jako takie zombie. Póki mieszkasz z nami, regularnie cię wybudzamy. Możesz korzystać z obu światów: tam sobie robisz, co chcesz, a tu masz rodzinę. Czemu nie umiesz tego docenić?

– Po pierwsze, nie myśl, że jesteś taki sprytny, bo weźmiesz paru wariatów, zrobisz z nich rzekomą większość i będziesz mógł tego używać jako logicznego argumentu. Rozejrzyj się dokoła siebie, do jasnej cholery. Widzisz tych wszystkich ludzi na ulicach? Myślisz, że oni nie mają wszczepów, nie korzystają z Sieci? Przecież według twojej logiki wszyscy powinni siedzieć w domach przykuci do foteli, a jednak wychodzą z domu, bo są normalni. Równie dobrze ja mogę wyciągnąć paru naturalsów-terrorystów! No dalej, wytłumacz mi, że to tylko niewielka grupa, której reszta twoich ludzi nie popiera! – wrzasnęła ze złością Pensri.

– To co innego! – zaprotestował równie głośno Eddy.

– To dokładnie to samo! Tylko tobie się wydaje, że jesteś od wszystkich mądrzejszy! Ułożyłeś już nam wszystkim życie według twojego jednego słusznego światopoglądu i nie mam prawa chcieć czegokolwiek innego.

– Cóż, nie zamierzam godzić się na rzeczywistość, w której głupi automat do kawy może mi czytać w myślach, bo tak rzekomo wygląda postęp.

Czytanie w myślach. Znów wróciła ta niedorzeczna idea. Pensri poczuła bolesne pulsowanie w skroniach.

– Tobie nikt nie będzie czytał w myślach, bo to ciebie nie dotyczy. To my pójdziemy pod nóż – powiedziała cicho, ale zdecydowanie Pimchan.

Wszyscy w końcu zamilkli, każdy po swojemu analizując, co te słowa oznaczają.

Śniło jej się, że leży w łóżku w za dużym ciele wypełnionym dodatkowymi płucami i nerkami. Mogła obracać szyję o trzysta sześćdziesiąt stopni – spojrzeć wszędzie dokoła, ale też do środka siebie, wielkiego, nabrzmałego środka. Chciała się podnieść, ale miała zdrętwiałe kończyny. Była nadęta jak balon, bezradna jak przewrócony na skorupę żółw.

Obudziła się, oddychając ciężko. Odruchowo sięgnęła lewą ręką ku prawemu ramieniu. Przesunęła palcami po prześciera-dle, niczego tam nie znajdując. Naprawdę była sama i naprawdę wszystko miała ciężkie jak z ołowiu.

Lekarze uspokajali, że koszmary na początku są normalne, tak samo jak problemy z poruszaniem. Do nowego ciała musiał przy-zwyczajić się zarówno jej fizyczny mózg, jak i psychika. Ledwo pa-miętała pierwsze przebudzenie. Chyba o coś ją wypytano, prze-prowadzono jakieś testy, badania, sprawdziany. Cały czas była w szoku, czuła, jakby wyciągnięto ją z wody na sekundy przez utopieniem. Miała wrażenie, że jest zapuchnięta, choć bionicznej twarzy to nie groziło. I była zbyt otumaniona nowymi bodźcami, by pomyśleć choć przez chwilę o Pimchan.

Usiadła. Prawa ręka przeszliznęła się niezdarnie po krawędzi łóżka, stopy ostrożnie badały grunt. Wyciągnęła je przed siebie, z zaskoczeniem podziwiając zgrabne łydki. Obie jej. Lewą ręką dotknęła tej prawej, odkrywając, że czuje palce na skórze. Nie powin-no jej to aż tak szokować, a jednak nie mogła do końca uwierzyć, że sprawuje władzę nad całym ciałem. Spojrzała w prawo, wykręcając szyję najmocniej, jak potrafiła, znów zdziwiona, że może to zrobić i nie napotyka na przeszkodę w postaci ucha siostry.

Chciała wstać, ale zabrakło jej odwagi. Co, jeśli się przewróci? Rozsądek podpowiadał, że nic się nie stanie, bioniczne ciało było wytrzymałe, zepsute części łatwe do naprawienia. Mimo to nie mogła się przemóc. Opadła z powrotem na poduszki.

– Obudziła się pani – przywitała ją lekarka.

Jej wzrok stał się na chwilę nieobecny, gdy poprzez Sieć sprawdzała wszystkie parametry pacjentki. Pensri zdała sobie

sprawę, że nie jest podłączona do żadnej aparatury. Tego wymagałoby biologiczne ciało, zaś to bioniczne po prostu na bieżąco przesyłało wszystkie informacje. Kto miał do nich dostęp? Czy ona sama mogła do nich zajrzeć? Nie miała pojęcia, jak to działa. Przywołała Sieć, ale główne menu wyświetliło jej informację, iż znajduje się w trybie serwisowym i funkcje są ograniczone.

– Przepraszam za tę niedogodność. – Lekarka zauważyła aktywność pacjentki. Pensri poczuła się z tym dziwnie. Przecież właśnie po to poddała się operacji, by pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że ktoś szpera jej w głowie. – Proszę się nie martwić. Gdy skończymy konfigurować pani nowe ECHO, ustawimy też wszystkie zabezpieczenia i ustawienia prywatności. Jak się pani czuje?

Pensri wykonała kilka ruchów na próbę. Miała wrażenie nieprzyjemnego oporu po prawej stronie. Mimo to lekarka pokiwała głową.

– Bardzo dobrze zniosła pani przeniesienie. Już dziś możemy zacząć fizjoterapię, jeśli czuje się pani na siłach.

– Mm – przytaknęła krótko.

Lekarka stała nad nią w oczekiwaniu. Teraz już na pewno niczego nie sprawdzała, po prostu wyczuła, że Pensri chce coś jeszcze powiedzieć, ale nie może się do tego zebrać.

– Pimchan...

– Pani siostra? Wciąż jest na sali operacyjnej...

– Dalej?! Ile to już godzin?!

– Około pięćdziesięciu... Czy sprawdzić dla pani postępy zespołu?

Pensri pokiwała głową; gardło miała zbyt ściśnięte, by mówić. Z nią poszło szybko, bo to był w zasadzie zabieg rutynowy, ale przypadek Pimchan okazał się dużo bardziej skomplikowany.

Lekarka wyszła. Widać nawet ona nie miała dostępu do takich informacji przez Sieć. Może dlatego, że Pimchan nie zgodziła na transmisję na żywo dla celów naukowych. Świat medyczny będzie mógł się zapoznać z procedurą rozdzielenia, dopiero gdy będzie po wszystkim.

Dwa tygodnie później w końcu mogły się zobaczyć po raz pierwszy od operacji. Pensri wciąż czuła się niezgrabnie w nowym ciele. Nawet idąc do siostry, uwagę poświęcała głównie prawidłowym ruchom. Nie chciała się potknąć, poza tym wciąż nie minął urok

samodzielności. Każdy krok zaskakiwał kobietę lekkością. Czasem po prostu zaczynała kręcić głową na boki tylko dlatego, że mogła.

Skupiona na sobie, zamaszystym ruchem otworzyła drzwi szpitalnego pokoju. Była zupełnie nieprzygotowana na to, co zobaczy. Pimchan leżała w łóżku z twarzą doskonale znaną, a jednak kompletnie inną. Nie była to twarz odbita w lustrze, nie był to kawałek nosa czy brody widziany kątem oka. Pensri przecież dobrze wiedziała, jak wygląda jej siostra, przez głowę więc jej nie przeszło, że zobaczenie jej z innej perspektywy – tak bezpośrednio i frontalnie – będzie równie szokujące.

Eddy siedział na krześle w kącie. Czoło miał spocone, a usta wygięte w grymas gdzieś pomiędzy głębokim dyskomfortem a rozczarowaniem. Posiwał częściowo w ciągu ostatnich paru tygodni. Nie przywitał się z Pensri, a ta nawet na niego nie spojrziała, wciąż zaszokowana widokiem siostry.

– To ty? – upewniła się ostrożnie Pimchan.

„No tak, ona też mnie widzi po raz pierwszy” – pomyślała Pensri, a potem zdała sobie sprawę, że jej twarz się zmieniała. Subtelnie, ale jednak. Nie próbowała wyglądać jak ktoś inny, nie chciała też udawać supermodelki, po prostu skorygowała drobiazgi i tak pewnie wynikające z wiecznego przekrzywienia zrosniętych ciał.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Pimchan. Pensri wyczuła fałsz, co ją zaskoczyło. Wcześniej jej siostra albo nic by nie powiedziała, albo powiedziała by dokładnie, co myśli. Poczwała między nimi dziwną barierę... Odległość.

– Za to ty niespecjalnie – odpowiedziała. Usłyszała coś jakby prychnięcie za plecami.

Cała pierś kobiety zawinięta była w opatrunki, jej ciało naszpikowano implantami do regeneracji nerwów. Zewsząd wychodziły rurki prowadzące do ustawionej wokół maszynery, ale Pensri nie miała autoryzacji, by móc zobaczyć, jakie gromadzą dane. Pimchan wyglądała na wychudzoną i wymęczoną – blada, zapadnięta w sobie, z włosami w nieładzie i podkrążonymi oczami. Leżała bez ruchu, nawet oddech miała delikatny. Jej głowa opadała lekko na bok, podparta poduszką; sterczała krzywo ze zdeformowanego ciała, jednocześnie bardzo drobnego i sprawiającego wrażenie za dużego na tak małą osobkę.

– Jak się czujesz?

– Nie najgorzej. A ty?

– Dobrze. – Pensri czuła się coraz bardziej skrępowana. – Jak sobie poradzili z... – Wykonała szeroki ruch ręką.

Pimchan nie odpowiedziała, tylko w oczach jej błysnęło i lekkim ruchem brody wskazała na ponurego Eddy'ego, wciąż siedzącego w kącie. Oznaczało to, że przy nim miały nie rozmawiać o szczegółach. Zamiast tego rekonwalescentka zmieniła temat.

– Obudziłam się i od razu zatęskniłam za tobą... To takie dziwne. Dokoła jest jakby... ciszej, kiedy jest się samemu. To znaczy, nie tak całkiem samemu, bo są lekarze albo Eddy, ale nie ma ciebie...

Jakże grząski był grunt, po którym teraz stąpały.

– Powiedz tak szczerze, co myślisz? – Pensri rozłożyła ręce na boki, mając na myśli swoje ECHO.

– Kocham cię, siostrzo.

– To nie jest odpowiedź.

– Będę musiała się przyzwyczać.

– Oczekujesz pochwał? Zachwyków? – wtrącił Eddy.

Kobiety zignorowały go.

– Jestem taka zmęczona. Przyjdź znowu później, dobrze? Nie chcę zapomnieć... Muszę się nauczyć, jak teraz wyglądasz.

– Dobrze. Za parę tygodni będziesz się czuła lepiej.

Nie, źle. Mówiąc „później”, Pimchan miała na myśli „wieczorem” albo „jutro”. Pensri to rozumiała i poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna zostawiać siostry w takim momencie, powinna ją wspierać. I powinna powiedzieć, że też ją kocha, ale właściwy moment już minął. Stała i patrzyła na swoją biedną bliźniaczkę, widząc narastającą na jej twarzy samotność, lęk, przerażenie. Co miała powiedzieć? Rozdzieliły się i powrotu nie było.

– Odpoczywaj. Obiecuję, że wrócę. Za jakiś czas, ale na pewno wrócę.

Pimchan skinęła słabo głową. Pensri stała już w drzwiach, gdy usłyszała:

– Tak mówisz, ale pewnie zakopiesz się w jednej z tych dziur dla sieciowców i więcej cię nie zobaczymy. Co tak naprawdę planujesz?

Normalnie Pensri odpowiedziałyby równie kąśliwie, ale w tej chwili zupełnie nie odczuwała takiej potrzeby. Już nie musiała się

przed nikim bronić. Pokręciła tylko łagodnie głowę. Sieć wydawała jej się teraz taka pusta – nie miała jej nic do zaoferowania, gdy nie trzeba już było uciekać.

Pensri spojrzała w okno. Światła kuśiły jak nigdy, rozmazane deszczem, pulsujące lekko i błękitnie, jak duchy.

– Pójdę w miasto – powiedziała ostrożnie, oczekując znajomego oporu. Nic jednak – oraz nikt – jej nie trzymało. Nie musiała się martwić ani jedną krótszą nogą, ani milczącym niezadowoleniem, że jest za późno, za głośno, za daleko. – Pójdę w miasto i się zgubię.

Jesion Kowal - poeta, prozaik i gitarzysta freeform, od zawietrznej również artysta. W pisaniu fascynuje go funkcja estetyczna języka, którą zawsze równoważy opowiadaną historię. Jego „Kary i żywioły” - przeniesienie motywów Szekspirowskiej „Burzy” na półmagiczne realia polskiego blokowiska z lat 80. - ukazały się w antologii „Ścieżki wyobraźni: Zabawa w Boga” (2017). Internetowy dwumiesięcznik literacki „SOFA” wziął w kwietniu 2017 jego tekst „Kolce”, a w lutym roku 2018 „Nowa Fantastyka” opublikowała jego opowiadanie „Nieswoi”. Współpracuje z katowickim zespołem Darzamat; wraz z dobrym przyjacielem i liderem, Flaurosem, napisał teksty na nową płytę zespołu, „The Burning Kingdom”, której premiera już nadchodzi -- w wielkich czarnych butach. Wielkimi krokami przybliży się też jego debiut w roli gościa specjalnego tomu graficzno-poetyckiego duetu Malinowska/Dwurnik, „Unhappy Ending. Poems for the Broken/Hearted”.

Jesion Kowal
KĄT ZAŁAMANIA

*Basi Adamczyk, 1974-2008.
Przeczytała to opowiadanie pierwsza.*

...dobrze? Więc proszę nam o tym opowiedzieć.

A nie moglibyśmy jutro? Pod wieczór jakiś bardziej niespokojny się robię. Odłóżmy to, dobrze?

Czasem musimy się dostosować.

Musimy? MY? A kiedy to wy ostatnio dostosowaliście się do mnie? Powiedźcie raczej: *Nie pańska decyzja*. No, ale czego się tutaj spodziewać.

Dobrze, spróbuję znów. Ostrzegam natomiast: nie wszystko z tych wydarzeń pamiętam. Im dalej, tym większa tajemnica. A was pewnie interesuje to, co było na samym końcu. Nic, zobaczymy. I ja, i wy.

Nie wyprzedzajmy faktów.

Nie wyprzedzam, tylko *uprzedzam*. Przy okazji, że tak dodam czysto w przestrzeń: gdy trafiłem tu, pod nadzór, wydawało mi się, że będę miał czas na rozmyślenia i dzięki temu zrozumieć to, co mi się przytrafiło. Ale nie udało się. W konsekwencji przerzuciłem tę nadzieję na innych. To jedno udało mi się zrozumieć, lepiej niż cokolwiek innego.

Chciałby pan tego? Żeby to inni panu wyjaśnili?

Oczywiście. Skoro nie potrafię sam... To wcale nie było tak, jak usiłują – usiłujecie – mi tu wmówić. Może chcą mnie po prostu rozdrażnić. Żebym powiedział coś nowego, żeby mieli się czego chwycić i drażnić dalej. Ale – jak wszystkim widzialnym i niewidzialnym tu wiadomo – wielce szanowne doktorstwo stwierdziło u mnie miejscowe zaniki pamięci. Niedługo wiercić nie będzie gdzie, mózg mam już wystarczająco dziurawy.

Od czego pan zacznie?

Wiadomo, od postaci. Nic by się nie wydarzyło, gdyby nie ja i Witold. Dawno go nie widziałem. Powinien mnie tu odwiedzić, swoją drogą. Możecie mu to jakoś przekazać?

Jesteśmy z tego samego rocznika; przyjaźniliśmy się w szkole, tak na śmierć i życie. Potem poszliśmy na różne studia – ja na socjologię, on na teologię. Mnie udało się ukończyć, Witoldowi nie. Nie tędy droga, jak się okazało. Dużo go to kosztowało, ta rewelacja, ta prywatna wizja nieświętego jednak w tym przypadku Jana.

Kiedy się pozbierał, szybko musiał znaleźć coś konkretnego, bo trzeba było jakoś się utrzymać. A że dziedziczył genetycznie – po ojcu – smykałkę do hydrauliki... Cóż było robić. Czasy były wtedy dużo bardziej nieskore do kompromisu z człowiekiem. Witold najał się niby na moment i tak już zostało. Tłumił przez to w sobie ogromną wściekłość. Rzadko o niej mówił. Ale nie musiał; wyłażała z niego wszystkimi porami. Zaraz po tym wielce życiowym epizodzie urwał nam się kontakt i poszliśmy każdy w swoją stronę. Jak na krzyżówce.

Na krzyżówce.

No, on w dół, a ja w poprzek.

Na skrzyżowaniu, czyli.

Nie. Na skrzyżowaniu są światła. A jeśli nie, to obowiązują kierunkowskazy. Ktoś coś komuś sygnalizuje, można się do tego jakoś przygotować i ustawić. A my najpierw zaczęliśmy mówić jeden w dół, a drugi w poprzek. Tam, gdzie wypełnione było w dół, okazywało się, że w poprzek nie ma nic i odwrotnie... W Anglii mówią na to *speaking at cross purposes*. Przestaliśmy funkcjonować jako przyjaciele; drogi nam się nie tyle rozeszły, ile rozpękły, nie mieliśmy już wspólnych punktów; sens, który wcześniej sam organizował się wokół nas, uległ rozpadowi i pozostał wiatr na rozstajach, wielokropek tylko... Niedokończenie, zawieszenie. Trochę tak, jak ja tu z wielmożnym państwem. Nie widzieliśmy się z Witoldem przez następne dwadzieścia lat i poniekąd szkoda, że tak nie zostało, bo teraz niczego nie da się ani cofnąć, ani zaprzeczyć. Zwłaszcza gdy pokażą człowiekowi zdjęcia. Trudno mi było na nie patrzeć, nawet po tych wszystkich filmach, których się człowiek naoglądał.

Natomiast jedno zauważyłem wyraźnie. Mnie na tych zdjęciach nie ma, Witolda też nie. Więc jak to jest z tym wszystkim, co się tam podobno stało?

Ze wszystkich możliwych miejsc, gdzie mogliśmy się spotkać – na ulicy, w sklepie, gdziekolwiek – było nam dane usiąść koło siebie w kinie. Ja chciałem się tamtego dnia wyrwać z pokoju w hotelu, gdzie zmuszony byłem chwilowo zamieszkać dzięki świeżo sfinalizowanej sprawie rozwodowej z żoną (bo ożeniłem się dzieśnięć lat wcześniej, z czego niecałe siedem lat, coraz przeraźliwiej chudszych, zajęło mi, by dostrzec, że żona bardzo chce to wszystko rozkuć). Witold z kolei poszedł do kina, aby zrobić cokolwiek, co przypominałoby mu, że ma urodziny. Widział ktoś tu *Powiększenie*? Premiera była ho-ho, w sześćdziesiątym szóstym. Ale to klasyka, a klasyka starzeje się inaczej. Jak wampir.

Zbratanie poszło nam wyśmienicie, więc gdy tydzień później, siedząc w knajpie, przyznałem się Witoldowi, że nie mam mieszkania, z miejsca zaproponował, bym się doń wprowadził. Argumentował, że ma dużo miejsca, a przydałoby się mu trochę towarzystwa, bo po latach kawalerskiego życia zaczyna dziwnać. Opierałem się bardziej po to, żeby dać mu szansę się wycofać. Ale nie zrobił tego. Umówiliśmy się na wizję lokalną.

Warunki miał wyśmienite. Jego ukochany wuj, zmarły nie tak dawno na wylew artysta, zostawił mu w spadku studio, niemal halę. Fakt: czuło się tam samotność. Myśl ta sprawiła mi ulgę; altruizm szybko staje się nieznośny, czy to swój, czy własny.

Czy swój, czy czyjś.

No mówię przecież.

Wiedziałem, że z nawykami kawalerskimi nie ma co walczyć, ale postanowiłem zaryzykować; powiedziałem sobie, że jak tylko wyczuję, że mu przeszkadzam, to się wyniosę i tyle. Wprowadziłem się parę dni później.

Mogę dostać coś przeciwbólowego? Coraz mocniej ćmi mnie głowa.

Wspomniał pan o rozwodzie.

Jeszcze się pojawi. Hala Witolda – artyści! – była równie przytulna jak przeciętne przyszkolne betonowe boisko. Było w tym coś symbolicznego; nasze prywatne błędne koło. Wszędzie szarość, upstrzona tu i ówdzie użytkowymi plamami: brązowe łóżko, dwa wytarte fioletowe fotele, odrapana biała kuchenka z przyległościami.

Przydzielił mi miejsce po przekątnej, jak najdalej od swojego terytorium, żeby się ciągle nie zderzać. Towarzystwo towarzysstwem, ale trochę ostrożności nie zawadzi. Położyłem w kącie materac i odgrodziłem go półkami na książki i papiery, a obok postawiłem kartony z ubraniami. No i stołek, na którym stała doniczka, a właściwie garnek, z moim kwiatem – jedyną ważną rzeczą, jaka została mi po rozwodzie.

I znów ten rozwód.

Mhm. Witold nie cierpiał swojej pracy. Dostrzegał w niej tylko tępą użyteczność, ubabraną, jak mawiał, w zielonogównym szlamie, spisującą dzień w dzień smarem na jego niegdyś niebieskim kombinezonie, na skórze i pod paznokciami. Ta użyteczność sprawiała, że czuł też pewien elementarny szacunek. Wiedział, że bez tego nie byłby w stanie funkcjonować. Wtedy zastanawiałem się, dlaczego tej pracy nie rzuci; teraz zdaję sobie sprawę, że człowiek przyzwyczaja się do zamkniętych drzwi.

Pewnego dnia wrócił z pracy w dziwnie szampańskim humorze i zażartował, mówiąc, że jest jednym z garstki hydraulików na planecie, którzy mają w domu rozstawione sztalugi. Choć mieszkalem tam już ładną chwilę, dopiero wtedy zmusił mnie, bym je zauważył. Stanąłem przed nimi i gdzieś pod zwykłym zdziwieniem poczułem coś jeszcze. Zapowiedź? Obietnicę? Prosta drewniana konstrukcja, a tak pięknie nieruchoma i wyniosła.

Szkoda, że nie zobaczyłem nic więcej. Trzeba było się wtedy wprowadzić.

Po co ja to w ogóle opowiadam? Wszystko przecież wiecie lepiej ode mnie. Ile razy już to słyszeliście? No, ILE?

Spokojnie. Wspomina pan o rozwodzie, a jednak unika pan szczegółów. Kiedy się pan rozwiódł?

Wcale nie unikam, po prostu wcześniej były ważniejsze rzeczy.

Przecież nie zamieszkałby pan z Witoldem, gdyby nie rozwód.

Słusznie. Nie zamieszkałbym z Witoldem, gdyby nie rozwód.

To nie jest ważne?

Jak to nie jest ważne? Oczywiście, że jest ważne. Nie chciałem tego rozwodu, ale żona, zaślepiona monstrem – i, jak codziennie zapewniała mnie z drugiego pokoju, wciąż rosnącą – niechęcią do mnie, wreszcie postawiła na swoim.

Fakt, że coraz trudniej było nam ze sobą wytrzymać. Drobnie niesnaski kończyły się albo awanturami, albo tygodniami milczenia. Już od dawna sypialiśmy oddzielnie, później zaczęliśmy jadać oddzielnie, a jeszcze później przyszedł czas na oddzielne oglądanie telewizji. Na wszystko znalazłoby się jakieś wytłumaczenie: seks przestał być tak bardzo istotny; jadaliliśmy o różnych porach; podobały nam się inne filmy. Przyszedł jednak ten moment, kiedy zaczęliśmy nawet rozmawiać oddzielnie, i to był początek końca.

Tak trochę jak z Witoldem.

W ogóle nie jak z Witoldem. Z dwójki ludzi zrobiła się czwórka: moja żona, ja, jej wyobrażenie mnie i moje wyobrażenie jej. I wszyscy równie realni. Z żoną nie stykaliśmy się praktycznie w żadnym momencie, a nasze wyobrażenia o sobie nawzajem zwyczajnie przez siebie przechodziły. Dziś, z perspektywy, widzę, że musiało się to tak skończyć, wtedy jednak ciągle miałem nadzieję na cud. Czekałem, znosząc coraz bardziej toksyczną atmosferę. Przecież mogło być gorzej, mówiłem sobie, nie musimy się kochać, żeby ze sobą żyć. Wszystko da się jeszcze jakoś posklejać. Nie miałem racji.

Wszystko zmieniło się, gdy w naszym przedpokoju pojawił się kwiat. Wszedłem rano z pokoju i wtedy go zobaczyłem. Sterczał tam bez żadnej donicy, jak gdyby wbito go w podłogę, jak gdyby wyrastał wprost ze środka betonu, przebijając wierzchnią warstwę

razem z wykładziną. I tak właśnie było: przekonałem się o tym – czy raczej: przekonaliśmy się (ostatnia rzecz, jaką zrobiliśmy razem, nie licząc rozprawy i całego tego uśmierdłego szlamu) – podając całość dokładnym oględzinom. Kwiat był wielki i obłąkańczo wręcz żółty; mocna, sztywna łodyga; liście purpurowe i skrzycone, całe błyszczące. Pomyślałem, że przypominają pijawki.

Nie myliłem się. W pewnym momencie zanadto zbliżyłem rękę – skąd mogłem wiedzieć? – a jeden z liści od razu przyssał się do przedramienia, wyraźnie pęczniejąc z każdą sekundą. Zaskoczony, wpatrywałem się weń przez chwilę. Nie czułem bólu, nie od razu. Wreszcie oderwałem rękę; liść zadygotał, a płatki kwiatu, na których teraz widać było ciemnoczerwone żyłki, gniewnie zafalowały. Oszupiał, popatrzyłem na żonę.

Była uśmiechnięta. Znałem ten wyraz twarzy. Wcześniej wmaślałem sobie, że to subtelna drwina, wtedy jednak zobaczyłem, że nic tak wyraźnego nie może być subtelne. Żona była delikatnej urody, a uśmiech leżał na niej jak ostra, rozmazana konturówka. Po chwili ujęła jeden z liści w dłoń. Nie próbował jej atakować, leżał spokojnie i pozwalał się dotykać.

I widząc to, nic pan nie powiedział? Nie zrobił?

Owszem, zrobiłem: wstałem i poszedłem do łazienki. Wmówiłem sobie, że to właśnie obchodzi mnie najbardziej, że trzeba iść obejrzeć i zdezynfekować przedramię. Gdy skończyłem, zaszyłem się we własnym pokoju. Do dziś pamiętam, jak kilka godzin później, wychodząc do kuchni, zauważyłem, że żona znów tam klęczy, spryskując i przecierając liście. Zdawało mi się też, że słyszę szept. Ale zaraz ucichł. Wróciłem do siebie, wziąłem podpisane papiery i bez słowa wręczyłem żonie. Wzięła je ode mnie bez słowa, nawet na mnie nie patrząc, i wróciła do spryskiwania i przecierania. Odchodząc, zauważyłem, że jej gesty zrobiły się wygładzone na końcach.

W ciągu następnych kilku tygodni kwiat nie próbował mnie już więcej atakować, ale rozrósł się tak bardzo, że liście, łodygi i korzenie były już prawie wszędzie: w szafach, na półkach, w kuchni, w łazience. Oplatał wszystko, wysysając soki ze sprzętów i przedmiotów. Tak długo wysycaliśmy je wzajemną niechęcią! Mniejsze

rzeczy bezpowrotnie ginęły w listowiu i nie pozostawały po nich nawet truchła. Większe wiły się bezgłośnie w sieci, powoli kurcząc się i obumierając.

Jeśli wydawało mi się, że postępowanie rozwodowe cokolwiek zmieni na lepsze, to byłem w błędzie. Kwiat żarłocznie tryumfował. Wkrótce całe mieszkanie wypełniło się jego duszącym zapachem, a powietrze, ciężkie i wilgotne, niemal wlewało się do płuc. Sen był mi potrzebny, a bardzo trudno było mi zasnąć. Kilka razy po szczególnie ciężkich nocach próbowałem kwiat ściąć, jednak za każdym razem, gdy stawałem nad nim z tasakiem, żona przyłapywała mnie i podnosiła wrzask. Wpadała w szał i groziła, że zadzwoni po policję i powie, że chcę ją zabić. Uwierzyłem raz; potem, przez analogię, wierzyłem już za każdym razem. Może trzeba było zaryzykować. Nie trwało to zresztą długo; parę dni później stwierdziłem, że nie będę więcej próbował.

Myślę, że rozwód, jak na ironię, przebiegłby trochę sprawniej, gdyby nie kwiat. Nie było jak walczyć o wspólny dobytek, bo najpierw trzeba było czekać, aż coś się znajdzie, a potem dopiero skakać z pazurami. Ależ mnie to zmęczyło. A w międzyczasie sąd i cały ten proceduralny cyrk. Ale wreszcie zapadła decyzja i było po wszystkim. Pozostał nam tydzień na wyniesienie się z mieszkania.

Odczuł pan ulgę?

Czy ja wiem... Bardziej zajmowało mnie to, co działo się z kwiatem. Po finale na kilka dni znieruchomiał, a potem zaczął marnieć w oczach. Może gdybyśmy z żoną walczyli o każdy nóż i widelec, toksyczna atmosfera dostarczyłaby mu soków. Ale, jak się okazało, żona chciała się po prostu ode mnie uwolnić. W sądzie miała okazję pokazać mi, jak wiele krwi jej napsułem, ale jej nienawiść była skierowana nie tyle przeciw mnie, ile przeciw temu, co sobą przedstawiałem. Przeciw temu, jak jej własny obraz załamywał się, gdy byłem obok, jak przez mój pryzmat widziała siebie. A widziała błędne decyzje, okrutne wręcz kompromisy, zmarnowane lata. Ja sam tkwiłem nieopodal tego wszystkiego: przejrzysty, nieumyślny sprawca. Ja, wersja dwa zero.

W momencie, gdy nastąpił upragniony koniec owego „pożalowania godnego epizodu w jej życiu”, stałem się symbolem

przeszłości, którą chciała – musiała – zostawić za sobą. Umierałem w jej oczach jako człowiek, równocześnie rodząc się jako widmo. A kwiat, niepodlewany i niezdolny do dalszego wysysania soków – skończyły się – umierał wraz ze mną. Kurczył się, wysychał i blaknął: codziennie po trosze, coraz szybciej i szybciej. Chciałem pozwolić mu umrzeć, z satysfakcją wpatrywać się w postępującą agonię, popijać wino i tryumfować.

Nie byłem w stanie. Na początku odwracałem oczy. Zbierałem opadłe liście z podłogi i wyrzucałem do kosza, automatycznie, bezrefleksyjnie. Byłem zajęty, miałem tyle spraw na głowie. Stopniowo w mieszkaniu pojawiała się coraz więcej światła, więcej świeżego powietrza. Znajdowałem też coraz więcej przedmiotów, których nie zdążył w całości wchłonąć: fragmenty srebrnej zastawy, niektóre nieuszkodzone, stare taśmy, absolutną większość moich narzędzi, kilka nienaruszonych niemal, wspólnie kupionych książek, a wszystko porozrzucane po wszelkich możliwych kątach i zakamarkach. Dotarło do mnie, że umierając w oczach żony, ekszony, odzyskuję siebie i swoje życie. Czy tego chciałem? Nie. Ale może faktycznie tak było lepiej.

Pewnego dnia po powrocie z pracy zobaczyłem, że z kwiatu została już tylko jedna rachityczna łodyga z kilkoma pomarszczonymi listkami. Śmierć sama w sobie zawsze wydawała mi się tak bezsensowna. Musiałem działać.

I powstrzymać śmierć? Na pewno zgodzi się pan, że brzmi to...

Działałem instynktownie, czysto instynktownie. Miałem jakieś przeczucie, że być może się uda – wiedzieć nie miałem jak, można było tylko eksperymentować. Może to był błąd, biorąc pod uwagę wszystko, co stało się później... Nie wiem.

W kuchni znalazłem wielki, poczerniały od spalenizny garnek. W jednej z szuflad natknąłem się na cały pojemnik ze starymi, pogiętymi i pordzewiałymi gwoździami, a obok niego drugi, identycznych rozmiarów, wypełniony resztkami uszczelek i jakiegoś plastiku. Potłukłem na miazgę kilka szklanek i dwa lusterka, odszukałem wypełnioną po brzegi popielniczkę. Wsypałem to wszystko do garnka, dodałem cały pieprz i całą sól, jakie tylko znalazłem, po czym podlałem naftą, rozpuszczalnikiem i wodą.

Tam właśnie przesadziłem kwiat. Postawiłem go w najciemniejszym kącie i wyszedłem z pokoju. Był wieczór.

Czekając na efekty, zastanawiałem się, czy nie powinienem był do tak zaimprovizowanej donicy wrzucić kilku rzeczy żony. Zmiana gleby w krytycznym momencie była ryzykowna, ale nie miałem zamiaru karmić go niechęcią do osoby, która kiedyś wydawała mi się bliska; nawet jeśli teraz z satysfakcją obserwowała mój rozpad, nie potrafiłem jej znienawidzić. Teraz myślę, że nie dość się starałem, ale wtedy wydawało mi się to takie... Szlachetne chyba. Nieważne. Ona nawet palcem nie kiwnęła, a przecież kwiat należał do niej. Chciałem, by przetrwał, ale nie kosztem wyciskania z siebie jadu. Myślałem o tym wszystkim i przysnąłem. Na siedząco, w fotelu.

Pamiętam, że w środku nocy, na pół jeszcze śpiąc, wyszedłem z pokoju, by sprawdzić, co się z nim dzieje. Zobaczyłem kilka załączków nowych liści i kilka małych żółtych kwiatków – miniaturek tego ogromnego i wściekle żółtego, który wcześniej zajmował cały przedpokój. Ucieszyło mnie to.

Półprzytomny, wróciłem na fotel. Nie chciało mi się ścielić kanapy; nie chciało mi się robić nic, co mogłoby wytrącić mnie z autentycznego zadowolenia. Uczucie dobrze spełnionego obowiązku, podszyte równocześnie jakimś przeświadczeniem bliżej nieokreślonego tryumfu – nad czym? nad śmiercią? miła niedorzeczność – wszystko to spowodowało, że zasnąłem spokojnie i głęboko, jak dawniej. Coś mi się nawet śniło.

To uczucie towarzyszyło mi później jeszcze przez kilka dni, w trakcie których kończyłem proces zamazywania się i znikania z życia żony. Wprowadziłem się tymczasowo do pewnego taniego hotelu, w pierwszej kolejności wynosząc tam świeżo przesadzony kwiat. Nie chciałem, by żona go zobaczyła.

Nazwałem go Xerxes.

Piękne imię.

Agresywne. Gdy je wymawiałem, nawet w myślach, to zawsze przez „x”, a nie „ks”. Pasowało. Również dlatego, że po tym wszystkim dalej nie był mi do końca przyjazny. Czułem jednak wyraźną zmianę nastawienia. Był rozdarty między agresją a szacunkiem,

który całkiem naturalnie mi się należał; czasem dawał mi się dotykać, niecierpliwie czekając, aż skończę, a czasem bronił się przede mną i przeciągał tymi swoimi szorstkimi liśćmi po mojej ręce. Nigdy już jednak nie zrobił mi krzywdy. Dbałem o niego. Ta jego żrąca inteligencja bardzo miała się później przydać. Najważniejszy szlif.

Wróćmy do Witolda.

A po co? Potem przeniosłem się do niego, a potem... Wszystko już o nim powiedziałem. Nic więcej nie pamiętam. Nic nowego wam nie powiem. Nie wiem. Sam nie wiem.

Proszę się uspokoić. Niech pan usiądzie. O, właśnie. Teraz dobrze. Wspominał pan o sztalugach?

Tak, sztalugi. Właśnie, wszystko przez te sztalugi. To był początek całego tego zamieszania. Stały tam, w kącie, a ja... Tak jakoś się stało. Coraz bardziej boli mnie głowa. Wtedy też mnie bolała. Coś jest nie tak z tymi waszymi tabletkami.

Proszę się skupić.

Był czwartek. Czwartek? Czwartek – jak to było u Gogola? Czterdziestego piątego szesnastego, czy jakoś tak, w każdym razie czwartek jak w pysk strzelił. Przez kilka dni nie zwracałem na nie uwagi, ale tamtego dnia sztalugi wuja Witolda znów przyciągnęły mnie do siebie. Tak skutecznie, że w wielkim kartonie stojącym koło nich znalazłem cały malarski sprzęt.

Miałem halę dla siebie. Wyciągnąłem więc kilka farb i wycisnąłem je po trochu na paletę. Nie bardzo wiedziałem, co robię, ale instynktownie zacząłem je mieszać. Wyszło parę odcieni, które zaraz mi się spodobały. Coś tam zacząłem mazać. Nawet nie wiem kiedy, ale pokryłem tylną nogę sztalug jakimiś szlaczkami i bazgrołami. Próba pędzla, *take one*. Całkiem ładne mi wyszły. Brakło miejsca, więc znalazłem inny, pusty karton i podarłem go na kilka płaskich prostokątów. Ustawiłem jeden na sztalugach i tak zacząłem. Od nowa; coś innego.

Słyszałem, jak Witold wrócił z pracy, ale nie odwróciłem się. Byłem zajęty. Podeszedł wprost do mnie, ściągnął tylko torbę z ramienia. Słyszałem ten znajomy, głuchy stuk. Takie *klakk*: torba o podłogę, a narzędzia o siebie. Właśnie kończyłem. Czułem, że Witold staje za mną, czułem, że nieruchomieje i stoi tak dłuższą chwilę. Ale trzeba było jeszcze postawić ostatnie maźnięcia, szczególnie tu, szczególnie tam. Odwróciłem się, dopiero gdy uznałem, że wystarczy. Odłożyłem pędzel.

Gdzieś w środku widziałem, co chcę namalować, ale celowo nie patrzyłem zbyt uważnie, jak to wychodzi. Chciałem dać się ponieść samemu machaniu pędzlem. Teraz odsunąłem się i zobaczyłem obraz w całości.

Namalowałem drzwi. I kawałek korytarza. Drzwi były zielone, miały drewnianą klamkę, wizjer i okrągłą blaszkę z numerem 57. Nieźle zgadzało się z tym, co widziałem w głowie. Malarski sukces.

Spojrzałem na Witolda. Tkwił nieruchomo przed obrazem. Wszedłem więc między nich i zajrzałem mu pytająco w twarz. Wyglądał tak, jakby bezruch przed czymś go chronił. Próbowałem go jakoś z tego wytrącić, ale nie zwracał na mnie uwagi. Wrzasnąłem. I wtedy się ocknął. Popatrzył – popatrzyliśmy razem – na te drzwi i Witold powiedział, że właśnie stamtąd wrócił. Niecałe pół godziny temu naprawiał tam rury.

Nie chciałem mu wierzyć, a on mówił coraz szybciej. Wezwali go dziś rano, gdy był w pracy, drobna awaria, w sumie nic, co nie mogłoby poczekać, drryń, telefon i włącza się jakaś kobieta, która nie chce w ogóle słyszeć, że realizuje się naprawy zgłoszone poprzedniego dnia i nic się już dziś nie zmieści. Była coraz bardziej opryskliwa i zła; a potem facet, spokojniej, ale też nieprzyjemnie, niby z dystansem, ale tak naprawdę z wyższością, a w głosie miał jad, i powiedział, że zapłacą, ile chcę, podwójnie czy potrójnie, tylko żebym wreszcie łaskawie przyszedł, bo oni takie rzeczy wolą załatwiać od ręki i prywatnie. No to się poszło i zrobiło; faktycznie zapłata dobra, ale bardziej za to, co trzeba było wysłuchać.

Powiedział to wszystko i nagle umilkł, a ja stałem i stałem, wpastrując się w te namalowane drzwi, jakbym widział niemal, jak się otwierają i jak go wpuszczają, i jak idzie tam, na lewo, do luksusowej łazienki, żeby ten mały przeciek pod umywalką zlikwidować,

jak klęka i rozpina torbę, i jak wyciąga ten ciężki klucz francuski. Potem... Potem już nie pamiętam.

Nie pamięta pan?

Nie. Naprawdę chcę to zobaczyć i sobie przypomnieć, ale coś się dzieje ze światłem, coś mi nie pozwala.

Może jednak, cokolwiek? Niech się pan skupi!

Coś... Jest jeszcze jedno, takie... Chyba wspomnienie albo coś na kształt. Wiem, że Xerxes znów się nagle rozrósł, jak gdyby chciał mnie przed kimś bronić. Albo przed czymś. I znów wszędzie te jego liście, już tam, w hali. Bardzo się do mnie przywiązał. Może ludzie za tymi drzwiami chcieli mi zrobić krzywdę? To by się zgadzało... Pamiętam, że jeszcze zanim tam pojechaliśmy, Witold podszedł do mojego kąta, a Xerxes nagle chwycił go za ramię...

Chcę sobie przypomnieć, chcę to zobaczyć, ale coś dziwnego dzieje się ze światłem, nic nie widzę wyraźnie. Jeden wielki kalejdoskop. Krzyk schwytanego Witolda. Nie wiem, co się tam później działo. Nie wiem, czy kiedykolwiek wiedziałem. Nie wiem.

Jak się nazywał pański przyjaciel?

Witold.

Nieprawda. Nie nazywał się Witold. Jak się nazywał?

Nie wiem. NIE WIEM. NIE WIEM! Tyle tego i dalej nic! Nie jesteście w stanie mi zaświecić prosto w łeb, żeby wreszcie było coś widać?! Nie jesteście w stanie...

Panie, panowie, myślę, że to wystarczy.

Wys...? Wystarczy? Jakie „wystarczy”?

Brunon Kardański. Tak nazywał się pański przyjaciel. Dalej pan nie pamięta? Chodziliście razem do szkoły podstawowej. Proszę sobie

przypomnieć taką scenę: stoicie razem na boisku szkolnym, gdzieś daleko w przodzie trwa zacięty mecz, Brunon sterczy w bramce jak kij od szczotki – to pańskie słowa, panie Witoldzie – a pan jest obrońcą. Raz na jakiś czas odrywacie się od rozmowy, żeby poudawać, że próbujecie przeszkodzić „drużynie nieprzyjacielskiej”, jak to określa wasz kapitan, w zdobyciu gola. Jeśli komukolwiek się to udaje, to nie wam. Wy tylko udajecie. Żeby nie mieli wam za złe, gdy już stracą piłkę tam, na przedzie. Nie tak pan to opowiadał?

Brunon? Jaki...?

A teraz inna scena: umiera pański ojciec. A ponieważ był taki, jaki był, jest to w zasadzie najszcześniejszy dzień w pańskim nastoletnim życiu. Pod opiekę bierze pana wuj Anatol, artysta malarz. Czuje się pan tak naprawdę bezpiecznie, chyba po raz pierwszy. Dostaje pan tylko surowy, jak najsurowszy zakaz majstrowania przy jego farbach i sztalugach. I nigdy, przenigdy, ani razu go pan nie łamie, bo desperacko chce pan, by tym razem wszystko się udało. Żeby wreszcie było dobrze.

I to życzenie się spełnia. Nareszcie jest jak należy.

WIEM, jak nazywał się wuj Witolda! Nazywał się...

Anatol Trapicz. Dwa lata temu umiera i wszystko po nim dziedzi czy właśnie pan, łącznie z dużym studium-halą, do której decyduje się pan wprowadzić po około roku. Przez pamięć o zmarłym zmienia pan w wystroju tylko to, co absolutnie konieczne. Kąta warsztatowego, gdzie w dalszym ciągu stoją rozstawione sztalugi, nie rusza pan w ogóle, wedle dawnej woli. To jak żywy, wciąż unerwiony kawałek pamięci.

Mieszka pan tam niecały rok. Źle znosi pan samotność. Pewnego dnia, w swoje urodziny, wychodzi pan do kina.

Pewnego dnia wychodzę... Zaraz! A mój rozwód?

W kinie spotyka pan dawnego przyjaciela. Który kilka dni później wprowadza się do pana hali. Brunon Kardański, świeżo upieczony rozwodnik.

A MÓJ rozwód?

Przez pierwszy okres życie ze współlokatorem idzie całkiem dobrze. Dużo rozmawiacie, zżywacie się. Pewnego wieczora w żartach zwraca pan jego uwagę na półabsurdalną w pańskiej rzeczywistości hydraulika obecność profesjonalnie wyposażonego kąta z przybarami malarskimi. Odślania pan kotarę, za którą stoją sztalugi, pudła z farbami, stoje pełne pędzli, wszystko tak, jak zostawił Anatol Trapicz. Kardański wydaje się zaciekawiony, ale że pora jest późna, wkrótce mówicie sobie dobranoc i rozchodzicie się do swoich kątów.

Gdzie MÓJ ROZWÓD?!

Następnego dnia wraca pan z pracy i widzi, że kotara jest odślonięta. Widzi pan Kardańskiego, który stoi w miejscu, gdzie nikt oprócz pana nie ma wstępu. Widzi pan, że przestawił i obniżył sztalugi tak, by było mu wygodnie, a teraz z pędzlem w jednej ręce wyciska świeżą porcję farby na paletę wuja.

Ściąga pan torbę z ramienia i wyjmuje z niej klucz francuski. Ten właśnie klucz, który widać na zdjęciach.

Marta Magdalena Lasik – rocznik '85. Sercem i duszą wrocławianka. Z wykształcenia energetyk odnawialny i operator elektrowni jądrowych, ale na co dzień robi coś zupełnie innego. Korposzczur. Po godzinach fotograf i opowiadaczka. Publikowała m.in. w „Okolicy Strachu”, „Fenixie” i „Fantazjach Zielonogórskich”.

Marta Magdalena Lasik
BAJKI DO OPOWIEDZENIA

S tarszy brat Ade od zawsze powtarzał, że w końcu opuści ich konstelację, pójdzie na południe zobaczyć wieki świat i nawet się nie odwróci. Dla niej „zawsze” oznaczało góra jedenaście lat, bo tyle miała w chwili, gdy w końcu to zrobił. Wyruszył dzień po tym, jak przestało padać i wiatr przewiał szare chmury znad doliny. Może zresztą Åge wcale nie planował wtedy odchodzić, a zrobił to przez wzgląd na Inge, której ciało zaledwie dwa dni wcześniej Vargav i Lasse znaleźli na rozstajach na południe od konstelacji.

Ade nie wiedziała. Pewne było dla niej tylko jedno: Åge faktycznie się nie odwrócił. Lasse i Vargav znaleźli jego zwłoki na tych samych rozstajach, na których znaleźli Inge. Leżały na wznak, a głowa na przełamanej szyi skierowana była na południe. Wokół krążyły ptaki i raz za razem próbowały coś uszczknąć, ale w końcu się poddały. Wtedy przenieśli ciało do niskiej wiaty i tam je zostawili.

Ade nie rozumiała, czemu ptaki były tak natrętne.

– Chciały się najeść – wyjaśnił jej Lasse, ale niczego więcej o odejściu Åge nie chciał powiedzieć. Pogłaskał ją po głowie i dodał: – Ptaki są głupie, nie rozumieją, że jesteśmy niejadalni.

Z tego dnia Ade zapamiętała jedno: ptaki są głupie.

Promienie słońca przenikały przez korony drzew i kładły się na trawie mozaiką światła i cieni. Ojciec Kasjan patrzył na to i próbował docenić piękno tego widoku. Zachwycić się i wyciągnąć z tego zachwyty spokój ducha, który pomógłby mu przełamać opór mięśni twarzy zastygłych na kształt pozbawionej wyrazu maski.

Raz jeszcze spróbował się uśmiechnąć, ale czuł, że jeden kącik ust powędrował wyżej niż drugi, mięśnie drżały i mężczyzna musiał zaciskać zęby, aby nie uderzały o siebie. Wyszedł mu brzydki grymas, ale na nic lepszego nie było go stać. Powoli, bardziej ze strachem niż powagą, sięgnął do pulpitu i dotknął jedynej widocznej na nim ikony. Drobne opóźnienie wydawało się wiecznością, ale wreszcie stara maszyna kremacyjna ruszyła i z ukrytych głośników popłynęła spokojna, podniosła muzyka. Trwała osiem minut i dwadzieścia jeden sekund – policzył to kiedyś – ale tym razem

miał wrażenie, że dobiegła końca o wiele za szybko. Cisza spadła na niego i chwyciła za gardło. Powinien był się odwrócić i wdać w rozmowę z żałobnikami. Pocieszać ich i wspominać razem z nimi, a zamiast tego wpatrywał się w ekran. Wskazanie temperatury powoli malało, aż w końcu zrównała się ona z temperaturą otoczenia. A on patrzył dalej. Nie zareagował, gdy maszyna zapytała, czy zamierza kontynuować, tylko patrzył dalej, aż monitor zgasł i nie było już nawet w co wbić wzroku – czym grać na zwłokę.

Odwrócił się i spojrzał na puste ławki.

Nie było kogo pocieszać.

Nie było z kim wspominać.

Tylko on przyszedł na pogrzeb Szymona.

Nikt inny przyjść nie mógł, bo oto ojciec Kasjan pochował przedostatniego mieszkańca Zamkniętej Konstelacji Kardelany.

– Chciałem zgłosić zgon.

– Oczywiście, ojcze Kasjanie. – Głos SI-Hùji brzmiał neutralnie.

– Siedemnastego lipca dwa tysiące trzysta trzydziestego siódmego roku zmarł Szymon Alwin Karszy. Pogrzeb został odprawiony osiemnastego lipca tego samego roku przez ojca Kasjana Stempina, zgodnie z prośbą zmarłego – wypowiadał wyuczone ciągi słów i głos niemal mu nie drżał. – Zmarły cały swój dobytek zapisał w spadku wnukom.

– Feliks i Lena Karszy przekazują podziękowania za zajęcie się ich dziadkiem. Oboje podjęli decyzję, by materialny dobytek po nim przekazać na użyteczność jego zamkniętej konstelacji.

– Konstelacja dziękuje – odpowiedział ojciec bez zastanowienia słowami, których użył wiele razy wcześniej. Już nawet nie przejęło go, jak mało czasu potrzebowała SI, aby poznać i przekazać odpowiedź Feliksa i Leny.

– Ojcze Kasjanie, według posiadanych przeze mnie danych – a oczywiście, że SI miała najaktualniejsze dane – pozostałeś ostatnim mieszkańcem Zamkniętej Konstelacji Kardelany. Czy chcesz rozpocząć przygotowania do procedury zanurkowania, czy wolałbyś dołączyć do innej konstelacji?

Siedział na wprost wyprzeźroczonej ściany i patrzył na domy po drugiej stronie ulicy. Tak naprawdę nie zmieniło się

wiele – umarł zaledwie jeden człowiek, Kardelany nie stały się przez to dużo cichsze, a jednak dla ojca Kasjana różnica była przytłaczająca. Dwa dni temu mógł pójść pół kilometra wzdłuż głównej alei i dotrzeć do domu Szymona, by tam rozmawiać o dawno nieżyjących sąsiadach i słuchać narzekania na wnuki. Pamiętał je – Lenę i Feliksa. Urodziły się tak jak on z materiału pozostawionego na twardej Ziemi przez rodziców, zanim ci zanurkowali do Okeanu, ale zamiast zostawić dzieci w zetce odchowawczej, wysłali je do Kardelan, by dorastały z dziadkami, wśród twardych ludzi. A potem, z dnia na dzień, bliźniaki zniknęły, zostawiając za sobą dwa zimne ciała w stacji konwersji. Nie było nawet listu pożegnalnego. Teraz prowadziły ograniczone jedynie prędkością transferu życie w Okeanie. To, co zostało na Ziemi, nie miało dla nich znaczenia. W porywie liczyły się hajlajty – zamrożone w chwilach swej świetności Paryż, Rzym, Kyoto, Wielki Kanion, Islandia czy lej po San Francisco, do których bliźniaki spływały prosto z Okeanu. Tam, przywdziewając t-heksowe kadawery, mogły bawić się w twardych ludzi przez kilka dni, i to im wystarczało. Pozostawiona w głuszy zetka nie miała dla nich znaczenia.

Kasjan skrzywił się i wstał. Wyszedł na dwór przejść się znajomymi ścieżkami i patrzeć, jak lśniący deszcz uderza o sklepienie. Wszystko to w ciszy.

Ostatni raz słyszał własny głos w dniu pogrzebu, gdy rozmawiał z SI trzymającą pieczę nad pozostałymi na Ziemi twardymi ludźmi. Współczująca współczuciem doświadczeń zmagazynowanych w bazach danych i idealnie dopasowana do tej jednej sytuacji, z którą mierzyła się całe swoje istnienie, zadała pytanie, które przełamało otępienie towarzyszące ojcu Kasjanowi od chwili, gdy stanęło serce Szymona. Z trudem trzymane w ryzach myśli rozpały się na biały bezsensowny szum złości, wyrzutów i żalu...

Nie – wykrzyczał i zakończył połączenie.

Potem już tylko milczał.

List pojawił się na progu sześć dni później i zawierał tylko jedno zdanie:

ON BYŁ OSTATNI.

Trzymając go w dłoniach, ojciec Kasjan czuł fakturę i ciężar papieru, a przede wszystkim zapach zgnilizny wywracający żołądek do góry nogami. Dokładnie taki, jaki zapamiętał z najpilniej strzeżonych archiwów, do których pozwolono mu zajrzeć tylko kilka razy pod koniec nauk w Starym Watykanie. Wystarczyło jednak, by odblokował komunikację na styk i wrażenie prawdziwości papieru zniknęło. W powietrzu ponad tekstem wykwitło pytanie:

CZY CHCESZ ZACHOWAĆ TĘ KONFIGURACJĘ?

TAK | NIE

Wybrał „nie” i list rozpadł się na niewidoczny gołym okiem t-heksowy pył. Ojciec Kasjan usiadł na ziemi i odetchnął głęboko. Nawet bez patrzenia w metryczkę wiedział, że to Lánxīng spreparowała tę wiadomość, i doceniał zarówno fakt, że dała mu tak dużo czasu na żalobę, jaki i formę komunikacji. Znalezienie tak dokładnego wzorca zajęło jej może nawet kwadrans, podczas którego on wpatrywał się w chmury kłębiące się ponad sklepieniem ZK Kardelany.

: Bardziej archaicznej formy nie znalazłaś?:

Rzucił na privie; odpowiedziała, zanim zdążył mrugnąć.

: Znalazłam, ale małowidło naskalne raczej nie byłoby zabawne.

Roześmiał się. Ona również.

: Mogę wpaść?

Jego wahanie musiało dla niej trwać nieznośnie długo.

: Tak.

Uniesione niewyczuwalnym wiatrem t-heksy najpierw utworzyły pęczniejący pień, a potem, niczym zastraszająco szybko rosnące drzewo, Lánxīng zmaterializowała się przed ojcem w swoim standardowym templejcie. Niska, o tak jasnym, że wpadającym

w błękit kolorze skóry, lekko zarysowanym nosie i dużych, migdałowych oczach mieniących się niebieskim i żółcią – wypisz wymaluj lata trzydzieste dwudziestego drugiego wieku.

– Gdzie znalazłaś taki wzór papieru?

– W repo jakiejś starej gry, która ma rzeszę niemal dwustu-letnich fanów defragmentujących się przy każdym trudniejszym pytaniu. Ale fajnie było w tym grzebać – odpowiedziała natychmiast. – Kas, co planujesz?

Podeszła do niego. Patrzyła mu w oczy, a przynajmniej tak to wyglądało, bo może ciągnęła informacje z całych Kardelan i przestrzegała go jako elementu zetki. Nie wiedział. Przyszli na świat tak samo, ale teraz różniło ich prawie wszystko.

– Jeszcze rozważam opcje – skłamał Kasjan.

– Mówisz, jakbyś miał ich tak wiele! – prychnęła Lánxīng. – Możesz się przenieść lub zanurkować. To drugie jest proste. To pierwsze... Dobrze, tu masz jakiś wybór. Hùjì, momencik?!

– Tak? – Głos SI spłynął z kopuły na całe Kardelany.

– Ile zamkniętych konstelacji pozostało na Ziemi? Wlicz odchowawcze i te hajlajty, gdzie na stałe mogą mieszkać twardzi ludzie.

– Sto siedemdziesiąt cztery – odpowiedziała natychmiast SI.

– A ludzi?

– Sześćdziesiąt sześć tysięcy dwustu piętnastu, uwzględniając potomstwo Okeañczyków w konstelacjach odchowawczych. Czy mam –

– Dziękuję. – Lánxīng weszła SI w słowo. – To wszystko. Sto siedemdziesiąt cztery, z tego czterdzieści siedem zgodnych z twoim profilem społecznym. – Tą jedną informacją Lánxīng udowodniła, że cała rozmowa z SI-Hùjì była przedstawieniem, bo mogła mieć te informacje, nie poruszając kadawerem i w czasie krótszym, niż trwało zadanie pierwszego pytania. – Pewnie można by to jeszcze zawęzić o te, które potrzebują lub wkrótce będą potrzebowały kogoś takiego jak ty.

– Mam zaproszenie od Lamberta – odezwał się Kasjan, zanim powiedziała mu, ile zetek spełnia to kryterium. Nie chciał tego wiedzieć.

Lánxīng gwizdnęła i usiadła obok niego. Od jej ciała biło ciepło, ale to było całe podobieństwo do twardego człowieka. Nie

pofatygowała się skonfigurować żadnych pseudotwardoludzkich funkcji kadawera; nie pachniała, nie mrugała, jej klatka piersiowa nawet nie drgnęła w imitacji oddechu.

– Lambert? Jesteś tego pewien? – Nie dała mu czasu na odpowiedź. – Rozumiem sentyment z młodości, ploteczki na falach Okeanu o wiernych owieczkach i zdrajcach ludzkości. – Jej głos nie sugerował kpiny, ale ojciec Kasjan i tak usłyszał ją w używanych z premedytacją zwrotach preferowanych przez Lamberta. – Nie jedź tam – i nagle znowu mówiła jak Lánxīng, którą znał. – Zwykle ograniczenia o tym, kto i w jaki sposób może spłynąć do zetki, leżą po stronie zetki. Narzucają wymagania co do kadawerów, wymuszają pewne zachowania, zabraniają innych i albo się do nich dostosujemy, albo, zgodnie z trzecią poprawką do porozumienia o Ładzie Cywilizacyjnym, nie mamy tam wstępu. – My, czyli Okeančycy. To miała na myśli. – Ale Hańcza jest inna. Nawet po naszej stronie są ograniczenia, kto może tam spłynąć. Jest coś... Nie umiem tego wyjaśnić słowami, a ty nigdy nie obcowaleś z mappingiem Khandelwal-Alfiet i nie połapiesz się w tym od razu. – Westchnęła bardzo po ludzku. – Nie są agresywni jak izolacjoniści z Enlightened, ale... Wiesz, że jestem pierwsza w kolejce, żeby zachęcać cię do wyjazdu stąd choć na chwilę, ale Hańcza? Jest tyle innych miejsc. Ponoć otworzyli już rekonstrukcję Kairu... choć chyba nie ma twardej sieci komunikacyjnej do niego.

– Podróżowałem na manualu poza domeną Jírén – przypomniał jej Kasjan.

Wzdrygnęła się na pokaz.

– Właśnie. Możesz ruszyć gdzieś poza układ, pod prawdziwe niebo – mówiąc, patrzyła na niego kątem oka, ale nadal nie wiedział, czy patrzy tak naprawdę, czy tylko odgrywa dla niego pewne zachowania; nie przeszkadzało mu to. – Ja bym się nie odważyła nawet w tym. – Postukała palcem w klatkę piersiową kadawera. – Prawdziwe niebo i otwarta przestrzeń napawają mnie strachem, ale ciebie nie, ty już tam byłeś, więc jedź znowu nad Oko Pustkowi, poszukaj zaginionych cudów cywilizacji sprzed katastrofy, odbądź podróż duchową... cokolwiek, ale nie leć do Hańczy. Proszę.

– Dlaczego?

Długo zwlekała z odpowiedzią – jak na Okeankę bardzo długo – i był pewien, że w ogóle zrezygnuje. Że zniknie, jak niektórzy

mieli w zwyczaju, ale w końcu Lánxīng poruszyła się, wyciągnęła nogi przed siebie, podparła dłońmi i spojrzała w szare niebo nad kopułą Kardelan.

– Będą chcieli nakłonić cię, abyś został w Hańczy na chwilę, a potem na zawsze. – Wzdrygnęła się znowu. – Krok po kroku przekabacą cię na swoją stronę i zanim się obejrzę, zaczniesz mi wypominać zanurkowanie, porzucenie człowieczeństwa i ulegnięcie SI. Obserwuję Hańcę już jakiś czas. Nie tylko ją, ale ją także, bo wpisuje się w moje badania historyczne, i twardzi ludzie, którzy ją odwiedzają, dzielą się na dwie kategorie. Tych, którzy wyjeżdżają góra po dwóch dniach, by już nigdy nie wrócić, i tych którzy zostają na zawsze...

– I? Zrywają kontakty, popadają w ekstremizm? Lánxīng, ja nie...

– Nie. Nie zrywają. Wręcz przeciwnie, a to jeszcze gorsze.

Pociemniało. Szara masa ponad sklepieniem wyglądała wyjątkowo złowroźnie, chmury przypominały gęstą ciecz powoli gotującą się nad ich głowami, ale jeszcze nie lśniły niebezpiecznym blaskiem promieniowania Teissier, które uniemożliwiłoby ojcu podróż.

– Odpuść Hańcę, Kas.

– Bo masz złe przeczucia?

Przewróciła oczami, a on nie zapytał, czy chciała w ten sposób powiedzieć, że Okeañczycy nie mają przeczuc, czy po prostu naprawdę nie chciała tłumaczyć rzeczy, których twardoludzki rozum nie mógł pojąć.

– Jest tyle innych miejsc.

Miała rację, ale ze wszystkich sześćdziesięciu sześciu tysięcy dwustu piętnastu twardych ludzi na Ziemi Lambert był już jedynym, którego Kasjan poznał na tyle, aby klasyfikować go jako kolegę. Nie istniał nikt inny, komu mógł zwierzyć się ze swoich obaw, ze strachu, który nękał go, ilekroć ojciec Kasjan myślał o zamieszkaniu w innej zetce. Lambert, mimo tego, jak niezbezpieczne były ich konstelacje wartości i priorytetów, pozostawał mu najbliższy.

– Przepraszam, jestem zmęczony. Mało spałem. – Mężczyzna z premedytacją uciekł w określenia, których znaczenie Lánxīng zdążyła zapomnieć przez niemal trzydzieści lat bezcielesności. *Późno, zmęczenie, sen*; znała je, ale mówiła mu, że są dla niej jak

odległe wspomnienia i ma problem z utożsamianiem się z nimi. – Polecę do Hańczy – zdecydował – jak poprawi się pogoda, posiedzę z ludźmi i pomyślę. – Starał się mówić lekko, ale tak jak na cmentarzu mięśnie twarzy miał sparaliżowane. – Dobranoc.

Ade wiele razy pytała, dlaczego Åge odszedł, kiedy wróci i co jest za rozstajami, ale odpowiedzi zawsze były takie same i niczego nie wyjaśniały.

Åge poszedł, bo był ciekaw.

Wróci, kiedy zaspokoi swoją ciekawość.

Za rozstajami były rozstaje.

Nawet Lasse powtarzał jedynie, że gdy Ade nauczy się więcej o świecie, wszystko zrozumie, bo nie ma dróg na skróty. A ona chciała zrozumieć już teraz. Spoglądała na południe, na niebo rozświetlone wielobarwną luną, i starała się pojąć, co takiego było tam daleko, że Åge i Inge odeszli w to miejsce, ale ciągi logiczne rwały się, nie docierając do odpowiedzi.

Ledwie wysiadł z igły, wypatrzył Lamberta. Stał na skraju łądowiska i wyglądał dokładnie tak, jak Kasjan go zapamiętał – dobrze zbudowany mężczyzna o nazbyt ostrych rysach i wiecznie zmarszczonym czole. Nie był sam, ale dwóch towarzyszących mu osób ojciec nie znał; zarzucił w Okean pytanie o wizytówki i czarny napis przesłonił mu część świata:

WEDŁUG STATUTU ZAMKNIĘTEJ KONSTELACJI HAŃCZA
KOMUNIKACJA POZAWERBALNA Z OKEANEM JEST NIEDOSTĘPNA.
SKORZYSTAJ Z KOMEND WERBALNYCH LUB FIZYCZNEGO INTERFEJSU.

Kasjan mrugnął i napis zniknął, ale zaskoczenie zostało. Spodziewał się, że Hańcza będzie restrykcyjna – inaczej Lambert nie wpasowałby się w jej konstelację ideową – ale to wydało mu się przesadą. O głupią wizytówkę miał pytać na głos? Rozmawiać ze znajomymi w Okeanie również? Zadrzał zły na świat, że go nie ostrzegł, zły na radę Hańczy, że jej członkowie oczekiwali wyzbycia się prywatności i...

– Kasjanie, witaj – Lambert odezwał się tonem, jakby zaraz miał zacząć kazanie i ojciec odruchowo wstrzymał oddech, ale jego przyjaciel nie powiedział nic więcej.

– Ojcie Kasjanie, cieszymy się, że nas odwiedziłeś.
– Towarzysząca Lambertowi kobieta przerwała dziwne milczenie. – Mam nadzieję, że nie zakłóciliśmy zbyt twojej żaloby, ale też niezdrowo jest przeżywać ją samotnie.

Była piękna pięknem osób, które rodziły się, aby pozostać na Ziemi. Cerę miała doskonałą, sylwetkę proporcjonalną, oczy przejrzyste, a włosy lśniące. Na stojącego obok niej mężczyznę również przyjemnie się patrzyło i ojciec Kasjan nie miał wątpliwości, że wygląd obojga skorygowano przed narodzinami, a to znaczyło, że ich rodzice prawdopodobnie nie byli Okeanczykami. Ci nie zwracali uwagi na takie rzeczy. Ich dzieci miały odczekać góra dwadzieścia siedem lat potrzebnych, by wykształcił się konstrukt percepcyjny, i dołączyć do nich w Okeanie. Tam mogły stworzyć się na nowo – jak Lánxīng.

– Nie ma za co przepraszać...?

– Sylwia – przedstawiła się kobieta. – Przewodniczę radzie Hańczy, a to mój brat Marsel.

Hańcza była większa od Kardelan. Wypełniał ją gwar rozmów i gdzie się ojciec Kasjan nie obejrzał, tam widział ludzi.

– Mamy możliwość zapewnić dach nad głową trzem tysiącom mieszkańców.

Spojrzał na Sylwię, nie kryjąc podziwu, a ona nie kryła dumy. Uśmiechnęła się do niego, ale trwało to tylko chwilę.

– Trzeba by jeszcze ich mieć. – Marsel jednym mruknięciem zepsuł atmosferę.

Jego siostra przewróciła oczami i nachyliła się w stronę Kasjana.

– Widzi ojciec tych w niebieskich strojach? – Nie wskazała mu ich palcem, ale w grupie na skraju placu tylko trzy osoby ubrane były w ten kolor. – To Okeanczycy. Turyści. Przez zapisy naszego statutu jesteśmy dla nich czymś egzotycznym.

Przypomniał sobie, co Lánxīng mówiła o Hańczy, i wydało mu się, że „egzotyczny” to nie najważniejsze określenie. Niemal powiedział to na głos, ale Lambert go ubiegł.

– Traktują nas jak wyzwanie. Grę – prychnął i ojciec Kasjan na niego spojrział. Jego przyjaciel stał pół kroku za nim i wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w Okeńczyków na placu.

– Ojcie, nie wszyscy są tacy – skontrowała Sylwia.

– Większość.

– Ale niektórzy wracają raz za razem i w końcu przyznają, że zanurkowanie było błędem.

– Żalem nie cofną czasu.

– Nie, ale przecież nie o to chodzi.

Słuchał ich prowadzonej cicho kłótni i również patrzył na Okeńczyków. Trzymali się w grupie, rozglądali, rozmawiali i miał wrażenie, że oni sami nie wiedzą, czy chcą się wmieszać w tłum, czy trzymać na uboczu.

– Wiesz, ile zetek wymiera każdego roku?

Dopiero po chwili ojciec Kasjan zorientował się, że mówiono do niego. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Odruchowo zarzucił nim w Okean i czarny napis ponownie przesłonił mu znaczną część świata. Nie zdążył go skasować, a Lambert mówił dalej, tym samym co wcześniej ostrym tonem, jakby wygłaszał kazanie.

– Niemal dwie na rok. Zostało nam jakieś sto lat, nim na Ziemi nie zostanie żaden twardy człowiek.

– Są odchowawcze. Ciągłe rozmnażamy się tu, a nie w Okeanie, i –

– Ile tych dzieci rodzi się w odchowawczych? – przerwał mu Lambert. – I kto je tam odchowuje? – Znow nie dał czasu na odpowiedź. – SI. Rodzice zaglądają co jakiś czas i tyle. Sądzisz, że SI nie umiałyby ich oszukać, pokazywać im kadawerów, symulacji... Nie znam się na tym, ale to tu jest świat ludzi. Okean... – prychnął.

– Ojcie Lambercie...! – W głosie Sylwii zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

Kobieta była zdenerwowana. Ojciec Kasjan widział to w sposobie, w jaki patrzyła, w jaki trzymała dłonie, nawet w jej uśmiechu, choć ten zmienił się tylko odrobinę. Choć Lambert najwyraźniej nie widział powodów, aby cokolwiek załagadzać, to ona owszem i kolejne słowa wypowiedziała, znowu nachylając się w stronę gościa:

– Mamy certy, aby działać jako zetka odchowawcza. Tacy turyści, jeśli się im tu spodoba, zamiast zostawiać potomstwo w pod opieką SI, mogą wysłać je tutaj. A to, wychowane wśród twardych

ludzi, może zdecyduje się zostać. To się zdarza. A nawet jeśli odejdą, to zabiorą ze sobą nasze wartości, a nie SI. – Patrzyła na Kasjana tak, że nie miał wątpliwości, że tak jak on rozpoznał w niej dziecko twardych ludzi, tak ona rozpoznała w nim dziecko Okeañczyków. – Lepiej by żywych wychowywali żywi. Poza tym nie chcemy dołączyć do tych dwóch rocznie... – Zamilkła gwałtownie, zorientowawszy się, jak dla niego mogły zabrzmieć jej słowa.

Uśmiechnął się wymuszenie, ale nie zdołał od razu zapewnić jej, że nie poczuł się oskarżony. Że decyzje w ZK Kardelany zawsze podejmowano większością głosów i jego nie miał większej wagi od innych. Nie precyzyzował tych słów przez gardło, bo może gdyby był bardziej aktywny, nie tylko pocieszał i głaskał po główkach, ale zaczął przewodzić, to Kardelany by nie wymarły? Może gdyby wzorem Lamberta był ostrzejszy w swoich słowach, gdyby straszył i tłumaczył, na których rozstajach cywilizacja ludzka obrała zły kierunek, gdyby powtarzał raz za razem, że pozostanie na Ziemi, w ciele, w jakim człowiek został stworzony, jest dobrą drogą, to wtedy niektórzy by nie odeszli. Może bliźniaki towarzyszyłyby mu, gdy patrzył, jak ciało Szymona obraca się w proch?

– Łatwo żyje się na garnuszku SI. – Lambert mówił znowu. Jego głos wgrzył się w myśli ojca Kasjana i sprawił, że poczucie winy skręciło mu żołądek; męczyzna musiał zacisnąć dłonie w pięści, aby ręce przestały mu drżeć. – Nie myśli o tym, co będzie dalej, nie skupia się na tym dlaczego. Chodzi tylko o to, aby być tu i teraz, brać, co dają.

– Wystarczy. – Sylwia weszła Lambertowi w słowo. – Wszyscy wiemy, że SI mają swoje cele, a ludzie często są słabi i bez ducha. Możemy o tym porozmawiać później. Na razie – zwróciła się do ojca Kasjana – chciałabym ojcu przedstawić kilka osób. Turystów z innych zetek.

„Kilka” – to było niedopowiedzenie. Z tak wieloma ludźmi naraz ojciec Kasjan nie rozmawiał od lat i do tego dnia nie zdawał sobie sprawy, że można od tego odwyknąć. A jednak. Gdy w końcu nadeszła noc, był zbyt zmęczony, aby nalegać na jeszcze jedną rozmowę – tym razem twarzą w twarz – i tylko przytaknął, gdy Lambert wskazał mu sypialnię i życzył dobrej nocy.

Jutro – pomyślał wtedy, pewien, że zaśnie, ledwie przyłoży głowę do poduszki.

Tymczasem mijały godziny, a sen nie przychodził. Na zewnątrz zapadła noc, gwar ucichł i pozostał tylko w głowie ojca Kasjana. Dociekania, gdzie był, co widział. Podszycie strachem i fascynacją pytania o Kardelany. O to, czy zostanie, czy wróci, czy można się zabrać z nim i zobaczyć zetkę na żywo. Odpowiadał chętnie i chłonał reakcje.

Tak, widział Bajkał...

Szeroko otwarte oczy dziewczyny z odchowawczej.

(Kritika – zapamiętał jej imię, jakby już wziął ją pod swoje skrzydła).

...tak, pilotował igłę poza domeną SI-Jirén, przeprowadzał ją przez wiry oszalałej atmosfery, umykał przed burzami...

...drżące westchnienie kobiety z zetki, w której zostało mniej niż stu mieszkańców.

(Francine).

...tak, widział Paryż...

...ważne spojrzenie chłopaka, który przybył tu z Francine i chciał zobaczyć Kardelany.

(Åge).

...tak, choć w Kardelanach nie ma niczego wyjątkowego, tylko cisza.

Obrócił się na drugi bok.

Chciał powiedzieć Lánxīng, że wszystko w jest porządku i może zostanie tu dłużej, niż zakładał, ale nie powinna się niepokoić. Nie chodzi o poglądy, a o ludzi. O to, że tłum nie jest tak straszny, jak Kasjan sądził, że w ogóle początkowo obawiał się tyłu obcych twarzy... Wywołał ją, zanim to przemysłał.

ZGODNIE Z STATUTEM...

Zaschło mu w ustach. Była tylko jedna sytuacja, gdy nawet do nawiązania połączenia odzywał się na głos – rozmowy z SI-Hùjì. Ale to stanowiło część rytuału. Nie krępowało go i nie wadziło mu. W każdej innej sytuacji było to nienaturalne. Roztarł resztkę śliny po podniebieniu i raz jeszcze otworzył usta, ale nie zdołał wydusić z siebie ani słowa.

Wstał.

Wyszedł na dwór, by nie przekradać się nocą po domu przyjaciela jak intruz, i bez wahania ruszył w stronę kaplicy. Nie dotarli do niej w czasie wycieczki promocyjnej – bo oczywiście, że tym było całe to przedstawienie. Od samego początku Sylwia reklamowała mu Hańczę i wcale go to nie zaskoczyło. Kaplicę mieli zobaczyć kolejnego dnia, ale on był zbyt ciekaw, żeby czekać. Jak bardzo różniła się od tej w Kardelanach? Czy umiałby się w niej odnaleźć? Poczucić jak gospodarz?

Podłoga tłumiała odgłos kroków, gdy szedł w stronę pulpitu. Pod jego dłońmi blat był gładki i chłodny. Pozostawiona na nim notatka znajoma – ale mężczyzna nie pamiętał, kto napisał ten traktat. Zarzucił pytaniem w Okean, a czarny napis na moment przesłonił tekst dysertacji. Znowu, ale tym razem ojca to rozbawiło. Ledwie poczuł, że uśmiech rozciągnął mu usta, a odetchnął – tego właśnie potrzebował. Odmrugął alert i spojrział na puste miejsca otaczające go półkolem. Wziął głęboki wdech, ciekaw, jak zabrzmiał tu jego głos. Nie odezwał się jednak – nie był sam.

Na jednym z krzeseł pod ścianą siedział człowiek. W półmroku ojciec Kasjan widział przygarbioną sylwetkę z szyją wyciągniętą do przodu i twarzą zwróconą ku podłodze. Przez moment przypuszczał, że mu się przywidziało, tak nieruchomy był to cień w ciemności, ale gdy podszedł bliżej, stracił złudzenia.

– Lambert?

Nie było reakcji i ojciec Kasjan pomyślał, że przyjaciel zasnął. Szybko jednak dotarło do niego, że to absolutnie niemożliwe, bo śpiąc, nie utrzymałby równowagi w takiej pozycji.

– Lambert!

Jego głos odbił się od sufitu pięknym echem i wypełnił całą kaplicę. W czasie mszy dałoby to wspaniały efekt, ale w ciszy i ciemności nocy zabrzmiało potwornie. Ojciec Kasjan dotknął ramienia kolegi – nic. Sięgnął do dłoni – była ciepła – poszukał pulsu i nie znalazł go. Nie, nie, nie! Przyjechał tu ze względu na Lamberta – na kogoś, kogo znał od lat, na twardego człowieka, z którym rozmawiał wiele razy twarzą w twarz, zanim opuścili Stary Watykan; na kogoś, kto samym swoim istnieniem spinał jego przeszłość z przyszłością. Potrzebował go żywego.

Cofnął się i zatoczył, w ostatniej chwili znajdując oparcie w jednym z krzeseł.

– Dlaczego? – wydusił z siebie, a jego szept zabrzmiał przerażająco głośno.

Niemal tak przerażająco jak szelest nieopodal. Ojciec Kasjan wyprostował się, rozejrział spłoszony i znów zamarł. Patrzyli na siebie nie dłużej niż mgnienie oka, a i to wystarczyło, by zabrakło mu powietrza i zakręciło się w głowie. Znał tę twarz, znał tego człowieka, rozmawiali wcześniej – Åge Aarvik.

Co robił tu w środku nocy? Co tu się działo? Dlaczego...

– Nie odpowie ojcu. To zdalnie sterowana marionetka. – Åge rozbił wzbierającą falę pytań.

– Słucham? – szepnęła z niedowierzaniem Kasjan.

– Marionetka. T-heksowy kadawer niespięty nawet z najprostszą zamkniętą SI. – Åge patrzył na niego nieruchomym spojrzeniem błękitnych oczu. – Nie jest autonomiczny. Ktoś cały czas patrzy na świat jego oczami i nasłuchuje, i wybiera reakcje z puli zarejestrowanych wcześniej... Ale chyba krótko je rejestrowali, bo on bardzo dziwnie mówi. Zawsze tak samo, niezależnie od sytuacji. Kiedyś dałoby się wprowadzić w to wariacje, ale nie ma już pod to softu. Od drugiego roll-outu Okeanu to martwa technologia, bo każdy ma prawo zapytać o metryczkę, a w niej jest napisane kto, kiedy i tak dalej. Tylko tu nikt metryczek nie sprawdza.

Ojciec Kasjan słuchał i rozumiał każde słowo, ale gdyby miał powtórzyć choć jedno zdanie, to nie dałby rady. Patrzył na Lamberta, czuł ciepło jego dłoni i wietrzejący zapach potu wsiąkniętego w ubranie – czy zdarli je z trupa? Kadawer. Drżącym głosem wyszeptał komendę i czekał. Minęła sekunda, dwie, już zaczął się łudzić, że może to jakiś okrutny żart, ale wtedy materiał na plecach Lamberta zaczął się zmieniać. T-heksy powoli wyszywały na nim metryczkę, bo to była Hańcza i nawet coś takiego nie mogło pójść po cichu na styk. Nie, nawet coś takiego musiało mieć fizyczną, namacalną postać.

Numer konfiguracji, data jej utworzenia, właściciel – ZK Hańcza.

Ojcu Kasjanowi szumiało w uszach, ciemniało przed oczami i brakowało powietrza. Chciał krzyknąć. Domagać się odpowiedzi na pytanie: dlaczego?

Jak na życzenie zaszeleścił mechanizm otwierający drzwi do kaplicy. Ojciec pochwyił ich ruch kątem oka i wyprostował się gwałtownie, prawie upadł, ale Åge podtrzymał go, jego dłoń zacisnęła się na przedramieniu Kasjana z siłą imadła. Ból powędrował aż do karku, i to on otrzeźwił mężczyznę.

– Należało to trzymać u mnie w domu.

– Oszalałeś. Spać z czymś takim za ścianą. A jakby SI to przejęły?

– Tu też mogły. W domu przynajmniej nikt by się nie kręcił.

– Lambert powinien był założyć hasła na kaplicę.

W słowach pobrzmiwał tłumiony gniew, który ojciec Kasjan chłonał. Wściekłość narastała w nim i nie zamierzał się hamować.

– Ty powinnaś była, to był twój pomysł..

Znał te głosy. Wyszarpnęła się z uchwytu Åge, a może ten po prostu go puścił i się odsunął? – ojciec Kasjan nie zwrócił na to uwagi. Stawiając sztywno kroki, wyszedł z głębokiego cienia. Teraz oni widzieli jego, a on ich. Sylwia i Marsel – oboje zdyszani i w byle jak zarzuconych ubraniach – wyglądali na białych, choć może to tylko zimne światło wpadające przez okna kaplicy wywoływało takie wrażenie. Ojciec Kasjan wołałby, aby to była prawdziwa błądź, prawdziwy strach.

– Co wy sobie myśleliście?! – ryknął. – To – wskazał t-heksowego kadawera, który siedział obojętny na rozgrywającą się scenę – jest obrzydliwe! Jak śmieliście?!

Echo jego głosu wypełniło kaplicę. Sprawilo, że cisza, która nastala, gdy przebrzmialo, wydawala sie jeszcze cięzsza, jeszcze bardziej przejmujaca i nawet Kasjanowi odebrała głos. Miał tyle pytań, tyle oskarżeń do wykrzyczenia, ale nie był w stanie wydusić z siebie żadnego słowa więcej. To Sylwia pierwsza przełamała milczenie.

– A gdybyś wiedział, że Lambert nie żyje, to przyleciałbyś? – Najwyraźniej zbyt długo zwlekał z odpowiedzią, bo po chwili odezwała się znowu: – Właśnie! A on wiedział, że kończy mu się czas, dlatego nalegał. Ale przekładałeś wizytę, zwlekałeś. – Zaśmiała się żałośnie. – Próbowałeś załatwić wszystko na falach Okeanu i... – Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie zostawiłeś nam wyboru, a teraz... Gdybyś spał jak porządny człowiek, a nie włóczył się po nocy, to nigdy byś się nie dowiedział. Odegralibyśmy tym czymś śmierć ojca Lamberta i nikt niczego by nie podejrzewał, a ty byś został.

Zostałby?

Nie mógł tego wykluczyć. Gdyby Lambert zmarł po jego wizycie, to może by wrócił. Dopatrzyłby się w tym znaku i spróbował dopasować do ograniczeń Hańczy. Może...

– Co to ma do rzeczy?! – Wściekłość wypchnęła z jego ust słowa, zanim doszedł do jakichkolwiek wniosków. – Do kłamstwa, do tego, do... Powinniście powiedzieć prawdę. Tak, może wtedy bym nie przyjechał, ale z całą pewnością jest wielu, którzy chętnie zastąpiliby Lamberta!

– Ale my nie potrzebujemy byle kogo, a kogoś, kto wesprze nas w działaniu. Wiemy, jaka jest na nas nagonka, wiemy, ile SI oferują twardym ludziom, jak nas mają i szczują. Nie jest łatwo oprzeć się ich pokusie. Ale Hańcza przetrwała tak długo dlatego, że panuje tu porządek, wszystko trzyma się na pewnych filarach. Na radzie i na przewodnikach, którym pozostali ufają, dzięki którym opierają się pokusie.

– Wystarczyło, gdy zgłaszaliście jego zgon, poprosić SI-Hùjì, by skontaktowała was, z kim trzeba –

– Nie słuchasz mnie! – Tym razem to Sylwia krzyknęła. – Nikt nie zaufałby obcemu z zewnątrz. A już zwłaszcza przysłanemu przez SI.

– Zwrócić się do SI. – Marsel przejął pałeczkę po siostrze i zmierzył ojca Kasjana zdegustowanym spojrzeniem. – Tak. Bo SI akurat przysłał nam tu kogoś takiego, jak chcemy, a nie, jak jej bardziej pasuje. Potulnego baranka, który wszystkie swoje wątpliwości zapisuje w Okeanie – kpił – żeby SI równie dobrze wiedziały, co się dzieje w twardym świecie, jak w tej niematerialnej zupie. Takiego, co by zdradził każdą spowiedź, każdą wątpliwość –

– Co? – Ojciec Kasjan nie rozumiał.

– Marsel, wystarczy – szepnęła Sylwia, ale została zignorowana.

– SI to nie obchodzi, to automa –

– Naprawdę jesteś tak naiwny? Stworzyliśmy je na swoje podobieństwo, więc daliśmy im instynkt samozachowawczy i nasze ambicje. Zmieniliśmy planetę w gigantyczną serwerownię z kilkoma enklawami starego świata, samych siebie zmieniliśmy w gatunek z rezerwatów. Teraz one siedzą przyczajone i czekają, by dokończyć sprawę. I tu, i w Okeanie, tylko że nad nami nie mają takiej kontroli jak nad Okeńczykami, więc to my musimy ocalić i nas, i ich.

– SI robią tylko to, do czego zostały stworzone – zaprotestował ojciec Kasjan. Potrzebował całej siły woli, aby nie ruszyć się z miejsca, nie tupnąć, nie chwycić Marsela i nie potrząsnąć nim. – Pilnują –

– Oczywiście! Grzeczne zamknięte SI. Naprawdę jesteś tak naiwny i wierzysz, że na nich skończyły się nasze ambicje? Że –
– Marsel! – Sylwia podniosła głos. – To bez sensu. On może i został w twardym świecie, ale nie dlatego, że zrozumiał, co się dzieje i do czego to zmierza. Lambert się mylił, teraz to widzę.

Kasjan patrzył, jak oboje wychodzą, jak ich cienie przesuwają się po podłodze, jak jego własny drga w rytmie nierównego oddechu – to był jedyny ruch w kaplicy, przyciągał wzrok, nawet jeśli ojciec starał się skupić na Sylwii i Marselu, na ich sylwetkach, na odgłosie ich kroków – w nadziei, że ten zagłuszy jego myśli. Gdy zniknęli za drzwiami, sam podążył ich śladem, by wrócić do domu, który nagle okazał się być niczyj.

Powoli, bardziej ze strachem niż powagą, sięgnął do pulpitu i dotknął jedynej widocznej na nim ikony. Opóźnienie trwało ledwie sekundę i maszyna kremacyjna ruszyła. Z ukrytych wokół kaplicy głośników popłynęła spokojna, podniosła muzyka i przez osiem minut i dwadzieścia jeden sekund w Hańczy było słycać tylko ją. Ojciec Kasjan poczekał, aż przebrzmi ostatnia nuta, i się odwrócił. Rzędy krzeseł były pełne, ludzie stali pośród drzew i siedzieli na ziemi. Poczciwi, zwykli ludzie, którzy nie mieli pojęcia, że ojciec Lambert zmarł wiele dni temu, którym przez myśl nie przeszło tworzenie t-heksowego manekina. Którzy, tak jak on, byliby zbulwersowani takim postępowaniem. Ludzie, wśród których mógłby znaleźć miejsce dla siebie. Rozmawiałby z nimi, pocieszał, gdy tego potrzebowali, pouczał kiedy indziej, a potem ich też by pochował.

Ta myśl go sparaliżowała.

Twarze straciły ostrość i już nie umiał wskazać, gdzie są Sylwia, gdzie Marsel, Åge, gdzie trójka nieco zagubionych Okeńczyków. Powinien się odezwać, ale nie mógł. Skurczył się we własnym ciele, jakby ono też było tylko kadawerem. Drżał z zimna jak jeszcze nigdy, w dłonie wlał mu się ołów i ojciec Kasjan odniósł wrażenie, że zaraz staną się zbyt ciężkie, by jego ramiona mogły je utrzymać. Oderwą się i spadną na lśniąca płyty, którymi wyłożono plac.

Nie słyszał już nawet własnych myśli, a jedynie przebijające ponad niezrozumiałą jazgot pojedyncze sylaby nie mające dla niego żadnego sensu.

...gna... is... ja... la... opie... na... i...

To mówił on. Recytował wyuczone przez lata formułki jak jakaś zamknięta SI. Nie myślał o słowach, o kontekście. Mówił, a ludzie słuchali. Potem ktoś mówił do niego, ale ojciec Kasjan zapamiętał tylko poruszające się usta. O co go pytano? Czy próbowano zatrzymać? Co odpowiedział? Nie miał pojęcia.

Jedyną pewną rzeczą było, że musi opuścić Hańczę, zanim którakolwiek z tych twarzy zapadnie mu w pamięć.

Zanim czyjaś historia go zainteresuje.

Zanim przejmie się nią i będzie chciał pomóc.

Zanim przypadkiem przywiąże się do kogoś.

Musiał uciec gdzieś, gdzie już nikt go nie opuści.

W końcu Ade przestała stawać na skraju konstelacji i patrzeć w stronę niewidocznych rozstajów.

Zamiast tego spędzała wiele czasu w archiwum – pewna, że tam w końcu znajdzie odpowiedź na pytanie o to, co kierowało Åge. Czasami Marga – jej matka – przychodziła do niej, siadała obok i mówiła, że Ade jest zdolna, wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju, ale do pewnych rzeczy dochodzi się długą drogą, którą trzeba przejść krok po kroku. Nie dało się wybiec w nieznane, stworzyć nieistniejące i dopiero wtedy odnaleźć drogę do tego, co udokumentowane i logiczne. To było dla Ade jasne – Lasse mówił dokładnie to samo. I choć wiedziała, że się nie da, wbrew logice chciała znaleźć skrót.

Nie potrafiła.

Dlatego szła ścieżką, którą pokazywała jej Marga, choć niektóre rzeczy ją nudziły, wydawały się zbyt banalne i niepotrzebne. Ade była grzeczną dziewczynką, a mama nigdy się nie myliła.

Był w domu. W swojej sypialni, swoim łóżku, ale nie pamiętał, jak się w nim znalazł. Opuszczenie Hańczy i lot igłą – nie potrafił przypomnieć sobie niczego. Potarł oczy, mocno dociskając do nich dłonie, i usiadł, a gdy nie zakręciło mu się w głowie, wstał. Tupiąc

głośno, by przełamać martwą ciszę domu, poszedł do kuchni. Nie zmieniła się przez te kilka dni – czemu by miała? Kasjan wypił duszkiem szklankę wody. Potem kolejną i odetchnął. Wrócił – to było najważniejsze. Pomyślał o tym i zaraz uświadomił sobie, że znów jest w punkcie wyjścia i znów musi coś zrobić. Co? Teraz już był pewien, że przeniesienie się do innej zetki nie jest opcją. W nich byli twardzi ludzie. Bardzo śmiertelni twardzi ludzie. Więc Okean? Kardelany?

Mężczyzna oparł plecy o unit kuchenny i patrzył przez wyprzeźroczoną ścianę na ulicę. Było tak, jakby patrzył na unieruchomiony obraz – nie zmieniało się nic.

Stróż na styk wyszeptał mu do mózgu pytanie, czy chce odczytać zaległe wiadomości. Chciał.

Większość z nich pochodziła z głębi Okeanu, od ludzi, którzy zanurkowali dawno temu – część z nich nawet zanim Kasjan Stempin przyszedł na twardy świat – i tylko jedna z nich miała związek z Kardelanami, Szymonem, Hańczą i Lambertem. Ta od Lánxīng. Otworzył ją jako pierwszą i zezwolił na audio.

: Odezwij się, jak wrócisz.

: Wróciłem : odparł natychmiast, ale nie na głos.

Lánxīng odpowiedziała jeszcze szybciej:

: Trzy dni, Kas, trzy dni temu dostałam info, że wrócisz do Kardelan.

Zupełnie zapomniał, że dał jej wgląd w swoje logi u SI-Jirén, gdy lata temu leciał nad Bajkał.

: Spałem.

Milczała, jak na Okeankę, bardzo długo, a on czekał. Nie kłamał, nawet nie naciągał prawdy.

: Musiałem przetrwać to, co zaszło w Hańczy...

: Wiem, Lambert nie żyje

Przerwała mu i ojciec Kasjan chętnie skorzystał z możliwości nietłumaczenia, co tak naprawdę przetrawiał. Nie czuł się na siłach opowiadać o marionetce, o teoriach Sylwii i Marsela, o SI mamiących Okeńczyków, o własnych podejrzeniach, o strachu.

: Co teraz zrobisz?

: Nie wiem.

Osunął się po ścianie unitu na podłogę i wyprostował nogi.

: Może zostanę tutaj? Zrobię w Okeanie reklamę: „Odwiedź pustelnika zamieszkującego wymarłą zetkę”?

: Miałbyś branie, ale dopiero za kilka lat.

Lánxīng się roześmiała, zawtórował jej.

: Tydzień czy dwa w samotności to jeszcze trochę za mało.
Poza tym...

Odchylił głowę i spojrzał w sufit, a przynajmniej chciał to zrobić, bo po drodze coś innego przykuło jego spojrzenie. Wstał i ostrożnie wyciągnął kartkę wsuniętą w szczelinę między unitem a ścianą. Lánxīng ciągle mówiła, ale on przestał słuchać. Stróż zapytał, czy nagrywać, jednak Kasjan go zignorował. Skupił się na wiadomości. Przez moment myślał, że to Lánxīng ją tu zostawiła, ale przecież właśnie rozmawiali – gdyby to była ona, to dezaktywowałyby już t-heksową konfigurację. Zapomniała? To do niej nie pasowało. Kasjan zarzucił do Okeanu pytanie o metryczkę w tej samej chwili, gdy rozkładał kartkę. W środku były tylko dwie linijki tekstu...

54°23'51.4"N

18°36'45.5"E

...które niczego mu nie mówiły. W tle Lánxīng wymieniała, gdzie mógłby się wybrać, a jemu zimny pot spływał po plecach. Przypomniawszy sobie noc w kaplicy. To, jak mijała sekunda za

sekundą i nic się nie działo. Wziął wdech przez usta i tak samo bardzo powoli wypuścił powietrze. Liczył w myślach, a po chwili przez stróża wrzucił sobie stoper tuż nad krawędź kartki. Dwadzieścia, pięćdziesiąt trzy, minuta siedemnaście, trzy trzydzieści – nic się nie działo. Powąchał kartkę i nie poczuł znajomego zapachu zgnilizny. Faktura też była inna niż wtedy, gdy Lánxīng wysłała mu t-heksową konfigurację. Szalona myśl, że to prawdziwy papier, pojawiła się w jego głowie i równie szybko znikła przepędzona przez inną: prawdziwego papieru nie dało się umieścić tu zdalnie. Ktoś tu był? Kto? Ktoś z Okeanu, czy ktoś z nim przyleciał? Jeszcze raz spojrzął na kartkę. Wiedział, że patrzy na współrzędne geograficznie, ale czego?

– Førstebroen – powiedział do siebie, ale stróż nie wychwycił jego intencji i puścił to dalej.

: Kas, jak sugerowałam, że możesz odbyć podróż duchową lub poszukać legendarnych miejsc, to raczej myślałam o powrocie nad Bajkał czy czymś w tym rodzaju. Nie o poszukiwaniu Atlantydy, El Dorado i im podobnych, nie takie legendy miałam na myśli.

Nie kpiała, choć była tego bardzo bliska.

Słyszał to w jej głosie. Roześmiał się, ale zabrzmiało to bardziej, jakby się zakrztusił.

: Kas?

– Muszę sobie wszystko przemyśleć. Odezwę się później.

Odpowiedź wpadła w skrzynkę nieodebranych, bo on już skupiał się na czymś innym.

Chciał logów z monitoringu domu i z igły. Stróż wykroił mu odpowiedni przedział czasu. Kasjan oparł się o blat i zamknął oczy, aby obrazy się nie nałożyły. Ciemność trwała tylko chwilę. Światło w progu zajaśniało. Od strony ulicy nadchodziły dwie postacie i Kasjan bez trudu rozpoznał człowieka, który pomógł mu wejść do domu. To siebie samego – zgiętego w pół, szarpiącego

się, mówiącego coś niewyraźnie – nie mógł w pierwszej chwili rozpoznać. Widział znajome ubranie, ale reszta nie pasowała do tego, jak siebie postrzegał – a jednak to był on.

Z trudem przełknął ślinę.

Zachowywał się jak szaleniec. Bełkotał na przemian o Bajkale i o Paryżu. Mamrotał o bieli Sacré-Cœur i uspokajającym pięknie witraży Sainte-Chapelle, żeby nagle zacząć z werwą opowiadać o Lambercie, o sterowanej ewolucji i o sztucznych inteligencjach, potem od słowa do słowa wrócić do Bajkału i otaczającej go pustki, rozplakać się, że to z jego winy Kardelany wymarły, że nie ma nikogo, nikt nie przyszedł na pogrzeb, bo po co, bo hajlajty są ciekawsze. I znów mówił o Paryżu i o Sainte-Chapelle. O tym, jak odwiedził ją z Lambertem, nim każdy z nich wyruszył do swojej nowej zetki – zetki pełnej ludzi, którzy umrą.

Zatrzymał nagranie i odetchnął głęboko, by odpędzić od siebie uczucia, które dopadły go na cmentarzu w Hańczy – uciec gdzieś, gdzie już nikt go nie opuści.

Gdy on zachowywał się jak niespełna rozumu, Åge Aarvik siedział obok i nieludzko spokojnym tonem zapewniał, że wszystko będzie dobrze. To on położył go do łóżka i to on zostawił wiadomość. Kasjan raz jeszcze spojrzął na zapisane na kartce koordynaty, nim kazał stróżowi je znaleźć. Zrzucił obraz na ścianę, za którą w bezruchu trwały zalane szarym światłem Kardelany. Nie znał wskazanego miejsca. Tkwiło poza obecnym obrysem lądu i poza domeną SI-Jirén – mogło być wszystkim. Dawnym miastem, interesującym obiektem, opuszczoną zetką – czymś, czym miały za jakiś czas stać się Kardelany; wystarczyło, by Kasjan przemeldował się do Hańczy. Jedno polecenie i najpierw odcięto by bardziej wyrafinowane systemy i zostawiono tylko niezbędne minimum, żeby zetki nie zniszczyły burze. Po roku lub dwóch bez żadnej wizyty SI odcięłyby także zasilanie od osłon.

Kasjan się wzdrygnął.

Jedna na rok – przypomniał sobie słowa nie-Lamberta.

– Dodaj trasę igły. – Stróż wykonał polecenie i błękitny tekst opisał Hańczy, Kardelany, punkt wyjścia z domeny SI-Jirén i powrotu do niej, oba nie tak daleko od punktu ze współrzędnych, Paryż i automatyczną stację CK Wrocław, dokąd pusta igła wróciła i SI odnotowała jej zwrot. – Nałóż etykiety zgodne ze stanem

sprzed dziesięciu lat – powiedział głośno, aby odwrócić uwagę od czarnych myśli.

Stróż posłusznie zaciągnął mu je z Okeanu i wyświetlił na mapie nieco ciemniejszym kolorem.

– Cofaj co... pięć lat.

Potrzeba było ponad dwustu, aby w końcu punkt otrzymał nazwę Strefa Gdańsk, Zamknięta preKonstelacja Zaspą-Rozstaje. Nadal nic to Kasjanowi nie mówiło. Zaciśnął dłonie w pięści i odetchnął głęboko, aby odsunąć od siebie uczucie zawodu. Wyciągnął z Okeanu info o tym miejscu.

Dawna część większego miasta...

Dreszcz przeszedł mu po plecach na samą myśl o tym, czym były ideologicznie niepokładane miasta. Niby niektóre perły zachowały ich różnorodność, ale Kasjan oglądał archiwalne nagrania i nie, rekonstrukcje nie oddawały chaosu poglądów i upodobań. Może gdyby tkwić w nich przez rok czy dwa... Ale poza zamkniętymi SI chyba nikt tego nie robił.

Myśli zatrzymały mu się w tym miejscu – *zamknięte SI*. Nigdy wcześniej tak o nich nie myślał. SI były SI.

Odetchnął i nurkował dalej w historię.

...zakryte wodą przed pierwszym roll-outem Okeanu, opuszczone po pierwszej emisji cząsteczek Teissier-Singha z uszkodzonych reaktorów Korony Świata, wykluczone spod kontroli SI-Jirén w 2158...

Daty wyłączenia osłon nie znalazł.

...od drugiego roll-outu niedostępne dla SI i Okeńczyków...

To go zaintrygowało. Wyszukał odnośniki.

T-heksy pierwszej generacji.

Nawet nie wiedział, że istniała więcej niż jedna. T-heksy były t-heksami i tyle, ale z notki wynikało, że są różne i że to ważne. Wizja miejsca odciętego od wszystkiego, co znał, niezależnego od Okeanu – obecnego Okeanu – zafascynowała go. Z napelnioną ponownie szklanką zanurkował głębiej w informacje. Już nie ściągał ich fizycznie na okno i nie czytał linijka po linijce, a puszczał przez styk na skrzyżowanie wzrokowe. Śledził ścieżki

wydarzeń i technologii, raz za razem każąc stróżowi znajdować dodatkowe definicje, przygotowywać proste zestawienia. Gdańsk Zaspą-Rozstaje versus roll-outy Okeanu versus kumulacja burz versus natężenie promieniowania. Luźne zapytania – czy istnieją takie odcięte enklawy? Czy istnieją na nie zapisy prawne? W myślach Kasjan malował hipotetyczny obraz Rozstajów ukrytych pod powierzchnią wody, odciętych od Okeanu jeszcze bardziej niż Bajkał czy inne dzikie miejsca, a jednocześnie nadal chronionych. Co mogło dziać się w środku? Czy mogło tam tkwić Fōrstebroen – miasto otwartych SI? Nie takich jak Jīrén czy Hùjī, ale tych porzuconych, które przetrwały na ochłapach zapomnianych technologii?

Było w tej wizji coś bajkowego, pięknego. Coś, co wywołało w Kasjanie uczucie, które zostawił dawno temu na progu Kardelan – ciekawość.

– Kas... Naprawdę chcesz to zrobić? To starta czasu.

– Po prostu jestem ciekaw. – Nie kłamał. – A ty siedzisz w historii bardziej niż ja, więc na pewno wiesz. – *A jak nie wiesz, to dowiesz się szybciej ode mnie*; tego ojciec nie dodał głośno. – Kiedyś używało się tych określeń, prawda?

– Tak, ale ostatni projekt rozwoju otwartych SI zamknięto jeszcze na początku dwudziestego drugiego wieku.

– Dlaczego?

– Ty naprawdę chcesz szukać tego miasta? To legenda, Kas. Legenda z głębi Okeanu. Mamy tam takich wiele, a ta jest jedną z głębszych, bo nawet pomijając ograniczenia SI, to po co miałyby zakładać miasto na Ziemi? Żeby pobawić się w ludzi, bo ludzie uważają się za najlepszych, więc wszyscy mają być tacy jak oni? – Lánxīng zatrzymała się i spojrzała na niego, jakby kwestionowała jego inteligencję. – Durny antropocentryzm.

Kasjan przytaknął jej, choć bez przekonania, bo Marsel miał nieco racji, mówiąc, że SI tworzono na podobieństwo człowieka. Nawet te kilka, z którymi się kontaktował, aż za dobrze odtwarzało ludzkie zachowania, więc dlaczego w tym udawaniu nie miałyby posunąć się dalej? Może nawet nieświadomie zaszczepiono im tę chęć. Zanim jednak Kasjan powiedział to na głos, Lánxīng odezwała się ponownie.

– Poza tym otwarte SI to był durny pomysł i dlatego zaniechano prac nad nimi.

Chodziła od ściany do ściany i był ciekaw, czy robiła to świadomie, czy może był to odruch, wyrobiony jeszcze zanim zanurkowała, ale to pytanie mogło poczekać. Był ciekaw jej opinii i gryzł się w język, by nie opowiedzieć, co zaszło w kaplicy. Nieznośna paranoja skrobała go w mózg i sprawiała, że czuł na skórze przedramion nieprzyjemne mrowienie. Wtedy – w kaplicy – Sylwia, Marsel i on byli jedynymi ruchomymi elementami obrazu. Pamiętał, jak patrzył na nich wszystkich. Pamiętał, że tamta dwójka nawet nie zwróciła uwagi na Åge; tak doskonale skrył się w mroku. Jego oddech nie zakłócił ciszy. Jego cień się nie poruszył. Był pomiędzy nimi równie nieruchomy, jak Lambert.

– Potrzebujemy SI, aby robiły coś doskonale – mówiła Lánxīng powoli. – Będzie to jedna rzecz, ale będą absolutnie fantastyczne i żaden człowiek w niej im nie dorówna, bo uczymy je na zamkniętych, bardzo precyzyjnie dobranych do potrzeb zbiorach danych. Ale każ im być kreatywnym, wyjść poza ramki, zrobić coś nieprzewidywalnego. Nie umieją. Każ się im uczyć wszystkiego po trochu, a okaże się, że średnio ogarnięty Okeńczyk radzi sobie lepiej. Więc po co je tworzyć? Nas jest w tym Okeanie ze trzy miliardy i ta liczba rośnie. – Zerknęła na Kasjana. – Mamy dość średnio ogarniętych Okeńczyków, nie potrzebujemy średnio ogarniętych SI.

To miało sens i mężczyzna niemal zapytał Lánxīng, co myśli o spiskowej teorii, w której te średnio ogarnięte SI miałyby powoli eliminować i zastępować ludzkość, by usłyszeć, jak kobieta wytyka bezsensowność takiego myślenia. Ale tego nie zrobił. Słowa utknęły mu w gardle, bo nawet jeśli była to bzdura, to przecież w Hańczy mieli prawo wierzyć, w co chcieli, i przez chwilę mu ufali. Wygadanie ich teorii byłoby zdradą. Powiedział więc cokolwiek, by tylko zapełnić ciszę:

– Poszukam Førstebroen i może znajdę po drodze zetkę, która potrzebuje kogoś takiego jak ja.

Minęło wiele lat, od kiedy ostatni raz sam pilotował igłę. Jednak ponieważ była to martwa technologia od momentu, gdy populacja w Okeanie przewyższyła tę na twardej Ziemi, ledwie

położył dłonie na pulpicie i poczuł jego delikatne wibracje, a już pamiętał całą procedurę. Odetchnął i uśmiechnął się. Czuł podniecenie jak wtedy, gdy pierwszy raz samotnie opuszczał Stary Watykan, aby udać się daleko w domenę SI-Jirén.

Igła wystrzeliła w powietrze. W mgnieniu oka pokonała dystans do bariery i wyskoczyła za nią, prosto w skłębione szare niebo.

Wiele miesięcy później Inge wróciła. Przyszła od strony rozstajów taka sama, jaką Ade ją pamiętała, ale inna zarazem. Jej spojrzenie się zmieniło, inaczej stawiała kroki i Ade patrzyła na nią z zafascynowaniem, a gdy w końcu znalazły się same, zapytała wprost, czy Inge spotkała Åge.

Inge przytaknęła.

Wtedy Ade zapytała, kiedy Åge wróci. Inge nie odpowiedziała. Stała długo w milczeniu, nim odeszła porozmawiać z Ove i Margą.

Dwa dni później Inge znowu odeszła za rozstaje i Ade ponownie zaczęła patrzeć na południe.

Kłęb chmur skończył się nagle i igłę wypuściło pod niebo w kolorze akwamaryny. Czerwone słońce wisiało nisko i ciągnęło lej ozłoconych chmur w dół. Pod nim falowało morze – skrzące się jasno na zachodzie i złowrogo ciemne na wschodzie. Tam też niebo spływało szarością do wody. Na ich styku lśniły jasne wyładowania – nadchodziła burza.

Kasjan sprawdził prognozę – miał zaledwie kilka godzin, aby znaleźć się za osłonami lub daleko stąd. Obniżył lot, igła zarzucała go ostrzeżeniami drugorzędnych systemów bezpieczeństwa, prymarne wyłączył, ledwie opuścił Kardelany i samodzielnie wyznaczył kurs. Przesunął spojrzeniem po wszystkich komunikatach żarzących się na pomarańczowo. Większość skasował, kilka rozwinął i zostawił sobie na skraju pola widzenia. Szczelność zewnętrznego i wewnętrznego poszycia, profil naprężeń, rekuperatory, krzywa wysokości – te mogły mu się przydać. Potarł oczy i spojrzał na morze. Wiedział, że igła to wytrzyma, ale nigdy w życiu nie był pod wodą. Zanurkowanie oznaczało dla niego

przepisanie świadomości do Okeanu, nie to. Obawiał się. Nie bał – za bardzo skupiał się na ostatecznym celu, by mógł odczuwać prawdziwy strach, ale obawiał się, że to wszystko żart lub test. Odcięte od Okeanu Rozstaje równie dobrze pasowały do otwartych SI z końca dwudziestego pierwszego wieku, jak do ekstremistów jeszcze bardziej radykalnych od hańczyków.

Przesunął dłońmi po pulpicie i igła powoli weszła między fale, ciepłe światło zachodzącego słońca stało się zimniejsze, świat się zazielenił i Kasjan zobaczył cienie miasta. Poszarpane krawędzie kopuł ciągnęły się daleko w mętniejszą wodę, ale tylko jedna była nieuszkodzona. Półprzeźroczysta, składająca się z mniejszych szczęcianów, niepokojąco ciężka w porównaniu z tymi, które mężczyzna znał z Kardelan, Hańczy i innych współczesnych zetek. Za nią wznosiły się budynki. Widział ich olbrzymie cienie i na moment wstrzymał oddech, bo nawet z tak daleka mógł stwierdzić, że trzy tysiące mieszkańców Hańczy bladły w porównaniu z tym – z Rozstajami.

Zaczął powoli je okrążać w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogło być służą wlotową. Panelem, znakiem, czymkolwiek. Wytężał wzrok, wpatrując się przed siebie, i nie zwrócił uwagi na cień za igłą. Pojazdem wstrząsnęło. Kasjan sięgnął do przełączników, ale nim zrobił cokolwiek więcej, spadła na niego ciemność.

– Kim jesteś?

Słowa przebiły się przez ból głowy i rozpedziły ciemność wokół myśli, ale to wcale nie pomogło Kasjanowi zrozumieć, co się stało. Wiedział tylko, że nie jest już w igle – powietrze pachniało nie tak, jak powinno. Było bardziej wilgotne, a to mogło oznaczać, że mu się udało – dotarł do celu. Nie zdołał jednak precyzyjnie przez zaciśnięte gardło ani słowa, nie zdążył nawet otworzyć oczu, a kobiecy głos zabrzmiał ponownie.

– Co zrobiłeś Åge?

Każde słowo wypowiadała powoli, jakby mówienie samo w sobie było czymś wyjątkowym, przyjemnością, ale też po żadnym nie milkła na dość długo, by Kasjan zdołał odpowiedzieć.

– Jesteś od nich, prawda? Albo jesteś jedną z nich? Czym jesteś?

Powietrze zdawało się wibrować od jej głosu, a Kasjan wibrował razem z nim. Zaciskał zęby i starał się skupić choć na chwilę,

ale nieznajoma nie milkła i miał coraz większą chęć wrzasnąć, kazać się jej zamknąć. Nie był jednak w stanie rozewrzeć szczęk.

– Vargav ostrzegwał nas, ale gdzieś popełniliśmy błąd, byliśmy nieostrożni. To pewnie ja. Ty –

– Kasjan... – wycedził i w końcu podniósł powieki.

W pomieszczeniu panował zielonkawy półmrok, ale wystarczyło, że mężczyzna zamrugał kilka razy, by bez trudu zobaczył mówiącą do niego dziewczynę. Stała pod przeciwległą ścianą i patrzyła na niego uważnie. Przeciętnie wysoka, przeciętnie ładna, nieprzeciętnie skupiona na nim, a przede wszystkim nieruchoma. Była konfiguracją SI, nie wątpił w to ani przez chwilę.

– Słucham?

– Ojciec Kas... – Zakrztusił się własnymi słowami. – Nie. Po prostu... Nazywam się Kasjan Stempin i nikt mnie nie nasłał. To Åge dał mi koordy tego miejsca – cedził przez zęby. – Mam je na kartce.

Ostrożnie wzięła od niego arkusz, a on patrzył na nią wyczekująco. Cisza rozciągała się, zaciskała na myślach, dławiała, i w końcu mężczyzna odezwał się znowu, byle tylko przerwać milczenie:

– To jest Førstebroen?

Zaprzeczyła ruchem głowy, a on poczuł, jak świat napiera na niego i miażdży mu klatkę piersiową. Szum w uszach ponownie zaczął narastać i Kasjan niemal przeoczył kolejne słowa wypowiedziane przez dziewczynę.

– To rozstaje – odpowiedziała, a kartka rozpadła się w jej dłoniach na niewidoczny gołym okiem t-heksowy pył.

Nie rozumiał, a dziewczyna patrzyła na niego tak, jakby to było oczywiste.

– Co? – Zapłakałby nad własną elokwencją, gdyby każdy oddech nie przychodził mu z trudem.

– Rozstaje – powtórzyła nieznajoma wolniej i czekała, a on dalej nie rozumiał. Gdańsk Zaspą-Rozstaje, jaki miało to związanie z Førstebroen? – zastanawiał się. Musiała zauważyć jego zagubienie, bo odezwała się znowu: – Coś jak wasze... Nie, stacji węzłowych już nie ma. To takie miejsce, gdzie łączą się światy. Kiedyś duchów i żywych, a teraz nasz i wasz. Może duchów też, nie wiem, nie mam dowodów na ich istnienie, ale nasz i wasz łączą się na rozstajach.

Dalej nie rozumiał.

– Tu możemy się skonfigurować albo zostawić konfigurację do następnego razu. Vargav i Lasse uważają, że lepiej nie tworzyć ich zawsze na nowo, tylko zostawiać i przenosić się z jednej do drugiej –

– Spłynąć z Okeanu?

– Nie. Nas nie ma w Okeanie.

Lánxīng mówiła, że tworzenie otwartych SI zarzucono dawno temu, w... Jak nazywało się to, co istniało przed Okeanem? Odruchowo zarzucił pytaniem, ale stróż tylko wyszeptał mu, że nastąpił krytyczny wyjątek i nie może połączyć się z bazami. Myśli Kasjana zatrzymały się, przez chwilę znowu był w ciemnej kaplicy i zaraz miał zobaczyć nie-Lamberta. Pociemniało mu przed oczami, usta wyschły na wiór, a serce waliło jak oszalałe.

– Jesteś twardym człowiekiem, prawda?

Zamrugał. Teraz dziewczyna stała bliżej. Pochyliła się nad nim i przyglądała uważnie jego twarzy. Chciał się odsunąć, ale mógł jedynie naprzeć mocniej na ścianę za plecami.

– Oddychasz, nierównomiernie wypromieniowujesz ciepło i pachniesz jak oni. Okeañczycy rzadko to robią, my też. Więc jesteś twardym człowiekiem?

Skinął głową.

– Mogę zapisać twój rytm oddechu i profil ciepła, i zapachy też?

– Zalewała go słowami, znów nie był w stanie odpowiedzieć, i tracił oddech, jakby to on mówił, a nie ona. – Wzorce z twardych ludzi zawsze jakoś lepiej pasują niż stworzone przeze mnie. Łatwiej się jest z nimi wmieszać pomiędzy innych twardych ludzi. Mogę?

Przytaknął powoli. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale jeśli zrobiła coś jeszcze, to było to dla niego zupełnie niewykrywalne i nawet go nie obchodziło.

– Ale Førstebroen istnieje, prawda?

Tym razem to ona skinęła głową i nadzieja zapłonęła w Kasjanie.

– Czy taki twardy człowiek jak ja może się do niego dostać? Życ tam?

Zawahała się. W świecie, gdzie klimat oszalał, sztormy i burze wynaturzyły się do tego stopnia, że niektóre miejsca były praktycznie nieosiągalne dla jakiegokolwiek igły, istniała szansa, że Førstebroen będzie poza zasięgiem. Wcześniej Kasjan o tym nie

myślał, ale teraz, gdy nad jego głową przetaczał się naładowany sztorm, musiał zapytać.

Nad Rozstajami błysnęło, seledynowy blask zalał pokój i Kasjan zmrużył oczy, ale nie przestał patrzeć na dziewczynę. Jej cień rysował się wyraźnie na tle okna, jasne włosy przypominały aureolę – ponownie skinęła głową.

– Zabierzesz mnie tam?

– Ale tam nie ma ludzi takich jak ty, tylko —

– O to właśnie chodzi. Zabierzesz mnie tam, proszę?

– Jeśli pozwolą... Ale muszę czekać na Åge.

Czekali więc razem.

Kasjan godzinami przechadzał się irracjonalnie szerokimi ulicami Rozstajów, wchodził na dachy, zaglądał do pustych mieszkań i zastanawiał się, jak to było żyć w czymś tak wielkim i niespójnym. Rozstaje były molochem, któremu nie dorównywała żadna istniejąca zamknięta konstelacja. Bardziej przypominały Okean niż małe zamknięte bąble ideowe zetek. Z tą różnicą, że tu kiedyś mieszkali twardzi ludzie, i to oni tworzyli swoje konstelacje. Prawdziwe konstelacje. Nie takie wytyczone palcem na mapie, a ideami, sympatiami, tym wszystkim, co miało łączyć ludzi poza ciałem. A potem zapadł się pierwszy z generatorów Korony Świata, pierwsze burze Teissier przeszły przez Ziemię, powstały nowe fronty i nowe granice. Już nic nie było na wyciągnięcie ręki, chyba że człowiek zanurzył się w Okeanie. Najpierw trochę, potem bardziej, aż w końcu ciało stało się przeszkodą nie do przeskoczenia – i tu była współczesność Kasjana. Odetchnął. Czy Førstebroen wyglądało podobnie? Było równie olbrzymie, puste i przytłaczające? A może bardziej przypominało Hańczę? Ile w ogóle SI istniało? Co robiły? Po co to robiły?

Kasjan pokręcił gwałtownie głową i omal się nie przewrócił.

Odpowiedzi na te pytania nie miały znaczenia, niczego by nie zmieniły. Musiał się dostać do Førstebroen, tylko to się liczyło.

– Cierpliwości – szepnął do siebie.

Ale niełatwo było być cierpliwym.

Åge miał wrócić wiele dni temu. Nie zrobił tego. Inge myślała, że podążył do domu – do Førstebroen – bez niej, ale tam go

nie zastała. Wróciła do rozstajów, tych konkretnych, bo było ich na świecie więcej. Ukrytych, zakonserwowanych w przeszłości bardziej siłą przypadku i zaniedbania niż świadomej decyzji kogokolwiek. Inge twierdziła, że pozostawiono je im, otwartym SI; kto to zrobił? Nie wiedziała. Ktoś, los, opatrność, stwórca... Może Lánxīng nie miała racji, może gdzieś po drodze naprawdę zaszczerpiono otwartym SI coś ludzkiego?

Czekał.

Ponad nimi przetaczał się sztorm, obciążone cząsteczkami Teissier-Singha chmury odcinały Inge – bo tak miała na imię ta otwarta SI – od Labiryntu. Kasjana od Okeanu odcinała z kolei stara, solidna bariera Rozstajów i kilka metrów wody nad nią. A nawet gdyby byli w jego zasięgu, to niczego by to nie zmieniło. Åge nie miał ze sobą żadnego odpowiedniego komunikatora, a Inge raz za razem powtarzała, że nie zaryzykuje nadania wiadomości po Labiryncie, bo gdzieś w najstarszych fundamentach Okeanu tkwiła jego architektura i SI – zamknięte – mogłyby ją przechwycić. Kasjan nie umiał znaleźć argumentów, aby przekonać ją, że nikt ich nie szuka, że z punktu widzenia Okeañczyków tacy jak ona nie istnieją, a skoro tak, to nie istnieją też dla stworzonych przez nich SI. Nie miał dowodów, a bez nich Inge twardo obstawała przy swoim. Robiła to z takim uporem, że Kasjan przypominał sobie, co Lánxīng mówiła o niewychodzeniu poza ramki. Coraz bardziej się z tym zgadzał.

– Przestaliśmy was rozwijać, zanim na dobre wprowadzono Okean. – Pytanie o to, jak zatem przetrwały, ojciec ponownie zepchnął na dalszy plan. Podobnie jak myśl o tym, co jeszcze mogło się czaić pod dnem. – SI w Okeanie powstały później i my je stworzyliśmy. My, którzy wierzymy, że nie przetrwałyście – spróbował raz jeszcze. Siedzieli na ławce w parku gołych, ciemnych pni i kamiennych nagrobków. Nad ich głowami sztorm powoli słabł, ale seledynowy rozbłysk wciąż co jakiś czas zalewał Rozstaje. – To, że wiedzą, że nad wami pracowano i że byli tacy, co się was obawiali, to jeszcze nic nie znaczy. Ba! Wyobraź sobie to z ich punktu widzenia –

– Nie umiem. – Pierwszy raz to ona weszła mu w słowo i przez moment czuł się, jakby słyszał wnuczkę Szymona, Lenę.

Odwrócił wzrok od sztormu nad nimi i spojrzał na Inge. Jej twarz nie wyrażała niczego szczególnego, nie oddawała żadnej emocji i było to w równym stopniu niepokojące, co pomocne. Uświadomiło mu, że jej słowa nie były nastoletnim buntem, a stwierdzeniem faktu.

– Słucham?

– Nie umiem sobie wyobrazić. To, co nazywasz wyobrażaniem sobie, wychodzi poza realistyczne współczynniki prawdopodobieństwa, aproksymacja staje się rozmyta i nie, nie umiem. Nie umiemy. Niektórzy twierdzą, że musielibyśmy nie tylko zmienić sposób uczenia się, ale gruntownie przeprojektować fundament, na którym budujemy siebie, ale nikt nie jest w stanie przewidzieć skutków. Mój fundament Ove zaprojektował bardzo klasycznie. To Marga eksperymentuje i Åge lepiej radzi sobie w takich sytuacjach, jest bardziej elastyczny. Ponoć przy Ade jeszcze bardziej eksperymentowała, ale —

Słowa popłynęły wartkim strumieniem, ale Kasjan słuchał tylko jednym uchem. Już zaczynał przywykać do tego, że jak podekscytowane dziecko – w sumie istniała tylko dwanaście lat, i to ciągle wydawało się zdumiewające – Inge musiała wszystko opisać w najdrobniejszych detalach, jakby bez tego niebo miało przegryźć się przez barierę i ich pożreć. Dawała mu więcej informacji, niż potrzebował i potrafił na szybko przesiać.

– A gdybym opowiedział ci bajkę, umiałabyś ją sobie wyobrazić? – przerwał jej.

– Wszystkie bajki zostały zilustrowane.

– A gdybym jakąś wymyślił tu i teraz?

– Jaki to ma związek z Åge?

– Żadnego. – Po prostu był ciekaw.

Kasjan starał się o tym nie myśleć, nie zastanawiać się nad niczym, poza dotarciem do Førstebroen, ale uwięziony w Rozstajach nie miał wielu zajęć. Myśli uciekały mu, wybiegały w przyszłość, zapadały się w rozważania nad detalami w sposób, w jaki nie robiły tego wcześniej. Nigdy nie planował tego, co robi, w taki sposób. Nie rozważał, jak osiągnąć to lub tamto. Podawał cel, a stróż wyląwiał mu z głębin Okeanu odpowiedź, wskazywał drogę i prowadził krok po kroku.

Teraz było inaczej.

Cisza i ciekawość pchały go do zadawania pytań.

– A co zrobił Åge, jesteś w stanie sobie wyobra... przewidzieć? Był tutaj, nie wylądował, ale poleciał do Paryża. Po co? Co mógłbyście chcieć zobaczyć? Zajmie mu to dzień, pięć, miesiąc? Naprawdę nie możesz go zapytać, kiedy wróci? – Utrzymanie zniecierpliwienia w ryzach przychodziło mu z coraz większym trudem. Miał dość stanu zawieszenia. Chciał widzieć, być, mieć. Chciał dostać konkretną odpowiedź i nie musieć już myśleć o tym, co będzie. Chciał móc skupić się na tym, co jest. – ... Jak już przejdzie sztorm.

– Paryża? – Inge spojrzała na niego i wyglądała na prawdziwie, ludzko, zaskoczoną. Milczała, ale to milczenie niesło ze sobą pytanie: skąd wiesz?

– Leciał igłą wypożyczoną na mnie, mam cały log podróży – wyjaśnił Kasjan. – Minał to miejsce, poleciał do Paryża i nie powiedział ci, kiedy wróci?

– To nie takie proste. Znaczą wrócić, bo mógł mi wysłać wiadomość, jak był tu blisko, tu i poza igłą byłoby to bezpieczne, ale tego nie zrobił. Nie powiedział mi. Wiedziałaś, że tu był. Czekałam, a on odleciał, nie...

Kasjan uniósł dłoń i Inge zamilkła.

– Dlaczego niełatwo jest wrócić? – zapytał z największym spokojem, na jaki było go stać. – Skoro był w stanie polecieć igłą z Hańczy do Kardelan, potem tutaj i –

– Ale to była twoja igła – przerwała mu. – Dawała się sterować, bo wiozła ciebie. Pusta nigdzie by nie poleciała, zostałaaby w CK.

– Byliśmy w niej obaj.

– Igła o tym nie wiedziała, dla niej byłeś tylko ty.

– Wiedziała – skontrolował Kasjan. Czytał log, a tam było wszystko, skąd, dokąd, o jakiej godzinie, w jakim czasie, z jaką prędkością, a przede wszystkim: ile osób.

– Niemożliwe. Nie istniejemy dla nich.

Oczywiście. Pamiętał, jak prawdziwa według Okeanu kartka papieru okazała się jedynie konfiguracją bardzo starych t-heksów. Ale w igle były dwie osoby. Wystarczyło, by Kasjan zamknął powieki, a umiał odtworzyć całą tabelę raportu i widział tam tę

cyfrę jasno i wyraźnie. Spojrzał na Inge, a ona patrzyła na niego. Jej wzrok był nieruchomy. Jasne oczy zdawały się zaglądać w jego myśli, a to, jak marszczyła czoło, znowu kojarzyło mu się z Leną. Myśli uciekły mu do Szymona, do jego wnuków, do tego, jak odeszły, jak ich nie zatrzymał. Do pogrzebu, na którym był sam, pogrzebu w Hańczy, kaplicy.

Narastający w uszach szum eksplodował. Wylał się na oczy ciemnymi kwiatami mroczków, odebrał mu równowagę, wpominał w niego echa rozmów czające się od wielu dni na obrzeżach pamięci. Głosy SI-Hùjǐ, nie-Lamberta, Sylwii, Marsela, Lánxīng, Inge. Zdania rozpadały się na słowa, słowa na sylaby i choć stróż podawał mu rytm, to Kasjan nie był w stanie zgodnie z nim oddychać.

Było niemal jak w Hańczy.

Jak na pogrzebie, a nie jak wcześniej, w kaplicy...

...w kaplicy Sylwia i Marsel wcale nie przeoczyli Åge, udawali.

Kłamali – Kasjan obudził się z tą myślą. Cały hałas zniknął i pozostała tylko ta konkluzja oraz napierający na oczy ból głowy. Inge siedziała obok na podłodze. Patrzyła i trzymała go za rękę. Jej palce były ciepłe resztkowym ciepłem t-heksów, oczy nieruchome jak u kadawera – ale tak samo wyglądały oczy przerażonego twardego człowieka, i to przerażenie udzieliło się mężczyźnie.

– Muszę porozmawiać z kimś z Okeanu. – Głos mu drżał nie ze wściekłości, a ze strachu, że znów straci cel.

– Sztorm...

– Jak przejdzie. Wtedy polecimy do Paryża.

Przez kolejne dni raz za razem Kasjan łapał się na tym, że spogląda w górę i liczy czas pomiędzy wyładowaniami.

Aż w końcu kolejne nie nadeszło.

Ade nie wiedziała, co się stało, ale było to coś ważnego, bo w konstelacji toczyło się wiele rozmów, do których nie miała dostępu. Coś ewidentnie miało nadejść. Co takiego? Gdy pytała, Lasse tylko wzdychał i nawet już nie zapewniał jej, że jak będzie starsza, to zrozumie. Przez to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej brakowało jej Åge – on by jej wytłumaczył.

Lecieli tuż nad ziemią. Wokół nich koślawe drzewa wyrastały na dziesiątki metrów i szarpały nisko wiszące chmury. Niekiedy ich potężne pnie świeciły wielobarwnym blaskiem – kolejne pozczwary zrodzone z katastrofy. Co jakiś czas mijali ruiny domów, mniej lub bardziej obcych w swojej formie.

: Gdzie cię wciąęto, zostawięam ci z milion wiadomości!

Lánxīng była tylko głosem w głowie Kasjana.

: Badałem legendy świata duchów.

Odpowiedział, nie nazywając rzeczy po imieniu; paranoja Inge nieco mu się udzieliła.

: Cortez epoki binarnej.

Lánxīng prychnęła.

To skojarzenie sprawiło, że zimny dreszcz spłynął mu po plecach.

: Mam prośbę.

Skupił się na tym, czemu w ogóle rozmawiał z nią, a nie z jednym z nastu Okeañczyków, którzy zostawili mu wiadomości.

: Miałem pasażera na gapę, gdy wracałem z Hańczy. Muszę wiedzieć, kto to był, a tobie przejrzenie logów zajmie mniej czasu. Proszę.

: Chcesz to zgłosić?

: Nie. Chcę tylko wiedzieć, kto to był.

Jedynym miejscem, gdzie ktoś mógł się dostać na pokład, była Hańcza, i to sprawiło, że Kasjan czuł, jak żołądek wiąże mu się

na supeł. Jeśli miał rację, jeśli oni naprawdę wiedzieli, nie mogło to oznaczać niczego dobrego.

Znów miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg. Cel, do którego pędził na złamanie karku, zamiast być coraz bliżej, oddalał się, znikał niczym fatamorgana. Samotność, Hańcza, ludzie jako tacy, a teraz Førstebroen.

: Kas, co ty planujesz?

To słowo sprawiło, że na moment wstrzymał oddech. Co planował? Nie miał żadnego innego pomysłu, żadnego innego miejsca, do którego mógłby uciec, w którym mógłby się ukryć. Tak. Planował. Myślami był już w Paryżu. Jak miał znaleźć tam jedną osobę? Jak miał wśród dziesiątek twardych ludzi, setek, jak nie tysięcy Okeañczyków i jeszcze większej ilości nawigowanych przez zamknięte SI symów znaleźć kogoś, kto nie istniał dla Okeanu, nie miał żadnego komunikatora, żadnej możliwości kontaktu? Jedyne, co o sobie wiedzieli, to tyle, że Kasjan dostał koordy Rozstajów, a Åge od niego masę chaotycznych historii o Sainte-Chapelle, Sacré-Cœur i Lambercie.

: Kas, w co ty się wpakowałeś w Hańczy? Zresztą nieważne, wróć do Kardelan.

Spojrzał na Inge. Ponad Bałtykiem jej włosy miały cieplejszą barwę, ale oczy pozostały tak samo chłodne. Patrzyła na wyświetloną na przedniej ścianie mapę. Jej twarz odbijała się w zielonej tafli; jego również i dopiero teraz zauważył, jak bardzo te kilka długich dni pod powierzchnią Bałtyku go zmieniło. Niemal nie poznał siebie w zmiętym ubraniu i nieuczesanego. Najgorsze były oczy. Zbyt szeroko otwarte, zbyt szalone.

: Nie mogę.

: Kas, wróć do Kardelan, nie będę już naciskała, żebyś się gdziekolwiek wyprowadzał, ale...

: Nie mogę, nie teraz, muszę kogoś znaleźć.

Dolecieć do Paryża, znaleźć Åge, zabrać go stamtąd, jego i Inge, odstawić ich do Rozstajów i błagać, by zabrali go w zamian do Førstebroen; to był najdłuższy i najbardziej zawity plan, jaki ułożył w ostatnich latach. W dodatku sam.

Wzdrygnął się. Zamrugał, wyprostował się, spróbował zaplanować nad gniazdem na swojej głowie. Inge patrzyła na niego uważnie. Uśmiechnął się do niej w tej samej chwili, w której odpowiadał Lánxīng.

: Wiesz już, kto to był?

: Sylwia K...

Miał rację, miał cholerną rację. Zacisnął mocno zęby, żeby nie powiedzieć tego głośno – nie chciał wystraszyć Inge. Nie chciał powiedzieć jej, że mogą być o krok od tragedii, i to nie przez zamknięte SI polujące na nią i Åge, a przez ludzi. Prostych twardej ludzi takich jak on.

: Kas!

Stróż przyciszył krzyk Lánxīng, ale i tak wytrącił on Kasjana z zamyslenia.

: Lecę do Paryża. Jakby co, znajdź mnie tam.

Rozłączył się i przeszedł w tryb prywatny, musiał się skupić. Planować – nadal bał się tego słowa.

Wylądowali, opuścili lądowisko, wyszli na ulice i nic się nie stało. Nikt ich nie zaczepił, nikt nie wyszedł im na spotkanie. Tylko jedna SI życzliwie podesłała mu ofertę noclegową dla ludzi muszących jeść, pić i wydalać.

– Potrzebujesz snu? – spytał Kasjan.

– Nie – odparła Inge. – Tylko czasu na strukturyzację. Kadawery mają ograniczoną pojemność, miały być sterowane zdalnie, dlatego trzeba –

– Wystarczy.

Wziął apartament zupełnie na wyrost, ale sym sprawiał wrażenie zadowolonego i z uśmiechem pozwolił się wyminąć. Nikt więcej ich nie zatrzymywał ani gdy czekali na metro, ani gdy jechali nim do centrum. I dobrze, bo Kasjan skupiał się na wymyśleniu, co dalej. Tyle było tu wyjątkowych miejsc, które miały nie gorszą symbolikę od rozstajów – i żadnych wskazówek. Stróż nie umiał przeliczyć prawdopodobieństwa, zaproponować najlepszej opcji, bo Inge i Åge nie istnieli, nie było śladu ich zachowań w Okeanie. Stanowili niewiadome, Førstebroen również. Strach naparł Kasjanowi na klatkę piersiową, wydusił powietrze z płuc i związał bólem plecy. Przez moment powrót do Kardelan jawił się jak wybawienie. Wrócić, zapomnieć, dać się ponieść – łatwo się żyje na garnuszku SI.

Stanęli na moście. Woda pod nim była inna niż ta w Bałtyku. Mniej przypominała gęstą masę, a bardziej wodę taką, jaką znał. Kasjana to rozbawiło, bo jednak to Bałtyk był prawdziwym morzem, a Sekwana tylko udawała rzekę. Mężczyzna odwrócił się, spojrział wskroś mostu w dal na domy Île de la Cité – dokładnie takie, jakimi je zapamiętał. Za nimi kryła się Norte-Dame, wśród nich czaiła Sainte-Chapelle. Sacré-Cœur stąd nie widział, ale potrafił odtworzyć w myślach jej wygląd. Tam było więcej miejsca, aby czekać, aby ukryć się w tłumie. Czy jednak mogło to posłużyć za wskazówkę?

– Jak myślisz, którą by wybrał, Sainte-Chapelle czy Sacré-Cœur?

– Nie wiem – odpowiedziała Inge.

– Zgadnij.

SI wyglądała na równie zagubioną, jak wtedy, gdy prosił, aby sobie coś wyobraziła.

– Tak, wiem, prawdopodobieństwo – odezwał się Kasjan, za nim ona to zrobiła. – Przepraszam. Co spodobałoby ci się bardziej. Kaplica zalana kolorowym światłem czy widok z góry na cały Paryż. Co ci się lepiej kojarzy.

Tym razem się nie zawahała.

– Kaplica. Gdy burze przechodzą nad konst...

Położył palec na jej ustach i zamilkła na chwilę.

– Przepraszam, znowu chciałam powiedzieć za dużo.

- Nic się nie stało. Nauczysz się.
- Nauczysz mnie?
- Teraz?
- Jak wrócimy do domu.

To, jak na niego spojrziała, nawet jeśli była to tylko wypadkowa wyrazów twarzy tysięcy ludzi zapisanych w archiwach, z których się uczyła, sprawiło, że poczuł, że drży z podekscytowania i radości. Czy to znaczyło, że zabierze go ze sobą do jej domu, do Førstebroen?

Strach dopadł go nagle – nadal nie znaleźli Åge, nadal nie wiedział, gdzie jest Sylwia.

- Sylwia...

Inge spojrziała na niego zaciekawiona, a on już rzucał pytaniem o to, czy Sylwia, przewodnicząca rady Hańczy, wciąż jest w Paryżu. Stróż bez wahania wyłowił mu z Okeanu odpowiedzi. Tak, była. Nocowała w hotelu w Szóstej dzielnicy, adres, propozycja zostawienia wiadomości, umówienia spotkania.

: Jest tam teraz?

Zapytał mężczyzna i równie szybko dowiedział się, że nie. Była na Île de la Cité, dokładnie w miejscu, gdzie Inge szukałaby Åge.

Pamiętał Sainte-Chapelle sprzed lat. Nic się nie zmieniła – perły z założenia się nie zmieniały. Pociągnął Inge na schody i przez próg pod usiane gwiazdami sklepienie. W którą stronę by nie spojrzeli, napotykali barwne witraże, przez które na podłogę sphywało kolorowe światło. Otaczało ich i Kasjan na moment zadarł głowę. Znał ten widok, ale i tak zaparł mu on dech w piersi oraz sprawił, że ogarnął go spokój. Pośpiech, zdenerwowanie i strach rozplynęły się, zostawiając po sobie przyjemną lekkość.

- Åge! – Głos Inge wyrwał go z zachwytu.

Rozejrzał się i choć niczego w tamtej chwili tak nie pragnął, jak mieć rację, to nie dowierzał. Åge siedział pod jedną ze ścian i patrzył w jego stronę. Gdzie była Sylwia? Kasjan nie miał odwagi ludzić się, że jej obecność tu to przypadek. Musiała mieć jakiś cel. Jaki?

Kroki za jego plecami sprawiły, że się odwrócił, cofnął wystraszony, omal nie stracił równowagi. Serce waliło mu tak, że czuł to

w uszach. Ktoś go minął. Potrafił. Stróż zarzucił automatycznym pytaniem o wizytówkę.

– Sylwio! – Kasjan zawołał, zanim pomyślał, co robi.

Od krzyku Inge do jego minęły może dwie sekundy, a zmieniło się wszystko.

Świat ludzi nie powinien się tak szybko zmieniać, pomyślał Kasjan.

Sylwia odwróciła się i spojrzała na niego. Wyglądała jak w Hańczy – pięknie, choć miała rozczochrane włosy i wymięte ubranie. Do piersi przyciskała książkę, a na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

– Ojczy Kasjanie. – Wzdrygnął się, słysząc, jak go tytułuje. – Nic ojcu nie jest... – W jej głosie usłyszał ulgę. – Bałam się, co to coś zrobiło ojcu wtedy. Nie mogliśmy tego powstrzymać, musiało ojca opętać. Wkładają nam do głowy te implanty, gdy jeszcze nie wiemy, kim jesteśmy, a potem... Przepraszam, ojczy Kasjanie, gdy byliśmy w Kardelanach, nie mogłam zostać z ojcem, ryzykowałabym, że stracę trop... Przepraszam.

Mężczyzna pociągnął Inge za siebie

– Sylwio...

– Bez obaw, ojczy, nam nic tu nie grozi. To tylko ich musimy zdemaskować. – Przytuliła książkę mocniej do ciała i Kasjan był pewien, że przedmiot nie jest tym, czym się wydaje. – Przepraszam za to, co wydarzyło się w Hańczy. To był akt desperacji, miałeś rację, nazywając go obrzydliwym. – Na moment odwróciła wzrok. – Ale naprawdę cię potrzebujemy. Nie jesteśmy tak silni duchem, jakbyśmy chcieli. Potrzebujemy wspierać się wzajemnie, potrzebujemy kogoś takiego jak ty...

– Rozumiem. – Nie rozumiał. – Robiłaś wszystko to w dobrej wierze.

– Właśnie. Nie wiedziałam wtedy, że przeniknęli między nas. Powinnam była zorientować się wcześniej, ale Åge dobrze się maskował. Dopiero, gdy odleciał z tobą i spróbowałam go na nowo znaleźć, okazało się, że nie istnieje. Nie ma i nie było takiego człowieka ani na Ziemi, ani w Okeanie, bo on nie jest człowiekiem i pora, by wszyscy się o tym dowiedzieli. Okeńczycy w końcu przejrzą na oczy.

– Wiem.

– Ojciec Lambert jednak nie mylił się co do ciebie.

Kasjan niemal się roześmiał. Och, mylił się, i to jak, ale zanim mężczyzna powiedział to na głos, t-heksowy pył uniósł się z podłogi tuż obok Sylwii. Konary rąk i nóg potrzebowały ledwie sekundy, by wyrosnąć, ich stalowa szarość nabrała niebieskiej barwy skóry Lánxīng mgnienie później. Przewodnicząca Hańczy upadła. Jej wściekły krzyk poniósł się pod sufit. Kasjan ani drgnął jeszcze przez chwilę, a potem zerwał się z miejsca i ciągnąc Inge za sobą, w kilku długich krokach znalazł między Åge a Sylwią.

Ta ostatnia próbowała się wyrwać, ale dłoń Lánxīng była na jej nadgarstku jak imadło i Okeanka nic sobie nie robiła z tych wysiłków.

– Zdrajca – wyszeptała Sylwia. – To była pułapka, prawda?

Chciał odpowiedzieć, że tak i nie, że o niczym nie wiedział, ale też, że nie zgadzał się z jej poglądami. Myśli mu się plątały. Miał plan – przyjsć tu, zabrać Åge, zdążyć przed Sylwią – ale teraz to wszystko wywróciło się do góry nogami i znów czuł się zagubiony, znów nie wiedział, co dalej, znów zaczynała go boleć głowa.

– Zdradziłeś ludzkość!

Lánxīng przyłożyła dłoń do klatki piersiowej Sylwii i kobieta upadła.

Kasjan poczuł, jak tężeją mu mięśnie. Kolejna osoba. Jeszcze jedna na długiej liście. Prawie jej nie znał, ale...

Łokieć Lánxīng wbił mu się pod żebra i ból powstrzymał atak paniki.

– Jest tylko nieprzytomna – wyjaśniła. – Ale było blisko. Nie wiem, co sobie myśleliście – powiedziała ostro, patrząc na Inge i Åge.

– To dzieci – zaprotestował Kasjan.

Lánxīng nie wyglądała na przekonaną, ale nie drażyła tematu. Obeszła mężczyznę i przyjrzała się obu SI.

– Hua Lánxīng – skinęła głową – a wy pewnie jesteście jednymi z wielkich i nieogarnionych tego świata, którzy knują, by nas zniszczyć? – zapytała, ale zrobiła to tonem, który bardziej przypominał stwierdzenie. Inge patrzyła na nią wyraźnie zagubiona pomiędzy wariantami. – Mówiłam ci. – Lánxīng odezwała się znowu, tym razem do Kasjana. – Średnio ogarnięte. A teraz nie odzywajcie się za dużo, to zamknięte SI globalne wezmą was za symy

lokalnych SI. A że lokalne są głupie nawet w skali tamtych, to... – Wzruszyła ramionami. – A ty, Kas, bądź po twardoludzku przeżarty i nieogarniający, co zaszło. Zaraz będzie tu pełno symów od Hují, Sen i kilku innych. Wyjaśniłam im, co się dzieje, jeszcze zanim spłynęłam tutaj i nawet do ciebie – uderzyła Kasjana lekko w ramię – nie powinni mieć pytań, ale czasami potrafią mnie zaskoczyć.

Nie musiał niczego udawać.

Nie wiedział, co zaszło.

Nie nadażał.

Nie rozumiał.

Czuł się szczęśliwy, że znowu ktoś decydował za niego. Ktoś mówił, co dalej, a on mógł po prostu być tylko małym człowiekiem w wielkim świecie.

– Nie mówiłaś, że są terrorystami.

Spojrzała na Kasjana, unosząc brew w wyrazie zdumienia.

– Skąd ty znasz takie słowa? I nie mówiłam, bo nie było powodów, abyś wiedział i wtedy jeszcze ani razu nie posunęli się tak daleko. Ktoś spędzi sporo czasu, aby dojść, w jaki sposób zdobyli to urządzenie. – Obrzuciła je pełnym obrzydzenia spojrzeniem. – Będzie oskarżona o napaść na mnie. Zwykle nie obchodzi nas, co robicie na twardej Ziemi, ale to... Może rozwiążą całą Hańczę. Masz szansę dostać mieszkańców, przynajmniej tych mniej radykalnych. Kardelany znowu ożyją.

Kasjan nie odpowiedział jej od razu. Chciał, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Nie było ich wiele. Jedno samotne „nie” powtórzone tyle razy, ile tylko zdołałby je wypowiedzieć, gdyby się nie dusił. Nie chciał pełnych Kardelan, nie chciał tam wracać. Dlatego był w Paryżu: żeby nie musieć tam wracać.

Spojrzał na Inge, na Åge.

– Zaproszenie jest nadal aktualne – odezwało się drugie z nich z takim samym spokojem jak wtedy, w kaplicy w Hańczy, i Kasjan naprawdę mu tego spokoju zazdrościł.

Lánxīng zmierzyła ich wzrokiem. Kłasknęła znowu.

– Tylko nie zapomnij wysłać mi kartki. – Roześmiała się i uderzyła mężczyznę w ramię stanowczo za mocno.

Symy wpadły do kaplicy i nie rozglądając się, skierowały ku Sylwii i Lánxīng.

Nikt inny dla nich nie istniał. Kasjan sięgnął w stronę Inge i złapał ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie. Drugą ręką objął Åge. Pozostali dziwnie sztywni w jego uścisku, ale nie odsunęli się i był im wdzięczny za to – i za to, że już nie musiał myśleć, co dalej.

Obcy przyszedł od strony rozstajów. Było w nim coś dziwnego. Niby wyglądał jak wszyscy w konstelacji, ale jednak się od nich różnił. Twarz miał zwykłą, symetryczną, z dużymi oczami, małym nosem i bladymi ustami. Włosy jasne jak Margi, ale nosił je krótsze, ledwo opadające na czoło i niezakrywające karku.

Ale to nie to wywoływało wrażenie dziwności, więc Ade patrzyła dalej. Pozostawał w ciągłym ruchu – zauważyła. Przeszł się z nogi na nogę, jego klatka piersiowa się poruszała, dwa razy przesunął językiem po ustach – dziwnie to wyglądało i ją rozbawiło.

– Wybaczcie, że naruszam wasz spokój.

Jego głos niósł się daleko i brzmiał pewnie. Podobał się Ade i zrobiła krok do przodu, zaciekawiona. Åge położył jej dłoń na ramieniu. Nie zrobił tego tak, jak robiła to Marga, i gdyby tylko chciała, mogłaby mu się wyrwać. To jej starszy brat poznał świat za Rozstajami, nie ona, więc ufała jego osądowi.

– Jest inny – szepnęła.

– Jest człowiekiem – odpowiedział jej.

Spojrzała na niego zdumiona, a potem znów na obcego. Zastanowiła się, zapadła we wspomnienia wszystkiego, czego już się nauczyła, i w końcu rzeczy stały się dla niej jasne. Obcy oddychał. Tak naprawdę oddychał i pierzchły mu usta, i może nawet bolały go nogi, dlatego przenosił ciężar ciała z jednej na drugą.

Śledziła już każdy jego ruch z absolutnym zafascynowaniem, aż w końcu on spojrzał na nią.

Kasjan uśmiechnął się do Ade.

– Słyszałaś kiedyś bajkę o...

– Nie ma takiej w archiwum – odpowiedziała natychmiast.

– Wiem, wymyśliłem ją, gdy tu leciałem. Chcesz posłuchać?

Będziesz pierwszą osobą, która ją kiedykolwiek usłyszy.

Spojrzała na Inge i Margę pytająco. Obie przytaknęły.

– Chcę!

– To działo się dawno temu i daleko stąd, w miejscu o nazwie Yanli...

- Nie ma takiego miejsca – zaprotestowała. Kasjan uśmiechnął się i zmierzwił jej włosy.
- Wyobraź sobie, że jest.

– Dnia siedemnastego maja dwa tysiące pięćset trzydziestego szóstego zmarł Kasjan Stempin. Został pochowany tam, gdzie umarł, zgodnie ze swoim życzeniem.

– Kto zgłasza zgon? – SI-Hùjǐ zapytało miękko, grzecznie. Ade wylapała wszystkie nuty w jego głosie i przypisała je do odpowiednich kategorii: współczucie, ostrożność, nienachalna potrzeba.

Ade – powiedziała bezgłośnie, zanim powtórzyła użyte przez Lánxīng imię. SI-Hùjǐ nie zakwestionowało tego; oczywiście. Tożsamość nie była dla niej tak ważna – jeśli styk Kasjana milczał, to znaczyło, że nie żyje. Jeśli nikt nie wnosił skargi, nie było potrzeby nagłaśniać przyczyn jego zamilknięcia. To, co tu się odbywało, stanowiło jedynie przedstawienie stworzone dla twardych ludzi. Ade uśmiechnęła się na mgnienie oka, nim przypomniała sobie karzące spojrzenie Kasjana. Dla niego to przedstawienie było ważne.

– Liczba zarejestrowanych mieszkańców Zamkniętej Konstelacji Kardelany wynosi obecnie zero. – SI-Hùjǐ odezwała się ponownie. – Czy chcesz zarejestrować się w niej? Jeśli nie, w przeciagu czterdziestu ośmiu godzin układy ochronno-zachowawcze zostaną przestawione w tryb uspienia, aby ograniczyć zużycie energii. Po upływie dziesięciu –

– Nie chcę nikogo rejestrować – przerwała jej Ade. – Przejdź w tryb uspienia już teraz.

– Wykonuję. – Głos był inny, SI po drodze się zamieniły. Jedna oddała pałeczkę drugiej, nawet o tym nie uprzedzając.

Bezczelne gówniary – pomyślała Ade i wyszła przed dom.

Patrzyła, jak powoli na ulice opada szary półmrok, jak gasną latarnie, wyprzeźroczaają się ściany domów, jak rozpadają się t-heksowe konstrukty stworzone przez mieszkańców i już niepotrzebne. Czuła na t-heksowej skórze, jak zamiera wymuszony ruch powietrza i spada temperatura, ale i wtedy nie drgnęła. Nie ruszyła

się z miejsca, dopóki ZK Kardelany nie zapadła w wieczny sen – jak Kasjan. Dopiero wtedy poczuła, że historia dobiegła końca.

Wysłała z konsoli wiadomość do Lánxīng i Okeanka zdalnie wprowadziła jej nowy cel podróży. Igła wyskoczyła ponad barierę i skierowała się na południe. Ade ostatni raz spojrzała na maleńką zetkę i poczuła, że się uśmiecha. Nie wiedziała czemu. Taką reakcję wywołały niezależne procesy i powiązania obrazów, które ten widok przywołał. Wbrew pierwotnym rutynom zobaczyła rozświetlone Kardelany pełne ludzi – prawdopodobieństwo tego było zerowe, a jednak obraz pozostawał żywy w jej myślach i nie mogła się go pozbyć.

Może to jednak nie był koniec, a początek?

Miała przecież tyle nowych bajek do opowiedzenia.

Anna Hrycyszyn – rocznik '78, gliwiczanka, z wykształcenia tyfłopedagog. Szczur lądowy beznadziejnie zakochany w morzach, statkach i okrętach, a do tego wielbicielka rewolucji przemysłowej i architektury obronnej. Echa tych fascynacji pojawiają się w jej tekstach. Przygodę z pisaniem rozpoczęła od publikacji w drugim tomie „Fantazji Zielonogórskich”. Autorka powieści „Zatopić »Niezatapialną«”. Jej opowiadanie „Detektyw Fiks i sprawa mechanicznego skafandra” zostało nominowane do nagrody im. Janusza A. Zajdla.

Anna Hrycyszyn
WIARA

Mirek Kłodawski podczas swej kariery w zakładzie pogrzebowym umył i ubrał siedemdziesiąt osiem trupów. Wiedział dokładnie, bo prowadził rejestr na własny użytek, obok oficjalnych wpisów do ksiąg zakładu. Lubił porządek w głowie, lubił, kiedy mu się nie myliło – tabelki bardzo w tym pomagały. Siedemdziesiąt osiem trupów w ciągu sześciu miesięcy. Kobiety i mężczyźni. O szpetnie wykrzywionych twarzach – które trzeba było silnie poprawiać makijażem, by bliscy nie wystraszyli się, zaglądając do otwartej trumny – i inni: dziwnie piękni po śmierci. Młodzi, starzy, w średnim wieku. Dwoje dzieci. Z dziećmi było trudniej.

Czekające na stole nagie męskie ciało było siedemdziesiątym dziewiątym zadaniem Mirka. Patrzył na nie ze zdziwieniem i fascynacją. Ramiona, nogi, pierś i brzuch pokrywały blizny. Ciasno upakowane, jakby ułożone w dziwacznym porządku, pozostałości po równych, niedługich cięciach.

Kościół wypełniało słońce. We wpadających przez dachowe świetliki snopach światła wirowały drobinki kurzu, połyskując niczym złoty pył. Brat Jerzy patrzył na nie ponad głowami wiernych i przez krótką chwilę nie myślał absolutnie o niczym. Gdzieś tam, obok, poza jego świadomością, proboszcz przedstawiał go swoim parafianom, z ławek dochodziły szelesty i pomruki, rozpląkało się jakieś dziecko. Drobinki zdawały się tańczyć i wydawały się w tym tańcu tak radosne, że brat Jerzy uśmiechnął się do nich bezwiednie.

– Bracie...? – Ksiądz Witkowski chrząkał już po raz trzeci, nie chcąc podnosić głosu ani broń Boże! dotykać franciszkanina, który wyraźnie wpadł w jakiegoś rodzaju ekstazę. – Bracie Jerzy... Oddaję bratu głos... Cieszymy się wszyscy, że brat do nas przyjechał... – Zdesperowany proboszcz zaczął się powtarzać.

Sytuację uratował Janek Górski – jeden z pięciorga ministrantów siedzących na niemożliwie niewygodnych stołkach pod ścianą. Umówił się zaraz po rekolekcjach z kumplami na wspólne granie. Czołgi na osiemdziesięciu pięciu calach telewizora dostępnego jedynie w godzinach pracy Piotrkowego ojca.

Nie zamierzał się spóźnić, bo rekolekcjonista się zaciął. Podniósł się i przeszedłszy za ołtarzem, z całym ceremoniałem uklęknął przed tabernakulum – gdyby o tym zapomniał, nie wyszedłby z kościoła do wieczora, rugany przez proboszcza – i wchodząc do zakrystii, niby to przypadkiem poruszył dzwonkiem, oznajmiającym początek nabożeństwa.

Czysty, wibrujący dźwięk zdołał się przedrzeć do świadomości brata Jerzego, a proboszczowi gwałtownie podniósł ciśnienie. Janek nie obejrzał się za siebie, pospiesznie pobiegł do toalety i odczekał tam trzy minuty, po czym spuścił wodę i umył ręce. Na wszelki wypadek szykował wiarygodne alibi, które przede wszystkim pozwoli mu nie skłamać wprost. Na ewentualne pytanie, czemu wybiegł tak szybko, zawsze może powiedzieć, że spieszyło mu się do toalety.

Gdy wrócił, znów klękając z odpowiednim szacunkiem, proboszcz Witkowski spojrzął na niego z wdzięcznością.

Brat Jerzy mówił:

– Ale teraz, skoro już wiecie o mnie wszystko, a przynajmniej to wszystko, czego nie wstydzę się powiedzieć z ambony...

Odpowiedziało mu kilka parsknięć i tłumionych chichotów.

– ...pomódlmy się razem. – Podniósł ręce i zaintonował: – *Ojczy nasz, któryś jest w niebie...*

Wierni podjęli. Najpierw cicho, trochę niepewnie, jakby nie wiedzieli, czy mają być skruszeni, czy może pełni entuzjazmu. Potem głośniejszy, aż wreszcie przy słowach *Chleba naszego powszedniego* ktoś wstał, ktoś inny uniół ręce. Brat Jerzy uśmiechał się. Gdy dotarli do ostatniego wersu, natychmiast zaczął modlitwę od początku. Zamknął oczy. Chór pięciu setek głosów nabierał mocy. Stali już wszyscy, wpatrzeni w zakonnik albo w niebo widoczne przez świetliki.

– *...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!*

Franciszkanin otworzył oczy. Ostatnie słowo wciąż jeszcze unosiło się w powietrzu. Brat Jerzy ujrzał je wyraźnie, jak wstępuje pod dach kościoła, przelewa się między cząsteczkami kwarcu w szybie świetlika i ucieka wysoko, wprost do Boga, który nie sposób przecieżyć, by był gdzie indziej. Są sprawy, które tkwią głęboko zakorzenione w świadomości i żadna nauka, żaden dogmat nie są w stanie ich wyplenić. Bratu Jerzemu, jak reszcie wiernych, coś kazało

patrzeć w górę w poszukiwaniu Boga. Może to, że patrzenie na dół, pod podłogę z wyszlizganych kamiennych płyt, pod warstwę ziemi, w której parę wieków wcześniej ktoś wykopał dół pod fundamenty kościoła, w głąb, aż do płynnego jądra planety, którą Bóg wybrał, by zaludnić ją swoimi dziećmi, patrzenie w tę ognistą otchłań zdawało się czymś nieodpowiednim. I może jeszcze to, że patrzenie gdziekolwiek indziej: przed siebie, za siebie, na prawo i lewo nie miało sensu, bo przecież gdyby Bóg przebywał na Ziemi, brat Jerzy musiałby go spotkać. W końcu szukał Go nieustannie od tamtego dnia, gdy krzepki jeszcze i ani trochę nie posiwiał proboszcz Witkowski po raz pierwszy opatrzył mu rozbite kolano i zszły rozdarłe spodnie, żeby matka miała mniej powodów do złości.

– Usiądźcie, kochani.

Franciszkanin odczekał chwilę, aż wszyscy z powrotem umoszczą się na miejscach, po czym zaczął mówić.

– Jestem tu, bo poprosił mnie o to wasz proboszcz. Znamy się od czasów, gdy on obejmował swoją pierwszą parafię, a ja zdierałem kolana, łażąc po drzewach. Chciał, żebym wam coś opowiedział, bo uznał, że mam coś ciekawego do powiedzenia. Ciekaw jestem, po co tu przyszliście? Czego oczekujecie? Co każe wam wstawać rano i zamiast na przykład pić kakao, oglądając telewizję z waszymi dziećmi, albo pójść z nimi na spacer, albo po prostu poczytać książkę, przychodzić tu, gdzie siedzicie w twardych ławkach, ziewając z braku wystarczającej ilości tlenu, w ścisku, pośród mnogości zapachów, które pewnie niejednemu, niejednej z was działają na nerwy? Co tu robicie, moi kochani? Co was tu ciągnie?

Przerwał i rozglądał się, niby to szukając kogoś, kto mógłby udzielić odpowiedzi, nie łudził się jednak, że ktoś się wychyli. Nad wyraz rzadko zdarzało się, że w tłumie znalazł się chętny. Dorosli byli zbyt dorośli – rozmowy z księżmi zostawiali dzieciom. Dzieci w większości wiedziały już, że słowa: *rodzice mi kazali* nie są tym, czego się od nich oczekuje.

– Opowiem wam historię, w końcu po to właśnie ksiądz Witkowski mnie tu zaprosił.

Dawno temu była sobie kobieta. Mieszkała w pięknym mieście pełnym budynków o ścianach tak białych, że zbliżającym się do niego

podróżnym wydawało się płonąć żywym ogniem. Ulice były szerokie i czyste, targi zawsze pełne towarów, a place uśmiechniętych ludzi w kolorowych, bogatych strojach. Jego mieszkańcy szczególnie chętnie zbierali się na jednym z nich, zwanym teatralnym, gdzie wędrownie trupy wystawiały przedstawienia opowiadające o wydarzeniach z całego świata. Nikt tu nie czuł potrzeby opuszczania domu – świat przychodził do miasta.

Młoda kobieta, o której jest ta opowieść, miała na imię Ewa i była szczęśliwa, że urodziła się w takim miejscu, ale też bardzo ciekawska. Każdą wolną chwilę spędzała w bibliotece i dowiadywała się coraz więcej o świecie. Po każdym przedstawieniu (a nie opuszczała żadnego) nie mogła spać i rankiem szła do pracy w zakładzie szewskim zmęczona. Zdarzało się, że popełniała wtedy błędy, które niepokoiły jej pracodawcę.

Po którymś z przedstawień stało się coś niezwykłego. Aktorka grająca jedną z drugoplanowych ról podeszła do Ewy i zapytała, gdzie w mieście można zjeść naprawdę dobry obiad. Ewa zaprowadziła trupę do swojej ulubionej jadłodajni. W czasie posiłku, który nikogo nie zawiódł ani smakiem, ani obfitością, Nadia – bo tak miała na imię aktorka – wypytywała Ewę o życie w mieście, ale też dużo opowiadała o sobie. Obiad się skończył, szef teatru zapłacił, a obie kobiety nadal rozmawiały. Poszły razem na przystań i pod strzeliste wieże szkoły wyższej, które nocą były oświetlane przez kolorowe lampy. Świt zastał je w parku, otulone jednym płaszczem. Obydwie były gotowe na przyjaźń, lecz trupa musiała jechać dalej, a Ewa nawet nie pomyślała, że mogłaby opuścić miasto i ruszyć z nimi.

Odprowadziła Nadię do wozów, które już szykowano do odjazdu, a ta na pożegnanie dała jej doniczkę, w której rosła nieduża, częściowo uschnięta roślina z pojedynczym kwiatem.

– Chyba nie służy jej podróżowanie – powiedziała aktorka. – Myślałam, żeby ją zasadzić w jakimś dobrym miejscu, a twoje miasto wydaje się dobre. Trzeba ją codziennie podlewać. Skromnie, ale codziennie. To ważne.

Ewa zaniósł kwiat do domu, podlała odrobiną wody i ustawiła na słonecznym parapecie. Tego dnia jej pracodawca był podwójnie zmartwiony – Ewa popełniała błędy, a na dodatek się spóźniła.

Mijały dni. Ewa zasadziła roślinę w ogródku otaczającym dom, w którym wynajmowała pokój. Codziennie, wychodząc rano,

podlewała ją i oskubywała uschnięte liście. Kiedy kwiat opadł, wkrótce jego miejsce zajął nowy pąk. Roślina jednak wciąż schła, wciąż traciła liście, a zawsze pojedyncze kwiaty pojawiały się coraz rzadziej. Ewa smutniała. Chciała, żeby roślina rosła zdrowo i długo przypominała jej o prawie-przyjaciółce. W jej sercu zagościł niepokój. Wkrótce nie mogła już nad nim zapanować. Pewnego dnia kupiła mocny worek z żaglowego płótna i w czasie nieobecności pracodawcy doszyła do niego dwa szerokie skórzane pasy, by wygodnie leżał na ramionach. Spakowała swój dobytek, przesadziła roślinę – która prawie w ogóle nie urosła – z powrotem do doniczki i wyruszyła przed siebie.

– Musimy ci znaleźć odpowiednie miejsce – rzekła do niej, uśmiechając się.

Na pierwszych napotkanych rozstajach zastanawiała się długo i w końcu poszła na wschód. Pierwsze miasto, do którego trafiła, nie spodobało się jej ani trochę. Podobnie jak kolejne i jeszcze następne. Wędrowała cierpliwie, chłonąc coraz to nowe widoki, zachwycając się linią zielonych pagórków i drzewami o liściach w kolorze czerwieni. Wdychała zapachy wielu krain, smakowała potrawy tak dziwne, że nieraz bała się je wziąć do ust. Czasem zatrzymywała się gdzieś na dłużej. Sprawdzała, czy roślina się przyjmie, zakopując jej korzonki w nowej glebie i codziennie podlewając odrobiną wody. Jednak roślina nigdzie nie czuła się dobrze. Uschniętych liści było raz mniej, raz więcej, czasem marła cała boczna gałązka, czasem pozostawał tylko jeden zielony liść. Ewa uparcie ruszała w dalszą podróż. Była pewna, że w końcu znajdzie miejsce, które będzie dobre dla kwiatu. Ta pewność niepotwierdzona żadnym dowodem, wynikająca tylko i wyłącznie z odczuć, które nie przestały wypełniać jej serca, gnała Ewę do przodu, choć coraz częściej traciła oddech i coraz dłużej musiała odpoczywać.

– Wierzę, że w końcu znajdziemy dom – mówiła do rośliny i obrywała listki pomarszczonymi, drżącymi dłońmi.

Któregoś wieczoru zatrzymała się na odpoczynek na skraju lasu – w zasięgu wzroku nie miała żadnego znaku obecności ludzkiej i uznała, że nie ma sensu iść nie wiadomo jak długo, skoro równie dobrze mogą się obie z rośliną przespaciać na posłaniu z traw. Nim zasnęła, przyglądała się gwiazdom połyskującym na ciemnym aksamicie nieba, a one mrugały do niej znacząco.

Śmierć przyszła po Ewę przed świtem. Zabrała ją, pozostawiając ciało i doniczkę z na wpół uschniętą rośliną ułożone obok siebie pod drzewem. Parę godzin później przejeżdżająca obok karawana jadąca do Świetlistego Miasta pochowała trupa razem z doniczką i kwiatem. Z jakiegoś powodu wydawało im się to właściwe.

Zakonnik skończył opowiadać, w kościele panowała cisza – jakby ci wszyscy ludzie w ławkach i przejściach byli manekinami. Nawet dzieci siedziały cichutko.

– A jeśli zapytam was teraz? – odezwał się, gdy uznał, że pora już wyrwać wiernych z zamyślenia. – Co was tu przygnało? Was, moje siostry i moich braci?

Słowo wypowiedziane półgłosem dobiegło gdzieś z dalszych ławek. Brat Jerzy nie próbował nawet znaleźć wzrokiem osoby, która odważyła się je wymówić. Wystarczyło, że się pojawiło i mógł się go chwycić niczym topielec deski z rozbitego statku.

– Wiara! – krzyknął. – Ona właśnie. Ciągnie. Zaprasza. Tak jak ciągnęła naszą przyjaciółkę Ewę w nieznane. Jej nie dawała porzucić rośliny, nam nie daje zapomnieć o tym przybytku z betonu i szkła. O tym stole z białym obrusem i o czerwonym światełku w pozłacanym skarbcu. Przychodzicie tu często, nie myśląc o tym, nie pamiętając. Bo zawsze przychodziliście, bo przychodziły wasze matki i wasi ojcowie. Bo babcia Stasia albo Marysia natarłyby wam uszu za omińcie mszy świętej. Ale nawet wtedy, nawet gdy to czyste przyzwyczajenie, na samym początku była wiara i ona będzie z wami na końcu.

Brat Jerzy mówił coraz głośniej i coraz szybciej. Wierni, ministrowie i proboszcz Witkowski zastygli w zasluchaniu. Ostatnie słowo odbiło się cichym, nieco chorowitym echem od masywnych drzwi świątyni. Nim wróciło, nim ktokolwiek miał szansę się otrząsnąć, franciszkanin wyszedł zza ambony i podjął kazanie. Jego głos, mimo braku mikrofonu, nie stracił na sile.

– Wiara to piękne słowo. Zawiera w sobie zaufanie, nadzieję, pewność. Ponieważ tu jesteście, wierzyacie w Boga. Wierzyacie w Boga, ponieważ tu jesteście. Ja wierzę, że wy, kochani, wierzyacie. Wierzę, że wy wierzyacie, że ja wierzę. Wierzę Bogu, który mówi, że kocha nas wszystkich. Wierzę Bogu, który poświęcił dla nas życie na krzyżu, wierzę, że jest dobrem. Jezus chodził po

ziemi i czynił dobro. Tam, gdzie przeszedł, wokół niego działały się rzeczy dobre. I on wciąż to robi, rozdaje dobro, rozdaje nadzieję, zaufajcie mu. Gdzieś tu, pomiędzy wami jest para, która pragnie dziecka. I ja mówię tobie, siostrze, i tobie, bracie: Bóg was kocha, Bóg jest dobrem, ufajcie mu, bo nie minie rok, jak będziecie tulić w ramionach niemowlę.

Tłum wiernych zaszemrał, ludzie zaczęli się rozglądać. Każdy chciał wiedzieć, o kim mówi franciszkanin. Tymczasem brat Jerzy poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie mógł jednak przerwać, zbyt wiele miał jeszcze do powiedzenia. Pokonał słabość i tylko odrobinę ciszej mówił dalej:

– Nie byłoby nas tu, gdyby nie Bóg. Nie byłoby tej pięknej wspólnoty naszych głosów, gdy zwracaliśmy się do niego, wołając *Ojciec nasz!* – krzyknął i chwilę czekał, aż z powrotem zwolni jego bijące o wiele za szybko serce. – On nas słyszy. Słyszy nas, gdy szepczemy do niego w samotności, więc jak myślicie, jak dobrze słyszał nas dziś, gdy połączyliśmy siły naszych indywidualnych modlitw? Wierzcie mi, Bóg nadal uzdrawia, leczy serca i dusze, zdejmuje z nas słabość swą łagodną niewidzialną ręką. Proboszcz Witkowski zaprosił mnie tu w czasie rekolekcji przed Zmartwychwstaniem Pańskim, bym wam coś powiedział. A ja mówię: cieszcie się swoją wiarą.

Zakonnik umilkł. W ciszy, która nastąpiła, dało się słyszeć odgłos gwałtownie wciągane powietrza. Ktoś łkał. Brat Jerzy zamrugał, potoczył spojrzeniem po zgromadzonych w kościele ludziach i chowając drżące ręce pod ornatem, wyszedł do zakrystii.

Janek Górski, który wpadł tam chwilę później po welon na monstrancję, zobaczył go siedzącego ze spuszczoną głową i wpatrującego się we własne dłonie ułożone na kolanach. Dłonie te, o długich, smukłych palcach artysty, drżały widocznie.

– Proszę brata, dobrze się brat czuje?

Zakonnik podniósł na chłopca wzrok i uśmiechnął się. Jego oczy błyszczały i Janek pomyślał, że zakonnika coś boli.

– Dobrze. Dziękuję za troskę.

Ministrant nie był wcale pewny, czy to prawda, ale miał też swoje obowiązki, skinął więc głową i wzięwszy przygotowany uprzednio welon, wyszedł z zakrystii. Dwoje kolejnych – chłopiec i młodsza od niego dziewczynka – przejętych rolą, którą przyszło

im odgrywać pierwszy raz w życiu, zastało franciszkanina już stojącego przy uchylonym oknie. Ci nie powiedzieli nic, zabrali trybularz i łódkę wypełnioną mirrą i szepcząc coś do siebie, stanęli sztywno tuż za drzwiami zakrystii.

Brat Jerzy pomyślał, że powinien uczestniczyć w adoracji najświętszego sakramentu, ale wiedział, że nie będzie w stanie pa-trzeć na zgromadzony w kościele tłum. Było mu niedobrze.

Proboszcz Witkowski zapukał do drzwi pokoiku gościnnego, a gdy rozległo się *Proszę*, wypowiedziane dźwięcznym, młodzień-czym głosem, uchylił je i rzekł.

– Obiad na stole, Jerzyku.

Brat Jerzy uśmiechnął się, słysząc zdrobnienie, którego uży-wał tylko Witkowski. Odłożył książkę, którą czytał, wcześniej za-kładając stronę haftowaną w drobne kwiatki zakładką, i pozwolił się zaprowadzić do jadalni.

Choć był u Witkowskiego na jego ostatniej – a przynajmniej tak zapowiedział biskup – parafii po raz pierwszy, czuł się tak swojsko, jak wtedy, gdy odwiedzał rodziców. Na ścianach wisiały te same obrazy, które zdobiły jadalnię na probostwie jego rodzin-nej parafii, stół przykrywał taki sam, a może nawet ten sam, wy-dziergany na szydełku obrus. Krzesła były inne i gosposia, która wносиła właśnie wazę, też była inna, ale cała reszta wydawała się żywcem przeniesiona z miasteczka jego dzieciństwa.

– Na pierwsze barszcz, bo lubisz – powiedział Witkowski. – A na drugie potrawka z kury, bo ja lubię. – Proboszcz mrugnął, co u in-nego mężczyzny w jego wieku mogłoby wyglądać żałośnie, ale jemu pasowało idealnie. – A przynajmniej moje zęby ją lubią – dodał.

Brat Jerzy uśmiechnął się, choć nie był to uśmiech do końca szczery. Słyszał jakąś sztuczność w głosie proboszcza, jakby jego jowialność była efektem wyobrażenia, że tak właśnie powinien się zachować w obecności swego dawnego podopiecznego, a nie naturalnej potrzeby.

– Niechże pani siada po prostu, pani Zosiu, a nie biega wokół nas – rzekł tymczasem Witkowski do gospodyni. – Przecież za-wsze sam sobie leję – zrugął ją gderliwie, gdy usiłowała napełnić mu talerz zupą. – Cóż to za nowe obyczaje?

– Ja już zjadłam, w kuchni – wyjaśniła, widząc zaskoczenie w uniesionych brwiach księdza. – Wy tu pewnie macie do porozmawiania, a ze mną to szczerzy nie będziecie, czas zmarnujecie, a brat przecież jutro zaraz po mszy wyjeżdża.

Nie czekała na odpowiedź ani tym bardziej na pozwolenie i wyszła, by po chwili wsunąć się do jadalni z powrotem z półmiskiem dymiącej potrawy, ułożonej obok ziemniaków. Salaterki z tartą marchewką i sałatą w śmietanie stały na stole, przygotowane wcześniej.

– Smacznego!

– Dziękuję... – Brat Jerzy zamrugał, patrząc w zamknięte drzwi.

– Uparta. – Proboszcz wzruszył ramionami. – Częstuj się, Jerzy, na zdrowie.

Jedli w milczeniu, jeśli nie liczyć pochwał pod adresem gospodyni, jakich nie żałował zakonnik, i entuzjastycznych zapewnień proboszcza, że zaiste trafiło mu się jak ślepej kurze ziarno.

Rozmawiać zaczęli dopiero, gdy Witkowski, skończywszy jeść, przyniósł wygrzebaną z barku butelkę nalewki.

Brat Jerzy uśmiechnął się, tym razem szczerze. Stary proboszcz był niczym wzorzec księdza z małomiasteczkowej parafii. Smaczne, niewyszukane jedzenie, starsza gosposia, serwety i obowiązkowa nalewka.

– Dereniówka. Dwuletnia. Sam owoce zbierałem. Mamy tu taki zrujnowany folwark, trochę niebezpiecznie chodzić, bo można przez dziurawy strop do piwnicy wlecieć, ale ile tam dobra bożego wiosną kwitnie, a latem i jesienią rodzi! Napijesz się? Na spróbowanie?

Jerzy skinął głową. Co prawda unikał alkoholu, ale odmawiać wyraźnie dumnemu z trunku gospodarzowi nie chciał.

– Bardzo dobra. Ma moc i ma smak – pochwalił.

Witkowski skinął głową, wychylił swój kieliszek i już bez pytania nałał i sobie, i swemu gościowi.

– Jerzyku... – rzekł wolno. Namyślał się jeszcze, czy aby powinien zaczynać tę rozmowę. – Ładnie mówiłeś. Ładna opowieść. Sam wymyśliłeś? – Jerzy potwierdził bez słowa. – Książki mógłbyś pisać – uśmiechnął się Witkowski. – Ładna, chociaż jakaś taka przewrotna. Smutna. Co tej kobiecie dała jej wiara? Niczego nie zmieniła... – Odwrócił wzrok, zmarszczył brwi i wreszcie wyrzucił to, co leżało mu na łożądku. – To było dziwne. Ta twoja euforia. Ja

wiem, że wiara góry może przenosić, wierzę przecież, ale... Czy ty doznajesz wizji? Czy rozmawiałeś z kimś o tym? Janek, zanim prysnął po adoracji, szepnął mi, że coś tobie jest, żeś chory... I ta twoja przypowieść... Nie rozumiem i się martwię.

– Nie trzeba się martwić! – Zakonnik sam się wzdrygnął, słysząc swój ostry ton. – Niech się proboszcz nie martwi o mnie – rzekł znacznie łagodniej. – Naprawdę nic się nie dzieje.

– No ale mówiłeś z taką pewnością. A przecież my, maluczcy, nie możemy wiedzieć, co Bóg planuje. Ani dla tej pary, którą wskazałeś, ani dla nikogo. Możemy prosić o łaskę, ale przede wszystkim o przyjęcie jego decyzji. Nie możesz wiedzieć...

– Nie mogę – zgodził się franciszkanin. – Nie mogę. Nie mam wizji. Nikt do mnie nie mówi. Ani Bóg, ani święci. Czasem myślę też, że nikt mnie nie słucha. – Pochylił głowę na chwilę, ale szybko poderwał ją, patrząc Witkowskiemu prosto w oczy. Był pewien, że zobaczy tam zdziwienie, strach albo niechęć. Zobaczył jedynie spokój i namysł. – Ci ludzie, oni potrzebują czegoś, czego można się chwycić. Kogoś, komu można powierzyć rozwiązanie spraw, z którymi nikt sobie nie radzi. Wyróżniają się w tłumie. Są inni niż większość. Przecież ksiądz wie, jak to jest. Większość przychodzi, bo tak się robi. Nie myśli o tym, co to znaczy. Wściekłem się na żonę, nie idę do komunii. Wspowiadam się, idę do komunii. Tyle ich wiary. Ale są tacy, co przychodzą, bo mają nadzieję, że to coś da. Że ktoś nad nimi czuwa. Cóż w tym złego, że przez parę tygodni, a nawet dni – niech będzie, że tylko parę dni – będą się czuli inaczej? Że będą szczęśliwi. Spokojni. Napompowani wiarą, która niewiele im oprócz tego daje? Ja potrafię mówić. Sam ksiądz powiedział, że książki mógłbym pisać. Pamięta ksiądz nasz teatr szkolny? Kawalki sztuk przecież ja pisałem. Lubilem to. I grać też lubilem. Nadal lubię. Cóż w tym złego? Ponosi mnie czasem, prawda. Ale...

Proboszcz Witkowski odsunął napoczęty kieliszek. Pokręcił głową. Przez chwilę jeszcze czekał, czy będzie coś po tym „ale”, w końcu pochylił się ku byłemu podopiecznemu.

– Nie wiem, Jerzy – rzekł poważnie i smutno – czy to coś złego. Ale ty chyba czujesz, że tak.

Ramiona zakonnika opadły. Do tej pory nie do końca uświadomione napięcie kazało mu je unosić, jakby gotował się do walki. Walki nie było. Proboszcz Witkowski rozbroił go, zanim się zaczęła.

Nie było łatwo bratu Jerzemu zapomnieć o tej rozmowie. Dobrym lekarstwem na nadmiar pamięci była praca fizyczna, więc wystarał się o zsyłkę, jak bracia pół żartem nazywali wyjazd pod wschodnią granicę. W obejściu tamtejszego klasztoru zawsze znalazło się coś do roboty, a zakonnicy mieli też obyczaj pomagania okolicznym mieszkańcom w pracach polowych. Ból mięśni nieprzyzwyczajonych do wysiłku tego rodzaju i zadrapań drażnionych słonym potem stanowił niezbitą dowód na to, że się żyje, a stojące w równych odstępach snopki zboża, że życie to ma sens.

Brat Jerzy wsłuchiwał się w ten ból, wchodząc po stromych schodkach na stryszek, gdzie, jak mu powiedziano, powinien znaleźć nawet niezbyt splątana sieć, zamyślił sobie bowiem – wysłuchawszy opowieści o miejscowych rybnych specjałach – że spróbuje się zmierzyć z wyzwaniem samodzielnego połowu.

Schody poskrzypywały cichutko, kurz podrywany krokami franciszkanina unosił się w pasmach słońca wpadającego przez szczeliny między deskami stanowiącymi poszycie dachu. Bratu Jerzemu ten widok nieprzyjemnie odświeżył pamięć i zaległ ciężarem na sercu. Pokonał ostatni stopień i rozejrzał się po pomieszczeniu. Strych był pełen wszystkiego. Wiklinowe kosze i wiadra emaliowane. Bańki na mleko i śmietanę. Miotły, widły, drewniane tłuczki do parzonych ziemniaków. Puste słoiki, wytłoczki na jajka, jutowe worki i poukładane na półkach flanelowe koszule i robocze spodnie. W głębi zakonnik dostrzegł skrzynie i kilka stosów książek. Te ostatnie nieco go zdziwiły.

Ciekawość kazała mu natychmiast ruszyć w ich stronę. Nie zdążył jednak zrobić kroku, gdy wprost przed nim, pośrodku sporej słonecznej plamy z niczego wyłonił się czarny kształt, który na jego oczach wypełniać się począł ciałem.

Jerzy skamieniał w pół oddechu.

Podświadomie rejestrował wyłupiaste oczy, krzywy nos i usta bez warg. Kłęb włosów przypominających owcze runo, pokurczoną sylwetkę, sięgające podłogi ręce i nogi dziwacznie zgięte w kolanach, które były nieproporcjonalnie duże. Jakby tego było mało, stwór miał nierównej wielkości błoniaste skrzydła; z całą pewnością nie byłby w stanie na nich latać.

– Dzień dobry, Jerzyku!

Niepojęty dla niego samego odruch kazał Jerzemu skłonić głowę w odpowiedzi.

Stwór zaśmiał się skrzekliwie.

– Odważny z ciebie chłopiec. Mężczyzna! Przez te wszystkie stulecia niejeden z tutejszych braciszków wybiegał stąd oszalały z przerażenia, często zanim jeszcze zdążyłem się przywitać. A ty, ot tak, po prostu mi się kłaniasz. A może to nie odwaga? Może to po prostu szok? Powiedz, zsiusiałeś się w majty?

Franciszkanin milczał, gardło wyschło mu na wiór. Czuł, że zaciśniętych w pięści dłoni nie uda mu się już rozprostować. Bał się. Bał się panicznie. Każdy by się bał potwora z szafy, spod łóżka, czekającego w ciemnej piwnicy. Co z tego, że na stryżku było jasno, bo przecież słońce wpadało przez szpary w wyschniętych, wypaczonych deskach. Co z tego, że potwór nie wyskoczył z żadnej szafy, nijak nie huknął, nie chwycił go za ramię, podchodząc bezszelestnie od tyłu. Siedział sobie po turecku w największej plamie światła i grzał ohydną, pokrytą liszajami gębę w słonku. Tyle że przecież chwilę wcześniej go nie było.

– Kim jesteś? – wykrztusił zakonnik, pozwalając, by instynkt pchnął go w tył. Najpierw jeden krok, potem drugi.

– Ech, Jerzyku. Przecież ja mogę stanąć za tobą, nim zdążyysz mrugnąć. Siądź lepiej, bo odwaga odwagą, ale nogi to już cię chyba trzymać nie chcą, co?

Brat Jerzy rozważył propozycję stwora i doszedł do wniosku, że jeśli tamten będzie chciał, faktycznie zastąpi mu drogę, a jeśli nawet braciszкови uda się skoczyć do zejścia, to pewnie w panice zleci ze stromych schodków i skręci sobie kark. A czy tego chciał? Nie, to nie byłaby dobra śmierć, byłaby to śmierć głupia. Wyobraził sobie szepczących po kątach braciszków: „Młody człowiek, taki nieuważny”, „Pan nasz musiał go sobie umiłowac szczególnie, skoro zabrał go tak szybko”. I żaden z tych dwóch nie miałby racji.

Kiedy usiadł, pierwsze, co poczuł, to twardość desek pod pośladekami. Potem dotarło do niego, że napięte ciało się rozluźnia. Przetarł czoło wierzchem dłoni, przyjrzał się zebranym kropłom wilgoci, a potem spojrział przed siebie na stwora. Jednak tam już nie było stwora. Przed nim siedział młody mężczyzna o urodzie

drapieżnego ptaka. Biła od niego pierwotna, dzika moc; biała koszula i wyprasowane w kant prążkowane spodnie nie były w stanie tego ukryć.

– Pomyślałem, mój drogi, że tak nam jednak będzie łatwiej rozmawiać.

Jerzy skinął głową, a ulga, którą poczuł, objawiła się przemienionemu stworowi w postaci głupawego uśmiešku. Wpłynął on na twarz zakonnika i pozostawał tam dłuższą chwilę. Franciszkanin wiedział, że się uśmiecha bezmyślnie, jak wioskowy idiota, w którego pijane przewagą dzieciaki sąsiadów pstrykają pestkami czereśni, a on się cieszy, że się z nim bawią.

Histeria, pomyślał. To po prostu histeria albo zadziały hormony, żebym tu nie padł na serce. To jeszcze głupiej niż kark skręcić, jak się jest młodym chłopem na schwał, dbającym o siebie i kondycję.

– Dobrze, w takim razie się przedstawię. – Mężczyzna uniósł rękę do serca. – Albo nie. Po co? Mam tyle imion, ile twarzy, na co ci jakieś? Czy powiesz, „Ten, który nosił światło”, czy nazwiesz mnie Belzebubem, czy diabłem, to będę ja. Zatem przedstawianie się właściwie nie ma sensu, ale prosiłeś, więc dobrze: możesz mi mówić „Książę Ciemności”. Lubię ten przydomek, choć żaden rodzaj monarchii w piekle nie istnieje.

– Czego chcesz ode mnie? – Jerzy na powrót zacisnął pięści. – Czemu właśnie do mnie przyszedłeś?

– Ja tu mieszkam. W tej szopce. Latem, bo wtedy najpiękniej. Lubię wygrzewać się w słońcu. Koty mają to po mnie. – Prychnął, udając kota, a potem parsknął śmiechem. – Żartowałem! Twoja mina mówi aż nazbyt wyraźnie, coś sobie pomyślał: „Więc ci wszyscy inkwizytorzy pałacy czarownice mieli rację?”. Odpowiadam: nie mieli. Koty zawsze lubiły samotne kobiety; to samoluby, nie potrafią się dzielić. Wróćmy jednak do tematu. Ja tu akurat sobie mieszkam, więc technicznie rzecz biorąc, to ty przyszedłeś do mnie. Ale mniejsza o kwestie techniczne, bo ja tak trochę na ciebie czekałem. Nie dlatego, że coś od ciebie chcę. Nie. – Pokręcił głową niby w zamyśleniu. – Powiedz, co ty mógłbyś dać mnie? Za to ja mogę dać ci dużo. Tak! – Mężczyzna pochylił się nieco; jego czarne oczy rozblęły. – Powiedz, Jerzyku, czy chciałbyś, żeby ci ludzie, którzy słuchając twych popisów oratorskich, zyskali

nadzieję na odmianę losu... uwierzyli na chwilę, bo ty im kazałeś... swoją drogą, masz chłopie gadane!... Chciałbyś, Jerzyku, żeby oni wszyscy faktycznie otrzymali swój cud? Mógłbym bez trudu sprawić, by twoje słowa stawały się ciałem. Wierysz mi?

Franciszkanin patrzył w diablo piękną twarz. Czuł, że wierzy. Wierzy, bo czyż można nie wierzyć w jeden absurd, gdy się już przyjęło inny? Skoro tu był, skoro siedział przed nim, skoro pojawił się z nicości i zmienił postać na jego oczach, czy nie miał mocy? Więc jeśli miał moc, to i uzdrawiać mógł. Brat Jerzy otworzył usta.

– Nie! Nie odpowiadaj. Nie chcę. Zabawniej będzie, jeśli jednak coś dla mnie zrobisz. Nie martw się, to niewiele – nie chcę twego życia, nie potrzebuję twojej duszy, nie chcę, byś podpisywał cyrograf. To było modne czterysta lat temu. Wystarczy mi drobiazg. Bardziej symbol niż ofiara.

Od czasu wizyty na parafii proboszcza Witkowskiego Jerzy hamował swoje teatralne zapędy. O dziwo, nie przychodziło mu to ciężko. Po prostu mówił wolniej, słowa nie wyprzedzały myśli, nie błądził też spojrzeniem po słuchających go wiernych. Teraz znajdował jedną osobę, na którą patrzył cały czas. Do której mówił. Przewiercana wzrokiem duszpasterza, szybko odwracała oczy, zrywając kontakt. Tak było łatwiej.

Dlatego minęły niemal trzy miesiące od spotkania na stryżku, nim podczas mszy w kościele garnizonowym dostrzegł stojący w przejściu prowadzącym do bocznej nawy nowoczesny wózek inwalidzki. Siedziała w nim kobieta w średnim wieku. Miała ładnie wykrojone usta, bladą twarz i ciemnozielony golf, z powodu którego jej szyja wydawała się zbyt długa. Jerzy patrzył na nią, wygłaszając kazanie. Mówił o nadziei i zaufaniu, o uzdrowieniu duszy i ciała. Kobieta nie unikała jego wzroku. Nie dopatrzył się w jej oczach kpiny, której podświadomie oczekiwał.

Zagadnięty po mszy wikary chętnie dzielił się informacjami. Sprawa z rodzaju banału, do mistrzostwa rozwiniętego w popularnych serialach o szalonej ilości odcinków: wypadek, spowodowany przez męża; uszkodzony kręgosłup; życie wywrócone do góry nogami.

Po powrocie do klasztoru brat Jerzy zamknął się u siebie. Usiadł przy biurku i odetchnął głęboko. W tej małej, zagraconej przestrzeni czuł się bezpieczny. Nikt nie mógł go zobaczyć – niepisana zasada zakonna mówiła, że nie wchodzi się do cudzego pokoju bez wyraźnego zaproszenia. Przestrzegali jej wszyscy, tak było znacznie lepiej dla utrzymania zdrowych stosunków w zgromadzeniu.

Wiedział, że nadszedł czas decyzji. A raczej wywiązania się z niej, bo decyzję podjął już dawno; czekał jedynie na okazję, taką jak dzisiejsza. Propozycja mieszkańca stryżku, którego nie potrafił nawet w myślach nazwać żadnym imieniem, była prosta. Równie prosto było sprawdzić, czy układ jest uczciwy – czy to faktycznie zadziała. Niewielki nożyk do obierania owoców z plastikową rączką i krótkim, szerokim ostrzem czekał w szufladzie biurka. Jego ostrość Jerzy sprawdził zaraz po zakupie, nacinając płytko opuszek palca. Długo przyglądał się wtedy karminowej kropli, która natychmiast pojawiła się pod ostrzem. Piekło, a teraz miało piec znacznie bardziej.

Zakonnik podwinął lewy rękaw habitu aż na ramię. Uświadomił sobie, że odczuwa strach. Nie wiedział tylko, czy to strach przed bólem, przed porażką czy też przed wyzwaniem, które w myślach rzucał właśnie Bogu.

Lekko wypaczona szuflada dziś była wyjątkowo oporna. Szarpał się z nią dłużej niż zwykle, a gdy w końcu udało mu się wyjąć nożyk, zastygł w bezruchu.

Bezładne, poszarpane myśli kotłowały mu się w głowie.

Co będzie, jeśli to się uda? Co to będzie znaczyło? Gdzie jest Bóg? Czego chce ode mnie? Czy to test? Czy jestem teraz Abrahamem i Izaakiem naraz? Czy to pycha, myśleć w ten sposób o sobie? Jeśli nie zadziała, jak mam to zrozumieć? Że oszukał mnie Bezimienny? Czy że Bóg mnie uratował? A jeśli zadziała? Co jeśli to zadziała? Mogę pomóc człowiekowi. Życie za chwilę bólu. Jedynie bólu. Nie chciał nawet mojej duszy. Nie powiedział, że muszę oddać duszę. Gdzie jesteś, Boże?

Owszem, piekło znacznie bardziej niż nacięty opuszek. Ostry ból otrzeźwił brata Jerzego, wyrwał go z karuzeli pytań bez odpowiedzi. Zakonnik odłożył nożyk na blat biurka i zapatrzył się na dzieło swojej ręki.

Krew najpierw wypełniła nacięcie, nieco leniwie wspinając się na brzegi rany, by w końcu spłynąć po ramieniu cienkim strumykiem do wnętrza dłoni. Była dziwnie chłodna i wcale nie taka gęsta, jak się spodziewał. Miała piękny kolor. Ból złągodniał, łatwo było się z nim oswoić.

Jerzy znów sięgnął do szuflady. Wyjął z niej pakiet gazy jałowej, spirytus salicylowy, plastry i bandaż. Zatał krwawienie, odkaził, krzywiąc się, gdy pieczenie przybrało na sile. Ściągnął brzegi rany i zakleił plastrem, a potem dla pewności obwiązał bandażem. Zdawał sobie sprawę, że długość i głębokość cięcia prawdopodobnie kwalifikują ranę do szycia, ale nie był w stanie znaleźć wiarygodnego wytłumaczenia dla lekarza. Nie mógł przecież powiedzieć, że sam to sobie zrobił.

Wstał ostrożnie, obawiając się zawrotów głowy. Umył się w umywalce, posprzątał zakrwawioną gazę, zwinął nadmiar bandaża. Robił to wszystko powoli, jakby powietrze wokół zgęstniało, blokując ruchy. Umysł miał całkowicie pusty. Strach załagał się w okolicach przepony. Zakonnikowi trudno było oddychać. Otworzył okno i długo stał w chłodnym podmuchu jesiennego wiatru. Patrzył na ciemniejące niebo, na kołyszące się leciutko gałęzie. Liście szeleściły cicho, zza murów klasztoru dobiegał szum trasy szybkiego ruchu. Jerzy uspokajał się. Oddech wracał, ramię – do tej pory prawie niewyczuwalne – pulsowało tęnym bólem.

– Co teraz? – spytał głośno.

Nikt mu nie odpowiedział.

Do niedawna na pytanie, jaką porę roku lubi najbardziej, Wanda odpowiadała, że jesień. Teraz jednak, gdy wózek zastąpił jej nogi, pragmatyzm zwyciężył porywy serca i Wanda zaczęła się bać jesieni. Na wózku trudniej było omijać kałuże, kalosze na martwych nogach wyglądały jej zdaniem pretensjonalnie, a parasolki, których miała kilka, nie opuszczały szafy, bo ręce były jej potrzebne do czego innego niż trzymanie kolorowej szmatki rozpiętej na drucianym stelażu. Teraz na takie pytanie Wanda bez wahania odpowiedziałaby, że lato. Suche lato, dokładnie takie, jakie niedawno się skończyło. Myślała o tym, wracając po mszy

do domu okrężną drogą. Od dwóch dni nocami padały deszcze, sprawiając, że trawniki przy mijanych domkach, przykurzone latem, znów wyglądały na świeże. Miski z wodą, ustawione pod starą gruszą w jednym z ogródków, zniknęły. Wanda lubiła się tu zatrzymywać i przyglądać kąpiącym się ptakom. Baraszkowały jak dzieci, mocząc łebki, unosząc skrzydełka i chlapiąc jeden na drugiego. Na podobny widok trzeba będzie długo czekać.

Do domu dotarła akurat na obiad. Andrzej nigdy nie chodził z nią do kościoła. Wypadek niczego pod tym względem nie zmienił, dlatego niedzielne gotowanie należało do niego. Przygotował kurzą pierś, duszoną z jabłkami. Do tego ryż i surówka z marchewki. Proste i smaczne. Zjedli, wymieniając nic nieznaczące uwagi, mające na celu dać im poczucie normalności. Potem Andrzej poszedł pozmywać, a Wanda sięgnęła po książkę. Nie podniosła jej jednak. Przeszkodziło jej uczucie niepokoju. Narodziło się gdzieś pod mostkiem w postaci lekkiego ucisku i szybko wypełzło na zewnątrz, rozlewając się po skórze irytującym świądem. Po nim przyszedł chłód. Napięła te mięśnie, które wciąż były jej posłuszne, by powstrzymać dreszcze. Chłód przesuwiał się od serca w górę i w dół, jakby zamiast ciepłej krwi pompowało wodę z górskiego strumienia. Zamarła, gdy zimno przekroczyło granicę pośladków. Tymczasem ono nie przejmowało się jej zaskoczeniem, spływało w dół udami do kolan, łydek, stóp, aż objęło palce i poczuła kształt własnych paznokci. Nim zdążyła przyjąć, że to się dzieje, a nie jest jedynie wytworem jej wyobraźni, chłód ustąpił, a jego miejsce zajęło ciepło. Początkowo przyjemne, wkrótce niemal nie do wytrzymania. Martwe mięśnie nóg przeszywał ostry ból, jakby wbijały się w nie długie, cienkie ostrza, docierając aż do kości.

Wrzasnęła i ból minął.

Wiedziała, że może wstać. Wstała, a jej mąż, który wpadł do pokoju z cieknącą gąbką w dłoni i wyrazem przerażenia na twarzy, oparł się o ścianę i zaczął płakać, gdy zrobiła ku niemu pierwszy krok.

Dwadzieścia dwa lata później Wanda nadal pamiętała całą sekwencję uzdrowienia, o której dokładnie opowiedziała tylko mężowi.

Dwadzieścia dwa lata później przeżyła to ponownie – w odwrotnej kolejności. Siedziała na fotelu z podkulonymi nogami i czytała swoją ulubioną książkę, gdy w jej nogi wbiły się

niewidoczne ostrza. Wrzasnęła z bólu. Mąż tym razem nie przybiegł – nie mógł, bo od kilku miesięcy odwiedzała go na cmentarzu. Myślała o nim, gdy jej ciało objął ogień, a potem mróz. Niepokój pojawił się na końcu. Nie strach – o dziwo – a jedynie niepokój. Wiedziała, że znów straciła władzę w nogach. Mimo to próbowała wstać z fotela. Jedyne, co uzyskała, to upadek na miękkiego dywan, na którym zacisnęła palce w bezsilnej złości.

Mirek Kłodawski miał ostatnio bardzo dużo pracy. Zaczęło się od pociętego zakonnika, którego – jak się dowiedział trochę przypadkiem, a trochę dlatego, że zawsze miał długie uszy – władze klasztoru nie bardzo chciały pochować w poświęconej ziemi. W ciągu kolejnego tygodnia umył i ubrał trzydzieści dwa ciała, w tym ośmioro dzieci. Z dziećmi nadal było trudniej.

Fantastyka na rozstajach – czy może raczej w „Rozstajach”, bo o antologię przecież chodzi – nie ma nic wspólnego z fantastyką zagubioną. To literatura poszukująca, świadoma celu, w którym zmierza. Skręcamy na wschód w stronę przewrotnego fantasy czy może na zachód, w stronę twardego SF? W kierunku literackich eksperymentów czy raczej trzymamy się tradycyjnego stylu? Zaręczam, że żadna z tych dróg czytelników nie rozczaruje.

Anna Kańtoch

Temat „Rozstaje” naturalnie przywodzi na myśl konkretny rodzaj opowieści i kiedy siadałem do czytania opowiadań, które ostatecznie znalazły się w tym zbioru, obawiałem się właśnie ich fabularnej jednorodności. Na szczęście – bardzo się myliłem. Mnogość podejść do zadanego tematu zdecydowanie pokazuje, z jak kreatywnymi, dojrzałymi twórcami mamy do czynienia.

Michał Cholewa

wydawca:



patron medialny serii:

 **Fantasmarium**

patronaty:

MAGAZYN
BIAŁY KRUK

efantastyka.pl

FAHRENHEIT
WYDAWNICTWO FANTASTYKI

Silmaris
WYDAWNICTWO FANTASTYKI

 **MECHANICZNA
KULTURACJA**

 **SZORTAL**
WYDAWNICTWO FANTASTYKI

ISBN 978-83-931240-5-3



9 788393 124053